

# Cień na pokładzie

Tadeusz KostECKI



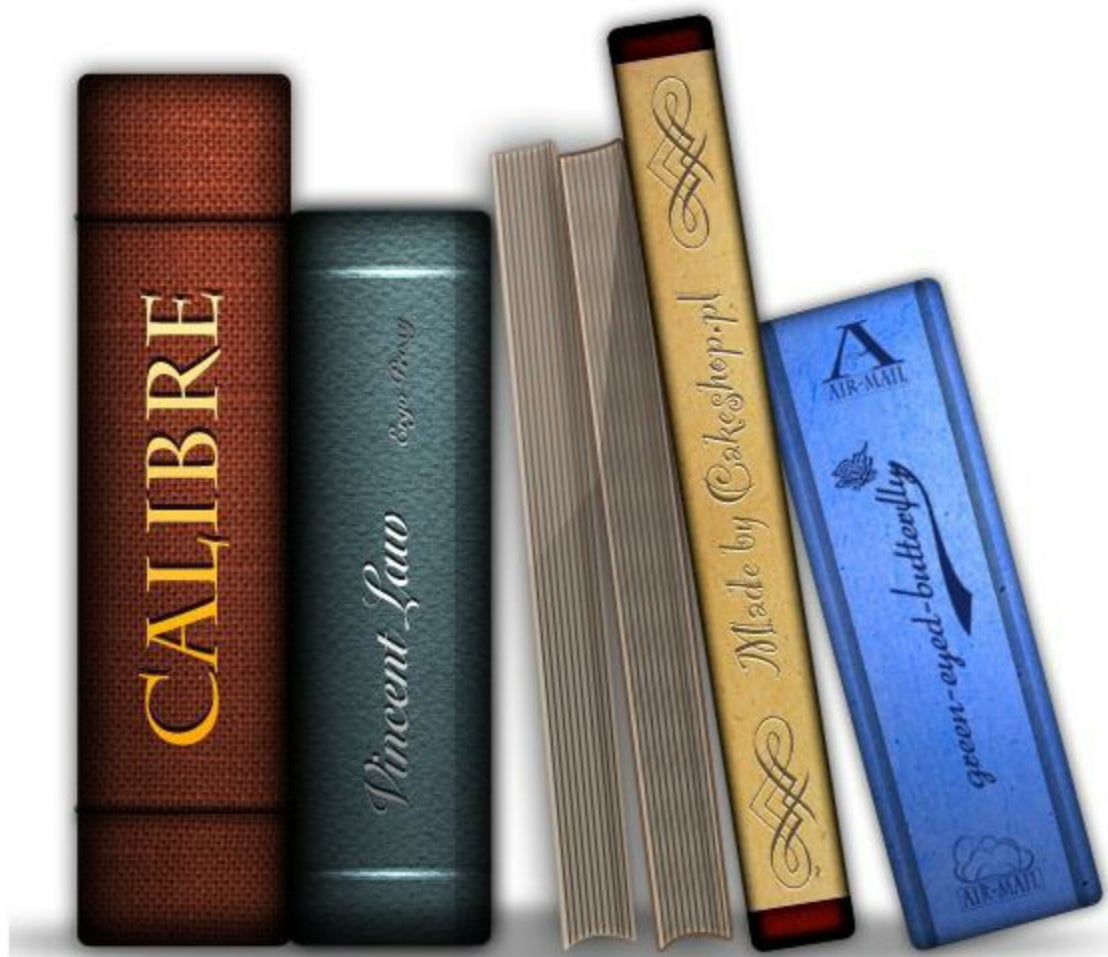
calibre 0.9.27

Tadeusz KostECKI

CIEŃ NA POKŁADZIE

## Conversion of WMF images is not supported

Use Microsoft Word or OpenOffice to save this RTF file as HTML and convert that in calibre.



calibre 0.7.57

### 1. OKRUCHY ZDARZEŃ

I

Marynarz pokładowy z M/S „Jednośch, Sorek, w pierwszej chwili zamrugał oczyma. O co temu typowi właściwie chodziło? Przedtem wszystko było jasne. Wódka taka, wódka owaka, piwo, zakąski. Chwilami aż się wierzyć nie chciało, że ten zatabaczony szczur lądowy, którego przed niespełną dwiema godzinami ujrzał po raz pierwszy na oczy, ma aż tak szeroki gest.

Wypili... No, sporo musieli wypić, skoro nawet Sorek, który się zawsze chlubił „żelazną głową”, był tak zamroczony, że nie rozumiał, co się do niego mówi.

Marszczył brwi, usiłując odcyfrować znaczenie cichych słów. Aż nagle niczym jasność błyskawicy... Niemal otrzeźwiał. Chce, żeby go przemycić na statek jako blindę? Zesztywniał groźnie, próbując się podnieść. Ale że nogi jak z waty, musiał się wesprzeć o krzesło.

- Do kogo z takim czymś?

A tamten ciągnie za rękaw i wciąż nałazi z portfelem. Że niby odda wszystko, żeby tylko...

Sorek szperał przez chwilę po stole. Tym razem przełknął wodę sodową z całą świadomością. Musiał przecież trochę przewietrzyć łeb. Diabli nadali taką okazję. Poczęstunek poczęstunkiem, ale wyjeżdżać z taką grandą? Trzeba mieć pecha.

- Odwał się, pókim dobry.

Gdzie tam. Jeszcze bardziej zaczyna się ślimaczyć. Że musi, że rodzina, że to i tamto. Kto by wszystko spamiętał. Trzepie językiem jak wiatrak skrzydłami. Ale sens jasny. Chce na blindę i już. A jeżeli pieniędzy w portfelu za mało, to dołoży. Nie brak mu.

Teraz już Sorek stał całkiem prosto.

- Pies ci mordę lizał z twoją forszą. Zmykaj i żeby śladu po tobie nie zostało.

A gdy nie usłuchał, Sorek zjeżył się na dobre. Diabli wiedzą, czy tu tylko o blindę chodzi. Za bardzo jakoś natrętny. I forsy coś za bogato. Mózg pracował coraz sprawniej.

- Eee, bratku - nachylił się nad nim, wwiercając w jego twarz mętne oczy - kim ty właściwie jesteś?

Dopiero teraz jegomość zwinął się jak nadepnięty wąż.

Sorek zaczął się rozglądać. Trzeba by typa przetrzymać i przyjrzeć mu się bliżej. Zdawał sobie sprawę, że sam nie da rady. Ledwo zdołał ustać na nogach. I to z podpórką.

Kierownik wysunął się ze swego kojca. Poczul, że coś wisi w powietrzu. Do niego należało, by nie dopuścić do jakiejś grubszej awantury.

- O co chodzi? - podszedł do stolika.

- A bo ten... - Sorek nagle urwał. Obok nie było nikogo. Ładna historia. Jeszcze na dobitkę wystrychnął go na dudka.

- Ten pan już wyszedł - wyjaśnił kierownik. - A coście do niego mieli?

- Znacie go? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

Kierownik pokręcił głową.

- Nie. Był tu pierwszy raz. A bo co?

Sorek zastanowił się. Po co rozmazywać sprawę, skoro i tak nikt typa nie zna?

- Nic - strzepnął niedbale palcami - trochę się przemówiliśmy.

Kierownik uśmiechnął się pobłaźliwie. To zwykła rzecz przy kieliszku. Szczególnie po takiej ilości alkoholu.

## II

W myśli jednak nie przestawało wiercić, choć Sorek już daleko odszedł od knajpy. Czuł się niemal całkiem pewnie. Na pierwszy rzut oka trudno by poznać, że aż po czubki włosów przesiąkł alkoholem.

- Coś taki markotny?

Przystanął ucieszony. To właśnie Sielawa wychynął z przecznicy. A Sielawa mądry chłop jak rzadko. Krótko się wahał. Trzeba się przecież z kimś podzielić. Lżej będzie człowiekowi na duszy.

- Bo widzisz, bracie, wyszła taka rzecz... - opowiedział wszystko.

Sielawa pokręcił z powątpiewaniem głową. Żeby chodziło o kogo innego... Ale Sorek... Któż nie wiedział, że potrafi wyssać z palca najbardziej nieprawdopodobną historię? Może jednak tkwi w tym jakieś ziarno prawdy? Diabli wiedzą. Zamyślał się coraz bardziej. Blind nie blind. Wyruszają w taki rejs, że...

- Musisz zameldować kapitanowi.

- Ee tam, zaraz kapitanowi... - Sorek pocierał z zaciętrzewieniem czubek nosa. - Jestem trochę tego... A stary ma nos, że na milę poczuje.

Sielawa obejrzał go krytycznie.

- Wcale nie najgorzej się trzymasz. Wsadzisz łeb do miski zimnej wody i po paru minutach jak ręką odjął. A z takimi sprawami nie można zwlekać.

Razem weszli na trap. Konwojował go do umywalni. Poczekał, aż dokona ablucji. Bo z Sorkiem nigdy nic nie wiadomo. Mógł skrewić w ostatniej chwili. Wcale nie przepadał za stawaniem przed zwierchnością. Wreszcie doprowadził go aż do samych drzwi kapitańskiej kajuty. Okazało się to zresztą potrzebne. Bo jeszcze parszając na wszystkie strony wodą niczym hipopotam, zaczął się wymawiać. Że może jutro, że go głowa boli, że to, że owo...

Musiał mu przypomnieć sprawę uwięzionych statków, wtedy dopiero zrezygnował z dalszych wykrętów.

W kajucie oprócz kapitana Sorek zastał pierwszego oficera. To jeszcze bardziej zbiło go z pantałyku. Gotów wykpić i zrobić z człowieka balona. U Igielnickiego o to nietrudno.

Odwrót jednak był odcięty. Za progiem spacerował Sielawa, ten nie popuści. Jak sobie coś wbije do głowy, to umarł w butach. Uparty jak kozioł. Nie było rady. Jąkając się przy każdym słowie, wykrztusił wreszcie, z czym przyszedł. Kapitan Bartczak popatrzył z niedowierzaniem.

- Blind do Chińczyków?

Igielnicki, nie przestając majdrować przy swoim zegarku, wtrącił niby to mimochodem:

- Och... niekoniecznie.

- Jak to?

- Nno... - przyłożył zegarek do ucha, potrząsnął nim i otworzył kopertę - nie zapominajmy o Tajwanie. Wystarczyłoby podać przez krótkofalówkę położenie statku. Albo choćby nawet wystrzelić w porę rakiety...

Bartczak zmarszczył brwi.

- To prawda... Rozpoznalibyście tego typu? - zapytał Sorka.

Sorek potrząsnął z ubolewaniem głową.

- Wątpię... Taki jakiś wyblakły, że nic nie dało się zapamiętać z jego wyglądu. Żadnych znaków szczególnych.

Igielnicki roześmiał się.

- Brawo. Styl urzędowy, że proszę siadać. Niedługo zajdzie konieczność awansowania go na referenta.

Kapitan popatrzał z ukosa na Sorka.

- Ciekawe... Siedzisz z człowiekiem diabli wiedzą jak długo i nie zauważyłeś nic, po czym mógłbyś go poznać? Byłeś pijany? - pociągnął podejrzliwie nosem.

Sorek zdrętwiał. A nie mówił Sielawie? Zaczął przestępować z nogi na nogę.

- Żeby prawdę powiedzieć... to odrobinę - wybąkał.

Bartczak sapnął. Zanim jednak zdążył coś powiedzieć, wtrącił się Igielnicki.

- Był pijany, kapitanie. I to wcale nie odrobinę. Stawiam zegarek przeciwko złamanemu guzikowi, że na koszt właśnie tego typu. Na pewno nie żałował kolejek. Czyż nie tak?

Sorek zwiesił głowę.

- Tak.

- W porządku - Igielnicki jeszcze raz przyłożył zegarek do ucha, po czym z zadowoloną miną schował go do kieszeni. - Wszystko się zgadza jak w aptece.

Bartczak tarł wierzchem dłoni podbródek.

- Nie mogłeś go zatrzymać?

- Próbowałem. I nawet kierownik zakładu podszedł, widząc, że coś nie w porządku. Ale facet zdążył

już zniknąć. Pytałem kierownika... Nie zna go.

- Jasne - Igielnicki wstał, obciągając kurtkę. - Nie myślcie, że takich blindów rekrutują spośród ślepych szczeniąt. Trzeba by kogoś znacznie dowcipniejszego od nas trzech razem wziętych, by mu przytrzasnąć ogon.

### III

Drugi oficer, Kaniewski, powrócił na statek dopiero późnym wieczorem. Był czymś mocno rozdrażniony, chociaż usiłował tego nie okazywać.

- Cóż to - powiódł wzrokiem po pokładzie - pogotowie wojenne?

Bartczak wyjaśnił, o co chodzi.

Kaniewski przyjął wiadomość raczej obojętnie.

- Ja osobiście nie traktowałbym tego aż tak poważnie. Przy kieliszku niejednego rozpiera chęć odbycia wędrowki do egzotycznych krajów. Znacie przysłowie: Pijanemu morze po kolana? Zresztą... - machnął ręką. - Może i macie rację, kapitanie. Moglibyście odpowiedzieć przysłowiem na przysłowie. Bo jest przecież i takie: Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Bezkrwiste wargi Kaniewskiego zadrgały w nikłym uśmiechu. Uśmiech ten jednak wyglądał na wymuszony.

Odszedł ociężałym krokiem w kierunku swojej kajuty. Wachta wypadała mu dopiero po północy.

Bartczak patrzył za nim w zamyśleniu. Tego człowieka coś gnębi. Bardzo się ostatnio zmienił. Jakby nagle postarzał o wiele lat. Co za robak go toczy? Wiedział, że stwierdzenie tego nie będzie rzeczą łatwą. Kaniewski zamykał się jak ślimak w skorupie. Należało się jednak tym zająć pomimo wszystko. Cóż z tego, że w służbie był bez zarzutu? Służba to jeszcze nie wszystko. Chodzi przecież i o człowieka...

Zbliżała się godzina wyjścia z portu. Bartczak zatelefonował do WOP.

- Czy nie moglibyście przyjść trochę wcześniej? Zaszły pewne szczególne okoliczności.

Przyszli.

Przetrząsnęli statek od kilu po kapitańską wyżkę. Nie było chyba najmniejszego zakamarka, dokąd by nie zajrzeli. Nie znaleziono jednak nic podejrzanego.

Oficer WOP nachylił się nad świadectwem odprawy.

- Podpisuję go z czystym, jak rzadko, sumieniem. Jeżeli tylko w grę nie wchodzi „czapki niewidkii, nikogo obcego nie ma na statku.

### IV

W widmowej poświacie światła kompasu twarz Igielnickiego wyglądała obco. Zazwyczaj

rozluźnione uśmiechem rysy stężały teraz w skupieniu.

Bartczak zapalił papierosa, osłaniając płomień dłonią. Ręka pierwszego oficera leżała lekko na dźwigni telegrafu. Zdawałoby się - uosobienie spokoju i opanowania. A przecież po palcach przebiegało ledwo dostrzegalne drżenie.

Cóż dziwnego? Wszyscy na statku byli podenerwowani. Wpłynęli na najbardziej niebezpieczny odcinek. Lada chwila mógł wychynąć z ciemności stalowy kształt pirackiej kanonierki. O tym właśnie Bartczak myślał.

A wtedy... - przygryzł wargi. - Byli przecież bezsilni. Utrata statku wraz z jego ładunkiem. Długie miesiące niewoli połączonej z brutalnym naciskiem.

Wodził niespokojnym spojrzeniem po nasiąkniętej mrokiem, lekko połyskującej toni. Wokół zalegała niczym niezmacona cisza i pustka. Ale to oczywiście niczego nie dowodziło. Pirat tym właśnie groźniejszy, że napada znienacka.

Skądś, z oddali, dobiegło echo przeciągłego łoskotu. Grzmot? Nie, to nie był grzmot.

Zerknął na Igielnickiego. Spojrzenia ich się spotkały. Odrzutowiec. Nie było najmniejszej wątpliwości. Stalowy jastrząb wypatrujący łupów dla pirackiej wyspy.

Pamiętali z prasy. Wtedy też odbyło się właśnie w taki sposób.

Ten był jeszcze daleko. Cóż jednak taka przestrzeń dla odrzutowca? Mile stanowią kwestię zaledwie sekund.

Palce Igielnickiego zacisnęły się na czarnej rękojeści dźwigni telegrafu. Obydwaj myśleli w tej chwili o tym samym. Jeżeli dojrzy? Z góry miał bardzo rozległe pole widzenia. Nawet w nocy. Znowu dudnienie. Bliżej? Dalej? A może dragi? Trudno się było zorientować.

Bartczak otarł czoło wierzchem dłoni.

- Uff... - sapnął - piekielnie duszno.

Rzeczywiście, pomimo nocy panował trudny do zniesienia upał. Płucom brakło powietrza. A przecież nie tylko temperatura wyciskała pot na czole kapitana M/S „Jedność”. Nieomal z podziwem zerkał na suchą twarz Igielnickiego. Zupełnie jakby się urodził w tropikach. I nerwy. Niekiedy zazdrościł mu tych nerwów jak postronki.

- Tak - Igielnicki przerwał wreszcie milczenie. - Mały sygnalisk krótkofalówką albo rakietą - i po nas...

- Na naszym statku nie ma zdrajców - w głosie kapitana brzmiały nutki hamowanego oburzenia.

- Wierzmy, że tak jest w rzeczywistości...

- Nie macie zaufania do ludzi?

- Bywają ludzie i ludziska...

- Ale na naszym statku... - Papieros w palcach kapitana zdrzął.

- Cóż - Igielnicki poprawił kołnierz mundurowej kurtki - dotychczas żaden nie dał powodu, żebym stracił do niego zaufanie. Ale to jeszcze nie znaczy, że zdołałem poznać, co w każdym z nich siedzi.

Miarowy rytm maszyn wstrząsał pokładem. Po obu stronach dziobu lśniły fosforycznym blaskiem bruzdy rozcinanej wody.

Raz po raz zastygłe w bezruchu powietrze rozdzierał przygłuszony ryk motorów odrzutowca.

## V

A przecież czyjeś ręce ścisnęły kurczowo raketę. Uszy badały w skupieniu natężenie odgłosów niewidocznego samolotu. Cóż z tego, że daleko? W mroku widać raketę na wiele mil dokoła. Dostrzeże na pewno. Wystarczy przytknąć płomień zapalniczki - i sprawa załatwiona. Któż potem będzie w stanie czegokolwiek dowieść? Trzeba tylko znaleźć odpowiednie miejsce, by ją wystrzelić. Ale właśnie z tym było najtrudniej. Próbował tu, próbował gdzie indziej. Ani mowy nawet. Po całym pokładzie snuli się ludzie.

Ciało spływało lepkiem potem. Długi płaszcz krępował ruchy. Musiał go jednak włożyć, by zasłonić rzucającą się w oczy biel odzienia. Nawet w zacisznym zakątku za kotwiczną windą czyjaś sylwetka sterczała przy burcie. To samo na spardeku, to samo na rafie.

Wszędzie ktoś stał, wlepiając oczy w ciemność, albo spacerował nerwowym krokiem. Chyba tej nocy nikt nie korzystał ze swej koi. Wędrowka trwała długo. Zaglądał wszędzie. W końcu zrezygnował. Nie było najmniejszej możliwości realizacji planu. Gdyby jeszcze miał raketnicę, może zdołałby ułować sposobną chwilę. Pociągnąć za cyngiel i zniknąć bez śladu. Ale tak... Wracił do siebie, zaciskając zęby. Zaprzepaścić taką okazję? Z trudem zdołał się opanować. Splunął za burtę.

## VI

Bartczak nie mógł już dłużej wytrzymać nieruchomego trwania w ciasnej wyżce. Chociaż nie okazywał tego po sobie, nie przestawały go nurtować słowa Igielnickiego. W gruncie rzeczy trudno mu było właściwie odmówić racji. Zaufanie zaufaniem, a jednak nie mógłby stwierdzić z czystym sumieniem, że znał naprawdę każdego z członków załogi. Bywają okoliczności, w których zbytnie zaufanie jest niczym innym jak tylko karygodną lekkomyślnością. Zwłaszcza teraz.

- Przejdę się trochę - mruknął wreszcie, wachlując twarz czapką. - W tej łaźni można się upiec.

Igielnicki pokiwał aprobowująco głową.

- Słusznie. Małe przechadzki nad wodą znakomicie orzeźwiają organizm.

Zdawał sobie doskonale sprawę z pobudek kierujących kapitanem. W grę wchodziła zbyt wielka stawka, by można zaniedbać jakąkolwiek ostrożność.

Bartczak schodził w zamyśleniu na pokład. Diabli nadali. No... właściwie nie zaszkodzi się przespacerować. Pańskie oko konia tuczy... Szedł powoli, rozglądając się uważnie na wszystkie



strony. Wszędzie aż rojno od ludzi. Gdyby nawet znalazł się jakiś zdrajca, nie pozwolono by mu na wprowadzenie w czyn zbrodniczego zamiaru. Dałby sobie zresztą rękę uciąć, że takiego zdrajcy nie było. Jakże... Wśród jego załogi? Przystanął przy uchylonych drzwiach kabiny drugiego oficera. W mroku szarzała niewyraźna plama twarzy.

- Udusić się można - westchnął jakby z rozdrażnieniem Kaniewski.

- Tak - potwierdził Bartczak - gorąco.

Ruszył dalej. Kaniewski schodząc z wachty, oświadczył, że natychmiast się położy. Tymczasem był ubrany. Widocznie zrezygnował z zamiaru. Nic zresztą dziwnego. Niełatwo uleżeć w betach przy takiej temperaturze. Szczególnie, jeśli ma się jakieś problemy ze zdrowiem. A że Kaniewskiemu coś dolegało, nie miał najmniejszych wątpliwości.

Tylko co on takiego trzymał w ręku? Zupełnie jakby nabój od dubeltówki. Nabój od dubeltówki? Śmieszne. Raczej jak... Ale żadne inne porównanie nie przychodziło jakoś na myśl.

## VII

Sorek zadarł głowę, obserwując przepływające wysoko w górze pierzaste obłoczki.

- O! - wyciągnął w górę rękę - przeleciał!

Wszyscy stojący w pobliżu jak na komendę spojrzeli w niebo. Nic jednak nie zauważyli. Po prostu Sorek kawały urząda. Nie pierwszozna mu przecież.

- Ty... - sarknął Gwóźdź - uważaj, żeby ktoś i z ciebie w końcu nie zrobił balona.

- Wydawało mi się, że widzę, jak wylatuje zza chmurki. Foryś parsknął. Śmiech zabrzmiał nieco nerwowo. Wszyscy tej nocy byli podekscytowani.

- Szkoda, żeś mu soli na ogon nie nasypał.

- Brzęczy i brzęczy niczym uprzykrzony komar - oburzył się Konkiel.

Sielawa poklepał go po ramieniu.

- Komar? Patrzcie no. To na słoniu pewno powiesz mucha?

- Swoją drogą - radiotelegrafista Mariczak strzyknął śliną przez zęby - licho wie, co to takiego. Człowiek czuje się jak podczas wojny.

- Pewno - potwierdził Konkiel. - Chłop ma rację.

Gwóźdź sięgnął do kieszeni po zapalki. Zmitygował się jednak w chwili, gdy palce dotknęły pudełka. Lepiej nie. Jeszcze ten z góry gotów zobaczyć. Ssał dalej niezapaloną fajkę.

Sorek wpatrywał się w ciemność.

- O! - zawołał znowu, wychylając się ryzykownie przez poręcz nadburcia - światła portu. Niech skonom!

W pierwszej chwili nikomu nie uwierzył. Znowu buja. Okazało się jednak, że tym razem mówił prawdę. Odetchnęli z przeogromną ulgą. Niebezpieczny rejs dobiegał końca.

## VIII

Pokój stanowił coś pośredniego pomiędzy lokalem biurowym a prywatnym gabinetem. Wielkie, proste biurko, dwa krzesła, regał obok rozłożystych, krytych zamszem klubowców, puszystego dywanu i srebrno-kryształowej zastawy na delikatnym blacie inkrustowanego stolika. Drzwi starannie obite wyciszającą matą, jak niemal w każdym urzędowym gabinecie przeznaczonym na poufne konferencje. Blat biurka zdobiła bizantyjska waza załamująca promienie światła w szlifie szkiełek imitujących drogocenne kamienie, a także ciężka statuetka stylizowanego lwa o szeroko rozwartej paszczy.

Te kontrastujące z umeblowaniem biurowym cacka miały jednak całkiem specjalne przeznaczenie.

Jedno ze szkieł oprawionych w patynowany metal wazy stanowiło soczewkę precyzyjnego mikroaparatu fotograficznego. W paszczy zaś lwa tkwił przemyślnie ukryty mikrofon, od którego przewód biegł do najnowocześniejszego dyktafonu umieszczonego w szafce biurka.

W tej chwili wszystkie te urządzenia były nieczynne. Blenda przesłaniała soczewkę. Dyktafon wyłączony.

Nic zresztą dziwnego.

Gość, tkwiący sztywno w jednym z foteli, znał każdy najdrobniejszy szczegół w tym pokoju. Bodaj czy nawet sam nie uczestniczył w akceptacji ich założenia.

Zachowanie jego świadczyło, że jest mocno niezadowolony. Ani spojrzął na srebrną skrzyneczkę z najprzedniejszymi cygarami.

Pomimo zachęcających gestów gospodarza sięgnął do kieszeni, wyjmując z ozdobnego etui własne cygaro.

Nie zaszczycił najmniejszą uwagą mieniącego się wszystkimi kolorami tęczy koktajlu w smukłym kieliszku.

Udał, że nie dostrzega podsuniętego usłużnie ognia, manipulując przy swojej zapalnicze.

Gospodarz stłumił westchnienie, obserwując ze smętnym zainteresowaniem jakiś sobie jedynie wiadomy punkt na gładkiej boazerii. Postawa gościa nie wróżyła nic dobrego.

Cóż mógł jednak na to poradzić? Sprawa nie wyglądała bynajmniej pomyślnie. Chcąc nie chcąc, musiał to w duchu przyznać.

- Tak dalej być nie może!

Drgnął, tracąc z miejsca wszelką ciekawość wobec boazerii. Wypływający z pergaminowych warg głos był całkiem cichy. Zabrzmiał jednak donośnie jak bijący tuż nad uchem dzwon.

- Tak... - pochylił w wyrazie ubolewania głowę. - Prawdę powiedziawszy, nie możemy się w tej

sprawie poszczycić większymi sukcesami.

- Większymi? - ostre spojrzenie wodnistych źrenic dźgało niby szydłem. - Żadnymi. Absolutnie żadnymi.

- Żadnymi - powtórzył potulnie. - Słusznie.

Oponowanie gościowi nie należało do rzeczy rozsądnych. Ani bezpiecznych. Szczególnie w tego rodzaju sytuacji.

Pokora jednak nie ułagodziła gościa. Wypuścił z ust gęsty kłęb wonnego dymu. Ze zmarszczonymi brwiami obserwował, jak rozplątywał się powoli w górze.

Minęła dłuższa chwila, zanim znów odwrócił twarz ku gospodarzowi.

- Czy pan jest tu po to - przyjrzał mu się krytycznie zmrużonymi oczyma - by stwierdzić, że nic się nie robi?

Gospodarz poruszył się niespokojnie w fotelu, jakby go nagle coś zaczęło uwierać.

- Robimy, co w naszej mocy.

- Ach... tak, co w waszej mocy... Widocznie bardzo niewiele w niej leży - syczący głos pulsował nutkami zjadliwego sarkazmu. - Bo jak dotychczas cały rezultat... - dmuchnął wymownie na rozpostartą na płask dłoń. - Czyż nie tak?

Palce gospodarza zacisnęły się kurczowo na miękkiej skórze obicia fotela. Te żółtawe ogniki pełgające pod na wpół opuszczonymi powiekami. Nieraz widywał podobne w czasie polowania na drapieżne zwierzęta. Ale wolałby mieć do czynienia z prawdziwym drapieżnikiem z dżungli, choćby i najbardziej rozżartym, niż z dżentelmenem siedzącym w nienagannej pozie naprzeciwko.

Różne słuchy chodziły o losie ludzi, którzy mu nie potrafili dogodzić. Tym bardziej niepokojące, że niemożliwe do sprawdzenia. Bo niektórzy z nich, uprzednio spotykani niemal co dzień, nagle stawali się nieosiągalni.

Przesunął końcem języka po zaschłych nagle wargach... W tej grze nie tolerowano fuszerki.

- Czekam na odpowiedź! - jeszcze bardziej drewniane brzmienie ponagających słów.

Gospodarz przełknął ślinę, wciągając głęboko powietrze do płuc.

- No... próbowaliśmy przecież...

Czuł, jak na grzbiecie występują grube krople zimnego potu. Gość machnął lekceważąco ręką.

- Próby... Niestety, słyszę o nich nie po raz pierwszy. Ale jeżeli chodzi o prawdziwą akcję? Wszystko zostało przygotowane do najdrobniejszego szczegółu. Chodziło tylko o wiadomość, gdy statek znajdzie się we właściwym miejscu. Sygnał ten jednak nie został podany. Przygotowania spaliły na panewce, ładunek, który nie powinien dotrzeć do celu, został dostarczony w całości o ściśle oznaczonym czasie... Może się mylę? - spojrzał zjadliwie. - W takim razie proszę mnie

skorygować.

Gospodarz z trudem zachował sztywną postawę. Tylko wieloletniej wprawie zawdzięczał, że twarz pomimo wszystko pozostawała drewnianą, nic niemówiącą maską.

- Nie... nie myli się pan. Tak było. Ale czyż to nasza wina? Nie mieliśmy możliwości umieszczenia na statku naszego człowieka, chociaż sprawę powierzyliśmy najzdolniejszym agentom.

- Najzdolniejszym? - wydał wargi. - Moje serdeczne gratulacje. W takim razie, jak wyglądają ci mniej zdolni? I pragnąłbym wiedzieć, jeżeli to nie stanowi specjalnej tajemnicy, za co właściwie wszyscy razem pobierają pieniądze ze skarbu jego królewskiej mości? Bo, moim skromnym zdaniem, stwierdzenie braku jakichkolwiek sukcesów nie stanowi jeszcze do tego wystarczającej podstawy...

Gospodarz na wpół świadomym ruchem sięgnął po kieliszek. Wychylił koktajl jednym haustem. Co za nieznośnie zjadliwy typ. I najgorzej, że właściwie trudno mu odmówić racji.

- Jak w tej chwili wygląda sytuacja? - zapytał po chwili milczenia gość.

- Nno... mamy pewne nadzieje, że...

Przerwał bezceremonialnie.

- Próby, nadzieje, nie o to mi chodzi. Czy zdołaliście wprowadzić na pokład swojego człowieka?

- Jeszcze nie, ale...

Znowu mu przerwał.

- Dość! - ostre słowo zabrzmiało jak warknięcie. - Przelewanie z pustego w próżne do niczego nie doprowadzi. Musimy... - zamyślił się. - A co porabia DOS 204? - podniósł nagle głowę.

- DOS 204? - powtórzył ze zdziwieniem gospodarz. To był jeden z asów pierwszej wielkości. Nie przychodziło mu dotychczas na myśl, by go obciążać tego rodzaju poleceniem. Wydawało się zbyt mało doniosłe. - Miałem zamiar powierzyć mu...

- Jest wolny?

- Tak.

- Proszę go więc delegować do tej sprawy.

- Tak... Ale... hm...

- Co za ale?

- Mógłby... hm... wysunąć obiekcje. Dotychczas prowadził jedynie sprawy pierwszorzędnej wagi.

- Co? - zmarszczył się. - Obiekcje? Proszę mu powtórzyć, że ja tak poleciłem. To powinno rozproszyć wszelkiego rodzaju wątpliwości. A co do wagi... Sprawa jest dostatecznie ważna. Mam nadzieję, że pan zna szczegóły?

- Oczywiście...

- Oczywiście? Sądząc z dotychczasowej akcji, ta oczywistość nie jest wcale taka pewna...

Potem jednak atmosfera zrobiła się znacznie pogodniejsza niż na początku.

## IX

Przewidywania okazały się słuszne.

DOS 204 początkowo nie chciał nawet słyszeć o propozycji.

- Co, mam się zajmować taką błahostką? Chyba jakieś nieporozumienie. Ja? - Miał nader wysokie mniemanie o swych zdolnościach. Zresztą nie był w tym odosobniony.

Dopiero usłyszawszy nazwisko rozkazodawcy, stulił uszy.

- Hm... Z tego wynika, że to coś niezmiernie ważnego?

- Jasne, że tak - potwierdził gospodarz.

DOS 204 zmienił radykalnie front. Nie miał zresztą innego wyjścia. Jakakolwiek bowiem dyskusja z wszechwładnym rozkazodawcą była w ogóle nie do pomyślenia. Wiedział o tym aż nazbyt dokładnie. Nie pozostawało mu nic innego, jak zrobić dobrą minę do złej gry.

- Skoro tak, to jestem do usług - oznajmił jakby z radością.

Gospodarz poprawił się w fotelu, wyciągając wygodnie nogi.

- Otóż proszę posłuchać. Za wszelką cenę należy opóźnić przybycie statku do portu przynajmniej o kilkanaście godzin.

Agent popatrzył na niego uważnie.

- Za wszelką? - powtórzył z naciskiem.

Szef potrząsnął głową.

- Nie. Źle się wyraziłem. Żadne ostateczności nie wchodzą w tym wypadku w rachubę. Jakaś niezbyt groźna awaria, o ile możliwe, bez strat w ludziach. Uszkodzenie maszyn, czy coś w tym rodzaju. Nie potrzebuję chyba pana pouczać.

- Oczywiście.

- I jeden kategoryczny warunek: wszystko, co stanie się na statku, musi sprawiać wrażenie zwykłego przypadku. Zrozumiałe?

- Jak najbardziej. A jaki cel tego opóźnienia?

- Rudzki...

- Ten, którego odczyty zostały zapowiedziane?

- Tak.
- Będzie pasażerem tego statku?
- Właśnie. Jeżeli zaś jego wykłady nie odbędą się w zapowiedzianym czasie - nie odbędą się nigdy. Próbowaliśmy uniemożliwić mu wynajęcie sal. Nie udało się. Sale zostały zarezerwowane.
- O ile się nie mylę, w grę wchodził w tym wypadku nie tylko biznes. Za to na wszystkie późniejsze terminy w tym okresie zarezerwował je kto inny.
- Tak... - uśmiechnął się lekko w odpowiedzi na pytające spojrzenie agenta. - Ten pomysł wpadł nam do głowy cokolwiek za późno... I dlatego właśnie... Czy pan rozporządza kimś, komu zręczne otworzenie sejfu nie sprawi większej różnicy?
- Oczywiście.
- To dobrze. Bo właśnie zajdzie konieczność zajrzenia do kapitańskiej szafy na tym pudle.
- Notatki Rudzkiego?
- Nie... Notatki nas nie interesują. Tu chodzi o znacznie bardziej konkretne rzeczy.
- A bliżej precyzując?
- O fotografii. Czy pan wie, na jaki temat mają być te odczyty?
- Nie.
- Otóż to. A temat, można powiedzieć, delikatny: „Wpływ rozładowań termojądrowych na zdrowie ludzkich. Bardzo a propos, nie uważa pan?
- Rzeczywiście... - agent pokręcił głową. - Nie można mu było zakazać ich wygłaszania?
- Niestety. Oczywiście robiliśmy w tym kierunku, co tylko było w naszej mocy, ale... Jednym słowem Rudzki wpadł na niezwykle dowcipny trik. Otóż będąc członkiem korespondentem Królewskiego Towarzystwa Medycznego, przesłał tam tekst odczytu. W tych zaś warunkach...
- Rozumiem. A te fotografie takie groźne?

Szef Sekcji Dalekiego Rozpoznania poruszył się ostro w fotelu.

- Groźne? Bba... Gdy zrzucono atomówkę na Hiroszimę, japońscy lekarze obfotografowywali ofiary na wszystkie strony. Robili to z piekielną dokładnością. Zaraz po zakończeniu wojny można było przy pewnych staraniach zdobyć te odbitki. I właśnie Rudzkiemu się udało. Są jak najbardziej oficjalne. Pieczęcie na odwrocie i wszystko co potrzeba dla udowodnienia autentyczności. Tak: to bardzo drastyczne zdjęcia.
- Chodzi o to, by je zniszczyć?
- Och nie... Zastosujemy znacznie bardziej subtelną metodę. Otrzyma pan specjalny preparat. Wystarczy parę kropel, by treść fotografii stała się niemożliwa do odcyfrowania. To nie powinno

wzbudzić żadnych podejrzeń. Zdarza się przecież... Wady emulsji, wpływ słonej wilgoci i tak dalej. Ostatecznie mają już po dziesięć lat...

Upił trochę wody ze stojącej na biurku szklanki.

- Ale odczyty to oczywiście jeszcze nie wszystko.

Agent nadstawił uszu. Oczekiwał czegoś w tym rodzaju. Dotychczasowa propozycja pomiędzy środkami a celem wydawała mu się nieprzekonująca. Ale szef miał zawsze zwyczaj pozostawiania najważniejszych rzeczy na sam koniec.

- Bo widzi pan - szef znowu sięgnął po szklanę, odstawił ją jednak z powrotem. - Profesorowie Jenkins i Harwey zapowiedzieli przyjazd na pierwszy odczyt. Nie chodzi rzecz jasna o samą obecność i hm... demonstrację jedności poglądów. Wspólna konferencja, ot w czym tkwi sedno zagadnienia. A oni... No, dla kogoż stanowi tajemnicę, jakich są zapatrywać na tę kwestię? Razem z Rudzkim gotowi są usmażyć pasztet, który... No, który będzie niełatwy do przełknięcia. Zarówno Jenkins, jak i Harwey mogą poświęcić tylko jeden dzień. Właśnie ten, w którym statek ma przybić do portu. To zostało dokładnie sprawdzone. Tak więc...

Agent pokiwał ze zrozumieniem głową.

Sprawa rzeczywiście była warta zachodu.

Teraz już nie miał żadnych wątpliwości. Już tylko ci dwaj stanowili groźny ładunek potencjalnego niebezpieczeństwa. Jeżeli zaś zrobić mieszankę z tym komunistycznym profesorem.

- Aha... jeszcze jedno - dorzucił po krótkim namyśle szef. - Chodzi o radio... Pan rozumie, że z wielu względów nie byłoby pożądane, by natychmiast po stwierdzeniu tych... hm... niedokładności mogli się porozumieć z lądem?

- Jasne. Będzie załatwione.

- Kredyt na tę sprawę wynosi...

Rozmowa przeszła na ściśle handlowe tory. Agent DOS 204 słuchał jednak słów szefa z niesłabnącym ani na chwilę zainteresowaniem.

Radiodepeszę dostarczono do gdyńskiej komórki mocno okólną drogą. Agent X-25 ze szczerym zadowoleniem przyjął wiadomość, że prowadzenie objął DOS 204. Nareszcie ktoś z głową. Bo dotychczas wszystko szło raczej na chybił trafił. Zaraz następna depesza dowiodła, że nadzieje nie były płonne. Wskazanie konkretnego człowieka z załogi, z którym można się będzie dogadać? „Wszelkie dane wskazują, że...h To już było jak najzupełniej konkretne posunięcie.

## X

Od chwili zarzucenia cum przez „Jednośch agent myszkował wytrwale po nadbrzeżu. Trwało to trochę przydługo i w końcu o mały włos nie przegapił potrzebnego mu człowieka. Bo skąd mógł przypuszczać, że zejdzie na ląd w cywilu i do tego będzie wyglądał tak elegancko?

Poszedł za nim w trop.

Tu już ani mowy o jakiejś knajpie. Poznać ptaka po locie. Teraz stało się jasne, że gość będzie słono kosztował. Ale wyznaczony w depeszy limit kwoty przeznaczonej na ten cel też był zdumiewająco wysoki. Musieli widocznie wiedzieć coś niecoś na jego temat.

W luksusowym lokalu zawarcie znajomości nie było tak łatwe. Jakoś wreszcie znalazł pretekst. Zaczął od rozmowy na temat niby to wspólnych znajomych, o których tyle tylko wiedział, co zdołał wyciągnąć od osób trzecich.

Ale i potem szło nadspodziewanie opornie. Parę kieliszków whisky najwyższego gatunku za zdrowie „przyjaciół naszych przyjaciółh. Jeszcze trochę oryginalnego brandy i znowu stop. A cały alkohol spływał po tamtym bez najmniejszego wrażenia. Jakby pił czystą wodę. Niewiele pomogła zamówiona ze ściśniętym sercem butelka White Horse.

Dyskretne napomknienia, rozpoczęte zresztą po nie wiadomo już którym toaście z rzędu, padały w próżnię. Nie rozumiał i już. Widocznie podejrzewał podstęp. Ale czyż funkcjonariusz śledczy stawiałby oryginalnego Białego Konia? I do tego całą butelkę?

X-25 próbował z jednej strony, próbował z drugiej. Wszystko bez najmniejszego rezultatu. Aż ręce opadały. W jaki właściwie sposób ma do tego człowieka trafić?

I tego dnia nic się nie udało, choć koszta wyniosły pokaźną kwotę. Agent zresztą coś niecoś w sprawozdaniu do niej dorzucił, jak to się zazwyczaj praktykowało w takich przypadkach.

Na drugi dzień poczęstunek wypadł jeszcze drożej i znów jak wyrzucony w błoto.

Trzeciego dnia X-25 postanowił zaryzykować na całego. Czas zresztą naglił. Przygotował sobie zawczasu drogę odwrotu na wypadek wsympy. Wybrał stolik tuż przy wejściu. W razie czego wystarczy jeden skok, by znaleźć się na zewnątrz. Przed podjazdem czekał samochód. Na sali tłumy. Orkiestra jeszcze bardziej potęgowała hałas. Własny głos trudno usłyszeć, a cóż dopiero... Przynsunął się do niego całkiem blisko i wyłożył dokumentnie całą sprawę. Tak i tak...

Tamten wybuchnął oburzeniem niczym wulkan. Proponować coś podobnego jemu? Czy ma o tym donieść, gdzie należy?

X-25 zdrętwiał. Ładne „wszelkie daneh.

Ale w momencie gdy już spręzał się do skoku, zdołał uławić spojrzenie myszkujące podejrzliwie dookoła. Odetchnął. Wszystko więc było w jak najlepszym porządku. Wskazana przez DOS 204 droga prowadziła do właściwego celu.

Odgrywaną przez rozmówcę komedią nie przejmował się już teraz ani odrobinę. Chodziło widocznie tylko o pozostawienie sobie furtki na wszelki wypadek.

Powtórzył propozycję, zahaczając z lekka o szczegóły. Chodzi o to, żeby... Wynagrodzenie wyniesie...

Okazało się jednak, że trafił na franta kutego na wszystkie cztery kopyta. Nie i nie. Zaszła potrzeba



kilkakrotnego podwyższenia sumy. W końcu dotarł do postawionego z góry limitu. Wtedy dopiero tamten zmiękł, widząc, że nic więcej nie da się wytargować.

- Dobrze. Ale żądam również prawa azylu. - O to nie było się co handryczyć. Ostatecznie uzyskanie go nie przedstawiało zbytnich trudności.

- I żeby cała historia nie trwała dłużej jak dwa miesiące.

Tu również doszli do porozumienia.

Transakcja została zawarta ku wielkiemu zadowoleniu obu stron.

## XI

Radiotelegrafista Kuc trzymał się dzielnie, dopóki to było możliwe. W końcu jednak bóle stały się nie do wytrzymania. Dopiero wtedy zastukał do ambulatorium.

Rolski spojrział na niego z niepokojem. Nie pierwszy rejs pływał na „Jedności” jako felczer i zdołał nieźle poznać jej załogę. W przypadku Kuca to dałby głowę, że nie przyszedł z jakąś błahostką.

- Co wam dolega?

Kuc dotknął prawej strony brzucha.

- Boli jak wszyscy diabli - mruknął przez zaciśnięte zęby.

Nie trzeba było długich badań, by postawić diagnozę. Zapalenie wyrostka robaczkowego. I to wcale nie w początkowym stadium.

Zmierzył mu temperaturę. Owszem, kilka kresek ponad trzydzieści siedem. Typowy objaw. Żeby tylko ropa się nie rozlała. Nietrudno o zapalenie otrzewnej.

- Dlaczegoście z tym tak długo łazili?

Kuc wzruszył ramionami.

- W czasie rejsu nie było możliwości. Trudno przecież, by kolega Mańczak pełnił dyżur przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. A potem myślałem, że samo przejdzie.

Rolski spojrział na niego spod oka.

Twardy człowiek - pomyślał z uznaniem.

Nie upłynęło nawet pół godziny, gdy Kuca zabierało z pokładu pogotowie. A po godzinie leżał już na stole operacyjnym. Nie było na co czekać.

Bartczak telefonował kilkakrotnie do szpitala. Wreszcie przyniósł pocieszającą wiadomość: „Wszystko w porządku. Ale żeby jeszcze kilka godzin dłużej, byłoby źle...”

Należało z miejsca poczynić starania o zastępstwo. Wyjście w rejs z jednym tylko radiotelegrafistą na pokładzie było nie do pomyślenia. Żaden człowiek nie wytrzyma czuwania w nieskończoność.

W biurze Żeglugi wynikiły pewne trudności.

- Przychodziecie w ostatniej chwili i żądacie na wczoraj...

Rozzłościł się.

- Czyż jestem jasnowidzem, by przewidywać z góry choroby załogi?

W końcu coś wyszperano.

To się nazywa mieć szczęście. Dostaniecie pierwszorzędnego fachowca. Przynajmniej tak wynika z arkuszy egzaminacyjnych.

Bartczak spojrział zdziwiony.

- Dopiero po szkole?

- Tak. Ale za to również i po uzupełniających kursach. Dziewczyna jak złoto.

Do tego wszystkiego jeszcze dziewczyna - Bartczak przełknął westchnienie. Nic jednak nie powiedział.

Wejście Leny Marskiej na pokład powitało dziesiątki ukradkowych spojrzeń. Marynarze byli zaintrygowani, usiłowali jednak nie okazywać tego zbyt natrętnie. Jeszcze się spieszy biedactwo, pierwszy rejs zawsze najtrudniejszy. Potem idzie jak chleb z masłem.

Nie spieszyła się. Odpowiedziała na ich spojrzenia tak ciepłym uśmiechem, że z miejsca podbiła wszystkich.

- Jakaś całkiem morowa dziopa - zawyrokował Konkiel.

- Ja ją już widziałem - oznajmił z tajemniczą miną Sorek. - Ona ma narzeczonego. Taki wysoki dryblas z wąsikami. Zdaje się, że inżynier.

Jeżeli liczył na sensację, zawiódł się srogo. Wiadomość, zresztą wymyślona na poczekaniu, nie wzbudziła żadnego oddźwięku. Marynarze uznali ją już za kolebę. Tylko Mańczak lekko się zaczerwienił, w chwili gdy ścisnął dłoń swej nowej koleżance. Ale u niego to nie było groźne. Miał narzeczoną, poza którą nie widział żadnej innej kobiety.

Kapitan Bartczak sam nie wiedział, czy jest zadowolony z nowego nabytku. Był bardzo zżyty z załogą i trudno było mu przetrwać wszelkie zmiany na pokładzie.

- Z oczu jej niby dobrze patrzy, to fakt - dzielił się wrażeniami z Igielnickim - i świadectwa, że trudno o lepsze. Wolałbym jednak, by była trochę starsza i mniej ładna.

- Na pewno nie byłaby zachwycona tym życzeniem.

Bartczak uśmiechnął się mimo woli.

- Nie, oczywiście, że nie. Ale jeżeli chodzi o pracę na statku... Pośród tylu mężczyzn.

- Niech pan nie zapomina o koleżance Onyżko. Nie darowałaby tego zapomnienia. Pływa z nami od tak długiego czasu i jakoś nie spowodowała żadnych komplikacji sercowych.

Kapitan roześmiał się głośno. Zestawienie obwisłych policzków bufetowej z historiami miłosnymi działało na wyobraźnię nieodpartą siłą komicznego kontrastu.

Spoważniał po chwili.

- Ale ta Mirska...

- Marska - poprawił Igielnicki. - Nie, kapitanie. Trzymam zakład, że pana obawy są płonne. Cóż szkodzi, że ładna? Przyjemniej przecież popatrzeć na ładną twarzyczkę niż na jakąś maskarę. Obserwowałem ją w chwili, gdy spojrzała po raz pierwszy na naszych chłopców. Ani krzty kokieterii. Moim zdaniem takie pierwsze spojrzenie najdobitniej zdradza charakter. Kolega, ot co. - W głosie jego, o dziwo, nie brzmiała ani jedna kpiąca nutka.

Bartczak pokiwał głową.

- Może i racja. Czas pokaże. A jutro... - przesunął ręką po włosach - oczekujemy następnego gościa.

- Bosman Kwieciński?

- Tak.

- No, temu chyba nie będzie już pan mógł nic zarzucić. Ani dziewczyna, ani piękny. A sądząc z opinii - chodząca doskonałość. I to pod każdym względem.

Bartczak westchnął.

- Tak... Ale na raz tyle nowych twarzy na statku...

## XII

Bosman Kwieciński spojrzał na nią w chwili, kiedy weszła do przedziału. Rzuciła się w oczy. Istny wamp z jakiegoś zagranicznego magazynu filmowego.

Włosy może i farbowane, ale cóż z tego? Lśniły połyskiem szczerego złota. Nie obciągała sukienki wysoko odsłaniającej strzeliste nogi. Nno... Zerknął raz i drugi. Oczywiście w sposób jak najbardziej nieznaczny. Popatrzeć ostatecznie nie grzech.

I nagle zrobiło mu się gorąco. To zaczepne spojrzenie padające spod niezwykle długich rzęs?

Bzdura. Miałaby właśnie dla niego?

Kobiety nie dawały bosmanowi Kwiecińskiemu nigdy powodów do przeceniania jego męskich walorów. Sam zresztą wiedział, jak wygląda. Nos, jakby kaczkę rozdeptały. Reszta odpowiednio dopasowana. Ani Herkules, ani specjalnie postawny. O elegancję też nie dbał. Aby tylko mundur był cały i czysty.

Ale gdy drugi i trzeci raz napotkał zachęcające lśnienie czarnych niby diamenty oczu, nie mógł już

dłużej żywić jakichkolwiek wątpliwości. Było skierowane wyraźnie pod jego adresem. Co u licha? Czyżby leciała na forse?

Ale i to nie pasowało. Ten zegarek na złotej bransoletce. Pierścionki. Nie znał się na biżuterii, wiedział jednak, że tuzin takich jak on mogłaby kupić i jeszcze sporo pozostałoby na opakowanie.

Czym prędzej odwrócił głowę z powrotem ku oknu. Usiłował obserwować przesuający się poza szybą krajobraz. Nie wytrzymał długo. Jakby jakaś przemożna siła kręciła mięśniami karku. Nie chciał, a przecież spojrzał jeszcze raz. I właśnie wtedy...

- Czy mógłby pan otworzyć okno?

Drgnął. Pieściwy, aksamitny głos docierał gdzieś do samej głębi. I ten omdlewający uśmiech.

Musiała powtórzyć prośbę, zanim się opamiętał.

- Ależ tak... ja... - zająknął się - oczywiście.

Szarpnął zatrzaskiem okiennym tak gwałtownie, jakby go zamierzał wyrwać z metalowej ramy.

- Dziękuję bardzo. Nie było już czym oddychać. Pan do Gdyni?

Nietaktem zresztą byłoby nie odpowiedzieć. Teraz nie dała mu już zamilknąć. Pytania płynęły wartkim strumieniem spomiędzy dziwnie kuszących warg.

Początkowo bąkał ni to, ni owo. Rozmowa szła jak po grudzie. Przypominała monolog z rzadka tylko przerywany nijakimi odpowiedziami. Powoli zaczęła go wciągać. Ośmielał się po trochu. Zanim dojechali, byli już w najlepszej komitywie. Nie bardzo potrafił sobie zdać sprawę, w jaki właściwie sposób to się mogło stać.

Już na peronie wsunęła mu rękę pod ramię. Uczyniła to tak naturalnie, jakby się znali od wielu lat.

W pierwszej chwili ogarnęło go gwałtowne zmieszanie. Nie wiedział, co z sobą począć. Pod rękę z tak piękną i elegancką kobietą? Wydawało mu się, że wszyscy patrzą wyłącznie na nich. Ale cóż miał zrobić? Nie mógł przecież jej odepchnąć.

- Taki piękny wieczór - w niskim głosie jakby nutki rozmarzenia - pan chyba nie musi tak zaraz na statek?

- Nnie - rozejrzał się niepewnie, konstatuując z przyjemnym zdziwieniem, że nikt nie zwraca na nich specjalnej uwagi - dopiero jutro rano...

Ucieszyła się.

- Jak to dobrze. Taką mam ochotę na małą przechadzkę. A pan?

- Ja? Tak... Jasne... Ale... - spojrzał bezradnie na swój kuferek.

Roześmiała się cicho.

- Przecież można oddać na przechowanie.

Powitał radę niczym jakieś epokowe odkrycie. Że też o tym nie pomyślał wcześniej. Rzeczywiście, jakie to proste. Bez wytartego kufierka poczuł się o wiele rażniej. Wypiął zwycięsko pierś. Mundur to mundur. Do tego jeszcze marynarski.

Długo wędrowali po ulicach. Potem wyszli nad morze.

- Lśni niczym koncha z perłowej masy... - Jeszcze coś mówiła wpatrzona w fale. To brzmiało niewątpliwie nader poetycznie. Nie bardzo jednak wsłuchiwał się w treść słów. Raczej w ich pieszczotliwe brzmienie. Wzdłuż boku czuł dotyk prężnego młodego ciała.

Przytulała się coraz mocniej. Nabrał odwagi i przygarnął do siebie. Poddała się miękko. Krew żywo pulsowała w jego żyłach.

- Może byśmy wstąpili gdzieś... na kawę? - zaproponował, śledząc niechętnym spojrzeniem snujących się wokół ludzi.

Śmiech jej zabrzmiał kusząco.

- Ooo... tak. Ale chciałabym... byś był moim gościem.

Przełknął ślinę. Po raz pierwszy odezwała się do niego tak poufale. Jeszcze mocniej przycisnął ją do siebie.

Dom stał na uboczu. Ażurowe sztachety. Coś w rodzaju ogródka. Niewielka parterowa willa. Tym lepiej, że tak... Przesunął wzrokiem po ciemnych oknach. Za lśniącymi matowo szybami szara mgła firanek. Jedna z nich jakby się poruszyła. Opanowało go nagle nieprzyjemne uczucie. Nie potrafił zresztą zdać sobie sprawy z jego przyczyny.

- Dużo osób tu mieszka?

Sięgnęła do torebki, wyjmując klucz.

- Czy nie wszystko jedno? Teraz wszyscy porozjeżdżali się na urlopy.

- Wszyscy? - sprzed oczu nie ustępowała wizja poruszonej od wewnątrz firanki. - Czy aby na pewno?

- Na pewno... kochany. Dzisiejszej nocy będę sama na gospodarstwie. Z tobą... - błysk lśniących oczu był pełen obietnic.

W skroniach zapulsowały szybkie młoteczki. Firanka? Pewno mu się tylko wydawało. Ona przecież musiała wiedzieć lepiej...

Wszedł za nią bezwolnie. Już nie myślał o niczym innym poza jednym...

Przedpokój zalegały gęste ciemności.

- Zaraz zapalę światło.

Z głuchym hukiem zapadło za nimi ciężkie skrzydło wejściowych drzwi.

Znowu nawrót tego dziwnie nieprzyjemnego uczucia. Jakby natrętny wzrok kogoś ukrytego w

nieprzeniknionym mroku.

Głupstwo - przesunął językiem po wargach. Histeria jak u panienki. Nagle drgnął, zaczynając nasłuchiwać. Gdzieś tuż obok zatrzeszczała tafla posadzki...

### XIII

Bosman Kwieciński opuścił samotną willę nadspodziewanie prędko. Wracając, wybierał jak najmniej ludne ulice. Przechodząc w pobliżu latarni, za każdym razem odwracał głowę. Za wszelką cenę pragnął uniknąć poznania przez kogoś znajomego. Wstydził się swej przygody?

Na dworcu nie przestawał strzelać na wszystkie strony ukradkowymi spojrzeniami.

Po odebraniu bagażu z przechowalni odzyskał nagle pewność siebie. Teraz już szedł zdecydowanym krokiem, godnie wyprostowany. Nie unikał światła ani ludzi. Tylko w oczach wciąż tliły się ogniki napiętej czujności. Ale to oczywiście było niemal niemożliwe do zauważenia. Podchodząc do Domu Marynarza, zaczął nawet pogwizdywać. Dopiero jarzące się w hallu światła pozwoliły zauważyć, jak niezmiernie senną miał minę.

Od razu udał się do wskazanego pokoju. Do świetlicy nawet nie zajrzał.

- Jutro skoro świt mam się stawić na statek - rzucił w formie wyjaśnienia.

Dyżurny portier pokiwał ze zrozumieniem głową.

## II. CIEŃ NA POKŁADZIE

### I

W tym porcie M/S „Jedność” miał bardzo krótki postój. Załoga nawet nie schodziła na ląd. Nie było na to czasu. W ciągu kilkunastu godzin należało zrobić całą masę rzeczy. Wyładować sporo drobnicy, uzupełnić zapasy paliwa. I co najbardziej uciążliwe - doprowadzić po tym wszystkim statek do jakiegoś takiego porządku. Resztę toalety odłożono na czas dalszego rejsu. Pogoda zapowiadała się piękna.

Bezpośrednio przed podniesieniem kotwicy, tuż przy nadbrzeżu, wybuchła głośna awantura. Trudno było zorientować się, o co właściwie chodzi. Rozwrzeszczany tłum przewalał się tam i z powrotem po kamiennych flizach. Buchnęło kilka strzałów. Kapitan Bartczak był zadowolony, że nie dawał przepustek na ląd. Ta awantura nie stanowiła czegoś niezwykłego.

Płynęli już przeszło dwie godziny, gdy Gwóźdź docierający ze szwabką do dziobowej windy kotwicznej usłyszał spoza niej cichy jęk.

Zajrzał i aż odskoczył z przerażenia. Tuż u żelaznej podstawy windy turlał się bezwładnie po deskach pokładu człowiek, znacząc swą drogę plamami krwi.

Człowiek ten był obcy. I co dziwniejsza - miał czarną skórę.

Zameldował natychmiast dyżurnemu bosmanowi. Wachtę akurat pełnił Kwieciński.

Postawił oczy w słup.

- Zabity Murzyn?

- Ranny - sprostował Gwóźdź. - Przecież słyszałem, jak jęczał.

Kapitan Bartczak okazał bodajże nie mniejsze zdumienie.

- Co znowu za historia?

Ruszył szybko w kierunku dziobu, prowadzony przez Gwoźdź. Zgromadziło się już tam sporo ludzi. Wieść o tajemniczym odkryciu zdołała obiec cały statek. Przy czarnym krzątał się Rolski.

- No, co z nim? - zapytał, z trudem powściągając niecierpliwość, kapitan.

Rolski nie przestawał manipulować przy nieruchomej postaci.

- Jest nieprzytomny. Ale żyje... - powiedział wreszcie.

- Przenieście go do ambulatorium.

Wyciągnęły się dziesiątki rąk. Rolski musiał wyznaczyć pomocników. Pomiędzy z zawiedzionymi minami powrócili do sprzątanego pokładu.

- Skąd on się tu wziął? - zapytał Bartczak wachtowych.

Nikt jednak nie potrafił wyjaśnić. Milczeli, wyraźnie zakłopotani.

Zmarszczył brwi.

- Taka to i wachta. Każdy, kto chce, wchodzi na statek... I żeby go choć który dojrzał.

Znalezienie nieoczekiwanego pasażera nasuwało szereg niepokojących pytań. Kto to taki? Dlaczego wszedł na statek? A przede wszystkim gdzie i w jaki sposób został doprowadzony do tego stanu? A może ktoś go podrzucił w jakimś tajemniczym celu?

Bartczak tarł czoło. Jeżeli umrze, nie odzyskawszy przytomności? To mogłoby zagrozić trudnymi do przewidzenia komplikacjami. Ruszył w kierunku ambulatorium. W drzwiach zetknął się z doktorem Rudzkiem, którego ktoś zdążył zawiadomić.

Rudzki długo obmacywał pokrwawione ciało.

- Nie - potrząsnął wreszcie głową w odpowiedzi na pytające spojrzenie kapitana - w rezultacie nic specjalnie poważnego. Tylko mocno poturbowany.

- A rany? - Bartczak patrzył na ciemne plamy obficie pstrzące biało lakierowany blat ambulatoryjnego stołu.

- Głupstwo. Ze dwa małe szwy, na resztę wystarczą plastry, i krwi trochę stracił, ale przy jego budowie...

Rozciągnięta na stole opatrunkowym postać rzeczywiście przypominała odlaną z brązu statwę Herkulesa.

- Najdalej za dwa dni będzie już spacerował o własnych siłach.

- A kiedy odzyska przytomność? - zapytał Bartczak.

Zbadanie szczegółów dotyczących tajemniczego przybysza było przecież niezmiernie ważne.

- Może jeszcze dziś.

Odzyskał ją rzeczywiście po południu.

Z ciemnobrązowych oczu wyzierało przerażenie, gdy patrzył na poważną twarz kapitana.

- Jestem... Kariauzari - ciemne palce błędziły niespokojnie po kocu. Napoleon... Juliusz Cezar... - tłumaczył łamaną angielszczyzną - doker.

- W jaki sposób znalazłeś się na naszym statku?

- Tto... Bo oni... Jeden taki... Brown złapał... taką białą Mary. Ale to jeszcze dziewczynka... Płakała... On ją chciał... Ona wrzeszczy, wzywa pomocy... Tylko ja jeden w pobliżu... Mówię: „Puść, to przecież dziecko... jakże można...h. On nie słucha. „Poszedł precz, asfalt... Nie twoja sprawa.h Ja wiem, że asfalt... Ale tak płakała... Więc tylko za ramię, żeby odciągnąć. Uciekaj, mała. A on, ten Brown, na mnie. Z nożem... A to taki typ, że już niejednego... Wtedy pięścią go w szczękę... Upadł. Wiem, że niedobrze, bo biały. Ale...

- Hmm - Bartczak przetrawiał z namysłem każde słowo opowieści - i co dalej?

- Ona, ta mała, uciekła... Przybiegli inni, bo krzyki... I wtedy Brown, że to nie on, ale ja tą dziewczynkę... Gdzie jej teraz szukać? Żeby sprowadzili policjantów, to może by odnaleźli. Ale oni nie... Zaraz dużo... bardzo dużo białych. „Lynch! Lynch!h Wiem, co to lynch. Więc uciekłem. Bo ich było całe mnóstwo, a ja sam jeden. Cóż... byle jak najdalej... A oni za mną. Biją wszyscy. Pięści... laski... Jeden nawet strzelał... Gwizdało tuż koło ucha. Ale jakoś nie trafił... Wszędzie byli... z przodu, z tyłu... wszędzie. Gdzie uciec? - westchnął bezradnie. - A tu woda. W wodzie nikogo. Skoczyłem... Wszystko jedno czy na dno, czy pod pałkami... Byłem kiedyś pływakiem. Dobrym pływakiem... Woda to woda... Jeszcze plusnęła kulka... A potem łańcuch... Myślałem, że umieram. Ale w górę po tym łańcuchu... I dalej było już całkiem ciemno... - umilkł wyczerpany. Na czarnym czole lśniły drobne kropelki potu.

We wzroku Rolskiego, który z uwagą wkraplał jakąś miksturę do kieliszka, Bartczak odczytał wyraźny wyrzut.

Samemu zresztą było mu przykro. Tak męczyć chorego człowieka? No cóż, obowiązek.

- Odpoczywajcie tymczasem - uśmiechnął się niemal przepraszająco - potem zobaczymy.

Długo jednak pozostał osad niesmaku. Może trzeba było poczekać z tym badaniem, aż nabierze trochę więcej sił? W końcu machnął ręką.



- Co tam. Stało się.

Potem odbył naradę z oficerami. Jakkolwiek było, sytuacja całkiem niezwykła. Bo żeby zwyczajny blind, od razu wiadomo co robić. Ale taki?

Twarz Kaniewskiego przypominała wyciśniętą cytrynę. Bartczak obserwował go spod oka. Co tego człowieka tak zżera?

- Murzyn? - masował w zamyśleniu końcami palców wierzch dłoni. - Ba... Któż tak potrafi koloryzować jak właśnie oni? Może coś ukradł albo brał udział w jakimś napadzie? I ratując się przed pościgiem...

Potem zajął się swoją fajką. Pełen znudzenia grymas warg wskazywał, że uważa sprawę za wyczerpaną. I że przestała go zupełnie obchodzić.

Młodszy oficer nawigacyjny, Nowacki, siedział sztywno wyprostowany. Odbywał dopiero pierwszy rejs po promocji i pilnie uważał, by nie popełnić czegoś niewłaściwego.

- Paragraf sto dwadzieścia pięć, punkt A, ustęp drugi regulaminu morskiego - recytował jak na egzaminie - stanowi, w razie odkrycia na statku nielegalnego pasażera...

Długo jeszcze wywodził namaszczonym głosem.

Bartczak spojrzał na niego z ukosa. Cóż. On sam, gdy odbywał swoje pierwsze rejsy, też miał głowę nabitą wszelkiego rodzaju przepisami. Nie przerywał. Mógłby go urazić. Taki młodziak jest specjalnie przewrażliwiony na punkcie swojej godności. Monotonny zresztą szmer słów nie przeszkadzał zastanawiać się nad sytuacją.

Po naradzie nadał radiogram, precyzując zdecydowanie swoje stanowisko. Wierzył w prawdziwość opowieści nieoczekiwanego pasażera. Jeszcze przed wieczorem otrzymał odpowiedź. Akceptowano całkowicie jego propozycję. Kariauzari miał pozostać, do chwili zawinięcia w docelowym porcie, na wolnej stopie jako pasażer.

Bartczak sam zaniósł tę wiadomość do ambulatorium. Uważał to za pewnego rodzaju zadośćuczynienie.

Rolski powitał go niemal groźnym spojrzeniem. Czyż w tych warunkach leczenie może dać jakiegokolwiek rezultaty?

Kariauzari długo nie mógł zrozumieć sensu wiadomości, chociaż Bartczak powtórzył ją kilkakrotnie - cyzelując ze specjalną wyrazistością poszczególne słowa. Gdy wreszcie zrozumiał, ogarnęło go prawdziwe przerażenie. Było widoczne, że podejrzewa jakiś specjalnie wyrefinowany podstęp.

- Jestem niewinny - powtarzał, bijąc się w szeroką pierś, aż odpowiadało głuche dudnienie - całkiem niewinny...

## II

Z obawą wstał wreszcie z koi. Z obawą opuszczał ambulatorium. Pełen najgorszych przeczuć

wyszedł na pokład. Trwożnie rozglądał się na wszystkie strony. I chociaż nie działo się nic strasznego, przeciwnie, wszyscy odnosili się do niego z życzliwością, nieufność go nie opuszczała. Gdy w czasie pierwszego pobytu w mesie postawiono przed nim kopiasto naładowany talerz, ujął go oburącz i wyszedł na pokład, by spożyć w jakimś odległym kąciku, jak przystało czarnemu.

Nie pozwolono. Sprowadzono z powrotem. Posadzono przy wspólnym stole. Poklepywano przyjacielsko po ramionach.

- Czego się wygłupiasz? Jedz jak człowiek!

Chociaż słowa zostały wypowiedziane w dość osobliwej angielszczyźnie - zrozumiał.

Jakżeby śmiał się sprzeciwić? Ich było tylu na własnym statku. A on sam jeden. Nietrudno wylecieć za burtę.

Siedział jak na szpilkach, czekając, kiedy się zacznie.

Był przekonany, że sprowadzili go jedynie na pośmiewisko. Lada chwila zwałą się hurmem, sponiewierają, wykopsają jak psa. Jakże... Murzyn z nędznej wioszczyzny zagubionej w głębi dżungli Czarnego Łądu przy jednym stole z białymi? Tak się przecież nie godzi.

Jadł machinalnie. Głód przewyciężył trwożę. Choroba jeszcze bardziej wzmogła apetyt, którego od tak dawna nie miał okazji zaspokoić do syta. Bez przerwy podnosił łyżkę. Wszystko i tak zapisane. Będzie, co ma być. Pokazało się dno talerza.

Nałożyli nową porcję. Pochłonał i ją. Ale gdy po raz trzeci czyjeś ręce sięgnęły po talerz, przytrzymał go oburącz, patrząc błagalnie. Więcej już nie był w stanie, ani najmniejszego kęska... Nie zaszło nic z tego, czego się obawiał.

Siedział wraz ze wszystkimi do końca posiłku. Wyszedł z nimi na pokład. Częstowano papierosami. Ktoś podsunął tytoń. Ktoś inny ofiarował całkiem jeszcze porządną fajkę.

- Bierz, bracie, bez krępacji...

Wciąż jeszcze nie mógł wyzbyć się nieufności. Pewno tylko dlatego postępują w ten sposób, by potem tym dotkliwiej go pognębić.

Kariauzari był jeszcze młody. Ale serce uciskał ciężar obficie nawarstwionych pokładów krzywdy. Któż by potrafił zliczyć, z ilu bolesnych chwil się składały? Sam by nie potrafił... Wiedział jedynie, że doznał ich od opuszczenia rodzinnej wioski niezliczone mnóstwo. Właśnie od ludzi o białej skórze.

Zaprowadzono go do świetlicy. Poszedł bezwolnie. Nastawiono muzykę. Słuchał z przymkniętymi oczyma. Była inna niż ta, do której się przyzwyczaił. A przecież i jej dźwięki przyspieszały bieg krwi w żyłach.

Znowu wspólny posiłek z białymi marynarzami. Znowu przyjazne twarze.

Długo w noc stał na rufie wsparty o poręcz nadburcia.

Wodził zamyślonym wzrokiem po lśniącej powierzchni lekko rozkołysanego morza, przetrawiając chwile przeżyte od momentu wstąpienia na pokład tego dziwnego statku.

Życie nauczyło go kilku prawd. Tak długo twarde pięści wbijały mu te prawdy w mózgowicę, aż w końcu zaczął je uważać za niewzruszalne dogmaty. Na naczelnym miejscu stała zasada: istota kolorowa jest czymś nieskończenie niższym od człowieka białego. A Murzyn stoi najniżej w hierarchii wszystkich kolorowych gatunków.

Spełnianie najpaskudniejszych posług przy białym powinien uważać za zaszczyt. Wykonywanie za niego najcięższych prac za dobrodziejstwo. Nie wolno wchodzić w drogę białemu. Cóż... raz przecież spróbował i co z tego wynikło? Dotychczas nie potrafi pojąć, w jaki sposób zdołał ująć z życiem.

Spoufalenie się z białymi grozi w każdej chwili kopniakiem. Albo jeszcze czymś gorszym. Wszystko, co biały robi z Murzynem, jest słuszne i sprawiedliwe. Ma prawo go zelżyć bez powodu, ma prawo splunąć pod stopy.

A tu...

Zupełnie jakby znalazł się nagle w jakimś innym, nieprawdopodobnym świecie.

Też przecież biali. Ale jakże odmienni. Sadzali przy wspólnym stole, dzielili się tytoniem, okazywali przyjaźń. Traktowali jak kogoś równego? Biali - czarnego? Jakże mógł to objąć rozum ludzki? Teraz już wiedział: ani podstęp, ani pułapka. Bo słowa mogą zmylić, przyjazne gesty wprowadzić w błąd, wyraz twarzy uspić czujność. Ale oczy? Z nich wзира wszystko, co jest najbardziej skryte w człowieku. Niezależnie od koloru jego skóry. A oczy marynarzy tego statku mówiły prawdę. Był tego pewien.

Nazajutrz wyskoczył ze swej koi o świcie, chociaż go nikt nie budził. Wciągnął w mig ofiarowane przez marynarzy odzienie.

- Dajcie mi jakąś pracę - wyprostował się służbiście przed wachtowym bosmanem Bociańskim.

Bociański potarł z zakłopotaniem podbródek.

- Hm... jakże to? Przecież jesteście na prawach pasażera...

- Nie mogę siedzieć z założonymi rękoma. Dajcie pracę - w głosie brzmiały błagalne nutki.

Bosman zameldował kapitanowi.

Bartczak przede wszystkim zasięgnął opinii doktora Rudzkiego.

- Czy mu to aby nie zaszkodzi?

- Nie. Pewna gimnastyka mięśni w takich wypadkach byłaby nawet wskazana.

Zawołał bosmana.

- Skoro tak bardzo się napiera. Tylko za bardzo nim nie orzcie.

Kariauzari jednak nie dawał się zbyć byle czym.

- Nie jestem dzieckiem. Robota też musi być jak dla mężczyzny - sprężył ramiona, aż pod upstrzoną plastrami skórą wystąpiły twarde pagórki mięśni.

Włączenie się Kariauzariego do wspólnej pracy wzbudziło ogólny aplauz.

- To bardzo przyzwoity chłop - skostatował Sorek. - Jo - pokiwał głową Konkiel - równy. Chociaż czarny. Sielawa spojrział na niego spod oka.

- Myślisz, że jakbyś trafił mordą w wiadro zielonej farby, to charakter też by ci zzieleniał?

Zawstydzony zamrugął powiekami.

- A cóż ja? Przecie nic... Czarny to czarny. Ani mi nawet w pomysłunku, żeby jakieś takie...

Potem odnosił się do Kariauzariego jeszcze bardziej serdecznie niż pozostali.

A ramiona Kariauzariego z każdą godziną pobytu na M/S „Jedność” prostowały się coraz bardziej. Odżywał. Zaczynał rozumieć, że patrzeć w oczy białego człowieka nie zawsze stanowi niewybaczalną obelgę. Tu uważano to za coś całkiem naturalnego.

- Opowiedzcie o swojej ojczyźnie - poprosił wieczorem, gdy odpoczywano po wachcie. Chciał wiedzieć jak najwięcej o kraju, gdzie żyją biali, tak bardzo odmienni od tych, z którymi miał dotychczas do czynienia.

Opowiadano wspólnymi siłami. Często brakowało słów. Gesty nie wszystko mogły wyjaśnić. Ściągnięto oficera kulturalno-oświatowego, Sikorę, który władał biegle angielskim.

Umyślnie dotąd nie przychodził, nie chcąc, by uważali, że się narzuca. Nawet teraz ograniczał się do tłumaczenia słów marynarzy. Zabierał głos tylko wtedy, gdy nie potrafili odpowiedzieć na jakieś zbyt już szczegółowe pytanie Kariauzariego. Uważał, że tak właśnie będzie lepiej.

Za to potem przyniósł albumy pełne rycin. Rozłożył mapę.

- O tu - zakreślał palcem.

Dla porównania pokazał to samo na globusie. Kariauzari wstrzymał oddech.

- Czy to możliwe? - wodził niepewnym wzrokiem dookoła.

- Tak - kiwali potwierdzająco głowami - właśnie tak.

W głowie powstał trudny do rozwikłania mętlik. Nie spał całą noc, przewracając się na swej koi. Więc niejeden kraj, ale całe dziesiątki? Bez mała połowa kuli ziemskiej, gdzie uważają każdego człowieka za równie wartościowego, niezależnie od koloru jego skóry?

Coś kiedyś obilo mu się przypadkowo o uszy. Ale to było mgliste, nieokreślone i trudne do uwierzenia. A tu... Wciąż jeszcze nie rozumiał. Ale nie mógł już nie wierzyć.

Ostry trzel gwizdków rozdarł ciszę nocną. Alarm ogniowy! Rozbłyły światła. Deski zadrżały pod szybkimi uderzeniami licznych stóp.

- Wszystkie wachty na pokład!

Kapitan Bartczak wypadł ze swej kabiny jak z procy. W biegu dopinał guziki munduru. Pożar na statku?

W okolicy dziobu migotały czerwono-żółte płomienie, odcinając się jaskrawym kontrastem od jeszcze bardziej zagęszczonego w tym miejscu mroku.

Ktoś przebiegł z gaśnicą. Kilku przeciągało brezentowy wąż hydrantu.

W pierwszej chwili trudno się było zorientować, czy ogień powstał na pokładzie, czy też wytrysnął spod niego. To ostatnie byłoby najgorsze.

Bartczak był już na miejscu. Stał tak blisko, że odchylony lekkim powiewem płomień osmaliłby mu twarz, gdyby nie zdążył odskoczyć w ostatniej chwili.

Ale i tak palący żar liznął go boleśnie po skórze. Wciągnąwszy nozdrzami powietrze, poczuł charakterystyczny odór benzyny.

- Nie gasić wodą! - krzyknął, powstrzymując gwałtownym gestem Gwoźdźcia, który już zamierzał otworzyć zawór hydrantu. - Tylko gaśnice i piasek.

Natężenie płomienia jakby zaczęło słabnąć. Z suchym szelestem posypał się piasek. Sycząc, strzelił strumień płynu z wylotu gaśnicy. Ogień przygasał coraz bardziej.

Teraz dopiero było widać, że zapaliło się na pokładzie, a nie wewnątrz kadłuba.

Bartczak odetchnął z ulgą.

Z mroku leżącego poza zasięgiem światła wychynął Kaniewski.

- Głupstwo - mruknął lekceważąco. - Trochę rozlanego przypadkiem mazutu i niedopałek papierosa.

Twarz jak zawsze nieruchoma. Na wpół opuszczone powieki nadawały jej senny wyraz.

Bartczak spojrział na niego z lekkim zdziwieniem. Skąd się właściwie wziął? Jakoś nie zauważył, by brał jakikolwiek udział w akcji ratowniczej. Pomiął jednak tę kwestię milczeniem. Może jeszcze przed nim zdążył dopaść ognia i stwierdziwszy jego niezbyt groźny charakter, pobiegł wydać odpowiednie zarządzenia?

Przypuszczenie, że tak sumienny oficer mógłby nie znaleźć się na posterunku natychmiast po usłyszeniu sygnału ogniowego, odrzucił z miejsca. Uważał je za nedorzeczne.

Skutki ognia rzeczywiście okazały się znikome. Na przestrzeni kilku metrów kwadratowych złuszczona bądź osmalona farba. Powierzchnia kilku desek pokładu lekko zwęglona. Nie do tego jednak stopnia, by trzeba je było wymieniać. Wystarczy zheblować i pokryć na nowo farbą. W rezultacie wszystko razem to kwestia paru godzin nadprogramowej roboty.

Kapitan ruszył ku wyżce. Igielnicki chyba wyłazi ze skóry z ciekawości. Na pewno ani na sekundę nie oderwał wzroku od przyrządów nawigacyjnych. Zachowałby się zresztą niewątpliwie tak samo, gdyby pokład płonął mu pod nogami.

Rzeczywiście trwał nieruchomo z ręką na dźwigni telegrafu maszynowego. Mina jak zawsze ni to znudzona, ni to kpiąca.

- I cóż - popatrzał na kapitana lekko zmrużonymi oczyma - fajerwerk skończony?

- Tak. To nie było groźne. Szkody niewarte wspomnienia.

- Proszę - pokiwał głową. - A w pierwszym momencie wyglądało wprost imponująco. Rozmyślałem już o testamencie i o solidnej butelce, w której można by go umieścić. A na intencję jakiego świętego zapłonął właściwie ten znicz? Bo do Zaduszek przecież jeszcze daleko? A może według tutejszego kalendarza...

Bartczak opowiedział wszystko, co mu było na ten temat wiadome. W końcu przytoczył przypuszczenia wysunięte przez Kaniewskiego.

- To bardzo prawdopodobne - zakończył.

- Prawdopodobne? - przeciągnął Igielnicki, zapalając powolnymi ruchami papierosa. - Może i tak. Mazut posiada tę nieprzyjemną właściwość, że przy większym przechyle potrafi sprawnie wypryskiwać z wiadra. A niezbyt starannie przyduszony niedopałek... Jedno z drugim... - wypuścił ustami kłęb dymu - wszystko się zgadza jak w aptece. Tylko...

- Tylko co?

Wzruszył niedbale ramionami.

- Czyja wiem... Tylko skąd właściwie mazut na dziobie?

Bartczak spoważniał. Uwaga trafiła w sedno. Jakoś dotychczas nie wpadło mu to na myśl. Zastanawiał się przez chwilę.

- A co pan przypuszcza? - spojrzał na niego bystro.

- Przypuszczać? Nic nie przypuszczam. Tylko gdybym miał do czynienia z czymś tak niezbyt wonnym jak mazut, nie udawałbym się z nim na nadprogramowe spaceru.

#### IV

To właśnie Foryś został postawiony na mitshipie, by pilnować hydrantu. Jego funkcja miała się rozpocząć dopiero z chwilą puszczania wody. Nie było jednak takiego rozkazu. Przeciwnie, w pewnym momencie dobiegł z dziobu grzmiący głos: „Nie gasić wodą. Wobec tego nie miał tymczasem nic do roboty. Ale skoro postawiono go w tym miejscu, to stał. Nie wolno schodzić z posterunku. Szczególnie w czasie trwania alarmu ogniowego. Cóż z tego, że z beczynnymi założonymi rękoma? W każdej chwili rozkaz mógł ulec zmianie. Ładny powstałby bałagan, gdyby w takiej sytuacji każdy spacerował, gdzie mu akurat przyjdzie ochota.

Rozglądał się na wszystkie strony. Co z tym ogniem? Czy aby nie wyłazi na zewnątrz jeszcze w jakimś innym miejscu? Bo jeżeli wybuchł w ładowni...

Rozglądał się dalej. W pewnym momencie wydało mu się, że za ciemnymi szybami bulajów kapitańskiej kabiny jakby coś mignęło. Czyżby kapitan nie usłyszał alarmu? To wyglądało mało prawdopodobnie, nie było jednak niemożliwe. W tym piekielnym upale człowiek długo nie potrafi zasnąć. Gdy już jednak sklejały się powieki, zamieniał się w kamień. Nie tak łatwo było się ocknąć. Czyż nie doświadczał tego na samym sobie? Do tego stary musiał być porządnie zmachany. Czuwał przez kilka nocy pod rząd. Więc...

Wahał się tylko krótką chwilę. Ostatecznie te parę kroków. Jeśli padnie rozkaz puszczenia wody, w sekundę będzie z powrotem. Kapitanowi mogłoby być bardzo przykro.

Przystanął pod drzwiami, nadsłuchując. Z wnętrza dobiegał jakiś szelest. Jakby kroki albo coś w tym rodzaju.

Zapukał lekko. Nikt się nie odezwał. Zapukał głośniejsze. Nic. Wreszcie zdecydował się nacisnąć klamkę. Może kapitanowi zrobiło się słabo? Nie trudno o to w takiej duchocie.

Drzwi niespodziewanie ustąpiły. Zajrzał. W kabinie było pusto. Pokręcił głową. To dziwne. Kapitan, wychodząc ze swej kabiny, zawsze zamykał ją na klucz.

Stał jeszcze chwilę, wodząc nieufnym okiem dookoła. Nie zauważył nic podejrzanego.

A te szmery? Musiał się widocznie przesłyszeć. Od dziobu dobiegał taki hałas, że...

Zamknął drzwi, powracając do hydrantu.

Blask płomienia zaczął przygasać. Tak jakby akcja ratownicza dobiegała końca. Mało już było prawdopodobne, by kazano otworzyć wodę. Zaczął spacerować tam i z powrotem. Nudno sterczeć w jednym miejscu. Nagle drgnął, odwracając się ostro na pięcie. Czyjeś ostrożne kroki? Przed oczyma mignął niewyraźny cień przemykający chyłkiem od spardecku. Rozpłynął się zresztą natychmiast poza zasięgiem światła wiszącej w pobliżu lampy. Splunął, rozcierając zapobiegliwie ślinę podeszwą. Niedobrze byłoby, gdyby wachtowy bosman zauważył.

„Weź się, chłopie, w garść. Fantazja godna Sorka. Cień? Znowu zamierzał splunąć, powstrzymał się jednak w ostatniej chwili. Wierutna bzdura. Bo to mało ludzi biega po pokładzie.

Po odwołaniu alarmu nie wspomniał nikomu o cieniu ani słowa.

Jeszcze by wyśmieli.

## V

Bartczak próbował przekręcić klucz. Nie zdołał jednak. Co u licha? W drugą stronę przekręcał się gładko, przy wtórze trzasku zaskakującej sprężyny. Przekręcił z powrotem. Nacisnął klamkę. Niezamknięte?

Potarł czoło. Jakże to możliwe, żeby zapomniał? Nigdy dotychczas mu się to nie zdarzyło. I klucz

wziął ze sobą... Dałby głowę, że przekręcił go jak zawsze dwukrotnie w zamku. Alarm alarmem, mundur dopinał dopiero w drodze, ale drzwi?

Zapalił światło, podbiegając ku pancерnej kasy. Otworzył ją pośpiesznie. Z niepokojem sprawdzał zawartość kopert. Przejrzał każdą z odbitek oddzielnie. Nie. Wszystko w porządku, racja, pieczętki na odwrocie...

Odetchnął z ulgą. Musiał widocznie w pośpiechu zapomnieć o drzwiach.

Opadł ociężale na fotel. To niedobrze - zerkał w kierunku kasy z poczuciem winy - to bardzo niedobrze. Chodziło o zbyt poważne sprawy, by mogło mieć miejsce jakiegokolwiek niedopatrzenie. Szczególnie ze strony kapitana.

Widocznie ten upał... Nalał wody do szklanki i pił drobnymi łykami. Woda w karafce była ciepła i mdła. Nie chciało mu się jednak podchodzić do kranu. Odczuwał nieludzkie wprost zmęczenie.

Więc cóż z tego - opróżnił zawartość szklanki do ostatniej kropli - czyż zmęczenie mogło tłumaczyć go w jakimkolwiek stopniu? Dźwignął się z wysiłkiem z fotela i wyszedł na pokład. I tak by nie zasnął. Tym razem dwukrotnie sprawdził, czy drzwi zostały należycie zamknięte.

## VI

Maszynista Frączek wyskoczył na górę, opuszczając swój posterunek. Siedzieć w odciętym od świata stalowym pudle, gdy statek płonie?

Nieobecność jego zresztą trwała - niewartą wspomnienia - chwilę. Cóż przez ten czas mogło się stać? Silniki wyregulowane jak sprężyny precyzyjnego chronometru... Paliwo, smary, wszystko na ostatni guzik. Ten ktoś, kto uskoczył na jego widok przy wejściu na żelazną schodnię?

Uskoczył, nie uskoczył. W czasie alarmu ogniowego zawsze powstaje zamieszanie i bieganina.

Sprawdził zresztą po powrocie wszystko jak najdokładniej.

No, żeby akurat w największym porządku, trudno powiedzieć.

Choćby cienka rurka doprowadzająca oliwę. Pogięta jak jasny gwint. Musiał widocznie, w chwili gdy usłyszał alarm, zaczepić o nią uniwersalnym uchwytem, który akurat trzymał w rękę. Bo to człowiek ma głowę w takim momencie uważać na to, co robi? Powinien, rzecz jasna, uważać. Ale...

Zresztą głupstwo. Wymiana na nową trwała tak krótko, że silnik nawet nie zdążył sapnąć.

A i sama oliwa, gdy po nią sięgnął... Te delikatne drobinki pływające po powierzchni wcale mu się nie podobały. Wyłowił palcem, roztarł, obejrzał na wszystkie strony.

Szmergiel? Tak, nie można było mieć jakichkolwiek wątpliwości.

Czyżby strzepnął gałgan albo i wprost potracił pudełko? Może wtedy gdy wybiegał, może przedtem, diabli wiedzą. Gdy się zostawia naczynie z oliwą otwarte... Potrząsnął głową. W rezultacie jednak dobrze się stało, że wybiegł. Czyżby inaczej przyszło mu do głowy sprawdzać wszystko w maszynowni? A gdyby nie zauważył... Aż mu się zimno zrobiło. Jak nic, zatarcie silnika... Ładna



wyszłaby chryja. Nie obesłoby się bez unieruchomienia maszyn na parę godzin.

A może to ten, którego spotkał, wracając?

Po krótkim namyśle uznał podejrzenie za niedorzeczne. Kto by się poważył na sabotaż? Wszystko przecież mogło być dziełem przypadku. Jeśli się nie uważa, jak należy...

Nie zameldował. Ostatecznie nic się nie stało. A zejście z posterunku, choćby na taką krótką chwilę, groziło poważnymi konsekwencjami..

## VII

Mańczak klął siarczyście. Trzaski, gwizdy, diabli wiedzą co takiego. Aż w uszach wierciło. Kręcił gałkami regulatorów, sprawdził słuchawki. Nic nie pomagało. W końcu wpadło mu na myśl zajrzeć do środka. Zgiął się w kabłąk, szperając w odbiorniku. Lampy? Prztykał delikatnie w każdą po kolei. Nadsłuchiwał z uwagą oddźwięku. W najzupełniejszym porządku. Więc co w takim razie, u licha?

Znowu nałożył słuchawki. Może zakłócenia pochodziły z zewnątrz? Nie. W tym wypadku zniekształcenie odbioru wyglądałoby zupełnie inaczej.

Powrócił do badania. Z powodu ciasnoty kabiny przeprowadzenie dokładniejszych oględzin bynajmniej nie stanowiło łatwego zadania.

Wreszcie znalazł.

Uważnie przyglądał się ledwo dostrzegalnemu uszkodzeniu izolacji. I styki jakby nieco rozluźnione? Dotknął końcem śrubokręta. Zaiskrzyło się. No, oczywiście.

Ale z jakiego powodu to wszystko?

Wynik dalszych poszukiwań dostarczył odpowiedzi również i na to pytanie. Kawałek żelaza o ostrych krawędziach stanowczo nie należał do aparatury. Cóż dziwnego, że pozdzierał izolację, nadwerężając połączenia? Przy tej chwiejbie... Raczej należało uznać za dziwne, że nie spowodował zwarcia obwodów i że wszystkie lampy nie wysiadły co do jednej.

Naprawa trwała zaledwie parę minut. Jeszcze trochę dostroił i odbiór był znów bez zarzutu.

Skąd się jednak to żelazo tam wzięło?

Zapalił papierosa.

Głupstwo? Pewno, że tak. Gdyby jednak nie zauważył w porę?

Marska... Jasne, że ona... Coś pewno piszczalo w słuchawkach i zabrała się do dłubaniny. Dobrze jeszcze, że nie zostawiła we wnętrzu obcęgów albo czegoś w tym rodzaju. U kobiety nie kupić... Gdyby nie moda trwałej ondulacji, gmerałyby pewno w delikatnej aparaturze rurkami do kręcenia włosów.

No, pogada z nią odpowiednio, przekazując jej dyżur. Niech sobie nie wyobraża, że praca

radiotelegrafisty na jednostce dalekomorskiej to ścibolenie swetra na drutach.

Ładna buzia to jeszcze nie wszystko.

Rozmowa jednak miała zupełnie odmienny przebieg niż sobie zaplanował.

W pierwszej chwili jej policzki spłonęły krwistym rumieńcem.

- Ja? - była wyraźnie zmieszana.

Ale za to potem. Oczy zaczęły ciskać błyskawice. Patrzyła na niego w taki sposób, że coraz bardziej tracił pewność siebie.

- Swetry na drutach? - głos lodowaciał, tnąc niczym ostre kryształki gradu. - Bardzo żałuję, że nie potrafię. To bardzo pożyteczna umiejętność. I podobno wspaniale wpływa na nerwy. Niektórym bardzo by się przydała. - Wzrok jej był tak wymowny, że nie pozostawiał miejsca na żadne wątpliwości, kogo mianowicie miała na myśli.

Teraz on z kolei poczerwieniał. Aż uszy paliły. Żeby taka smarkata.

- Jednak...

Nie pozwoliła mu dojść do głosu.

- Jeżeli zaś chodzi o moje umiejętności fachowe... Mam panu pokazać świadectwa? Zapewniam, że są wcale nie najgorsze.

Zmieszał się do reszty. Czyż mógł oczekiwać takiego natarcia? Na oko trusia, a tu...

- Nnie... co pani... Przecież... ja... - bąkał nieskładnie.

- Więc w takim razie z jakiej racji podejrzewał pan, że coś uszkodziłam? Po co niby miałam tam zaglądać, skoro wszystko było w porządku? Myśli pan może, że pierwszy raz widzę na oczy taką aparaturę? Mam wymienić z pamięci wszystkie części składowe? Podać miejsce, gdzie są wmontowane, i do czego służą? Może narysować schemat? - naprawdę sięgnęła po ołówek.

Zamachał rękoma. Kapitulacja w tej sytuacji stanowiła jedyne rozsądne wyjście.

- Zlituj się, dziewczyno... Czy ja chciałem panią egzaminować? Wiem... Oczywiście, że doskonały z pani fachowiec. Na pewno lepszy ode mnie - dorzucił z pośpiechem, widząc, że znów zamierza otworzyć usta. - Tylko...

Odsapnęła. Gniew powoli ustępował. Aż dziwne, że zareagowała z taką gwałtownością. Ale podejrzenia na temat umiejętności fachowych dotknęły ją do żywego. Na egzaminach same pochwały, a tu... I przecież dopiero pierwsza praca po skończeniu szkoły.

Spojrzała na Mańczaka. Czerwony jak rak. Nawet uszy. Ależ go zmaltretowała. Ani przypuszczała, że jest do tego zdolna. Zrobiło jej się przykro. Taka awantura...

- Co tam - uśmiechnęła się pojednawczo. - Przepraszam. Ja... trochę za ostro... No cóż, poniosło mnie

- dopiero teraz usiadła. - Powinnam zrozumieć, że człowieka biorą diabli, gdy coś w robocie szwankuje.

Wyciągnęła do niego rękę.

- Nie gniewa się pan?

Uścisnął skwapliwie jej dłoń. W rezultacie nie najgorsza dziewczyna - pomyślał.

- Więc zgoda - pochyliła się nad radiem. - A teraz niech pan pokaże przyczynę - znowu się uśmiechnęła - naszej wojny.

W miarę jak śledziła wskazywane końcem śrubokręta punkty, brwi jej zbiegały się coraz bardziej.

- Tak... - pokiwała wreszcie głową - rzeczywiście.

W jaki sposób wszystko to mogło się stać? W momencie przekazywania Mańczakowi dyżuru instalacja była w idealnym porządku.

- To właśnie ten kawałek żelaza?

- Ten.

Obracała go w zamyśleniu. Oględziny jednak nic nie dały. Żelazo jak żelazo.

- Skąd to się mogło wziąć?

- Wzruszył ramionami.

- Boja wiem... Sam się nad tym zastanawiałem i... - przełknął dalsze słowa.

Gdyby je wypowiedział, burza łatwo mogłaby wybuchnąć na nowo. Lepiej nie ryzykować.

Przesunęła wzrokiem po stoliku.

- Może leżał wśród tego majdanu?

Zmieszał się. Na blacie sporo było rzeczywiście różnych kawałków drutu i metalu.

- Tego żelaza tam nie było - oświadczył.

- Na pewno nie?

- Przysięg bym nie przysięgł, ale tak na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Zresztą, gdyby nawet, to w jaki sposób mogłoby wpaść do wnętrza aparatu?

Nie wypuszczała z rąk żelaza.

- Przy takiej chwiejbie jak dzisiejszej nocy? W naszej kajucie szklanka wyskoczyła z podstawki. A tu... Jeśli by leżało w tym miejscu... Gwałtowniejszy przechył rzucił ją o ścianę - pokazywała, jak to mogłoby wyglądać. - A wtedy wpadłoby prosto... Tylna ścianka nie jest przecież szczelna.

- No nie...

- Więc coś dziwnego? Dobrze jeszcze, że lamp nie potłukło.

- Przypuszcza więc pani, że żelazo wpadło przypadkiem?

- A w jaki inny sposób mogłoby się tam dostać? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Zamyślił się głęboko.

- Cóż - podniósł wreszcie głowę - może i racja. Zgodnie uznali sprawę za wyczerpaną.

## VIII

Gdy Konkiel zaczął opowiadanie, w mesie powstała konsternacja. Bo gdyby to Sorek... Ale Konkiel chyba najtrzeźwiejsza głowa wśród całej załogi. Ani krzty wyobraźni... Nikt go nigdy nie przyłapał na koloryzowaniu. Więc jakże.

- Gadaj po ludzku - zniecierpliwiał się Sielawa. - Jaki u licha cień?

- Nno... gdybym ja to wiedział - odłożył w zamyśleniu widelec.

- Po prostu ktoś biegł - zakonkludował Sorek, zły, że uwaga całego stołu koncentruje się na kimś innym. - Bo to mało ludzi biega po pokładzie w czasie alarmu?

Foryś dziwnie spoważniał. Wpatrując się w dno swego talerza, słuchał rozmowy w milczeniu.

- Biegł - Konkiel wydał pogardliwie wargi. - Czy ja nie mam oczu we łbie, żeby widzieć, co jest, a czego nie ma? On... no... teufel, jakby tu wam wyklarować na czysto? Chycał jak zajac - pokazywał palcami na ceracie. - Za spardek, za skrzynię, czort wie. Myślę sobie, co za jeden taki, żeby w ten sposób. Więc krzyknąłem. No, choćby nawet oficer, też mi łba nie zdejmie. Jak feueralarm, to nie ma tak, żeby się chować.

\* Mowa o tzw. bomach dźwigowych, przypominających maszty dźwigów umieszczonych na transportowcach w pobliżu luków ładowni dziobowej i rufowej.

- A on? - Kondraciuk, aż się przysunął bliżej. - Obejrzał się?

Konkiel potrząsnął głową.

- Gdzie tam. Ani nawet. Toć bym poznał, nie? Myk ku rufowym bomom i jakby się pokład rozstał.

Kondraciuk wytrzeszczył oczy.

- Zniknął?

- A nie? Właśnie.

Sorek spojrział ironicznie.

- Bajuj, bajuj, będziesz w raj. Zniknął - parsknął. - W powietrzu się rozpląnął, czy co? Po prostu jakiś

nygus zobaczywszy, że z tym ogniem nic groźnego, poszedł rozciągnąć się za kotwiczną windą.

Sielawa masował w zamyśleniu podbródek. Jeżeli Konkiel mówił, że widział, to widział na pewno.

- Na rufie było wtedy ciemno? - zapytał.

- Nawet windy nie było widać. Bo tu, gdzie skrzynia z piaskiem - lampa, a tam nic.

Sielawa znów się zastanowił.

- I biegł od strony radiokabiny?

- Całkiem na mur. Przecież na tym kawałku prawie widno.

- Musisz o tym zameldować kapitanowi.

Konkiel spojrział niepewnie.

- Ee... zaraz lecieć do starego. A jak zbeszta, że brechty?

- Choćby nawet. Korona ci z głowy zleci? Sam pomyśl, jak to w kupie wygląda: ni stąd, ni zowąd wybucha ogień. Ktoś, diabli wiedzą kto, szwenda się po pokładzie. Akurat gdzieś obok radiotelegrafu. Okrzyknięty znika. Niewyraźna jakaś sprawa, musisz przyznać.

Konkiel przejechał palcami po zwichrzonych włosach.

- Że niewyraźna, to ganz recht - przyznał wreszcie. - No, cóż. Jak trza, to trza - zaczął się podnosić ociężale z krzesła.

Nie zachwycała go bynajmniej myśl o rozmowie z kapitanem. I właśnie w tej chwili Foryś powziął decyzję.

- Wiecie co, to dziwne... - z trzaskiem odstawił talerz - bo i mnie zdarzyło się coś w tym samym rodzaju... - I zaczął opowiadać.

## IX

Bartczak poważniał z każdym wypowiedzianym słowem.

- Hm... - marszczył brwi, bębniąc palcami po stole. „To takie buty?h - Więc słyszeliście jakieś hałasy w mojej kabynie?

Foryś potrząsnął głową.

- Hałasy? Nie, to nie było takie głośne. Raczej szelest. Jakby ktoś chodził na palcach albo boso. Gdybym nie dojrzał, że coś poruszyło się za bulajem, pewno w ogóle bym nie usłyszał.

- A gdy zajrzeliście do kabiny, nie zobaczyliście w niej nikogo?

- Nie. Ale było dosyć ciemno. Jeśliby się ktoś schował za biurko, mógłbym nie dojrzeć.

- A potem ten ktoś przemykał od drzwi mojej kabiny?

- Tak jakby. Nie jestem jednak tego pewien. Gdym usłyszał kroki, stałem odwrócony plecami. A potem widziałem go już na pokładzie mitshipu.

- Ty zaś - Bartczak zwrócił się z kolei do Konkiela - twierdzicie, że wasz „ktoś prześlizgiwał się od radiokabiny?

Konkiel wyprostował się.

- Ganz... - zająknął się - to jest całkiem na pewno. Widziałem go jak na dłoni.

Po ich odejściu Bartczak długo wpatrywał się w sporządzone z meldunków notatki. Więc jednak nie zapomniał wtedy zamknąć drzwi. Tak jak zawsze przekręcił dwukrotnie klucz. A zamek przecież patentowy. Nie tak łatwo otworzyć wytrychem. Tamtemu jednak widocznie nie sprawił trudności... Tamtemu? Komu? Do wszystkich diabłów, komu?! Rąbnął pięścią w biurko z takim impetem, aż papiery podskoczyły przy akompaniamencie suchego szelestu.

Wypił duszkiem dwie szklanki wody pod rząd. Wypalił trzy papierosy, zapalając jeden od drugiego.

Powoli wracało opanowanie. Nie przyszło mu to łatwo. Taka historia na jego statku? Żeby wśród załogi, którą uważał niemal za najbliższą rodzinę, miał się kryć jakiś zdrajca i sabotażysta?

Nie potrafił jakoś w to uwierzyć. Nie chciał uwierzyć. Ale... W mózgu tkwił dokuczliwy cień. Kto?

Jeszcze raz przebiegł oczyma treść notatek, zastanawiając się nad każdym słowem.

- Radiostacja? - zapalił znowu papierosa. - Tak... Oto, gdzie należało szukać ostatniego ogniwa, by uzyskać pewność. Sprawdził tablicę dyżurów. Poleciał wezwać Mańczaka.

Mańczak szedł z duszą na ramieniu. Czyżby coś pokręcił w treści odbieranych radiogramów?

Wyraz twarzy Bartczaka zdawał się potwierdzać najgorsze obawy.

- Czy w czasie alarmu ogniowego nie zaszło u was coś niezwykłego? - zapytał kapitan bez wstępów.

- Niezwykłego? - powtórzył Mańczak zaskoczony. - Nie. - Odetchnął z ulgą.

Więc nie chodziło o żadne grzechy.

- Na pewno nie?

- Ja przynajmniej nie zauważyłem nic szczególnego. To jest... - zawahał się nagle.

- To jest co?

- Hmm - odchrząknął z zakłopotaniem. - Czy ja wiem, czy to można zaliczyć do niezwykłych zdarzeń... - opowiedział o uszkodzeniu radia.

Kapitan wysłuchał, nie przerywając.

- Czy to groziło jakimiś poważniejszymi konsekwencjami? - zapytał, gdy Mańczak skończył.

- Nno, gdybym w porę nie zauważył, raczej tak. Przebicie obwodów, przepalenie lamp. Może nawet ich potłuczenie i pozrywanie przewodów. Tak... - poprawił krzywo zapięty guzik munduru. - Ostry kawałek żelaza w tak delikatnej aparaturze... I do tego w czasie chwiejby...

Kapitan podsunął pudełko z papierosami.

- Proszę - uśmiech jego wypadł nader blado. Podał ogień. Palili przez chwilę w milczeniu.

- A kto wpadł na pomysł, że to stało się przypadkiem?

- Koleżanka Marska. Ale ja też jestem tego samego zdania - dodał szybko. - Zademonstrowała mi to tak pogładowo, że...

- Zademonstrowała? Hmm - śledził ulatujący ku lakierowanemu sufitowi dym. - No, cóż... Tymczasem to byłoby wszystko. Dziękuję.

- „Zademonstrowałaś? - patrzył na białą taflę drzwi, które zamknęły się za radiotelegrafistą. - Zupełnie jakby jej specjalnie zależało na uniknięciu jakichkolwiek podejrzeń, że doszło do sabotażu. Dlaczego? - Pocierał końcami palców skronie. Wszystko to było jakoś straszliwie pokręcone. Marska? Cóż właściwie o niej wiedział? Świadectwa szkolne, opinia organizacji młodzieżowej. Czyż można z tego poznać charakter człowieka?

Znowu ogarnęła go złość. Za dużo tych tajemnic zaczyna się gromadzić na statku. Płonący mazut, nie wiadomo przez kogo zawleczony na dziób, otwierające się za naciśnięciem klamki drzwi, które zostały zamknięte na solidny zamek, jakieś cienie włączące się po pokładzie. I wreszcie kawałek ostrego żelaza znaleziony tam, gdzie go absolutnie być nie powinno.

Pewno, że to wszystko mogło stać się przypadkiem. Mazut mógł wychlusnąć z wiadra, gdy niosący je wachtowy skręcił w stronę dzioba, by wyminąć jakąś przeszkodę. Może i coś akurat przynosili albo przetaczali po pokładzie. Forys? No, cóż... Po prostu jakaś książka mogła przesunąć się po biurku w takt przechyłów statku. Drzwi mógł zapomnieć zamknąć on sam. Cienie? Wielu ludzi snuło się wtedy po pokładzie. Niektórzy biegli. To zupełnie zrozumiałe w czasie alarmu ogniowego. Zawołany przez Konkiela mógł nie dosłyszeć albo po prostu nie miał czasu na odpowiedź. Każda sekunda wtedy była ważna. Wreszcie żelazo w radioodbiorniku. Mańczak nie wyklucza, że taki kawałek leżał wśród „części zapasowych, jak on to nazywał, na stole. A gdyby się odbił od ściany... Cóż - przesunął ręką po czole. - Nie jest przecież niemożliwe, by wpadł do wnętrza aparatu, jak przypuszcza Marska...

- Ale - podszedł do kranu, napełniając szklanekę - byłby to zaiste zupełnie szczególny zbieg okoliczności.

Identycznie tymi samymi słowami określił sytuację Igielnicki na naradzie, którą bezpośrednio potem zwołał Bartczak. Kaniewski natomiast raczej bagatelizował całą sprawę.

- Więc cóż z tego, że szczególny? - pykał leniwie ze swej fajki. - Zdarzają się niekiedy jeszcze bardziej szczególne i nie przestają przez to być jedynie zbiegiem okoliczności...

Igielnicki ugniatał ze skupioną uwagą papierosa.

- Gdybym chciał coś podejrzanego zmaistrować na statku, to co bym zrobił w pierwszym rzędzie? -

mówił cicho, jakby do siebie. - Oczywiście coś, co odwróciłoby ode mnie uwagę. Buchający gwałtownym płomieniem mazut pasowałby do tego, że lepiej nie można. - wetknął na wpół wykruszonego papierosa do bursztynowej cygarniczki. - Następnie zaś - przytknął zapalną i aż się zakrztusił dymem płonącej bibułki. - Tfu! Co za świństwo. - Przydusiwszy tłący niedopałek, sięgnął po nowego papierosa.

- Następnie zaś? - ponaglał Bartczak.

- Następnie zaś - powtórzył Igielnicki - pomyślałbym o uniemożliwieniu porozumienia się statku ze swatem. Umieściłbym na przykład kawałek żelaza we wnętrzu nadajnika.

Bartczak pokiwał smętnie głową.

- Muszę przyznać, że ja też tak mniej więcej rozumię.

Kaniewskiemu fajka nagle przestała ciągnąć. Zaczął w niej gmerać, tak nisko pochylając twarz, że nie można było dojrzeć jej wyrazu.

- A pan co o tym sądzi? - zapytał go Bartczak.

- Ja? - wciąż nie podnosił głowy. - Sam już nie wiem, co sądzić. Może być przypadek, a może... - nie dokończył.

- A może sabotaż? - westchnienie Bartczaka płynęło z głębi piersi.

Kaniewski naładował do fajki porcję tytoniu, ugniótł go starannie i wetknął cybuszek z powrotem między zęby. Twarz jego przesłoniły gęste kłęby wonnego dymu.

- Nie znam się na tym. Kryminologia - w głosie brzmiały wyraźnie sarkastyczne nuty - to nie moja specjalność. Ale jeżeli na statku znajdują się... hm... osoby, o których właściwie niewiele wiemy...

Bartczak poruszył się niespokojnie.

- Ma pan na myśli Kariauzariego? - przesunął językiem po wargach. Rzeczywiście, cóż o nim było wiadomo poza tym, co sam opowiedział? Może zbyt pochopnie zajął stanowisko w jego sprawie. Bo gdyby...

- Ja nic nie mam na myśli - z fajki ulatywały nieprzerwane pasma pachnącej figami i miodem szarawej mgiełki. - Ja tylko poddaję pod rozwagę pewne okoliczności, skoro już się zastanawiamy nad wszelkimi możliwościami.

Igielnicki niedbałym ruchem wyciągnął nogi przed siebie.

- Kariauzari w tym wypadku nie może w ogóle wchodzić w rachubę - oznajmił z przekonaniem. - Widziałem go przez cały czas akcji gaszenia ognia. Bosman Bociański twierdzi, że przybiegł jeden z pierwszych. Musiał go powstrzymywać niemal siłą, tak się rwał do gaszenia, bodaj czy nie gołymi rękoma.

- W takim razie - głos Kaniewskiego był zupełnie bezdźwięczny - nie mam więcej nic do powiedzenia.



- Żebym wiedział kto. Żebym to wiedział... - mrucał przez zaciśnięte zęby Bartczak.

Igielnicki pokiwał głową.

- Ttak. Ale w tym sęk, w jaki sposób się tego dowiedzieć.

- Właśnie - w głosie Kaniewskiego brzmiał jakiś trudny do zdefiniowania ton - to nie będzie zbyt łatwe...

## X

Bartczak długo szyfrował raport. Musiał przecież zawiadomić o wszystkim, co zaszło. Zbyt poważna sprawa, by przyjąć wyłączną odpowiedzialność za jej ewentualny dalszy bieg.

Czekał niecierpliwie na odpowiedź.

Tymczasem wzmocnił wachty, polecając zwracać specjalną uwagę na newralgiczne punkty statku. Cóż mógł uczynić więcej? Ostatecznie nie było przecież całkowitej pewności, że sabotaż miał naprawdę miejsce. Przypadkowego zbiegu okoliczności nie dało się w zupełności wykluczyć. Pragnął całym sercem, by właśnie to ostatnie okazało się prawdą. Bo jakże dowodzić statkiem, wiedząc, że gdzieś obok działa zbrodniarz? Może akurat ten marynarz, któremu właśnie w tej chwili wydaje rozkaz? Czyjeś oczy kłamia. Czyjąś twarz stanowi jedynie maska. Ale czyją?

To było okropne.

Wśród załogi zapanował również nastrój podniecenia. Niemal wszyscy zerkali podejrzliwie dookoła. Zwłaszcza w czasie nocnych wacht.

- Co za świństwo! - Sielawa kłął z pełną smutku wściekłością. - Zupełnie jakby ci zapaskudzili własny dom.

Czas jednak płynął i nie działo się nic, co by zakłócało normalne życie. Zaczynali się powoli uspokajać.

Również Bartczak odzyskiwał stopniowo humor. Może i rzeczywiście wszystko było jedynie dziełem przypadku?

## XI

Agent DOS 204 niedługo się zastanawiał. Tak, to powinno się udać. Skutek zaś może wypaść całkiem efektownie. Kto wie, czy w rezultacie nie bardziej efektownie niż w wyniku jak najpomyślniejszego nawet przeprowadzenia pierwotnego planu.

Że trochę toporna robota? Nie - pokręcił głową - wcale nie tak bardzo toporna, jakby się mogło wydawać na pierwszy rzut oka. Oczywiście nic nadzwyczajnego. Trik stosowano już wielokrotnie przedtem. I niemal zawsze z dobrym efektem. Dlaczego by więc i teraz nie miałyby się udać?

Ujawszy kierownicę samochodu, pogwizdywał triumfująco. To byłby już jakiś paskudny pech, gdyby nie wyszło. Pogadał z odpowiednimi ludźmi. Nawet nie bardzo się wzdragali. Wiedział, do kogo się udać. Cóż z tego, że typy spod ciemnej gwiazdy? Takich właśnie potrzebował. Gdyby nie mieli tak

poważnie obciążonych kont, mogliby stroić fochy. A tak - sprawa została zaklepana w kilkanaście minut.

Oczywiście stawiali wygórowane żądania. To było w tych warunkach całkiem zrozumiałe. Na wpół spróchniałą łajbę nazywali uparcie „wspaniałym statkiem”. Gdyby im pozwolił gadać dalej, na pewno doszliby w końcu do „luksusowego jachtu”.

Omówili szczegóły. Czyż zresztą tak wiele musieli uzgadniać? O tej i o tej godzinie. Tam i tam. Znają łacińskie litery? Szyper znał. Doraźnie zademonstrował swą umiejętność na kawałku niemożliwie brudnej gazety. Dukał wprawdzie, jakby nagle dostał ataku gwałtownej czkawki, ale to nie miało znaczenia. Nie proponował mu przecież posady lektora. Musieli kilkakrotnie powtórzyć wszystkie kolejne litery, zanim nie uzyskał pewności, że nie poplączą. Jakakolwiek omyłka w tym wypadku była mocno niepożądana. I groziłaby diabłu skomplikowanymi konsekwencjami. Brzmienia całego słowa nie kazał im jednak wymawiać. Nie potrafiliby w żadnym razie. On zresztą również nie. Piekielny język.

Połowę umówionej sumy wręczył zaraz, połowę miał wypłacić po wykonaniu zadania. Nie pomogły wrzaskliwe targi. Tego tylko brakowało, żeby dał im wszystko. Mógłby ich potem szukać po całym świecie. A tak - będą się trzymać. Bo nawet ta połowa o wiele przewyższała wartość ledwo utrzymującej się na wodzie arki Noego.

Wracał w świetnym humorze. Załatwione. Kosztowało, bo kosztowało, ale czy to z jego własnej kieszeni? Jeszcze czego? Nie miał zwyczaju wkładania gotówki do tego interesu. Coś niecoś oczywiście dopisze do odpowiedniej pozycji. Kto by tam sprawdzał.

## XII

Do zmierzchu wiatr ustał niemal zupełnie. Blask dnia przechodził w coraz głębszą purpurę, potem zaczął nasiąkać niebieskawoszarą mgielką, wreszcie zgasł zupełnie. Nadeszła noc. Ostatnia noc rejsu.

Splyniecie z nieba rozżarzonej kuli słońca nie przyniosło ochłody. Powietrze dyszało ciężkim, niemal fizycznie dotykalnym skwarem. Toń morską przypominała teraz płynny szmaragd rozświetlony od dołu zmiennymi lśnieniami.

Nikłe fale delikatnie bruździły powierzchnię drżącą siecią ruchliwych zmarszczek. Nad roztopionym w mroku horyzontem zwisała gęsta przesłona ciemnego granatu. Wysoko w górze przeciągały leniwie ciemne plamy chmur o skomplikowanym ażurze strzępiastych krawędzi. Powolną ich drogę znaczyło gaśnienie i rozszerebianie się na nowo migotliwego lśnienia dalekich gwiazd.

Po obu stronach stalowego dziobu przyskały rozłożyste bryzgi matowo opalizujących kropeł. Bijące z iluminatorów światło padało na wodę wydłużonymi smugami. Jakby równoległe z czarną masą kadłuba statku sunęły pasma rozedrganego złota. Odbicie światła pozycyjnych drażyło morze kontrastowymi plamami jaskrawych kolorów.

Cicho i monotonnie pulsował miarowy rytm pracujących silników.

- Gorąco - kapitan Bartczak otarł czoło wierzchem dłoni. Potem sięgnął po chustkę. Zupełnie jakby

właśnie w tej chwili wynurzył głowę z wody. Włosy można by wyjąć. - Uff - do płuc wpływał zamiast powietrza gęsty żar. Z mimowolną zazdrością obserwował matową twarz Igielnickiego. Choćby najmniejsza kropelka potu. Nic! Salamandra! Znowu odsapnął i znowu zaczął ocierać policzki. Chustka zresztą przesiąkła na wskroś wilgocią. Otworzył hermetyczny kapsel butelki. Solidny haust nie przyniósł orzeźwienia. Gaz zwietrzył, woda była niemal zupełnie ciepła. A przecież nie dalej niż przed kwadransiem przyniesiono ją wprost z lodowni. Do licha z taką temperaturą!

Był potężnie zmęczony. Tyle nadszarpniętych nocy. Właściwie nic nie stało na przeszkodzie w odsypianiu zaległości. Ale po tym wszystkim, co zaszło ostatnio na statku, i tak by nie zdołał zasnąć. Przewracać się zaś na rozgrzanej koi i rozmyślać o tym, co może się dzieć w ciemności poza grodziami? Na wyżce czuł się o wiele pewniej.

Palił papierosa za papierosem. Wiatrochronna szyba była opuszczona. Ale żeby choć odrobina przewiewu...

Przesuwał sennym wzrokiem po leżącej przed dziobem ciemności. Jeszcze kilka godzin i...

Nagle drgnął, wychylając się przez stalową barierę.

Czyżby?

Jakby pasmo zagęszczonego w tym miejscu mroku. Zerwał się gwałtownie z fotela. Senność w mgnieniu oka opadła bez śladu.

- Tam!

To było w niepokojąco małej odległości przed szpicem dziobu.

Szarpnął się ku telegrafów. Ale na dźwigni leżała już dłoń Igielnickiego. Oficer opanowanym ruchem przesunął rękojeść na STOP.

Terkotliwie zabrzączał urywany odgłos dzwonka. Po krótkiej chwili znowu cichy zgrzyt dźwigni. Znieruchomiała przy podziałce CAŁA WSTECZ.

- Ster lewo na burtę! - Głos był donośny. Brzmiał jednak zupełnie spokojnie.

Jęknęły przeciągle przekładnie mechanizmu sterowego. Oстрыm dysonansem rozerwało ciszę wibrujące wycie syreny. Pod pokładem przebiegło ledwo wyczuwalne drżenie. Na chwilę ucichł szum rozbijanej śrubą wody. Potem zawrzał ze wzmożoną siłą. Ale teraz stalowe łopaty meły wodę w odwrotnym kierunku.

Bartczak zacisnął kurczowo palce na białym lakierowanym parapecie. Wszystko, co było w tych warunkach do zrobienia, zostało już zrobione. Nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać. A to właśnie było najcięższe. Wydawało się, że statek mknie wciąż z niezminiejszą szybkością. Nie tak łatwo zatrzymać bez mała siedem tysięcy ton rozpędzonej stali.

Kontury chyboącego na wprost dziobu stateczku występowały z mroku z coraz większą wyrazistością.

Teraz już można było dojrzeć dokładnie szczegóły. Spory, może ze stutonowy sampan o trzech plecionych z ryżowej słomy prostokątnych żaglach.

Na pokładzie nie widać było nikogo. To jednak nie miało znaczenia. Wysokie burty przesłaniały widok.

Dlaczego stał w miejscu, nie schodząc z kursu „Jedności”? Wiatru wprawdzie nie było. Wystarczyłoby jednak kilka uderzeń wiosł...

Jaskrawo zapłonął reflektor. Ostry snop białego światła przeciął mrok.

Bartczak stał bez ruchu, przygryzając wargi. Odległość była już tak mała. Wydawało się, że żadna siła nie zdoła uchronić sampana przed zmiążdżeniem.

Mijały sekundy. Każda znaczyła wiele metrów przebytej przestrzeni.

Aż wreszcie szybkość zaczęła maleć. Stało się jednak już oczywiste, że statek nie zdoła zatrzymać się przed przeszkodą.

Ostrze dziobu zataczało powolny łuk. Jakże niezmiernie powolny. Czy zdąży odchylić się wystarczająco? Przestrzeń dzieląca oba statki kurczyła się gwałtownie.

Jeszcze chwile oczekiwania, pełne ostrego niepokoju.

- Nno - Bartczak wreszcie wciągnął głęboko powietrze. Minęli sampan, niemal ocierając poszyciem kadłuba o jego burtę.

Prawie już przestał wierzyć, by uniknięcie zderzenia było możliwe. Sięgnął po butelkę. Cóż z tego, że smak przypominał płynny kurz? Zawsze woda.

Przelotnym spojrzeniem musnął twarz Igielnickiego. Zwykły, powszedni wyraz. Tylko zarys kącików ust wyrażał odprężenie. Ależ nerwy.

Reflektor, zataczając bez przerwy koła po powierzchni morza, wyłowił ciemną plamę. Głowa pływającego człowieka? Bartczak sięgnął po lornetkę. Po chwili nie miał już wątpliwości.

Urywany trzask gwizdka rozbrzmiał alarmem.

- Człowiek za burtą!

Igielnicki śledził zmrużonymi oczyma wędrówkę snopa promieni.

- Cóż - wzruszył lekko ramionami - połów dopiero rozpoczęty. Powinno ich być co najmniej z pół tuzina. Albo i więcej.

Po chwili srebrzysta struga znowu znieruchomiała. W mroku ukazała się głowa następnego pływaka.

Reflektor szukał dalej. Pomimo jednak oświetlania coraz to dalszych połaci morza, nie dostrzeżono więcej nikogo.

Bartczak z pośpiechem regulował soczewki lornetki.

- A gdzie reszta? - wodził dookoła szklami. - Załoga tak wielkiej łodzi nie mogła się przecież składać z dwóch ludzi?

Igielnicki odjął lornetkę od oczu. Puszczona wolno, zakołysała się na tle białego munduru.

- Nie mogła? Biorąc na zdrowy rozum, oczywiście, że nie. Ale... Ileż to razy rzeczy na pozór nieprawdopodobne są jednak rzeczywistością?...

Coś w brzmieniu jego głosu tknęło Bartczaka.

- Co pan ma na myśli?

Igielnicki przeciągnął się niedbale.

- Nic specjalnego. Ale jeżeli dać folgę fantazji, czyż nie można by znaleźć związku pomiędzy sampanem o dwuosobowej załodze, który jak diabeł z pudełka wyrasta na naszym kursie, a tym wszystkim, co się ostatnio u nas działo?

- Hmm - Bartczak bezskutecznie usiłował osuszyć twarz wilgotną chustką - sądzi pan?

Potrząsnął głową.

- Nic nie sądzę. Ale... Niech pan sam pomyśli, kapitanie. Ileż zajęcy można by ubić takim jednym strzałem? Awaria, zniszczenie rybackiego statku, ofiary w ludziach...

- Przecież byśmy ich w każdym razie wyłowili.

- Phy... Ale gdyby pudło spoczęło na dnie, któż by potrafił dowieść, że nie zawierało we wnętrzu całej gromady topielców? W tym miejscu mamy pod kilem dobre dwieście metrów wody. To już byłaby spora wiązanka. A niezależnie od tego - wyliczał dalej na palcach - głośna sprawa przed sądem admiralicji. Udowodnienie niedołęstwa naszych jednostek morskich. Wyobraża pan sobie, do jakich granic ich prasa potrafiłaby to rozdmuchać? Diabli wiedzą, co jeszcze.

Silniki milczały, „Jednośch kolebała się lekkimi przechyłami. Światło reflektora ani na chwilę nie gubiło walczących z morzem ludzi. Podpływali coraz bliżej sampana. Zanim zdążono spuścić szalupę, wdrapali się obydwaj na jego pokład.

Dopiero teraz, zza wysokiej burty, wychynęły styliska długich wiosel. Sampan zaczął powoli odpływać.

Alarm został odwołany. Zaskrzypiały piskliwie szlupbloki. Łodzie powróciły na swoje miejsce.

Igielnicki zacisnął lekko palce na dźwigni telegrafu.

- La comedia e finita.

Zabrzączał dzwonek. Pokładem zaczął wstrząsać rezonans powracających do życia motorów.

- Jak tam z czasem? - Bartczak spojrzał niespokojnie na zegarek.

- Głupstwo. Starczy aż nadto. Mamy w zapasie przeszło dwie godziny. I tak nie pójdziemy na pełnych

obrotach. Nie wypada wpłynąć do portu przed zapowiedzianą godziną. Mogą nas oczekiwać.

Bartczak pogрузił się w głębokiej zadumie.

### XIII

Szef Sekcji Dalekiego Rozpoznania ujął słuchawkę telefoniczną.

- Cóż można było poradzić? Siła wyższa - powtórzył słowa użyte przed chwilą przez agenta DOS 204.

Wysłuchując odpowiedzi, wyraźnie zszarzał. Chciał jeszcze coś powiedzieć, nie dopuszczono go jednak do głosu.

- Tak - odłożył wreszcie słuchawkę, ocierając czoło. Nie patrzył na agenta.

Wychylił jednym haustem kieliszek koktajlu. Ponownie nalał i wypił. Gdy obcinał srebrną gilotynką koniec cygara, ręka mu drżała.

- No tak - wypuścił z ust gęsty kłęb dymu - to przecież było do przewidzenia.

Utkwił nieruchomy wzrok w wiszącym naprzeciwko fotela obrazie. Minęła dłuższa chwila, zanim się odezwał.

- Dość mam tego przekłętego pudła. Po kiego licha tu się pcha? Czy człowiek ma postronki zamiast nerwów? Trzeba by coś zrobić, by im się raz na zawsze odechciało oglądać nasze brzegi. I... hm... co by odwróciło uwagę ludzi od tej błazeńskiej hecy z odczytami i piekło wie z czym jeszcze.

Agent zamyślił się.

- To by się dało zrobić - oznajmił wreszcie.

- He? - szef spojrzał na niego spod oka. - Dałoby się, powiada pan? Tak jak dotychczas?

Agent przysunął się bliżej, szkicując krótkimi słowami pomysł. Szef zakołysał z powątpiewaniem głową.

- Może byłoby i niezłe. Ale wie pan, z sądami... Diabli wiedzą.

- Cóż sądy? Aby tylko całą sprawę odpowiednio spreparować...

### XIV

Bosman Rzeżucha zapatrzył się w wyłożone za lustrzaną witryną luksusowego magazynu cuda.

Zmrużył krytycznie oczy. Upominek dla narzeczonej to nie taka prosta sprawa, jak by wyglądało na pierwszy rzut oka. Szczególnie jeżeli chodzi o Marychnę.

Efektowne, bo efektowne - nie odrywał oczu od zgrabnych pantofelków z wężowej skóry - ale jeżeli chodzi o praktyczność?

- Jak myślicie - wymierzył palec w szybę - czy te...

Nie skończył. W tej samej chwili barczysty marynarz, który akurat wyszedł zza rogu pobliskiej przecznicy, zataczając się przez całą szerokość chodnika, wpadł na niego z impetem.

- Hm... - Rzeżucha rozcierał uderzone ramię - nie można by trochę ostrożniej?

Pijak coś burknął przez zęby. Nawet nie można było zrozumieć co mianowicie. Ale sądząc po wyrazie twarzy, słowa nie należały do najuprzejmniejszych.

Bosman przygryzł wargi, ustępując z drogi. Powstrzymanie naturalnego odruchu kosztowało go niemało wysiłku. Opanował się jednak. Nie warto zaczynać z pijanym awanturnikiem. Na zebraniu załogi uchwalono: „Za wszelką cenę unikać burd. W żadnym wypadku nie dać się sprowokować. Za wszelką cenę? Cofnął się jeszcze o krok, tamten bowiem wyraźnie zamierzał znowu na niego wpaść.

I nagle, zanim zdołał się zorientować, obcy marynarz skoczył, zaczynając go okładać pięściami. Wrzeszczał przy tym na całe gardło:

- Ratunku! Policja!

Sielawa i Gwóźdź podbiegli, zamierzając go odsunąć. Nie zdążyli. Powietrze przeszył ostry trzask policyjnych gwizdków. Rozległ się szybki tupot twardych podeszew. Patrol wyrósł jak spod ziemi. W jednej chwili kwadratowe postacie w mundurach otoczyły ze wszystkich stron Rzeżuchę.

- On mnie napadł i pobił - wrzeszczał obcy marynarz, wskazując Rzeżuchę.

Teraz, o dziwo, nie czynił już bynajmniej wrażenia pijanego. Pocierał zawzięcie policzki. Dłonie jego pozostawiały smugi rozmazanej krwi.

Sielawa złapał gwałtownie Gwoźdźa za rękaw.

- Widzisz?

Patrzyli wytrzeszczonymi ze zdumienia oczyma. Skąd się wzięła ta krew? Przecież nikt go nie dotknął nawet końcem palca. Zanim jednak zdążyli otworzyć usta, by zabrać głos, ciężkie dłonie spadły na ramiona Rzeżuchy.

- *Come on!*

Nie wiadomo skąd wziął się w tej chwili mały, ruchliwy człowieczek. Podskoczył ku sierżantowi dowodzącemu patrolem.

- Ja wszystko widziałem - walił się w piersi. - Wszystko. On - wskazał na obcego marynarza - szedł sobie spokojnie jak dziecko. A ten - brudny palec wycelował oskarżycielsko w pierś Rzeżuchy - jak się na niego nie rzuci! Napadł bez najmniejszego powodu.

Sierżant pokiwał głową.

- Dobra. Powtórzycie to wszystko w sądzie. Idziemy... - Ale zanim ruszyli, znalazł się jeszcze jeden świadek. Wysoki, chudy jak tyka, w białej bombajce.

- Tak - kiwał gwałtownie głową. - Ja też obserwowałem przez cały czas. Było dokładnie tak, jak mówi ten pan - wskazał na poprzednika, który nie odstępował boku sierżanta, zerkając nieufnie ku Sielawie i Gwoździowi. - Mogę przysiąc. Walił czymś takim, aż huczało. Laska, nie laska...

Sielawa wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Gwoździem. Ładny gips. Daliby sobie głowy uciąć, że ani jednego z tych typów nie było nigdzie w pobliżu podczas całego zajścia.

- Laska? - sierżant nachylił się. - Hm.

Poszukiwania nie trwały długo. Tuż obok wystawy leżała krótko ucięta ołowiana rurka.

- To? - podniósł ją w górę.

Potwierdzili jednogłośnie.

Sielawa zagwizdał nerwowo przez zęby. Wszystko nabierało cech z góry przygotowanej inscenizacji. Nie zapowiadało się wesoło.

Poszli za prowadzącym Rzeżuchę patrolem. Tak czy inaczej będą musieli wysłuchać również ich. A gdzie jest powiedziane, że sąd akurat da wiarę podstawionym świadkom?

## XV

„Sąd Policyjnyh - głosiły złote litery wyryte na marmurowej tablicy. Niewielką salę o niemal zupełnie pustych ławkach wypełniało duszne, przepojone zapachem stęchlizny powietrze.

Nad stołem obrzękła twarz w obramowaniu poźółkłych loków średniowiecznej peruki. Dostojnie szeroki kołnierz sędziowskiej togi. Czerń biretu.

Wyblakłe, jakby rozwodnione oczy przypominały ślepią śniętego karpia.

- O co oskarżony?

Dowódca patrolu zeznał lakonicznie:

- Na ulicy Morskiej usłyszeliśmy wołanie o pomoc. Pobiegliśmy w tym kierunku. Ten - wskazał na obcego marynarza - był zakrwawiony. Oświadczył, że go pobił właśnie ten doprowadzony. Dwóch świadków, którzy się zgłosili w międzyczasie, potwierdziło to w zupełności.

Sielawa słuchał z napięciem, tłumacząc mozolnie w myśli obce słowa. Jak dotychczas relacja nie odbiegała od prawdy. Z kolei przed kratkami stanął napastnik.

- Nazywam się James Boyle... - powtórzył niemal słowo w słowo, to, co mówił na miejscu zajścia.

Potem podszedł mały człowieczek. Słowa przysięgi powtarzał z ckliwym namaszczeniem, raz po raz wznosząc oczy ku górze.

- Nazywam się... Widziałem dokładnie całą bijatykę. Boyle szedł zupełnie spokojnie, gdy ten...

Przy następnych zeznaniach Gwoźdź wiercił się jak na szpilkach.



- Co on mówi? Co? - parzył ucho Sielawy nagłym szeptem, szarpiąc go za rękaw bluzy. Sam znał język bardzo słabo i niewiele potrafił zrozumieć z tego, co mówiono przed sędziowskim stołem.

Po przetłumaczeniu przez Sielawę bliski był wybuchu. Sielawa położył mu rękę na ramieniu.

- Spokojnie. Przecież i na nas przyjdzie kolej.

Gdy odszedł wreszcie typ w bombajce, ruszyli ku czarnym niczym przy katafalku stopniom sędziowskiego podium. Sielawa zaczął:

- Myśmy stali tuż obok...

- Sir - odpowiedział warkliwie pisarz.

- Sir - dodał Sielawa. - Widzieliśmy wszystkie szczegóły...

Wodniste oczy spjrzały pytająco na dowódcę patrolu.

- Byli tam?

- Nie, sir - potrząsnął przecząco głową - nie było żadnego z nich. Przyszli dopiero po zatrzymaniu awanturnika.

- Nie widziałem żadnego - stęknął ze zboląłą miną Boyle. - Oskarżony - kiwnięciem głowy wskazał Rzeżuchę - stał sam z tą rurą w ręku, czatując, aż podejść bliżej.

- Przybiegli skądś dopiero po wszystkim - mały człowieczek walnął się w pierś, aż zadudniło.

- Właśnie! - potwierdził typ w bombajce. - Po wszystkim.

Zabrzmiało to jak echo.

- To z tego samego statku, sir - podsunął sierżant. - Pewno chcą wybielić kolegę, chociaż nic nie widzieli.

- Z tego samego statku? - zapytał sędzia.

- Tak - odpowiedział Sielawa. - Ale...

Nie dano mu jednak mówić dalej.

- Siadać!

Sielawa zwarł kurczowo palce na poręczy balustrady.

- Przecież...

- Siadać - głos o pół tonu wyższy. Ostre stuknięcie metalowym młoteczkim w pokryty sukrem blat stołu. - Siadać, bo każę was aresztować za obrazę sądu.

Sierżant postąpił o pół kroku.

- No? - spojrzał znacząco.

Gwóźdź szarpnął kolegę za rękaw. Nie potrzebował rozumieć wypowiedzianych słów. Wystarczyło widzieć wyraz otaczających ich twarzy. Usiedli ociężale.

Palce Sielawy zacisnęły się na kolanie z taką siłą, aż pobieleły kostki w stawach. Widać było, że jedynie najwyższym wysiłkiem woli powstrzymuje wybuch.

- Przyszła i na nas kolej - szepnął z goryczą.

Dobrze to przepowiedział. Potrząsnął bezradnie głową, przełykając głośno ślinę. Gwóźdź gładził go po rękawie.

- Uspokój się. Co pomoże?

Peruka zwisała nisko nad rozłożonymi aktami. W zapadłej nagle ciszy przejmująco skrzypiała stalówka, biegnąc pospiesznie po rubrykowanym arkuszu papieru.

Skrzypienie ustało.

- W imieniu jego królewskiej mości...

- Wstać! - syknął rozkazująco pisarz.

Szmer obcych, niezbyt zrozumiałych słów.

...dwa miesiące ciężkich robót - to zabrzmiało z dobitną wyrazistością.

Gwóźdź znowu dotknął ostrzegawczo ramienia Sielawy, obawiając się wybuchu. Ten zerknął na niego z ukosa. W oczach zgasła już wściekłość. Patrzyły teraz z głębokim smutkiem.

- Nie obawiaj się - szepnął zduszonym głosem. - Wytrzymam. Czyż nie widzę, jaka to gra?

Monotonny głos w dalszym ciągu świdrował natrętnie uszy:

- Trzeba wreszcie położyć kres bójkom, które szerzą się w zastraszający sposób w naszym mieście. A biorąc pod uwagę, że napastnik bez żadnego powodu...

## XVI

Nadeszła chwila rozstania. Ścisnął po wiele razy każdą dłoń.

- Nigdy was nie zapomnę. Tylko parę krótkich dni, a jakby całe życie. Teraz już wierzę, że nie wszyscy biali ludzie są jednakowi. Że może nawet i tu...

Gdy schodził powoli po trapie, cała załoga stłoczyła się wzdłuż burty.

- Do widzenia, Kariauzari! Powodzenia, bracie!

Jeszcze idąc nadbrzeżem, oglądał się prawie co krok, machając ręką. W końcu barczysta sylwetka rozplynęła się w tłumie.

- Diabli nadali - Sorek splunął za burtę - nie mógł to z nami zostać? To nawet byłoby z szykiem: egzotyczny marynarz na pokładzie.

Kondraciuk zapalał papierosa.

- Gęba jak przypalona patelnia, a przecież miłsza od niejednej białej.

Konkiel pokiwał potakująco głową.

- A bo nie? Równe chłopisko... Foryś przysiadł na skrzyni z piaskiem.

- Obiecał nas odwiedzić, gdy zawiniemy następnym razem. - Wpatrzył się w ruchliwą panoramę portu.

- Jutro nasza kolej zejścia na ląd. Jest tu parę wcale niezgorszych lokali.

- Skąd wiesz? - zapytał z nagłym zainteresowaniem Sorek.

- Wiem... - odparł niemal z rozmarzeniem. - Wierście mi na słowo, można się tu zabawić. Gdy pływałem jeszcze na „Neptunieh, zawijaliśmy tu parę razy.

- Znasz miasto? - stłoczyli się wokół niego w jednej chwili. - Opowiadaj!

## XVII

Zaszczyt dokonania odkrycia przypadł niewątpliwie Kondraciukowi, chociaż Sorek niejednokrotnie próbował później dowodzić, że to on właśnie pierwszy zauważył.

Kondraciuk przybiegł zdyszany do Bartczaka.

- Panie kapitanie... - meldował przerywanym zadyszką i podnieceniem głosem - przy rozładunku rufowej znaleźliśmy...

Bartczak niemal pobiegł za nim.

W odległym kącie, przy styku grodzi, tłoczyło się już kilku. W pierwszym rzędzie oczywiście Sorek.

Oprócz światła dziennego, wpadającego przez otwarty luk, oraz zapalonych u pułapu żarówek skierowano silne światła kilku ręcznych latarek. Było zupełnie widno.

Bartczak pochylił się, patrząc z posępnym zainteresowaniem.

Dwie cienkie wełniane derki. Blaszane pudełka napchane po wierzch niedopałkami papierosów. Butelki z hermetycznymi kapslami. Opróżnione puszki od konserw. Nadszedł Igielnicki.

- Widzicie: obcy - oznajmił z ulgą Bartczak.

Oficer podniósł jedną z puszek, oglądając na wszystkie strony.

- Hm. Tak...

Bartczak przyjrzał się jej również uważnie. Przygasł od razu. Puszka niewątpliwie pochodziła z magazynu okrętowego. To samo dotyczyło pozostałych rzeczy. Tajemniczy pasażer musiał mieć

wspólnika wśród załogi. Jakiegokolwiek wątpliwości co do tego stanowiłyby jedynie niedorzeczną próbę okłamywania samego siebie. Wspiął się ociężale po żelaznych stopniach trapu.

Gdy wyszedł na pokład, uderzył go jaskrawy blask słońca. Zmrużył oczy. Dochodząc do spardecku, powiódł dookoła wzrokiem. Wydało mu się, jakby wszystko tonęło w lekkiej, ruchliwej mgiele. Nie miał pewności, czy tylko słońce jest tego przyczyną.

Opanowało go przygnębiające uczucie. Otoczenie, które dotychczas było tak bliskie sercu, nagle zaczęło tchnąć niemal wrogą obcością.

Wszedł do kabiny, pozostawiając drzwi otwarte na oścież. Stał przez chwilę niezdecydowany, jakby nie wiedząc, co dalej począć. Wreszcie przesunął ręką po twarzy.

Opadł na fotel, wyjmując z szuflady biurka arkusz papieru.

Trzeba pisać protokół... Zapatrzył się niewidzącymi oczyma w ciemny kąt.

## XVIII

Sielawa z Gwoździem wrócili na pokład wczesnym zmierzchem.

Bosman Bociański obracał ze zdziwieniem przepustki w palcach. Zmarnować dwie godziny upragnionego pobytu na lądzie?

- Co się stało?

Sielawa w kilku nerwowych słowach opowiedział o wszystkim, policzki jego płonęły ciemną czerwienią.

Bociańskiemu nie mogło się to pomieścić w głowie. Rzeżucha?

- Musicie o wszystkim zameldować kapitanowi - polecił.

- Jasne.

Z góry byli na to obydwaj przygotowani. Bartczak zerwał się z fotela.

- Rzeżucha? Jak mogli dać wiarę takiemu oskarżeniu? Dość na niego spojrzeć. Wierutna bzdura. Raczej bym uwierzył, że sam napadłem w biały dzień na jakąś staruszkę - biegał zdenerwowany po kabynie. Więc jeszcze i to! Co za jakaś przekłeta „smuga cieniah. - Zaczął drżącymi z niecierpliwości rękoma wkładać kurtkę wyjściowego munduru.

- Ale chyba raczej nie teraz - Igielnicki popatrzył wymownie na zegarek.

Bartczak nagle ostygł.

- Prawda - powolnymi ruchami zaczął odpinać z powrotem guziki - za późno... Gdy jednak pomyślę, że Rzeżucha... - Sięgnął po papierosa, obejrzał go na wszystkie strony i odłożył z powrotem z taką miną, jakby tylko po to właśnie wyjął go ze skrzyneczki. - Człowieka po prostu diabli biorą.

- Jutro też dzień - Igielnicki gładził niezbyt wyraźny kant spodni. - Wyruszymy z samego rana. Swego

czasu miał tu kancelarię pewien adwokat. Całkiem przyzwoity gość... Może jeszcze siedzi na miejscu...

## XIX

Już po sposobie, w jaki Bartczak wchodził na trap, wszyscy poznali, że sprawa nie wygląda dobrze.

Bo jeżeli chodzi o Igielnickiego... Kto by tam potrafił na podstawie jego zachowania cokolwiek wywnioskować.

Bartczak był straszliwie zmęczony. Twarz lśniła od potu. Ocierał ją zresztą ustawicznie.

Nie poszedł do kabiny. Trzcinowy fotel, ustawiony na rufie, zatrzeszczał od impetu, z jakim usiadł.

- Żeby to szlag! - zaklął wściekle przez zęby.

Skinął ręką na stewarda.

- Wody z lodem. I żeby więcej lodu niż wody...

- I co? - zapytał, podchodząc, Sikora.

Przez cały czas oczekiwania na ich powrót nie miał ani chwili spokoju.

- I nic - burknął Bartczak, sięgając ku podsuwanej przez stewarda tace. - Biegaliśmy z wywieszonymi językami na podobieństwo chartów. Jak na złość żadnej taksówki. Żeby nie Igielnicki, nie wiem, czy nie padłbym gdzieś po drodze. Skwar, że dusza w człowieku paruje... Adwokat, sędzia, konsul, prezes. Gdzieśmy zresztą nie byli...

Sikora posmutniał do reszty. Wciąż jeszcze miał jakąś tam nikłą iskierkę nadziei.

- Wszystko bez skutku?

- Otóż to. Sędzia uparty niczym muł. Na wszystko jedna odpowiedź: „Musimy zaprowadzić porządek w naszym mieście. Port, płynny element i tak dalej. Ani chciał słyszeć o poręczeniu czy też kaucji. „Żeby to miejscowy obywatel, ale tak...h

Prezes tylko rozkłada ręce. „Nie mogę interweniować. Decyzja należy do sędziego. Jakby to wyglądało? Zresztą dowody...h

Konsula o mało nie trafiła apopleksja. Gadajże tu z takimi.

- A odwołanie?

- Owszem, wywieździeliśmy się dokładnie. Nikt nam nie odbiera tego prawa. Tylko... - kręcił guzik mundurowej kurtki z taką zawziętością, jakby zamierzał go urwać - zanim apelacja wejdzie na wokandę, kara zostanie już odbyta. Ferie. Tak - puścił wreszcie guzik, sięgając znów po szklanę.

Sikora tarł nerwowo kłamrę paska.

- To przecież bezczelna prowokacja - wybuchnął.

Igielnicki popatrzył gdzieś w przestrzeń.

- I co z tego? Pierwsza, jaka się zdarzyła? Albo... ostatnia? Są przecież ludzie, dla których stanowi chleb powszedni.

- Tak - Sikora oparł się o poręcz nadburcia - słusznie.

- Milczał przez dłuższą chwilę, przeżuwał słowa napływające na język. Nie wypowiedział ich jednak. Czy nawet te najdobitniejsze zdołają w czymkolwiek zmienić sytuację? - Oni to gotowi rozdmuchać - odezwał się wreszcie. Głos brzmiał matowo. Widział już oczyma wyobraźni wydrukowane wielkimi czcionkami tytuły artykułów: „Marynarze z komunistycznego statku napastują spokojnych przechodniów”. „Komunistyczni bandyci”. Diabli wiedzą co jeszcze takiego zdołają wymyślić. Prawdę mówiąc, żadna ze stron sobie nie żałowała. Wystarczyłoby tylko zamienić komunistów na kapitalistów i tytuły mogłyby zostać.

Igielnicki pokiwał powoli głową.

- Możemy być pewni, że tak właśnie będzie. Jakżeby nie skorzystać z tak sposobnej okazji? Zresztą, kto wie, czy sami jej nie sprokurowali? Bo jeśli się zastanowić dokładnie...

Palce Sikory zacisnęły się na poręczy. To wszystko było przecież okropne. A co najgorsze, nie widział żadnego sposobu, żeby zaradzić zagrażającej katastrofie.

Kaniewski powrócił na statek dopiero późnym wieczorem. Jeszcze miał godzinę do objęcia dyżuru.

- I jak tam lekarz? - zapytał Bartczak.

Do wszystkich kłopotów, jakie ostatnio spadły mu na głowę, dołączyła się troska o stan zdrowia drugiego oficera.

Twarz Kaniewskiego wydawała się jeszcze bardziej zmięta niż zazwyczaj.

- Lekarz? - dziwnie długo manipulował przy swej fajce. - Nnie... nic specjalnie ważnego. Ogólne osłabienie, to wszystko. Dał mi jakieś pigułki... Musiał przecież coś zrobić w zamian za pobrane honorarium... - przytknął zapalną do ubitego w fajce tytoniu.

- Osłabienie i nic więcej? - Bartczak popatrzył na niego z powątpiewaniem. - Wydawało mi się, że jednak coś poważniejszego. U kogo pan był?

Fajka nagle przestała ciągnąć. Kaniewski zabrał się z namaszczeniem do przepychania cybuszka.

- Co z Rzeżuchą? - podniósł wreszcie głowę.

Mogłoby się wydawać, że nawet nie dosłyszał ostatniego pytania Bartczaka.

Wysłuchał relacji z na wpół przymkniętymi oczyma. Tylko dym wylatujący z fajki świadczył, że nie spał.

- Cóż - otworzył leniwie oczy, gdy Bartczak skończył. - Pewno, że przykra sprawa. Ale ostatecznie dwa miesiące to jeszcze nie wieczność. A omyłki sądowe zdarzają się wszędzie. - Wstał z wyraźnym wysiłkiem. - No, na mnie już czas - spojrzął przelotnie na zegarek.

Wyszedł, powłócząc nogami.

Bartczak zamyślił się głęboko.

Tylko osłabienie? Nie wydaje się. Pewno trafił na jakiegoś konowala, który myśli jedynie o tym, jak tu naciągnąć pacjenta. Bo to brak takich?

Kaniewski dwukrotnie przekręcił klucz w zamku swej kabiny. Zasłony wisiały na bulajach jeszcze od nocy.

Przed objęciem dyżuru należało załatwić pewną rzecz. Niedobrze byłoby, gdyby ktoś go podpatrzył przy tej czynności. Nachylił się nad walizką.

- „U kogo pan był?” - skrzywił się sarkastycznie. - Ba... gdyby Bartczak wiedział...

### **III. DOKTOR JERZY KOSTRZEWA**

#### **I**

Natychmiast po powrocie do Gdyni Bartczak udał się na Komendę Milicji.

Gdy wszedł do wskazanego pokoju, zza biurka podniosła się znajoma postać. Major Miechowiec. Zetknął się z nim kiedyś przy jakiejś okazji. Wywarł wtedy na nim jak najlepsze wrażenie.

Major rozłożył przed sobą arkusze radiogramów. Liczne notatki pstrzące gęsto tekst świadczyły, że musiano nad nimi już nieźle pracować.

Przeszło dwie godziny wałkowali sprawę. Miechowiec często powracał do omówionych już okoliczności. Roztrzäsali wspólnie niemal każdą minutę trwania alarmu ogniowego.

- Czy nie usiłowano uszkodzić jeszcze czegoś więcej? Na przykład silników?

- Nie... W każdym razie nie otrzymałem żadnego meldunku o czymś podobnym.

Popielniczkę wypełniała sterta niedopałków. Major raz jeszcze przebiegł oczyma protokół, zastanawiając się nad każdym słowem.

- Więc absolutnie nikogo pan nie podejrzewa?

- Nikogo. I to jest właśnie najcięższe do strawienia. Zdawać sobie sprawę, że ktoś tuż obok, i nie wiedzieć kto... Chyba sam pan rozumie, majorze, co za piekielna sytuacja?

- Rozumiem... No, pomyślimy...

Po wyjściu kapitana major zaprosił do swego gabinetu Lerskiego. Uważał go za jednego z najzdolniejszych współpracowników. Niewiele ludzi mogłoby się pochwalić podobnie subtelną intuicją śledczą.

Podsunał mu protokół.

- To wszystko - wyjaśnił lakonicznie.

Lerski zapadł w fotelu, przybliżając arkusz do oczu. Pismo Miechowca stanowczo nie należało do najczytelniejszych. Studiował tak długo, jakby się chciał nauczyć całości na pamięć. Trwała cisza mącona jedynie trzaskiem pocieranych o pudełko zapalek. Lerski nie wyjmował papierosa z ust. Gdy zaś był czymś podniecony, gasły mu ustawicznie. Tak właśnie jak teraz.

Odłożył wreszcie papier na biurko.

- Niewiele da się z tego wycisnąć. - Zamyślił się głęboko.

- Kostrzewa - powiedział wreszcie.

Major spojrział zaskoczony.

- Przecież na urlopie i...

Głowa Lerskiego wykonała zgoła nieokreślony ruch.

- Tsss... - przydusił od dawna wygasły niedopałek w popielniczce - Wiem. Ma urlop i planuje odejście. Podobno nie po to się latami uczył i robił specjalizację, żeby teraz ganiać złodziei...

- Nie chodzi mi o formalności. Ale ostatnia robota go wykończyła.

- Sam wiem... Ale w tej sytuacji. Cóż... Niech mu pan powie, majorze, że mamy ciekawą i trudną do rozgryzienia sprawę. Niech sam zdecyduje, czy przerwać urlop.

Miechowiec sięgnął po słuchawkę telefoniczną.

- To ostatecznie można zrobić. Rzeczywiście nie przychodzi mi w tej chwili na myśl nikt poza nim, komu pasowałaby ta sprawa.

- Mnie także nie.

## II

Panna Krysia przytuliła się delikatnie do Kostrzewy. Niespodziewanie ktoś prześliznął się pomiędzy tańczącymi parami, dotykając jego ramienia.

- Zamiejskowy telefon, doktorze.

W oczach Krysi odmalował się głęboki zawód. Przecież to jej ulubione tango.

- Ale niech pan zaraz wraca, panie Jurku.

- Tak... zaraz... - myślał już o czym innym.

Sięgnął niecierpliwie po słuchawkę. To był Miechowiec. W mikrofonie zabrzęczało kilka zdawkowych słów. Kostrzewie jednak mówiły bardzo wiele.



- I jak? - zakończył Miechowiec.

- A warto pytać? Wracam.

Przez uchylone drzwi dobiegały dźwięki muzyki. Migały roztańczone sylwetki. Jakże to wszystko stało się nagle dalekie.

Żegnając się z panną Krysią, nawet nie zauważył, że jej zielonkawe oczy zmętniały od łez.

- Wyjeżdża pan? Tak nagle?

Udał westchnienie żalu. Uważał, że tak wypada.

- Trudno. Wzywają mnie na konsylium. Jakiś skomplikowany przypadek.

Pół godziny później maszerował już w stronę stacji. Pogwizdując do taktu, wymachiwał walizką w taki sposób, jakby nic nie ważyła.

A przecież niejeden by się ugiął pod jej ciężarem.

### III

Kostrzewa podniósł wreszcie głowę.

- Tak - bębnił w zamyśleniu palcem po sztywnej obwolucie akt - sprawa rzeczywiście osobliwego gatunku. Zupełnie jak w powieści kryminalnej.

Miechowiec powoli zapalał papierosa.

- Życie niekiedy przypomina sensacyjną powieść.

Słowa zabrzmiały tak sentencjonalnie, że Kostrzewa parsknął śmiechem.

- Albo na odwrót - skorygował. - W rezultacie na jedno wychodzi.

Szkicował jakieś zawiłe arabeski na marginesie notatnika.

- Posegregujmy fakty - spoważniał. - Punkt pierwszy - wykaligrafował jedynekę. - Cienie. Sądząc ze znalezionej w ładowni legowiska, był tylko jeden obcy. A cieni diabli wiedzą ile... Wyrastają jednocześnie w różnych zakątkach jak, nie przymierzając, grzyby po deszczu. I co najgorsza, nikt nie potrafi żadnego rozpoznać. Załoga - pod jedyneką wyrosła z kolei dwójka. - Otóż to. Puszki od konserw wystawiają komuś niezbyt pochlebne świadectwo. Powiedzmy nawet: całkiem niepochlebne. Komu jednak? Na to pytanie ani śladu odpowiedzi. Jednym słowem niewiadoma. - Wyrysował wielkie X. - Płonący mazut, radio, wizyta w kapitańskiej kajucie. Ale... - zamyślił się, obwodząc cyfry kółkami. - Coś tu jednak nie gra. Nie możemy zakładać, że przestępca psocił na chybił trafił. We wszystkich jego czynnościach musimy się doszukiwać jakiejś konsekwencji. Czyż nie tak?

- Całkiem zrozumiałe. - Miechowiec śledził rozważania Kostrzewy ze skupioną uwagą.

- No więc. A tu, jeżeli o nią chodzi... Alarm ogniowy i wizyta u kapitana pasują do siebie jak dwie

rękawiczki z tej samej pary. Musiał wywabić Bartczaka i odwrócić ogólną uwagę, by móc się tam dostać. To, tak. Ale radio? Z czym to właściwe powiązać? Bo ani z pożarem, ani z włamaniem do kapitana. Tkwi tu jakaś luka, której nie potrafię zrozumieć. Bo gdyby chodziło o uszkodzenie maszyn czy coś w tym rodzaju...

- I mnie to wpadło na myśl. Pytałem Bartczaka...

Kostrzewa przerwał bezceremonialnie.

- Zauważyłem. Nie złożono żadnego meldunku. Czyż to jednak dowodzi, że nie było również włamania? Wspólnik w maszynowni?... - potrząsnął głową. - Zapędziłem się - przyznał z nieco speszonym uśmiechem - przecież maszyny nie zostały uszkodzone. Cóż to za jakaś wariacka łamigłówka. Jeśliby zaś połączyć radio z tym samobójczym sampanem? - spojrzał w sufit.

Miechowiec aż się przechylił nad biurkiem.

- Uważasz, że to należy do tej samej serii?

- Nie... Nic jeszcze nie uważam. Szukam jedynie nici. Ale... - potarł czoło - gdyby nawet dopuścić taką możliwość, też by niewiele pomogło. Nie zgadza się czas akcji. Nie możemy uważać sabotażysty za ostatniego idiotę...

Zastanawiał się jeszcze przez kilkanaście minut. W końcu z rezygnacją wzruszył ramionami.

- Nie... nie potrafię tego rozgryźć. Przynajmniej na razie.

- Więc się tym zajmiesz?

Kostrzewa spojrzał na niego z nieukrywanym zdumieniem.

- Jak to: czy się zajmę? Oczywiście. Nie przesadziłeś, majorze, ani trochę. Orzeszek mocno pancerny. Jak nic, można sobie na nim połamać wszystkie zęby.

- Tak - zgodził się major. - Rzeczywiście. Rozgrywka będzie chyba wyjątkowo trudna.

Kostrzewa zerwał się z fotela.

- Ale za to tym ciekawsza. Nno - uśmiechnął się - zobaczymy...

#### IV

Przez szyby przesiąkała brudna szarość przedświt, gdy Kostrzewa wreszcie odłożył ostatnią teczkę akt personalnych. Zgasił lampę, otwierając na oścież okno. Powietrze w pokoju zgęstniało od dymu. Przeszedł się kilkakrotnie, rozprężając zdrętwiałe mięśnie.

Kilka stron notesu wypełniały szczelnie zygzaki nieczytelnych dla niewtajemniczonych oczu notatek.

Plon całonocnej pracy. A jego efektywna wartość? Niewiele tego było. Bardzo niewiele. Spojrzawszy przelotnie na zegarek, usiadł z powrotem. Należało wszystko jeszcze raz dokładnie

przetrawić. Bo może coś jednak przeoczył?

Załoga na „Jedności” zmieniała się rzadko. Większość pracowała na statku od dawna. Skoro więc poprzednio nie zdarzało się nic podejrzanego, należało przede wszystkim zwrócić uwagę na ostatnio zaokrętowanych.

Przed ostatnim rejsem na pokład przybyło dwóch nowych członków załogi. Bosman Zenon Kwieciński i radiotelegrafistka Lena Marska.

Bosman Kwieciński?

Chyba nie pozostało ani literki w jego dokumentach, której by nie przestudiował na wszystkie strony. Nie znalazł jednak najmniejszego punktu zaczepienia. Wykaz służby bez zarzutu. Opinia w samych superlatywach. Każdy szczegół wyrazisty, realny, łatwy do sprawdzenia.

Inaczej zupełnie wyglądały nieliczne dokumenty dotyczące Marskiej. Świadczenia szkolne to jeszcze nie wszystko. Życiorys? Córka nieżyjącego lekarza. Marski? Szperał w pamięci. Nazwisko było mu znane. Wreszcie przypomniał sobie. Chirurg. Pozostawił po sobie dwie czy trzy wcale wnikliwe rozprawki. Uchodził kiedyś za sławę w zakresie operacji jamy brzusznej. Szeroko był znany z wysokości pobieranych honorariów.

Dzieciństwo więc spędziła w znakomitych warunkach. A teraz?

Matka, pracownica jednego z uspołecznionych przedsiębiorstw. Stanowisko całkiem podrzędne. Niewiele chyba musiała tam zarabiać. Córka pobierała stypendium. Hm...

Ta historia z radiem. Dlaczego tak usilnie starała się nadać jej charakter przypadkowości?

Długo wpatrywał się w fotografię. Uroda przemawiała raczej przeciwko niej. W tej grze często posługują się tą niebezpieczną bronią. Nie trudno byłoby jej zawrócić komuś głowę przy takich warunkach zewnętrznych...

Ale to oczywiście tylko na niczym nieoparte przypuszczenia.

Znowu spojrzął na zegarek. Może Miechowiec już jest u siebie. Sporo spraw pozostało jeszcze do omówienia.

## V

- I cóż - Miechowiec podniósł głowę, zerkając spod oka na stertę obwolut, położonych przez Kostrzewę na biurku - niewiele z tego wszystkiego dało się wycisnąć?

- Tyle co nic - przyznał smętnie Kostrzewa, zapadając w fotel. - Powiedz mi - zajrzał do notatek - jak się przedstawia właściwie sprawa z Marską?

- Doskonałe opinie...

- Szkolne - uśmiechnął się lekceważąco. - Niebezpiecznie zbyt dużo budować na takich fundamentach. Dane zresztą tak szczupłe...

- Cóż... To dopiero jej pierwsza praca.

- Wiem. Ale jeżeli chodzi o materiał niezawarty w aktach?

- Wszystko w porządku. Chodzi o tę historię z żelazem w nadajniku?

Kostrzewa pogładził palcem oparcie fotela.

- To także. Niezależnie jednak od wszystkiego pragnąłbym mieć jak najbardziej szczegółowy materiał dotyczący każdego z członków załogi.

Major zmrużył lekko oczy.

- Jasne. Ano sprzedaję, za co kupiłem. Żadnej marży zarobkowej. W tej szufladzie nie posiadam niestety niczego więcej na składzie.

- Trudno - Kostrzewa przez chwilę wertował notatki. - Teraz, jeżeli chodzi o drugiego oficera, Kaniewskiego?

Miechowiec zastanowił się.

- Hm - odchrząknął z namysłem - także nic zwracającego uwagę. To... doskonały fachowiec.

Kostrzewa poruszył się niecierpliwie w fotelu.

- Owszem, przejrzałem jego akta. Długo przebywał za granicą?

- Tak... dość długo.

- I wrócił późno... Już po zakończeniu ogólnej akcji reemigracyjnej.

- Zgadza się.

Kostrzewa wstał, podchodząc do biurka.

- Tymczasem to wszystko. Kiedy „Jednośch wypływa?

- Za trzy i pół dnia. Poznam cię z kapitanem Bartczakiem.

- Nie.

Major spojrzał wyraźnie zaskoczony.

- Jak to: nie? Nie chcesz go w ogóle poznać?

Kostrzewa oparł dłonie o kant biurka.

- Strzał w dziesiątkę. Pragnąłbym, by moja misja pozostała absolutną tajemnicą.

- Nawet wobec kapitana?

- Wobec wszystkich.

Major machinalnym ruchem ujął ołówek, przyjrzał mu się z uwagą i odłożył z powrotem na biurko.

- To będzie dosyć trudne.

- Wasza rzecz, w jaki sposób to zrobicie. Jak wiadomo, mam swoje zasady. Zresztą - uśmiechnął się z odrobiną złośliwości - nie sędzę, to było tak absolutnie pozbawione racji. Weźmy choćby sprawę z morską strażą ogniową.

- Słusznie - major wcisnął plecy w oparcie fotela - słusznie. - Ogarnęło go coś w rodzaju zmieszania. Wtedy też o misji Kostrzewy wiedział tylko jeden jedyny człowiek. Wydawało się, że godny najwyższego zaufania. A przecież właśnie z tego powodu Kostrzewa ledwie uszedł z życiem. I tak przeleżał sporo czasu w szpitalu. Ale jeżeli chodzi o Bartczaka? W tym wypadku ostrożność wydawała się najzupełniej nieuzasadniona. Skoro jednak Kostrzewa uważa, że mu to ułatwi robotę...

- Postaramy się to jakoś załatwić - oznajmił wreszcie.

- Dziękuję.

- Zaokrętujesz się jako pomocnik felczera.

- Pomocnik felczera? - przeciągnął ze zdziwieniem. - Czy w ogóle jest takie stanowisko?

- Dotychczas nie było. Ale to głupstwo. Teraz będzie. Rozmawiałem już w tej sprawie z Zarządem Żeglugi.

- Rozmawiałeś? Tak. Więc jeszcze jeden dodatkowy powód, by „Jednośch nie miała również i w przyszłości pomocnika felczera, skoro dotychczas bez niego się obywatela.

Miechowiec potarł z zakłopotaniem brew.

- W takim razie wpakujemy cię na jakiegoś oficera administracyjnego.

Kostrzewa znowu potrząsnął odmownie głową.

- Także nie pasuje. Wolałbym wejść tam jako zwykły marynarz pokładowy. Największa swoboda ruchów. Sprawdźcie, czy nie ma jakiegoś wolnego miejsca.

Major sięgnął do słuchawki telefonicznej. Zatrzymał jednak rękę z wahaniem.

- Ale... hm...

- Jakieś zastrzeżenia?

- Jednak... Taki marynarz pokładowy musi umieć sporo różnych rzeczy. Bartczak nie wzięłby pełnego nowicjusza. A udawać marynarza z jakim takim stażem... - wzruszył ramionami. - Z miejsca by cię rozszyfrował.

- Tylko nie myśl, że jestem znów takim zupełnym żółtodziobem. Sporo pływałem na jachcie.

- Na jachcie? - powtórzył z powątpiewaniem. - Masz chociaż dyplom sternika?

- Hm... prawdę mówiąc...

- Czyli nie. Zresztą... - sięgnął po papierosa - w rezultacie niewielka różnica. Pokład transportowca to nie jacht.

Kostrzewa spowaźniał.

- Pewno, że nie. Ale może jakoś przez te trzy dni zdołam się wgryźć w tajniki marynarskiej służby.

- Przez trzy dni? - powtórzył niedowierzająco Miechowiec. - Nawet przy twoich możliwościach trzeba by na to całych tygodni. Jeżeli już nie miesięcy.

Kostrzewa przysiadł na poręczu fotela.

- Tygodnie, miesiące? Cóż jednak począć, jeżeli ich nie mamy do dyspozycji? Mus, majorze, to doskonały środek na redukcję czasu, proszę mi wierzyć. Zresztą siedemdziesiąt dwie godziny to wcale nie tak mało.

- Bardzo mało.

Kostrzewa podniósł rękę.

- Mam - zawołał triumfalnie - Kociuba!

W oczach majora zapłonęły światełka. To był doskonały pomysł. Człowiek, który zęby zjadł w pracy na wszelkiego typu statkach, zanim przeszedł do służby w milicji. Mógł pomóc w realizacji wariackiego planu. A co najważniejsze, nie będzie się bawić w żadne delikatności. Jeżeli uzna, że projekt nie rokuje szans powodzenia, powie to bez ogródek. I wtedy Kostrzewa będzie musiał poszukać jakiegoś innego wyjścia.

Zajrzał do notatnika.

- Dobrze. Na szczęście akurat nie ma żadnej sprawy, w której nie mógłby go zastąpić ktoś inny. Odkomenderuję go do ciebie na te całe trzy dni.

- Trzy doby - poprawił Kostrzewa. Roześmiał się.

- Niech będzie trzy doby.

Ładna zapowiada się zabawa - pomyślał. Jeden desperat, drugiemu też niewiele brakuje. Nie chciałby być w skórze żadnego z nich przez te godziny szkolenia. Wypompują się nawzajem do końca.

- Miałeś zapytać w Żegludze, czy jest miejsce dla marynarza - przypomniał Kostrzewa. - Wolałbym, żeby to wyglądało zupełnie naturalnie.

- Aha... jeszcze jedno - powstrzymał majora, gdy ten już ujął słuchawkę. - W sprawie tego pomocnika felczera najlepiej powiedzieć, że na razie nieaktualne, ale że skorzystasz z tego w następnym rejsie. Lepiej, żeby nie wpadło im na myśl kojarzyć tych dwóch spraw.

Miechowicz wykręcił numer. Zamienił kilka słów i odłożył słuchawkę.

- Masz szczęście. Bartczak zgłosił zapotrzebowanie na marynarza pokładowego.

Kostrzewa ucieszył się.

- Znakomicie. Wszystko gra. A że akurat na pokład wejdzie twój pokorny sługa zamiast prawdziwego marynarza, nikt nie musi wiedzieć. Postaraj się, majorze, jak najmniej oficjalną drogą - Bardzo mi na tym zależy.

- Cóż z tobą począć, doktorze - westchnął z udaną rezygnacją - trzeba będzie kombinować.

## VI

Miechowicz patrzył na Kostrzewę szeroko rozwartymi ze zdumienia oczyma. Co z tego człowieka zostało po tych trzech dniach. Musieli wziąć prawdziwie wariackie tempo...

- Wyglądasz jak po ciężkiej chorobie - pokiwał współczująco głową. - Połowa z ciebie została.

Kostrzewa opadł ciężko na fotel. Każdy najmniejszy muskuł w całym ciele dawał boleśnie znać o swoim istnieniu.

Uśmiech, którym pokwitował tę uwagę, wypadł nader blado.

- Trudno... Musi wystarczyć to, co pozostało...

- A co mówi Kociuba?

Kostrzewa powtórzył dosłownie: „Jeżeli na tym twoim statku wszyscy, poczynając od kapitana, a kończąc na ostatnim wyskrobku, są ślepi i głusi, to może obleciah.

Major w pierwszej chwili roześmiał się, potem spoważniał. Znał dobrze Kociubę. Skoro tak powiedział, znaczyło, że uznał Kostrzewę za dostatecznie przygotowanego do odegrania zamierzonej roli.

- Teraz się nie dziwię, że tak wyglądasz.

Kostrzewa z wysiłkiem podnosił powieki. Zapalił papierosa, zaciągając się głęboko. Dopiero byłby skandal, gdyby tu nagle zasnął.

- Załatwiłeś?

- Jakżeby nie - podał mu pękata kopertę. - Od tej chwili jesteś marynarzem pokładowym, który poprzednio pływał na „Heluh. Zostałeś z niego zwolniony przed miesiącem dla przeprowadzenia kuracji. Oto świadectwo z sanatorium, stwierdzające zdolność do służby. Lipne - dodał cicho.

- A reszta prawdziwa? - Kostrzewa bez przerwy walczył z sennością. Był tak wykończony, że nie potrafił się zdobyć nawet na przejrzenie zawartości koperty.

- Jak najbardziej. Twój imiennik, Jerzy Kotera, widzisz - uśmiechnął się żartobliwie - pamiętaliśmy nawet o zgodności inicjałów, przebywa nadal w sanatorium. Zgodził się na zupełne odcięcie od

świata zewnętrznego. Ani listów, ani odwiedzin - nic. Przecież okrętuje się na „Jednośch. To nie ma znaczenia, że przez zastępcę w twojej osobie. Dla wszystkich wypływa w daleki rejs.

- Hmm - Kostrzewa tarł powieki. - A jakieś przypadkowe spotkanie grożące zdemaskowaniem?

- Wykluczone. Sprawdziliśmy to jak najdokładniej. „Helh odpłynął do Afryki i wróci dopiero za sześć miesięcy. Nasz... hm... wysłannik maglował nieboraka przez parę godzin, dopytując o wszystkich należących do załogi „Jednośch. Nie tylko, że nikogo z nich nie zna osobiście, ale nawet z widzenia.

- Nie domyśla się, o co chodzi?

Major potrząsnął głową.

- Ani mu nawet przez myśl nie przejdzie. Oczywiście, oprócz nazwisk figurujących na liście „Jednośch poruszono dla kamuflażu również i wiele innych. Czy ty nas masz za ostatnich niedołęgów?

- Znajomi w porcie? Jakaś dziewczyna?

- Nic. Trzy miesiące trwał ostatni rejs, miesiąc pobytu w sanatorium. Wszystkie nici zdążyły się pozrywać. Zresztą jeżeli istniały kiedykolwiek, to raczej w Szczecinie. Tam bowiem „Helh ma swój port macierzysty.

Kostrzewa zakolysał sennie głową.

- Chytrze - skonstatował z uznaniem. - Bardzo chytrze...

- No, widzisz. A ty nas zawsze podejrzewasz o najgorsze.

Kostrzewa zamrugał oczyma. Chyba dłużej już nie wytrzyma. Jeszcze chwila i dziobnie nosem w biurko majora.

- Nie... Skąd... Wręcz przeciwnie. A kiedy... - z trudem stłumił ziewnięcie - a kiedy mam się zaokrętować?

- Pojutrze. Termin wyjścia w morze przesunięto o dobę. Zaokrętowanie zostało załatwione zgodnie z twoim życzeniem. Nikt nic nie podejrzewa.

- Dziękuję... - Kostrzewa podniósł się niemrawo z fotela. - Dopiero pojutrze - miał taką minę, jakby rozmyślał o czymś niezmiernie przyjemnym. - To bardzo dobrze.

Spał bez przebudzenia równe dwadzieścia cztery godziny.

## VII

Kostrzewa czuł się jednak mocno niewyraźnie, gdy wchodził po trapie. Diabli wiedzą jak to wszystko będzie. Skóra marynarza jeszcze nie zdążyła do niego przyrosnąć. Mogło się zdarzyć, że w ogóle nie będzie pasować.



Meldunek złożył ni to służbiście, ni to nonszalancko. Tak, jak go uczył Kociuba.

Obserwował nieznacznie twarz kapitana. Nie zauważył jednak żadnego szczególnego wyrazu. Widocznie poszło jak należy.

Potem dyżurny oficer. Gospodarczy. Wreszcie bosman dowodzący wachtą, do której otrzymał przydział.

Nowi koledzy obserwowali przybysza spod oka, zachowując wobec niego pełną powściągliwość rezerwy.

Szkolenie Kociuby uwzględniało z drobiazgową szczegółowością pierwsze kroki nowo zaokrętowanego marynarza. Bo właśnie w tych momentach każdy ruch nowicjusza podlegał bacznej obserwacji kolegów. I jakieś bardziej jaskrawe odchylenie od panujących w marynarce handlowej zwyczajów mogłoby łatwo zwrócić uwagę. A od tego do podejrzeń tylko jeden mały krok.

Kostrzewa zdawał sobie z tego doskonale sprawę, dostosowując się ściśle do wskazówek Kociuby.

Rozpakował kuferek. Zbadał miękkość pościela na przydzielonej koi. Pomacał oba koce, każdy oddzielnie. Mruknął: „Mogłyby być trochę grubsze. Wreszcie z nieco sztuczną nonszalancją wszedł do mesy.

Zapoznał się z sąsiadami przy stole. Wymienił parę zdawkowych zdań. Długo smakował zawartość pierwszej łyżki. Odchrząknął znacząco, dając w ten sposób dyskretnie do zrozumienia, że jednak kuchnia na „Heluh była o wiele lepsza.

Gdy opuszczał mesę, na pokład wracali właśnie z lądu marynarze. Zapoznał się z nimi.

- Foryś - przedstawił się jasnooki olbrzym, przytrzymując jego rękę. - Kotera? - zmarszczył brwi. Widać było, że szuka czegoś usilnie w pamięci.

Kostrzewa zdrętwiał. Czyżby znał prawdziwego Koterę?

Foryś wciąż wpatrywał się z natężeniem w jego twarz. Kostrzewa tylko wieloletniej wprawie zawdzięczał, że wyraz jej pozostał niezmienny.

- Imię jakoś na jot? - Foryś wciąż nie wypuszczał jego ręki - Chyba... Józef?

- Jerzy - sprostował z uprzejmym uśmiechem.

Sam tylko wiedział, ile go ten uśmiech kosztował. Lada chwila wybuchnie skandal, który zniweczy cały plan. Marynarz nie wyglądał na takiego, który da sobie coś wmówić.

- Nie - Foryś potrząsnął uparcie głową. - Na pewno Józef... Chociaż... - zamyślił się. - Mam! - zawołał wreszcie z taką miną, jakby właśnie w tej chwili rozwiązał trudną zagadkę. - Józef Kotyra... Albo Kotyrba... Ale to nie ty... - głos wyrażał rozczarowanie.

Kostrzewa roześmiał się na całe gardło. Z trudem jedynie zamaskował uczucie ulgi.

- Niestety, nie.

- Tamten zresztą - Foryś zawtórował śmiechem - był od was niższy o głowę i sporo szerszy w ramionach...

- Uff - odsapnął Kostrzewa, gdy wreszcie pozostał sam. To nie były łatwe chwile. Czuł się, jakby wyszedł z rozprężonej łaźni.

Z pozostałymi marynarzami zawarcie znajomości przeszło gładko.

W kilka chwil po zajęciu miejsca na koi z ust jego zaczął wypływać równomierny oddech, zdający się świadczyć o głębokim śnie.

Długo jednak nie mógł zasnąć, rozmyślając nad sytuacją.

## VIII

- Profesor Tomsky - oznajmił łysy szef.

- Ten z Kalifornijskiego Instytutu Badań Atomowych? - zapytał wojskowy.

- Właśnie ten.

- A cóż on ma wspólnego z tym pudłem? Czyżby chciał nim popłynąć?

- Otóż to... Oświadczył to mediom.

Lekkie wzruszenie ramion.

- Nie czytałem. Ale gdyby nawet, to nie rozumiem... Brak mu innych środków lokomocji?

- To bardzo uparty, hm... gentleman. Będzie czekał właśnie na ten statek.

Zasuszony jegomość w fotelu poruszył się niespokojnie.

- On... To jeden z najwybitniejszych uczonych w tej dziedzinie... Nie chodzi oczywiście o notatki, te ostatecznie... - ale ile ma w głowie. Cóż zresztą dziwnego? Sam przecież do wszystkiego doszedł. A jak zajrzeć pod czaszkę?

Wojskowy niecierpliwie pocierał czoło.

- Wciąż jeszcze nie rozumiem... Łysy szef wznosił oczy ku sufitowi.

W naszym mieście nie brak pewnych ludzi, którzy nie mogą się pogodzić z powrotem do jednego z komunistycznych krajów tak wybitnego uczonego. Tym bardziej że sprawa dotyczy badań atomowych. Są to absolutnie prywatni obywatele. No, może się zdarzyć rozmaicie. My oczywiście nic z tym wszystkim wspólnego nie mamy.

Wojskowy w cywilu parsknął bezceremonialnie.

- Możecie to tłumaczyć komu innemu. - Z rozbawioną miną zapalał cygaro. - Teraz wreszcie rozumiem, dlaczego pragniecie za wszelką cenę zyskać na czasie.

- Za wszelką? - powtórzył okularnik. - Raczej nie. Chodzi o to, by wszystko miało pozory legalności. Roześmiał się.

- Nonsens. W jaki sposób niby zamierzacie to urządzić?

- To jest... Żeby nie miało pozorów nielegalności - poprawił się po chwili namysłu.

- Także, choćbyście mnie zabili na miejscu, nie widzę możliwości.

Kościany dziadek w fotelu poruszył się lekko.

- Określiłbym to cokolwiek odmiennie. Rzecz w tym, by wykluczyć możliwość wykrycia związków pomiędzy pewnymi, choć, niezupełnie legalnymi środkami a legalnymi celami.

Sięgnął po kieliszek, chlepcząc drobnymi łyżkami aromatyczny napój grający wszystkimi kolorami tęczy.

Wargi wojskowego poruszyły się bezgłośnie, jakby powtarzał po cichu słowa prawnika.

- Świetnie! - zawołał wreszcie. - Moje uznanie. Niech mnie pierwsza bomba rozerwie, jeżeli to nie zostało doskonale sformułowane. „Niezupełnie legalne środki - powtórzył z zachwytem.

#### IV. SYTUACJA ZACZYNA SIĘ GMATWAĆ

##### I

Kostrzewa nieraz w tym czasie wspominał z głęboką wdzięcznością Kociubę. Bo przecież jedynie dzięki niemu uniknął dotąd niejednego fałszywego kroku. Wszystko poszło gładko, zarówno podczas postoju w porcie, jak również na pełnym morzu.

Każda godzina pobytu na statku zwiększała jego pewność siebie. Czyż nie potrafi wykonać czegokolwiek, co należy do obowiązków marynarza pokładowego? Sądził zresztą, że wykonuje je nie najgorzej. Potwierdzały to oczy kolegów, wyraz twarzy bosmana, zachowanie innych zwierzchników. Już trzeciego dnia po zaokrętowaniu usłyszał przypadkowo urywek rozmowy Bociańskiego z dyżurnym oficerem.

Gdy padło nazwisko Kotera, przystanął niezauważony przez nich. Nasłuchiwał, walcząc z niepokojem. To mogło być niezmiernie ważne. Bo jeżeli jakieś podejrzenie...

Zaraz, jednak następne słowa uspokoiły go w zupełności.

- To dobry nabytek - oświadczył z przekonaniem głos Bociańskiego.

- Tak - potwierdził oficer. - I ja tak uważam. No, cóż chcecie. Na „Heluh oferma nie zagrzałyby długo miejsca. Kapitan Szalski...

Kotera odszedł. Nic ciekawego...

„Kapitan Szalski? Popatrzył z uśmiechem na grzywiaste fale. Suchy jak szczapa impetyk z wiecznie czerwonymi plamami na policzkach. Co tam zresztą kapitan. Każdego z członków załogi M/S „Helh

mógłby opisać tak dokładnie, jakby rzeczywiście spędził z nimi wiele miesięcy na statku. Wygląd, przyzwyczajenia, nawet charakterystyczne powiedzonka. A przecież żadnego z nich nie widział nigdy na oczy. Kosztowało go to parę godzin wytężonych studiów, za to teraz nie obawiał się pod tym względem najmniejszego niebezpieczeństwa. Trudno by go było czymkolwiek zaskoczyć. Chyba, żeby któryś stanął niespodziewanie we własnej osobie tuż przed nim. Ale ta ewentualność należała raczej do zupełnie nieprawdopodobnych.

Z kolegami zżywał się coraz bardziej. Do szybszego przełamania lodów przyczynił się prawdopodobnie również niemały zapas świetnych anegdotek, którymi hojnie szafował.

Kiedy opowiedział pierwszą, patrzono na niego trochę podejrzliwie. Szczególnie młodszy. Może chce z nich zakpić? Różne typy zdarzały się wśród tych, którzy tak długo pływali po wszelakich morzach.

Ale za to potem. Parę wspólnych posiłków wystarczyło, by mu wyrobić niezawodną markę.

Gdy tylko marynarskim ruchem odsuwał opróżniony talerz, przybierając odpowiednio poważną minę, wszyscy się ozywiali. Ten i ów uśmiechał się na kredyt.

- Opowiedz o tym chłopie, który zamiast mąki przywiózł do domu babę - żądał Foryś.

- Nie, lepiej o mnichu - protestował Gwóźdź. Kostrzewa jednak nigdy nie powtarzał opowiadanych już raz dowcipów. Tego, co umiał, powinno było wystarczyć choćby i na parę rejsów. Nawet bez zbytniego skąpstwa.

Sztywniał w takich chwilach jeszcze bardziej. Twarz przybierała całkiem drewniany wyraz. Wiedział z doświadczenia, że nic bardziej nie zwiększa komizmu, jak śmiertelna powaga opowiadającego.

Pogoda była piękna. Załoga niewiele miała do roboty. Wieczorami wolni od służby gromadzili się na pokładzie. Trochę palono, trochę gadano. Za burtą monotonnie rozlewny, a przecież jakby naszeptujący wciąż coś nowego, szum morza. Na granatowej płachcie nieba srebrne ćwieki gwiazd. Od wody ciągnął pachnący solą i jodem ożywczy powiew.

W takich chwilach ogarniało ich dziwne rozleniwienie. Nikomu nie chciało się opowiadać kawałów. Nikomu nie chciało się ich słuchać. Na myśl przychodziły wspomnienia przygód przeżytych w dalekich zakątkach kuli ziemskiej. Choć opowiadane szorstkimi w swej zwężonej prostocie słowami, aż skrzyły od bogactwa egzotycznych barw.

Niekiedy Foryś przygrywał na harmonii. Dobrze grał. Rzewne tony budziły w słuchaczach odzew tęsknych myśli. Słowa wtedy stawały się matowe, czasami chropowate od tłumionego wzruszenia, albo przybierały wręcz tajemnicze brzmienie.

W miarę jak gęstniał mrok, opowiadania coraz częściej sięgały do tematów budzących dreszcz emocji. Niektóre aż pulsowały niesamowitością. I im bardziej wydawały się niedorzeczne, tym większe zyskiwały uznanie.

Kostrzewa nie pozostawał w tyle. Nie podróżował wprawdzie w rzeczywistości po zamorskich krajach, za to dużo czytał. Posiadał wrodzony dar narracyjny. Opowiadania jego wywoływały entuzjazm. W pewnych bardziej sensacyjnych momentach słuchacze przysuwali się bliżej, aby nie

stracić choćby słówka.

Po którymś z kolei opowiadaniu zaryzykował wreszcie zarzucić haczyk. Trzeba było przecież kiedyś zacząć. Integracja się z otoczeniem nie mogła trwać w nieskończoność. Przebywał na statku już dobre kilkadziesiąt godzin i nie ruszył z miejsca nawet o marny cal.

- Wiecie... - zaczął z tajemniczą miną. - To było, kiedy jeszcze jako młodzik pływałem na „Jastarnih...”

Historia była długa i aż ociekała od grozy. Chodziło w niej o jakiegoś zwariowanego marynarza, który włóczył się nocami po pokładzie: w końcu o mały włos nie poderzwał gardła kapitanowi.

Gdy węszenie skończył, przesunął ukradkiem spojrzenie po twarzach marynarzy: czy analogia nie wypadła zbyt przejrzysto. Bo jeśli zauważą fastrygę, którą to wszystko naprędce ześcibolił...

Nie zauważyli...

Opowiadanie wywarło wrażenie. Oczy lśniły z emocji. Długo milczeli. Sam zresztą się przejął. Lepiej, że tak. Przynęta na haczyku sprawi przez to bardziej autentyczne wrażenie. Czy tylko aby chwyci?

- Mhm... - odchrząknął wreszcie Konkiel - takie coś zdarza się czasem.

- Tak - potwierdził, tarmosząc koniec ucha, Foryś. - Nawe choćby i u nas...

- Co? - Kostrzewa udał bezmierne zdumienie. - I na waszym - przepraszam - poprawił się - chciałem powiedzieć: na naszym korycie jakiś wariat chciał poderznąć staremu grdykę?

- Nie - zaprzeczył Sielawa. - Niezupełnie. Ale jeżeli chodzi o jakieś coś, co się włóczy po nocach...

- Jakie tam „coś” - zawołał pospiesznie Sorek - sabotażysta - tyle! Czyż nie znalazłem wtedy przy wyładunku...

- Tyś znalazł? - syknął Konkiel.

Musiał widocznie poczęstować Sorka solidną sujką, bo ten stęknął i przez parę minut nie zabierał głosu, jeżeli nie liczyć gniewnych pomruków.

- Niech Kondraciuk opowiada - zdecydował Sielawa. - On widział najlepiej.

Kondraciukowi nie przeszkadzali, czekając cierpliwie na swoją kolej. Konkielowi też dali spokojnie opowiedzieć o cieniu. Potem jednak zaczęli jeden przez drugiego. Nawet Sorek przyłączył swój głos do tego chóru. Zapomniał już o sujce.

Gdy się jednak zagalopował i zaczął zbyt koloryzować, osadzali go gniewnie: „Nie zmyślaj!h.

Kostrzewa słuchał z natężoną uwagą. Nie przerywał, nie zadawał żadnych pytań. Uważał, że tak będzie lepiej.

Segregował systematycznie wszystkie szczegóły w myśli. Niby to samo, co w protokole, a przecież

niejedna, niechby nawet dość subtelna, różnica. To także nie było pozbawione znaczenia. W tak zawikłanej sytuacji każdy najmniejszy drobiazg mógł naprowadzić na ślad.

Co innego sucha treść atramentowych zdań, a co innego żywa relacja ludzi, którzy mieli z tym bezpośrednio do czynienia.

## II

Do radiotelegrafisty Mańczaka należało się zabierać o wiele ostrożniej. Tu już nie było więzi kubryku i dowcipów opowiadanych przy wspólnych posiłkach w mesie.

Rozmowa na różne tematy po jednym z koncertów w świetlicy. Oczywiście wtedy Kostrzewa nie wtrącił ani słowa na interesujący go temat. Uważał, że na to jeszcze za wcześnie.

Potem prowadzili we dwóch dalszy ciąg dyskusji rozpoczętej po wyświetleniu w świetlicy nowego filmu.

Wreszcie uznał, że nadeszła sposobna okazja. Siedzieli właśnie nad szachownicą. Pogoda się zepsuła i statkiem porządnie huśtało.

- Przy nowoczesnej aparaturze - zaczął niby to mimochodem - choćby i największy sztorm to furda. Ale swego czasu bywało... - znowu snuł opowieść o „Jastarni. Na nieboszczkę najłatwiej wszystko zwalić. Kto tam sprawdzi. Tym razem zmyślił historię o nadajniku, który uległ uszkodzeniu wskutek chwiejby. - Nic zresztą dziwnego - zakończył. - Tam wszystko było podrutowane, że strach. Wam chyba nie może zagrozić nic w tym rodzaju? - rzucił niedbale.

Mańczak przygładził dłonią gładko ulizaną czuprynę.

- Ba... pewno - przestawił w zamyśleniu pionki warcabów - gdy się ma do czynienia z nowoczesnym sprzętem. Ale na naszej staruszce...

Opowiedział o zdarzeniu z kawałkiem żelaza. Kostrzewa roześmiał się niedowierzająco.

- Ee tam. Wolne żarty. Jakżeby to mogło trafić przypadkiem, choćby i przy największej chwiejbie? Pewnieście sami go tam wetknęli, a potem się zapomniało, co?

Prowokacja poskutkowała.

Mańczak aż się zakrztusił z oburzenia. Poczerwieniał gwałtownie. Czyż mógł ścierpieć tego rodzaju podejrzenie? Jak nic, gotowe rozejść się po całym statku. Ładnie by wtedy wyglądał w oczach załogi.

- Ja? Skądże! Coś takiego nie mogłoby mi się przydarzyć w żadnych okolicznościach. To zupełnie tak samo, jakby chirurg pozostawił narzędzie w brzuchu pacjenta.

Chirurg? Kostrzewa ledwo zdołał powstrzymać mimowolny uśmiech.

- W takim razie, jak to żelazo mogło tam trafić?

- Wyobraźcie sobie - Mańczak zaczął demonstrować za pomocą pionka - że to właśnie ten kawałek

żelaza. Leży na stoliku. Tu stoi radio. Ot, w taki sposób. Przechył statku. Nie był to jeszcze sztorm, ale zawsze porządna huśtawka. Naczynia tej nocy wylatywały z podstawek. No więc: żelazo podskakuje. Tu - nakreślił ruchem ręki - ściana. Wali w nią z rozmachem i rykoszetem prosto do pudła. Tym bardziej że wtedy przechył prawdopodobnie przeszedł już na przeciwległą burtę.

Kostrzewa obserwował z natężoną uwagą każdy najmniejszy ruch jego ręki. Wiedział z protokołów, że to nie on wymyślił, Marska, otóż to.

- Hmm... rykoszetem? Pudło nie miało tylnej ścianki?

- Miało. Ale cóż z niej, skoro nie była szczelnie nałożona? Zresztą tektura. Jeżeli walnąć żelazem...

Kostrzewa zmienił temat. Gdy jednak rozstawał się z Mańczakiem, w jego głowie sprawa Leny Marskiej nabrała znacznie bardziej wyrazistych barw. Bo ilustrowany przez Mańczaka przypadek wyglądał zgoła nieprawdopodobnie.

Postanowił zaraz następnego dnia znaleźć jakiś pretekst pozwalający skierować rozmowę na wydarzenia tamtej nocy. Uważał to za konieczne. Nie należało zwlekać.

Rola Marskiej rysowała się coraz mgliściej...

## V. NIEKTÓRZY LUDZIE NA STATKU

### I

Woda z głuchym chlupotem uderzała gdzieś za ścianą. Potem słyhać było, jak pluszcząc, przeciągle ściekała po żelazie. Chwilami wypukłe szkło iluminatora stawało się nagle ciemnozielone. Z niedokręconego kranu spadały ze szklanym dźwiękiem drobne kropelki, rozpryskując się o porcelanę umywalki. W kaloryferach coś cicho potrzaskiwało. Bulgotało przelewanie w rozkołysanej karafce. Zapach rozgrzanego metalu i lakieru głużył delikatną woń perfum czy czegoś w tym rodzaju.

Lena Marska siedziała przy małym stoliczku, opierając podbródek na splecionych dłoniach.

Czyjeś kroki nad głową. Gdzieś trzasnęły drzwi. Skądś dobiegały stłumione dźwięki melodii. I jednocześnie monotony w swej miarowości rytm pulsujących maszyn. Ten ostatni odgłos niemal nie docierał do świadomości. Był czymś nieodłącznie związanym z codziennym życiem jak szmer własnego oddechu, na który nie zwracało się uwagi.

A przecież podczas pierwszych dni pobytu na statku... Wtedy chwilami stawało się to po prostu nie do zniesienia. W takt pracy motorów dygotało wszystko dookoła. Sufit, podłoga, ściany, powietrze. Nawet nerwy, serce... teraz słyszała maszyny dopiero wtedy, gdy milkły, wytwarzając trudną do wypełnienia pustkę.

Była sama w kajucie. Współlokatorka, bufetowa Onyżko, miała akurat dyżur. Lepiej, że tak. Owszem, lubiła ją. Dobra serdeczna kobieta. Przyjemnie się niekiedy rozmawiało. Ale przychodzą takie chwile, że człowiek unika najmilszego choćby towarzystwa, pragnąc pozostać sam na sam ze swoimi myślami.

Zwłaszcza teraz. Cóż zresztą dziwnego, skoro...

Usiadła tu, by poczytać, jednak druk liter rozplynął się bez reszty we mgle przesłaniającej oczy.

Nie wiedzą. Jeszcze nie. Ale cóż z tego? Wystarczy jeden fałszywy krok. Jakże łatwo mogła go popełnić. Maskowanie to wcale nie taka prosta sprawa.

Rozmyślania przybierały coraz mroczniejszą barwę. Kłębiły się jak ciężkie, nabrzmiałe grozą chmury.

Po co się na to zgodziła? Po co?

Obiecała... Musi dotrzymać... Choć, gdyby... przesunęła ręką przed oczyma takim ruchem, jakby usiłowała zdjąć pajęczynę przeszkadzającą patrzyć. Podeszła do umywalki. Podłoga uciekała spod nóg. Rzuciło ją gwałtownie o krawędź koi. Pomasowała uderzony bok. Chwiejba się jeszcze bardziej wzmogła - skonstatowała apatycznie.

Zapatrzyła się niewidzącymi oczyma w białą taflę drzwi.

- Cóż - wzruszyła ramionami - trudno...

## II

Bufetowa Onyżko odłożyła ścierkę. Wszystko i tak lśniło jak nowe.

Przysiadła na stołku. Oparła łokcie o blaszany kontuar. O tej porze niewiele było do roboty. Martwe godziny - tak często nazywała tę część dyżuru. Sięgnęła do torebki, wyławiając spośród mnóstwa drobiazgów pudełko papierosów. Nie, nie była żadną tam namiętą palaczką. Ale od czasu do czasu...

Różne myśli przewijały się przez głowę. Gdy człowiek siedzi z założonymi beczynnymi rękoma...

W końcu uleciały ku dalekiemu brzegowi. Nie mogła się uskarżać. Na statku było jej dobrze. Ale czasami zaciskało coś koło serca. Co tam ze starym? Nie miał zbyt mocnego zdrowia. Ostatnio wprawdzie polepszyło mu się i wrócił do pracy, któż może jednak wiedzieć, jak teraz... List będzie czekał dopiero w porcie. Prosiła, żeby wysłał pocztą lotniczą. Człowiek tkwi jak orzech w skorupie w tym żelaznym pudle odcięty od całego świata i wyobraża sobie, że tymczasem w domu dzieje się Bóg wie co.

Odłożyła papierosa, sięgając po butelkę wody sodowej. Gorąco. Palacz nie pożałował pary do kaloryferów. Rzeczywiście psia pogoda... Na pokładzie ziąb, że strach. Aż przejmowało do szpiku kości. Niedługo już. Potem znowu wpłyną dla odmiany w skwar niczym do pieca. Nie będzie czym oddychać. Swoją drogą jakie to dziwne... Jakby pory roku nie zależały od kalendarza tylko od tego, po jakim właśnie morzu płyną. Tu wszystko na odwrót niż na lądzie. Szerokość - jak mówili marynarze. Nie bardzo się znała na tych wszystkich ich mądrościach. Nie interesowały jej zresztą zbytnio. Po co miała się uczyć? I tak bufetowa nie poprowadzi statku, choćby nawet stanęła na głowie. Jak by wtedy popłynął? Chyba do góry dnem. I w ogóle... Roześmiała się niemal głośno. Potem znowu spoważniała. Lenac Co właściwie stało się z tą dziewczyną? Jakby ją podmienili. Była taka wesoła, że aż człowiekowi jasno robiło się na duszy. A teraz... Cóż z tego, że usiłuje nadrabiać miną? Uśmiecha się, owszem. Ale niekiedy przy tym wargi drżą, jakby raczej miała ochotę płakać. Serce się kraje, taki to żalony uśmiech.



Chora? Chyba nie... Raczej wygląda, jakby ją żarła jakaś troska. Chwilami znowu jakby się czegoś bała. Ale czego?

Te jakieś tajemnicze cienie, o których coraz głośniejsze poszeptują? Zjawiają się tu i tam, znikając bez śladu. Jakby rozpląwały się w powietrzu. I tylko w nocy... A potem zawsze dzieje się coś niezwykłego. Albo pożar, albo jakaś inna historia... Może duch jakiegoś topielca, który ostrzega o nieszczęściach? Podobno na statkach takie rzeczy się zdarzają. Szczególnie na starych. A ten kawał czasu pływał już po morzach całego świata. Zgarnęła szczelnie fartuch na piersiach. Nagle zrobiło się jej zimno. Jakby lodowaty powiew przeleciał po skórze.

Zerknęła w odległy kąt. Coś się poruszyło? Nie, skądże by. Po prostu obraz na ścianie. Przy takiej chwiejbie.

Starła się jednak więcej w tamtą stronę nie patrzeć. Po co zło kusić? A nuż się coś pokaże?

Ostry brzęk naczyń. Karafki podskoczyły w podstawkach, o mało z nich nie wylatując. Zanim zdołała pomyśleć, odruchowo przytrzymała jedną, która się zbyt wychyliła. Szkoda żeby się potłukła. Taka ładna. I chyba niemało kosztuje.

Znowu chybnęło. Znosi się ma sztorm?

Ciekawe, czy ten cień pokazał się znowu? Bo gdyby statek miało spotkać coś złego...

Tęsknie zerknęła w kierunku drzwi. Żeby wreszcie ktoś przyszedł. Choćby nawet Kropidło... Choćby nawet ten grubas, Basiorski.

Nie mogła powiedzieć, by specjalnie przepadała za kucharzem. Taki jakiś obleśny i w ogóle. Ale zawsze byłoby różniej...

### III

W kambuzie było ciepło i przytulnie. Radiatory cicho potrzaskiwały. Biały klosz przykręconej do sufitu lampy rozsiewał łagodne światło.

A na świecie, niemal tuż za lakierowanymi ścianami, wre nawałnica. Aż tutaj, mimo zamkniętych drzwi i zasłoniętego iluminatora, dobiega jej hałas.

I ta chwiejba. Niewiele chyba brakuje do sztormu. Wszystko dookoła dzwoni jak na alarm. Żeby nie uchwyt, ładny byłby bigos. Basiorski zacisnął palce na krawędzi taboretu. Nietrudno wylecieć jak z procy...

Znowu ostry brzęk. Pokręcił z dezaprobatą głową. Ale huśtawka. Że też przyszło człowiekowi na stare lata...

No, nie był przecież stary... Ale trudno także powiedzieć, żeby pierwszej młodości. Trochę lat dźwigało się na karku. Czas by na jakieś bardziej sensowne warunki. Czas...

Żeby człowiek z jego kwalifikacjami zmuszony był narażać się na taką poniewierkę.

No, chyba już niedługo... Bo przecież...

Zmrużonymi niechętnie oczyma powiódł dookoła.

Owszem, czysto, nie można powiedzieć. Płytki ekletrycznej kuchni lśniły białością świeżo wypolerowanego srebra. Na garnkach też, nawet przez lupę, nie dojrzałby najmniejszej plamki. No cóż, ten cały Folta nie może przecież po całych dniach obijać się bez pożytku. W zakresie sztuki kulinarnej kompletny jolop. Ani be, ani me. Nie uczył go oczywiście. Jeszcze czego? Pomoc, to pomoc. Niech zna swoje miejsce. Spoufalić takiego, to zaraz gotów wleźć z nogami na głowę. Zresztą niedźwiedzisko, aż żal patrzeć. Paluchy jak kołki. Do grubszej roboty od biedy wystarczą. Ale do wyższego kuchmistrzowania? Śmieszne... Żeby nawet ze skóry wylazł, nie zdoła przyzwoicie przyprawić najprostszego choćby sosu. Gdzie takim... Co on w ogóle w życiu widywał? Gulasz to już dla niego przysmak. Ciemna gmina i tyle... Najlepiej by chyba pasował do wideł.

Z zadowoleniem miętosił cygaro, obracając złotozieloną papierzową obrączkę. Dobra marka... Nie to, co ich siano.. W ogóle...

Spojrzał przelotnie na wskazówki wmontowanego w ścianę zegara. W porządku. Do kolacji wszystko przygotowane. Folta rozdzieli porcje. Kropidło poroznosi... Można sobie odpocząć.

Kolacja - wykrzywił się pogardliwie. Właśnie akurat gulasz. Aby tylko tłusto i aby jak najwięcej mięsa. Czyż tacy się na czymkolwiek znają? Aż wstyd pracować.

Czy oni w ogóle zdają sobie sprawę, kogo mają na tym swoim statku?

Tamta kuchnia... Choć i na rowerze jeździć... Nie taka klitka, w której, w jaką by stronę wyciągnąć rękę, zawsze się natrafi na ścianę. Pomocnik. Owszem, całkiem do rzeczy fachowiec. Nie jak ten kloc Folta.

Dobrze się wtedy pracowało, szkoda gadać. Masło całymi paczkami szło pod blachę, aby ogień odpowiednio chwycił. Kto by tam żałował. Parę kilo mniej, parę więcej. Aby tylko wszystko było w porządku. No i czy nie było? Wyprostował się odruchowo. Jeszcze jak! „Sos Madeira, a la Basiorskih. Aż wyjął cygaro, by móc powtórzyć półgłosem. Wsluchiwał się z rozkoszą. Uwiecznił swoje nazwisko. Nawet w książkach kucharskich pisali. Oczywiście w tych dla elity. Nie w takich tam.. popularnych. „A la Basiorskih - proszę. Nie w kij dmuchał. Rozpamiętywał twórczy proces doprawiania. Rodzynki, migdały, parę kropel francuskiego koniaku, odrobina spirytusu.. Ba, czego tam nie było. A rezultat... Cmoknął, jakby właśnie próbując tego specjału. Ostry jak pieprz, a jednocześnie łagodność śmietankowego kremu. Ot, na czym polegała sztuka. Poezja dla podniebienia. Ale nie dla każdego. Czyż jeszcze istnieją tacy, dla których warto się wysilać? Pewno, że tak. Tylko, niestety, nie wszędzie...

Jeżeli się uda... Wystarczy trafić do odpowiednich ludzi. Będą go szacować na wagę złota.

Zaciągnął się. Dobre cygaro... Doobre. Wtedy nie będzie palił innych. Znowu opadły go wspomnienia.

#### IV

Mańczak zerknął nieufnie przez okno. Ktoś tu idzie? Natężył wzrok. Po chwili poznał: bosman Kwieciński.

Zresztą wcale nie szedł do kabiny. Po prostu przechodził obok. Przygryzł wargi. Do licha z takimi nerwami. Omal że się nie zaczął bać własnego cienia. To wszystko przez tę przeklętą serię tajemniczych zdarzeń, o których gadali niemal bez przerwy.

Przestępca na statku? Rozmyślać bez przerwy o tym, że może właśnie ktoś czai się tuż za plecami?

Wzruszył ramionami.

Nonsens. Żaden cień nie istnieje. Gdzież by się podział? Przecież przeszukali wszystko dokładnie i ani najmniejszego śladu.

Kwieciński przechodząc obok bulaju, machnął przyjaźnie ręką. Światło z kabiny padło na jego uśmiechniętą twarz.

Mańczak odwzajemnił gest i uśmiech. W gruncie rzeczy całkiem przyjemny facet. I opanowany. Nieraz mu tego zazdrościł. Pożar, włamanie do kapitańskiej kabiny, gadanie o duchach czy też jakiejś szajce na pokładzie... Wszystko po nim spływa bez śladu. Niczym woda po gęsi. Uśmiechnięty, bez troski. Jakby się to działo gdzieś na odległej planecie, a nie tuż obok.

Chyba najmniej z całej załogi przejął się tymi historiami. No, może jeszcze Igielnicki. Ten zawsze jednakowy. Nigdy człowiek po nim nie pozna, co właściwie myśli. Nowacki w ogóle nie wchodził w rachubę. Gdyby mu postawić przed samym nosem bombę, która ma za chwilę wybuchnąć, zaczęłby się niechybnie zastanawiać, jak regulamin w takich wypadkach nakazuje postępować młodszemu oficerowi nawigacyjnemu. Cóż zresztą dziwnego? Pierwszy rejs po promocji.

Basiorski wprawdzie też nie okazywał zbytniego przejęcia. Ale co może zdenerwować taką bekę tłuszczu?

Za to wszyscy inni... On sam również. To się udziela.

Z Marską było jeszcze gorzej. Z jej oczu wyzierał chwilami taki lęk, że litość brała.

Żelastwo na stoliku pobrzękiwało bez przerwy. Prawda, miał je uprzątnąć. Trzeba się będzie tym zająć. Bo znowu jakiś niepotrzebny kawałek wylądował, gdzie nie należy.

Przypomniawszy sobie, jak w czasie pierwszego rejsu przy takiej pogodzie ledwo zdążył dobiec do burty, by złożyć hołd Neptunowi. Teraz oczywiście nie ma już mowy o czymś podobnym. Coraz bardziej zżywał się ze statkiem.

Woda raz po raz rozpryskiwała się o deski pokładu. Fala rosła, zanosząca się na sztorm.

Znowu ktoś nadchodzi. Podniósł wyczekująco głowę. Nie mógł jednak rozpoznać kto taki. Tamten znajdował się wciąż poza zasięgiem światła. Przystanął. Zalśniły białka czyichś oczu. Hmm. Czego on tu właściwie wypatruje? Nie, poszedł dalej.

- Szlag by to! - założył nogę na nogę. - Czyż każdy człowiek w nocy będzie budził podobny niepokój? A wszystko przez to, że człowiek bezbronny. Co pomoże goła pięść, jeżeli tamten ma nóż albo coś w tym rodzaju? Trzeba by sobie upatrzeć jakiś solidny kawałek żelaza.

Bzdura! - rozzłościł się nie na żarty. - Tylko tak dalej, a człowiek zwariuje...

Postanowił nie myśleć więcej o tych wszystkich tajemniczych zdarzeniach. Były czy też tylko się wydawało - jeden czort. Należy brać przykład z Kwiecińskiego.

Poprawił słuchawki na uszach. Same nudy. Żeby choć jedna ciekawsza rozmowa. Jak na złość - nic. Jakiś „Bristolh dopytywał natarczywie „Londonah o ładunek śledzi. Trudno było zrozumieć, o co im właściwie chodziło. W każdym razie nic, co by go mogło zainteresować. „Szanghajh zamawiał pilota punktualnie na godzinę osiemnastą. Groził wszelkimi możliwymi i niemożliwymi konsekwencjami w razie opóźnienia.

Muzyka z jednej stacji. Muzyka z drugiej. Ci grali, że aż nogi same wtórowały tanecznemu rytmowi. Swoją drogą, chętnie by potańczył. W mundurze to zupełnie co innego. Czyż nie widział błysków w żrenicach Marty? A przecież, dopóki nosił cywilny garnitur, ledwie go raczyła zauważyć. Zaręczyli się dopiero w zeszłym roku. Ślub na jesieni. Wtedy właśnie będzie miał dłuższy urlop.

Wyobrażał sobie, jak to będzie wyglądało. Koledzy, owacje, cała parada. A on kroczy wyprostowany, fajka w kąciку ust.

Niemal się roześmiał. Fajka? W takiej chwili? Powoli zapadał w półdrzemkę. Wszystko dookoła zszarzało.

Nagle ocknął się. Zamrugnął powiekami. Ostro natarła rzeczywistość realnego swata. Przewalające się z brzękiem narzędzia. Lśnienie mdłego odbłasku skali. Białe światło płynące z góry. Tak bardzo białe, że aż kłuło w oczy. Twarde tarcze słuchawek ugniatające uszy. Zdrzemnął się? Czuł się dość nieswojo. O co chodziło? Dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę z przyczyny. Jakby czyjeś natrętne spojrzenie utkwione na karku.

Raptownie podniósł głowę, strzelając nagłym spojrzeniem ku szkłu bulaja.

Zdrętwiał. Wzdłuż kręgosłupa przebiegł rój mrówek.

Biała plama twarzy. Błysk wytrzeszczonych oczu. Wyzierało z nich coś takiego, że...

Zanim zdążył przyjrzeć się dokładnie, wszystko zniknęło.

Za wypukłym szkłem znowu leżała pustka tonąca w gęstniejącym mroku. Przesunął ręką po czole. Zdawało mu się?

- Nie - potrząsnął głową. - To nie było złudzenie... Ktoś niemal rozpląszczał nos na szkłe.

Podniósł się z fotela, chwytając rękoma krawędź stołu. Bujało solidnie.

Pewno któryś z marynarzy chciał go nastraszyć. Tyle się gadało o tym cieniu, że...

Sięgnął po fajkę. Jasne. Nie jego brać na takie kawały...

Nieprzyjemne uczucie jednak nie mijało. W głębi duszy wcale nie wierzył w kawał...

Postanowił na wszelki wypadek uważać.

## VI. ZNALEZIENIE BRAKUJĄCEGO OGNIWA PROWADZI DONIKĄD

### I

Mańczak wsypał do kawy chyba piątą z rzędu łyżeczkę cukru. Wciąż wydawała mu się za mało słodka.

- Sami powiedzcie - popijał drobnymi łyżkami - czy to mądry kawał? Myśleli, że mnie wystraszą - śmiech zabrzmiał wymuszonymi nutkami. - Mnie? Bba... Za stary ze mnie wróbel na takie plewy...

Kostrzewa ugniatał w zamyśleniu papierosa. Zastanawiał się właśnie nad opowiadaniem Mańczaka. Sprawa w jego pojęciu wcale nie należała do błahych. Zresztą Mańczak, pomimo nadrabiania miną, z trudem tłumił zdenerwowanie. To było widoczne. Na pewno nie wierzył w żart. Kostrzewa również nie.

- Tak... rzeczywiście - zapalił wreszcie papierosa. - I pojęcia nie masz, jak wyglądał, kogo przypominał?

Mańczak potrząsnął głową.

- Skąd... Wiesz, gdy człowiek budzi się z... - króciutka chwila wahania - no, z głębokiej zadumy. A tu ostre światło padające w ciemność. I jeszcze wypukłe szkło bulaja. - Jednym słowem, tylko biała plama. Oczy... Ale i one... - mieszał łyżeczką w filiżance. - A gdym się zaczął przyglądać dokładniej - podjął po chwili - zaraz jakby się wszystko rozpląnęło w powietrzu. Zdążył odskoczyć za ścianę. Kawał - znowu się roześmiał nieszczercze.

- A w momencie gdy się ocknąłeś, byłeś odwrócony do bulaja plecami?

Mańczak podniósł raptownie głowę.

- Hm... tak. Ale skąd ty - podkreślił z naciskiem - to wiesz? - Wzrok jego stał się nagle podejrzliwy.

- Skąd? Phy... - Kostrzewa zaciągnął się dymem. - Nietrudno przecież się domyślić. Gdybyś był odwrócony twarzą do okna, tamten nie miałby odwagi podejść.

- Nietrudno się domyślić? - powtórzył z nieukrywaniem powątpiewaniem Mańczak.

Z oczu wciąż nie ustępował wyraz nieufności.

- Wcale bym tego nie powiedział, że nietrudno. Mnie by, na przykład, wcale nie przyszło to do głowy.

Przytknął filiżankę do ust. Po pierwszym łyku aż się zakrztusił. Słodka jak ulepek. Ile on tego cukru naładował? Odstawił filiżankę z niesmakiem. Jego niezbyt różowy po wrażeniach nocnego dyżuru humor nagle pogorszył się jeszcze bardziej.

- Nietrudno się domyślić - powtórzył po raz drugi, niemal zjadliwie. - Patrzcie, co z ciebie za Sherlock Holmes. Domyślasz się wszystkiego tak dokładnie, jakbyś sam widział na własne oczy.

- Masz mnie może za jasnowidza? - pytanie Kostrzewy zabrzmiało niefrasobliwą żartobliwością. Ale

na duszy wcale nie było mu wesoło. To był niewątpliwie fałszywy krok. Marynarz pokładowy, Kotera, w żadnym wypadku nie powinien się popisywać zbytnimi zdolnościami dedukowania. To mogło zwrócić na niego niepotrzebną uwagę. - Nie mam kwalifikacji na żadnego magika - uśmiechnął się skromnie.

- Czyż trzeba być magikiem, gdy się, powiedzmy, pomyliło kolejność dyżurów? - nie ustępował Mańczak.

Kostrzewa udał bezmierne zdumienie.

- Nie rozumiem...

- No... jeżeli ktoś, powiedzmy, szuka koleżanki zamiast kolegi... - przymrużył porozumiewawczo oko.

- Och... - Kostrzewa uśmiechnął się z dobrze odegranym zmieszaniem - czyż możesz mnie posądzać... Ja przecież koleżankę Marską bardzo lubię i szanuję... ale tylko jako dobrego kolegę... I żeby po nocy.

Jeżeli podejrzenia Mańczaka poszły akurat w tym kierunku, nie miał zamiaru prostować. To byłoby stosunkowo najmniej niebezpieczne.

Mańczak jednak właśnie doszedł do wniosku, że jest na fałszywym tropie. Nigdy dotąd nie zauważył żadnych umizgów ze strony Kotery. Takiej rzeczy przecież nie da się ukryć na dłuższą metę.

- Albo - podniósł filiżankę. Zanim jednak dotknął jej ustami, przypomniał sobie o ulepku i odstawił ją pospiesznie z powrotem. - Albo jeżeli się chce udawać tajemniczego cienia.

Oczy jego wlepione w twarz Kostrzewy stały się niemal kłujące.

Kostrzewa roześmiał się na całe gardło.

- Jeszcze lepiej! Bo to wyglądam na takiego żartownisia?

- A trzeba specjalnie wyglądać?

Kostrzewa potrząsnął głową.

- Ani jedno, ani drugie. Jednym słowem: kulą w płot. Szukajcie dalej. Ja wtedy właśnie odbywałem wachtę. - Ledwo to powiedział, zdał sobie sprawę, że palnął głupstwo. Czy wachta cokolwiek wykluczała?

Zamienił jeszcze parę słów na obojętne tematy i odszedł, wymawiając się pilnym zajęciem. Był niezadowolony. Rozgrywka została poprowadzona nie tak, jak należało. Co do tego nie mogło być dwóch zdań.

Mańczak patrzył w ślad za nim, zamyślając się coraz głębiej. „Żart?h Hm.. - mieszał machinalnie kawę, której nie miał zamiaru wypić.

Któż właściwie na statku znał go bliżej? Kto go w ogóle znał, zanim przybył na pokład? Aż zastanawiające. Pływał tak długo na różnych statkach i ani jednego znajomego z dawnych czasów

wśród całej załogi. Bo to trudno sfalszować dokumenty i podszyć się pod kogoś? Ale potem przyszły refleksje.

Kotera miałby być cieniem? Co za niesamowity nonsens. Tylko tak dalej, a doigra się niechybnie białych myszek. Kotera? Dmuchnął w fajkę, aż na wszystkie strony poleciały drobiny tłącego się tytoniu. Zbierał je, strzelając dookoła ukradkowym spojrzeniem. Na szczęście nikt nie zauważył.

Znowu wparł wygodnie plecy w oparcie krzesła, zaciągając się dymem. Z równym skutkiem mógłby podejrzewać samego siebie, że w przystępach lunatycznego snu włóczy się po nocach.

Dość mu spojrzeć w oczy. Szczery, sympatyczny chłop. I do Marskiej też by przez okienko nie zaglądał. W ogóle...

## II

Pytanie, czy w czasie tamtego alarmu ogniowego celem zamachu sabotażysty była również maszynownia, nie przestawało nurtować Kostrzewy, od chwili gdy zapoznał się z okolicznościami sprawy. Wielokrotnie już próbował naprowadzić na ten temat Frączka, który wtedy miał dyżur. Oczywiście czynił to w sposób jak najbardziej ostrożny. Żadne jednak dotychczasowe usiłowania nie dały rezultatu. Nie dziwiło go to zresztą zbytnio. Jeżeli z tych czy innych powodów Frączek uchybił tej nocy swym obowiązkom służbowym, nie będzie się przecież tym specjalnie chwalił.

Tak czy inaczej pytanie pozostawało nadal bez odpowiedzi.

Mało miał okazji, aby zajrzeć do maszynowni. Jeszcze zaś mniej, aby się jej dokładnie przyjrzeć.

Gdy przyszło do robienia tam porządków, jak na złość wyznaczono do pomocy Sorka i Gwoźdźcia. Prośba o włączenie go do tej ekipy mogłaby wzbudzić podejrzenia.

Był wściekły. Co za przeklęty pech.

Ale Sorek był nie mniej wściekły. I bynajmniej nie usiłując ukryć swego niezadowolenia, kłął siarczyście.

Kostrzewie poprawił się nagle humor. To dawało pewną szansę.

- Nie odpowiada ci wachta w maszynowni? - zapytał z udaną obojętnością.

Sorek wytrzeszczył oczy.

- A komuż by odpowiadała?

- No, ciepło, za kołnierz nie cieknie...

- W rodzinnym grobowcu też nie cieknie. Duchota, że nie można oddychać. A do tego wszystkiego te zafajdane smary... Człowiek tak prześmierdnie, że i tydzień nie wystarczy, aby to przekłete świństwo z siebie wywietrzyć. Dla mnie zaś... Płuca - schwycił się za pierś. - Rozumiesz, co to znaczy oddychać przez parę godzin takim powietrzem.

Kostrzewa o mało nie parsknął śmiechem. Płuca? Sorek był uosobieniem zdrowia.

Pokiwał głową ze współczuciem.

- Tak... jeżeli chodzi o płuca, to takie spaliny rzeczywiście, hmm... tego... - Zmarszczył brwi, jakby nad czymś zaczął się właśnie w tej chwili zastanawiać.

Sorek przyglądał się Kostrzewie. Rodziła się nieśmiała nadzieja: może się da nabrać? Taki zawsze uczynny dla kolegów...

Okropnie nie miał ochoty na tę maszynownię. I do tego ten cały Frączek. Kiedyś mu dociał do żywego, wystawiając na ogólne pośmiewisko. To zresztą było w najzupełniejszym porządku. Sam się nadział, próbując go nabić w butelkę. Po co zaczynał?

Ale teraz niechybnie zechce się odegrać. A czy to tak trudno na własnym terenie? Choćby przypadkowe chlapnięcie śmierdzącym smarem. Słowa nie będzie można powiedzieć. Przypadek to przypadek. Każdemu się może zdarzyć. Szczególnie przy takiej chwiejbie. A potem myj się, człowieku, całymi godzinami.

- Gdyby mnie ktoś chciał zastąpić... - zaczął proszącym tonem.

- Zastąpić? - oczy Kostrzewy wyrażały niezmierne zdziwienie. - Czyż to w ogóle dałoby się przeprowadzić?

W jednej chwili Sorek był przy nim, chwytając go za rękaw.

- Dlaczego nie? Bociańskiemu przecież wszystko jedno. A jak ktoś chory, to tym bardziej nie będzie przeciwny. Chciałbyś? - tarmosił go z rosnącą natarczywością.

- Czy ja wiem... Hmm - pokręcił niezdecydowanie głową. - Skoro powiadasz, że tam nie ma czym oddychać...

- To tylko dla chorych na płuca!

- I że tak śmierdzi...

- Dałbym paczkę prawdziwych cameli. I byłbym ci wdzięczny do grobowej deski - dodał patetycznie.

Miał przy tym tak komiczny wyraz twarzy, że Kostrzewa szczerze się ubawił.

- Camele - owszem. Ale co do tej grobowej deski, to coś kręcisz... Bo jeżeli cię pochowają, jak przyzwoitemu marynarzowi przystało, w morzu?

Sorek tryumfował.

- Więc się zgadzasz? Camele masz jakby w kieszeni. Poczekaj, zaraz powiem Bocianowi.

Zgodnie z jego przewidywaniem bosman nie stawiał żadnych przeszkód.

- Jeżeli tobie spaliny szkodzą, a Kotera się zgadza...



W maszynowni naprawdę było duszno. Hałaśliwa praca wentylatorów niewiele pomagała. Powietrze przesyciły różnorodne zapachy, od zjełczałej woni rozgrzanej oliwy poprzez ostry odór mazutu aż po mdlące wyziewy spalin. Kostrzewa, spostrzegłszy Frączka, ani myślał wdawać się z nim w rozmowy. Zapracowany był po uszy. Wynosił pełne kubły śmieci. Zawzięcie przecierał brudną podłogę zwilżoną szmatą. Wyrzucał za burtę zwitki postrzępionych gałganów i zużytych paków.

Kiedy nie pozostało właściwie już nic do roboty, przeciągnął się zmęczonym ruchem i oparł o balustradę okalającą motory.

- Nno... nie można powiedzieć, żebyście nie naśmiecili - zwrócił się do Frączka.

Ten spojrział zezem.

- Nie możecie tam na górze chyba narzekać, że zbyt często korzystamy z waszej pomocy. Naśmiecimy, to i sami po sobie sprzątamy. Tylko że akurat jakoś za dużo się tego wszystkiego nabierało, a nasz stary - nieznacznym gestem wskazał na snującą się w przeciwległym końcu maszynowni sylwetkę mechanika - wściekł się. Do niego miej pretensję.

Kostrzewa uśmiechnął się półgębkiem, co przydało jego lśniącej od smarów twarzy niemal groteskowy wygląd.

- Czy ja w ogóle mam jakąkolwiek pretensję? Tu pracować czy gdzie indziej, w rezultacie co za różnica? Ot tak sobie człowiek gada, byle gadać.

Frączek podsunął mu otwarte pudełko papierosów.

- Bierz - zachęcił łaskawie. - Tylko że tu nie wolno palić. Przynajmniej dopóki stary na horyzoncie.

Kostrzewa wziął, podziękował i schował do kieszeni. Przez cały czas myśl pracowała z wytężeniem. Od czegoż by tu właściwie zacząć? Wzrok błądził dookoła, szukając punktu zaczepienia. Wreszcie zatrzymał się na potężnej konstrukcji motoru. Tak, ten temat pasował pod każdym względem.

- Nie bardzo to jakoś nowoczesne - mruknął z zastanowieniem. - Na „Heluh mieliśmy lepszą. Tak między nami mówiąc, ta maszyna to grat, który lada chwila gotów się rozparcelować na kawałki.

Prowokacja była całkiem udana. Któż się nie ujmie za swoją maszyną?

Przewidywania nie myliły. Ujął się również Frączek.

- Pewno - patrzył gdzieś w bok - że bywają bardziej nowoczesne. Nie przeczę. Ale żeby zaraz grat... Całkiem jeszcze solidna staruszka. Pracuje bez zbytnich tam galopów, ale i bez wysiadek. Gdyby zresztą było inaczej, ładnie byś wyglądał choćby przy takim sztormie jak wczoraj. Obawiam się, że całe nasze pudło szukałoby muszelek w piasku na dnie. A różni tam krytycy łowiliby w najlepsze rybki pod wodą. Albo raczej całkiem na odwrót. To rybki miałyby z tych... krytyków niegorsze śniadanko - umilkł, sznurując ciasno wargi. Widać było, że siłą powstrzymuje się od wybuchu.

- Rybki? - Kostrzewa podrapał się ostentacyjnie za uchem. - Powiadasz, rybki?

- A bo nie? Gdyby tak motor nawalił... - Frączek patrzył gdzieś w bok.

Kostrzewa uśmiechnął się pojednawczo.

- Racja. Człowiek niekiedy machnie ozorem jak zdechły kaszalot ogonem... Widzę, że bez potrzeby obraziłem staruchę. Gdyby nie ona... - ostrożnie zmienił front - mogłoby być z nami krucho.

- Nno... po prawdzie taka młoda to ona znów nie jest.

- I co z tego? - teraz z kolei Kostrzewa przejął funkcję obrońcy - lepsze solidne staruszki od byle jakich młodzików. Bo to na „Heluh nie zdarzały się awarie w maszynowni?

Frączek wreszcie raczył na niego spojrzeć.

- No, proszę - skrucza Kostrzewy ułagodziła go do reszty - a przecież sam powiadasz, że motor nowoczesny... A u nas... choć grat... - wciąż jeszcze nie mógł zapomnieć - to jak w zegarku. Ani jednej awarii.

- Powiadasz, że ani jednej?

- Ani jednej... W każdym razie takiej, o której by warto wspominać.

- No tak - Kostrzewa starał się mu schlebić - bo sprawność maszyny zależy nie tylko od tego, czy jest nowa, ale i od człowieka, który ma z nią do czynienia.

- Eee tam... - Frączek machnął niby to niedbale ręką. Widać było jednak, że niezgrabne pochlebstwo połknął całkiem gładko.

- A pracować przy takim skomplikowanym diabelstwie - Kostrzewa kuł żelazo póki gorące - wiedzieć, co z czym gra i dlaczego... Jakby na mnie padło, nie zaryzykowałbym za żadne skarby.

- Cóż - skromna mina Frączka była wyraźnie nieszczerą - pewno, że trochę fachowości...

- Trochę? - przerwał tak gorąco, że aż się przestraszył, czy aby nie przesolił. - Mów komu innemu. Dość popatrzeć - zakreślił szerokim gestem. - A jaka odpowiedzialność... Chwila nieuwagi i katastrofa.

- Nno... - Frączek był już wyraźnie zażenowany komplementami. - Uważać rzeczywiście trzeba. Ale żeby aż tak... Przecież ostatecznie nie z papieru.

- Więc co, że nie z papieru? - Kostrzewa przechylił górną połowę ciała przez balustradę, wychylając się ryzykownie ku maszynie. - A bo to brak i takich części, że chociaż ze stali, wystarczy potrącić, by... - Przesunął oczyma po lśniących od smaru częściach. Nagle oczy mu się zwęziły. „Ten przewód olejowy?h Udawał, że przygląda się czemu innemu. Ależ tak! Nie miał już najmniejszych wątpliwości. Rurka została zmieniona, i to całkiem niedawno. Może właśnie wtedy?

Wytrzymał krótką pauzę, by się opanować.

- Weźmy choćby takie cacuszko - wskazał niedbale. - Powiesz z mosiądzu czy z czegoś w tym rodzaju. Słusznie. Nikt nie zdoła zaprzeczyć. Ale czyż nie krucho? Wystarczy zawadzić mocniej czymś twardym i wysiadka... I wtedy z miejsca z całą maszyną krucho... Bo jakże bez oleju... Nie mam racji?

Pauza poprzedzająca odpowiedź trwała zastanawiająco długo. I ten jakby cień, który przemknął po twarzy Frączka. Trafił na właściwy trop?

- Czyż nie tak? - powtórzył pytanie.

- Hmm... do pewnego stopnia - bąknął wreszcie Frączek.

- No widzisz.

- Ale - Frączek pokręcił głową - kto by tam zawadził. Przecież... człowiek na takie rzeczy uważa.

- Co z tego?... Powiedzmy przypadek. Kto ma oczy dookoła głowy? Jakiś klucz francuski albo coś w tym rodzaju...

- Nie... - głos Frączka brzmiał jakoś niezdecydowanie - taka rzecz...

- Albo - przerwał mu bezceremonialnie - niekoniecznie przypadek. Jeżeliby się podkradł ten, co to, wiesz...

- Cień? - twarz Frączka pomroczyła do reszty.

- Właśnie.

- Ale... hm... - przełknął ślinę. - Gdzież by... Kto by go tu wpuścił... Toć to serce całego pudła.

- Właśnie mówię, że przez cały czas trzeba mieć oczy otwarte. Niełatwa to rzecz. Wiesz - zmienił nagle temat - potrzebny mi kawałek mosiądzu. Kombinuję tam jedną historię... - Nie czekając na odpowiedź, pochylił się nad skrzynią z żelastwem.

- Mogę poszukać?

Zanim Frączek zdążył zareagować, palce Kostrzewy wyłowiły już to, czego szukał.

- To chyba niepotrzebne?

Oczy Frączka patrzyły z rosnącym przestachem na mosiężną rurkę noszącą ślady uderzenia twardym narzędziem.

- To... - zająknął się - to... - strzelił trwożnym błyskiem w stronę sylwetki mechanika.

Kostrzewa skrupulatnie notował w pamięci najdrobniejsze nawet drgnienia twarzy Frączka. Bo choć wiedział już dużo, pozostała do ustalenia jeszcze jedna okoliczność: świadomy udział czy też tylko nieuwaga?

Wszystkie zresztą okoliczności przemawiały raczej za tym ostatnim. Frączek nie przestawał zerkać w kierunku przeciwległej części maszynowni. Było widoczne, że się obawia, by nie podszedł mechanik.

Zmieszanie jego wzrosło do ostateczności. Kostrzewa postanowił atakować, zanim tamten się zdoła opamiętać.

- Na co się tobie przyda? - zapytał, błyskając rurką przed jego oczyma. - Cała pogięta. Naprawić się

na pewno nie da. Dla ciebie szmele, a dla mnie... - odmierzył palcami - wyjdzie ze trzy zapalniczki. Albo i cztery. Jedna twoja. Zobaczysz, że nie żadna tam lipa... Stoi?

- Zapalniczki? - powtórzył, jakby nie rozumiejąc. - Zapalniczki...

- Tak. Zrobię... zanim jeszcze zejdziemy na ląd. No?

I nagle błysk w zmętniałych źrenicach Frączka. Widocznie wpadł na jakiś pomysł.

- Bierz - zdecydował z ulgą - bierz. Tylko żeby nasz stary nie zobaczył. I pamiętaj: nikomu ani słoweczka. Bo jednak...

- Dobra.

Kostrzewa wsunął rurkę do kieszeni. Zaraz potem opuścił maszynownię. Nie miał już tu nic do roboty. Przynajmniej na razie.

Długo stał wsparty o poręcz nadburcia, wpatrując się w zamyśleniu w falisty szlak wzbęłtanej piany, znaczący przebytą przez statek drogę.

Jedno z brakujących ogniw zostało znalezione. To, które łączyło całokształt zdarzeń tamtej nocy z zamachem na radio.

Teraz obraz przybrał całkiem wyraźne kontury. Radio pozostawało w ścisłym związku z maszynownią. Na listę podejrzanych przybywała jeszcze jedna osoba: motorniczy Frączek.

Chociaż - myślał Kostrzewa - można go posądzić raczej o zaniedbanie niż o świadomy współudział. Czyżby inaczej uszkodzenie zostało naprawione, zanim zdołało pociągnąć za sobą poważniejsze skutki?

Alarmu ogniowego - odtwarzał w wyobraźni przypuszczalny przebieg wypadków tamtej nocy - Frączek nie wytrzymał. Nie należy do przyjemności tkwić w zamkniętym pudle, gdy statek płonie. Wyskoczył na pokład zobaczyć, co się właściwie dzieje. A przez ten czas ktoś, kto niewątpliwie czatował gdzieś w pobliżu...

Czy tak trudno wśliznąć się do maszynowni? Mechanika mogło akurat nie być. A nawet gdyby był, ale stał gdzieś w odległej części... Na przykład na galeryjce albo przed tablicami zegarów? Też nie zdołałby dojrzeć, co się dzieje przy wejściu.

Na uderzenie w przewód jakimś narzędziem wystarczy krótka chwilka. Możliwe, że usiłował zrobić coś jeszcze ponadto, Frączek jednak opamiętał się szybko. Może nawet i zauważył kogoś przemykającego po schodni?

Nie zameldował w obawie przed odpowiedzialnością za zejście z posterunku...

Tak - pokiwał głową - wszystko to mogło się dziać w taki właśnie sposób. Ale oczywiście mogło też być zupełnie inaczej...

Sorek twierdził, że znowu podczas nocnej wachty, stojąc w pobliżu spardeku, dostrzegł jakąś tajemniczą sylwetkę, która, zanim zdołał podejść, zniknęła bez śladu.

Powszechne niedowierzanie dotknęło go do żywego.

- Żeby mnie piorun na miejscu ubił, jeśli bujam - bił się pięścią w piersi, aż dudniło. - Ja tu - wyłuskał solniczkę z podstawki, stawiając przed sobą - a on - położył łyżkę. - tam - z kolei widelec wziął udział w konstrukcji szkicu sytuacyjnego - i uważacie...

Urwał. W tej samej bowiem chwili gwałtowny przechył pomieszał brzęczące elementy szkicu, strącając je ze stołu...

Wybuchy chóralnego śmiechu towarzyszyły Sorkowi w czasie zajadłej gonitwy za poszczególnymi sztukami nakrycia.

- Huzia! - Foryś aż podskakiwał na swym stołku. - Taką zwierzynę jak widelec najlepiej złapać za ogon.

- A może nagonkę? - proponował Gwóźdź. Łowy zresztą nie były łatwe. Podłoga ustawicznie zmieniała położenie, odrzucając przedmioty w najdalsze kąty mesy.

Po widelec trzeba było dać nurka pod stół.

- Tylko mnie nie użryj! - Konkiel, z doskonale odegranym przerażeniem, szybko podebrał nogi pod siebie.

Najwięcej kłopotu sprawiała solniczka. Turlając szklanymi kantami, umykała zwinnie spod palców, niczym jakieś żywe stworzenie.

- Klawo, brachu - Foryś celował z nieistniejącej dubeltówki. - Sól to najlepszy sprzęt do polowania.

- *Ganz recht*- potwierdził Konkiel. - Byle tylko nasypać na ogon.

Foryś wściekał się coraz bardziej. Co za piekielnie głupia sytuacja. Wreszcie czerwony z wysiłku powrócił na swoje miejsce.

- Zamiast pomóc...

Ale pretensja dźwięcząca w jego głosie jeszcze bardziej wszystkich rozśmieszyła.

- I co z tym twoim cieniem? - zapytał Foryś.

Zamiast odpowiedzi Sorek popatrzał na niego zmrużonymi oczyma.

- Gadać do takich ciemniaków, to to samo co... - Nie mógł jednak znaleźć dostatecznie druzgocącego porównania.

Kostrzewa śmiał się wraz z innymi. Uważał, że tak trzeba. Ale wcale nie było mu do śmiechu.

Opowiadanie Sorka potraktował poważnie. Nie wyglądało, by tym razem zmyślał. Inaczej nie oburzałby się tak bardzo.

Cień - rozważał Kostrzewa - pojawiał się na górze wyłącznie w nocy. To było zresztą najzupełniej zrozumiałe. Skoro nie należał do załogi, nie mógł się wałęsać po statku w blasku pełnego dnia. Zdemaskowano by go w jednej chwili. Co innego w ciemności.

Pokładowe lampy pozostawiały wiele nieoświetlonych miejsc, ułatwiając poruszanie się temu, kto pragnął pozostać niezauważony.

Żeby go więc śledzić, należało czatować na pokładzie w nocy. Ale co mógł mieć tam do czynienia marynarz pokładowy, o ile akurat nie przypadła na niego wachta?

Zajęcia w czasie wachty również nie pozwalały na odpowiednio baczny obserwację...

Długo szukał w myślach jakiegoś rozsądnego pretekstu do przebywania na pokładzie. Musi sobie przecież stworzyć warunki, w których będzie istniała możliwość spotkania się z tym tajemniczym kimś. Musi. Jedynie po to wszedł na pokład tego statku.

Wreszcie wpadł na pomysł: Rolski.

Tylko choroba mogła usprawiedliwić przebywanie w nocy na pokładzie. W kubryku pomimo odwietrzników było porządnie duszno.

Astma? Powiedzmy: raczej jej początki. Symptomy... No, od czegoż był ostatecznie lekarzem? Chodziło jeszcze o to, by propozycja wyszła od felczera. Tak będzie lepiej.

## V

Rozwlekł, nieco zająkliwie opowiadał Kostrzewa o swoim cierpieniu.

Rolski słuchał uważnie.

- Od jak dawna odczuwasz te duszności?

Kostrzewa pokiwał smętnie głową.

- W czasie poprzedniego rejsu, na „Heluh, chwyciło mnie parę razy. Przedtem też, ale bardzo rzadko... Ale potem zelżało. Myślałem już, że przejdzie. A teraz - westchnął żałośnie - znowu. I to tak, jak nigdy dotąd. Chwilami - przyłożył rozpostartą dłoń do piersi. - No... jakby jakaś prasa. Aż żyć się człowiekowi odechciewa...

Rolski starał się go pocieszyć.

- Nie martw się. Nie będzie tak źle. Coś wykombinujemy.

Badał go długo i skrupulatnie.

Ale Kostrzewa miał swoje sposoby. Zwalniał oddech wtedy, gdy trzeba było oddychać pełną piersią. Napinał przeponę, przyspieszając bicie serca. Na polecenie zakasłania zaniósł się gamą zgrzytliwych, pełnych świstu dźwięków.

Chwilami aż mu było przykro, że musi symulować chorobę.

W miarę badania twarz felczera poważniała.

- Więc powiadasz, że w nocy najgorzej? - Przesunął oczyma po wilgotnym od potu czole pacjenta.

- Tak - potwierdził skwapliwie. - W dzień jeszcze jako tako. Kiedy zaś schodzę do kubryku... Sam pan wie, jakie tam powietrze... Jakby mi ktoś zaciskał gardło i kładł tonowe głązy na piersiach.

Rolski obracał w zamyśleniu wieczne pióro.

- Leki... - zapatrzył się w porubrykowane pozycje księgi chorych - pewno przyniosą ulgę... Ale to nie wszystko - rozmyślał na głos. - Powietrze...

- Otóż to - zawołał z pośpiechem Kostrzewa. - Trafił pan w sedno. Tego właśnie najwięcej mi brak.

- Wiem... Gdyby nie deszcz...

- Deszcz? - nachylił się szybko nad nim. Twarz wyrażała rodzącą się nadzieję. - Co macie na myśli?

- Hm... - pokręcił głową - przy lepszej pogodzie mógłbyś spać na pokładzie.

Kostrzewa odetchnął z ulgą. Sprawa właściwie została już załatwiona... O to przecież głównie chodziło, by propozycja nocowania na pokładzie wyszła od Rolskiego.

Dalej poszło gładko.

Deszcze? Wiatr? Wszystko głupstwo. Już mu się robi lepiej na samą myśl, że nie będzie zmuszony wędzić się w kubryku... Wie o takim zacisznym miejscu. Cóż mu tam robi deszcz?

Przed wyjściem trzykrotnie pytał o sposób zażywania leków, których nie miał najmniejszego zamiaru zażywać.

Upatrzone miejsce było rzeczywiście wprost wymarzone. Z jednej strony wielka skrzynia napełniona piaskiem, z drugiej niemal dotykająca jej druga - z pasami ratunkowymi. Byle tylko odpowiednio przycupnąć, można pozostawać absolutnie niewidocznym dla otoczenia.

Rufową windę i bom widać stąd było całkiem wyraźnie. A przecież na tym właśnie odcinku pokładu, sądząc z opowiadań, cień znikał bez śladu.

## VI

Tę noc miał wolną od wachty. Gdy nadeszła pora udania się na spoczynek, zaczął ostentacyjnie rolować swój koc.

Jak to zresztą z góry przewidywał, otoczono go ze wszystkich stron.

- Co takiego? - przyglądano się ze zdziwieniem.

- On pewno chce się przeprowadzić na sąsiednią ulicę - zawyrokował Sorek.

- To znaczy dokąd? - roześmiał się Forys.

- Jak to dokąd? Wiadomo: za burtę. Tylko, bracie, musisz uważać - Sorek poklepał Kostrzewę po rękawie - bardzo stroma droga. Sonda nie sięga dna. Jak nic możesz zwichnąć nóżkę albo coś w tym rodzaju. Szczególnie z gratami.

- A poważnie mówiąc - wtrącił się Sielawa - dokąd się z tym kocem wybierasz na noc?

Wtedy opowiedział o swojej astmie. Że Rolski kiwał nad nim głową. Że dał proszki. Pokazał je dla nadania słowom większej wagi.

- Hm... - Sielawa wlepił oczy w łacińskie nazwy specyfików wypisane na torebce z taką miną, jakby je doskonale rozumiał - to rzeczywiście jakaś poważniejsza sprawa.

- A nie kazał ci iść na kranksztubę? - zapytał Konkiel.

Gdy się dowiedzieli o nocowaniu na pokładzie, współczucie jeszcze bardziej wzrosło. Nawet Sorek spoważniał.

- Przy takim wietrze? - pokręcił głową.

- To przewieje cię *ganz na durch*- martwił się Konkiel

I zaraz każdy zaczął mu wtykać do ręki swój drugi koc. - Tu ciepło, a tam...

Z trudem się wykręcił. Opuszczał kubryk wzruszony ich troskliwością. Porządne chłopcy. I gdyby się okazało, że właśnie wśród nich... Aż zagryzł wargi.

Po opuszczeniu kubryka przemykał ku skrzyniom, usiłując nie wpaść nikomu w oczy. Lepiej, żeby nie wiadziiano...

Udało się...

Wyciągnął się na rozłożonym kocu. Zbytńio wygodnie tu nie było, to prawda. Koc niewiele łagodził twardość desek. Za to, gdy przywarł do niego dostatecznie płasko, nikt, choćby stał tuż obok, nie zdołałby go zauważyć za barykadą wysokich skrzyń. Tym bardziej że światło lamp nie docierało tu niemal wcale.

## VII

Kilkakrotnie musiał zmieniać pozycję. Chwiejba rzucała nim o boki skrzyń. Nie oddalał się jednak od szczeliny pomiędzy nimi. Tu był najlepszy punkt obserwacyjny.

Powoli cichły zwykłe odgłosy dziennego życia. Dziwnie melodyjnie rozbrzmiewał w przepojonym wilgocią powietrzu dźwięk wybijanych klangów.

Gdzieś zaskrzypiały drzwi. Ktoś szybko zbiegał po trapie.

Czyjś mrukliwy głos dowodził coś niezrozumiałego.

Potrącane wiatrem linki antenowe wyśpiewywały przeciągłe jakąś żalospną melodię.

Szybkim, monotonnym werblem bębniły ciężkie krople deszczu po wierzchu tentu.



Kostrzewę zaczynała ogarniać senność. Sięgnął do kieszeni po papierosa. Cofnął jednak rękę. Nie... Ktoś mógłby zobaczyć albo poczuć dym.

Głód nikotyny doskwierał coraz bardziej. Nie móc zapalić, gdy się walczy z coraz gwałtowniej atakującą sennością? Przesunął końcem języka po wargach. Jakoś wytrwa. Skoro trzeba...

Powoli zapadała głucha noc.

Gwizdek oznajmił zmianę wachty. Z jakiegoś powodu nawet wyjście marynarzy na pokład wydawało się znacznie cichsze niż za dnia. Ale przynajmniej, dopóki rozchodzili się na swoje posterunki, było coś jeszcze słyhać. Potem zapadła cisza. Tylko szum wody i miarowy stukot maszyn. Zupełnie jakby cały statek nagle opustoszał.

Po prawej stronie migotało w ciemności czerwone ślepie zawieszzone gdzieś pod chmurami. Po lewej - zielone.

Mdłą poświatą majaczył odbłask światła kompasu.

Gdzieś daleko na horyzoncie przeleciała nagła jasność odległej błyskawicy, wydzierając z czerni pofałdowane odwłoki brzuchatych chmur.

Ktoś przechodził niedaleko skrzyń. Kostrzewa przybliżył twarz do szczeliny, wyęzając wzrok. Jakaś ciemna sylwetka o niewyraźnych, rozplywających się w mroku konturach.

Obserwował z natężeniem... Czyżby?

Szmer przyciszonego głosu. Tego drugiego w ogóle nie było widać. Podniecenie rosło. Mimowolnym ruchem dotknął kieszeni westki. Małeńki wembley&scott, kalibru pięć siedemdziesiąt pięć, mieścił się tam wygodnie, niczym nie zdradzając swojej obecności. W razie czego mógł się okazać wcale nie mniej skuteczny niż wielokalibrowy pistolet. Szczególnie na bliską odległość.

Szept chwilami opadał do ledwo dosłyszalnego tchnienia. Wreszcie ustał do reszty.

Człowiek ruszył w kierunku kabiny radia. Odcinek, na którym się znajdował, tonął w ciemnościach. Ale w odległości zaledwie kilku kroków, tuż na jego drodze, pełgała po pokładzie migotliwa plama rzucanego przez lampę światła. Jeżeli ją ominie, będzie to znaczyło...

Kostrzewa zaczął się już szykować do gwałtownego skoku.

Przez chwilę wydawało mu się, że podejrzenia są słuszne. Nieznajomy jakby przystanął, nie dochodząc do światła.

Nie. Jednak ruszył dalej, nie skręcił. Gdy padł na niego odbłask, Kostrzewa poznał Kwiecińskiego. Napięcie zelżało. Wszystko w porządku. Wachtowy bosman obchodzi swych ludzi.

Kwieciński zniknął mu gdzieś z oczu. Jeżeli nie zaprzestanie swych spacerów, cień nie odważy się wysunąć z kryjówki nosa.

Odgłos kroków wreszcie zamilkł. Znowu zapanowała cisza.

Postać Kaniewskiego rysowała się wyraźnie na tle szerokiej szyby wyżki. Widać było dokładnie, jak zapalał fajkę. Teraz nachyliła się nad kompasem. Gęste kłęby dymu otaczają jego twarz, jakby szarym, ruchliwym welonem.

Chwilami, gdy dym opadał, widział rysy jego twarzy zastygłe w dziwnym wyrazie, którego nie potrafił odcyfrować. Obserwował go w rosnącym zamyśleniu. Drugi oficer „Jedności” stanowił w jego pojęciu niewiadomą, jeszcze bardziej wieloznaczną od innych. Już nie pojedyncze poszlaki, ale cały ich długi łańcuch.

Poszlaki... Właśnie... Ale jeżeli chodzi o jakiegokolwiek konkretne dowody?

Potrząsnął niechętnie głową. Dowody? Wydawało się, że w całej tej sprawie w ogóle nie było żadnych dowodów...

Przytłumiony trzask. Jakby deska pokładu pod czyjąś ciężką stopą? Odwrócił się szybko w tamtym kierunku.

Nie... Nie było nikogo. Widocznie jakaś skrzynia przesunęła się pod wpływem chwiejby.

Gdy wzrok powrócił znowu ku wyżce, nie dojrzał już Kaniewskiego. Odszedł do przeciwległego okna? Rozciągnął się na stojącym poza polem widzenia fotelu? A może opuścił wyżkę?

Skąd mógł wiedzieć? Nie miał przecież możliwości sprawdzenia, nie zdradzając swej kryjówki.

Jeszcze jeden znak zapytania.

Czas płynął, rozcinany na części metalicznymi dźwiękami klangów. Nic się nie działo. Wiatr jakby nieco osłabł. Monotonny szum wody przyprawiał o jeszcze bardziej trudną do przewyciężenia senność.

Doznania zmętniały. Czyżby w końcu zaczął zapadać w drzemkę? Ocknął się raptownie, od razu zdając sobie sprawę z przyczyny, która wzbudziła w nim niepokój.

Nasłuchiwał. Niewątpliwie znowu odgłos czyichś kroków. Odgłos ten miał w sobie coś szczególnego. Ostrożne szuranie miękkich podeszew.

Wyjrzał przez szczelinę. Nic. A przecież właśnie stamtąd dobiegał odgłos. W tym miejscu mrok zagęszczony przez cień, który rzucała wysoka ściana nadbudówki, był niemal zupełnie czarny. Szuranie nagle ucichło. Przystanął?

Ciemność jakby zafalowała. Znowu ociągający się plaskot o deski pokładu.

Kostrzewa wstrzymywał niemal oddech, opuszczając nieco powieki. Błysk wytrzeszczonych oczu łatwo dojrzeć.

Powoli zarysowały się kontury lekko pochylonej postaci.

Nieco jaśniejszym tonem szarzała plama twarzy. Ruchliwy połysk fosforyzujących żółtawym odcieniem oczu.

Minął krawędź nadbudówki. Też miał na swojej drodze smugę jasności rzucanej przez chybotące lampy.

Gdy dotrze do niej, będzie wiadomo. Bo może jakiś marynarz z nocnej wachty, który... Który co? Jakoś nie przychodziło mu na myśl, że któryś z nich miałby się poruszać po pokładzie w tak dziwny sposób.

Sunął powoli, przystając ustawicznie. Jeszcze trzy kroki i wstąpi na oświetlone deski.

Znowu zatrzymał się, jakby z wahaniem, aż nagle skręcił ostrym łukiem, wybierając jak najciemniejsze miejsce.

Teraz już nie było wątpliwości: cień!

Serce zabiło Kostrzewie na moment przyśpieszonym rytmem. Nie sięgnął po pistolet. Na to jeszcze czas.

Wypełznął spoza skrzyń. Ociekający wodą pokład utrudniał ruchy. Przywierał, jak tylko to było możliwe, do desek, rozplaszczając ciało. Nie mógł go na pewno zauważyć. Żeby tylko nie dosłyszał.

Sunął ostrożnymi, przemyślanymi z góry ruchami. Miał przecież w tym nie byle jaką wprawę. Nikły szmer towarzyszący jego wędrówce powinien być utonąć w szumie wody. Ale tamten musiał mieć wyjątkowo czuły słuch. Nagle bowiem znieruchomiał. Znowu błysk myszkujących oczu.

Kostrzewa zastygł w miejscu. Nawet oddech wstrzymał niemal zupełnie. Kilka metrów, które ich dzieliło, to było bardzo niewiele. Akurat zgrzytnęły jazgotliwie szlupbloki. Cień ruszył dalej. Widocznie uznał, że dosłyszany poprzednio odgłos ma jakiś związek z rozchybotaną szalupą.

Kostrzewa pełznął jeszcze ostrożniej. Chyba już teraz wszystko w porządku? Mysz nie sprawiałaby więcej hałasu.

A jednak. Znowu stanął, znowu rozgląda się na wszystkie strony, znowu nadśluchuje.

Co to, u licha? Kostrzewa zacisnął wargi. Cień prysnął biegiem przez pogrążony w ciemnościach środek pokładu.

Kostrzewa poderwał się rozpaczliwym zrywem. Gdyby nie napięta do ostatecznych granic czujność, opóźnienie musiałyby być znacznie większe.

Cień sadził długimi susami. Kostrzewa runął za nim, na nic już nie zważając. Nie czas na maskowanie swych ruchów. Teraz zresztą każdy, kto by go zobaczył biegnącego, musiałby uznać pościg za usprawiedliwiony. Cóż naturalniejszego, że marynarz pokładowy pragnie ująć tajemniczego cienia, o którym tak wiele na statku mówiono?

Dziwnym trafem nikogo w pobliżu nie było. Stojący na rufie wachtowy pozostawał niewidoczny.

W ciemności zamajaczyły sztangi bomu. Przypomniał sobie zeznania Bartczaka. Znowu tam?

Nie było na co dłużej czekać. Prawa ręka sięgnęła błyskawicznie do kieszeni w westce. Palce dotknęły chłodnej stali pistoletu.

- Stój! - zawołał rozkazująco.

Tamten nie usłuchał.

Jeszcze jeden nieprawdopodobnej długości sus. Palce Kostrzewy zacisnęły się na broni. Strzelić w nogi?

Zanim jednak zdołał powziąć ostateczną decyzję, cień nagle zniknął.

Kostrzewa przebiegł jeszcze parę metrów i przystanął, rozglądając się niepewnie...

## VIII

To było wprost niepojęte. Jeszcze przecież przed sekundą widział go dokładnie. Widział i słyszał. A teraz nic. Jakby się zapadł pod ziemię.

Może przycupnął za windą?

Zamierzał skoczyć w tamtym kierunku. W tej samej jednak chwili, gdzieś tuż, w pobliżu, zastukały powolne kroki. Może nawet nieco podobne do tamtych.

Z mroku wychyłała przygarbiona postać. Ktoś szedł właśnie od strony rufy. Od miejsca, gdzie przed chwilą zniknął cień. Ręka znowu powędrowała ku obciążonej bronią kieszeni.

Ostry snop światła uderzył go w oczy, oślepiając na chwilę.

- Kto to? - poznał matowy głos Kaniewskiego. - Ach tak Kotera... - Światło wreszcie przestało atakować oczy. Kostrzewa powoli odzyskiwał zdolność widzenia. Twarz drugiego oficera była dziwnie zmięta i pozbawiona życia. Oczy przygasłe, szkliste, przypominały dwie porcelanowe gałki wetknięte w głęboko pozapadane jamy oczodołów.

- Ty krzychałeś?

- Tak - przez cały czas składania zwięzłego raportu Kostrzewa zastanawiał się nad wieloma rzeczami naraz: skąd Kaniewski wziął się tu tak szybko po okrzyku? Dlaczego nadchodził właśnie z tamtej strony, w której zniknął cień? Czy mógł go nie zauważyć? I wreszcie, co robił od chwili opuszczenia kabiny nawigacyjnej.

- Ach tak... - bezkrwiste usta oficera zadrgały w uśmiechu słabo maskowanej ironii - Cień... Cóż, poszukajmy razem.

Znowu tupot. Od rufy przybiegł Konkiel, który akurat odbywał tam wachtę. Poznawszy Kaniewskiego, zatrzymał się niepewnie.

Oficer pokiwał głową.

- Owszem. Przydacie się. Odbywamy tu coś w rodzaju małej nagonki na tak zwanego cienia.

- Tu zniknął? - zapytał z kolei Kostrzewę.

- Tak.

Kostrzewa zakreślił dość szerokim gestem koło obejmujące windę, bom i lukę.

- Gdzieś tutaj.

- Hm... - promień latarki padł na windę. Wystarczyło jedno spojrzenie, by stwierdzić, że w jej pobliżu nie było nikogo. Potem zajrzeli pod potężny słup bomu i za zwój cumowych lin.

- Musiał się widocznie rozwiać w powietrzu. Czyż nie tak? Kostrzewa wsłuchiwał się uważnie w brzmienie dziwnie rozdrażnionego głosu Kaniewskiego.

- Nie - zaprzeczył spokojnie. - W powietrzu nie. Raczej jakby zapadł się pod pokład.

- Pod pokład? - powtórzył Kaniewski, bawiąc się przełącznikiem latarki. - To już bardziej prawdopodobne.

Podszedł ku pokrywie zamykającej luk ładowni. Pchnął nogą - Jeszcze raz. Pokrywa ani drgnęła.

- Ano spróbujcie ją otworzyć.

Spróbowali. Kostrzewa natężył wszystkie siły. Sprawdzenie pokrywy w tych warunkach było przecież niezmiernie ważne. Konkiel aż się zasapał.

- Zaryglowane na fest - w ostatniej chwili opanował chęć splunięcia. - Ani nawet...

Kaniewski skierował światło wzdłuż nadburcia rufy.

- W takim razie nie tu należy szukać tej zapadni, która pozwoliła zniknąć waszemu cieniowi. Szukajmy więc dalej.

Nachylili się nad włazem do maszynowego oddziału. Wyjrzała spocona twarz Sobczaka.

- Wszystko w porządku? - zapytał niedbale Kaniewski.

- Tak jest. W porządku.

- Nie zaglądał do was nikt obcy?

Na twarzy Sobczaka odmalował się wyraz zdumienia.

- Obcy? Nie, nie było tu nikogo obcego.

- Cóż nam w takim razie pozostaje? - Kaniewski spojrzał na Kostrzewę. - Pomieszczenia gospodarcze? Popatrzmy i tam dla spokoju sumienia.

Zeszli. Próbowali otwierać każde drzwi po kolei. Wszystkie jednak okazały się zamknięte na głucho.

- Jeżeli więc wasz cień nie potrafił prześliznąć się przez dziurkę od klucza, nie ukrył się także i tutaj - drwił Kaniewski.

Kostrzewa pomyślał, że mógł wejść gdziekolwiek i zamknąć za sobą drzwi od wewnątrz, nie odezwał się jednak ani słowem. Po co? Nie wierzył, by tak proste rozwiązanie nie nasunęło się

również oficerowi. Dlaczego usiłuje zbagatelizować to całe zdarzenie?

- No więc - po wyjściu na pokład Kaniewski zgasił latarkę - to byłoby już chyba wszystko, jeśli nie wyskoczył za burtę. Jednym słowem fiasko... Ttak... A wy - spod na wpół opuszczonych powiek oficera strzelił nagle ostry błysk badawczego spojrzenia. - Ty... właściwie w jaki sposób znalazłeś się w nocy na pokładzie? To przecież nie twoja wachta?

W zasadzie Kostrzewa był przygotowany na takie pytanie. Padło jednak tak zniecacka, że niemal się zmieszał.

- Ja... Rolski powiedział, że mam początki astmy. Zaordynował mi sypianie na otwartym powietrzu.

- Zaordynował? - przeciągnął ze szczególną intonacją Kaniewski.

Kostrzewa zachnął się w duchu. Znowu gafa. Drugi oficer stawał się niebezpiecznym przeciwnikiem.

- To jest... powiedział, że ordynuje - poprawił się szybko.

- Ach tak - znowu ostry błysk oczu. - Cóż, to do niego całkiem pasuje. Lubi używać takich, hm... książkowych wyrażen.

W tonie tym razem ani zdźbła ironii, a przecież było jasne, że kpił w żywe oczy. Rolski i książkowe wyrażenia? Należało się mieć na baczności.

Oficer przytknął do fajki pryskający płomień „sztormowej zapalniczki”.

- Szkoda - wycedził jakby w zamyśleniu, pykając słodko pachnącym dymem - trzymałeś go już prawie w rękach i...

Kostrzewa milczał, przygotowując się do odparcia następnego sztychu. Był pewny, że lada chwila zostanie zadany. Nie mylił się.

- Gdybyś miał broń - oczy oficera usiłowały wwiercić się gdzieś w głąb, pod czaszkę - nie dałbyś mu tak łatwo uciec. Prawda? - pochylił się ku niemu, ani na ułamek sekundy nie spuszczał wzroku z jego twarzy.

- Broń? - Kostrzewa roześmiał się, jakby z najlepszego kawału - pewno, że tak. Ale jakby wyglądał marynarz transportowca z karabinem w garści? Toć nie flota wojenna.

- Po cóż karabin? Wystarczyłby pistolet. Choćby nawet całkiem mały...

- Może by i starczył. Chociaż, jeśli całkiem mały... Czy ja wiem... Nie znam się na pistoletach...

- To nie służyłeś w wojsku? - W głosie Kaniewskiego brzmiało maskowane rozczarowanie.

- Jakże nie. Ale w piechocie. Tam nie mieliśmy do czynienia z krótką bronią. Karabin liniowy, cekaem czy erkaem, owszem, to znam. Ale pistolet kieszonkowy?

Spojrzenie Kaniewskiego powoli zgasło.

O wczesnym świcie schodzący z wachty Kaniewski powtórzył kapitanowi meldunek Kotery, opowiadając o negatywnym wyniku zarządzonych poszukiwań. I znowu została zwołana narada.

Bartczak nie patrzył na nikogo. Musiał to w sobie jakoś przetrawić.

- Tak - westchnął - więc znowu wszystko zaczyna się od początku?

Kaniewski podciągnął ostrożnie spodnie. Prezentowały idealnie równą linię sztywno zaprasowanego kantu.

- Nie twierdę bynajmniej - miarowymi pyknięciami wypuszczał dym z fajki - by niektóre okoliczności nie nosiły podejrzanych znamion. Owszem... Były podejrzane... szczególnie jeżeli podchodzić do nich z pewnym, hm... nastawieniem. Ale jeżeli chodzi o zdarzenia wczorajszej nocy... Nie wierzę w cuda. Człowiek był, a za chwilę ani śladu. Rozwiął się w powietrzu?

- Więc co pan przypuszcza? - zapytał Bartczak.

- Ba... - przydusił tłący tytoń, by fajka lepiej ciągnęła - gdyby się widziało jedynie to, co istnieje w rzeczywistości. Ładunek wszelakiego rodzaju historii, przesiąkniętych dreszczykiem sensacyjnych emocji, stanowi pryzmat, w którym rzeczywiste promienie łatwo mogą być rozszczepione na nierzeczywiste barwy...

Igielnicki przymrużył oczy.

- Bardzo misterny wywód. Tylko na mój gust cokolwiek zbyt zawiły.

Bartczak pochylił się ku Kaniewskiemu.

- Uważa pan, że Koterze tylko się przywidziało? - zapytał z zastanowieniem. - To byłoby jednak dziwne. To pod każdym względem trzeźwy człowiek.

- No tak - Igielnicki spojrzał spod oka na Kaniewskiego.

- Najłatwiejszy sposób pozbycia się kłopotu, to stwierdzić, że to abstrakcja, przywidzenie i tak dalej, sprawa załatwiona.

- Trzeźwy? - powtórzył Kaniewski, zdając się nie słyszeć zjadliwej uwagi pierwszego oficera. - Trzeźwość to nie jedyna zastanawiająca cecha tego człowieka. Chwilami wydaje się... - nagle urwał. Jego źrenice się rozszerzyły, a twarz spłynęła martwą białością. Oczy jakby zapadły w głąb. Na czoło wystąpiły drobne kropelki potu.

- Co się wydaje? - ponaglił niecierpliwie Bartczak. Układał w myśli treść radiogramu, który należałoby wysłać do Miechowca.

Kaniewski wciągnął spazmatycznie powietrze. Rękę, która automatycznie przywarła do munduru, gdzieś w okolicy dolnych żeber, położył z powrotem na kolanie. Przez chwilę trwał w bezruchu. Potem wyjął fajkę z ust. Zaczął przy niej manipulować, pochylając się nisko. Teraz już nikt nie byłby w stanie dostrzec wyrazu jego twarzy.

- Wydaje się? - powtórzył, jakby nie rozumiejąc, o co chodzi. Głos brzmiał zgrzytliwą

chropowatością.

Bartczak spojrział na niego z nieskrywanym zdumieniem.

- Mówił pan przecież o waszych wrażeniach na temat Kotery.

Kaniewski roześmiał się. Śmiech przypominał dźwięk pocierania dwóch kawałków suchego drzewa. I właściwie trudno było zrozumieć, co go wywołało. Pochylił się jeszcze niżej nad fajką, dłubiąc w niej niklowanym szpikulcem.

- Wydaje się... że jednak mogło mu się przywidzieć...

W kabinie zapadła cisza. Bartczak pocierał czoło. Co znów z Kaniewskim? Zachowywał się jakoś dziwnie. Czyżby nagły atak tej jego choroby? Spojrział na niego spod oka. Sylwetka drugiego oficera zarysowała się sztywną linią. W każdym razie trzyma się - potem znowu powrócił myślą do tematu.

- Nie - przerwał wreszcie milczenie. - Nie sądzę, by to miały być przywidzenia. Zresztą... okoliczności nakazują raczej przyjąć to wszystko za realny fakt. Czy to pierwszy raz mamy do czynienia z tego rodzaju meldunkiem?

- Niestety - westchnął Igielnicki. - Niedługo dzień, w którym nie usłyszymy o cieniu, będziemy uważać za niezwykły.

- Co panów zdaniem należy uczynić? - rzucił pytanie.

Nikt nie odpowiedział. Bartczak jednak nie zrezygnował.

Brzemie było zbyt ciężkie jak na jedne barki.

- Pana zdanie? - zwrócił się do Nowackiego, który był najmłodszy w tym gronie.

Zabrzmiało to tak oficjalnie, że Nowacki poruszył się w fotelu.

- Według przepisów regulaminu morskiego należałoby osobnika nazywanego cieniem niezwłocznie aresztować - wypalił bez namysłu.

Zanim jednak przebrzmiało echo ostatniego słowa, zdał sobie sprawę, że strzelił kapitalne głupstwo. Poczzerwieniał gwałtownie.

- To jest - przełknął ślinę - chciałem powiedzieć, że należałoby go... zidentyfikować.

Rozejrzał się ukradkiem. Śmieją się? Powinni się śmiać. A to byłoby okropne. Taka wpadka... Czyż nigdy nie nauczy się panować nad sobą? Twarze jednak były poważne.

Igielnicki pokiwał głową.

- Rada niewątpliwie bardzo na czasie - trudno było wywnioskować, którą z nich miał mianowicie na myśli. - I jak najbardziej słuszna. Tylko... - pogładził oparcie fotela - w jaki sposób ją wykonać?

Bartczak stłumił uśmiech pobłażania. On też kiedyś pływał po raz pierwszy w charakterze oficera.



Narada trwała jeszcze pewien czas i nie dała najmniejszego rezultatu. Bartczak był zrezygnowany. Nie miał jednak do nikogo pretensji. Cóż tu właściwie można było wymyślić w tych warunkach?

## X

Kostrzewa przystanął z wahaniem. Drzwi kabiny drugiego oficera były zamknięte na głucho. Ale szmer przesiąkający od wewnątrz był niewątpliwie dźwiękiem ludzkich głosów.

Podszedł bliżej. Wszystko, co dotyczyło Kaniewskiego, miało swoje znaczenie. A rozmowa o tej porze...

W kabinie szeptano. Zrobił jeszcze pół kroku. Chwilami szept przechodził w niemal zupełnie głośne słowa.

I ton, jakim były wypowiedane... Niekiedy jakby błagalny.

Kto był u Kaniewskiego? Odpowiedź na to pytanie mogła dać niezmiernie wiele. Pokusa była silna. Czyż miał znowu zaprzepaścić okazję? Rozejrzał się szybko dookoła. Nie dojrzał nikogo w pobliżu. Ale to oczywiście nie wykluczało w najmniejszej nawet mierze ryzyka. W każdej chwili ktoś mógł nadejść. I gdyby go zastał przy podsłuchiowaniu... Wątpliwe, czy nawet ciemność zdołałaby go uchronić przed poznaniem i... kompromitacją.

Trudno. Zdecydował się w jednej chwili, przywierając całym ciałem do metalowej ściany.

Przybliżył ucho do drzwi. Zamienił się cały w słuch.

Z wolna zaczął wyławiać z chaosu skłóconych dźwięków znaczenie poszczególnych słów.

- Tak... dalej być nie może...

Odgłos miękkich, powłóczyстых kroków. „Nie!h - to zabrzmiało niemal jak krzyk. I znacznie ciszej: „Człowiek jest tylko człowiekiem...h „Nie mogę... nie mogę już...h Ten sam głos? Inny? Nie potrafił jednak tego skonstatować. Szept wznosił się i opadał do przeciągłego pomruku, z którego nie dało się nic wyłowić.

Znowu zrozumiałe słowa: „Przecież ciągnąłem, dopóki było w mojej mocy... Robiłem, co mogłem... Czy to moja wina, że...h - głos Kaniewskiego. Ale do kogo on to mówi?

„Nie powinni się dowiedzieć... Nie... Za żadną cenę... To byłoby gorsze od wszystkiego, co można sobie wyobrazić... Stokroć gorsze. Wtedy...h Cisza. Potem odgłos, jakby otwierano jakieś szuflady. Skrzypienie zawiasów mogło oznaczać tylko otwieranie drzwiczek szafy. Znowu lekki trzask zamka. Cichy, ledwie dosłyszalny brzęk szkła. Bulgot. Pił wodę? Stuk czegoś postawionego na biurku.

„I tak wszystko na nic... Co za męka... co za nieludzka męka...h - szept nabrzmiewał rozpaczą. „Dłużej nie... Muszę... Trzeba będzie... Tak... i to jak najprędzej, bo...h

I właśnie w tej chwili, gdy Kostrzewa spodziewał się usłyszeć jakieś rewelacje, w mroku zamigotały niewyraźnie dwie ludzkie sylwetki. Szły od dziobu akurat ku miejscu, w którym stał. Odskokzył miękkim susem. Nie można było postąpić inaczej. Ale żeby akurat kogoś diabli musieli przynieść w

tak decydującym momencie? Pech. Zaciskał usta, opanowując z trudem wściekłość. Przeklęty pech! Jeszcze dwa ciche kroki i stanął przy burcie oparty łokciami o poręcz. Może przejdą, zanim... Musi przecież zobaczyć, kto wyjdzie z kabiny. Zidentyfikowanie rozmówcy mogło rozwiązać niejedną zagadkę. Zmuszał go do czegoś, przed czym Kaniewski wzbraniał się rozpaczliwie? Kto? Wspólnik, rozkazodawca?

A jeżeli nie było w ogóle nikogo? Jeżeli zmożony bólem oficer zalił się przed samym sobą? Tego też nie dało się wykluczyć.

Kaniewski miał dzisiejszej nocy psią wachtę. Jeżeli więc do tego czasu nikt obcy nie opuścił kabiny, a on wyjdzie sam...

Trudno, trzeba będzie w najgorszym razie przeczekać tu parę godzin... Może zresztą zagadka wyjaśni się szybciej. Niech tylko ci dwaj przejdą. Przewiesił górną połowę ciała przez burłę, wychylając się tak, by go nikt nie mógł poznać.

## XI

Nie przeszli jednak. Przystanęli tuż obok.

Nie odwracał się, choć czuł, że mu się przyglądają.

- Przepraszam - poznał głos Gwoźdźcia. - Czy to przypadkiem nie Kotera?

Wyprostował się, tłumiąc odruch niechęci. Dalsze naśladowanie strusia nie miało celu. Trudno chyba komuś gorzej wejść w paradę. Zrobi wszystko, co możliwe, by spławić ich jak najprędzej. To było konieczne.

- Tak, ja - spróbował nawet się uśmiechnąć. - A o co chodzi?

Teraz z kolei zabrał głos Sielawa.

- To, uważasz, bracie, taka historia... - urwał, zerkając nieufnie na drzwi za sobą. - Nie moglibyśmy przejść w jakieś bardziej zaciszne miejsce?

Dał się bezwolnie poprowadzić. Jakiż mógł wysunąć pretekst uzasadniający chęć pozostania na tym miejscu? Ale w duchu klął na czym świat stoi. To było fatalne.

Zaciszne miejscem w pojęciu Sielawy stanowiła burta w pobliżu dziobu. Wiało tu z takim impetem, że o mało nie pourywało głów. Bryzgi wody pryskały obficie w twarz, ściekając nieprzerwanymi strugami po westkach. Ale poza sterczącym na dziobie wachtowym nikogo w pobliżu nie było. Może mu właśnie o to chodziło? Sprawa zaczynała nabierać posmaku tajemniczości.

- Bo widzisz... no... - Sielawa przybliżył usta do ucha Kostrzewy - tu chodzi o cienia.

- O cienia? - powtórzył ze zdumieniem Kostrzewa.

- Właśnie.

- Znowu go ktoś widział?

- Nie... To jest, właściwie... niezupełnie. Zresztą, czy wiem... - bąkał niepewnie.

Teraz Kostrzewa nic już nie rozumiał.

- Nie możesz to wyjęzyczyć się dokładniej? - mruknął ze złością.

- Bo widzisz... Gwóźdź był świadkiem takiej dziwnej historii... Może to ma coś wspólnego z cieniem, może i nie. Sam nie wiem... choć na mój rozum raczej tak... No - przyciągnął bliżej Gwóźdź - sam opowiadaj, jak to było. Niech Kotera rozsądzi.

- Już od samego rana... - zaczął Gwóźdź - rznąło mnie brzuchu... Jak tylko spojrzę na jedzenie, zaraz mdło się robi Kolka, myślę sobie, albo co...

Kostrzewa gryzł wargi, zwalczając całym wysiłkiem rosnące zniecierpliwienie. Czy po to, by pleść bez sensu, odciągnęli go z tak ważnego posterunku? Nie zaryzykował jednak ponagleń, w obawie, by Gwóźdź nie zaczął znów opowiadać od początku. Słuchał z na wpół przymkniętymi oczyma, trzymając nerwy na wodzy.

- No więc - ciągnął rozwlekłym głosem Gwóźdź - już przy śniadaniu miałem... Idę więc po rozum do głowy. Sam wiesz, że z chorobami na morzu nie ma żartów. Walę jak w dym do Rolskiego. Lekko to mi na duszy nie jest. A łapiduch, jak to oni wszyscy... Maca, ugniata, opukuje. Aż się cały spociłem. W końcu dał mi spokój. „Proszki - powiada - to jeszcze nie wszystko. Grunt to dieta. Kaszka, kleik, dopóki wszystko tam nie wydobrzeje. A to diabli wiedzą jak się może zapaskudzić - i pisze zaraz kartkę do Basiorskiego. Ano, kaszka to kaszka. Ostatecznie nie jest się przecie dzieckiem, żeby nie dbać o własną maszynę. Więc maszeruję do szefa. Ale gdy stanąłem przy wejściu na schodnię, patrzę, przy skrzyni z piaskiem, wiesz, tej, co stoi w gospodarczym korytarzu, coś jakby się rusza.

Kostrzewa słuchał z rosnącą uwagą. Zniecierpliwienie już minęło.

- Co to było? - zapytał.

- Żebym to potrafił dojrzeć dokładnie. Chociaż wytrzeszczałem oczy, niewiele zobaczyłem. Tam, wiesz, ciemno jak diabli.

- Ciemno - potwierdził Sielawa. - Przewody ciągle nawalają. Elektryk w końcu powiedział, że szkoda naprawiać, bo rury wodociągu ciekną i z tego powodu krótkie spięcia. A znów hydraulik zaklina się na wszystkie świętości, że gdyby tylko przewody elektryczne były w takim porządku jak rury, to instalacja na naszym pudle mogłaby się ubiegać o tytuł „ósmego cudu światah. I wyniuchaj tu, który ma rację.

Kostrzewa milczał, zastanawiając się nad każdym słowem. Te gasnące w pewnej części korytarza światła też mogły mieć znaczenie. Sam niezmiernie rzadko chodził do kambuza. Owszem, widział, że lewa część korytarza pogrążona jest w ciemności. Nie zwróciło to jednak jego uwagi. Sądził, że jakieś przepalone żarówki czy inne tego rodzaju przejściowe uszkodzenie... Ale ustawiczne krótkie spięcia, które na domiar nie powodują wyłączenia światła w dalszych częściach korytarza? Ciekawe.

- Dojrzeć, wiele nie dojrzałem - powtórzył Gwóźdź. - Ale że jacyś ludzie - dałbym głowę. Tylko ilu ich było? Choćbyście mnie zabili na miejscu. Dwóch czy więcej... Nie lubię gadać, jak czego nie wiem...

- Ale dwóch na pewno? - zapytał Kostrzewa.

- Nno... zełgałbym, jeślibym powiedział, że widziałem chociaż dwóch. Rusza się i tyle. A co mianowicie... Że to jednak gadali...

- Gadali? - Kostrzewa przysunął się jeszcze bliżej, teraz już nie chciał, by choć jedno słowo utonęło w szumie bulgocącej wody.

Gwóźdź skinął potakująco głową.

- Właśnie. W pierwszej chwili to oczywiście, nie żeby mnie tam znów specjalnie coś tknęło. Miejsce przecież nie jakieś zakazane. Gadają, to gadają. Ale potem... Bo to widzisz, szepcą... A człowiek ma tak nabitą głowę tymi wszystkimi historiami. Zaczyna mi nie klapować. W ciemny kąt i szuru-muru? Czort wie, czy nie jakaś nieczysta sprawa. Ano, myślę sobie, w każdym razie trochę posłuchać nie zaszkodzi. Zauważyć mnie dotychczas nie zauważyli, więc zamarłem jak słup i rozwieszam uszy.

- Dosłyszałeś coś?

- Iii tam. Tyle co i nic. A i z tego sam Salomon nie byłby mądry. Że „pojutrzeh, że „uwazaćh i że jakaś „strith. Ale jaka i gdzie - to już ciemna mogiła. Więc mnie ogarnęła chętką przyjrzeć się bliżej tym tajemniczym szeptaczom.

Usiłowałem iść jak najciszej. Ale... - wruszył ramionami - niestety, nie wyszło. Widocznie nie na moje buty sprawa. Albo tamci mieli uszy za chybkie. Krótko mówiąc, ledwo postawiłem nogę na pierwszym stopniu, wszystko się okociło. Musieli dosłyszeć. Pstryk i w całym korytarzu od razu jakby atramentu nalano. Jakaś kotłowanina, tupotanie, nietupotanie, stuk jeden, stuk drugi. Kto by się tam rozeznał. A mnie już cholera trzęsie. Granda jak na dłoni. Ech - westchnąłem sobie od serca - taka wasza owaka. Będzie, co ma być! Zełgałbym, żebym twierdził, że nic mi nie pikało. Na oślepie w taką czeluść, w której może tylko i czekają, żeby człowiekowi łeb ukreścić? Dusza trochę na ramieniu, ale nic. Walę na łeb na szyję. O mało nóg nie połamałem - I złość mnie żarła, i ciekawość, i strach. Krótko mówiąc, roznosiło na wszystkie strony. Ano, zeskakuję z ostatniego stopnia - jakoś nic. A na dole, jakby w studnię wpadł. Ani dojrzysz własnego nosa. Może stoi tuż obok z pałką w rękę albo czymś takim. Może z tyłu? Może już nad łysiną wisi cios... Co tu rozmyślać. Choćbyś oczy wyjął, też nic nie dojrzysz.

Jeszcze jeden skok - jestem przy grodzi. Tam, wiecie, wyłącznik akurat naprzeciwko schodni. Macam po ścianie, znaleźć nie mogę. Aż mi się zimno zrobiło. Co u diabła? Powiadam wam, jakby w jakim cholernym śnie. Wreszcie jest! To widocznie z tego zdenerwowania trochę mi się pokręciło co do miejsca. Przekręcą. Zapali się czy nie? Niewyraźnie mi wtedy było, szkoda gadać. Zapaliło się. Oczywiście, że tylko po lewej stronie. Dobrze i tak. Patrzą w oświetloną część korytarza: ani żywego ducha.

Cóż - powiadam sobie w duchu - skoro już rydz, włącz do kobiałki. Zaciskam zęby, pięści w pogotowiu i pcham się w ciemnicę. Zapałkę pstrykam, na wszelki wypadek, po zapałce. Zawsze człowiekowi raźniej, choć światła z tego tyle co kot napłakał.

Dochodzę do skrzyni. Z pięć zapałek przy niej samej zmarnowałem. Nachylam się... - Nagle zachłysnął się gwałtownie wodą, która akurat chlusnęła mu w otwarte usta.

- I coś tam znalazł? - ponaglał Kostrzewa.

Parskał, odpluwając.

- Taki zafajdany pech, żeby komuś prosto w gardło...

- Gadaj! - szturchnął go Sielawa. - Kłąć będziesz potem.

Odwrócił powoli głowę.

- Pytasz, com znalazł? - zmrużył oczy. - Nic - sarknął ni to gniewnie, ni to z zastanowieniem - o to właśnie chodzi, że nic... W całym korytarzu pustka. Taka jak z tamtym cieniem. Był, nie ma, powietrze. Na mój rozum sprawa z tej samej serii.

- Hmm - Kostrzewa zamyślał się coraz głębiej. - A nie mógł uciec do kambuza? Zresztą nawet nie uciec. Po prostu akurat skończyć rozmowę i przejść sobie spacerkiem...

- Pewno, że mógł. Ale sam zaraz to sobie pomyślałem, więc biegiem jak w dym właśnie tam. A Basiorski samotny jak palec. Siedzi, bodaj drzemie. Przecież o tej porze u niego fajerant. Wytrzeszczył oczy: „Co, jacyś obcy, tuż obok w korytarzu? Cień?h - przestraszył się chłop nie na żarty. Aż mu się policzki zatrzęśły. „No to ja - powiada - tego cienia.h Łaps za taki wielki nóż kuchenny i udaje bohatera, chociaż blady jak płótno. Do drugiej ręki latarkę i ciągnie na korytarz. Pędzimy ku skrzyni. Zaświecił latarkę. „Tu?h - pyta, wymachując nożem. Ale głos nie żeby za bardzo mocny... Tu. Więc ogląda na wszystkie strony. Jeździ światłem, gdzie popadnie. Po ścianach, po podłodze, po suficie, jakby przypuszczał, że cień zamienił się w muchę. Nawet wsadził nos pomiędzy skrzynie i grodz, choć tam tyle miejsca, że szczur by się nie zmieścił. Potem szarpał drzwiami.

- To tam obok skrzyni są jakieś drzwi? - zapytał Kostrzewa.

- Owszem. Od magazynu podręcznego. Naciska klamkę, zamknięte na głucho. Nie zrezygnował. „To - powiada - nie ma już wytrychów?h Otworzył, oświetlił, nawet skrzynie odsuwał, skrupulatnie jak rzadko.

- Wszystko odsuwał?

- Co do jednej. Ach, nie - poprawił się - prawda. Była tam taka wielka. Ale ta dotykała samej ściany. Z przodu zresztą rzadkie poprzeczki. Od butelek, czy czegoś takiego, gdy zapalił światło, nie było potrzeby odsuwania. I tak widać, że ani myszy.

- Z tego magazynu nie ma drugiego wyjścia?

- Nie. Skądże by! To coś w rodzaju komórki. Kostrzewa przesunął ręką po ociekającej wodą twarzy.

- A... do kabiny Basiorskiego też zajrzeliście?

- W pierwszej chwili to mnie nawet i ciągnął. Ale potem się rozmyślił. „Sam - mówi - zamknąłem na cztery spusty.h Nawet klucz z kieszeni wyciągnął. „Musiałby chyba przez dziurkę od klucza. A w to, wybaczcie, nie wierzę.h Ano, co racja, to racja. Przez dziurkę to żadnym sposobem nie. To wszystko... - otarł: wierzchem dłoni usta. - Jak uważasz?

- Tak - zabrał głos Sielawa - warto by się zastanowić, co z tym fantem zrobić. Bo po mojemu, sprawa całkiem wyraźna nie jest.

- Ano nie - potwierdził w zamyśleniu Kostrzewa. - A co zrobić? - przesunął ręką po czole. - W tym właśnie sęk.

Więcej wtedy na ten temat nie pozwolił z siebie wydusić.

- Muszę sobie przecież skrupulatnie wszystko przemyśleć. Nie można tak łapu-capu...

Kostrzewa rozkaszał się, aż ukazały się żyły na skroniach.

- Chyba na mnie czas pod koc... - uśmiechnął się przepraszająco. - Rolski mówił...

Odprowadzili go aż pod tent. Troskliwość ich w tym wypadku była mu mocno nie na rękę. Bo przecież tymczasem w kabinie Kaniewskiego... Chcieli jeszcze przynieść dodatkowe kocy: „Taki ziąbh. Ledwo im zdołał wyperswadować. Odeszli do kubryku. Dla pewności przeczekał jeszcze parę minut.

Potem niemal kłusem pobiegł pod kabinę drugiego oficera. Stał tu dość długo, przywierając uchem do drzwi. Wewnątrz jednak panowała zupełna cisza. Albo więc ten drugi zdążył już wyjść, albo... Tak czy inaczej nie było na co dłużej czekać.

Z ciężkimi sercem powrócił w zacisze za swoimi skrzyniami. Diabło to wszystko zaczynało się komplikować.

Rozciągnąwszy się na nawilgłych kocach, powrócił myślą do opowiadania Gwoźdźcia. Niewyraźna sprawa? Pewno, że tak. Jeszcze nawet bardziej, niż to przypuszczali. Do upstrzonego niewiadomymi równania przybyła jeszcze jedna niewiadoma - Basiorski. Skoro taki „skrupulath, który zaglądał nawet tam, gdzie na zdrowy rozum żadną miarą nie mógł się zmieścić człowiek, to dlaczego nie skorzystał z towarzystwa krzepkiego marynarza, by za jednym zamachem przeszukać również i swoją kabinę, w której mógł się ktoś schować? Że zamknięta na klucz? Magazyn też był przecież zamknięty, a jednak otworzył i sprawdził. Sam wspomniał o wytrychach. Jeżeli wytrych mógł otworzyć magazyn, to na czym opierał pewność, że nie otworzył również drzwi jego kabiny? Tu coś nie pasowało.

I jak to możliwe, że będąc na dole nie słyszał tych wszystkich hałasów, które dobiegały wyraźnie do Gwoźdźcia stojącego na Pokładzie? Drzemał?...

## VII. WE MGLE

### I

Deszcz ustał. Zanim jednak zdążono odczuć ulgę, nadciągnęła mgła. Jeszcze przed południem zaczęła się słać warstwami brudnoszarych strzępów na rozkołysaną wodę. Strzępki nabrzmiwały, rosły, łączyły się powoli w jedną, coraz bardziej nieprzejrzystą całość.

Pod wieczór jeszcze bardziej zgęstniała, przybierając miejscami ciemnożółtawe zabarwienie.

Przesłoniła bez reszty świat, pożerając morze i niebo. Rozpełzła się po pokładzie, otuliła statek od kilu aż po wierzchołki antenowych masztów.

Płynęli jakby pośród ciągnących się w nieskończoność kłębków skołtunionej waty. Wydawało się, że lada chwila wynurzy się z niej tuż przed oczyma coś czyhającego w ukryciu, co zmiażdży statek niczym zabawkę z papieru.

Klosze pokładowych lamp otaczała tęczowa aureola niby różnobarwne abażury. Mdłe promienie światła wsiąkały bez odblasku w niemal fizycznie namacalny gąszcz oparów. Odbarwiony blask lamp pozycyjnych nie docierał nawet do pokładu. Na wszystkim, czego się dotknąć, perliły się drobne kropelki wilgoci. Mokre macki wpełzały pod ubrania, łechcąc skórę dygotem dreszczu. Wysokimi, szarpiącymi nerwy dźwiękami wibrowało nieprzerwane prawie wycie syreny.

Ruchy ludzi stały się niepowszednio powściągliwe, niepewne. Ołowiany ciężar dławił mózgi. Instynktowne poczucie bezradnego zagubienia było silniejsze od rozumowań. Ludzi opanowywało trudne do zwalczenia przygnębienie.

Kiedy przyszedł nareszcie świt, mgła zaczęła nasiąkać rozległą gamą zmiennych barw. Od lekkiego zaróżowienia poprzez krwistą czerwień po złociste odbłyski płonącego gdzieś za jej przesłoną słońca. Nie stała się jednak przez to ani odrobinę bardziej przejrzysta. A potem znów przybrała poprzedni ton beznadziejnej szarości. Upływający dzień znaczyły teraz, poza zmianami wacht, jedynie dźwięki dzwonu okrętowego.

Kapitan Bartczak nie opuszczał niemal ani na chwilę kabiny nawigacyjnej. Palił papierosa za papierosem. Parzył przelyk, pijąc prawie wrzącą kawę. Bez tej podniety trudno by mu było wytrwać na posterunku.

Mgła... Ileż statków zaginęło bez śladu, kiedy spadała na morze.

Na pudełku po papierosach Kostrzewa naszkicował wyobrażany plan rozmieszczenia pomieszczeń okrętowych. W niektórych miejscach chyba tylko ściana grodzi oddzielała korytarz gospodarczy od ładowni.

- Hm... - przyglądał się w zamyśleniu szkicowi - a jeśli jakieś przejście? To oczywiście tłumaczyłoby wiele rzeczy.

Wyrzucił pudełko za burtę. Lepiej, żeby nie dostało się w obce ręce. Marynarz pokładowy, który zajmuje się rysowaniem planów statku? Sprawdził na miejscu topografię korytarza. W jego ciemnej części znajdowały się po tej samej stronie co skrzynia niejedne, lecz troje drzwi. Dokąd prowadziły te pozostałe?

Zagadnął ostrożnie, niby to mimochodem, Konkiela. Ten przyjrzał mu się przymrużonymi oczyma:

- Wraziłeś se w łeb cienia?

Kostrzewa roześmiał się głośno.

- Też - wzruszył ramionami - co mi tam... Tylko tak. Nie zaszkodzi przecież wiedzieć, na jakimi świecie człowiek żyje.

Miał wrażenie, że zdołał uspić podejrzenia Konkiela.

- Ano, też racja. Czemu nie wiedzieć? - Podrapawszy się za uchem, zaczął rozwlekle klarować.

- Pierwsze to do magazynu kuchni. Sam zresztą wiesz. Następne lodownia. A te, co na samym zadku, no to taki pakamer dla różnych tam ausszusów. Tylko dziada z babą tam brak...

- A przez które z tych pomieszczeń można wejść do ładowni? - zapytał od niechcienia Kostrzewa.

Konkiel wytrzeszczył oczy.

- Do ładowni? A komu by to było potrzebne? Pakamery to pakamery. Wejście tylko z korytarza.

Widać było, że nie ma pojęcia o żadnym przejściu. Ale to bynajmniej nie przekonało Kostrzewy. Postanowił sprawdzić na miejscu. Ostatecznie zamknięte drzwi to jeszcze nie przeszkoda, której by nie potrafił pokonać.

Ledwo zdążył przejść parę kroków po korytarzu, otworzyły się drzwi kambuza. Grube cielsko w białym fartuchu wychyliło się na zewnątrz.

- Czego tam szukacie?

Czułość kucharza była wprost zastanawiająca. Nie zaskoczyła jednak Kostrzewy. Z góry wziął pod uwagę tego rodzaju spotkanie.

Przybrał jak najbardziej swobodną postawę.

- Właśnie do was, szefie - uśmiechnął się przymilnie. - Wiem, że jesteście amatorem dobrych cygar, więc...

Wyciągnął z kieszeni oplecioną w złocistą słomkę hawanę wysokiego gatunku. Specjalnie ją przygotował na tę okazję.

Pretekst należał zresztą do jak najbardziej prawdopodobnych. Któremuż marynarzowi nie zależy na dobrych stosunkach z okrętowym kucharzem? Możliwość uzyskania jakichś ekstra kasków, była przecież nie do pogardzenia.

Basiorski popatrzał na cygaro przymrużonymi oczyma. Jakby nieco złagodniał.

- No... owszem... Ile za nie chcecie?

- Ale skąd - Kostrzewa udał oburzenie - przecież nie na sprzedaż... Tak z życzliwości. Ja to tam tylko papierosy... - wpychał cygaro w grube jak serdelki paluchy.

- W prezencie? - Basiorski pokiwał głową. W jego oczach pomimo wszystko trudno by się było doszukać choćby najślabszych oznak entuzjazmu.

Wziąć, wziął. Owszem, poczęstował ugarniowanym sandwiczem. Skąpo napełnił kieliszek pachnącą ziołami nalewką. Inaczej zresztą nie mógł postąpić w tego rodzaju warunkach... Ale na tym koniec. Słowa cedził półgębkiem, wyraźnie od niechcienia. Pomimo wysiłków Kostrzewie nie udało się go



wciągnąć w jakąś dłuższą pogawędkę. Widać było, że pragnie się pozbyć jak najprędzej nieproszonego gościa.

Kostrzewa próbował jeszcze parę razy. Miał pewien zapas tych cygar... Nic jednak z tego nie wyszło. Nadzieja uzyskania jego aprobaty wizyt w części gospodarczej gasła coraz bardziej.

Za każdymi odwiedzinami wzrok Basiorskiego stawał się mroczniejszy, słowa bardziej skąpe, ton opryskliwszy.

Próby opowiadania najsensacyjniejszych przygód z życia marynarza Kotery nie dawały najmniejszego rezultatu. Ani na chwilę nie rozchmurzał nalanej tłuszczem twarzy. Nie interesowało go i już...

Próby rozśmieszenia Basiorskiego dowcipami również spaliły na panewce. Nie miał najmniejszego poczucia humoru. Albo też nie chciał go mieć w tym wypadku. W rezultacie wychodziło na jedno. Żadna z przynęt nie brała.

Aż wreszcie Basiorski postawił sprawę na ostrzu noża.

- Nie włócz mi się tu więcej, Kotera - oznajmił z zadziwiająco brutalną bezpośredniością. - Regulamin to regulamin. Mógłby cię ktoś zauważyć i miałbym z tego powodu nieprzyjemności. Jak nie wolno, to nie wolno.

Słabe próby obrócenia tych słów w żart przeciał pogrózką:

- Bo w końcu musiałbym złożyć meldunek gospodarczemu... Po co mam za kogoś nadstawiać karku?

Krótko, węzłowato i stanowczo. Widać było, że ani mu w głowie żarty. Na to nie było żadnej rady. Regulamin dawał pełne pokrycie jego słowom. A gdyby w rzeczywistości zameldował?...

Gospodarczy powtórzy kapitanowi. Nie tylko nagana. Rozpytywanie po co, dlaczego. W rezultacie mogłaby wyniknąć trudna do wybrnięcia sytuacja.

Od tej chwili teren korytarza gospodarczego stał się strefą zakazaną. Ale jednocześnie postępowanie Basiorskiego nabrało niewątpliwie jeszcze więcej podejrzanych cech. Dlaczego mu tak bardzo zależało, aby go stamtąd przepędzić? W korytarzu musiały widocznie tkwić jakieś tajemnice, których wykrycia się obawiał. Z tego wynikałoby, że szukać rozwiązania zagadki należałoby właśnie tam. Ale jak się do tego zabrać, skoro zabroniono dostępu? I wreszcie cel na najbliższy czas został skonkretyzowany: należało bezwzględnie przestudiować plan statku. I to jak najprędzej.

## II

Że taki plan musiał istnieć, nie ulegało wątpliwości. Tylko jak się z nim zapoznać? Czym marynarz pokładowy, Kotera, mógłby wytłumaczyć chęć jego zobaczenia? Ta przeszkoda była nie do przebycia. Chyba pod warunkiem dekonspiracji.

O tym zaś nie mogło być mowy. Może wypyta Sielawę?

Tak długo służy już na „Jednościach. Powinien się chyba orientować. Kostrzewa wahał się jednak z

powzięciem decyzji. Sielawa niewątpliwie odznaczał się nieprzeciętną inteligencją, ale obawiał się jego domyślności. Ryzyko było poważne.

Zupełnie niespodziewanie sam Sielawa wszczął rozmowę na interesujący Kostrzewę temat. Właśnie rozgrywali partię warcabów, której Gwóźdź zapamiętał kibicował, o mało nie wyrwijąc pionków z rąk partnerów, gdy zamierzali wykonać jakieś posunięcie, które mu nie przypadało do gustu.

W świetlicy było jasno i zacisznie. Sprzęty lśniły czystością. Cicho szeleściły płachty czasopism. Z głośnika wypłynęły skoczne dźwięki ludowych melodii. Grube zasłony przykrywające iluminatory jeszcze bardziej pogłębiały kojące wrażenie przytulności. Nie pamiętało się tutaj o leżącej na zewnątrz mgle.

- Wiesz - Sielawa podniósł pionek, obracając go z namysłem w palcach - gdy pomyślę, co taki cholerny sabotażysta może nawyczyniać na statku w czasie mgły... - widać było, że zastanawiał się nad tym od dłuższej chwili.

- A pewno - potwierdził z przekonaniem Gwóźdź - kto mu niby przeszkodzi? Jakby czapka niewidka na łbie. Hulaj dusza i tyle... Jak tylko wyjdę na pokład i dam nurka w tę przeklętą kaszę na rzadko, to mi się aż zimno robi. Diabli go wiedzą. Może akurat tuż za plecami? Poczęstuje w łeb albo i nożem pod piątę żebro. Dużo do tego potrzeba?

- Hm... - Sielawa jeszcze bardziej sposepniał - musisz krakać? I bez tego nielekkko na duszy.

- Chwilami, to się aż dziwię, że dotychczas żadnego z nas nie zakatrupił - ciągnął Gwóźdź.

Kostrzewa zapalił papierosa. To wypadło jak nie można lepiej. Skoro sami zaczęli? Nie miał zamiaru pozwolić, aby rozmowa wygasła. Teraz już mógł ją podsycać bez najmniejszej obawy.

- liii tam - machnął ręką. - Bo to mu zależy na nas? Na mój rozum gość ma daleko większy apetyt. Pochylili się ku niemu równocześnie.

- Ooo - krzaczaste brwi Gwoździa nastroszyły się jeszcze bardziej - większy powiadasz?

Kostrzewa podrapał się z zakłopotaniem w głowę.

- Bo ja wiem... Ale jak sobie całą tą hecę lepiej rozgryźć... Czy kalkulowałoby się takiego cwaniaka spuszczać ze smyczy, aby uziemił jednego czy dwóch? Tak mi się widzi, że chyba poluje na całe nasze pudło wraz z zawartością, dla kompletu.

- To całkiem możliwe - przyznał Sielawa po chwili namysłu.

- Jeszcze jak - dorzucił smętnie Gwóźdź. - W takim zsiadłym mleku to choćby i rozpieprzył całą krypę na części, co mu kto robi?

- Kto - wyprostował się nagle Sielawa - a choćby i my? Nie mamy to oczu w głowie - zapalał się coraz bardziej - żeby zajrzeć wszędzie, gdzie trzeba? A i pomyślunku też nie zbraknie, żeby sobie to i owo przekalkulować. Nie każdy przecież ma we łbie sieczkę - spojrział znacząco na Gwoździa. Niespodziewana propozycja Sielawy uradowała Kostrzewę. Zdawał sobie sprawę, że w tej sytuacji możliwość korzystania z jego i Gwoździa pomocy byłaby wprost bezcenna. Obsadzenie trzech punktów

obserwacyjnych naraz zwiększało szansę nie w postępie arytmetycznym, ale geometrycznym. Czy miał jednak prawo wplątywać ich w kabałę?

- Sądzę, że raczej należałoby się zastanowić nad pewnymi okolicznościami - studził zapal Sielawy. Pomyślał właśnie o pewnym mniej niebezpiecznym dla nich przedsięwzięciu, w którym też mogliby mu pomóc.

- Gadanie - sarknął gniewnie Gwóźdź, który już zdążył się przyzwycząić do myśli o czynnym udziale w polowaniu na sabotażystę i nie miał zamiaru z niej tak łatwo zrezygnować. - Nie ma się co zastanawiać. Tęższe głowy już próbowały i co z tego wyszło?

- Słusznie - Sielawa dmuchnął na otwartą dłoń - akurat tyle.

Kostrzewa konsekwentnie parł do upatrzonego celu.

- A ganiecie na oślep po okręcie, myślicie, że więcej? Zajrzysz, powiedzmy, na dziób, a on śmieje się w kułak gdzieś koło spardeku. Podejdiesz tam, a on już na rufie albo i gdzie indziej. Pokazał już przecież, co umie - zarzucił ostrożnie haczyk.

Przynęta chwyciła.

- Co prawda, to prawda - przyznał niechętnie Sielawa - potrafi znikać jak dym...

- Choćby wtedy w korytarzu. Więcej ich było, miałem prawie w garści, a też fiut i ani śladu - Gwóźdź nie wytrzymał, by nie przypomnieć o zdarzeniu, w którym sam brał udział.

Kostrzewa odetchnął z ulgą.

- Otóż to - uderzył się dłonią w czoło. - Właśnie choćby ten korytarz. Czy ta sprawa nie wymaga obmyślenia?

- Dlaczego specjalnie ta? - mruknął bez przekonania Sielawa.

- No, bo na pokładzie przecież jest do diabła różnych włazów, nadbudówek i innych zakamarków, w których można się od biedy przyczaić. Do tego po ciemku. Co innego zaś korytarz. Dziesięć metrów wzdłuż i półtora wszerek. Ze wszystkich stron grodzie. Trap odpada. Gdzie tu się schować? W magazynie nie. W kambuzie też nie - wyliczał Kostrzewa. - Dwoje pozostałych drzwi nie tylko pod kluczem, ale jeszcze na zakrętce. W pół minuty takich nie otworzysz, choćbyś stanął na głowie.

- To nie trwało nawet i ćwierć - wtrącił Gwóźdź.

- Więc tym bardziej. Zresztą jeźliby nawet zdążyli wejść, w jaki sposób nasunęliby z powrotem zakrętke? To już przecież niemożliwe.

- Ale - Kostrzewa patrzył teraz gdzieś w białą lakierowaną powierzchnię sufitu: - gdyby z korytarza prowadziło jakieś przejście do ładowni?

Gwóźdź ożywił się gwałtownie:

- Gdyby... - zaczął z zapalem. Zaraz jednak przygasł. - Tylko że takiego przejścia nie ma niestety.

- Na pewno? Może jakieś od dawna nieużywane, o których się zapomniało - podsunął Kostrzewa.

Sielawa tarł czoło z zafrasowaniem.

- Tak... - mrucał. - Gdyby do ładowni... A przecież - podniósł głowę. - Głowy bym sobie nie dał uciąć, że nie ma. Tyle razy naszą krypę przerabiali... Ale ostatnio ją przefasonowano, zanim się zaokrętowałem. A Gwóźdź przyszedł jeszcze później.

- Gdyby można było popatrzeć na plany - podsunął Kostrzewa. - Chyba muszą jakieś być?

- Pewno, że są. Ale bo to pokażą... Powiedzą: Wasz zasmarkany interes? I bez planu wszędzie, gdzie nie trzeba, traficie.

- Ale chyba na statku jest ktoś poza oficerami, kto ten plan zna dokładnie... Instalator, elektryk. Czy ja wiem, kto jeszcze?

- Mam! - Sielawa poderwał się z miejsca. - Burdecki. On na naszej łajbie prawie emeryturę wysłużył. Cały plan ma w małym palcu. Przecież cieśla. I coś jakby mi opowiadał, że pracował przy remoncie. Zaraz go przyłapię.

- To byłoby dobre - powiedział Kostrzewa. - Tylko wiesz...podejść do niego jak najdelikatniej. Żeby nie wywęchał, co w trawie piszczy. Bo jakby rozgadał...

- Nie bój się. Ani się dziadek spostrzeże, jak wszystko będę miał w kieszeni. Poczekajcie tu na mnie. Zaraz wracam.

Wrócił rzeczywiście szybko, z dość skwaszoną miną.

- Nawet gadać ze mną nie chciał - opadł ciężko na krzesło - na dodatek objechał mnie na sto dwa. Żeby nie takie próchno, powiedziałbym dziadowi, co o nim myślę.

- Kostrzewa wlepił oczy w szachownicę. Tak wiele na wynikach tej rozmowy budował.

- Dlaczego nie chciał gadać?

- A cholera go wie! Mówi, że chory, że ledwie zipie, i takie tam rozmaite. Może jak wydobrzeje...

Kostrzewa zdecydował się iść sam do Burdeckiego spróbować szczęścia.

Kiedy wszedł, stary leżał na koi na wpół przytomny. Wystarczyło jedno spojrzenie. Jedna z tropikalnych odmian malarii. Nie było co myśleć o rozmowę z nim w ciągu najbliższych kilku dni.

Jeszcze tego dnia zahaczył elektryka. Potem instalatora. Już nie czekał na odpowiednie okazje. Sam je jakoś z biedą wynajdywał. Żadna z tych rozmów nie dała oczekiwanego rezultatu. O planach niewiele wiedzieli. Owszem, statek ulegał jakimś tam przeróbkom, ale jakim? Na to nie potrafili odpowiedzieć. Burdecki - twierdził każdy - ten wie na pewno.

## VIII. ŚRUBA ODMAWIA POSŁUSZEŃSTWA

Niełatwo było dotrzeć do tego miejsca. Szczególnie jeśli ktoś nie znał dokładnie drogi. Forsowanie barykad spiętrzonych skrzyń groziło skręceniem karku. Tym bardziej że sztorm znowu zaczął narastać.

Panował tu tak gęsty mrok, że chociaż stali tuż obok siebie, żaden z nich nie potrafił dojrzeć rysów twarzy tego drugiego. Rozmawiali przyciszonym szeptem. Tak przyciszonym, że z odległości paru kroków prędzej można by dosłyszeć chrobot szczura obgryzającego którąś ze skrzyń niż ich głosy. Gdyby tylko choć jedno słowo dotarło do niepowołanych uszu... Nie, w żadnym wypadku nie mogło dotrzeć. Obydwaj zdawali sobie doskonale z tego sprawę.

- To musi być zrobione.

- Teraz?

- Tak. Mgła przecież znacznie ułatwi zadanie.

- I tak nie będzie łatwo...

- Może. Ale cóż z tego? Skoro jest konieczne...

Chrząknięcie.

- Hmm... tak. Rozumiem.

- Użyje pan do tego...

Chwila milczenia.

- A wie pan... To będzie dobre. Jedno przy drugim. Ale jeżeli się nie uda, trzeba będzie wziąć co innego.

- Musi się udać. Powiedzmy: dwadzieścia procent premii do umówionej sumy? Chodzi o zwiększenie efektu.

- Jasne. No, cóż. Zrobię, co w mojej mocy.

## II

Kostrzewa otulał się kocem, jak mógł najszczelniej. Niewiele pomagało. Wilgoć zdawała wpełzać nie tylko pod bieliznę, ale i pod skórę.

Posterunek obserwacyjny stracił wiele ze swej wartości. Niemal wszystko. Cóż można dojrzeć w czasie mgły, w której już wyciągnięta ręka staje się całkiem niewidoczna?

Zaczynał się zastanawiać, ile czasu minie, zanim symulowana astma zmieni się w najprawdziwszą febrę? Albo w zapalenie płuc? Nietrudno było o to w takich warunkach. Fala przykrych dreszczy raz po raz przebiegała po skórze. Chwilami musiał mocno zaciskać zęby, by powstrzymać ich szczękanie.

Trudno, skoro już na to przyszło... Teraz wartowanie na pokładzie było stokroć potrzebniejsze niż przy normalnej pogodzie.

Natęzał słuch. Z oczu niewielki pożytek.

Nieprzerwane wycie syreny szarpało nerwy, ale też nie pozwalało zasnąć. Chociaż byli tacy, którym to nie przeszkadzało ani trochę. Spali jak zabici. Widocznie kwestia przyzwyczajenia. On w każdym razie jeszcze go nie nabył.

Nadstawił uszu. Jakies podejrzane odgłosy. Jakby otwieranie drzwi... Gdzieś od strony kabiny Kaniewskiego?

Przysiadł, chowając się za skrzynię z piaskiem.

### III

Kaniewski zatykał palcami uszy, wciskając głowę w poduszkę.

Buczenie syreny stawało się już nie do wytrzymania. Niemrawymi ruchami podźwignął się z koi. Wprost nie do wiary z jak wielkim trudem mu to przyszło. Ano, z siłami coraz skąpiej. Lepiej, że tak...

Nerwowa wędrówka po kajucie bez sensu i bez celu. Trzy kroki w jedną stronę. Cztery w drugą. Z powrotem. Od początku. Aż się w głowie mąciło... Obijał się o sprzęty, których nie wdział. Zawadzał o rozłożone na wierzchu przedmioty.

Wreszcie przystanął, wpierając ciężko ręce w blat biurka. Przesunął ręką po czole. Było obficie zroszone kroplami potu. Ba.. cóż dziwnego.

Pod obolałą czaszką potężniało echo: „to musi być zrobioneh. Musi! Więc na co właściwie czekać? Każda mijająca minuta przedłużała niepotrzebnie mękę. Wszystko nagliło. Potem może być już za późno. Przecież...

Sięgnął ręką do drzwiczek szafy. Opadła jednak bezwładnie w połowie drogi.

Przyszły refleksje. Nie można tak na odlew. Trzeba wszystko dokładnie obmyśleć. Każdy najmniejszy szczegół mógł mieć decydujące znaczenie. Czy tak wiele trzeba, by zrodziły się podejrzenia? Albo nawet całkowite odkrycie? Wystarczy jeden fałszywy krok, by cały plan rozleciał się jak domek z kart.

Czy ma prawo popełnić nieostrożność? Jagienka...

„To musi być zrobione.h Nie widział innego wyjścia. Nie było go. Przysiadł na poręczy fotela. Znowu przesunął ręką po czole. Teraz było dla odmiany jak rozprażony pergamin. Suche i gorące. Zwilżył językiem spękane wargi. Czy, gdyby nie ona, potrafiłby się zdobyć, aby tak długo to wszystko ciągnąć? Usta wykrzywił grymas pełnego gorzkiego uśmiechu. Nonsens!

Uczyni to wreszcie i pozbędzie się ciężaru, który zaczął przerastać jego siły. Bo przecież już potem nie...

W skroniach pulsowały tępe młoteczki... Oparł głowę na twardym oparciu fotela. Uderzała boleśnie o kant przy każdym przechyle statku.

Więc w jaki sposób?

Mgła... To rzeczywiście powinno ułatwić zadanie.

Czy można wymarzyć bardziej sprzyjające warunki?

Myśl pracowała z gorączkowym natężeniem. Jeszcze tylko parę drobnych szczegółów.

Podniósł się z wysiłkiem. Już czas. Mimowolnie spojrzął na zegarek. Uśmiechnął się w ciągu tej godziny po raz trzeci. Jakby czas miał jakiegokolwiek znaczenie. Czyż w takich sprawach obowiązuje godzina?

Szarpnął drzwiczki szafy. Otworzył skomplikowany zameczek walizki. To przecież musiało być schowane jak najgłębiej. Gdyby ktokolwiek zobaczył...

Kawałek płótna. Owinął starannie. Nawet we mgle ktoś mógłby rozpoznać... A wtedy...

Czas. Zawiniątko tkwiło mocno pod pachą. Nie wyśliznie się.

Jeszcze stojąc na progu, omiół kabinę baczynym spojrzeniem wytężonych oczu. Nie wolno pozostawić najmniejszego choćby śladu. Istnieją ludzie, którzy potrafią odtworzyć całość z nic, zdawałoby się, nieznaczących drobiazgów. Szczególnie ten...

Wszystko w porządku. Przekręcił klucz w zamku. Przeciągle zgrzytnął odskakujący zamek. Zdecydowanym ruchem nacisnął kłamkę. Nie zamknął za sobą drzwi na klucz. Teraz to już nie było potrzebne.

Niemal sprężystym krokiem ruszył przed siebie, zagłębiając się we mgle. Jakże dawno nie chodził w ten sposób. Gdy już zapadła decyzja, brzemień straciło wiele ze swego przygniatającego ciężaru.

Głęboko wciągnął do płuc wilgotne, przepojone zapachem jodu powietrze. Lepiej, że już...

W nieprzezroczystych oparach snuły się niemożliwe do rozpoznania sylwetki. - Cienie - przymrużył oczy - wszystko cienie. Igielnicki byłby zadowolony z tak pełnego potwierdzenia swej teorii.

Szedł w kierunku rufy, omijając szerokim łukiem każdą z zauważonych postaci. Lepiej nie ryzykować. Bo, a nuż...

Zaczepił nogą o coś niewidocznego na pokładzie. Zachwiał się. W zawiniątku coś zaszeleściło. Zamarł w bezruchu, strzelając dokoła podejrziwymi błyskami. Nie... nikogo w pobliżu. Ruszył dalej. Zupełnie jakby pływał w chmurach. W chmurach? Śmieszne!

Myśli nabrały dziwnej przejrzystości. Gdy już podejdzie do bariery nadburcia... Wachtowy na rufie? Wiedział przecież dokładnie, w którym miejscu stoi. Zresztą chociażby nawet otarł się o niego ramieniem. W tej mgle...

Śruba? Na chwilę ogarnęło go przejmujące zimno... Minęło. Oddech powrócił do normalnego rytmu. Skoro i tak... Czyż. nie wszystko jedno?

Znowu się wyprostował. Co tam... Aby tylko odpowiednio wycelować... Oczy tu nie będą miały

najmniejszego znaczenia. Słuch. Przecież wiedział dokładnie, jak wszystko jest rozmieszczone. Długość zewnętrznego odcinka osi?... Hm... Centymetry nie mają znaczenia. Przy takim wirze. I tak wciągnie, choćby nieznacznie chybił. Wciągnie na pewno.

Zawiniątko pod pachą? Oczywiście... Bez niego wszystko mogłoby stracić swój sens.

Ten odgłos kroków. Słyszy go już od pewnego czasu. Jakby specjalnie za nim? To nie byłoby dobrze. Skręcił ostro, idąc naprzeciw. Dwa kroki mniej, dwa więcej... Postać zamazana, twarz ledwo widoczna.

Minęli się. Hm... Kotera? Czyżby i on? Pewne okoliczności zdawały się za tym przemawiać. Bzdura! Machnął ręką. Przewrażliwienie, które każe doszukiwać się w każdym zjawisku nieistniejących cech. Cóż zresztą dziwnego w takich okolicznościach?

A jednak... Co tam! Szedł pewnym krokiem ku wytkniętemu celowi. Gdyby nawet...

#### IV

Zdawało się, że mgła nigdy już nie ustąpi. Że będzie trwać wiecznie.

Wodnisty klang gongu znaczył mijające pół godziny.

Do kabiny nawigacyjnej wszedł Igielnicki.

Świeży, wypoczęty. Widać było, że musiał spać znakomicie.

- Wie pan, kapitanie - usiadł na krześle - niedługo chyba nie będę umiał zasnąć bez tego jazgotu... Kołysze mnie do snu jak noworodka śpiew piastunki. A pan... - spojrzał spod oka na wymiętą twarz Bartczaka - odprawia wciąż niezmienną wachtę?

Bartczak wzruszył ospale ramionami.

- Wciąż...

- Całkiem jak Kolumb. Napisał gdzieś w swoich pamiętnikach: „Kiedy pogoda nie sprzyja żegludze, kapitanowi nie wolno opuszczać swego posterunku. Nie ręczę za ścisłość. W każdym razie coś w tym sensie.

Przez chwilę w kabinie panowało milczenie. Bartczak z wysiłkiem stłumił gwałtowny atak ziewania. Jak długo to jeszcze potrwa? Ostatecznie siła woli to jeszcze nie wszystko. Chwilami walka z podstępnie znieczulającą sennością stawała się wręcz beznadziejna. Nic nie zapowiadało ustąpienia mgły. Komunikaty meteorologiczne brzmiały zgodnym pesymizmem.

Spojrzał na zegarek. Potem, przecierając nabrzmiałe powieki, sprawdził namiary położenia statku.

Pomimo niesprzyjających warunków niewiele odbiegali od ustalonego harmonogramu.

Przeliczał w myśli odcinek pozostały do przebycia. Szło zdumiewająco opornie. Ba... jeśli się nie zmrużyło oczu już trzecią z kolei dobę... Dla pewności sprawdził obliczenia na papierze. Zgadzało się. Jeżeli nie zajdą jakieś nieprzewidziane przeszkody, powinni zawinąć punktualnie.



Bartczak wpatrzył się w nieprzezroczystą przesłone oparów przylegającą szczelnie do wiatrochronnej szyby.

Któż zdoła przewidzieć, co czyha na statku w tej zwariowanej kaszy? Można zaryć się dziobem w diabli wiedzą co, zanim ktokolwiek zdoła w ogóle coś zauważyć. I jaka na to właściwie rada? Gdyby mieli na pokładzie radar. Zapewne, gdyby... Może kiedyś w przyszłości. Zaciągnął się dymem. Nie, raczej mało prawdopodobne, jeżeli chodzi o „Jednośch. Dożywała już ostatnich lat swej służby na morzu. Jeszcze kilkanaście rejsów. Choćby nawet kilkadziesiąt. A potem na złom... Zastąpi ją jakaś bardziej nowoczesna jednostka. Pewno już z radarami i innymi bajerami, o których słuchano na „Jednośch jak o żelaznym wilku. Czyż nie przyjemniej będzie dowodzić takim cudem?

Tyle czasu już pływał na „Jednośch. Zżył się z nią. Wrósł. I ona weszła mu głęboko w krew, jakby jej nieodmienny, konieczny do życia składnik. „Kalosz?h, „Łajba?h. Nie brakło takich, co nie żalowali starszycie pogardliwych określeń. Niech będzie. Oczywiście, że nie brak większych, lepszych, szybszych, sprawniejszych. A przede wszystkim - bardziej nowoczesnych... Nie przeczył? Ale „Jednośch...

Ciężko będzie się z nią rozstawać. Jak ze starym, wypróbowanym przyjacielem.

Igielnicki przechylił się ku szybie.

- Właściwie - powolnymi ruchami obsadzał papierosa w cygarnicze - z równie dobrym skutkiem mogliśmy iść do łódeczka. Co za pożytek w nawigacji ze ślepych kretów? A czymże się właściwie od nich różnimy? Człowiek ledwo może dojrzeć koniec własnego nosa. A i to niezbyt dokładnie. Do bani z taką robotą! - prychnął gniewnie. Widocznie jego rozmyślenia musiały iść podobnymi drogami jak myśli kapitana. Kilkakrotnie pstryknął zapalniczką, po czym zrezygnowawszy z dalszych wysiłków, poprosił Bartczaka o zapałki. - Zsiadłe mleko - łamał wypaloną zapałkę na drobne kawałki. - Nawet zapalniczka odmawia posłuszeństwa. A cóż dopiero statek. Lekkie pukanie do drzwi.

- Kawa - oznajmił Kropidło, wnosząc szczelnie przykrytą tackę. Twarz jego połyskiwała drobnymi kropelkami wilgoci. Pod serwetką stały dwie filiżanki.

Sylwetka stewarda utonęła z powrotem we mgle jak zjawa. Igielnicki sięgnął po filiżankę.

- Ten Kropidło to jednak pomimo wszystko kochany chłop. Pod niektórymi względami po prostu geniusz. Nie trzeba go prosić. Sam wie: kapitan kąpie się w kawie, Igielnicki też od czasu do czasu nie odmówi, Nowacki, jak się przydarzy. Trzymałbym zakład, że stokroć wolałby napoleonki. Chłepce jednak kawę, uważając, że to należy do obowiązków wachtowego oficera. No, a Kaniewski, przepraszam. Tu już stop i żadne takie... Jak diabeł święconej wody.

- Serce - mruknął Bartczak.

- Serce? Pewno, że tak. To nader misterna maszyna. Lepiej nie zaczynać. Ale... - zamieszał łyżeczką, podnosząc znów filiżankę do ust - czy można sobie wyobrazić odpowiedniejszą ambroję na taki psi czas?

- Trudno byłoby - przyznał z głębokim przekonaniem kapitan.

Kostrzewa cały zamienił się w słuch. To było rzeczywiście stuknięcie drzwi kabiny drugiego oficera. On sam czy może ów poprzedni gość?

Odgłos kroków zbliżał się coraz bardziej. Jednak chyba nie Kaniewski. Maszerowałby tak sprężysto? Przypomnił sobie niemrawe ruchy drugiego oficera.

Ktoś przeszedł obok. Sylwetka mignęła niewyraźnym, zamazanym skrótem i zatoneła w oparach mgły.

Z miejsca ruszył w ślad za nią. Przyspieszył kroku. Tamten jednak szedł również ostro, w kierunku rufy.

Stuk, jakby o coś zahaczył nogą. Kroki ucichły. Przystanął? Nie, idzie dalej. Kostrzewa znów wziął szybsze tempo. Podejść i zajrzeć, niby to przypadkiem, w twarz?

Zanim jednak zdążył pomyśleć, spotkanie zaaranżował właśnie tamten. Skręcił raptownie i szedł szybko naprzeciw. Za późno już, aby się cofnąć. Umyślnie? Można by przysiąc ze spokojnym sumieniem, że tak.

Jednak Kaniewski - skonstatował ze zdumieniem. Otarli się niemal o siebie. Kaniewski? Dwa dni temu niemal umierający, a dziś... I gdzie się podział jego człapiący krok?

Wyprostowany, sprężysty, niemal młodzieniaszek. Jakieś zawiniątko pod pachą.

Kostrzewa zdecydował się w jednej chwili. Trzeba zobaczyć, co to takiego. Zapyta, to zapyta. Mógł przecież mieć jakiś interes do wachtowego.

Już był prawie przy nim, kiedy nagle wpadł w czyjeś niedźwiedzie objęcia. Szarpnął się niecierpliwie. To był Konkiel.

- *Ausgerechnet* właśnie, Kotera. Mam do ciebie małą prośbę.

- Puść... za chwilę...

- Tak ci spieszno? - w głosie marynarza brzmiały nutki nieskrywanego zdziwienia.

- A dokąd?

Kostrzewa zaklął w duchu. Ależ pech!

Kaniewski zdążył już zniknąć. I wtedy w nocy, i teraz... Czyż mógł Konkielowi powiedzieć, że śledzi drugiego oficera? Nonsens. Dopiero by wytrzeszczył oczy.

- O co chodzi? - opanował się całym wysiłkiem woli, by nie wybuchnąć.

- Bo wiesz... zapomniałem, jak raz, tabaki. A że pucowałem zenę, to nie idzie włączyć zaraz do kubryku...

Kostrzewa oklapł do reszty. Ociężałym ruchem sięgnął do kieszeni. Diabli nadali... - kołatało uparcie pod czaszką - diabli nadali...

- Bierz - podsunął otwarte pudełko.

## VI

- A wszystko to... - kapitan Bartczak urwał. Nerwowym ruchem odstawił parującą filiżankę, aż rozdzwoniła się cienkim brzęczeniem, a kilka ciemnych, wydłużonych kropel bryznęło na blat stolika.

- Co to? - mruknął zaniepokojony... Wsłuchiwał się uważnie w odgłosy dobiegające z zewnątrz. Przymknął oczy, żeby lepiej słyszeć. - Śruba? - przesunął ręką po czole. - Coś ze śrubą?

Rytmiczny szum rozbijanej stalowymi skrzydłami wody ulegał ledwo uchwytnym zakłóceniom.

Zerwał się z fotela.

- Chyba jakieś uszkodzenie? - mruknął wreszcie, nie przestając nadśłuchiwać.

- Mocno na to wygląda, kapitanie - zazwyczaj rozjaśnione iskierkami humoru oczy Igielnickiego patrzyły teraz z surową powagą. Któż nie zdawał sobie sprawy, co znaczy uszkodzenie śruby na pełnym morzu? Zwłaszcza w tak gęstej mgle.

- Trzeba by... - zaczął.

Ale Bartczak już nie słyszał. Jednym szarpnięciem otworzył drzwi kabiny, zbiegając z niepowstrzymanym impetem po stopniach. Na nic nie zważając, pędził wielkimi susami w kierunku rufy. Zderzył się z kimś idącym stamtąd. Niecierpliwym ruchem odsunął go z drogi i biegł, aż w płucach zaczęły kłuć ostre igiełki. Aby prędzej! W mózgu dominowała w tej chwili jedna myśl: co ze śrubą?

Stojący na rufie wachtowy wyprostował się.

- Wszystko w porządku, panie kapitanie!

- W porządku? - powtórzył z powątpiewaniem. Opierając ręce na barierze nadburcia, przewiesił się górną połową ciała na zewnątrz... Wychylał się coraz ryzykowniej. Gwałtowniejszy przechył mógł go strącić do wody. Nie myślał jednak o tym. Śruba!

Oczy zasły z wyteżenia łzami. Zdołał jedynie dojrzeć niewyraźny zarys pióra sterowego. Wszystko poniżej tonęło bez śladu w skłębionych oparach mgły.

W tych warunkach niewiele pożytku z oczu.

Pozostawał za to słuch.

Wystarczyła krótka chwila, by nie było już miejsca na żadne wątpliwości; rozprysk wody bulgotał arytmicznymi drgawkami.

Zawrócił na pięcie, pędząc na łeb na szyję z powrotem ku śródokręciu.

- Stop maszyna! - krzyczał na całe gardło jeszcze ze stopni wiodących do kabiny nawigacyjnej. - Stop maszyna! - wpadł jak furiat na wyżkę.

Igielnicki przesunął rączkę telegrafu. Jazgotliwie zaterkotał odzew dzwonnka.

- Jest: stop maszyna.

Głos brzmiał chłodem zupełnego opanowania. Twarz nieruchoma, bez wyrazu. Tylko zarys ust wskazywał na napiętą czujność.

- Co ze śrubą, kapitanie? - spojrzał pytająco.

Bartczak z trudem łapał powietrze. Machinalnym ruchem przesunął ręką po rozwichrzonych włosach. Wypadając z kabiny, zapomniał czapki. Gdzie tam było o niej myśleć. Oddech powoli powracał do normy. Odsapnął.

- Jeszcze trochę i z łopat pozostałyby odłamki - oparł się ciężko o poręcz fotela. - Trudno od razu stwierdzić, o co chodzi. Ale tak jakby się coś na nie nawinęło.

Igielnicki skinął potakująco głową.

- I ja odniosłem podobne wrażenie, odgłos tak charakterystyczny, że...

Pulsowanie maszyny powoli zamierało, aż wreszcie umilkło zupełnie, pozostawiając po sobie złowrogą ciszę.

Sztorm nagle jakby przybrał na sile. Kadłub statku przewalał się na falach jak bezwładna kłoda.

Poprzez uchylone drzwi kabiny dobiegł urywany trel bosmańskich gwizdków.

## VII

Kostrzewa wciągnął głęboko powietrze do płuc, patrząc przez chwilę w ślad za roztopiającą się we mgle kwadratową postacią Konkiela. No, trudno. Nie udało się.

Szczyście w nieszczęściu. Dobrze, że zdołał się jakoś pohamować. Potem Konkiel opowiadałby po całym statku. „Kotera ugania się za drugim.h Tego by tylko brakowało do kompletu.

Powolnym krokiem powrócił ku swoim skrzyniom. Popatrzył niechętnie na płachtę koca. Na pewno zdążył nawilgnąć niczym wyjęta z wody gąbka. Po co dzwonić zębami, jeżeli to nie jest konieczne?

Przysiadł na brzeżku niższej skrzyni. Tu czy gdzie indziej. Któż go dostrzeże? Mgła.

Zasepił się. No, dobrze nie wyszło, szkoda gadać. Kto wie, czy możliwość zerknięcia przez ramię Kaniewskiego, w chwil gdy stał na rufie, nie rozwiązałaby wielu niezrozumiałych kwestii. A może nawet za jednym zamachem wszystkie?

Okazja wyświecenia ciemnych punktów przepadła. Nie pierwsza zresztą. Musiał się z tym pogodzić, czy mu dogadzało, czy nie. Nieoczekiwane przeszkody nie stanowiły czegoś niezwykłego w jego zawodzie.

Po krótkim namyśle postanowił czekać na Kaniewskiego. Wróci przecież prędzej czy później. A możliwość dokładniejszego przyjrzenia się drugiemu oficerowi w czasie powrotu też była nie do

pogardzenia.

Tamto się nie udało, ale to musi się udać. Nie może przejść niedostrzeżony. Chyba że poszedł wzdłuż nawietrznej, obchodząc nadbudówki od strony dziobu. Wątpliwe jednak, by chciał zaryzykować tego rodzaju kluczenie.

Zawiniątko? Właśnie! Liczyć, że przyniesie je z powrotem? Po co w takim razie wynosiłby je na rufę? A jeżeli wróci z pustymi rękoma...

Tak... Trudno byłoby Kaniewskiemu wytłumaczyć, co mianowicie niósł pod pachą. Na pewno coś, co pragnął za wszelką cenę usunąć. Ale co?

Wtem drgnął. Od strony rufy zaczął dobiegać przytłumiony odgłos powolnych kroków. Chyba właśnie on.

I akurat w tej samej chwili zaszło coś zupełnie nieprzewidzianego, co z miejsca zniweczyło wszystkie plany.

Odgłos pracy motorów stracił swą dotychczasową rytmiczność. Zaczął zamierać. Wreszcie ustał zupełnie.

Przechyły statku nabrały naraz ostrej gwałtowności.

Zeskoczył ze skrzyni. Co się stało?

W przeciągłe wycie syreny wdarł się poszarpanym dysonansem alarm gwizdków: „Wszystkie wachty na pokład!h.

Zatupotały kroki niewidocznych we mgle ludzi.

Skoczył w kierunku wjazdu do kubryku. Tam powinien przyłapać bosmana Bocińskiego i swoją wachtę.

- Co znowu za historia?

## VIII

- Tak - Bartczak machinalnie obciągnął lśniący wilgocią płaszcz. - Oczywiście, że w pierwszym rzędzie należy sprawdzić, co to takiego.

Niski, niepozorny marynarz wystąpił naprzód.

- Melduje się nurek Zgierski, gotów do wypełnienia zadania. - Niezbyt donośny głos tchnął całkowitym spokojem. Przefiltrowane przez mgłę światło reflektora nadawało jego twarzy sinoszarawe zabarwienie.

- Hmm... przy tej fali? - kapitan powiódł pytającym spojrzeniem po zgromadzonych na rufie oficerach.

Igielnicki zmarszczył brwi.

- Nie - oznajmił. - Moim zdaniem fala absolutnie wyklucza możliwość użycia skafandra. Groziłoby poważne niebezpieczeństwo zerwania przewodów powietrznych.

Kaniewski wsunął obie dłonie za pasek.

- Jestem zupełnie tego samego zdania - potwierdził dziwnie chropowatym głosem, jakby ktoś przesuwiał pilnikiem po szkłe.

Nowacki wyprostował się.

- Według regulaminu...

Słowa padły w próżnię. Co tu miał do czynienia regulamin? Chodziło przecież o los statku i życie ich wszystkich.

- A pan jak uważa? - Bartczak skierował z kolei pytanie ku stojącemu w pobliżu Kwiecińskiemu.

- Niemożliwe - odpowiedział z przekonaniem - zerwie przewody.

Bociański, gdy do niego dotarł wzrok kapitana, wlepił oczy w mokre deski pokładu. Ale milczenie jego miało też swą wymowę.

Bartczak przesunął ręką po wilgotnym czole.

- Słusznie. Ja też tak uważam. Jasne? - patrzył teraz na stojącego nieruchomo przed nim nurka. - Nie może być mowy o skorzystaniu z waszej gotowości. Zbyt wielkie ryzyko.

Marynarze kiwali potakująco głowami. Spuszczenie nurka przy takiej pogodzie byłoby niemal równoczesne z wyrzuceniem go po prostu za burtę. Ciężar skafandra starczy za kamień młyński.

Zgierski jeszcze bardziej zeszywniał.

- Ryzyko - podniósł głowę, patrząc prosto w oczy kapitanowi. - Cóż. W jakiej pracy na morzu go brak? Jestem gotów do wypełnienia zadania - powtórzył z mocą.

Wśród marynarzy przeszedł szmer.

- Zwariował - mruknął Sielawa, nachylając się ku Kostrzewie.

Bartczak potrząsnął odmownie głową.

- W pełni doceniam odwagę, ale nie mogę pozwolić.

Zgierski nie ustępował.

- Obywatelu kapitanie - głos nabrzmiewał szczerą, nagłą prośbą - proszę mi pozwolić na próbę. Pracowałem już w znacznie gorszych warunkach. Dam sobie radę. Zresztą, przecież tak czy inaczej konieczne jest sprawdzenie śruby.

- Nie! - odmówił stanowczo kapitan.

Zgierski odstąpił na bok.

- Skafander jest tu właściwie zbędny. Gdyby ktoś umiał dobrze nurkować - rozważał na głos Igielnicki.

Bartczak spojrział na niego z uwagą.

- Nurkować? - powtórzył z zastanowieniem. - Słusznie. Bezpieczniej bez skafandra niż w nim. Nie znaczy to oczywiście - dodał pośpiesznie, nie chcąc, by go ktoś źle zrozumiał - aby nie było żadnego niebezpieczeństwa. Wręcz przeciwnie. No więc - spojrział na marynarzy - kto na ochotnika? Uprzedzam, że w rachubę może wchodzić tylko ten, kto umie dobrze nurkować.

Sielawa poruszył się niespokojnie. Nie wiadomo po co przygładził wilgotne włosy. I wreszcie zdecydowanym krokiem podszedł ku kapitanowi.

- Melduję się...

Bartczak popatrzał na niego badawczo.

- Umiesz pływać?

- Pływać? - powtórzył wyraźnie zaskoczony. - Hm... - odchrząknął z zakłopotaniem - pływać to nie bardzo... Ale jeżeli chodzi o nurkowanie... - Mieszał się coraz bardziej.

- Nurkowałeś kiedy?

- W balii - parsknął ktoś nerwowo.

Trudno było stwierdzić, kto mianowicie. Kostrzewa jednak podejrzewał Konkiela albo Sorka. Niewczesny dowcip nie rozładował jednak napięcia. Wszyscy przecież wiedzieli, że Sielawa nie ma najmniejszego pojęcia o pływaniu.

Kapitan machnął ręką.

- Na nic, Sielawa.

Sielawa próbował jeszcze tłumaczyć. Niełatwo mu przyszło zdecydować się na wystąpienie. Skoro jednak już się zdecydował, nie chciał odchodzić z niczym.

- Ja naprawdę mam bardzo długi oddech, panie kapitanie. I sądzę, że pod wodą...

- Na nic - powtórzył z ciepłym uśmiechem Bartczak. Czyż można było nie kochać takiej załogi? - Powiedziałem już, że zadania może się podjąć jedynie prawdziwy pływak. I to taki, który potrafi długo przebywać pod wodą. Sami popatrzcie, jak to jest - machnął ręką poza burtę. - Fala dochodzi do połowy wysokości pióra steru.

Zgierski westchnął ponuro. Tyle razy schodził na dno morza. Ale jeżeli chodzi o umiejętności pływania...

Kostrzewa od dłuższej chwili staczał ze sobą ciężką walkę. Wiedział, że rzadko który z marynarzy

potrafił dobrze pływać. Po minach kolegów wdać było wyraźnie, że na „Jednościach chyba nie znajdzie się ani jeden. Poza nim. Tak. Właśnie poza nim. Bo jeżeli chodziło o niego... Trener nie mógł wyjść z podziwu: Jak ryba, panie. Móc tak długo pływać pod wodą? Mało takich widziałem, proszę mi wierzyć na słowo. Tylko zdajcie się na mnie, a za pół roku miejsce w kadrze narodowej murowaneh.

Walczył ze sobą. Nonsens. Donkiszoteria. Niebezpieczeństwo było niewątpliwie poważne. Wystarczyło tylko zerknąć za burtę, by się o tym przekonać. Czyż ma prawo się narażać? Wszedł przecież na pokład tego statku dla wypełnienia ściśle określonego zadania.

Argumenty były niewątpliwie słuszne. Nic jednak nie pomagały. To było silniejsze od wszelkich rozumowań. Przybrana skóra zaczęła zbyt mocno przyrastać do ciała.

Zanim zdołał zdać sobie sprawę z tego, co robi, stał już wyprostowany przed Bartczakiem.

Kapitan spojrzał mu w oczy.

- Naprawdę umiesz pływać, Kotera?

- Tak - z trudem powstrzymał chęć uśmiechu. - Umiem.

- Dobrze? - badał dalej Bartczak. Doświadczenie z poprzednimi zgłoszeniami nauczyło go ostrożności.

Kostrzewa zawahał się. Co tam - zdecydował wreszcie, takich szczegółów nie umieszcza się przecież w ankiecie personalnej. W tym wypadku mógł sobie bez specjalnego ryzyka pozwolić na powiedzenie prawdy.

- Pierwsza nagroda na zawodach pływackich w Sopocie. Uzyskałem ją przede wszystkim dzięki umiejętności pływania pod wodą.

Bartczak położył mu rękę na ramieniu.

- I zdajesz sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie będziesz narażony? - nie spuszczał z niego przenikliwych oczu.

- Musiałbym powtórzyć dokładnie słowa kolegi Zgierskiego. Czy to konieczne? Podpisuje się pod nimi obiema rękami.

Ciążąca na ramieniu Kostrzewy ręka kapitana jakby jeszcze przybrała na wadze.

- Dobrze - powiedział ciepło. - Tylko pamiętaj, Kotera, bez niepotrzebnej brawury. Lepiej podciągnąć na linach trzy razy żywego człowieka niż raz topielca.

Kostrzewa odszedł na bok, ściągając z gorączkowym pośpiechem ubranie. Nie minęło nawet pół minuty, gdy stał już rozebrany.

Przejmujący chłód wilgoci przeniknął go z miejsca aż do szpiku kości. Ciałem wstrząsnął dreszcz. Ledwo zdołał powstrzymać szczykanie zębów.

Żeby tylko nie pomyśleli, że to ze strachu - zerknął podejrzliwie na otaczających go marynarzy.



Wszystkie twarze jednak zastygły w wyrazie głębokiej powagi. Na żadnej ani cienia uśmiechu.

Pod bacznym dozorem Bartczaka oplatali go linami. Kapitan sprawdzał wytrzymałość każdego poszczególnego węzła... Jeden polecił poprawić. Wreszcie zakończył przegląd.

- W porządku - uściśnął dłoń Kostrzewy. - Powodzenia, Kotera. I uważaj na siebie. Pamiętaj, że sygnałową linkę doczepiliśmy nie dla parady. Głosu i tak nie dosłyszemy w tym szumie.

## IX

Szum rzeczywiście był potężny. Tu, nad samą wodą, wydawał się o wiele głośniejszy niż na pokładzie.

Opuszczali go powoli, z troskliwą ostrożnością, obserwując uważnie każdy ruch jego ciała. Ale cóż mogła pomóc choćby i największa ostrożność, skoro rufa miotła się konwulsyjnie na wszystkie strony, a w takt jej podrygów kołysał się zawieszony na sznurach Kostrzewa. Chybotanie stawało się coraz gwałtowniejsze. I z każdym niemal centymetrem wypuszczanych lin ciało zakreślało coraz dłuższą amplitudę.

Wahadło? Nie. Raczej chyba pajak w czasie wichury - skonstatował z wisielczym humorem Kostrzewa. Później już nie było czasu na takie porównania. Musiał skupić całą uwagę, by nie uderzyć w rozmachu o kadłub statku.

To nie było łatwe. Zwijał się gwałtownie skrętami całego ciała, by utrzymać się w bezpiecznej odległości.

Podrzucona rufa szarpnęła gwałtownie linami. Widocznie nie zdążyli ich zwolnić. Podjechał ku górze. Wydawało mu się, że uleci ponad burtę. Po chwili znowu opadał w dół z takim impetem, że serce wtlaczało się do gardła.

Z piorunującą szybkością narastała tuż obok brudnozielonkawa góra. Wydeła się do potwornej wielkości. Wrząc strzępkami piany, potoczyła się na niego. Uderzyła z miażdżącym rozmachem kamiennej lawiny. Porwała ze sobą. Ostatkiem świadomości czuł, że leci wprost na żelazo kadłuba. Niemal instynktownie wyciągnął przed siebie, nogi, by osłabić choć w ten sposób nieuniknione, zdawałoby się, zderzenie. Mimo woli przymknął oczy. Przy tym pędzie groziła śmierć.

Do uderzenia jednak nie doszło. Niemal w ostatnim momencie, liny naprężyły się ostrym szarpnięciem, podciągając go raptownie do góry. Zadarł głowę. Poprzez mgłę szarzały nad burtą ledwo dostrzegalne plamy twarzy. Dostrzegli widocznie niebezpieczeństwo. Poczul się o wiele raźniej. Walka była ciężka, ale nie prowadził jej osamotniony. Poczucie, że na statku czuwają dziesiątki bacznych oczu, napawało go otuchą.

Wyteżył wzrok. Ruch ramion zdawał się coś wskazywać. W poszum kotłującej wody wpadały niemożliwe do odcyfrowania urywki ludzkich głosów. Coś krzyczano z góry. Minęła dłuż-sza chwila, zanim zdołał zrozumieć. Gdyby nie wymowne gesty rąk, byłoby to niemożliwe.

Wskazywano wyłaniający się chwilami z wody trzon pióra sterowego.

Prawda. Że też jemu samemu wcześniej nie przyszło to na myśl. Wykorzystał jedno z wahnięć. Zdołał

się ucześcić, zaciskając kurczowo palce na ociekającej wodą stali. Po chwili zdał sobie sprawę, że w tym sukcesie pomogło mu w znacznej mierze sterowanie od góry linami. Oślizły metal wymykał się spomiędzy palców. Jeszcze parę sekund i objął go również kolanami. Znowu coś krzyczano ze statku. Gdy zadarł głowę, usiłując coś zrozumieć, woda plusnęła mu w twarz, nieomal strącając go z trzonu. Nie było sensu powtórnie się narażać. Musiał liczyć wyłącznie na własną przemyślność, przestał więc zwracać uwagę na okrzyki. Zsuwał się po stali jak po słupie. Teraz szło znacznie łatwiej.

Przyspieszył tempo ześlizgiwania. Z każdą sekundą znajdował się coraz niżej. Teraz już był pogrążony po pas. Raz po raz woda przelewała się z wrzącym bełkotem ponad głową.

Wykorzystując przerwy pomiędzy uderzeniami fal, zaczerpywał powietrza. I łykał z nim obfite hausty gorzkawej wody. Teraz już zanurzył się po ramiona. Znowu narastał grzywiasty wał. Musiał działać błyskawicznie, by go wyprzedzić. Zdaży? Wciągnął głęboki oddech i zamknął usta, zanim spieniona ściana wodna dotarła do steru. Ześliznął się w dół, niemal wypuszczając stalową podporę. Wściekły jazgot zamienił się w jednostajny, prawie miarowy poszum. Znajdował się już pod wodą. Otworzył szeroko oczy. Widzialność była tu lepsza niż na powierzchni.

Mdłym, nierównomiernym połyskiem migotała stal kilkumetrowych łopat śruby. Cóż znaczyła taka odległość? Parę ruchów. Ale właśnie w momencie gdy docierał do celu, rufą szarpnęło ku górze. Nim też. Jednak impet ludzkiego ciała był o wiele szybszy niż statku o wadze siedmiu tysięcy ton. Wygięta krawędź stalowego skrzydła przybliżała się do głowy z szybkością rozpędzonego parowozu. Szarpnął się rozpaczliwie. Na drugi ruch nie stało już czasu. Tu wszystko mierzyło się ułamkami sekund. Jeszcze krótka jak błysk chwila, w której narastają świadomość nieodwracalnej zguby. Wreszcie tuż przed oczyma mignął wypolerowany wodą metal. Niemal otarł się o niego twarzą. Zanim zdał sobie sprawę, że bezpośrednio niebezpieczeństwo minęło, wyprysnął na powierzchnię jak wyskakujący z wody szczupak. Natychmiast zanurzył się z powrotem. Wyciągnął ramiona. To była okazja, której nie wolno przegapić. Dłonie zacisnęły się na chropowatej krawędzi jednej z łopat. Chwył był gwałtowny. Czuł, że skóra na wnętrzach dłoni zwisa w strzępkach. Pomimo bólu nie wypuścił. Przyciągnął się, naprężając mięśnie. Odstęp pomiędzy skrzydłami śruby pozwalał na wciśnięcie ciała. Pozycja była niewygodna i karkołomna.

Coś nastrzępionego licznymi cienkimi odnogami chybotąło wkręczone pomiędzy łopaty... Wodorośl? Zgiął się jeszcze bardziej, przybliżając oczy. Znowu śruba podleciała raptownym wyrzutem. Ale teraz to już nie miało znaczenia. Był z nią tak ciasno zespolony, jakby stanowił nieodłączną całość.

Nie, to nie była wodorośl. Lina? Kawałek kabla? Przypominało dziwacznie kosmate ramię ośmiornicy. Chwycił jedną z kolebiących się w wodzie odnóg. Była dłuższa od pozostałych. Sznurek? Następne z wyłowionych pasm uraziło poranioną dłoń nieoczekiwaną sztywnością. To był dla odmiany kawałek drutu. Wychylił się ryzykownie, przytrzymując ciało jedynie chwytem zaciśniętych na krawędzi łopaty nóg. Zgiął się jeszcze bardziej. Musi przecież... Wreszcie dotarł do miejsca.

Lina. Gruba lina. Przesunął palcami. Nie, wykluczone, by znajdowała się długo w wodzie. Najwyżej kilka godzin. Albo i jeszcze mniej. Lina? Przed oczyma zamajaczyła w krótkim jak przelot pioruna błysku wizja przemyskającej w mgłę sylwetki drugiego oficera z podłużnym zawiniątkiem pod pachą. Przecież szedł wtedy właśnie ku rufie... Ttak...

Palce przez cały czas badały wplecioną pomiędzy łopaty śruby płataninę. Jakieś ciężarki... Znowu sznurki. Obraz nabierał jaskrawej ostrości. Czyż tak trudno wycelować, by się wszystko to mogło nawinąć na śrubę?

Nie czas na rozmyślenia. W tej chwili zdobycie dowodów rzeczowych odsuwało się na dalszy plan. Wpierw należało usunąć niebezpieczeństwo zagrażające statkowi. Szarpnął linę. Nie ustąpiła. Ponowił próbę, zbierając wszystkie siły. Ten sam rezultat. Tak mocno wplątała się pomiędzy łopaty... Sytuacja zaczynała się komplikować. Trzeba odnaleźć którykolwiek z jej końców i zacząć odpłatywać.

Nie widział innego sposobu. Ale to wymagało czasu. Znacznie więcej, niż go miał do dyspozycji. Pozostawać tak długo pod wodą, bez możliwości zaczerpnięcia powietrza? Szukał. Przewijał ramiona pomiędzy stalowymi krawędziami. Wyginał się całym ciałem. W skroniach tępymi uderzeniami stukał puls. Płuca rozpierało coraz bardziej. Jakby odczuwały nadmiar powietrza, a nie jego brak. Znał te objawy. Miał wrażenie, że lada chwila coś rozsadzi mu klatkę piersiową.

W oczach mętniało. Drętwiejące mięśnie wiotczały niczym strzępki miękkiej waty. Dusił się... W uszach narastał ogłuszający szum. Nie stało już sił, by wytrzymać dłużej.

Ześliznął się ze śruby. Rozwarł zaciśnięte palce. Rozpaczliwym zrywem całego ciała popłynął ku górze. Wynurzył się na powierzchnię. Spieniony ciężar nadbiegającej fali walnął w głowę uderzeniem sękatej maczugi. Aż mu w oczach pociemniało.

Opanował się w jednej chwili. Zaraz zaatakuje następna fala. Trzeba wykorzystać przerwę. Odetchnął głęboko. Zdażył się zanurzyć, zanim runął kolejny wał wody.

Chybnięcie rufy wypadło nieoczekiwanie. Walnął z rozmachu bokiem o stal. Na szczęście o jej powierzchnię, a nie o krawędź. Ale i tak dotkliwy ból przeszył go na wskroś. Czuł słonawy smak krwi spływającej z przygryzionych warg.

Co tam... Najważniejsze, że zdołał się znowu ucześcić śruby.

Dokonując wprost akrobatycznych wyczynów, poszukiwał końca liny. Palce wreszcie natrafiły na jakieś zgrubienie. Tu? Nie. To tylko miejsce, w którym uczepono druty podtrzymujące ciężarki. Szukał dalej. Czuł, że słabnie. Ile to już trwało? Znowu brakowało tchu. Wyplłynął na powierzchnię. Zaczerpnął powietrza. Zanurzył się. Szukał. Ruchy niedołączniały z każdą mijającą chwilą. Musiał się coraz częściej wynurzać. Przebywanie pod wodą wymagało ostatecznego wysiłku. Sił zaś miał coraz mniej.

Sygnalizacyjny sznurek zadrgał znacząco. Z pokładu pytano, czy nie wyciągać. Znowu nabrał otuchy. Nie jest sam... I gdy przyjdzie najgorszy moment - pomogą.

Odpowiedział krótkim szarpnięciem: „Wszystko w porządku- Nurkował. Wyplłynął. Znowu nurkował. Nie zdawał sobie sprawy, jak długo to trwało. Może zaledwie kilkanaście minut. A może całe wieki.

Przychodziły chwile zwątpienia. Nigdy nie znajdzie tego przekłętego końca. Ogarniała go rozpacz. Więc cała ta męka ma przepaść na marne? Zaciskał z determinacją szczęki. Musi! Szukał dalej.

Ruchy stawały się niemal automatyczne. Przestawał widzieć. Przestawał czuć. Pod czaszką huczało. Gdzieś z podświadomości płynął kategoryczny nakaz: „Trzeba odplątać linę. Za wszelką cenę. Choćby przyszło tu wyzionąć ducha...h.

Jeszcze kilkakrotnie zadrgała sygnalizacyjna linka. Szarpał odruchowo: „W porządku. Nie zawróci przecież z połowy drogi. Musi tu trwać, dopóki nie wykona zadania. Wreszcie po którymś tam z rzędu zanurzeniu się palce trafiły na kiść prężnych włókien. Od razu powróciła świadomość. Czyżby? Jeszcze nie wierzył. Przecisnął głowę pomiędzy bliskimi w tym miejscu krawędziami łopat. Kark ugniatało zimne dotknięcie stali. Jak pod gilotyną - mignęła myśl. Tak, to był jednak koniec liny.

Zaczął odplątywać. Krótkie uczucie triumfu zgasło. To była piekielna męka. Szorstki niczym papier ścierny sznurek boleśnie jątrzył poranione dłonie. Sól wżerała się w obdarte ze skóry ciało. Wygięte pod ostrym kątem płaszczyzny łopat utrudniały ruchy.

Kiedy udało mu się już wreszcie rozsupłać okręcony na stalowym wale koniec liny, poszło łatwiej. Ciągnął kurczowymi szarpnięciami. Odwinął z jednego skrzydła. Potem z drugiego. Teraz nie wynurzał się bardzo długo. Nie zważał na alarmujące pulsowanie krwi. Nie zwracał uwagi na ciężar dławiący płuca. Wszystko przestało istnieć poza jednym: odwinąć tę koszmarną mackę ośmiornicy.

W oczach gęstniała czerwona mgła, przechodząc w coraz głębszą ciemność.

Nie potrzebował widzieć. Dłonie zacisnęły się kurczowym chwytem na linie. Ma ją w rękach i nie wypuści do ostatniego tchu...

Wsuwał ramiona pomiędzy twarde, coraz mniej rozpoznawalne kształty łopat. Czuł chłodne ocieranie metalu. Szarpał, Odpływał. Znowu szperał po omacku. Czyż ta lina ciągnie się nieskończonymi kilometrami?

Chwilami odzyskiwał zdolność widzenia. Ale to było jeszcze gorsze. Przed oczyma majaczyły lśniące szczęki jakiegoś potwora, czyhające, by jednym kłapnięciem przepołowić śmiałka, który się zbliży.

To znów migotały ostrza noży olbrzymiej sieczkarni. Oto powoli zaczynają drgać narastającym wirowaniem. Jakże odpląnąć?

Nie - rozpaczliwym wysiłkiem przywoływał pierzchającą przytomność. Przecież to śruba... Tylko śruba. Płatanina sznurków, z którą się szarpał, nagle zwiotczała. Ruchami ramion, prącymi ciało ku górze, kierował już tylko instynkt. Świadomość nie miała w tym żadnego udziału. Przez parę sekund chybotął bezwładnie na powierzchni, podrzucany uderzeniami fal. Szeroko rozwarte usta chwytają spazmatycznie powietrze. Potem gardło załata woda... Znowu leciał w głąb. Coś ogłuszającego wrzącym zgiełkiem przewalało się po nim, pozbawiając tchu. Nie dotknął sygnalizacyjnej linki. Nie pamiętał już o niczym.

Nagle liny opasujące ciało naprężyły się. Szarpnęły. Zawisł w powietrzu. Był już ponad wodą. Dyszał łapczywie. Podjeżdżał powoli ku górze, kołysząc się martwym ciężarem na linach.

## X

Ludzie wychylali się tak ryzykownie, że lada chwila groziło im runiecie w kipiące odmęty.

Bartczak gryzł wargi.

- Szlag by... Trzeba było wcześniej.

Igielnicki nie odrywał wzroku od chybocącej w dole postaci.

- Może tylko omdlał? - w głosie jednak nie było przekonania. Kaniewski wlepił oczy w nasiąkniętą mrokiem mgłę. Milczał. Twarz jego była zupełnie bezbarwna.

Sielawa z Gwoździem ujmowali miarowymi ruchami liny, gdy nagle coś zahamowało dalsze wciąganie. Liny się naprężyły.

- Zahaczyło się o coś? - mruknął Gwóźdź, nateżając mięśnie.

Sielawa wychylił się jeszcze bardziej poza burtę. Nie zdołał jednak nic dostrzec.

- Ostrożnie! - syknął ostrzegawczo. - Żebyśmy go nie zmasakrowali.

Podskoczyło z pomocą od razu kilku. Liny naprężyły się coraz bardziej.

Palce Bartczaka zaciskały się na barierze.

- Uważajcie, żeby się nie obijał o kadłub.

Poprzez szum kotłującej wody dobiegł ich lekki odgłos trzasku.

Znieruchomieli, wstrzymując oddech.

- Liny?

Konkiel jęknął przez zaciśnięte zęby. Sielawa zaklął z rozpaczą. Któż zdołałby wyłowić go z takiej kipieli? Znowu trzask. Trochę głośniejszy niż poprzedni. Liny jednak nie obwisły luźno, jak się tego obawiano.

- Ciągnij - rzucił zduszonym głosem Sielawa. - Spróbujemy...

Podciągnęli. Nie, nie były przerwane. Po pokładzie przeleciało zbiorowe westchnienie ulgi... Ktoś nie wytrzymał nerwowo.

- Hurra! - rozległ się krótki, płynący z głębi serca okrzyk. Ciało Kostrzewy znajdowało się już pod samą burtą. Dziesiątki rąk chwyciło go w powietrzu, wnosząc na pokład.

Pozbawiona kropli krwi twarz wydawała się twarzą topielca.

Pochylili się nad nim. Nagle oczy rozszerzył wyraz bezmiernego zdumienia. Co to takiego? W kurczowo zaciśniętych palcach tkwił koniec rosochatej od poplątanych sznurków liny. Reszta ginęła gdzieś poza burtą.

Teraz dopiero zrozumieli, dlaczego wciąganie go na pokład szło tak opornie. Wiele rąk pochwyciło linę. W jednej chwili wyciągnięto ją całą. Dłuższy od pozostałych, noszący ślady przerwania sznurek wytłumaczył wszystko. To właśnie on musiał się zaplątać w sterze czy też śrubie.

## XI

Rolski nachylił się z zatroskanym wyrazem twarzy nad leżącym bez ruchu Kostrzewą. Długo badał puls i przykładał ucho do jego piersi. Dziesiątki spojrzeń zawisło niemym pytaniem na jego wargach.

Rozciągnięta na deskach postać wciąż nie dawała najsłabszych choćby oznak życia.

Twarze posepniały z każdą upływającą sekundą. Nie żyje?

Wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy Rolski podniósł głowę. Wyraz jego oczu oznajmił nowinę, zanim jeszcze padły słowa.

Sięgnął pospiesznym ruchem do podręcznej torby. W świetle lampy zalśniło szkło ampulki.

- Gotowe! - Rolski potarł watką ukłucie. Jeszcze raz osłuchał klatkę piersiową.

- I jak? - zapytał z tłumionym niepokojem Bartczak. - Nic poważniejszego?

- O ile zdołałem ustalić, nic. Ale kilka dni w każdym razie będzie musiał przeleżeć. Nie mówiąc już o wyczerpaniu, mocno się chłop poobtłukiwał. Będzie wyglądał jak leopold. No - podniósł się, zamykając torbę - kto mi go pomoże przenieść do lazaretu? Wystarczy dwóch - dodał pospiesznie na widok ruszających ławą marynarzy. Ale właśnie w tej chwili Kostrzewa poruszył się. Szperał na oślep wokół siebie rękoma, jakby czegoś szukał. Potem uniósł ociężale powieki i zupełnie nieoczekiwanie dla wszystkich, usiadł o własnych siłach.

- Co?... - zamrugał nieprzytomnie powiekami. - Co się stało? - Wodząc dookoła wzrokiem, zauważył tuż przy sobie dziwny kształt splątanej liny. Oczy mu rozbłysły. Spróbował podnieść się na nogi. Przeliczył się jednak z siłami. Gdyby nie Rolski, który zdążył podbiec dosłownie w ostatnim momencie i podtrzymać go, runąłby z powrotem na deski.

- Panie... kapitanie - Kostrzewa wspierając się na Rolskim, usiłował się wyprężyć. Matowy głos pękał początkowo przy każdej sylabie, potem nieco okrzepl.

- Melduję... zadanie wykonane... lina... ta, co wkręciła się w śrubę, całkiem nowa - urwał, łykając powietrze. - To nie mógł być przypadek...

Bartczak objął go serdecznie w pól.

- Dziękuję, Kotera - delikatnie uściśnął poranioną dłoń. - Dziękuję w imieniu służby i nas wszystkich. Gdy felczer stwierdzi, że znów z tobą wszystko w porządku, pogadamy obszerniej. Mam wrażenie - uśmiechnął się - że rozmowa ta dla żadnego z nas nie będzie przykra.

Popatrzył na zmienioną twarz marynarza. A teraz marsz na odpoczynek - groźnie zmarszczył brwi, co mu zresztą nie bardzo wyszło.

## XII

Bartczak oglądał plątanie sznurów.

.Nowa lina, to nie mógł być przypadek. Tak, Kotera miał rację - Niedługo pozostawała w wodzie. Raczej kwestia nielicznych godzin. W przeciwnym wypadku wyglądałaby całkiem inaczej. Ani rozpętniała, ani zdążyła pokryć się oślizłym nalotem. Może nawet jeszcze mniej niż kilka godzin?

Bartczak posepniał coraz bardziej. Jeszcze mniej, to znaczy ile? Godzina? Trzy kwadranse? Właśnie tyle czasu, ile upłynęło od momentu, gdy stwierdził zakłócenie w pracy śruby? Jednym słowem - prosto z pokładu pod śrubę? Trudne to nie było. System ciężarków i sznurków niemal gwarantował osiągnięcie celu. I jeszcze do tego ten długi sznurek pozwalający nakierować dokładniej.

Głowa kapitana opadała coraz ciężej na piersi. Twarz początkowo napłynęła krwistym rumieńcem, potem pobladła gwałtownie.

Żeby na jego statku? No, tak... To przecież nie pierwszy wypadek...

Zazwyczaj dobroduszne spojrzenie stało się ostre, kłujące. Oczy przybrały barwę stali.

Przywołał gestem oficerów. Reszta załogi już się rozeszła.

- To ktoś z pokładu!

Głos Bartczaka dygotał z trudem powstrzymaną pasją.

- Tak - potwierdził sucho Igielnicki - na to wygląda.

- Czy ja wiem - oczy Kaniewskiego błędziły sennie. - Już nieraz miałem okazję podkreślić, że nie nadaję się na śledczego.

- Zostało popełnione przestępstwo - wybuchnął Nowacki. Opanował się zresztą natychmiast. W jego pojęciu oficer marynarki pod żadnym pozorem nie powinien uzewnętrzniać swych uczuć. - Właściwie chciałem powiedzieć - poprawił się, że zachodzi podejrzenie... Że okoliczności zdają się świadczyć, iż zostało popełnione przestępstwo.

- Nie - zaprzeczył Igielnicki. Ani na jego twarzy, ani w oczach nawet śladu zwykłego humoru. - Pierwsze słowa były słuszne. - Zostało popełnione przestępstwo - podkreślił z naciskiem.

- Oczywiście, że tak - poderwał się Bartczak. - Jakież tu jeszcze mogą być wątpliwości?

Zapadło przeciągłe milczenie. Gdzieś w nasiąkłych gęstymi oparami ciemnościach czaiła się zgroza.

Kaniewski stał teraz przy burcie. Palce zaciskały się spazmatycznie na barierze. Cały tonął w mroku, patrząc szklanymi oczyma gdzieś w przestrzeń. Muskły twarzy drgały ledwo wyczuwalnym tikiem. Czuł go jednak aż nazbyt dotkliwie. Dlatego też wołał odejść poza zasięg światła.

Bartczak ruszył przed siebie ociężale. Głowa nisko zwieszona, ramiona obwisłe. Jakby mu w tej jednej chwili przybyło naraz wiele dziesiątków lat.

- Idziemy? - dotknął ręką ramienia Igielnickiego.

- A co z tą liną? - przypomniał oficer.

- Słusznie. To - machnął za siebie ręką w taki sposób, jakby ponowne spojrzenie na linę było ponad jego siły - schować do skrzyni i skrzynię opieczetować. Nowacki odpowiada za wykonanie. Skrzynię wstawić do kabiny nawigacyjnej. Protokół sporządzimy później. Wszystko! - Powlókł się w kierunku wyżki.

### XIII

Przeciagle zgrzytnęła przesuwana dźwignia telegrafu. Oddzwonił terkot dzwonka. Pod zamartwym dotychczas pokładem narastał powoli stukot przywróconych do życia motorów. Zabułgotała rozbijana łopatomi śruby woda. Statek otrząsnął się z przypominającego letarg bezruchu.

Igielnicki z przyjemnością wsłuchiwał się w odgłosy dobiegające z zewnątrz. Tak bardzo mu ich przez ten czas brakowało.

- Nareszcie wiem, że znów żyjemy - powiedział z wyraźną ulgą. - Bo przyznam się, że tego rodzaju cisza...

Urwał. Odblask światła kompasowego padał prosto na nisko pochyloną twarz Bartczaka. Teraz dopiero ujrzał dokładnie jej wyraz.

- Oo - przechylił się ku niemu - aż tak bardzo pana wzięło, kapitanie?

- Bardzo? - sarknął Bartczak. - Ba... Jeszcze bardziej niż to sobie można w ogóle wyobrazić. I chyba nic dziwnego. Wolałbym - wciągnął powietrze - żeby mnie szlag ułukł na miejscu niż zobaczyć to wszystko... Stokroć bym wolał - powtórzył, uciskając palcami skronie.

- No... tak - palce Igielnickiego gładziły machinalnie szkło chroniące przekładnię telegrafu - naprawdę stanowiło to dla pana aż tak wielką niespodziankę?

Bartczak spojrział na niego z nieukrywanym zdumieniem.

- Miałem się spodziewać, że zostanie popełniona taka... taka... - przez chwilę szukał właściwego określenia - ohydnie podła zbrodnia?

- Zgoda, że ohydnie podła, zgoda, że zbrodnia. Sądzę jednak, że należało być przygotowanym na coś w tym rodzaju. Ja w każdym razie nie byłem zaskoczony. Już coś panu na ten temat wspominałem, nieprawdaż?

- Wspominał pan... Słusznie... Tyle że nie brałem poważnie tych przepowiedni. Sądziłem, że to tylko tak. Igielnicki uśmiechnął się niewesoło.

- Któż jest prorokiem na swoim statku? Jasne, że mówiłem tylko tak. Czyż mogłem mieć jakąkolwiek pewność, że zdarzy się akurat coś takiego? A przecież wbrew moim najszczerzym życzeniom przepowiednia Kasandry się sprawdziła i... - machnął ręką, jakby przecinając w powietrzu dalsze słowa. - Zresztą, co tam.

- I co? - ponaglił Bartczak.

- A więc sądzę, że ten akt tej niezbyt wesołej sztuki nie jest bynajmniej ostatni.



Bartczak nadał aktowi awansowania Kotery specjalnie uroczysty charakter. Uważał, że tak właśnie być powinno.

Donośnym głosem odczytał decyzję o mianowaniu Kotery starszym marynarzem.

- Ale nie myśl - oświadczył zaraz po uścisku dłoni - że to już wszystko. Zaraz po powrocie do Gdyni zostaną złożone odpowiednie wnioski do Zarządu.

Koledzy otoczyli Kostrzewę zwartą gromadą. Ściskali ręce poklepywali serdecznie po ramionach. Twarze jaśniejące uśmiechem, jakby każdego z nich spotkała osobista radość.

- Już nasz stary wyprowadzi cię na ludzi. On nigdy nie rzuca słów na wiatr. Zobaczysz - powtarzali jeden przez drugiego.

Kostrzewa czuł się jak w wielkim gronie oddanych przyjaciół. Ci prości, szorstcy ludzie stali mu się w ciągu tych nielicznych dni spędzonych na pokładzie naprawdę bliscy.

Długo tego wieczora stał samotnie na rufie, błędząc głęboko zamyślonym wzrokiem po bezkresnej toni morza przelewającej się zmiennymi, pełnymi niepojętej tajemniczości świetlistymi barwami.

Ciągnęło nieodparcie i przykuwało do siebie. Nie odrywał wzroku od wody. Gdy zadanie zostanie wykonane, starszy marynarz Kotera przestanie istnieć. Przyjdą nowe zadania, nowe maski, nowe role. Na pewno przyjdą? W każdym razie więź z morzem i jego sprawami zostanie zerwana. Kto wie, czy nie na zawsze.

Marynarz Kotera otrzymał awans. Ale oficer śledczy Kostrzewa? Nie, tu nie było najmniejszych podstaw do pochwał. Raczej wręcz przeciwnie. Zagadka, którą miał rozwiązać, wciąż pozostawała zagadką. I nic nie zapowiadało jej bliskiego rozwiązania.

## IX. CYGARO DZIWNEGO GATUNKU

### I

- Żółta febra? - głos pobrzmiwał nutkami niepowstrzymanej trwogi. - W takim razie...

Suchy, przyciszony śmiech przerwał dalsze słowa.

- Nie zrozumiał mnie pan. Powiedziałem wyraźnie: objawy żółtej febry, które dadzą podstawę do zarządzenia kwarantanny. Nie ma mowy o żadnych tam... historiach bakteriologicznych. W grę wchodzi taka sobie czysto chemiczna kompozycja.

- Długo potrważą te - krótka chwila wahania - objawy?

- No... przez pewien czas. A potem pozostaną objawy zatrucia jadem botulinowym. Tego rodzaju jad znajduje się w zepsutych potrawach. Rozumie pan: dwie muchy za jednym pacnięciem. Odpowiednia dawka kwarantanny, a potem huczek...

Gdy już wszystko zostanie przeprowadzone, ryzyko wprost minimalne. Ani komu przyjdzie do głowy

jakikolwiek podejrzenie. Czyż prowianty nie ulegają niekiedy zepsuciu? Całkowitą odpowiedzialność wobec władz komunistycznych poniosą kapitan i oficer gospodarczy. Z numerem drugim wszystko zostało już całkowicie uzgodnione. Zaśpiewał cenę, że ho, ho! Chwilowo jednak nie ma możliwości przytarcia mu rogów. Jest potrzebny, wie o tym i wykorzystuje sytuację, ile się tylko da. No... - w głosie zadźwięczała groźba - na wszystko przyjdzie odpowiedni moment.

- Czy to ma jakiś specjalny smak? - zapytał drugi głos.

- Tak... Tego nie dało się, niestety, uniknąć. Wspomniałem o tym numerowi drugiemu, ale on był wtedy taki roztrzęsiony, że mógł nie zapamiętać. Trzeba będzie mu koniecznie przypomnieć. Powinien jakoś to urządzić. Bo ja wiem... Po prostu przyzwyczaj ludzi do tego smaku w potrawach, aby we właściwym momencie przyjęli go jako coś zupełnie powszedniego. Kwas i jakby goryczka. W instrukcji podkreślono to wyraźnie Oczywiście, na pewne drobne odchylenia i tak nikt nie zwróci uwagi. Chodzi o ogólne wrażenie... - krótka pauza. - Pan poprzednim razem nie przyszedł na umówione spotkanie?

- Nie miałem absolutnie możliwości. Ta cała sprawa ze śrubą...

- Żeby to... - zduszone przekleństwo. - Nie wyszło. Wszystko diabli wzięli... A tak na to liczyłem... Nie tylko zresztą ja... Podałem w raporcie jako rzecz całkiem pewną. Niemal załatwioną...

- Uczyniłem wszystko, co tylko leżało w mojej mocy.

- Wiem. Wyjaśniłem to właśnie w ten sposób. Zadanie zostało wykonane. A to, że potrafili je zniweczyć, nie może obciążać nas... to jest... pana w najmniejszej nawet mierze. Licho nadało tego przekłętą Kotere, czy jak mu tam... Zbyt często jakoś staje na naszej drodze. Podtrzymuje pan nadal swoje zdanie, że nie może być mowy o podwójnej roli?

- Absolutnie. Nie spuszcza z niego oka ani na chwilę. Zresztą historia ze śrubą utwierdziła mnie jeszcze bardziej w tym przekonaniu.

- Hm?

- No tak. Gdyby to był pies gończy, to czy ryzykowałby skórę dla odgrywania przybranej roli?

- Czy ja wiem. Może i tak. Trzeba będzie mimo wszystko sprawdzić, czy jego nazwisko figuruje na liście nagród zawodów pływackich w Sopocie.

- Mógł przecież skłamać.

- Właśnie o to chodzi, czy skłamał... jeśli tak było w rzeczywistości... - Nie sądzę, by i w tym wypadku to dało jakiś pewny materiał co do jego osoby.

- Dlaczego?

- Marynarze lubią się przechwalać.

Chwila namysłu.

- Może i słuszna uwaga. Ale na wszelki wypadek sprawdzimy. Niekiedy wielkie rzeczy składają się

z małych drobiazgów. Pan będzie dozorował wykonanie przez numer drugi. I potem...

- Czy on został dokładnie wprowadzony we wszystkie szczegóły?

- Jak najdokładniej. Tylko wie pan... Trzeba dobrze patrzeć na ręce. To taki typ... Któż jest w stanie przewidzieć, co mu w ostatniej chwili może strzelić do łba? W razie czego... nie potrzebuję pana chyba pouczać?

- Oczywiście. To wszystko?

- Wszystko. Aha, jeszcze jedno. Chciałem pana uprzedzić, że on ma broń.

- Broń? - wyraźne zdziwienie.

- Właśnie, broń i trzeba to mieć na uwadze w razie konieczności jakichś... radykalniejszych posunięć. Powodzenia.

Przeciągły szmer spowodowany ostrożnym forsowaniem spiętrzonych skrzyń. Głuchy stuk ciężkich drzwi. Potem cisza. W trudno dostępnym miejscu ładowni pozostał jeden człowiek.

Przez chwilę nadśluchiwał. Złożył w czworo koc i rozsiadł się wygodnie. Nauczył się już obywać bez światła. Kwestia przyzwyczajenia. Posługiwał się latarką elektryczną tylko w razie niezbędnej konieczności.

Tym razem jednak kapitan Bartczak postanowił wydawać przepustki na ląd. Rejs porządnie wyczerpał ludzi. Jeżeli chodziło o przyszłość, komunikaty meteorologiczne nie zapowiadały bynajmniej rychłej poprawy warunków atmosferycznych. Możliwość kilkugodzinnego rozprostowania kości na stałym lądzie powinna wpłynąć dodatnio na nastrój załogi.

- Tylko, chłopcy, pamiętajcie - ostrzegał opuszczających statek - nie dajcie się sprowokować za żadną cenę. Nie zapominajcie o zdarzeniu z Rzeżuchą. Tu zbiorowisko takich szumowin, że trzeba uważać na całego.

Sikora zwołał otwarte zebranie. Nie używał gromkich słów. Te na pewno nie trafiłyby nikomu do przekonania.

- Pamiętajcie o takich - mówił - którzy tylko czyhają na okazję, by nas przerobić na szaro. Fizycznie i moralnie. Miejcie na uwadze zasadę: Jak cię widzą, tak cię piszą. Tylko że tu na podstawie naszego zachowania będą pisać o całym narodzie.

Uchwalono jednogłośnie: Jeżeli ktoś nas zaczepi, zacisnąć zęby i ustąpić z drogi. Niech się łobuzy walą, z kim chcą, byle nie z nami. No, a kto by machnął choć jeden kieliszek za dużo...

Tu wiele oczu utkwilo właśnie w Sorku. Ten aż poczerwieniał.

- Przysięgam - zaczął z wielkiego konia, ale zaczęto się śmiać, więc zaraz spuścił z tonu. - No, jednym słowem, jak któryś tylko zauważy, że coś ze mną nie tego, bierzta za kołnierz i na statek.

Konkiel z pewnych powodów wziął część tych spojrzeń na swój rachunek.

- Coś takiego - stał wyprostowany jak na baczność. - Ani nawet - i walnął się w pierś dla potwierdzenia w tak przejrzysty sposób wypowiedzianego zobowiązania.

Kostrzewa wybrał się z kolegami. Warto się trochę przespacerować po nieznanym mieście. Sorek wrósł w chodnik przed jedną z knajp:

- To, mówię wam, bardzo fajny lokal.

Za żadne skarby nie dał się namówić, by ruszyć dalej.

- Byłeś tu? - zapytał Sielawa.

- Ja, nie... Ale jeden taki kumpel. On ma nosa...

Trochę się sprzecznali. Kostrzewa proponował zwiedzenie miasta, Sielawa go popierał, paru było niezdecydowanych. Ale większość zerkała ku lustrzanym szybom. Ich głos przeważył. Razem wybrali się na łód, nijako więc było rozbijać gromadę. Weszli wszyscy. Lokal rzeczywiście sprawiał dość przyjemne wrażenie. Ruch, gwar, śmiechy. No i przebijająca przez tytoniowy dym drażniąca woń najróżniejszych alkoholi.

- Osobliwości obejrzymy sobie potem. Bo to uciekną? Właściwie trudno było odmówić racji. Że do tego jedna z kelnerek, całkiem przystojna dziewczyna, poczęstowała przybyszów zalotnym uśmiechem, zadomowili się na dobre.

Brandy, whisky z wodą sodową, a częściej bez niej, gin, marynarski koktajl Diabelski Nos zappełniły marmurowy blat stolika.

Jedna kolejka, druga. Jakieś tam nader skąpe zakąski, raczej dla dekoracji niż w celu właściwego użytku. Mocne „poczwórne” piwo niewiele mniej naładowane procentami niż czysta whisky. Robiło się coraz cieplej i przytulniej. Twarze poczerwieniały, głosy rozbrzmiewały wesołymi nutkami. Jak to przyjemnie siedzieć na stołku, który nie ucieka spod człowieka niczym znarowiona szkapka.

Okazało się, że przystojnych kelnerek było tu znacznie więcej. I wszystkie sypały siarczyste oko. Oczywiście jedynie w momentach, gdy odbierały nowe zamówienie bądź też wsypywały należność do zawieszonych na paskach, niby u konduktorek, skórzanych torebek.

Sorek wysunął propozycję trzeciej kolejki:

- Nie zaszkodzi zdezynfekować podniebienie po tej całej soli. Przyjęto ją z aplauzem. Tylko Bociński ostrzegł:

- Uważajcie, chłopaki, na tempo.

Ale to było powiedziane raczej ot tak sobie. Bo dotychczas nikt nie był pijany. Ani nawet podchmielony. Wesoły, niefrasobliwy nastrój - to wszystko.

Posiedzieli jeszcze trochę, wykurzyli parę paczek papierosów, przepłukali na próbę gardła łykiem coca-coli, która zresztą nikomu nie przypadła do gustu, i wyszli, udając się po zakupy. Liczne sklepy wabiły nieodparcie wzrok luksusowymi witrynami.

Każdy miał na ładzie kogoś, komu chciał przywieźć z tego egzotycznego miasta jakiś upominek.

Kupowano rozmaite drobiazgi. Sorek zachwycił się zwykłym blaszanym bąkiem.

- Mam takiego małego siostrzeńca. To się dopiero smarkacz ucieszy.

Nie pomagały perswazje, że taką zabawkę mógłby dostać w pierwszym lepszym sklepie w rodzinnym mieście. Nie wypuszczał bąka z rąk.

Potem maszerowali różnymi ulicami, gapiąc się na wszystkie strony. Było na co popatrzeć. Gdy do czasu oznaczonego na przepustkach brakło niespełna godziny, Bociański zarządził odwrót. Przechodzili właśnie obok jakiegoś baru. Sorek stanął, jakby mu nagle nogi wrosły w ziemię.

- Zlitujcie się - jęknął żałośnie. - Taki skwar, że już ostatnią parę puszczam. Nie dojdę do portu, jeśli nie łyknę choć kropelki czegoś zimnego.

Bosman zerknął na zegarek. Ostatecznie mieli jakiś tam kwadrans na zbyciu. Lepiej go spędzić przy chłodzeniu gardła niż wysmażać resztkę tłuszczu na rozprażonych kamieniach nadbrzeża. Szalupa na pewno nie przybije do oznaczonego miejsca ani minuty przed czasem.

- Ale przy barze i tylko piwo. - Bociański sam zresztą miał ochotę na szklaneczkę czegoś zimnego. Któż by zresztą nie miał? Skwar rzeczywiście był potężny.

Po wyjściu z baru Sorek, który oczywiście nie poprzestał na piwie, trzymał się jako tako. Nawet nie zakreślał zbyt widocznych zygzaków po chodniku. Mimo to nie szczędzono mu docinków przez całą drogę do portu.

## II

Po powrocie na statek Sorek nadrabiał miną, usiłując niczym nie zdradzić lekkiego oszołomienia. Najchętniej uwaliliby się na swojej koi i przespał cały ambaras.

Ale iść spać o tej porze?

Przypomniał sobie o bąku. Przy takim zajęciu mniej widać, że z człowiekiem coś nie w porządku.

Puścił bąka w mesie na blacie stołu. Owszem, wirował jak należy, tylko że w końcu spadł z brzękiem na podłogę.

- Cholera! - zaklął gniewnie.

Eksperyment z ławą skończył się w równie żałosny sposób.

- Dlaczego by nie na pokładzie? - wpadł na pomysł Foryś. To była dobra myśl. Tu już nie mógł spać. Tyle że obijał się o napotykaną po drodze przeszkodę. Ale to wcale nie powstrzymywało jego pędu. Odskakiwał jak żywy i wirował dalej, wybrzękując wysokim, blaszanym dźwiękiem jakąś melodię.

Zainteresowanie bąkiem rosło. Coraz więcej marynarzy obserwowało lśnienia jaskrawych barw zlewających się w wirowym ruchu w jedną, niemożliwą do określenia.

Sorek rósł w dumę.

- No, nie warto było kupić?

Nagle bąk odbił od żelaznej łapy pachołka i zmieniawszy pod ostrym kątem kierunek, zawirował prosto ku trapowej wyrwie nadburcia.

Sorek zdrętwiał.

- Rety! Wleci do morza! - rzucił się na oślep na ratunek. Nogi miał miękkie, przed oczyma nieco mętniało.

Chwilę przed tym do trapu przybił kuter, przywożąc drugiego oficera i kucharza, który wyprosił przedłużenie przepustki.

Kaniewski wszedł na pokład pierwszy, Basiorski tuż po nim.

Stali obok siebie, gdy Sorek, nic nie widząc poza wirującym ku zagładzie bąkiem, wpadł na obu z całym impetem. Omal wszyscy trzej nie wylecieli poza burtę. Jakoś jednak zdołali utrzymać się na nogach. Najwięcej zresztą miał z tym kłopotu Sorek.

- Co to ma znaczyć? - zapytał ostro Kaniewski.

Ale Sorek nie słyszał. Pełen poczucia winy zbierał skwapliwie paczki, które wytrącił z rąk wchodzących.

Wpadka na całego. To mu nie ujdzie na sucho. Bagatela! Rozbić drugiego oficera? O mało go przecież nie strącił w morze.

Jedną z prostokątnych paczek kopnął z rozmachem, nie obliczywszy w pośpiechu ruchów. Zresztą szmerek w głowie nie zupełnie jeszcze ustał.

Papier pękł, pudełko się otworzyło, wytrząsając na pokład całą zawartość. Sorek aż wytrzeszczył oczy na widok pękatych cygar w zielono-złoty opaskach.

Paczka oczywiście musiała należeć do Basiorskiego. Nie miał co do tego najmniejszych nawet wątpliwości. Kaniewski palił wyłącznie fajkę.

Więc grubas zafundował sobie naraz tyle tego dobrego? Nie brakło mu widać gotówki. Marka cygar należała do najdroższych.

Sorek nie pamiętał już, kiedy takie palił. A może w ogóle nigdy się to nie zdarzyło? A jaki to cichy i podstępny. Zawinięte w papier, ani by się kto domyślał, co w środku. Pewno w czasie poprzednich postojów w portach w taki sam właśnie sposób... No, oczywiście. Jakżeby inaczej...

Ogarnęła go nagła złość na kucharza. Brudny sknera!

Cygara zbierał z pokładu w znacznie wolniejszym tempie. Jedno... No, chyba ruch, którym schował je do kieszeni, był najzupełniej niewidoczny. A gdyby nawet, to i co? Najsłabszego choćby strachu albo ukłucia sumienia. Jeszcze czego. Niech tylko słówko piśnie - stanie mu do oczu wobec wszystkich.

Toś ty, bratku, taki kwiatek? Sam ma pełne pudełka najwyższych gatunków, a od innych wycygania koprowinę? Ileż razy brał choćby od niego. Od kogo zresztą nie? A czy kiedykolwiek poczęstował? No, zamknie jadaczkę jak zmyty.

Bardzo ładnie ułożył sobie całą tę przemowę. Ale oczywiście był bardzo zadowolony, że nie doszło do jej wygłoszenia. Bo jednak... Nie, lepiej, że nie...

Basiorski nic nie zauważył.

Stał przy burcie nieruchomy, jakby go nagle zamieniono w słup soli, i czekał, biegając dookoła wytrzeszczonymi oczyma.

Sorek aż pożałował, że nie wpadło mu na myśl zorganizowanie kilku sztuk. Czyż nie mogły wylecieć za burtę w całym tym zamieszaniu? Jeszcze jak!

Obładowany paczkami podszedł najpierw do Kaniewskiego. Wyprężył się, na ile tylko pozwoliły wciąż jeszcze niezbyt pewne nogi.

- Bardzo mi przykro... przepraszam... - jąkał się. Niezbyt składnie mu to wszystko szło. Zaczerpnął tchu i brnął dalej.

- Bo to bąk... to jest niby taka zabawka... leciała prosto za burtę... więc ja... A tu akurat... Wcale nawet nie dostrzegłem, że pan... - urwał, spojrzawszy przypadkiem w oczy Kaniewskiego. Były szkliste i niemal białe jak wycięte z glansowanego papieru krążki. Aż mu się nagle nijako zrobiło.

Oficer jakby nie rozumiał, co do niego mówiono.

- Paczki! - wyciągnął z dziwnym pośpiechem rękę. - Paczki! Sorek podał pierwszą, obejmując ją troskliwie palcami. Tu papier też się trochę naddarł, pozwalając zajrzeć do wnętrza.

Jakieś lekarstwa, pudełka, pudełeczka, torebki.

Oficer wsunął szybko paczuszkę do bocznej kieszeni. Nie obeszło go, że kieszeń wypuczyła się jak napuchnięty policzek.

W momencie gdy pozostało już jedynie pudełko z cygarami, a ruch ręki Kaniewskiego znów się powtórzył, Sorek zdrętwiał do reszty. Więc i cygara należały do niego? No, teraz się wkopał po szyję. W stosunku do Basiorskiego stanowiłoby to zwykły akt sprawiedliwości, ale w stosunku do oficera - ordynarną kradzież. Aż się spocił, podając pudełko. W tym samym jednak momencie w porcelanowych oczach rozbłysło światło. Zgasło zresztą niemal natychmiast. Ręka Kaniewskiego opadła w połowie drogi.

- Nie... to nie moje.

Sorek ledwo się powstrzymał od rzucenia mu się na szyję. Skoro nie jego, wszystko w porządku, podszedł do Basiorskiego.

- Bierzcie swoje hawany, czy jak im tam - wyciągnął pudełko. Ale kucharz bynajmniej się nie kwapił. Patrzył na pudełko z takim przestachem, jakby zawierało jakąś jadowitą żmiję, a nie pierwszorzędne cygara.

Dyszał ciężko. Spojrzał na Kaniewskiego, który był jednak odwrócony w całkiem inną stronę. A może właśnie dopiero w tym momencie się odwrócił? Tego Sorek nie zdołał zauważyć.

Był zdumiony zachowaniem kucharza. Jeszcze trochę i grubasa szlag trafi. O co chodzi? Może o to schowane cygaro? Ale przecież nie wyczyniałby o to aż takich hec. Nic nie rozumiał tego wszystkiego.

Basiorski nagle ożył.

- Dziękuję - drapieźnym ruchem wyrwał z rąk Sorka pudełko i potoczył się w kierunku kambuza.

- Jeszcze raz przepraszam... - zaczął znowu Sorek. Kaniewski machnął ospale ręką.

- Dobrze. Możecie odejść.

### III

Kostrzewa rozbawionymi oczyma obserwował rozgrywającą się scenę. W miarę jednak jej rozwoju, poważniał coraz bardziej. Farsa zaczynała się zmieniać w jakiś trudny do pojęcia dramat. Co właściwie mógł oznaczać pośpiech, z jakim Kaniewski sięgnął po pierwszą paczkę? Tak jakby się czegoś w związku z nią obawiał. Ale czego?

Jeżeli chodzi o Basiorskiego, to strach jego rzucał się wprost w oczy.

Wszystko to stanowiło trudną do rozwikłania zagadkę.

Kostrzewa zamyślił się. Nie umiał na dręczące go pytanie znaleźć odpowiedzi.

Sorek wyczekał, aż zapadła ciemność. Miejsce za windą było zaciszne i odludne. Miał zapalić cygaro na oczach wszystkich.

- To nie byłoby zbyt rozsądne. Choćby nawet zdjął opaskę, Poznaliby gatunek po zapachu. Nie brak w tej dziedzinie specjalistów. Zaraz zaczęłyby się dopytywania. A skąd, a co, a jak?

Starannie obciął scyzorykiem koniec.

Wymierzył co do ułamka milimetra. Za mało nie można, bo nie będzie ciągnąć, za dużo zaś byłoby szkoda. Nieprędko zdarzy się podobna okazja.

Wetknął ostruganą zapałkę. W ten sposób smakuje o wiele lepiej niż w różnych tam ustnikach. Bo to nie miał doświadczenia?

Gotowe. Osłaniając dłonią płomień, przytknął zapałkę.

Cygaro jednak nie chciało ciągnąć.

Widocznie za mało przyciął. Obciął nieco głębiej, zbierając skrzętnie w dłoń okruchy tytoniu. Przyda się do skręta, jak nie stanie innych papierosów.

Nie ciągnęło w dalszym ciągu.



Co u licha? Wyjął z ust, obejrzał na wszystkie strony. Na oko w porządku. Może zbyt płytko wetknął zapałkę? Próbował wetknąć głębiej. Nie wchodziła. Widocznie liście w samym środku były zwinięte zbyt ciasno.

Znowu usiłował zapalić. Nic z tego.

Prawda - zorientował się po chwili. Skoro takie twarde, że zapałka nie chciała wejść, chociaż ją wpychał na siłę, to w jaki sposób niby może ciągnąć? Trzeba je trochę rozluźnić.

Zaczął ugniatać. W miejscu, gdzie znajdowała się błyszcząca opaska, wyczuł pod liśćmi coś twardego. Kawalek drewna? Ech - pokręcił z powątpiewaniem głową - czyż tego rodzaju lipa może się zdarzyć w tak wysokim gatunku?

Ugniatał dalej, podstawiając dłoń, by nie uронić cennych okruchów.

Nagle zaklął. Liście zaczęły się kruszyć. Cygaro przełamało się przez pół. Na dłoń spadało oprócz tytoniu jeszcze coś dziwnego. Chłodne, twarde. Jakby ze szkła?

Podniósł do oczu. Szkło, oczywiście, że szkło. Specjalny filtr? Teraz rozmaite rzeczy wymyślają. Przyjrzał się bliżej. To nie był filtr. Mała ampulka napełniona przezroczystym, bezbarwnym płynem.

Wytrzeszczał ze zdumienia oczy. Żeby takie coś w cygarze?

To się przecież nie mieści w głowie. Po licha to tam wsadzili? Powąchał tytoń. Był pierwszorzędny. Wystarczyło raz pociągnąć nosem. Więc jeżeli chodziło o liście - żadna lipa.

A ten jakiś zastrzyk, nie zastrzyk? Obracał w zamyśleniu ampulkę pomiędzy palcami. Żadnego napisu. Tylko wytrawione w szkle jakieś znaczki. Nie potrafił ich odczytać. Małe takie, a tu ciemno, że ledwo koniec własnego nosa człowiek dojrzy. Ale gdyby nawet odczytał, to i co z tego? Bo to się wyzna?

A może morfina? Nie wolno przecież sprzedawać otwarcie. Wsadzili w cygaro dla niepoznaki i proszę bardzo... Ktoś mu kiedyś opowiadał o podobnej kombinacji. Tylko że wtedy, zdaje się, nie wchodziły w grę cygara. Ano, raz tak, raz inaczej... Nie mogą przecież powtarzać tego samego numeru w nieskończoność, bo wreszcie by podpadło, komu nie trzeba.

Więc taki typ z tego kuka?

Przemyt? A może po prostu dla siebie? Grubasy miewają specjalne zachcianki. Obrasta sadłem i już sam w końcu nie wie, co ma robić.

A jeżeli jednak przemyt? Zamyślił się. To byłoby jakoś nie bardzo tego... Trzeba by... Hm... Ale co? Sielawa, ten by od razu wiedział.

Albo i Kotera. Też mądry chłop.

Tylko że nijako im powiedzieć o tym cygarze. Może by uznali za kradzież...

W końcu postanowił przemilczeć całą sprawę.

## X. NIEBEZPIECZEŃSTWO SIĘ ZBLIŻA

### I

Jak i poprzednim razem postój w tym porcie trwał zaledwie kilkanaście godzin. Wyładowano trochę drobnicy, zatankowano paliwo i słodką wodę. To było wszystko. Przy sposobności Bartczak polecił ponowne przeszukanie wszystkich pomieszczeń. Sam dopilnował, by nie pozostało ani jedno miejsce, do którego by nie zajrzano. Nie znaleziono jednak nic podejrzanego.

Na brzegu zaczęły rozbłyskiwać coraz liczniejsze światła. Kapitan spojrzął na zegarek. O świcie statek wychodzi w morze. Swoją drogą, pomimo wszystko, na morzu czuł się jakoś bezpieczniej.

### II

Pierwszy zauważył Sielawa.

- Hm... - skrzywił się, mieszając łyżką w zupie - co za jakiś dziwny smak?

- Jo - potwierdził Konkiel. - Jakby ją warzył na tuchłym dorszu.

- Kwaśne jakieś - mruknął Foryś.

- Raczej gorzkie - poprawił go Kondraciuk.

Zgierski żuł w skupieniu kawałek mięsa wyłowiony z zupy. Miało ten sam dziwny smak.

- Nic, tylko kuchcie zepsuły się prowianty - zawyrokował z przekonaniem. - I teraz zaprawia je jakimś świństwem dla niepoznaki.

Sielawa podniósł napełnioną łyżkę i długo wciągał powietrze nosem.

- A przecież nie podejźdza ani nawet ociupiny. Reszta była też tego zdania.

- To z tego wynika, że na upartego jeść można - orzekł Foryś. - Bo skoro nie podejźdza, znaczy się, niezepsute. Po prostu kuchta wykombinował jakąś nową przyprawę i tyle. On miewa czasami takie fantazje.

Wszyscy doszli do wniosku, że Foryś ma rację.

Opróżniono talerze do dna. Smak, jeśli tylko się do niego przyzwyczaić, nie był ostatecznie najgorszy. Poza tym byli głodni. Ostrość morskiego powietrza to najlepszy środek dla pobudzenia apetytu.

Kostrzewa przyszedł nieco później. Rolski zaciągnął go niemal przemocą do ambulatorium i długo trzymał przy skrupulatnym badaniu. Chciał stwierdzić, czy proszki, jakie zapisał, pomogły. Oczywiście nie bardzo pomogły. Pretekst pozwalający Kostrzewie spędzać noce na pokładzie był wciąż jeszcze nader aktualny.

Napełniono mu talerz po same brzegi. Nikt nie wspomniał o dziwnym smaku zupy. Zapomnieli już zresztą o nim. Teraz byli zajęci pochłanianiem gulaszu. A tu obfitość pieprzu aż szczypała

podniebienie.

Kostrzewa przełknął łąpczywie zawartość pierwszej łyżki. I jemu chciało się potężnie jeść.

Ale nie zanurzył jej z powrotem w talerzu.

Obejrzał uważnie łyżkę. Może coś na niej?

- Jakoś dziwnie smakuje? - podniósł głowę.

Dopiero teraz powrócili do tego tematu.

- Nie przejmuj się - Foryś mocnym przytknięciem palców zestrzelił z ceraty okruch chleba - nowa przyprawa naszego kuchy.

Przyprawa? To przypominało raczej jakieś lekarstwo. Kostrzewa pobladł gwałtownie. Te apteczne pudełeczka, na których nieujawnianiu tak bardzo Kaniewskiemu zależało? Sielawa popatrzył na niego z niepokojem.

- Zemdliło cię? Odetchnij głęboko, to zaraz przejdzie.

- Foryś też o mało nie pojechał do Rygi przez Ząbki, a przecież żyje - skomentował Sorek.

- Nie myśl, że zepsute - pocieszał Konkiel - ja zjadłem dwa talerze i nic... A jakby coś takiego, to mój żołądek zaraz strajkuje. Tak już mam...

- Wszyscyśmy zjedli i jakoś żadnemu nie zaszkodziło - potwierdził Zgierski. - Nie przejmuj się, można jeść.

Kostrzewa przyglądał się badawczo pochylonym nad talerzami twarzom. Teraz patrzył lekarz, a nie oficer śledczy.

Nie, nie dostrzegł u żadnego najmniejszych oznak zatrucia. Ale przecież dopiero co zjedli. Trucizna niekoniecznie musiała być piorunująca. Mogła zacząć skutkować dopiero po paru godzinach czy nawet po paru dniach.

Sprzed oczu nie ustępowało wspomnienie wyrazu twarzy Kaniewskiego, w chwili gdy sięgał po naddartą paczkę wypełnioną aptecznymi pudełkami.

Zastanawiał się przez chwilę, kręcąc machinalnym ruchem kulkę z chleba.

O poddaniu analizie resztek zupy nie ma co myśleć w tych warunkach. Rolski? Wątpliwe, czyby mu się udało. Obserwować kolegów? Tak... Ale czy taka obserwacja na odległość może być uznana za wystarczającą? Anamneza była stokroć ważniejsza od zewnętrznych oznak. Te mogą przyjść dopiero znacznie później. Wtedy gdy będzie już za późno na wszelki ratunek.

Ale w jaki sposób miałby ich o to wypytywać? Istniało jednak pewne wyjście.

Myśl, która początkowo kołatała nieśmiało, zdążyła już całkowicie zawiązać Kostrzewą.

Był pacjent, którego mógł badać jak najdokładniej w każdej chwili dnia i nocy, nie budząc

najmniejszych podejrzeń. Który potrafi w sposób jak najbardziej szczegółowy przedstawić cały obraz zachodzących wewnątrz organizmu procesów. Nie tylko zresztą szczegółowy. Fachowy również.

Tak... Jasne, że tak. Wahanie trwało niezbyt długą chwilę. Niełatwo go jednak było przezwyciężyć. Bo przecież, jeżeli to była trucizna...

Sięgnął po łyżkę. W momencie gdy podnosił napełnioną do ust, jakby ważyła całe tony.

Przełknął. Potem drugą. Trucizna? Trudno... Skoro nie ma innego wyjścia. Czyż nie chodzi o dziesiątki istnień?

Potem już jadł szybciej, aż opróżnił talerz.

Analiza przeprowadzona za pomocą własnego organizmu. Nie jest pierwszym w historii medycyny, który na tę drogę ważył się wstąpić, ryzykując samym sobą.

Wieczorem zastanawiał się nad reakcją. Lekka zgaga? Niewykluczone zresztą, że na tle nerwowym. To się zdarza. Poza tym właściwie nic. Na drugi dzień to samo. Nabrał otuchy. Może i rzeczywiście jakaś egzotyczna przyprawa?

Z kolegów też żaden się nie uskarżał na jakiegokolwiek dolegliwości. Czuli się zupełnie normalnie.

### III

Tym razem od razu było wiadomo, że przez skrzynie przedziera się numer drugi. Czyż X-2 poruszały się w jakichkolwiek okolicznościach w tak niezdarny sposób? Poza tym to sapanie niczym kowalskiego miecha.

Rzeczywiście w ukrytym kącie wylądował wreszcie grubas.

Powitanie było więcej niż oschłe.

- Nie przypominam sobie, abym pana wzywał... A takie nieuzgodnione z góry wizyty zagrażają różnymi trudnymi do przewidzenia komplikacjami. Chyba sam pan powinien rozumieć.

- Tak... - jeszcze parę sapnięć zdyszanego oddechu - rozumiem. Ale tu chodzi o pewną sprawę... Muszę przecież wiedzieć wszystko jak najdokładniej, jeśli chodzi o tę akcję.

- No więc, słucham?

- Czy objawy zatrucia występują natychmiast po spożyciu specyfiku?

Cichy śmiech.

- Tak bardzo drży pan o swoją skórę?

- Jednak... chciałbym wiedzieć. Bo... - w głosie wyraźne naleganie. Widać było, że skoro już z tym tutaj przyszedł, nie odejdzie, nie otrzymawszy wyczerpującej odpowiedzi. - Po co się niepotrzebnie narażać, jeśli tego można uniknąć? W zależności od tego, jak to jest, chciałbym sobie przygotować

pewne rzeczy.

- W porządku. Niech pan będzie spokojny. Czyż pan przypuszcza, że ci, którzy to przygotowali, są jak dzieci? Natychmiastowe wystąpienie objawów mogłoby wywołać niepotrzebne skojarzenia, które w rezultacie doprowadziłyby diabli wiedzą jak daleko. Nie, to działa ze znacznym opóźnieniem.

- Dokładniej mówiąc, po ilu godzinach?

- Około dwudziestu, do dwudziestu dwóch. Czy to panu wystarczy?

#### IV

Fala była wysoka. Oczywiście jeszcze nie sztorm, ale rzucało porządnie. Trzeba było dobrze uważać, żeby nie zaryć nosem w pokład. Szczególnie przy tym mylącym świetle lamp.

Sielawa właśnie schodził z psiej wachty, gdy przyłapał go Kropidło.

Stał skurczony jak półtora nieszczęścia przy skrzyni, trzymając się oburącz jej krawędzi.

- Jak to dobrze, że cię akurat przyniosło.

Sielawa niezupełnie podzielał jego zdanie. Wachta była męcząca. Myślał z tęsknotą o swej koi.

Nic jednak nie powiedział na ten temat. Skoro go potrzebuje, to trudno. Pięć minut wcześniej, dziesięć później. Czyż można odmówić pomocy koledze?

- Czego chcesz? O... - dopiero teraz zwrócił uwagę na nienaturalne zachowanie stewarda - stało się co?

- To nie o mnie chodzi - rozmasowywał nogę. - Wlazłem w jakieś przekłete liny i nadwerżyłem ścięgno. W rezultacie głupstwo. W tym jednak sęk, że na dzisiejszą noc, w każdym razie, wysiadka ze służby. A sam wiesz, jak stary się czuje bez kawy. Właśnie siedzi w nawigacyjnej.

Sielawa westchnął z rezygnacją.

- Rozumiem. Mam mu ją zanieść?

- Zanieść? Ba... jemu trzeba co pół godziny, inaczej chyba by uświrkł.

Sielawa przeraził się nie na żarty.

- Co pół godziny? - bąknął, niemal wstrzymując oddech.

- Tak. Ale przecież nie ty. Każdy ma swoją pracę. Chciałem tylko prosić, abyś obudził Basiorskiego i powiedział, że Rolski kazał mi co najmniej dwanaście godzin leżeć bez ruchu. Niech ściąga z koi swego Foltę, niech sam nosi - to już jego rzecz, jak sobie poradzi. Przykro mi, że cię trudzę po wachcie, ale sam nie dam rady do niego zejść.

Sielawa machnął lekceważąco ręką.

- Głupstwo. Co tam. Może ci pomóc zejść do kubryku?

- Nie, dziękuję. Jakoś się dowlokę o własnych siłach. Zależy mi, żebyś jak najprędzej zawiadomił kuka o mojej awarii. Bo najdalej za kwadrans kawa powinna być w nawigacyjnej.

- Zrobione. Już biegnę.

Drzwi prowadzące do korytarza gospodarczego były tylko w pół przymknięte. Woda tej nocy nie sięgała pokładu.

Nagle przystanął. Szepty? W jednej chwili stanęła mu przed oczyma scena odmalowana przez Gwoźdźcia. Tajemnicze cienie przy skrzyni z piaskiem? No, tym razem on im pokaże.

Runął jak huragan w dół. Ledwo wyczuwał pod podszwami śmigające stopnie.

A co go czeka tam, na dole?

Nie zastanawiał się jednak zbyt długo. Nie było na to zresztą czasu. Jeszcze jeden sus, ryzykowniejszy od poprzednich. Był już dole. Świateł rzeczywiście nie zdążyli pogasić.

Od razu skoczył w kierunku ciemnej części korytarza. Coś jakby mignęło. Stuk? Może mu się tylko zdawało?

Przy skrzyni rzeczywiście ciemna sylwetka.

Dopał, zaciskając w pogotowiu pięści.

- Kto tam?

Minęła krótka chwilka, zanim padła odpowiedź.

- Ja... - poznał rozlazły głos Basiorskiego. - Ale co ty tu robisz o tej porze?

Sielawa wytężył oczy, zaglądając w głąb korytarza. Nie, z całą pewnością nie było w nim nikogo więcej.

- Może wreszcie raczysz mi wyjaśnić, po coś tu wpadł jak bomba? - ponowił pytanie Basiorski. Ton stał się niemal syczący. - Bo jeżeli chodzi o regulamin...

Dopiero wówczas Sielawa powtórzył polecenie Kropidły.

- Myśleliśmy, że trzeba będzie cię wyciągać z koi - dociął. - Któż mógł przypuszczać, że szef przesiaduje po nocach na skrzyni i rozmawia, hm... sam ze sobą... - żałował, że nie mógł w tej chwili dojrzeć wyrazu jego twarzy.

- Chodźmy - Basiorski pchał go niemal swym cielskiem w kierunku prawej strony korytarza.

- Więc Kropidło miał awarię? - zapytał po drodze. - Trudna będzie z tym sprawa. Jakoś się zresztą załatwi.

Wciągnął go do kambuza.

- Siadaj - wskazał stołek. - Przy sposobności znajdzie się i dla ciebie filiżanka kawy i kropelka

czegoś do jej wzmocnienia. Nie zaszkodzi po takiej wachcie.

Sielawa oczywiście nie odmówił. To byłoby ponad jego siły. Nie przestawały jednak nurtować go wątpliwości.

- Przyznaj się, szefie - odstawił opróżnione naczynie - tak od dawna rozmawiasz z samym sobą?

- Z samym sobą? - powtórzył przeciągle. - Hm... - wylupiaste oczy jakby na sekundę zmętniały - nie...  
- potrząsnął głową - skądże...

Sielawa aż się ku niemu pochylił.

- Nie? To z kim w takim razie?

- Cóż... powiem ci. Tylko się nie śmiej i nie rozgadaj po całym statku, jeśli cię o to można prosić. Po co mają potem robić z człowieka balona? Otóż... - ciągnął z namysłem - ostatecznie nie ma przecież w tym nic złego... Przepadam po prostu za wierszami. Powiesz: grubas, kucharz i tak dalej...

Ale coś tutaj... - tknął w pulchną pierś - lubię sobie tak, sobie, wieczorkiem, gdy wszystko już zrobione... - w głosie zabrzmiały rzewne nuty - mówić na głos ulubione wiersze. Na przykład posłuchaj: „Litwo! Ojczyzno moja!h - wyszeptał z nienaturalnym patosem. - Czyż to nie piękne?

- I najlepiej się deklamuje właśnie na skrzyni? - Sielawa znów usiłował mu zajrzeć w oczy, kucharz jednak uparcie patrzył w całkiem inną stronę.

- Na skrzyni? To przecież nie o to chodzi gdzie. Tyle że tam lepsze powietrze. Drzwi uchylone. A tu na dole ani mowy by otworzyć iluminator...

## V

Sielawa opowiadając kolegom o tej scenie z Basiorskim, był jeszcze pod dużym wrażeniem swej przygody.

- Basiorski deklamujący wiersze po nocach. Kto by w to uwierzył? I uważajcie: dlaczego on się zrobił naraz taki słodziutki, że niech miód się schowa? Czy kto widział, by kogoś częstował ot tak - ni z tego, ni z owego - kawą albo sznapssem?

- Raczej by się dał ze skóry żywcem obedrzeć - skonstatował Sorek.

Kostrzewa palił w zamyśleniu papierosa. Opowiadanie Sielawy mocno go zaintrygowało.

- Słyszałeś może jakieś kroki?

- Kroki? - Sielawa potarł czoło, usiłując sobie przypomnieć jak najdokładniej. - Nie... chyba raczej nie. Ale tak jakby jakiś stuk.

Kostrzewa podniósł głowę.

- Co ten stuk przypominał? Zatrzaśnięcie drzwi?

- Może i tak - mruknął niezdecydowanie - ale przysiąc bym nie przysiągł.

- Musiały być drzwi! - zawołał z ożywieniem Foryś. - Gdzieżby się inaczej ten drugi mógł podziać?

Przez chwilę panowało milczenie. Przetrawiali w myślach opowiadanie Sielawy. To jednak byłaby pierwszorzędna sensacja. Kuk w zмовie z sabotażystami? Może gdyby nim dobrze potrząsnąć, wyśpiewałby drogę do tego cienia, który grasuje po statku.

Foryś wreszcie przerwał ciszę, uderzając pięścią w stół.

- Wziąć typa za kark! Kostrzewa ostudził jego zapał.

- Daleko byśmy w ten sposób nie zaszli. Jeżeli rzeczywiście ma coś wspólnego z cieniem, tamten spłoszy się i zalezie w taką dziurę, że choćby do końca świata, nikt go nie odnajdzie.

- Jeżeli ma... - przeciągnął z nieukrywaniem zdumieniem Foryś. - Nie wierzysz, że ich kumoter?

- Wierzę czy nie jakie to niby może mieć znaczenie? Tu nie chodzi o wiarę, tylko o dowody. A co właściwie trzymamy w garści. Że sam ze sobą po nocy gada? Za to nie wsadzają do kryminału.

- Przecież nie mógł ze sobą - zaprotestował Sielawa. - Sam mówiłeś...

- Powiedziałem tylko, że podejrzane. Wcale tego nie cofam. Ale od podejrzeń do faktów jak stąd do księżycy. Weźmy choćby jego tłumaczenie. Pewno, że Basiorski deklamujący sam sobie wiersze na pierwszy rzut oka wygląda całkiem nieprawdopodobnie. Ale tylko na pierwszy. Bo jak się głębiej zastanowić, to czyż naprawdę taka sytuacja stanowi zupełną niemożliwość? Grubasy bywają niekiedy bardzo sentymentalne.

Znowu zapadło milczenie. Sielawa odezwał się pierwszy.

- Faktycznie - westchnął z wyraźnym rozczarowaniem - jeżeli wszystko sobie przełożyć na zdrowy rozum... Dowód żaden to nie jest... Gdyby nawet był winien, wyłga się bez trudu.

Kostrzewa zaciągnął się dymem. Lepiej, że w końcu doszli do takiego wniosku. Bo gdyby kucharz miał w istocie bliższy związek ze sprawą, a oni zaczęli mu przydeptywać pięty? Spłoszyliby go jak nic. Postanowił jednak zająć się bliżej osobą Basiorskiego. I to w jak najkrótszym czasie.

Mieli się już rozejść, gdy nagle wstał Sorek. Od dłuższej chwili pasował się ze sobą.

- Bo wiecie... - opowiedział dziwną historię o ampulce znalezionej w cygarze.

- Więc zwędziłeś mu cygaro? - Foryś zmarszczył brwi. Uciszo go z miejsca. Nie o to przecież chodziło w tej chwili.

- Masz tę ampulkę? - Kostrzewa z trudem zdołał się opanować. Sprawa, która przez tyle czasu stała niemal w miejscu, zaczęła niespodziewanie narastać lawiną wciąż nowych faktów.

- Zaraz przyniosę.

Sorek wybiegł pospiesznie z mesy. Wrócił zadziwiająco szybko. Zamknął starannie drzwi za sobą. Zerknął podejrzliwie w kierunku iluminatorów, jakby i od strony morza zagrażał czyjś dyskretny wzrok.



- Oto ona - położył na stole.

Nachylili się pospiesznie.

- Ale tu przecież nic nie napisane - mruknął Sielawa.

Kostrzewa zmrużył oczy.

Małeńki znaczek wytrawiony w szkłe „C7h nic nie mówił. Ale fakt, że ampułka była pozbawiona etykiety czy napisu określającego jej zawartość, posiadał tym szczególniejszą wymowę.

- Trzeba będzie chyba o tej całej chryi zameldować staremu - powiedział Foryś.

Sielawa był innego zdania.

- Zameldować, pewno, że łatwo. Ale jeżeli szef zafundował sobie parę nielegalnych zastrzyków dla własnego użytku? Skrzywdzilibyśmy grubasa.

- No - Sorek drapał się w głębokiej zadumie za uchem - ale trucizna też przecież może być. Powiedzmy, że w każdym cygarze taka ampułeczka? Pół setki jak obszył. Całe pudło mogłoby się zamienić w pływającą trumnę.

Wytrzeszczyli oczy. Zamigotał w nich wyraz nagłego przerażenia. To przecież wcale nie wyglądało na niemożliwe.

Kostrzewa patrzył gdzieś w odległy kąt. Zbadanie zawartości ampułki stawało się coraz bardziej naglące.

Sielawa długo szperał w paczce z papierosami. Palce mu drżały.

- Trucizna? - wyszeptał bezgłośnie. - Tego tylko brakowało, żeby szef któregoś dnia poczęstował nas czymś w tym rodzaju. Cholera z takim przeklętym rejsem!

- Rolski ma tu jakieś laboratorium? - zapytał wreszcie Kostrzewa.

- Ma - potwierdzili jednogłośnie.

Sielawa od razu zrozumiał cel tego pytania.

- Jasne - odetchnął z przeogromną ulgą. - Niech łapiduch wywacha, co w tym tkwi. Jeżeli jakiś tam, powiedzmy, narkotyk, pies kuka trącał. Niech sobie używa, skoro taki amator. Ale trucizna? - zacisnął pięści.

## VI

Do spełnienia tej trudnej misji wydelegowano właśnie Kostrzewę.

Rolski wysłuchał prośby ze zdziwieniem.

- Chcesz, żeby przeprowadzić analizę zawartości tej ampułki?

Twarz Kostrzewy wyrażała zażenowanie, które by potrafiło wprowadzić w błąd znacznie bardziej nawet podejrzliwego człowieka niż był nim felczer.

- Ja? Nie... skąd - miętosił w palcach bluzę - mnie tylko... wydelegowali, żeby was prosić... A to załoga... Bo... - utknął z beznadziejną miną.

Rolski uśmiechnął się pobłaźliwie. Lubił bardzo Koterę. Znał go od tak niedawna, a przecież zżył się z nim bodaj czy nie bliżej niż z kimkolwiek z załogi. Może jeszcze Mańczak. Ale z tym łączyły go w pierwszym rzędzie wspólne zainteresowania szachami.

- Więc jesteś przedstawicielem załogi? No, skoro załoga prosi, to nie odmawiam. A skąd wzięłeś tę ampułkę?

Kostrzewa udał jeszcze większe zmieszanie.

- To, widzi pan, jest taka rzecz... No, jednym słowem, oni bardzo pana proszą, żeby tymczasem... Potem, jak już będzie wiadomo, co w tym tkwi, to oczywiście. Ale teraz... - rozłożył bezradnie ręce.

- Jednym słowem jakaś tajemnicza historia? - roześmiał się ubawiony jego miną.

- Bo to w zależności od tego, co tam będzie w środku... Więc jeżeli pan zechce...

Felczer machnął ręką. Dogadaj tu się z takim.

- Niech już będzie. Zaryzykuję zbadanie tego zagadkowego płynu, nie wiedząc, skąd pochodzi. Tylko nie liczcie na zbyt dokładne rezultaty. Nie wiem, czy będę miał wszystkie odczynniki, które się okażą do badania potrzebne.

- Och... nie chodzi przecież o dokładność... Chcemy wiedzieć jedynie czy to trucizna, czy co innego.

- Trucizna? - zmarszczył czoło. - Aż tak?

- Nie, wcale nikt nie twierdzi, żeby akurat. Ale strzeżonego Pan Bóg strzeże, jak to się mówi...

Długo jeszcze po jego odejściu Rolski przyglądał się w zamyśleniu leżącej na stoliku ampułce. „Załoga prosi... Trucizna?h Co to właściwie wszystko miało znaczyć? Nie mogą powiedzieć, skąd wzięli, bo wszystko będzie zależało od wyniku?

I sama ampłka... wziął ją ostrożnie w palce, przybliżając do oczu, też jakaś dziwna. Ani etykiety, ani napisu.

Płyn w ampułce budził w nim coraz ostrzejsze zaciekawienie. Miałby w rzeczywistości okazać się trucizną, jak to podejrzewali marynarze?

Ampłka została dostarczona po południu. Ale aż do samego wieczora nie było okazji, by zabrać się do analizy.

Ciągle wypadało jakieś pilne zajęcie w ambulatorium.

Idąc na kolację, zabrał na wszelki wypadek ampułkę ze sobą. Ten cień i w ogóle. Lepiej nie

ryzykować.

Dopiero po powrocie z mesy znalazł czas. Przygotował systematycznie próbówki, ustawił butelki z odczynnikami. Zasiadł, jak mógł najwygodniej, na okrągłym stołku ze skąpym oparciem. Robota zapowiadała się żmudna. Nie zdawał sobie przecież nawet w przybliżeniu sprawy, w jakim kierunku należało poprowadzić badania.

Przez otwarty bulaj wpływało świeże powietrze nocy. Pobliska lampa oświetlała leżący przed ambulatorium odcinek pokładu.

Powoli zamierały odgłosy dziennego życia statku. Wyciągnął rękę po ampulkę. No, zobaczy się...

Nagle światło zgasło. Zaklął gniewnie. Do diabła z tymi krótkimi spięciami. Że też nie mogą wreszcie doprowadzić instalacji do porządku.

Nikłymi plamami poświaty załśniły światła awaryjne.

Prawda. On przecież też miał baterijną lampę. Ale prowadzić przy niej skomplikowaną analizę? Nie podjąłby się tego. Może zaraz usuną uszkodzenie? Odrzucił się na oparcie taboretu. Dzień był porządnie męczący. Kapitan pewno teraz piekli się na całego. Nie znosił takich historii („Wszędzie mogą się zdarzać awarie, ale nie na moim statku.h) Kto niby nie wiedział, jak bardzo jest rozkochany w tej krypie.

Zapalił papierosa. W świetle płomyka zapalki mignęła przed bulajem czyjaś sylwetka. No... cóż w tym dziwnego. Wiele ludzi chodzi po pokładzie. Mimo woli zaczął się wsłuchiwać.

Jakby odgłos miękkich, skradających się kroków? Aż się przechylił ku szarzejącemu nieco jaśniejszą plamą otworowi bulaja. Cofnął się.

- Bzdura! - sarknął nie wiadomo dlaczego półgłosem. Ogarnęło go jednak nieprzyjemne, trudne do określenia uczucie. Znowu szmer... Zacisnął palce na krawędzi stolika.

- Kto, u diabła?

- Ampulka! - przypomniał sobie nagle. Może to właśnie z jej powodu? Rozjaśnił żar papierosa, szukając przy jego pomocy na stole. Jest. Niemal już dotykał, gdy twardy, okrągły przedmiot przywarł do czoła, odpychając go brutalnie w tył.

- Milcz, bo kula w łeb! - Zabrzmiało to raczej jak syk niż szept. Zdrętwiał. Patrzył, nie wierząc swym oczom, w zmaterializowany nagle mrok wypełniający niemal całą ramę bulaja.

Jakże to możliwe? Nieomal zapytał.

Czyjaś obciążnięta w rękawiczkę dłoń przesunęła w czerwonym odbłasku papierosa po stole. Coś cicho brzęknęło. Ampulka?! Zanim zdał sobie sprawę z tego, co zaszło, było już po wszystkim.

Znowu nic nie zasłaniało bulaja. Nawet nie usłyszał, gdy tamten odchodził. Wpadł w dziwne odrętwienie. Wszystko to działo się jakby w jakimś niedorzecznym śnie.

Nagle rozbłysły wszystkie lampy. Nieoczekiwany atak światła zaklął boleśnie w oczy. Zamknął je i

niemal natychmiast otworzył. Co z tym w rękawiczkach? Widoczny z kabiny odcinek pokładu tonął w sennej pustce.

Wychylił głowę na zewnątrz. Nigdzie ani śladu. Sylwetka wachtowego tkwiła nieruchomo na rufie. Rażno połyskiwały szerokie szyby kabiny nawigacyjnej. Od nawietrznej dobiegał głos bosmana Kwiecińskiego. Coś komuś perswadował niezbyt zadowolonym tonem. Wzdłuż dowietrznej brnął ostrożnie Folta, niosąc na sztywno wyprostowanych rękach przykrytą serwetką tacę. Widocznie noga Kropidły jeszcze nie wydobrzała.

Folta usłyszałby, gdyby zawołać. Rolski nie zawołał jednak. Po co? Tajemniczy napastnik zniknął. Z tym należało się pogodzić.

Cofnął się z powrotem do kabiny. Co zabrał?

Ze zdziwieniem dojrzał ampułkę na stole. Tyle tylko że nieco odtoczyła się z poprzedniego miejsca. Obejrzał dokładniej. Ta sama. Znak „C7h. Reszta przedmiotów także na swoich miejscach. Nie brakło ani jednej choćby próbówki czy butelki.

- W takim razie - zamrugnął na wpół przytomnie oczyma - jaki to wszystko miało cel?

Teraz już absolutnie nic nie rozumiał.

Złudzenie wzrokowe? Ta postać zasłaniająca bulaj, ten pistolet dotykający czoła, ta obciążona rękawiczką dłoń szperająca po stole? Złudzenie?

Przetarł oczy. Jakże złudzenie, kiedy to wszystko widział zupełnie dokładnie? Czyż nie jest przytomny?

Niemal jęknął. Przecież nikt w to nie uwierzy.

## VII

Uwierzono jednak. Kapitan tylko coraz bardziej marszczył brwi.

- Tak - powiedział, gdy Rolski skończył. - Tak... - wpatrywał się w leżący na biurku bibularz. - Musimy spisać z tego protokół.

„Który to już z rzędu?” - pomyślał, sięgając po pióro.

- Pistolet? Bba... - palce bębniły nerwowo po blacie biurka. Rozłożył arkusz. - No więc - spojrzał na Rolskiego - zaczynamy.

Zasła konieczność opowiadania wszystkiego na nowo od samego początku.

- I nic nie zginęło?

- Nic.

- Jest pan zupełnie pewny?

- Zupełnie. Sprawdziłem wszystko dokładnie.

- A ta ampulka leżała w takim miejscu, że można było dosięgnąć z zewnątrz?

- Bardzo łatwo. Ta ręka... przesunęła się tuż obok.

- Ciekawe. Przesunęła się po stole i nic ze sobą nie zabrała. Ma pan jakieś podejrzenia?

Felczer westchnął bezradnie.

- Podejrzenia? - powtórzył niemal z rozpaczą. - Ja przecież z tego wszystkiego nic a nic nie rozumiem.

- Zgadza się. Bo ja również. Na kiedy może pan zrobić tę analizę?

- Hmm - zastanowił się. - To trudno z góry określić. W każdym razie sądzę, że najpóźniej do rana.

- Powodzenia. Będziemy czekać z niecierpliwością. Aha... - zatrzymał go w chwili, gdy docierał już do progu. - Jeszcze jedno: na wszelki wypadek niech pan jednak zamknie bulaj.

- Już go zamknąłem.

Po jego wyjściu Bartczak długo wpatrywał się w zapisany arkusz. Niezły bigos. Napaść bez żadnego celu? A może ktoś po prostu chciał nastraszyć Rolskiego? Pistolet? Wystarczyłaby pierwsza lepsza rurka z metalu. Zimne, okrągłe dotyka czoła - jasne, że pistolet. Ale po co miałby ktoś to robić? Rolski był na ogół lubiany. Nikt z załogi nie miał do niego jakichkolwiek pretensji. Takie rzeczy nie dadzą się ukryć zbyt długo pod korcem.

Jeszcze raz przebiegł oczyma protokół, zastanawiając się nad każdym słowem. Brak mu było Igielnickiego. Może on umiałby wykombinować coś więcej? Odbywał teraz wachtę. Rozmowę trzeba było odłożyć do rana. Kazał zawezwać Koterę.

Kotera jednak niewiele miał do powiedzenia. Prosili, żeby zaniósł Rolskiemu ampulkę do analizy, to zaniósł. Ampulkę dostał od Sorka. To wszystko.

Wezwany z kolei Sorek przestępował z nogi na nogę, jakby zamiast na linoleum, postawiono go na rozpalonym do białości żelazie. Widać było, że jest speszony do ostateczności.

- Może i nie powinienem był tego robić, panie kapitanie. To... rzeczywiście trochę nieładnie. Ale on tyle ode mnie wycygał cygar i papierosów. A tu widzę, niesie sknera... przepraszam, ale tak jakoś mi się pomyślało, całą skrzynkę. Więc jedno...

Kapitan nie robił jednak z tego większej kwestii. Wszyscy znali chciwość Basiorskiego na wszelkiego rodzaju podarki. Gdy mu nie proponowano dobrowolnie, nie wahał się przed wyłudzeniem. A marynarz jak ma, to nie pożałuje. Korzystał z tego z całą bezczelnością.

- Tak, niewątpliwie, nie powinienem - pokwitował krótko.

I zaraz przeszedł do dalszych pytań. Chodziło przecież o znacznie ważniejsze rzeczy.

- Ile w tej skrzyneczce mogło być cygar?

- Pięćdziesiąt. To czwarta wielkość - wyjaśnił fachowo.

- A w jaki sposób znalazłeś tę ampułkę?

- Bo nie chciało ciągnąć, panie kapitanie. - Sorek coraz bardziej odzyskiwał równowagę ducha. Skoro stary nie robił chryi o to nieszczęsne cygaro, wszystko reszta furda - więc zacząłem ugniatać. A ta chol... - trzepnął się po wargach - przepraszam. A ono jak nie pęknie. I patrzę, a na ręce jakieś szkło. Filtr, nie filtr. Dopiero jak się przyjrzałem bliżej...

- Dlaczego nie zameldowałeś o tej ampułce zaraz po jej znalezieniu?

- Skąd mogłem wiedzieć, że w niej coś akurat takiego. Dopiero jak Foryś powiedział, że to może trucizna i tylko czekać, jak wytrują na statku wszystko, co żywe...

- Trucizna? - Ołówek w palcach Bartczaka złamał się z nagłym trzaskiem.

Sięgnął po szklanekę z wodą, wypijając ją jednym haustem.

- Ttak - wziął z podstawki nowy ołówek. - Więc Foryś podejrzewał, że to trucizna?

- Po tym, jak powiedział, to już my wszyscy mieliśmy pietra... to jest... obawialiśmy się, że może akurat...

- A kto wysunął projekt oddania Rolskiemu do analizy?

- Kotera.

Bartczak znowu się zamyślił. Kotera ten szczegół jednak przemilczał. Cóż jednak z tego wynikało? Nic. Może zapomniał albo nie chciał się chwalić.

Zeznania Sielawy i Forysia nic nowego do sprawy nie wniosły - Powtarzali wiadomości otrzymane od Sorka. Tylko jeżeli chodziło o rozmowę już po zobaczeniu ampułki... Ale tutaj wszystkie trzy protokoły zgadzały się dokładnie. Widać było, że mówią prawdę.

W końcu wszedł do kabiny Basiorski. Bartczak długo przyglądał mu się w milczeniu. Kucharz niewątpliwie sprawiał wrażenie nieco zmieszanego. Ale zmieszanie to raczej pasowało do człowieka, który ma na sumieniu jakąś drobną niewłaściwość niż usiłowanie zbrodni.

- Co było w tej ampułce? - zapytał bez wstępów.

Uważał, że takie nieoczekiwane pytanie wprost powinno zaskoczyć rozmówcę.

Basiorski jednak wcale nie był zaskoczony.

- Morfina - odpowiedział bez namysłu. - Słaby roztwór morfiny, panie kapitanie - dodał po krótkiej chwili.

- Hm... - Bartczak omal mu nie podziękował. Może sprawa z tą ampułką wcale nie była tak groźna, jak to wyglądało na początku? - Hm... - odchrząknął znowu - więc powiadasz, że słaby roztwór morfiny?

- Tak.
- To będzie sprawdzone. Właśnie dokonywuje się analizy tego płynu.

Zerknął przy tych słowach spod oka na kucharza. Ten jednak nie zareagował. Nawet brwiami nie poruszył. Widoczne było, że wiadomość nie przejęła go ani trochę.

- Jeżeli tylko ampułki nie podmieniono, na pewno żadna analiza nie wykryje nic innego - oświadczył z przekonaniem.

- Jesteś narkomanem?

- Ja? - wyciągnął przed siebie pulchne ramiona, jakby odpierając podejrzenie. - Skądże znowu...

- Więc wytłumacz mi w takim razie, po co ci aż pięćdziesiąt ampulek morfiny.

- Pięćdziesiąt? - wylupiaste oczy wyglądały, jakby lada chwila miały wyskoczyć z orbit - nigdy w życiu nawet nie widziałem takiej ilości zastrzyków naraz.

- Cygar przecież było pięćdziesiąt sztuk?

- Cygar tak. Ale morfiny kupiłem tylko trzy ampułki. Nawet na więcej nie starczyłoby pieniędzy. Oni bez recepty bardzo drogo liczą.

- Hm... A skąd się wzięły w cygarach?

- Wetknąłem je tam dla niepoznaki. Przed drogeriami, które sprzedają takie rzeczy na lewo, często włóczą się łapacze z Urzędu Sanitarnego. Co za przyjemność wpaść im w łapy?

- Więc twierdzisz, że w pozostałych cygarach z tej samej skrzynki nie było ampulek?

- Tylko w dwóch. Bo jedna... przepadła.

- Masz jeszcze je wszystkie?

- Wszystkich nie. Ze cztery czy pięć sztuk zdążyłem wypalić. Ale resztę owszem.

- Przynieś.

Wrócił po chwili, stawiając na biurku drewnianą skrzyneczkę.

- Oto one...

Bartczak wybrał kilka sztuk na chybił trafił. Obmacał dokładnie. Wykluczone, żeby w którymś mogła tkwić ampłka. Potem zbadał w ten sam sposób jeszcze z tuzin, z tym samym rezultatem.

- A gdzie te z morfiną?

Grube paluchy zanurzyły się aż na sam spód skrzyneczki. Przebierały przez chwilę. Wreszcie wyłowiły dwa cygara znacznie grubsze od innych.

- Te.

Bartczak przyglądał się z powątpiewaniem.

- Przecież chyba od razu widać, że coś jest w środku.

Basiorski uśmiechnął się.

- Zapewne, jeżeli oglądać dokładniej. Ale na pierwszy rzut oka... Zresztą właśnie dlatego schowałem je pod inne.

Bartczak rozkruszył cygara, wydobywając ampułki. Obejrzał je na wszystkie strony.

- Co znaczy „C7h”?

Kucharz wzruszył lekko ramionami.

- Nie wiem. Ale oni nigdy nie naklejają etykiet, tylko znaczą perkami. To przecież... niezupełnie legalne. Bartczak popatrzył na niego spod oka.

- „Nigdyh?” - przeciągnął. - Widzę, że znasz się na tym aż nadto dobrze. Często kupujesz takie lekarstwa?

Oczy Basiorskiego uciekły w bok.

- Zdarzyło się raz czy dwa. Ale wtedy tylko po jednej ampułce.

- A na co ci w ogóle morfina, skoro, jak twierdzisz, nie jesteś nałogowcem?

Grubas westchnął.

- Bóle, panie kapitanie - przesunął dłonią po wydatnym brzuchu - jak mnie czasem chwyci, to już sam nie wiem, co robić. Gryzłbym wszystko, co się znajduje wokoło. Sprzęty, garnki. A po tym jak ręką odjął.

- A radziłeś się Rolskiego?

- Owszem. Poszedłem do niego kiedyś.

- I co?

Mięsiste wargi wykrzywił grymas.

- Prosiłem go o jakiś środek uśmierzający bóle, a on dał mi za przeproszeniem soli gorzkiej.

- To wszystko, co masz do powiedzenia?

- Wszystko.

Bartczak przeczytał na głos protokół.

- Podpisz. A te ampułki muszę skonfiskować. Sam rozumiesz.

- Rozumiem. Tylko jak mnie znów chwyci?



- Powinieneś się poradzić jakiegoś lekarza na lądzie. Jeżeli będzie uważał, że potrzebujesz morfiny, to ci na pewno przepisze. Felczerzy są pod tym względem o wiele ostrożniejsi. Szczególnie na okręcie.

Basiorski ucieszył się.

- Do lekarza? Jakoś mi to dotychczas nie wpadło na myśl. Oczywiście, że pójde. W rezultacie wypadnie taniej. I co najważniejsze - bez kłopotu.

Bartczak patrzył w zamyśleniu na ampułki leżące wśród szczątków pokruszonych cygar. Jeżeli to wszystko prawda, to ostatecznie nic specjalnie poważnego. A ten jegomość z pistoletem? Kawał? Może i tak. Po krótkim namyśle kazał ponownie zawezwać Sorka.

- Ta sama skrzynka?

Sorek obejrzał na wszystkie strony. Nawet pomacał deseczki

- Ta sama - skonstatował wreszcie z zupełną pewnością. O nawet tu - wskazał na ledwo dostrzegalne pęknięcie na przodzie - uderzyłem wtedy butem i...

- Cygara też te same?

- Tak - Sorek patrzył zresztą wyłącznie na zielono-żółciste obrączki.

Bartczak zanotował oświadczenie.

- To tymczasem byłoby wszystko. Nie miej żalu, że ściągałem cię po nocy.

Sorek odszedł z lekkim sercem. Oczekiwana burza minęła bokiem. W rezultacie niemal wyszedł na bohatera. Bo dzięki komu została ujawniona ampułka zawierająca, być może, coś strasznego? W końcu niemal uwierzył, że tylko dlatego zwędził cygaro, że zastanowił go jego niezwykle wygląd.

- Oho... myślę sobie, coś w tym jest... - opowiadał w pewien czas później, gdy rozmowa zeszła na temat wypadków tego pamiętnego rejsu.

Zaledwie w parę minut po jego wyjściu do kabiny zapukał Rolski. Gdy stanął na progu, Bartczak popatrzył na niego lekko zmrużonymi oczyma.

- Morfina w słabym roztworze?

Przystanął zdumiony.

- O... Skąd pan kapitan o tym wie? Znalazła się może etykiетка?

Bartczak stuknął z zadowoleniem końcem ołówka w protokół.

- Lepiej. Znalazł się właściciel ampułki, który powiedział, co zawiera. Więc nie zełgał?

- Nie - felczer położył na biurku kartkę papieru. - Ani trochę. Oto wynik analizy. Czy można wiedzieć, kto jest tym tajemniczym właścicielem?

- Nawet trzeba. I prawdę powiedziawszy, trudno by znaleźć kogoś o mniej tajemniczym wyglądzie. Nasz kucharz, Basiorski.

Rolski pogładził kieszonkę białego fartucha, którego w pośpiechu zapomniał zdjąć. Był zdumiony. Dotychczas uważał nieruchawego grubasa za człowieka, który poświęca się tylko sprawie napełnienia własnego brzucha jak najsmaczniejszymi kaskami.

- Aha, jeszcze jedno - ołówek Bartczaka podkreślił ledwo dostrzegalną kreską jedno ze zdań protokołu. - Czy on kiedyś skarżył się na dolegliwości brzucha i prosił o jakiś środek na uśmierzanie bólu?

Rolski przez chwilę szukał w pamięci.

- Tak - pokiwał potakująco głową. - Taki fakt miał miejsce. Przed jakimś tygodniem czy sześcioma dniami. Nie pamiętam zresztą dokładnie.

- Data nieważna. Co mu wtedy było?

- O ile zdołałem stwierdzić, po prostu przejadł się ciężkostrawnymi potrawami.

- Namawiał, żeby mu dać morfinę?

Rolski znowu się zamyślił.

- Hm... - poprawił pasek fartucha. - Czy ja wiem... jakoś ten szczegół wyleciał mi z pamięci. Ale niewykluczone, że tak było.

- A pan... - wargi Bartczaka drgnęły w uśmiechu - dał mu na przeczyszczenie?

- To z całą pewnością. Bo tego mu właśnie wtedy było potrzeba...

Bartczak podsunął mu dwie wyłuskane z cygar ampułki.

- Trzeba będzie te również zbadać.

Tym razem analiza trwała bardzo krótko. Obie ampułki zawierały słaby roztwór morfiny.

## VIII

Kostrzewa był pełen wątpliwości. Morfina? Basiorski mógłby znaleźć dziesiątki bardziej dogodnych schowków, aby je przenieść bezpiecznie i bez kłopotu. Niszczyć w tym celu kosztowne cygara?

Sorek stwierdził obecność ampułki dopiero wtedy, gdy cygaro nie chciało ciągnąć. Czyż tak, na oczekaniu, można wetknąć przedmiot tych rozmiarów do wnętrza mocno sprasowanych liści, by tego nie było widać na pierwszy rzut oka? A ten typ z pistoletem, szukający czegoś na stole w ambulatorium?

Według relacji Rolskiego ręka w rękawiczce przesunęła się tuż obok ampułki. Czy rzeczywiście tylko obok? Człowiek w tego rodzaju wypadkach nie jest w stanie rejestrować dokładnie wrażeń

wzrokowych.

Po tajemniczej wizycie nic ze stołu nie zginęło. Na miejscu znajdowały się wszystkie probówki i butelki i co najważniejsze - ampułka. Rachunek zgadzał się co do sztuki. Ale czy zgadzał się również i jakościowo? Ampułka, po manipulacjach ręki, która wtargnęła do kabiny z zewnątrz, leżała na stole. Czy jednak rzeczywiście ta sama co przedtem?

Zamienić je mógł bardzo łatwo. Porwał jedną, położył na jej miejsce drugą. Ta nowa zawierała morfinę. Co jednak zawierała poprzednia?

Na szczęście Rolski nie wyrzucił ampułek. Wiedział również, która z nich została przyniesiona przez Kostrzewę. Po przeprowadzeniu bowiem pierwszej analizy odłożył ją na bok.

Prośba Kostrzewy nie zdziwiła jakoś Rolskiego.

- Chcesz na pamiątkę? Proszę bardzo - oddał ampułki bez namysłu. – Bo ja i bez nich zapamiętam sobie tę noc na całe życie - uśmiechnął się cierpko.

Lupa, którą Kostrzewa w pewien czas po tej rozmowie wyciągnął z portfela, korzystając z dogodnej chwili samotności, powiększała wielokrotnie.

Znak na ampułce był niewątpliwie podobny: „C7h. Oglądany jednak przez szkło powiększające nie wydawał się tym samym. Tamten, o ile zdołał zauważyć, był wytrawiony w szkle kwasem fluowodorowym. Ten - wydrapany diamentem. Tak jak i na pozostałych ampułkach.

I jeszcze jedno: na szkle zauważył niedostrzegalne gołym okiem ślady pozostałe po zmytym kleju. Nie wydawało mu się, żeby posiadała je również ampułka przyniesiona przez Sorka.

„Jeśli rzeczywiście cień dokonał wtedy zamiany - myślał Kostrzewa - to fakt ten wyjaśniłby wiele...h

Ampułkę przyniósł na statek Basiorski. Zamienił ją ktoś uzbrojony w pistolet. Opowiadanie Sorka o nocnej scenie z kucharzem w pobliżu skrzyni z piaskiem? Właśnie.

Któreś z drzwi w pobliżu skrzyni musiały kryć tajemnicę. Tylko które? Jak to zbadać? Oczywiście, że nie w czasie przebywania Basiorskiego na dole. Przepędziłby z miejsca. Dowiódł już przecież, jak czuły jest na wszelkie odgłosy dobiegające z korytarza.

Ale przecież Basiorski nie cały czas przebywał pod pokładem.

Kostrzewa musiał się uzbroić w cierpliwość. Wcześniej zresztą, niż się spodziewał, nadeszła odpowiednia chwila. Usłyszawszy dudnienie żelaznych schodów, Kostrzewa ukrył się za pobliską szalupą ratunkową.

Basiorski był bez fartucha, z czego wynika, że opuścił kambuz na dłużej. Ale czy to takie pewne? Chodziło o zbyt ważną sprawę, by zlekceważyć jakikolwiek z dostępnych środków ostrożności.

Kostrzewa trwał bez ruchu, obserwując kucharza spoza pękatego kształtu szalupy. Kucharz szedł w kierunku rufy. Zatrzymał się. Czeka na kogoś? Zagadnął go któryś z przechodzących marynarzy. Rozmowa jednak trwała bardzo krótko. Potem podszedł bosman Kwieciński. Ramię w ramię, leniwym krokiem ruszyli ku burcie. Na szczęście - nawietrznej. W przeciwnym razie nie zdołaliby ich

stąd dojrzeć. A wychodzić z ukrycia nie miał ochoty.

Basiorski oparł łokcie o barierę nadburcia. Tuż obok niego stał bosman. Nachylili się ku sobie. Błysnęły słabe ogniki zapalek. Nad głowami zaczęły przepływać pasemka dymu. Pogawędka więc zanosila się na czas dłuższy.

Teraz! Kostrzewa rozejrzał się ponownie. Akurat nikt w tym kierunku nie patrzył. Jednym susem był przy zejściówce. Zbiegł szybko w dół. Droga wolna. Folta już dawno przysiadł się do gawędzących na dziobie marynarzy. Na dole nie powinno być nikogo.

Wylądował w korytarzu. Zerknął w jedną stronę. Potem w drugą. Prawa część oświetlona, lewa tonąca w ciemnościach. Tak jak zawsze. Prawa go w tej chwili nie interesowała.

Szedł nieomal po omacku. Pomimo wszystko uważał, że bezpieczniej nie zapalać latarki. Drzwi za skrzynią? Nacisnął klamkę. Uczynił to zresztą bez najmniejszego przekonania. Magazyn przecież.

Drzwi rzeczywiście zamknięte na klucz. Ale zamek to jeszcze nie przeszkoda. Choćby nawet najbardziej skomplikowany.

Wyjął z portfela płaski, sztywny drucik powyginany w nader skomplikowane kształty. Trudno by poznać w nim uniwersalny przyrząd do otwierania zamków. Nie każdy potrafiłby się nim zresztą posłużyć we właściwy sposób. Wymagało to nie byle jakiej wprawy. A przede wszystkim zręczności. Krótka chwila manipulacji. Cicho trzasnęła odskakująca sprężyna. Mechanizm nie był skomplikowany. Jeszcze jeden ostrożny ruch. Drzwi otworzyły się bez szelestu. Widocznie dobrze naoliwiono zawiasy.

Obejrzał się. Gdyby go ktoś zauważył teraz...

Korytarz jednak był pusty.

Wszedł do środka. Drzwi przymknął za sobą tak, by sprawiały wrażenie zamkniętych na głucho. Nietrudno to upozorować w takiej ciemności. A niewątpliwie bezpieczniej. Teraz dopiero nacisnął guzik swej mikro. W małej komórce zrobiło się niemal jasno.

Wzdłuż dwóch przeciwległych ścian biegly półki zastawione szczelnie słojami i puszkami. Pachniało ostrą wonią korzennych przypraw. Za półkami widniały nity stalowej grodzi.

Kostrzewa szarpnął mocnym chwytem deski półek. Ani drgnęły. Tu raczej nie było nic ciekawego.

Na tylnej ścianie zauważył skrzynię, o której wspomniał Gwóźdz. Skierował na nią światło. Nie, to nie była jedna skrzynia. Trzy - ustawione jedna na drugiej. Rzeczywiście ażurowe. Ale po co tu stały, skoro były puste? Znacznie odpowiedniejszym miejscem byłaby ładownia. Tarasować w ten sposób i bez tego szczupłe pomieszczenie?

Kostrzewa nachylił się, by obejrzeć skrzynie dokładniej. Ujął górną i pociągnął ku sobie. Pochyliły się wszystkie. Gwizdnął przeciągle przez zęby. Przybita jedna do drugiej? W jakim celu? Ciągnął dalej. Odsunięcie zaimprovizowanego parawanu w bok poszło nadspodziewanie łatwo. Drzewo suche jak pieprz. Kiedy po raz ostatni korzystano z tych skrzyń?

Teraz dopiero mógł zbadać dokładnie tylną ścianę. Przybliżył latarkę. Ooo. Białe krążki światła zapełgały falistym ruchem po pokrytych ciemną farbą nitach. Zarys ciemnej linii odcinał na tle grodzi wyraźny prostokąt. Wstrzymał oddech. A więc drzwi. Wodoszczelne drzwi prowadzące do ładowni, która znajdowała się tuż za ścianą.

Zakrętki odsunięte na bok. Bagatela! Nachylił się jeszcze bardziej. W promieniach rzucanej przez latarkę jasności wystąpiły zamazane smugi licznych odcisków palców. Badał je przez chwilę, wyęzając wzrok. Wyprostował się wreszcie. Nie miał już żadnych wątpliwości. Te drzwi otwierano nieraz. I to całkiem niedawno.

Zgasił latarkę. Otwarte? Ustąpiły za lekkim naciśnięciem. Równie cicho jak i poprzednie. Tu też nie żałowano oliwy. Zajrzał ostrożnie w głąb. W nozdrza uderzył charakterystyczny odór niewietrzonego, bardzo rozległego pomieszczenia. Ładownia. Był zresztą o tym przekonany, zanim dotknął drzwi.

Po tamtej stronie panowała nieprzejrzana ciemność. Ręka zbliżyła się do obciążonej kieszonki westki. Stamtąd mogło lada moment zagrozić nagłe niebezpieczeństwo.

Nadsłuchiwał z napięciem. Panowała niczym niezmacona cisza. Wejść? Cofnął się jednak po chwili namysłu. Cóż mogłoby dać przeszukiwanie olbrzymiej ładowni w pojedynkę? Przetrzęsało ją przecież tyłu i co z tego wyszło?

Kostrzewa przymknął ostrożnie drzwi z powrotem, starając się nie wywoływać najmniejszego odgłosu. Nacisnął guzik latarki. W jaki sposób nasuwają skrzynię od wewnętrznej strony? Bo przecież wtedy, gdy Gwóźdź tu zajrzał...

Dalsze poszukiwania doprowadziły do znalezienia długiego, niezwykle mocnego sznurka. No tak... Całkiem proste rozwiązanie. Przyprowadził wszystko do pierwotnego stanu. Nic nie powinno świadczyć o jego wizycie. Jeszcze raz przesunął dookoła światłem. W porządku. Wyjrzał na korytarz: pusto. Znowu szczęk zaskakującej sprężyny. Po paru minutach był już na pokładzie.

Kostrzewa poznał jedną z dróg, którą cień zniknął bez śladu.

Ale co dalej?

## IX

- Gdyby w tych ampułkach była nie morfina - Sielawa akcentował każde słowo - a woda lawendowa, to i tak za żadne skarby nie uwierzę, by kuchta nie miał nic wspólnego z tymi wszystkimi grandami.

- Kto go wie... Może i ma - zgodził się Gwóźdź.

Kostrzewa milczał. Rola Basiorskiego zarysowywała się coraz wyraźniej. Okrętowy kuk wysuwał się niewątpliwie na pierwsze miejsce wśród niewyraźnych osobistości zaokrętowanych na M/S „Jednośch.

Cygara zawierające ampułki, sterroryzowanie Rolskiego, tajemnicze szepty w pobliżu zamaskowanych drzwi prowadzących do ładowni, niechęć do gości w gospodarczej części - to już niezły komplecik. A ileż jeszcze niejasności?

Korzystając z nieobecności kucharza, zajrzał parę razy do magazynu, skrupulatnie badając zamaskowane drzwi. Gdy był tam nazajutrz po pierwszej wizycie, stwierdził obok dawnych śladów nowe smugi. Ktoś bezpośrednio po nim dotykał drzwi. Potem już warstwa kurzu pokrywająca stalową płaszczyznę pozostawała bez zmian. Choćby najmniejsze muśnięcie. Nic. A przecież sprawdzał wielokroć. Przez ten cały okres z tej drogi nie korzystano. Był tego zupełnie pewny. Widocznie musiano coś zauważyć. Czyżby pozostawił po sobie jakiś ślad? Potknięcie byłoby wprost niewybaczalne. A może po prostu ten ktoś zaczajony w ładowni go obserwował?

Tak czy inaczej cóż warto odkrycie przejścia, z którego teraz już nikt nie korzysta? Starał się jednak pilnować go nadal. Teraz przychodziło mu to zresztą o wiele łatwiej. Basiorski znacznie częściej wychodził na górę, co dawało też sporo do myślenia. Nagła utrata przez kucharza domatorskich zamiłowań zbiegała się wyraźnie z dniem zdekonspirowania przejścia do ładowni. Czyżby korzystał teraz z jakichś innych sposobów komunikacji z ładownią?

Próby śledzenia Basiorskiego spełzły jednak na niczym. Jego spacerzy jakby nie miały specjalnego celu. Kopał cygara za osłoną spardeku, wystawał przy burcie, ni to rozmyślając o czymś, ni to z lekka drzemiąc, łąził to na dziób, to na rufę i wdawał się w długie pogawędki z podoficerami. Dla Kostrzewy jednak jasne było, że kucharz ma się teraz na bacności, odkładając porozumiewanie się ze współnikami do sposobniejszego momentu.

## X

Sprawa z Marską leżała coraz ciemniejszą plamą na sumieniu Kostrzewy. Nie poprowadził jej jak powinien, co do tego nie miał najmniejszych złudzeń.

Owszem, zaaranżował parę razy rozmowę. Ale przebieg tych rozmów... Tak, z tym niewątpliwie nie było całkiem w porządku. Za którymś tam razem poruszył temat niedoszłej awarii radia.

- Czy możliwe, żeby taka historia zaszła przypadkiem? Bo u nas, w kubryku, nie bardzo w to wierzą. Foryś nawet mówił, że...

Foryś wprawdzie nie zająknął się w tym przedmiocie najmniejszym choćby słówkiem, ale czyż wpadnie jej na myśl sprawdzać?

- Przypadek - powiew wiatru rozwiewał kasztanowe włosy. - Tyle tam wszelakiego żelastwa. Nawet teraz, Mańczak wciąż zapowiada, że wszystko posprząta do skrzynki, ale... - roześmiała się, odsłaniając drobne zęby.

Kostrzewa czym prędzej odwrócił spojrzenie. Mogłaby się chociaż nie uśmiechać. To już po prostu diabli wiedzą co takiego. Nawet drobne mankamenty, zamiast szpecić, dodawały zębom, nie wiadomo jakim sposobem, jeszcze więcej uroku. Czyż w tych warunkach można prowadzić sensowne badanie?

Zaciskał zęby. No więc, cóż z tego, że śliczna. Czy to ma być świadectwem jej niewinności? Agentki właśnie werbuje się spośród tych najładniejszych. Uśmiechy, zamyślenia, nawet chwile smutku, to wszystko mogło stanowić zespół umiejętnie stosowanych rekwizytów.

Prawdy należały do oczywistych i od dawna znanych. Ale...

- Przypadek - powtórzyła Marska, zamyślając się. - Cóż zresztą mogłoby być innego? Do kabiny radiotelegrafu nikt obcy nie ma dostępu. Któż więc mógłby dokonać zamachu?

„Chociażby właśnie ty, piękna panienkoh - odpowiedział jej w myśli Kostrzewa i w tej samej chwili zrobiło mu się dziwnie przykro. Niemal zawstydził się. Zacisnął palce leżące na poręczy nadburcia. Tylko tak dalej, aż w końcu nie pozostanie chyba nic innego, jak tylko uklęknąć przed nią i pokornie przeprosić za zuchwałe podejrzenia. Bardzo odpowiednie postępowanie dla oficera służby śledczej, któremu powierzono zadanie obejmujące być może również i taki drobny szczegół, jak ocalenie przed zagładą statku wraz z całą jego załogą. Akurat właściwa sposobność do zachwycania się urokami osoby, której właściwą rolę należało dla dobra sprawy w jak najszybszym czasie rozszyfrować.

- Wtedy był taki sztorm - ciągnęła dalej - więc gdyby to żelazo...

Smukłe, opalone palce zakreślały łuki w powietrzu, ilustrując rzekomą drogę żelaza, zanim wpadło do wnętrza nadajnika. Wszystko dokładnie tak, jak to opowiadał Mańczak. Cóż zresztą dziwnego? Powtarzał przecież jak echo jej słowa. Tylko że z jego opowiadania wyzierała czysta niedorzeczność, gdy tymczasem to samo w jej ustach...

„Bzdura! - przywoływał się ostro do porządku. - Jasne, że nonsens pozostaje nonsensem niezależnie od tego, kto go usiłuje podać za prawdę.h

Gdy potem analizował w myśli przebieg tych rozmów, ogarniał go pełen poczucia własnej winy niesmak. Czyż to można uznać za właściwy sposób prowadzenia dochodzenia?

Niemal flirt. I w ogóle ma tego dość!

W rozdrażnieniu, które wywoływała sprawa radiotelegrafistki M/S „Jednośch, Leny Marskiej, zjawiała się niepokojąca nuta. Usiłował ją zdusić czym prędzej bez śladu.

## XI

Bartczak jeszcze raz sprawdził namiary sytuacyjne. W porządku. Za jakieś mniej więcej dziesięć godzin powinni zawinąć da portu.

Uchylił drzwi kabiny nawigacyjnej, oddychając pełną piersią. Przepojone słoną wilgocią powietrze działało jak jakiś orzeźwiający nektar. „Jeszcze lepsze od kawych - przymrużył oczy, poddając twarz pod muśnięcia słabej morki.

„Mogłaby być trochę chłodniejszah - pomyślał tęsknie. Ale i tak po skwarze rozprażonego dnia i nieruchomym upale nocy...

Stał tak przez parę minut, po czym powrócił na swój fotel. Zapatrzył się w otwór otwartego na oścież bulaja.

Wstawał świt.

Przesiąknięta mrokiem zieleń morza stawała się coraz bledsza. Aż wreszcie zza horyzontu wystrzeliła purpurowa jasność rozplływająca się coraz szerzej po rozkołysanej wodzie. Jakby toń podbiegła zarzewiem krwistego rumieńca.

W oddali zaczęła wąska kreska, akcentując swą samotną małością pustkę morskiego bezkresu.

Niemal jednocześnie z Igielnickim podniósł lornetkę do oczu. Na pokratkowanych szklach soczewek zachybotała smukła sylwetka transoceanicznego statku. Zupełnie jakby skoczył w jednej chwili naprzód siedmiomilowym susem.

Szedł naprzeciwko. Po kilku minutach lornetki zakołysały się swobodnie na paskach. Statek widać już było dokładnie gołym okiem.

Wielki, trójkominowy, lśniący jaskrawą świeżością farb. Najmniej piętnaście tysięcy ton. Matową czernią patrzyły nieoświetlone iluminatory. Na pokładzie senna pustka. Tylko sylwetki wachtowych ożywiały martwość. Jeden z nich zamachał ramieniem w geście pozdrowienia, gdy statki przepływały obok siebie.

Powietrzem targnął buczący salut wymieniany przez mijających się wędrowców morza.

Na rufie połyskiwały wielkie złote litery: „Nairomi Maruh i pod nimi: nieco mniejsze „Nagasakih.

- Pasażerski - Bartczak zapalił papierosa.

- Tak - potwierdził Igielnicki. - Niezłe sobie cacuszko.

- Uhum - kapitan wypuszczał z ust gęste kłęby dymu. - Owszem...

- Dwa takie pudełka jak nasze zmieściłyby się w nim bez trudu. I jeszcze trochę miejsca pozostałoby na spacerki.

Bartczak był wyraźnie zgorszony. Nie lubił, gdy ktoś podkreślał jakąkolwiek przewagę obcego statku nad „Jednościami.

- Duży... tak - zabębnił palcami po oparciu fotela. - Ale czy pan uważa, że wielkość to wszystko?

Igielnicki roześmiał się.

- Przepraszam, kapitanie. Zupełnie niechcący przygniotłem panu bolący odcisk. Jasne, że to jeszcze żadna zaleta. I w ogóle... Czyż jakakolwiek krypa na wszystkich morzach całego świata może być doskonalsza od naszej „Jednościah? - wykonał żartobliwy ukłon w kierunku wstającego słońca. - Nie ma statku ponad „Jednościah - naśladował zawodzący głos muezina i kapitana Bartczaka jego proroka.

Igielnicki ziewnął szeroko, mruknął pod nosem „przepraszamh i spojrzął na zegarek.

- No - przechylił filiżankę, sącząc do ust kilkanaście kropel pozostałych na jej dnie - nie tak już długo.

## **XI. JEDNA Z NIEWIADOMYCH PRZESTAJE BYĆ TAJEMNICĄ**

**I**

- Ten Kotera to łebski chłopak, ale do śledzenia całkiem się nie nadaje - zakonkludował z przekonaniem Sielawa.



- Tak - przyznał Gwóźdź. - Bo do takich rzeczy nie każdy ma spryt.

Byli rozczarowani. Szczególnie Sielawa. Pomimo wysiłków nie potrafili jakoś namówić Kotery na wspólne śledzenie kucharza. Wszystkie nagabywania w tym przedmiocie zbywał wymijającymi odpowiedziami, czym prędzej zmieniając temat rozmowy. Co więcej - odradzał akcję.

- Diabli wiedzą - kręcił głową - jak tam z nim jest naprawdę. Cóż z tego, że pozory świadczą przeciwko niemu? Z pozorami trzeba być ostrożnie. Jeszcze można sobie napytać jakiejś biedy.

W końcu zrezygnowali z namów. Nie chce, to nie. Trudno przecież kogoś przymuszać. Ale Sielawa ani myślał rezygnować.

- Dałbym sobie łeb uciąć, że nasz kuk tkwi w tym po uszy.

- Już my wywąchamy, co w nim pachnie - zapalił się Gwóźdź. - A potem po nitce do kłębka. I wszystkie cienie pójdą do klatki, która dawno już za nimi wzdycha.

Gdy tylko Basiorski wychodził na górę, nie spuszczała z niego czujnych oczu. Jeden od dowietrznej, drugi od nawietrznej.

Obserwacje nie dawały jednak żadnych wyników. Sielawa zaczął się w końcu niecierpliwić.

- No tak - zakonkludował wreszcie. - Na pokładzie grzeczna niunia. A cały sekret tkwi w gospodarczym korytarzu, gdzieś obok skrzyni z piaskiem.

- Jasne, że tak - przytaknął bez namysłu Gwóźdź. - Idziemy na dół.

Sielawa jednak z miejsca ostudził jego zapał.

- Idziemy, ale nie wszyscy.

Gwóźdź spojrzał na niego zaskoczony.

- Dlaczego niby miałbym nie iść?

- Bo tam trzeba delikatnie. Pokład - inna para kaloszy, a gospodarczy korytarz - znów całkiem inna. Na pokładzie każdy ma prawo przebywać, wachta czy nie. A jakby przyłapał w korytarzu na myszkowaniu, od razu by wyczuł, co w trawie piszczy. I generalna kłapa.

- No, to będę delikatnie, że już więcej nie można. Bo to nie umiem?

- Guzik umiesz. Walisz tymi nożyskami niby słoń w składzie porcelany. A trzeba cichutko jak... No, czy ja wiem jak co? W każdym razie tak, by tego nie dosłyszał. A ciebie słyhać o milę, gdy zrobisz krok choćby i na palcach.

Gwóźdź obraził się nie na żarty.

- Nie chcesz, żeby z tobą, proszę bardzo. Myślisz, że na własną rękę nie potrafię?

Takie rozwiązanie nie odpowiadało Sielawie w najmniejszym nawet stopniu. Uważał, że niedźwiedziowaty Gwóźdź zupełnie się do takiej wyprawy nie nadaje. Basiorski dosłyszy go, choćby

był na pokładzie.

Musiał mu długo perswadować, zanim wreszcie ustąpił. Nie obyło się bez brania pod włos. No, bo gdyby się uparł?

- Niby jak bym sobie bez ciebie poradził ze śledzeniem go na górze? Jeden nie da rady, choćby stawał na głowie. Dopóki będę na dole, ty go przypilnujesz. Zobaczysz, że mi chce wleźć w paradę, gwizdniesz, żebym zdążył czmychnąć w porę.

Ustąpił. Długo jednak wymrukiwał różne różności na ten temat.

Zafajdany detektyw to najłagodniejsze określenie, jakiego przy tej sposobności użył w stosunku do Sielawy.

Sielawa wypuścił się już na drugi dzień rano. Powrócił jednak z całkiem markotną miną.

- No i co? - dopytywał niecierpliwie Gwóźdz.

Odpowiedź nie nadawała się do powtórzenia. Był rozdrażniony do ostatnich granic. Tyle się po tej wyprawie spodziewał!

- Bo widzisz - tłumaczył, gdy już trochę zdołał wysapać pierwszy gniew. - Chciałem przyjrzeć się bliżej temu magazynowi.

- Po co? - zdziwił się Gwóźdz. - Przecież wtedy zaglądałem tam z Basiorskim. Sam mi nawet otworzył.

- Dużoś tam mógł zobaczyć przy takim wetknięciu nosa na moment. Że nie było człowieka, toś widział. Ale, powiedzmy, jakiegoś chytrze zamaskowanego przejścia do ładowni, dokąd ten człowiek mógłby się wygodnie ulotnić?

Gwóźdz pomyślał przez chwilę.

- Jeżeli sprytnie zamaskowane, to rzeczywiście...

- No więc właśnie. Myślę sobie: obmacam wszystko dokładnie, to będę wiedział, tam czy gdzie indziej. Bo gdzieś takie przejście przecież musi być.

- Ano musi - przyznał Gwóźdz. - W jaki sposób inaczej ten drugi typ by się ulotnił? I coś wykrył w tym magazynie?

Sielawa znowu parsknął jak rozwścieczony kot.

- W magazynie... Anim tam nawet nie zajrzał. Zamek jakiś taki cholerny, że ani jeden klucz nie pasował. A zabrałem ich okrągłe pół tuzina.

Gwóźdz plasnął z rozmachu dłonią w stół.

- A to ci cholera! Nno! Nie przejmuj się. Naznoszę ci tyle, że na pewno dopasujesz.

Dotrzymał uczciwie obietnicy. Następnym razem Sielawa wyruszył na dół z obiema kieszeniami

pękato wyładowanymi kluczami. Ale nawet ta ilość nie pomogła. Znów żaden nie pasował.

Gdy oznajmił o tym Gwoździowi, ten rozłożył bezradnie ręce:

- Na to, bracie, nic już nie zdołamy poradzić. Podwędziłem wszystkie, jakie tylko było można. Chyba ze dwa dni będę musiał dobierać, żeby każdy wsadzić z powrotem do odpowiedniej dziurki. Nic, tylko tam jakiś specjalny zamek. Może nawet patentowany. A do takiego nie dopasujesz, choćbyś wypróbował całe wagony.

I właśnie wtedy w głowie Sielawy powstała nowa myśl. Nie wyjawiał jej przed nikim. Nawet przed Gwoździem.

Kostrzewa oczywiście zauważył wyprawę Sielawy do gospodarczego korytarza. Jakżeby mógł nie zauważyć? Był więcej niż niezadowolony. Taka nieumiejętna partyzantka mogła mu popsuć wszystkie szyki. Cóż jednak mógł na to poradzić. Odradzał przecież, jak tylko potrafił. Czyż mógł go zatrzymać przemocą?

## II

Pogoda zaczęła się wyraźnie psuć. Fala rosła, wiatr przybierał z każdą chwilą na sile. Doszedł do siedmiu ballów, potem do ośmiu, wreszcie do ośmiu i pół. Zanosilo się na sztorm.

Statkiem rzucało na wszystkie strony. Chwilami wydawało się, że wiatr kręci się w kółko.

Wachta na taki psi czas nie należała do rzeczy przyjemnych. Gwoździa, który stał na „okuh i widocznie zagapił się, o mało nie zmyła fala. Gdyby nie to, że w ostatniej chwili zdołał się ucześcić kotwicznej windy, byłoby już po nim.

Paździorem rzuciło o rufowy bom z takim rozmachem, że leżał w swej koi i obłożony przez Rolskiego okładami, stękał żałośnie.

Kostrzewa jakoś dotychczas dawał sobie radę, choć przychodziły chwile, że było nielekkko. Najgorzej go złościła niemożność korzystania z ukrycia pomiędzy skrzyniami na pokładzie. Nie było nawet co o tym teraz marzyć. Basiorski pozostawał niemal bez dozoru. Bo nawet i za dnia nie bardzo miał czas, by go obserwować. Roboty pełne ręce. Pocieszał się początkowo jedynie myślą, że przy takiej pogodzie nie będzie mu się chciało nosa wysuwać na pokład. A tamte drzwi jako zdekonspirowane nie wchodziły już w rachubę.

Przewidywania jednak nie odpowiadały rzeczywistości. Grubas nabrał całkiem niezwykłej jak na niego energii. Dawniej, przy daleko słabszym wietrze, ani by go wygnąć na górę. Teraz pojawiał się w najmniej oczekiwanych miejscach statku. Brnął poprzez miotany w konwulsyjnych podrygach pokład, czepiając się kurczowo sztormowych lin, poręczy nadburcia, czego się zresztą tylko dało.

Marynarze byli zdumieni. „Patrzcie, jaki się nagle bohater zrobił z naszego kukah. Inni określali to w sposób bardziej obrazowy: „Szwenda się, gdzie go nikt nie posiał, niczym wesz po gaciachh.

## III

Sielawa w pełni zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na które się tym razem naraża.

Gdyby go Basiorski przyłapał na myszkowaniu w pobliżu magazynu, mogłaby najwyżej wyniknąć jakaś grubsza awantura. Ale we własnej kabinie? Aż mu się zimno robiło na samą myśl. To byłaby dopiero chryja. Jeżeli naprawdę kuma się z tym cieniem, to co dla takich wsadzić komuś nóż pod piętę żebro? Albo w jakiś inny sposób „uciszyć na wieki niepożądanego gościa. Już tacy mają swoje sposoby.

Nawet Gwoździowi nie powiedział, o co chodzi. Gdy dostanie się tam, to i tak żadne alarmy nie pomogą. Szczególnie na taką pogodę, gdy wiatr gwizdże, że i z armaty by go trudno zagłuszyć.

Gdy tylko zobaczył, że Basiorski zasiadł w kącie świetlicy pomiędzy Kwiecińskim i Bociańskim - zawsze wybierał sobie towarzystwo co najmniej podoficerów - podniósł się od niechcienia.

- Odetchnę sobie trochę świeżym powietrzem - oznajmił. - Duszno tu jak jasny gwint.

Powstrzymał niemal przemocą Gwoździa, który upierał się, by iść razem.

- Siedź!

Sielawę kosztowało sporo trudu, zanim go zdołał namówić do pozostania. W oczach Gwoździa nagle błysnął wyraz podejrzenia.

- Idziesz tam? - konspiracyjnie zesznurował wargi, zerkając w kierunku Basiorskiego.

Sielawa z trudem powściągnął zniecierpliwienie. No i czyż nie słoń? Dobrze jeszcze, jeżeli kuk nic nie zauważył. Na szczęście był w tej chwili pogrążony w mocno ożywionej rozmowie.

- Ani mi nawet w głowie powstało - zełgał gładko. - Chciałem tylko sprawdzić pewną rzecz. Ale gdybyśmy wyszli razem, od razu by podpadło. Czekał tu na mnie. Wszystko ci opowiem, jak tylko wrócę.

Gwoźdź z rezygnacją sięgnął po jakiś dziennik. I wierzył, i nie wierzył. Ale raczej to ostatnie. Skoro jednak trzeba, żeby tu pozostał na widoku... Sielawa jest od niego sprytniejszy. Szkoda gadać.

#### IV

Sielawa przemykał się przez pokład tak szybko, jak tylko to było możliwe. Należało wykorzystać każdą sekundę. Wstyd byłoby przegapić taką wyjątkową okazję.

Schodząc po trapie, czuł się jednak niezbyt wyraźnie. Cóż z tego, że Basiorski siedzi w świetlicy? Nie działa przecież sam. A jeżeli jego współnik czyha gdzieś w jakimś ciemnym kącie?

Dotykał ciężkiej śruby obciążającej kieszeń. Albo to nie broń? Zwłaszcza gdy nie ma lepszej. W drugiej zaś kieszeni trzy, opakowane w słomkę cygara. Wykombinował je drogą handlu wymiennego specjalnie na tę okazję. Bo gdyby pomimo wszystko Basiorski wrócił wcześniej niż to można przewidzieć, no to, proszę bardzo. Przyniósł mu właśnie te cygara. Nie, oczywiście nie w prezencie. W to by nie uwierzył. Ale na sprzedaż, po jakiejś okazyjnej cenie. Dostał tanio, a że akurat mu potrzeba parę groszy na upominek dla narzeczonej... Układał w myśli przebieg ewentualnej rozmowy z kucharzem.

Był już przed drzwiami kabiny. Nadśłuchiwał przez chwilę. Zresztą dużo tam można dosłyszeć przy sztormie. Jeden klucz, drugi, trzeci. Teraz też zabrał ich ze sobą na wszelki wypadek większą liczbę. Któryś przecież...

Ale zamek był znacznie mniej skomplikowany niż w tym przeklętym magazynie. Już piąty obrócił się gładko w zamku.

Znowu wyteżył słuch. Nic. Wszedł ostrożnie do wnętrza. Czuł się w tej chwili jak włamywacz.

Przymknął drzwi. Zapalił zapałkę.

Kabina była mała. Rozglądał się dookoła, wodząc na wszystkie strony nikłym płomykiem.

Na wierzchu zadziwiająco mało przedmiotów. Napoczęte pudełko cygar. To samo? Przyjrzał się, o ile tylko zdołał, jak najdokładniej. Przybory do golenia. Mydło toaletowe. Koniec, kropka. Nic pod koją, nic na przytwierdzonych do grodzi półkach. Jakby lokator tej kajuty zamierzał tu pozostać najwyżej kilkanaście godzin. Albo jakby przygotował się do opuszczenia Pomieszczenia. Hm... To drugie było całkiem prawdopodobne. Za kilkanaście godzin mieli zawinąć do portu.

Spakował się już zawczasu? Trzeba sprawdzić.

Szafa. Oczywiście, też zamknięta na trzy spusty. Ale Sielawa pomyślał i o tym. Kluczyki od szafy zajmują znacznie mniej miejsca niż od drzwi. Przygotował ich chyba ze trzy tuziny.

I tu miał szczęście. Od razu drugim z kolei udało mu się otworzyć. Znowu potarł zapałkę, skrzętnie chowając wypaloną do kieszeni.

Niby na oko rzeczywiście nic specjalnego, a przecież...

Pod białym fartuchem, na wieszaku, nieprzemakalny płaszcz. Całkiem cywilny. Długi, obszerny niczym peleryna. W papierowej torbie kapelusz ze słomki panama o szerokim rondzie. Od razu zrozumiał, dlaczego w torbie. Zjrzyj ktoś niedyskretny - tłumaczenie gotowe: „Wiozę na prezenth. Niby czemu nie miano by wierzyć? Płaszcz, kapelusz, tak... Brakowało tylko zapakowanych do drogi walizek. Leżały, owszem, na froncie. Zasuwki ustępowały łatwo. Wewnątrz nieporządnie powrzućane rupiecie. Nie, nie można by ich żadną miarą uznać za zapakowane.

Ale za to w samej głębi szafy, pod stertą brudnej bielizny, dwie niezbyt wielkie, pękato wypchane teczki... No, oczywiście. Walizki łatwo mogłyby komuś podpaść. A teczki wejdą pod płaszcz niemal bez śladu. Spróbował otworzyć, manipulując drutem przy zameczkach. Było ich przy każdej aż trzy. Nic z tego nie wyszło. Nie zameczki, a prawdziwe patentowane zamki. Skomplikowane otwory nasuwały analogię do skarbczyków.

Poza tym szafę wypełniały niewarte uwagi przedmioty. Ale wystarczyło i tego, co zobaczył. Teraz najważniejsze, by unieść skórę w całości.

Zamknął szafę. Szedł już ku wyjściu, gdy nagle zdrętwiał.

Z korytarza dobiegały ciężkie kroki. Basiorski! Czyż można go nie poznać po tym słoniowatym chodzie? Rozlegały się alarmująco blisko. Widocznie w ferworze przetrząsania szafy przegapił

pierwsze odgłosy. Ładna historia!

Czuł, jak pot występuje na dłoniach. W gardle nagle zaschło. Będzie bal! Zanim zdołał się opanować, klucz zachrobotał w zamku, warknęło gniewne przekleństwo i drzwi stanęły otworem.

Futrynę wypełniła masywna sylwetka kucharza.

- Kto tu?! - sięgnął do włącznika.

Sielawa przełknął ślinę.

- Jja... - głos zabrzmiał piskliwie.

- Co za „jah, do licha?

Z wmontowanej w suficie lampy spłynęła powódź jaskrawego światła. Sielawa mimo woli zmrużył oczy. Gdy je otworzył i spojrzał, aż się przeraził wyrazu twarzy kucharza. Zupełnie jakby zamierzał skoczyć mu do gardła.

Cofnął się odruchowo. Kucharz wszedł do środka, nacierając na niego rozlanym cielskiem.

- Co tu robisz? - patrzył gdzieś poza niego, jakby chciał zobaczyć jeszcze kogoś.

- Ja... - dopiero teraz przypomniał sobie o cygarach. Sięgnął pospiesznie do kieszeni. - Chciałem zaproponować... - wyciągnął cygara na otwartej dłoni. - Okazyjnie...

Kucharz nawet nie spojrzał.

- I po to otworzyłeś drzwi wytrychem? - w głosie coraz więcej syczących nutek.

- Co... - znowu się cofnął napierany przez kucharza. - Były otwarte...

- Były zamknięte - warknął.

Oczy rozjarzyły się jakoś na żółto.

Sielawa aż się spocił. Najchętniej uciekłby, na nic już nie patrząc, gdzie pieprz rośnie. Ale odwrócić się do niego plecami? Nie zdobyłby się na to za żadne skarby. Stał już na progu.

- Cygara... - bąknął jeszcze raz. Nie potrafił jednak nadać głosowi przekonującego brzmienia. - Przyniosłem i... - nagle urwał.

Jakiś szelest tuż za plecami? Jakby ostrożne skradające się kroki? Wzdłuż krzyża przebiegł rój mrówek. Oczy Basiorskiego nagle zmieniły wyraz. Znowu szelest. Tym razem tuż.

Rety! Z jednej strony ta góra mięsa, z drugiej... Nie, nie odważy się obejrzeć. Śruba. Prawda. Zawsze broń.

Wykonał ruch w kierunku obciążonej kieszeni. Nie zdążył.

Zupełnie jakby sufit runął całym ciężarem na głowę. Serce wtoczyło mu się do gardła. Przed oczyma

zawirował rój świetlistych punkcików, zlewając się w jedną ogarniającą cały świat pożogę ognia. W uszach rozdzwoniły się dziesiątki kowadeł. Potem wszystko zaczęło mętnieć, ciemniejąc i głuchnąć.

Aż wreszcie spadła przeogromna cisza i pustka. Ciało Sielawy plasnęło miękko o podłogę.

## V

Gwóździa dręczył coraz większy niepokój. Raz po raz zerkał na wskazówki zegara. Czy to możliwe, żeby aż tak długo?

Gazeta szeleściła bez sensu przed nosem. Nie rozumiał tego, co czyta. Litery rozplływały się w jakąś zamazaną mapę. Na każdy stuk drzwi podnosił szybko głowę. Opuszczał ją jednak natychmiast z rozczarowaniem. Nie, to nie Sielawa.

Huštało nie na żarty. Z grzechotem przewalały się nieuniocowane przedmioty. Biblioteczka ulatywała nagle do góry, zwisając powyżej głowy, by w następnym momencie nie mniej raptownie zapaść gdzieś pod nogami. Aż w oczach pstrzyło od migotliwych lśnień szlifowanego szkła odbijającego promienie światła. Znowu ktoś wyszedł. Basiorski? Tak, to był on. Gwóźdz poderwał się w pierwszym odruchu, by pobiec w ślad za nim. Natychmiast jednak opadł z powrotem. Skoro Sielawa wcale nie poszedł tam? Zresztą przecież wyraźnie nakazał: „Siedź tu i czekaj na mnie. Znaczy, że po wszystkim powróci do świetlicy, a nie dokądkolwiek indziej. Mogliby się rozminąć. Ba... przy takiej nawałnicy. Na nic. Gotowi się szukać po statku do jutra. Trzeba siedzieć kamieniem.

Odłożył ramkę z gazetą. To już stawało się po prostu nie do zniesienia. Może spotkało go coś złego?

Stuknęły drzwi. Wszedł Kostrzewa. Podłoga akurat stanęła dęba. Ledwo zdołał się utrzymać na nogach.

- Sztorm całą gębą - Kostrzewa zawiesił mokrą westkę na szaragach.

I znowu o mało nie upadł.

- Ano sztorm - potwierdził Kwieciński, upychając tytoń w fajce. Pomimo wścieklej chwiej by nie uronił ani okruszyny. To już wyglądało niemal na magiczną sztukę.

- Nie widziałeś gdzie Sielawy? - zapytał pospiesznie Gwóźdz.

Niepokój dźwięczący w jego głosie zastanowił Kostrzewę. Spojrzał na niego uważnie.

- Nie. A miał tu być?

- Tak... Ale wyszedł już tak dawno.

- No... pewno miał coś do załatwienia.

Gwóźdz milczał przez chwilę, rozmyślając nad czymś usilnie - Jeszcze raz zerknął na zegar.

- Wiesz - przechylił się ku Kostrzewę, zniżając głos niemal do szeptu - boję się, czy mu się coś nie stało.

Kostrzewa zapalił papierosa. Wymagało to serii niemal akrobatycznych ruchów.

- A co mu się niby mogło stać? Przecież nie dzieciak. Ani nowicjusz.

- Bo widzisz... - potarł z zakłopotaniem czoło. Zdecydował się wreszcie. Dłużej już nie potrafił tego dusić w sobie. Jeszcze bardziej przechylony, dotykając niemal wargami ucha Kostrzewy, opowiedział wszystko.

Kostrzewa słuchał uważnie. Większość zresztą z tego wiedział już przedtem. Część na podstawie wynurzeń Sielawy, część z własnej obserwacji. Ale jeżeli chodziło o zdarzenia dzisiejszego popołudnia...

- Mówił, że nie zejdzie na dół - zakończył relację Gwóźdź - ale wcale nie jestem pewien, czy to prawda.

Kostrzewa zamyślił się. Jeżeli zeszedł i Basiorski zaskoczył go podczas jakiegoś szperania? To nie byłoby dobrze. Basiorski wyglądał na tchórza. A nie ma nic bardziej niebezpiecznego od tchórza zapędzonego w położenie bez wyjścia.

- Ano cóż - podniósł się wreszcie. - Trzeba go będzie jednak poszukać.

Gwóźdź wyraźnie pobladł.

- Sądysz, że stało mu się coś złego?

- Nic nie sędzę - Kostrzewa patrzył gdzieś w bok. - Warto jednak zobaczyć, co tak długo porabia.

Zajrzeli do kubryku. Może zapomniał o spotkaniu z Gwoździem i poszedł po prostu spać? Wystarczyło jedno spojrzenie od progu. Koja Sielawy znajdowała się akurat na wprost wejścia. Porządnie złożony koc. Na poduszce żadnych wgłębień. Było widoczne, że nikt tu nie leżał od poprzedniej nocy. W mesie pustka. Gwóźdź coraz niżej zwieszał głowę. Wypytywali spotykanych po drodze marynarzy. Patrzyli ze zdziwieniem:

- Stało się z nim coś?

- Nie - Kostrzewa nie uważał za potrzebne podnoszenie przedwcześnie alarmu. - Tylko gdzie się nam zapodział, a mamy do niego pilny interes. Gdybyście go gdzie spotkali, powiedzcie, żeby czekał na nas w świetlicy.

Prośbę tę dodawał zresztą bez zbytniego przekonania. Gdzie go mogli spotkać? Miotany sztormem pokład nie stanowił odpowiedniego miejsca na przechadzki.

Z trudem utrzymując równowagę na uciekających spod nóg śliskich deskach, przeszukali całą górę. Zajrzeli nawet do ambulatorium, widząc oświetlone bulaje. Może się potłukł albo coś podobnego? Zdarzały się przecież takie wypadki.

Rolski potrząsnął przecząco głową.

- Nie... Na szczęście nie potrzebował mojej pomocy. Nie możecie go znaleźć?



Kostrzewa powtórzył wersję o pilnym interesie.

- Widziałem go ze dwie godziny temu. Od tamtej historii - uśmiechnął się lekko - nabrałem paskudnego zwyczaju obserwowania każdego, kto znajduje się w pobliżu ambulatorium. Szedł w kierunku mitshipu.

- Nic, tylko zeszedł do tego przekłętą korytarza - jęknął Gwóźdź, gdy znaleźli się znowu na pokładzie. - A już tam ten drań szef wraz z innymi bandziorami...

- Tak czy inaczej, musimy i tam zaglądnąć - zdecydował Kostrzewa.

Gwóźdź się zawahał.

- A jak Basiorski nas zauważy...

- To zauważy. I co z tego?

- Narobi rabanu na cały regulator.

Kostrzewa machnął ręką.

- Nie ma obawy. Skoro szukamy kolegi, którego nigdzie indziej nie można znaleźć?

Zeszli zupełnie otwarcie. Basiorski, który znajdował się w tym czasie na pewno w kambuzie albo w swej kabine, nawet nie wyrżał. A przecież musiał dosłyszeć odgłosy ani trochę nieściszonych kroków.

Kostrzewę ogarniała coraz większa troska o los Sielawy.

W stronę oświetlonej części korytarza spojrzeli jedynie pobieżnie. Był, jak tego oczekiwali, zupełnie pusty. Jeżeli coś, to tylko w tej ciemnej.

Kostrzewa wyłuskał z kieszeni swą mikro. Latarka to ostatecznie jeszcze nic takiego. Dlaczego by nie miał jej posiadać marynarz pokładowy?

Nacisnął guziczek. Ostry snop promieni przeciął mrok wydłużoną smugą.

Gwóźdź zdziwił się.

- Nawet nie wiedziałem, że posiadasz coś w tym rodzaju.

- Phy - głos Kostrzewy brzmiał niedbale. - Kupiłem jeszcze w czasie służby na „Heluh. Niekiedy bardzo się przydaje.

Światło zatrzymało się przez chwilę na płachcie wielkiego worka zwisającego ze skrzyni. Tego worka tam przedtem nie było. Czyżby pod nim? Płachta jednak leżała zupełnie płasko.

Rzucona przez latarkę smuga światła powędrowała dalej.

- Tam! - wrzasnął nieludzkim głosem Gwóźdź. - Tam, za skrzynią!

I już sadił wielkimi susami. Kostrzewa pędził w ślad za nim.

W głębi, za czworokątem skrzyni, przewalało się bezwładnie po podłodze ciało człowieka. Sielawa?

- Sielawa - Gwóźdź przypadł ku leżącemu.

## VI

Uderzył się o kant skrzyni? Rolski odrzucił to przypuszczenie. Kształt rany, jej głębokość, świadczyły o czymś innym. Tak czy inaczej ostatecznego wyjaśnienia mógł udzielić jedynie sam poszkodowany. A to nastąpi nieprędko.

- Czy on aby na pewno będzie żył? - dopytywał po raz trzeci z rzędu Gwóźdź.

- Cóż... - Rolski wycierał ręce. - Nie jestem jasnowidzem. Ale wszelkie dane. Dziewięćdziesiąt pięć procent na sto. Może nawet więcej. Jeżeli tylko nie wdadzą się jakieś komplikacje.

Kostrzewa jeszcze raz przyjrzał się twarzy Sielawy.

Błada, bez kropelki krwi. Z na wpół otwartych warg wypływał słaby, dość jednak miarowy oddech. Nie potrzebował dotykać pulsu, by stwierdzić tętno. Tak, Rolski miał zupełną rację. Jeżeli nie zajdą komplikacje... Ale czy nie zajdą? Przy ranie głowy połączonej ze wstrząsem mózgu trudno w pierwszym momencie cokolwiek przewidzieć. Jeżeli zaś chodziło o kształt rany... Cios tęnym narzędziem. Coś twardego o gładkiej powierzchni. Z drzewa albo metalu. Tego przecież na podstawie wyglądu rany nie można określić. Cios zadany z potężnym rozmachem. Sielawa jedynie mocnej budowie czaszki zawdzięczał że pozostał przy życiu.

Obserwował nieznacznie Rolskiego przez cały czas dokonywania zabiegów. Nie znalazł powodu do najmniejszego choćby zarzutu. Wszystko zostało wykonane bezbłędnie i w zupełnie właściwy sposób. Nawet najbardziej skrupulatny chirurg nie zrobiłby tego lepiej.

- No, ale teraz - Rolski uśmiechnął się przepaszająco - ranny musi mieć absolutny spokój.

Wyszli. Rolski patrzył przez chwilę w zamyśleniu na drzwi, które się za nimi zamknęły. Ten wzrok Kotery, który zdołał przelotnie ułować? Jakby kontrolował każdy ruch jego palców manipulujących przy opatunku. Zupełnie jak doktor Burski, gdy pod jego nadzorem dokonywał zabiegów na kursie.

- Nonsens - roześmiał się z przymusem. - Marynarz pokładowy posiadający wykształcenie paru oddziałów szkoły podstawowej. Skąd mógłby mieć coś wspólnego z medycyną?

## VII

Kostrzewa pozbył się osowiałego ze zmartwienia Gwoździa pod pierwszym lepszym pretekstem. Musiał sobie natychmiast przemyśleć pewne rzeczy. W momencie zszywania przez Rolskiego rany, Sielawa otworzył na krótką chwilę oczy. Widocznie pod wpływem bólu odzyskał przelotnie przytomność.

Z ust wypłynął wtedy ledwo dosłyszalny szept: „On... szykuje się do ucieczki...h.

Nikt nie zwrócił na to uwagi.

Gwóźdź był sam niemal nieprzytomny, sądząc, że przyjaciel dogorywa. Rolski pewno uważał to za bredzenie wywołane zakłóceniem funkcji mózgowych.

Ale Kostrzewa zrozumiał aż nazbyt dokładnie. „Onh mogło w tym wypadku znaczyć tylko jedno: Basiorski. Za kilkanaście godzin zwiną do portu. Przepustka na ląd i tyle go będą widzieli. Nie było ani chwili do stracenia.

Dobrze, że akurat miał wolny od wachty czas. Staął za osłoną szalupy ratunkowej. Będzie tu czekać na wyjście Basiorskiego. Po tym, co zaszło, powinien niedługo wyjść. Znalezienie Sielawy musiało im mocno pomieszać szyki. Przygotowany na skrzyni worek miał swoją tragiczną wymowę. Morze nie wydaje swoich tajemnic.

Niewątpliwie będzie teraz szukał kontaktu ze swoimi współnikami. A skoro nie korzystają już z przejścia przez magazyn...

Czekał prawie godzinę. Czekalby również i kilka, jeśliby zaszła potrzeba. Postanowił nawet w razie konieczności nie zgłosić się na wachtę. Uda chorego... Trudno. W tym wypadku nie było innego wyjścia. Chodziło o znacznie poważniejsze sprawy niż służba marynarza pokładowego.

Nie doszło jednak do tego. Z włazu wychynęła ostrożnie ludzka sylwetka. Pękate kształty nie pozostawiały miejsca na najmniejsze wątpliwości. Nie było drugiego takiego grubasa na statku.

Stał przez dobre kilkadziesiąt sekund, strzelając na wszystkie strony podejrzliwymi spojrzeniami. Kostrzewa widział wyraźnie lśnienie jego wytrzeszczonych oczu. Jeszcze bardziej przylgnął do szalupy. Nie, nie zauważył go. Ruszył dalej...

Kostrzewa z trudem powstrzymał chęć pójścia w ślad za nim. To też niewątpliwie byłoby niezmiernie ważne. Ale tamto pilniejsze. Nie mógł się przecież rozdzielić.

Towarzyszył mu jedynie wytężonymi oczyma. Może...

Ooo... ktoś ku niemu podchodzi. Smukła sylwetka zatrzymuje się obok pękatej. Marska? Tak... Pukiel włosów wysmykniętych spod pilotki rozblęsnął ciemnym złotem w rozedrganym świetle.

Zacisnął zęby. Ona? No, cóż - to przecież było do przewidzenia.

Zbiegł pospiesznie po schodni. Zamknięte na głucho drzwi kabiny kucharza zabrały mu nie więcej niż minutę. Szafa jeszcze mniej. Za to manipulacje przy zameczkach obu teczek poszły nadspodziewanie trudno. Ale i tu w końcu dał się dopasować drucik uniwersalnego wytrycha. Gdy zamykał za sobą drzwi kabiny, gwizdał cichutko przez zaciśnięte zęby. Czynił to jedynie w momentach największego napięcia. Ale teraz właśnie...

Przez kilkanaście minut po powrocie na górę zastanawia się nad sytuacją. Była jak najbardziej nagląca. Tak - zdecydował wreszcie - nie ma mowy o żadnych półśrodkach.

Zdawał sobie doskonale sprawę z konsekwencji tego kroku. Nie wyglądały bynajmniej różowo. Zupełnie tak, jakby zatrzaskać sobie samemu drzwi przed nosem. I to nie wiadomo na jak długo

Pomimo gorączkowych rozmyślań nie widział jednak innego sposobu załatwienia tej sprawy.

Zameldował się u kapitana.

## VIII

Bartczak patrzył na Kostrzewę z nieukrywanym zdumieniem.

- Radiogram? Co was tak nagle przypiliło? Nie wystarczy depesza nadana z lądu?

Przygotowaną zawczasu bajeczką o chorobie narzeczonej udało się Kostrzewie przekonać kapitana i uzyskać jego zgodę.

Tekst radiogramu Kostrzewa opracował wcześniej, tak że wypełnianie blankietu u Marskiej trwało nie dłużej niż układanie najzwyczajszej depeszy.

Któż by mógł podejrzewać, że każde słowo znaczy w rzeczywistości zupełnie co innego, niżby to wyglądało na pierwszy rzut oka?

- To bardzo pilna depesza - położył blankiet przed Marską.

- Dobrze - pokiwała głową z uśmiechem. - Zaraz ją nadam. Uśmiech padł w próżnię. Kostrzewa ani razu na nią nie spojrział.

Zadziwiła ją oschłość Kostrzewy.

Obrażony? Przecież chyba nie dała najmniejszego powodu? Nie, po prostu nie zwraca na nią najmniejszej uwagi. Dlaczego by zresztą miał zwracać? Ma narzeczoną, którą widocznie bardzo kocha...

W sercu coś ją boleśnie ukłuło. Przywołała się ostro do porządku. „Co znowu za historie, panienko?h

## IX

Kostrzewa zerkał na zegarek z rosnącym niepokojem. Jak to okropnie długo trwa. Za parę godzin zawiną do portu. O ile do tej chwili nie nadejdzie odpowiedź, nie pozostanie mu nic innego, jak tylko się zdekspirować. Całą akcję, na której progu zaledwie zdołał stanąć, wezmą z miejsca diabli. Dlaczego nie odpowiadają? Może nie ma majora Miechowca w pracy? Lerski, jego zastępca, nie bardzo lubił brać na siebie odpowiedzialność za posunięcia wychodzące poza ramy normalnego sposobu załatwienia spraw. A tu przecież...

Wreszcie drzwi radiokabiny uchylły się. Na progu stanął Mańczak, który teraz pełnił dyżur.

Kostrzewa w całkiem naturalny sposób znalazł się w pobliżu choć na dobrą sprawę nie miał tam akurat nic do roboty.

- Dyżurny wachtowy!

Podszedł bez specjalnego pośpiechu Paździor. Kostrzewa przygryzał niecierpliwie wargi. Nie mógłby trochę szybciej? Zanim Bartczak odcyfruje, zanim... No tak. Nie wiedział przecież.

- Zanieście to kapitanowi Bartczakowi. Do rąk własnych. - Mańczak podkreślił dwukrotnie jakieś

zdanie na blankiecie.

Paździor tak samo leniwie ruszył w kierunku śródkręcia.

Kostrzewa odetchnął z ulgą. No, nareszcie. Żeby jeszcze kapitanowi wpadło na myśl wyznaczyć go do tej akcji. W każdym razie postanowił znaleźć się pod jakimś pretekstem gdzieś w pobliżu. Jakby przyszło do jakiejś awantury, interwencja widza będzie wyglądać najzupełniej normalnie.

Palce machinalnym ruchem pogłaskały obciążoną pistoletem kieszonkę. Tak, tu nie było żadnych żartów.

## X

Bartczak wlepił zdumione oczy w odszyfrowany tekst. Tego przecież w żaden sposób nie można było zrozumieć: „Na podstawie poprzednich raportów. Jakich do licha raportów?

Raportu w sprawie tych nieszczęsnych trzech ampulek przemyconej morfiny? To przecież chyba żaden powód do wyciągania aż tak daleko idących konsekwencji. A w żadnym innym w ogóle nie wspominał o Basiorskim. Zresztą, czyż to jakiś nowy człowiek, o którym nie wiadomo, co chowa w zanadrzu? Tyle już rejsów odbył na „Jedności i żeby kiedy choć coś...

- Nic, tylko powariowali - niemal jęknął. I jeszcze to - wodził palcem - „Niezależnie od wyników rewizji - natychmiast aresztować.

Nie. Chyba musiał się pomylić przy rozszyfrowaniu. Powinno pewno być: „W zależności od wyników. To byłoby jeszcze do wytłumaczenia. Sprawdził jeszcze raz w małym zeszyciku analizując dokładnie każdą literkę. Nie, nie było żadnej omyłki. „Pod osobistym nadzorem i zachować absolutną dyskrecję

Ano, skoro uważają to za konieczne...

Słowo „natychmiast” ponaglało do rozpoczęcia akcji. Przyjemne to nie będzie, szkoda gadać. Trudno.

Kogo by wziąć do pomocy? Bosman Kwieciński? Ba - spojrzał na harmonogram. Akurat pełni wachtę. W takim razie Bociański. A z marynarzy? Konkiel? Silny jak niedźwiedź. Ale tu przecież nie chodziło o siłę. Sorek odpadał. Ten by dopiero potrafił odpowiednio podkoloryzować całą historię. Miałby temat do opowiadania chyba do końca życia. Kotera, oczywiście. To sprytny chłopak. Foryś? Powinien by się nadać. Kto zresztą nadaje się do takich spraw? I wreszcie Kondraciuk. Wystarczy. Nie będzie przecież mobilizować całego wojska przeciwko musze.

Gdy wyznaczeni do akcji członkowie załogi zebrali się tuż przy trapie, kapitan wyjaśnił im, o co chodzi.

Decyzja Bartczaka zaskoczyła wszystkich.

Nawet Bociański wyraźnie osłupiał, chociaż usiłował tego po sobie nie okazywać.

- A rewizja osobista? - zapytał Kostrzewa. - Bo ja czytałem, że w takich wypadkach... - miał przy

tym bardzo nierozgarniętą minę.

- Tak, oczywiście - potwierdził Bartczak.

- A kto będzie ją przeprowadzać? - zapytał niepewnie Bociański.

Kapitan po chwili namysłu zdecydował:

- Kotera.

- Rozkaz... Tylko nie wiem, czy potrafię - bąkał wyraźnie zmieszany Kostrzewa.

- Głupstwo. Jakoś pójdzie.

Bartczak w ogóle uważał całą tę rewizję za niepotrzebną stratę czasu. I za kompromitację.

- Dokładnie? - sarkał w myśli. - Proszę bardzo. Czego oni właściwie oczekują? Że znajdzie tam bombę albo armatę? Po prostu śmieszne.

Miętosząc palcami pasek, poprowadził ludzi w głąb korytarza.

## XI

Twarz Basiorskiego spłynęła szarą bladością. Wykonał taki ruch, jakby zamierzał odskoczyć w tył. Pozostał jednak w miejscu.

- Co... co to ma znaczyć, panie kapitanie? - Głos mu drżał. Wodniste oczy kucharza, wlepione w stojących na progu, zdawały się wypływać z orbit.

Bartczak starannie unikał patrzenia na niego. Jeszcze się właściwie nie zaczęło, a miał już tego wszystkiego po uszy.

- Jak to: „co znaczy?” - sapnął z rozdrażnieniem. - Nic takiego. Po prostu rewizja. I tego... ten... formalność...

Twarz Basiorskiego wykrzywił jakiś grymas. Postąpił krok w tył. Przypominał szczura zagnanego do pułapki bez wyjścia.

- Ja... - Ruch jego ręki był niemal niedostrzegalny. A przecież Kostrzewa okazał się jeszcze szybszy. Spodziewał się zresztą czegoś w tym rodzaju. Szczególnie po tym, co zobaczył w przemyślnie pozamykanych teczkach.

Zanim Basiorski zdążył dotknąć kieszeni, nadgarstek jego ręki ugrzązał w twardym imadle palców Kostrzewy.

- Wybacz - Kostrzewa przesunął lewą dłoń po jego ubraniu, nie wypuszczając z prawej uwięzionego nadgarstka. - Sam rozumiesz: rozkaz. Tak - wyłuskał pistolet - oczywiście. - Dopiero po chwili przypomniał sobie, że powinien udąć odpowiednie w tej sytuacji zdumienie, co niezwłocznie zademonstrował.

Na szczęście nikt nie zauważył tego potknięcia. Widok broni zafascynował wszystkich. Czyż mogli

spodziewać się aż takiego wyniku rewizji?

Kostrzewa podał na otwartej dłoni pistolet kapitanowi.

Bartczak przez dłuższą chwilę nie mógł uwierzyć własnym oczom. Ale nie wierzyć było trudno. Oksydowana stal broni połyskiwała aż nadto wyraźnie.

Odwrócił głowę ku Basiorskiemu. Ten, wlepiwszy wzrok w podłogę, sprawiał wrażenie ośpiałego.

Rozpoczęto przeszukanie. Na wierzchu nie znaleziono nic podejrzanego. Szafa była zamknięta na cztery spusty.

- Klucze! - ostro zabrzmiał głos kapitana.

Basiorski milczał.

Nie wykonał najmniejszego choćby ruchu. Kostrzewa sięgnął ku rozłożonym na stoliku przedmiotom wydobytym z kieszeni kucharza.

- Tu są.

Kapitan wskazał niechętnym kiwnięciem głowy na drzwiczki szafy.

- Otwórz więc.

Kostrzewa podszedł ku szafie. Basiorski spojrzął w ślad za nim apatycznie i natychmiast znów zwiesił głowę. Było mu już widocznie wszystko jedno.

Zameczki od naładowanych teczek trzeba było oderwać, bo Basiorski ukrył gdzieś kluczyki. Zaprezentowanie niepowoływanym oczom uniwersalnego wytrycha było oczywiście nie do pomyślenia.

Kostrzewa zaczął kolejno wykladać zawartość teczek na stół: paczkę zielonkawych banknotów. Sporo tego było i wszystko większe nominały. Kilkanaście złotych monet. Sześć sztuk zagranicznych zegarków wysokiej marki. Cztery nowe aparaty fotograficzne. Wielkie szkła soczewek świadczyły, że musiały być bardzo kosztowne. Kilkanaście wiecznych piór w ozdobnych opakowaniach.

- Co o tym możesz powiedzieć, Basiorski? - nie wytrzymał wreszcie kapitan.

Kucharz nadal milczał. Wyraz jego twarzy zdawał się świadczyć, że rezygnuje z tłumaczenia się w obliczu tego rodzaju dowodów.

Z kolei wszyscy przeszli do magazynu podręcznego. Bartczak bowiem wpadł na pomysł, że w tych warunkach należy i tam przeprowadzić rewizję.

Sprawdzono stan produktów z książką. Wiele pozycji się nie zgadzało.

- Gdzie się podziała reszta?

Kucharz nie przejął się pytaniem.

- A czy ja mogę pamiętać każdą puszkę konserw? Rozeszło się... - burknął niedbale.

Bartczak wpatrywał się zamyślonym wzrokiem w zakurzone półki. Więc jeszcze do tego wszystkiego oczywiste złodziejstwo. Niezły sobie komplecik.

Kostrzewa zainscenizował odkrycie zamaskowanych drzwi, odsuwając, niby to w ferworze poszukiwań, skrzynie. Bartczak wytrzeszczył oczy.

- Skąd znów wzięły się tu te drzwi?

Z ust kucharza wydobył się nieokreślony dźwięk. Ni to śmiech, ni to stęknienie.

- Przecież ich nie zrobiłem.

Kapitan przypomniał sobie. Prawda. To w czasie tego niedokończonego remontu, przeprowadzanego przed trzema laty. Poszerzono wtedy ładownię kosztem innych pomieszczeń. W tym miejscu znajdowała się przedtem lodownia. Skasowano ją. Drzwi również miały zostać zanitowane na stałe. Nie zdążono. Wobec awarii innej jednostki wypadł ponadplanowy pilny rejs. Cóż zresztą komu przeszkadzały? Ale chyba wszyscy na statku zapomnieli o ich istnieniu. Bodajże nawet nie figurowały na planie.

Nachylił się, oglądając uważnie drzwi.

Zakrętki odśrubowane i odsunięte na bok. Wystarczyło pchnąć ręką. Pchnął rzeczywiście. Ustąpiły lekko i bez szmeru.

Zamyślił się. Czyżby jedna z dróg, za pomocą której cień zniknął bez śladu?

- Poświećcie no.

Silne światła mocnych latarek rozcięły na części mrok zalegający ładownię.

Serty skrzyń i nic więcej. Nie dosłyszano również żadnego podejrzanego odgłosu. Tylko z jakiegoś ciemnego kąta dobiegał chrobot szczura obgryzającego skrzynkę. Ale to raczej również przemawiało za tym, że w ładowni nie ma nikogo.

Poleciał zaśrubować nakrętki. Zakleił drzwi paskami papieru, które zaopatrzył własnym podpisem. Ten znacznie trudniej byłoby podrobić niż odcisk jakiegokolwiek pieczęci, choćby posiadała najbardziej nawet skomplikowany układ.

Ruszyli w kierunku trapu. Rewizja była skończona.

Bartczak patrzył z obrzydzeniem na oklapniętą postać Basiorskiego, który powłóczył ociężałe nogami, jakby ledwo się na nich trzymał. Lepszy ptaszek - pomyślał.

Kazał go zamknąć w jednej z pustych kajut na dole. Sam sprawdził wytrzymałość drzwi i zamka. Zarządził ustawienie warty.

- Proszę wybrać najbardziej sprytnych chłopaków - powiedział Bociańskiemu. - Bo gdyby się coś stało... No... Osobiście pan za niego odpowiada, pilnujcie go więc jak oka w głowie.



Wciągnął głęboko powietrze, gdy znalazł się z powrotem na pokładzie. Co za brudy, co za przekłete brudy!

Z ciężkim sercem zasiadł do pisania protokołu. Przez dłuższą chwilę obracał pióro w palcach. W jaki sposób temu Basiorskiemu udawało się przez tak długi czas przed wszystkimi maskować? Niemal byłby gotów za niego ręczyć. Bo że sam nie zauważył nic podejrzanego w jego zachowaniu... Cóż... Nie jest w stanie patrzeć na ręce kilku dziesiątkom ludzi naraz. Ale żeby żaden z marynarzy? Folta, który spędza z nim większą część dnia... Kropidło, który widuje się z nim po kilkanaście razy w ciągu doby... Widocznie nie można zbyt ufać ludziom, których się nie zna tak dokładnie jak siebie samego.

- Paskudna sprawa - westchnął, otrząsając pióro. - Czyż w ogóle można sobie wyobrazić coś jeszcze bardziej paskudnego?

Wypisał kaligraficznie nagłówek: „Protokółh.

Popatrzył na papier ze smutnym uśmiechem. W ostatnich czasach coraz więcej nabierał wprawy w sporządzaniu tego rodzaju pism.

## XII

Wiatr ucichł niemal zupełnie. Fale przelewały się z sennym bulgotaniem.

Kostrzewa stał na rufie oparty o poręcz nadburcia.

Błądził zamyślnym spojrzeniem po rozgwieżdżonym niebie. O ileż bogatsze od tego, pod którym spędzał dotychczas życie. A przecież tchnęło obcością.

Przebiegał myślą zdarzenia ostatnich dni. Jedna z niewiadomych przestała być tajemnicą. Ale czyż to posunęło choćby o krok sprawę rozwiązania reszty?

Ileż ich jeszcze pozostawało na statku: Kaniewski, Marska, Frączek. A przede wszystkim ten, który przemykał się w mroku nocy po statku jak bezcielesny cień. Wykluczone, by mógł być nim Basiorski. Sylwetka grubasa była zbyt charakterystyczna, by jej nie poznać choćby w największym mroku. Marska także nie. A Kaniewski? Czyż można odpowiedzieć na to pytanie, opierając się na materiale, który dotychczas zdołał zebrać? Oczywiście, że nie. Najprawdopodobniej jednak cieniem był ktoś spoza grona podejrzanych. Ktoś, o kim nie wiedział dotąd nic. Zapalił papierosa. Sprawa bynajmniej nie przestawała w dalszym ciągu przypominać zamkniętego w twardej skorupie orzecha.

Skrzydła śruby rozbijały wodę z monotonną jednostajnością - W oddali ledwo dostrzegalnymi iskierkami rozblyskiwało światło latarni morskiej. Za parę godzin statek zawinie do portu.

- Zaduma Kostrzewy stała się jeszcze głębsza. I co dalej?

## XII. A TYMCZASEM W GDYNI..

### I

- Ta sprawa ma ścisły związek z tym wszystkim, co się dzieje na „Jednościh - oznajmił

niespodziewanie Lerski.

Miechowicz spojrział na niego zaskoczony.

- Skąd ta pewność?

- Niestety, nie mogę panu przedstawić, majorze, żadnych konkretnych dowodów. Ale jestem najmocniej przekonany, że właśnie...

Major pomyślał przez chwilę. Posunięcie, które zaproponował przed chwilą Lerski, daleko odbiegało od poprzednio ustalonego planu. Mieć pod ręką melinę i likwidować ją, rezygnując z dalszej obserwacji? Przekonanie? To też nie było pozbawione znaczenia... Żywił głębokie zaufanie do intuicji śledczej Lerskiego.

- Dobrze - zgodził się wreszcie, zamykając z trzaskiem sztywną obwolutę pękających akt - niech będzie...

Projekt użycia samochodów Lerski odrzucił z miejsca.

Już i tak nastawiają uszu na wszystkie strony. Cóż z tego, że zaciągniemy sieć? Diabli wiedzą, co oni tam pourządzali. Tak długo już siedzą. To lepsze ptaszki. Wyznaczeni przez Lerskiego ludzie wychodzili po jednym. Na oko zwyczajni przechodnie w czasie wieczornej przechadzki. A przecież czujność każdego z nich napięta była do ostatnich granic. Kieszenie płaszczy obciążały naładowane pistolety. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że dzisiejszy wieczór może być ostatni w ich życiu.

- Jak najwięcej luzu w zachowaniu - napominał na odprawie Lerski. - To przecież całkiem odludna ulica. Nie możecie liczyć na zgubienie się w tłumie przechodniów. Należy wziąć pod uwagę, że w pobliżu willi będziecie czujnie obserwowani. Może zresztą znacznie wcześniej.

Przed oświetloną wystawą zamkniętego już sklepu stał szczupły młodzieniec w ciemnym płaszczu. Zdawało się, że nic go nie obchodzi poza rozłożonymi na wystawie artykułami sportowymi. Na odgłos kroków odwrócił jednak powoli głowę. Błysnęły w półmroku oczy. Lerski dał mu ledwo dostrzegalny znak ręką. Młodzieniec zajął się znowu oglądaniem wystawy. Lerski był zadowolony. Ludzie czuwali na swoich posterunkach.

Dalej ulica była jeszcze bardziej pusta. Odgłos kroków rozlegał się alarmująco głośno. A może mu się tak wydawało? Po paru chwilach, niby echo, odpowiedział z przeciwległej strony stukot drugiej pary podszew. Potem trzeciej.

Lerski zagryzał wargi. Wałą nogami jak na paradzie. Natychmiast się zresztą zreflektował. Szli normalnie. Tak jak polecił. Nie mogli przecież maszerować na czubkach palców. To właśnie zwróciłoby uwagę.

Zaczął nadśluchować. Oczekiwanie przeciągało się w nieskończoność. Pospali się czy co u licha?

Z oddali dobiegł gwar wielkomiejskiej arterii. Urywaniem dźwiękiem buczały klaksony. Zagrzecotała po brukowanej nawierzchni ciężarówka. Gdzieś wysoko ponad dachami domów przepłynęło przeciągłe buczenie syreny jakiegoś statku.

Tu było teraz cicho i sennie. Nawet odgłos kroków ucichł bez echa.

Po przeciwległej stronie ulicy czerniała zgięta sylwetka. Ktoś, opierając nogę na podmurówce ogrodzenia, poprawiał sznurowadło. Czynił to zadziwiająco długo.

Na tle winorośli, gęsto oplatającej żelazne sztachety nieruchomości numer 6A, postać Kaźmierczaka stawała się niemal niewidoczna. Lerski zniecierpliwiał się. Dlaczego ci wszyscy już od dawna czekali na swoich miejscach, a tamci... Mieli wprawdzie znacznie trudniejszą trasę, ale jednak...

Nagle wyprostował się. Ochrypy, pijacki głos zanucił urywek popularnego tanga. Po chwili urwał, przechodząc na inną melodię. W końcu na trzecią...

Nareszcie. Tu nie mogło być żadnej omyłki.

Długim krokiem podszedł ku ostro zakończonym sztachetom. Kącikiem oka dojrzał, jak człowiek, wciąż jeszcze manipulujący przy swoim obuwiu, wsunął prawą rękę do kieszeni.

- Zaczynamy - szepnął cicho Lerski.

Żelazne pręty były dosyć wysokie. Wyostrzone szpikulce na końcach sterczały groźnie niczym groty dzid.

Nie wolno było spowodować najlżejszego choćby szelestu. Nie upłynęły nawet dwie minuty, gdy obydwaj wylądowali w ogródku.

Kaźmierczak lekko zeskoczył, niemal jednocześnie z Lerskim.

Odbezpieczyli pistolety. Wchodzili już bowiem w strefę bezpośredniego zagrożenia.

Ostrożnie stąpając po żwirze ścieżki, podeszli ku ciężkim masywnym drzwiom. Lerski niechętnie wyciągnął palce w kierunku białego tastera dzwonka. Gdyby mieli pewność, można by formalności uniknąć. Ale niestety pewności nie mieli. Przytłumionym echem dobiegło terkotanie. Potem cisza. Dom jakby zupełnie wymarły. Według danych Urzędu Kwaterunkowego mieszkała tu cała masa lokatorów. Lerski od dawna już był przekonany, że większość figurujących tam nazwisk stanowiła „martwe dusze”. Zadzwoił znowu. Przeczekał chwilę. Ten sam rezultat.

„Czyżby pomimo wszystko zdążyli się ulotnić?” - pomyślał. Raporty wprawdzie... Co tam raporty. Ludzie są przecież omylni. Nachylił się nad zamkiem. Od tego trzeba było zacząć. W takich okolicznościach tracić czas na formalistykę...

Cichy chrobot i zamek odskoczył.

Nacisnął klamkę. Drzwi jednak nie ustąpiły. Zaryglowane? Zaklął. Trzeba szukać innej drogi.

Szyby połyskiwały jednolitą czernią. Okiennice. Na pewno nie mniej solidne niż drzwi. Wyważanie ich mogło wchodzić w rachubę jedynie jako ostateczność. Ale zarówno istnienie okiennic, jak i ewentualność zaryglowanych drzwi zostały z góry wzięte pod uwagę. Nikt nie łudził się nadzieją, że wejście do tego budynku pójdzie zbyt łatwo.

Dał znak ręką.

Przygięci ku ziemi pobiegli na tyły domu. Okno kuchni zamiast okiennicy do niedawna zabezpieczała kratka. Przed dwoma dniami długa, stanowczo zbyt długa jak na wysokość sąsiedniego budynku, drabina runęła przez ogrodzenie, uderzając końcami właśnie w tę kratę, która uległa poważnemu uszkodzeniu. Przy sposobności poleciały oczywiście również i szyby. Sprawca wypadku był przygotowany na pokrycie wszystkich wynikłych z tego powodu strat. Nikt się jednak po odszkodowanie nie zgłosił. Szyby wprawiono natychmiast, kratę jednak trzeba było oddać do naprawy. Obiecano podwójną zapłatę za szybką naprawę, mimo to kratka wciąż jeszcze nie była gotowa. Lerski trzymał się zasady, że należy zdarzeniom coś niecoś pomagać. I że lepiej przewidzieć wszelkie ewentualności.

Okno znajdowało się dość wysoko. Kilka zwinnych ruchów, podważenie dłutkiem skrzydła okna, i obydwaj skoczyli w gęstą ciemność wypełniającą pokój.

Lerski nacisnął guzik latarki. Niemal w tym samym momencie gruchnął huk szybko następujących po sobie wystrzałów. Coś z impetem wyszarpnęło mu z ręki latarkę. Zgasła, uderzając o podłogę. Dobrze, że ją trzymał w odległości wyciągniętego ramienia. Światło, to bardzo zachęcający cel...

- Padnij! - syknął Lerski, przywierając do zimnej terakoty podłogi.

Wycelował w kierunku błysków. W ostatnim momencie obniżył lufę. Przestępcę należało ująć żywcem. Pociągnął parę razy za cyngiel, prowadząc lufę półkolem. Zduszony jęk świadczył o trafieniu.

Natychmiast przestał strzelać.

- Rzuć broń! - krzyknął. - Ręce do góry!

Ranny oddalał się w kierunku przeciwległych drzwi.

- Stać! - wrzasnął Lerski. - Stać! Bo kula w łeb!

Jednocześnie, nie zważając na niebezpieczeństwo, poderwał się na nogi i skoczył w tamtym kierunku. Za późno. Z hukiem zatrasnęły się drzwi. Zgrzytnął dwukrotnie przekręcony klucz.

- Cholera! - zaklął Lerski w bezsilnej wściekłości. - Żeby spod samego nosa...

Naparł z całych sił na drzwi ramieniem. Tuż obok sapał z wysiłku Kaźmierczak.

- Ależ diabelnie mocne.

Po drugiej stronie szurały miękkie kroki. Lerski zaciskał Pięści.

- Ucieknie...

Uderzyli z rozpaczliwym wysiłkiem. Trzasnęło. Drzwi odskoczyły. Wpadli do następnego pokoju. Tu było jeszcze ciemniej. Żadna jaśniejsza plama nie wskazywała położenia okien. Okiennice musiały być niezwykle szczelne.

Błysnęło ostre światło latarki Kaźmierczaka. Smuga białych promieni zatoczyła koło. Z mroku wystąpiły złocone desenie tapety. Pokój był pusty. Podbiegli ku przeciwległym drzwiom znowu

zamknięte. Musiały mieć jednak znacznie słabszy zamek. Dały się wyważyć niemal od razu.

Z kolei znaleźli się w obszernym przedpokoju.

Ktoś łomotał gwałtownie do drzwi wejściowych. Widocznie pozostawieni na punktach obserwacyjnych funkcjonariusze, usłyszawszy strzelaninę, spieszyli z odsieczą.

Odblask światła latarki przesunął się po gładkich drzwiach widniejących naprzeciwko wejścia. Do ich wyważenia zabrał się Kaźmierczak. Lerski tymczasem zaczął odsuwać potężne rygle.

Ledwo uporał się z ostatnią sztabą, ostro szarpnięte skrzydło odskoczyło z łoskotem.

Do przedpokoju wpadli Brabała i Sobiesiak. Od razu zrobiło się jasno.

Zalśniła stal gotowych do strzału pistoletów.

Twarze przybyszów odprężyły się.

- Myśleliśmy, że już po was - wargi Sobiesiaka drgnęły w skąpym uśmiechu.

- Pomóżcie - sapnął Kaźmierczak. - Mocne niczym kasa ogniotrwała. Naparli wspólnym wysiłkiem. Nagle wszyscy znieruchomieli. Gruchnął pojedynczy strzał.

## II

Mężczyzna w nienagannie skrojonym garniturze spacerował po pokoju, paląc papierosa za papierosem. Wreszcie przystanął.

- Jesteś pewna?

Spojrzała na niego spod oka. Niekiedy działał jej na nerwy. Po co przymykać oczy na niebezpieczeństwo? Strusia polityka nie miała najmniejszego sensu.

Potrząsnęła głową. Włosy zalśniły złocistym połyskiem.

- Mało ci jeszcze tego, co opowiedziałam? - Głos jej brzmiał lodowatym chłodem. - Potrzebujesz dodatkowych ogniwi? Nie miej złudzeń. Nastąpią. Przypuszczam jednak, że będą to ogniwa ręcznych kajdanków. I nie zapominaj, że nawet one będą stanowiły dopiero wstęp.

Mężczyzna zmiotosił niedopalonego papierosa, rzucając go do wielkiej kryształowej popielniczki.

- W takim razie - pobladł nagle - nie pozostaje chyba nic innego jak likwidacja punktu?

Przyglądała się przez chwilę swym pokrytym jaskrawą emalią paznokciom.

- Tak - westchnęła wreszcie. - Też nie widzę innego wyjścia. A szkoda. Tak się tu wygodnie urządziliśmy.

Wyciągnęła się w klubowym fotelu.

- Szkoda - powtórzyła.

Mężczyzna stał wciąż w miejscu, wpatrując się z napięciem w jej twarz. Ona była zwierchnikiem i od niej zależała decyzja.

- Kiedy likwidujemy? - zapytał z niecierpliwością w głosie. Obrzuciła go lekceważącym spojrzeniem. Mięczak. Nie jest w stanie w tej chwili myśleć o niczym innym jak tylko o ucieczce. Niezły do roboty, dopóki wszystko idzie względnie gładko.

- Kiedy? - powtórzył pytanie.

Umysłnie wytrzymała pauzę. Zaczynał w niej wzbudzać wstręt. Nie znosiła ludzi o słabych nerwach. Nie mogli przydzielić jej kogoś wytrzymalszego? Chociaż dotychczasowe jego zachowanie nie dawało podstaw do żadnych zastrzeżeń. Ale za to teraz...

- Kiedy? - powtórzył po raz trzeci.

- Nudny jesteś. Zrozum, że teraz nie czas na histerię.

Zesztywniał.

- Przecież nie histeryzuję, ale...

- W każdym razie nie radziłabym histeryzować także w przyszłości.

W oczach rozjarzyły się zielonkawe ogniki. Szybko uciekł wzrokiem. Niekiedy odczuwał przed nią trudny do pokonania lęk.

- Likwidację przeprowadzamy jutro o świcie. Otrzymasz awaryjne dokumenty i pieniądze. Każde z nas ulatnia się na własną rękę. Punkt zborny...

- Przecież wiem - przerwał jej. - Porozumiałaś się z Centralą?

- Tak. Zawiadomiłam ich dziś po południu.

- Wyrazili zgodę?

- To było zbędne. Mam daleko sięgające pełnomocnictwa jeżeli idzie o tutejszy teren. - Ruchem przyzwyczajenia poprawiła fałdę sukni. - Dzisiejszą noc musimy poświęcić oboje na zacieranie śladów. Nie wolno zostawić nitki, po której mogliby trafić do kłębka. Tu nie brak psów gończych o nadmiernie czułym węchu. Poza tym zaś... - Nagle urwała, zaczynając nadśluchiwać.

- Tss. Zdaje się, że ktoś wszedł do ogródka - syknęła ostrzegawczo.

- Przecież furtka...

- Zamilknij!

Słuchała z natężeniem.

- Tak - zniżyła głos do szeptu. - Idą ścieżką. Dwóch. Bardzo ostrożnie. Teraz wstępują na schody.

Wreszcie i on usłyszał. Wlepił wyczekujący wzrok w widniejące za otwartymi drzwiami pokoju

drzwi wejściowe. Sięgnął do tylnej kieszeni spodni, wyjmując pistolet dużego kalibru. Zarepetował, wprowadzając nabój do lufy. Odsunął bezpiecznik. Wsunął broń do bocznej kieszeni marynarki, nie wypuszczając jej z ręki. Czekał.

Popatrzała na niego z ukosa. No cóż, to było usprawiedliwione. Otworzyła leżącą na stole torebkę. Mały pistolecik sprawiał wrażenie raczej zabawki.

Ostro zaterkotał dzwonek.

Odetchnęła.

- Skoro dzwonią...

Trwali bez ruchu. Znowu dzwonek. Przymrużył ironicznie oczy. Niech sobie dzwonią.

Upłynęło kilka chwil. Nagle rysy jej twarzy stężały. Charakterystyczny chrobot, dobiegający z tamtej strony drzwi, nie pozostawiał miejsca na dalsze złudzenia.

Trzasnął odskakujący zamek. Sięgnęła po torebkę. Ruchy miała spokojne.

A więc omyliła się o kilkanaście godzin.

Rozmyślała z gorączkowym pośpiechem nad sytuacją.

Drzwi, okiennice. Solidny dąb gęsto nabijany ćwiekami. Grube, stalowe sztaby. Nieprędko się z tym zdołają uporać. Prawda, kuchnia. Kuta krata zabezpieczałaby okno nie gorzej niż okiennice. Ale tej kraty przecież tam nie było.

- Kuchnia! - powtórzyła rozkazującym szeptem. - Przypilnuj okna. Jeśliby weszli, poczęstuj odpowiednią porcją kul. To powinno ostudzić ich zapały. Jeżeli którego ukatrupisz, dodatkowa gratyfikacja.

Pobiegł bez słowa.

Zgarnęła torebkę, przechodząc do przedpokoju. Pociągnęła rączkę automatu. Światło zgasło. Silnym szarpnięciem wyrwała dźwignię. Była osadzona na specjalnych, sprężynowych uchwytych. Zabrała ją ze sobą. Niech się trochę pomęczą. Każda sekunda miała swoją cenę. Weszła do następnego pokoju. Tu właśnie były rzeczy, które nie powinny trafić w niepowołane ręce.

Popchnęła w bok wmurowane w ścianę lustro. Bezszelestnie otworzyły się drzwiczki pancерnej skrytki. Szybko ładowała do torebki paczki banknotów. Na dokumenty nie starczyło już miejsca. Głupstwo. Zmięta plik papierów i wrzuciła do dużego słoja napełnionego silnym roztworem kwasu siarczanego. Specjalnie był przygotowany na taką okazję.

W końcu ujęła blat masywnej komódki z siedemnastego wieku. Ona to maskowała zakonspirowane wyjście z willi.

Podziemny tunel docierał do piwnicy sąsiedniego budynku. Cóż z tego, że niski, byle jak wykonany i przykryty prowizorycznym stropem z desek? Położona na wierzchu darń czyniła go zupełnie niewidocznym. A w sąsiedniej willi stał, w każdej chwili gotowy do drogi, wyścigowy samochód o

potężnym motorze.

Pochyliła się, by odsunąć komódkę.

I właśnie w tej chwili usłyszała strzelaninę.

Więc jednak wiedzieli o niezabezpieczonym oknie. Nadśluchiwała, nie przerywając ani na chwilę krzątania przy odsłonięciu przejścia. Albo zdoła ich powstrzymać, albo... W każdym razie tu mógł pozostać jedynie trup. Drzwiczki były obite stalową blachą. Od wewnątrz solidne rygle. Też sporo czasu upłynie, zanim zdołają je sforsować. Równe zaś pięć minut wystarczy, by znaleźć się w samochodzie.

Znowu strzały. Stłumiony jęk... Miała wrażenie, że rozpoznaje głos. Jeżeli zabity na miejscu, wszystko w porządku. Jeśli jednak tylko ranny? To mocno komplikowałoby sytuację. Trzaskanie drzwiami. Teraz zamknęły się drugie. Jednocześnie załomotano gwałtownie do drzwi wejściowych.

Wyjęła pistolet, przewieszając torebkę przez ramię. W ten sposób miała obie ręce wolne. Zbliżyły się ciężkie, chwiejne kroki. Jakby ktoś z wysiłkiem poruszał nogami.

Nacisnęła guzik małej latarki, kierując światło na sylwetkę, która zaczerniała na progu. Jednocześnie wycelowwała w tym samym kierunku z pistoletu.

Opuściła broń. To był on. Opierał się ciężko o framugę drzwi. Piersią wstrząsał spazmatyczny rytm wysiłonego oddechu.

Po białej jak papier twarzy spływały wielkie krople potu.

- Roz... rozharatali mi nogę - wykrztusił.

- Wejź i zarygluj drzwi - rozkazała chłodno.

Usłuchał, choć widać było, że każdy najmniejszy ruch sprawia mu ogromną trudność. Obserwowała go krytycznym wzrokiem. Nie - pomyślała - nie podoła żadnemu większemu wysiłkowi.

Runął na fotel.

- Nie... powiem... żebył się... czuł zbyt dobrze... - głos rwał się jak pasma przegniłej przędzy.

- Tak - potwierdziła obojętnie - to widać. Czy będziesz w stanie przejść do samochodu?

- Musisz obandażować mi nogę - szczął zębami - zastrzyk wzmacniający i jakoś dojdę... Mamy przecież aż nadto dużo czasu - wskazał ruchem głowy na grubą blachę. - Zresztą muszę dojść.

W głębi mieszkania coś głośno trzasnęło. Nie miała wątpliwości, że to wyważono drzwi. Myśl jej pracowała precyzyjnie.

Przewaga czasu, na jaką liczył, mogła wcale nie być tak wielka. Opatrunek, zastrzyk. To pochłonęłyby całą masę cennych minut. Kto wie zresztą, czy po dokonaniu tych zabiegów odzyska na tyle siły, by zdołał przejść przez tunel. To nie było takie łatwe, szczególnie dla rannego. A i potem...



Znowu trzask. Prześladowcy byli już w przedpokoju. Naparli na drzwi.

Ranny sięgnął niemrawym ruchem do kieszeni, wyjmując zapasowy magazynek.

- Wykropiłem do ostatka. Muszę naładować. Nie mogę być przecież bezbronny.

Kobieta podeszła ku niemu. Już się zdecydowała. Nachylony nad pistoletem nie widział jej twarzy.

### III

- Nie - mruknął Kaźmierczak, ocierając pot z twarzy - gołymi rękoma nie da rady!

Lerski tarmosił koniec ucha.

- Diabli nadali! Może mają tu w szopie jakiś topór?

Brabała skoczył co tchu. Czekali, z trudem opanowując rosnące zniecierpliwienie. Co się tymczasem dzieje po tamtej stronie drzwi?

Wrócił zresztą nadspodziewanie szybko. Coś toczyło się z hałasem po betonie tarasu.

- Topór, owszem. Ale mam tu coś lepszego. - Pchnął ostatni raz nogą wielki pień do rąbania drzewa.

Kaźmierczak ucieszył się. Ujął pień oburącz. Pomimo wyjątkowej siły widać było, że uniesienie drewna nie przyszło mu łatwo.

- Taran jak ta lala - stęknął.

Przyłączyli się wszyscy i rozhuścili pień dla wzięcia rozmachu.

- Razz! - zakomenderował Lerski. Huknęło jak z armaty. Aż się mury zatrzęsły.

Uderzyli. Za drugim razem drzwi wyskoczyły z zawiasów, padając z ogłuszającym łomotem na podłogę. Skoczyli naprzód z bronią gotową do strzału.

- Stać! - krzyknął na wszelki wypadek Lerski. - Ręce do góry! W pokoju trwała niczym niezmacona cisza.

Światła latarek pocięły mrok na strzępki. Rozglądali się uważnie dookoła.

Ciało mężczyzny zwisało bezwładnie z fotela. Na podłodze połyskiwała ciemna plama o nierównych brzegach.

- Przecież celowałem w nogi. - Lerski przybliżył latarkę.

- Sam się zastrzelił - stwierdził Kaźmierczak. - Trzyma jeszcze pistolet w garści.

- A gdzie się podziała kobieta? - dziwił się Lerski. - Nie uleciała przecież przez komin?

- Trudno by było - parsknął Brabała, wskazując na połyskujący kaloryfer.

Trwało parę minut, zanim odkryli opancerzone drzwiczki. Wyważenie ich zabrało trochę czasu.

Z palcami na cynglach zeszedli do tunelu. Był bardzo niski. Musieli iść zgięci w pół.

Lerski przesunął ręką po wilgotnej ziemi ścian.

- Prowizorka. Ale niestety aż nadto wystarczająca - dodał ze złością. Po przejściu kilkudziesięciu kroków znaleźli się w piwnicy. Nikły promyk światła wskazywał dalszą drogę. Weszli do garażu. Otwarta brama wyjaśniała sytuację.

Lerski wsunął pistolet do kieszeni.

- I co nam zostało w garści? Trup, który nic nie powie, i na tym koniec. A stokroć cenniejszy ptaszek uleciał w obłoki.

Zaalarmowany przez Sobiesiaka wywiadowca, który dyżurował nieopodal rogu równoległej ulicy, przybiegł zdyszany.

- Owszem, widziałem samochód. Długi, sportowy. Chyba nawet wyścigowy. Przy kierownicy siedział jakiś mężczyzna.

- Mężczyzna? - nie pojmował Lerski. - Jak wyglądał?

- Trudno określić dokładnie. Samochód jechał szybko. Skórzana czapka na głowie i wielkie okulary. W zębach fajka. - To wszystko, co zdołał zauważyć. Poza tym tylko zanotował numer.

- Sprytnie - powiedział jakby do siebie Lerski - bardzo sprytnie. Fajka!

Lerski natychmiast polecił rozesłać telefonogramy pościgowe do wszystkich posterunków drogowych, chociaż nie miał zbyt nadziei, by dały jakiś rezultat.

Powrócili do pokoju, w którym leżały zwłoki.

- Został ranny w nogę, nie mógł uciekać i zastrzelił się - powiedział Sobiesiak.

Lerski przyglądał się przez chwilę w milczeniu.

- Tak - mruknął wreszcie. - Był ranny w nogę i nie mógł uciekać. To jest oczywiste. A czy się zastrzelił? Dziwny samobójca, który dopiero po śmierci zamierza naładować broń - wskazał zaciśnięty w rękę nieboszczyka magazynek. - I dziwna kula, kalibru jednaście, wybijająca w kości otwór o średnicy najwyżej siedmiu milimetrów.

Telefonogramy pościgowe, zgodnie z przewidywaniami Lerskiego, nie dały istotnych rezultatów. Samochód znaleziono na szosie w odległości siedemdziesięciu kilometrów od granic miasta. Był jednak pusty. Nie wykryto w nim niczego, co by mogło służyć jako podstawa do dalszych poszukiwań. Pasażerka zniknęła jak kamień wrzucony do wody. Natomiast rewizja przeprowadzona w willi dała jednak pewne wyniki. Na podłodze w przedpokoju, oprócz świeżych śladów krwi pozostawionych przez zabitego, znaleziono podejrzane plamy dawniejszego pochodzenia. Tafle posadzki w tym miejscu nosiły ślady wielokrotnego mycia czy nawet skrobania.

Lerski klęcząc, długo wpatrywał się w ciemniejsze klepki posadzki, posługując się silnie powiększającą lupą. Nie wątpił, że to krew. Gotów byłby się nawet założyć, nie czekając na wyniki

ekspertyz, że w tym miejscu zamordowano kogoś przed kilkoma tygodniami. Przetrzęsano wszystko z drobiazgową skrupulatnością. Opukiwano sprzęty i ściany. Poza otwartą na oścież, zupełnie opróżnioną skrytką nie znaleziono jednak żadnego potajemnego schowka. Z dna jednej z szaf wyłowiono spośród sterty różnych rupieci złocisty guzik ozdobiony wizerunkiem kotwicy.

Lerski w zamyśleniu obracał go w palcach. Skąd tu ten guzik. Żadne ze zbrodniczej pary nie nosiło przecież munduru.

### XIII ...I GDZIE INDZIEJ

#### I

Knajpa była podła i cuchnąca. Ale miała jedną zaletę: wpuszczano tu również i kolorowych.

Kariauzari odsunął kieliszek.

- Nie, nie będę pić twojej whisky.

Czarne oczy siedzącego naprzeciwko człowieka zmatowiały.

- Dlaczego? - głos brzmiał cicho i smutnie.

- Jak możesz o to pytać? Szkodzisz naszym braciom.

- Trzeba przecież jakoś żyć. Staram się im też pomagać. W miarę możliwości - powiedział to takim tonem, jakby prosił o potwierdzenie.

- Pomagać? - Kariauzari popatrzył przeciągle, aż tamten skulił się pod jego spojrzeniem. - Ty komuś pomagasz? Jakoś nie słyszałem.

- Czyż nie puściłem Jima Lestera? Daliby za niego dużo pieniędzy. Czyż go nie puściłem wolno? - powtórzył.

- Jednego. A ilu to siedzi przez ciebie w więzieniu? - zapytał Kariauzari. - Czy ty wiesz, co to znaczy oglądać niebo przez kraty? Bo ja już spróbowałem.

- Nie przeze mnie.

Człowiek rozmawiający z Kariauzarim jeszcze niżej opuścił głowę.

- Surowo mnie osądzasz.

Kariauzari gładził marmurowy blat stolika.

- Wiesz, jakby cię osądzili ludzie w naszej wiosce?

Milcząco sączył swoją whisky. Wiedział. Jakżeby mógł nie wiedzieć? Tam każdy wiedział, że Joe, dawny Mali, ma liczne twarze. Jedną bardziej kłamliwą od drugiej, a język rozdwojony jak język jadowitej żmii. Wydaje swych braci w ręce białych. Niedługo pożyłby w rodzinnej wiosce. Wzdrygnął się. Inaczej wyobrażał sobie to wszystko, gdy z nędznym tobołkiem na ramieniu opuszczał rodzinne strony, oczarowany tym, co słyszał od ludzi, co wracali z dalekiego świata. Nie ma dla

niego powrotu.

Mocny alkohol szumiał w głowie, potęgując smutek. Popatrzył zamglonymi oczyma na Kariauzariego.

- Więc co mam robić? Sam wiesz, że ci, dla których pracuję, którym służę, nie pozwolą mi odejść. Z tej służby jest tylko jedna jedyna droga - patetycznym ruchem wskazał palcem na ziemię.

- Można uciec.

Powstał niezdarnie z krzesła. Niezbyt pewnym krokiem podszedł do bufetu. Wrócił po chwili, przynosząc sobie napełniony kieliszek. Kariauzari obserwował go badawczo. „Tym lepiej, że pijanych - myślał. Spotkał się z nim przecież w pewnym ściśle określonym celu. Czyż można było nie wykorzystać dla dobrej sprawy faktu, że pochodzili z jednej wioski?

- Ucieknę - Joe jednym haustem wychylił whisky. - Zobaczysz... - język mu się już zaczął plątać.

Kariauzari nieznacznie ruchem zamienił kieliszki, podstawiając mu swój pełny. Nie zauważył. Widać było, że alkohol mocno buszuje pod jego czaszką. Machinalnym ruchem sięgnął po kieliszek, podnosząc go do ust.

Kariauzari postanowił wreszcie zaryzykować.

- Są ludzie, którzy by cię ukryli, gdybyś uciekł - zarzucił haczyk. Zresztą nawet przez najkrótszą choćby chwilę nie wierzył w szczerść słów tamtego. Albo udaje, albo przemawia przez niego whisky. Nie o to jednak chodziło.

W zamglonych oczach mignęły żółtawe ogniki. - Jacy ludzie? - przechylił kieliszek, wlewając jego zawartość do gardła. Ani się nawet skrzywił. Zupełnie jakby pił czystą wodę.

- Są... Nie wszystko jedno jacy? Pomogą ci. Ale musisz dowieść, że naprawdę chcesz się zmienić.

Joe wyprostował się na krześle.

- Tak - uderzył się w szeroką pierś, aż zadudniło. - Naprawdę chcę.

- Musisz tego dowieść - powtórzył Kariauzari.

Joe tarł włosy.

- Dowiodę - uderzył pięścią w stół, aż kieliszki podskoczyły z brzękiem. - Co mam uczynić?

- Pytałeś, co masz uczynić - przypomniał mu Kariauzari. - Powiedz więc.

Zamrugał niezbyt przytomnie powiekami.

- Co mam powiedzieć? - przechylił się ku niemu nad stolikiem. - Wszystko... co zechcesz.

- Powiedz, komu grozi aresztowanie? Ty przecież wiesz...

- Co? - wywrócił oczyma. - Myślisz, że nie powiem? - stuknął kieliszkiem o blat stołu.

- Więc komu grozi?

Wywrócił oczyma. Białka załśniły niebieskawym połyskiem.

- Johnsonowi! - niemal krzyknął, po czym rozejrzał się z przestachem na wszystkie strony. Okrzyk jednak utonął w pijackim rozgwarze. Nawet nikt nie odwrócił głowy w ich stronę. - Johnsonowi - powtórzył przyciszonym szeptem. - Chcą go... - wykonał w powietrzu ruch, jakby przekręcał klucz.

- I kto jeszcze ma zniknąć?

- Nie wiem - głos stał się płaczący. - O Johnsonie słyszałem, a o innych... - rozłożył ręce. - Skąd mam wszystko wiedzieć? - Pocierał zawzięcie czoło. - Aha... mówiłeś kiedyś o tym statku, którym przyplynałeś...

Kariauzari nastroszył się.

- Co z nim?

- Zależy ci na tych ludziach?

Kariauzariego opanował niepokój.

- Zależy. Traktowali mnie jak równego sobie.

Joe spojrzał na niego z pijackim roztargnieniem.

- To coś ci powiem. Tylko nikomu ani mru-mru.

Palce Kariauzariego zacisnęły się na blacie marmurowego stolika. Teraz już wiedział: towarzyszom z dalekiego kraju zagraża jakieś niebezpieczeństwo.

- Mów.

- Ci biali ze statku mają pobić tutejszych ludzi.

Kariauzari wytrzeszczył oczy.

- Jak to pobić? - Nic nie rozumiał. - Kogo? To jakieś żarty? Ale twarz tamtego wyrażała w tej chwili śmiertelną powagę.

- Kogo? Wszystkich. Wszystkich, kogo tylko napotkają na swej drodze. Białych, czarnych, żółtych... Może chcesz być jednym z pobitych? - popatrzył na niego zamglonym wzrokiem. - Ja ci to załatwię... Dziesięć szylingów i szklanka wódki. Za krew podwójnie. A jeśli byś miał szczęście i wylądował w szpitalu, to wszystkie koszty za drugą klasę i po pięć szylingów za każdy dzień. A wiesz, jak jest w drugiej klasie? Nawet we śnie nie widziałeś takich luksusów... Do końca życia będziesz marzyć, żeby tam powrócić. Chcesz?

Kariauzari potrząsnął bezradnie głową. To przekraczało jego zdolności pojmowania.

- Dlaczego mieliby kogoś pobić? I kto za to płaci?

Joe popatrzył w głąb opróżnionego kieliszka.

- Dlaczego?... To każdy wie... Komuniści... biją ludzi... Tacy już są... Każdego... W bójce rozmaicie się zdarza... Czyż w tłumie można dostrzec ramię, które zadaje cios? A kto płaci? Są tacy dobrzy ludzie.

Kariauzari skoczył do bufetu. Przyniósł całą butelkę, aż zmętniałe oczy Joe zajaśniały na jej widok. Kariauzari napełnił pospiesznie kieliszki.

Tę sprawę należało zbadać najdokładniej.

- Po co to wszystko? - zapytał.

- Aaa - Głowa Joe chwiała się, jakby akompaniując bulgotowi przelewanej do kieliszka wódki. - Niedobrze zbyt dużo wiedzieć. To przystoi tylko starcom i czarownikom... Zresztą... jeden z nich już pobił... Bez jednego... statek mógł wypłynąć... Cóż znaczy jeden? Ale jeżeli zamknie się kilkunastu?

W głowie Kariauzariego zaczęło się powoli rozjaśniać. Więc o to chodziło? Kieliszek Joego już ani przez chwilę nie stał pusty.

- Znajdą sobie innych - rzucił z prowokującą niedbałością - bo to brak w porcie marynarzy, którzy tylko czekają na okazje dostania się na jakikolwiek statek?

Prowokacja poskutkowała. Joe wlepił w niego oczy.

- Komunistyczny statek nie dostanie ani jednego dobrego marynarza. Ani jednego! - niemal krzyknął, chwając się na krześle.

- Tego przecież nikt nie potrafi urządzić - podlał oliwy do ognia Kariauzari. - Tylu ludzi bez pracy.

Joe dźgnął palcem w swoją pierś z takim impetem, jakby ją zamierzał przedziurawić.

- Jeżeli ktoś w ogóle wejdzie na ich pokład, to taki tylko, co nic nie potrafi... Albo taki, co potrafi zbyt dużo... Tak... Zbyt dużo - powtórzył, wodząc palcem w powietrzu, jakby podkreślał jakieś, sobie tylko widoczne, wypisane przed oczyma słowa. - Otóż to... A co tacy... - język plątał mu się coraz bardziej - zrobią, żeby statek płynął, jak należy? Nie umieją... A jeżeli coś zrobią, to wszystko źle... wszystko źle...

Kariauzari siedział sztywno i niemo. Wiedział już wszystko, co trzeba. Myśl jego pracowała z wysiłkiem.

## II

Skromna willa, w której gościł profesor Tomski, oczekując na przybycie polskiego statku, leżała trochę na odludziu.

Jej właściciel, doktor Jozue Brandstone, zaprosił Tomskiego do swego domu, zdając sobie w pełni sprawę z konsekwencji tego faktu. Czyż mu zresztą o nich niemal zupełnie otwarcie nie napomykano?

Nawet dyrektor szpitala, w którym Brandstone był ordynatorem, poruszał kilkakrotnie ten temat.

- No, wie pan, doktorze, żeby mieć pod swoim dachem takiego zaprzańca i bolszewika? - kiwał z dezaprobatą głową. - Opinia czynników miarodajnych...

Ale doktor Brandstone był człowiekiem upartym. I niewiele się liczył z opinią „miarodajnych czynników”. Podziwiał Tomskiego. Trzeba mieć niemało odwagi, by w tych warunkach wyróżnić potentatom zza oceanu prawdę w oczy, spakować manatki i hajda tam, dokąd ciągnie serce i sumienie. Tyle lat przecież siedział w Stanach. Dobrze mu się tam powodziło. O tym wiadomo powszechnie. Pałacyk, samochody, zawrotne honoraria. I jednym pociągnięciem pióra wyrzec się tego wszystkiego?

Uważał, że energia jądrowa powinna służyć dobru ludzkości, a nie działać na jej szkodę. Doktor Brandstone podpisywał się pod tym obiema rękoma.

Właśnie dla podkreślenia swego uznania Brandstone zaoferował profesorowi gościnę. Poznali się kiedyś przed laty na jednym z kongresów naukowych.

Był dumny, że ma go u siebie. A czy to się komu podoba, czy nie... Miałby ustąpić przed coraz bardziej bezceremonialnym naciskiem? To nie leżało w jego zwyczaju.

Niech sobie robią, co chcą. Ani myślał dać się zastraszyć.

Kiedyś Tomski zastał doktora przy nieoczekiwanym zajęciu. Brandstone czyścił z zapalem wielkiego kolta kalibru czterdzieści cztery. Broń wyglądała niemal na muzealny eksponat.

Profesor popatrzał na niego ze zdziwieniem.

- Ma pan zamiar ćwiczyć się w strzelaniu z krótkiej broni, doktorze?

- Hm... - mruknął Brandstone - różnie się może zdarzyć. I panu radziłbym się zaopatrzyć w coś w tym rodzaju. Wraca pan niekiedy tak późno.

Tomski roześmiał się.

- Miałbym taszczyć taką armatę?

- Och, dałoby się łatwo zdobyć coś znacznie bardziej poręcznego. Taką małą maszynkę, która nawet nie obciąży kieszeni.

Tomski jednak śmiał się w dalszym ciągu.

- Jestem panu niezmiernie wdzięczny za jego troskliwość. Ale mam wrażenie, że pan przejaskrawia niebezpieczeństwo. Na pięści mam pięści. I to, proszę wierzyć, całkiem niepoślednie.

Brandstone spojrział na niego spod oka.

- A jeżeli ewentualni napastnicy użyją broni, również zamierza pan przeciwstawić im gołe pięści?

Tomski podszedł ku niemu i objął go wpół.

- Naprawdę nie warto się tak przejmować, doktorze. Mam odgrywać rolę bojowego czołgu? Nie

myślę, żeby zachodziła ku temu konieczność. W jakąś bójkę gotów jestem ostatecznie uwierzyć. Ale użycie broni? - pokręcił głową. - Nie, na to by się jednak nie odważyli, choćby nawet mieli apetyt pożreć mnie żywcem. Tu przecież ostatecznie nie Chicago.

Pomimo dalszych perswazji Tomski nie dał się namówić na zakup pistoletu.

### III

Nie, nie było czarnych zasłon na oknach ani złowieszczych emblematów, ani masek czy kapturów skrywających twarze. Nie trzeba było nawet wymieniać tajemniczych haseł przy wejściu.

Wielki salon, eleganckie meble, obrazy na ścianach.

A przecież w tym salonie odbywała się właśnie narada kierownictwa Ligi Obrońców Kultury Europejskiej, to jest organizacji nielegalnej i zakonspirowanej. Przynajmniej według oficjalnej wersji.

Wielki Pierwszy, Max Brandley, prezydujący na dzisiejszym zebraniu, mógłby bez większego trudu wymienić co najmniej czterech spośród Rady Dziesięciu, którzy byli członkami Intelligence. Na przykład choćby Wielki Trzeci, w życiu codziennym noszący nazwisko Comby. Albo Wielki Szósty, którego dokumenty opiewały na nazwisko Willkins. Co do pozostałych dwóch również nie miał najmniejszych wątpliwości. Reszta Rady też wiedziała o tym i jakoś nikomu świadomość ta nie spędzała snu z powiek. Raczej wręcz przeciwnie: napawała ich poczuciem tym większego bezpieczeństwa.

Temat narady był ten sam co i trzech poprzednich: sprawa profesora Tomskiego.

Pomimo poruszenia szeregu sprężyn nie potrafili się jakoś z nią dotychczas uporać. A czas zaczął naglić. Nie tylko zresztą czas.

- Tak - Brandley pokiwał z ubolewaniem głową. - Niestety, wiadomość, w którą nie chcieliśmy początkowo uwierzyć, potwierdza się. To przeklęte pudło zdołało dzięki jakiemś diabelnemu pechowi wyminąć wszelkie przeszkody i należy się obawiać, że zwinie do portu punktualnie.

Czterej z Intelligence siedzieli jak mumie. Oni wiedzieli o tym już znacznie dawniej. Ale wśród pozostałych uczestników narady zapanowało wzburzenie.

- To znaczy - niemal jęknął Wielki Siódmy, spoglądając na zegarek - że mamy do dyspozycji nie więcej niż pięć godzin?

- Tak - potwierdził Brandley - ani minuty dłużej.

- Więc wszystkie nasze dotychczasowe plany biorą w łeb? - Wielki ósmy wyraźnie się zmartwił. Za załatwienie tej sprawy była przewidziana specjalna, całkiem pokaźna premia.

- Nie - Brandley potrząsnął gwałtownie głową. - O zaniechaniu planów nie może być nawet mowy.

- Plany te - ciągnął dalej Brandley - w związku z zaszłymi okolicznościami muszą ulec jednak pewnej modyfikacji.



- Przyspieszeniu - wtrącił Wielki Siódmy. Nie mógł się opędzić od myśli, że pieniądze, na które liczył już z całą pewnością, mogłyby przelecieć mu koło nosa.

Brandley spojrział na niego z ukosa, nie przywołał go jednak do porządku. W takich warunkach trudno zbytnio normalizować. Nie było zresztą czasu na jałowe dyskusje.

- Tak - potwierdził. - Przyspieszenie, oczywiście. Ale nie tylko.

Wiadomość wywołała niejake zamieszanie. Zamiast co najmniej dziesięciu godzin - tylko pięć? Skrócenie do połowy czasu do dyspozycji musi z konieczności pociągnąć za sobą pewną prowizoryczność akcji.

- Prowizoryczna czy nie - westchnął Wielki Siódmy - aby się tylko udała.

- To - Brandley odwrócił się ku niemu - w pierwszym rzędzie będzie zależało właśnie od pana.

Wybór nie stanowił bynajmniej przypadku. Jeżeli chodziło o jakąkolwiek sprawę pachnącą dobrym biznesem, Wielki Siódmy potrafił się w nią wczepiać niczym głodny pies w przerosła mięsem kość. Było mało prawdopodobne, żeby ją popuścił, choćby cały świat naokoło walił się w gruzy.

Wielki Siódmy wyprostował się w fotelu i z miejsca nabrał energii. Miał sam zająć się przeprowadzeniem tej sprawy? To oczywiście pachniało dodatkową gratyfikacją.

Przystąpiono do omówienia szczegółów zamierzonej akcji.

Wokół ogródka otaczającego willę, w której zamieszkał Tomski, zaczęli się snuć jacyś ludzie.

Gdy profesor wychodził na miasto, ruszali za nim w przyzwoitej odległości. W uliczkach tej willowej dzielnicy wykorzystywali osłonę roślinności. Na ludnych ulicach stawali się zwykłymi przechodniami, zdając się nie interesować w najmniejszym nawet stopniu osobą Tomskiego. Ludzie zmieniali się co parę godzin. Nie było jednak żadnej przerwy w obsadzaniu posterunków.

Gdyby Tomski miał zwyczaj oglądania się poza siebie, prawdopodobnie w końcu zauważyłby tę milczącą asystę. Zapomniał już o przestroгах doktora Brandstonefa.

Tego dnia wracał jeszcze później niż zazwyczaj. Było już daleko po północy. Ulice, dość jeszcze ludne w śródmieściu, stawały się coraz bardziej puste w miarę, jak się tu zagłębiał. Ta część miasta zasypiała znacznie wcześniej niż pozostałe.

W wysadzonych drzewami alejach nie napotkał żywej duszy. Tylko z rzadka asfaltową jezdnią przemykał bezszelestnie jakiś pojazd. Kroki profesora dźwięczały głucho. Niby przytłumione echo odpowiadał im odgłos jakichś innych. Kilku ludzi szło uparcie w trop za nim. To trwało tak długo, że w końcu musiało zwrócić jego uwagę.

Czyżby jednak doktor Brandstone miał rację? Nieprzyjemne uczucie ogarniało go z coraz większą siłą. Nie, oczywiście, nie obejrzał się. Uważał, że nie ma potrzeby. Byli jeszcze daleko. Zawsze zdąży. A jeżeli po prostu jacyś przechodnie idący przypadkowo w tym samym kierunku?

Ilu ich mogło być? Nie potrafił jednak tego ustalić na podstawie nikłych odgłosów. Odniósł wrażenie, że raczej spora gromadka. Jeżeliby ktoś szukał okazji do napaści, trudno byłoby chyba

wynaleźć bardziej stosowną. Przez szpary okiennic rzadko stojących willi nie przesączał się choćby najślabszy promyk światła. W tych domach od dawna spano. Któż by usłyszał wołanie o pomoc?

Na skrzyżowaniu ulic stał zazwyczaj policjant. Nawet gdy wracał późnym wieczorem, zawsze widział jego barczystą sylwetkę, zamarłą w bezruchu niby grubo ciosana z drzewa figura.

Dziś jednak nie było go na miejscu. Może stoi na posterunku tylko do północy? Nie. Kiedyś przecież, przechodząc tędy, spojrzął przypadkowo na zegarek. Było już wpół do pierwszej, a nic w zachowaniu policjanta nie świadczyło, by zamierzał stąd odejść w najbliższym czasie. A teraz ani śladu. To jednak było dziwne.

Zaczął nadśluchować. Kroki nie zbliżały się ani oddalały. Dźwięczały jednak bez przerwy. Spróbował się roześmiać. Co za przewrażliwienie. Idą, to idą. Ulica ostatecznie dla wszystkich, choćby w najpóźniejszą nawet noc. Tak czy inaczej nie zaskoczą go zniecka. A to przecież też coś warte. I ta broń - zacisnął pięści - także.

Przeszedł jeszcze kilkadziesiąt kroków. Nic się nie działo. Odgłos kroków nie stał się ani odrobinę głośniejszy. Niepokój zaczął słabnąć. Do willi doktora Brandstonefa pozostawało już nie więcej niż około dwustu metrów.

Tuż przy chodniku stała wydłużona limuzyna z pogaszonymi światłami. W tym nie było nic dziwnego. Czeka pewno na właściciela, który w jednym z pobliskich domów zasiedzia się z wizytą.

Tomski spojrzął pobieżnie. Ładny wóz. Musiał mieć chyba potężny motor. Przechodził właśnie obok sporej kępki krzaków. Tonęły niemal w zupełnej ciemności. Światło odległej latarni do nich nie docierało. Coś w opuszczonym samochodzie jakby zachrobotało. Odwrócił szybko w tamtym kierunku głowę. Może jakiś amator pozostawionych bez dozoru opon?

I właśnie w tym momencie...

A przecież go zaskoczyli, jak nie można bardziej, zniecka. Usłyszał gwałtowny szelest listowia i trzask rozgarnianych gałęzi. Opadli go ze wszystkich stron. Ramiona uwięzły w twardym chwycie wielu obcych rąk. Został pozbawiony jakiegokolwiek możliwości obrony.

Czuł się, jakby go ciasno oplotła sieć niepozwalająca na wykonanie najmniejszego choćby ruchu. Szarpnął się, dobywając wszystkich sił. Ucisk jakby nieco zelżał. Trwało to jednak tylko krótką jak mgnienie oka chwilę. Potem zdławiono go jeszcze mocniej.

- Na poo... - spróbował krzyknąć. Ale i tego nie zdołał. Cuchnąca tytoniem dłoń zatkała usta głos, kalecząc wargi o zęby.

- Milcz! - w nozdrza uderzył kwaśny odór alkoholu. - Milcz!

Ciągnięto go w kierunku jezdni. W odległości zaledwie paru kroków połyskiwał czarny lakier limuzyny z pogaszonymi światłami.

Te parę kroków miały w tej chwili wartość życia. Myśli kłębiły się z błyskawiczną szybkością. Ta limuzyna to już kres wszystkiego. Czyż nie wiedział, jakie oni mają sposoby? Jeżeli nie pozwoli się złamać, zamęczą go i jedynie śmierć będzie go mogła wyzwolić.

Dlaczego nie usłuchał ostrzeżeń Brandstonefa. Ale na wszelkie refleksje było już za późno. Stawiał rozpaczliwy opór. Zapierał się nogami w ziemię. Zwijał się całym ciałem. Niewiele pomagało. Ciągnięto go, pchano, częstowano kułakami. Niektóre ciosy były tak silne, że zapierały dech w piersiach. Ale nie to przecież było w tym wszystkim najstraszniejsze.

Jak wołu na rzeź - zamigotało w mózgu.

Jeszcze tylko niecały metr dzielił go od samochodu. Jeszcze pół. Teraz niewielki krok. Nie było już żadnej nadziei ratunku. A przecież nie przestawał szarpać się, dobywając resztek sił.

Ktoś poderwał mu nogi. Zahaczył obcasem o stopień samochodu. Poniesiono go wyżej.

I nagle zawrzało niezrozumiałe zamieszanie. Rozległy się jakieś ochryple wrzaski. Zakotłowało się gwałtownie. Tomski odzyskał nagle nadzieję ocalenia. Odsiecz? Nie zastanawiał się, skąd miałyby przybyć. To było obojętne. Grunt, że przybyła. Zwielokrotnił swój opór. Usiłowano go pomimo wszystko wrzucić do wnętrza samochodu. Niespodziewanym ruchem zgiał nogi, odpychając się z całych sił od metalowego stopnia. Czyjś spiczasty łokieć uderzył go w dołek... Na jakiś ułamek sekundy zawirowały przed oczyma czarne płyty. Nawet jednak na tę krótką chwilę instynkt nie pozwolił zaprzestać oporu.

I nagle puszczono go. Poleciał z impetem na twardy chodnik. Przelotnie zdołał dojrzeć, jak nieruchomy dotychczas samochód ruszył raptownie z miejsca.

Basowym szczęknięciem rozbrzmiał huk wystrzału. Ze świstem przeleciał gdzieś wysoko pocisk. Łomotowi ciosu odpowiedziało zduszone przekleństwo. Coś z metalicznym brzękiem uderzyło w płytę chodnika tuż przed jego twarzą. Wyciągnął rękę. Ruch ten nie przyszedł łatwo. Jakby w mięśniach tkwiły setki ostrych szpilek. Nieźle go wytarmosili. Palce dotknęły stalowego kształtu. Pistolet? Dłoń zacisnęła się kurczowo... Sprawdził bezpiecznik. Otwarty. Palec spoczął na cynglu. Kula musiała być w lufie, skoro przed chwilą strzelano. No, teraz on im... - zaczął się niemrawo gramolić z ziemi.

Zgiełk nagle ucichł. Jeszcze tylko oddalający się tupot, czyjeś jęклиwe stęknięcia.

Trudno było się zorientować, co się w tej chwili dzieje.

Próbował stanąć. Szło piekielnie ciężko. Jakby całe ciało z waty. Zachwiał się i o mało nie runął z powrotem. Podtrzymały go troskliwe ręce.

- Jak pan się czuje, profesorze? - głos jeszcze zdyszany, widocznie jego właściciel brał niepośledni udział w walce.

Tomski mrugał oczyma, wciągając głęboko powietrze. Wciąż jeszcze czuł się bardzo słabo.

- Jak pan się czuje? - Tym razem w pytaniu brzmiał wyraźny niepokój. - Czyżby ci bandyci...

Pochyliło się nad nim kilka nieznanomych twarzy. Tomski zaczerpnął jeszcze raz powietrza.

- Dziękuję - spróbował się nawet uśmiechnąć. - Zupełnie dobrze. Po prostu mała porcja solidnej młócki - to wszystko. Ale przybyliście dosłownie w ostatniej chwili. Jeszcze trochę i...

- Bo to zaszło tak nieoczekiwanie. - W głosie mężczyzny podtrzymującego Tomskiego zadźwięczały nutki jakby zawstydenia. - Zanim się połapaliśmy, zanim zdołaliśmy przybiec. Żeby pan nie stawiał oporu tym bandytom, to może i nie zdążylibyśmy.

- Nie darowalibyśmy sobie chyba tego do końca życia - dorzucił drugi.

- Czy może pan iść o własnych siłach, czy też trzeba skombinować jakiś samochód? - padło pytanie z ciemności.

- Oczywiście, że mogę - Tomski wyprostował się. Kosztowało go to niemało trudu. - O... - dopiero teraz zwrócił uwagę na pistolet, który wciąż ścisnął kurczowo w garści. - Nie wiem, do kogo to należy - ujął za lufę - ale wyładował mi wprost przed nosem, więc...

- Jasne, że do żadnego z nas - odparł któryś ze śmiechem.

- Jego właściciel będzie musiał chyba przez parę tygodni nosić rękę w gipsie - dodał inny.

Tomski obracał niezdecydowanie w ręku pistolet. Chciał go oddać komuś z otaczających, nikt jednak nie kwapił się, by go wziąć.

- Więc co mam z tym fantem robić? - zapytał wreszcie.

- Proszę go zatrzymać na pamiątkę dzisiejszej przygody - zdecydował po chwili namysłu mężczyzna, który stał tuż obok. - Może się kiedyś przydać.

Tomski przypomniał sobie rozmowę z doktorem Brandstonem.

- Może i racja - zasunął bezpiecznik, chowając broń do kieszeni marynarki. - Widzę, że za bardzo zaczynają sobie na mnie ostrzyć zęby.

Ktoś podszedł, dotykając ramienia mężczyzny stojącego obok Tomskiego.

- Słuchaj, tam leży kilku bandziorów, którzy chwilowo zapomnieli o bożym świecie. Może by ich odtransportować na komisariat?

Zanim zapytany zdążył odpowiedzieć, padło kilka protestów.

- Zwariowałeś, Jim?

- Chcesz, żeby wpakowano nas za kratki zamiast nich? Przecież to sitwa.

Tomski serdecznie uściskał twarde dłonie swych wybawców.

- Jeszcze raz dziękuję wam za ratunek. Muszę jednak spieszyć do domu. Doktor Brandstone pewno bardzo się o mnie niepokoi. Zwłaszcza jeżeli usłyszał strzał. On już od paru dni oczekiwał czegoś w rodzaju dzisiejszej historii.

Pożegnali się. Nie odchodzili jednak.

- Naprawdę pan myśli, profesorze, że po tym, co tu zaszło, puścimy pana samego? Tam coraz więcej krzaków. I diabli wiedzą, ile te dranie przygotowali zasadzek. Odprawdzimy pana aż pod drzwi.

Oczywiście nie protestował. Po drodze rozgadali się. To wszystko byli robotnicy. Część pracowała w stoczniach, dwóch jako dokerów, reszta w fabryce metalurgicznej.

- Więc - opowiadał jeden z nich - jak usłyszeliśmy te hałasy, w pierwszej chwili zdrętwieliśmy. Nic, tylko napadli na profesora. Szliśmy w zbyt znacznej odległości, żeby to od razu dojrzieć.

Tomski zdziwił się.

- Skąd wiedzieliście, że to akurat ja? - Był dotychczas pewien, że poznano go dopiero w momencie podnoszenia z ziemi.

Kilku roześmiało się.

- Przecież od paru dni już deptamy profesorowi po piętach - powiedział któryś. - Przeczowaliśmy, że dranie szykują jakąś grubszą grandę.

- Z góry było wiadomo, że nie wypuszczą takiego atutowego asa bez próby zagarnięcia go z powrotem w garść - dodał inny.

Jeszcze raz wymieniono uściski dłoni przed wejściem do willi.

- Spokojnych snów, profesorze - powiedział ciepło Jim. - Będziemy czuwać, żeby nic panu nie zmąciło snu.

Tomski próbował protestować.

- Nic mi przecież teraz już nie grozi. Mam pistolet. Doktor Brandstone też uzbrojony. Idźcie, panowie, spać.

Argumenty jednak padały w próżnię.

Naciskając taster dzwonka, Tomski jeszcze raz spojrzął poza siebie. Ciemne, milczące sylwetki zajmowały posterunki wzdłuż ogrodzenia otaczającego willę.

Zawsze wierzył, że obrona przez niego droga jest słuszna. Teraz jednak zrozumiał, że warto wiele przecierpieć, by osiągnąć postawiony przed sobą cel.

Doktor Brandstone stał w przedpokoju, zaciskając w rękę gałkę solidnej laski. Przez cienką kieszeń jedwabnej marynarki odciskały się wyraźnie pękate kształty kolta czterdzieści cztery. Szykował się widocznie do wyjścia.

Spojrzał z przejęciem na zwisające w strzępkach ubranie Tomskiego.

- Co się stało? - odłożył laskę, ryglując skrupulatnie drzwi.

Tomski opadł ciężko na fotel i zaczął opowiadać.

#### XIV. WCZESNY GOŚĆ

Sielawa wciąż nie odzyskiwał przytomności. To był najzupełniej normalny objaw w tego rodzaju przypadku. Któż jednak wiedział o tym poza Rolskim i Kostrzewą?

Felczer wprawdzie próbował tłumaczyć Gwoździowi, który uparcie dobijał się do drzwi lazaretu, że chory musi mieć absolutny spokój, jeśli nie chcą, żeby mu się pogorszyło, ale to wpływało jeszcze bardziej przygnębiająco na Gwoździa.

- Spokój - przedrzeźniał felczera. - Skoro człowiek i tak nie wie o bożym świecie, to chyba wszystko mu jedno, czy ktoś na niego patrzy, czy nie? To w ogóle jakaś ciemna sprawa - rzucił ponure spojrzenia w kierunku lazaretu. - Może już umarł i łapiduch tak naumyślnie, żeby się za wcześniej nie rozniosło?

Kostrzewa uspokajał Gwoździa, jak tylko umiał. Wypadek Sielawy stanowił przedmiot ożywionych komentarzy. Mało było takich, którzy wierzyli, że uderzył się o kant skrzyni.

- Żeby jakiś żółtodziób, to ostatecznie dałaby się przyjąć, że coś podobnego mogło się stać. Ale taki doświadczony marynarz jak Sielawa? - Kręcili z powątpiewaniem głowami. - Coś tu nie tak. - I nie brakło takich, którzy zaraz napomykali o cieniu.

- Bo - dowodził Forys - powiedzmy, gdyby człowiek był na gazie, to co innego. Ale czyż Sielawa zaglądał w czasie rejsu do butelki?

Przyznawano mu rację.

Rewizja u Basiorskiego i zamknięcie go pod klucz jeszcze bardziej wzmogły nastrój ogólnego podniecenia. Zaczęto łączyć te fakty i wyciągać z nich wspólne wnioski.

- Coraz gorzej zaczyna się dziać na naszej krypie - wzdychał Zgierski. - Różne tam pożary, diabli wiedzą co, a teraz zaczynają zabierać się do ludzi.

Marynarze biorący udział w rewizji twardo trzymali język za zębami. Forysia chwilami aż rozpierało. Mieć w zanadrzu taką sensację i nie móc się nią z nikim podzielić? Przełykał jednak cisnące się na wargi słowa. Kapitan zagroził wyciągnięciem jak najsurowszych konsekwencji, gdyby się który choć zająknął na ten temat. Zresztą, czyż sam nie rozumiał? Tajemnica służbowa to tajemnica służbowa. Ani pary z ust, choćby cię brali na męki. Ale łatwo to nie było, szkoda gadać.

Sorek kombinował, kombinował, aż wreszcie wypalił.

- Nic, tylko Basiorski był cieniem. I właśnie przystuknął Sielawę, gdy ten mu w jakiś tam sposób wlaź w paradę.

- Eee tam. Też. wymyśliłeś. Skąd by taki grubas. Toć każdy by go poznał od razu, choćby i w największej ciemności. - Wyśmiano go z miejsca.

Wtedy Gwoźdź nie wytrzymał i opowiedział o akcji śledczej Sielawy.

- Bo on właśnie podejrzewał Basiorskiego - zakończył wśród powszechnego milczenia.

Relacja wywarła wielkie wrażenie.

## II

To, że statek zawinie za parę godzin do portu, nie stanowiło najmniejszego powodu do beczynności. Raczej przeciwnie. Może wróg zechce skorzystać z tych ostatnich chwil, by urządzić jakiś zamach, który by powetował dotychczasowe niepowodzenia?

Kostrzewa nie odpoczywał ani przez sekundę. Zajrzał do maszynowni i pogawędził od niechcenia z Frączkiem odbywającym właśnie wachtę. Przyniósł mu obiecaną zapalniczkę.

- No i co, myślisz, że niedobra?

Frączek obejrzał ją na wszystkie strony, wypróbował i zaczął się rozplýwać w zachwytach.

- Nikt by nie powiedział, że nie fabryczna. Masz, Kotera, złote ręce.

Była rzeczywiście fabryczna. Jediną pracę włożoną w nią przez Kostrzewę stanowiło spiłowanie fabrycznego znaku.

Przy sposobności Kostrzewa zlustrował dokładnie całe pomieszczenie maszynowni.

Nie zauważywszy nic podejrzanego, powrócił na pokład, podejmując swój spacer na nowo.

Interesował go każdy idący w kierunku trapu, którym się schodziło do prowizorycznej celi kucharza. Raczej nie przypuszczał, by współnicy Basiorskiego przyglądali się z założonymi rękoma jego uwięzieniu. Zdawali sobie przecież sprawę, czym im to grozi. Możliwość przesłuchiwania kucharza to ostrze toporu dotykające bezpośrednio ich karków.

Po wyrazie twarzy Bartczaka poznał, że pierwsze przesłuchanie Basiorskiego nie dało absolutnie żadnych rezultatów. To oczywiście nie miało najmniejszego znaczenia. Pierwsze chwile silnego szoku nerwowego potrafią zamurować nawet najbardziej skłonne do mówienia usta. Bo, że grubas nie wytrzyma długo i załamie się ostatecznie, to było więcej niż pewne. Może załamałby się nawet od razu, gdyby nie zupełna bezradność Bartczaka. Ale i tak, prędzej czy później... Oni jednak musieli sobie również zdawać z tego dokładnie sprawę.

W jaki więc sposób będą próbowali to niebezpieczeństwo zażegnać?

Przysiadł na skrzyni z piaskiem w pobliżu śródkręca i mając w polu widzenia wszystkie ważniejsze odcinki pokładu, pograżył się w głębokich rozmyślaniach.

Postawił się na ich miejscu. Zawsze tak robił, gdy usiłował odgadnąć dalsze posunięcia przeciwnika.

Należało wziąć pod uwagę, że wyeliminowanie Basiorskiego z gry stanowiło dla nich właściwie sprawę życia czy śmierci...

Bo jeśli zacznie sypać... Z otoczonego ze wszystkich stron wodą statku nie było drogi ucieczki.

Palił papierosa za papierosem. Próba uwolnienia go spod klucza podstępem czy choćby siłą? To raczej nie wchodziło w rachubę. Gdzieżby go ukryli, gdyby się nawet przedsięwzięcie się powiodło.

Co im w takim razie pozostawało? Trucizna? No, tak... Umarli milczą.

Zahaczył o to mimochodem Foltę. Folta wzruszył ramionami.

- Myślisz, że mnie samemu nie przychodziło to już na myśl? Bo to w jednej książce czytałem, że właśnie w taki sposób załatwiają się z niewygodnymi współnikami. Możesz być spokojny. U mnie nie znajdują sposobności. Ani na sekundę nie spuszczam z oczu jedzenia, które dla niego pitraszę. Sam za każdym razem próbuję go dla pewności. I to bezpośrednio przed wejściem do celi. Dużo by zresztą im z tego przyszło, gdyby nawet się w jakiś sposób uchylili? Tyle tylko, że mnie by szlak trafił. Ale Basiorskiego? On ani nie patrzy na żarcie. Odnoszę w całości to, co przynoszę. Żeby choć raz dziobnął. Nie.

Kostrzewa zapędził się na dół. Był ciekaw, jak wygląda zabezpieczenie więźnia.

Na warcie stał akurat Foryś. Próbował do niego podejść. Gdy znalazł się w odległości paru kroków, Foryś powstrzymał go ruchem ręki.

- Przystopuj maszyny, Kotera. Nie wolno. A jak nie wolno, to sam powinieneś zrozumieć. Służba to służba.

Chciał go poczęstować papierosem. Nie przyjął.

- Na warcie to ani nawet. I w ogóle daj całą wstecz. Korytarz - strefa zakazana. Nie gniewaj się, ale tak mi przykazano. Odcumuj i wracaj na pokład. Bo inaczej - dotknął zawieszzonego na piersiach gwizdka - musiałbym narobić alarmu. Przylecieliby i cała awantura. Potem, choćbyś mi nawet za przepędzenie nadwerężył szczękę, słowa marnego nie powiem. Ale teraz...

Kostrzewa odszedł. I wcale nie miał zamiaru się gniewać na Forysia. Wręcz przeciwnie. Jeżeli i inni będą równie poważnie traktować swe obowiązki wartownika, możliwość jakiegokolwiek porozumienia Basiorskiego ze światem zewnętrznym można by uznać za wykluczoną. Ale czy będą? Postanowił na wszelki wypadek sprawdzać przy każdej zmianie warty.

Znowu spacer po pokładzie. Chwilę stał na rufie, zaglądając nieznacznie pod kotwiczną windę. Sprawdził nogą umocowanie luku ładowni. Ani drgnęła. Przeszedł parę razy w pobliżu kabiny radiotelegrafu. Na tle oświetlonej szyby rysowała się tym wyraziściej głowa Marskiej. Przypomniał sobie scenę, jaka miała miejsce niedawno. Tonący w ciemnościach pokład i sylwetka Marskiej obok pękatej postaci Basiorskiego. O czym wtedy rozmawiali? Wspólniczka kucharza i innych przestępców? Wszystko było najzupełniej możliwe. Zwłaszcza w świetle okoliczności, które zdawały się zdecydowanie przemawiać przeciwko niej. Spojrzał jeszcze raz. Twarz miała zmęczoną. Dostrzegł, że palce leżącej na stole ręki poruszają się nerwowo. Była pogrążona w myślach.

Parę razy podniosła ociężałą głowę, wpatrując się w szkło bulaja. Przymglony wzrok świadczył, że nie dostrzegała otoczenia. Że nie miała zamiaru go dostrzegać. Dziwny wyraz oczu o rozszerzonych źrenicach.

Kostrzewa odwrócił się. Tak czy inaczej w tej chwili nie działo się tu nic nadzwyczajnego. Bulaje kabiny Kaniewskiego jak zawsze były zasłonięte grubymi oponami nieprzepuszczającymi choćby promyka światła. Przystanął przy drzwiach. Nikła poświata przesączała się przez szparę w dole drzwi. Jednak nie spał. Nadśluchiwał przez chwilę. Wewnątrz panowała niczym niezmacona cisza. Może w ogóle nie było go w kabinie? Nie miał jednak możliwości tego sprawdzić.



Powolnym krokiem przeszedł w kierunku dziobu, nie przestając rozglądać się bacznie na wszystkie strony. Czyjaś sylwetka w pobliżu ambulatorium. Przywarta do ściany nadbudówki zlewała się niemal zupełnie z jej tłem.

Podszedł bliżej. Błysnęły fosforycznie białka wytrzeszczonych oczu.

- Ach, to ty, Kotera. - Poznał głos Gwoździa. - Wiesz - Gwóźdź przytrzymał go za rękaw bluzy - Rolski mówi, że z Sielawą wszystko idzie zupełnie normalnie, ale jeszcze nie odzyskał przytomności.

Kostrzewa, słuchając z udanym zainteresowaniem, obejrzał się przez ramię. Ktoś podchodził do schodni prowadzącej ku prowizorycznej celi. Zmrużył oczy, by lepiej widzieć. Kwieciński? W porządku. Był przecież wachtowym.

Statek przepływał obok werżniętego głęboko w morze cypla.

Na jego krańcu wznosiła się latarnia morska, która w szarości przedświtku podobna była do warownej baszty. Światło jej straciło całą jaskrawość. Stało się mdłe i bezbarwne.

Niebo zaczęło coraz bardziej nasiąkać różowawą poświatą jeszcze niewidocznego dla oczu słońca.

Gwóźdź ziewnął szeroko.

- Już chyba nie warto się kłaść. Za jakieś trzy godziny zobaczymy port.

Kostrzewa nie odpowiedział. Do trapu znów ktoś się zbliżał.

Żeby tylko Foryś, znużony monotonią samotnego czuwania, nie zdrzemnął się. Bo wtedy...

### III

Basiorski siedział wciśnięty w kąt kajuty, bezwładny, niczym porzucony łachman. Apatycznie wsłuchiwał się w odgłosy docierające z zewnątrz. Nagle podniósł głowę. Niezwykły ruch na statku świadczył, że szykowano się do wpłynięcia do portu. Po krótkiej chwili głowa obwisła z powrotem. Jakież to może mieć wpływ na sytuację, w jakiej się znalazł? Przełknął ślinę. Nic już nie zdoła jej zmienić. Nic... Na stoliku stało nietknięte jedzenie. Chciało mu się zresztą nie tyle jeść, co pić. Aż w gardle boleśnie zasychało. Całym wysiłkiem woli odrywał oczy od dzbanka z wodą. Choćby jeden łyk. Wystarczyło wyciągnąć rękę, by zaspokoić męczące od tyłu godzin pragnienie... Nie wyciągał jej jednak, zaciskając kurczowo palce na krawędzi taboretu. Mieć wodę tuż przed sobą i nie móc choćby zwilżyć ust? To była jeszcze jedna okropność dochodząca do tych wszystkich, które go w ciągu kilku ostatnich godzin spotkały.

Znów przełknął napływającą do ust ślinę. Pierwszy łyk mógłby łatwo okazać się również i ostatnim w życiu. Bo to nie znał swoich kompanów? Ampułki w cygarach... Sielawa. Nie brakło i innych rzeczy, o których nie wolno było zapominać choćby na mgnienie oka. Za wszelką cenę będą chcieli замуrować mu usta. Zaczął się zastanawiać... Co dalej? W czasie pierwszego przesłuchania milczał jak głaz. Zresztą był wtedy jeszcze zbyt roztrzęsiony, by zebrać myśli. Spodziewał się zresztą jakiejś pomocy. Jakiegoś ruchu, który uwolniłby go z pułapki. Nie zrobili jednak nic. Ostatecznie, czy tak trudno byłoby ogłuszyć wartownika i oderwać zamek? Szczególnie dla X-2. Tak gładko mu wtedy poszło z Sielawą. Jeden ruch i po wszystkim. Teraz już rozumiał. Następne ich posunięcie będzie

polegało na podszypaniu trucizny albo na czymś w tym rodzaju.

Niedoczekanie ich... Powie o tym kapitanowi. O tym i o czym innym. Wszystko, co mu tylko wiadomo. Jasne, że powie. Zaczną wygarniać cienie różnego autoramentu, niczym szprotki z pudełka. Czyż takiej rzeczy nie uwzględnią, gdy przyjdzie do ostatecznego obrachunku? Muszą uwzględnić. Szczerść, skrucha i tak dalej, jak to się nazywa w oficjalnym języku. Zresztą, czy mu grożą takie znów straszne konsekwencje? Ampułki poleciały w morze co do jednej, zanim zdążył ich użyć. Ta sprawa zresztą w ogóle pewno utonie w niepamięci. On ani się nie zająknie. Tamci też pewno nie będą się chcieli specjalnie chwalić. Sielawa? Żył jeszcze. A gdyby nawet przejechał się na tamten świat, to i tak jego śmierć nie może go obciążać w najmniejszej nawet mierze. Ani go dotknął. Ani nie namawiał X-2, żeby go stuknął.

W korytarzu rozległy się jakieś kroki. Nadstawił uszu. Bartczak przychodzi, by go ponownie przesłuchać? Niemal się ucieszył. Był zdecydowany zeznać wszystko, o co go zapytają. A nawet choćby o niektóre rzeczy nie pytano, też powie. Jak sypać, to na cały regulator. Co sobie żałować.

Potem gdy już udobrucha kapitana, poprosi o jakąś nieotwartą puszkę konserw. Albo o jajka. Bo głód także dawał znać o sobie coraz to natarczywiej. I o parę butelek wody sodowej, których przez całą drogę nie spuścił ani na chwilę z oczu. *Sicher ist sicher.*

Chyba nie odmówi spełnienia tej skromnej prośby po takim zeznaniu? Podszedł ku drzwiom. Gdy tamci znajdą się pod kluczem, przestanie przynajmniej trząść się ustawicznie o swoje życie. Trzeba się urządzać jak najwygodniej w danej sytuacji. W końcu więzienie też dla ludzi.

Nasłuchiwał. Co oni tam tak długo konferują z wartownikiem, zamiast raz wreszcie wejść już do środka?

Nagle zdrętwiał. Zimny dreszcz przebiegł wzdłuż kręgosłupa. Odskoczył jak oparzony od drzwi, wciskając się w najodleglejszy kąt. Ten głos?

#### IV

X-25 omal nie uściskał swego pomocnika. To była pierwszorzędna wiadomość. Wsunął mu nawet parę banknotów, ciepłą ręką. Z własnej kieszeni. No, później oczywiście uwzględni się ten wydatek przy rozrachunku. Życzył sobie, by X-2 powrócił za pół godziny. Musiał sobie przecież to wszystko dokładnie przemyśleć. X-2 trochę się wzdragał. Że takie zbyt częste nieobecności mogą łatwo zwrócić uwagę, że to, że tamto.

Następne parę banknotów rozwiało jednak resztę jego skrupułów.

Myśl X-25 pracowała tymczasem z gorączkowym wysiłkiem. Więc jednak pomimo wszystko nic nie powiedział? Jakim cudem? Mniejsza o to. Istotne, że dzięki temu sytuacja tymczasem zmieniła się radykalnie. Miecz przestał dotykać karku. Za dwie i pół godziny wpłyną do portu, a wtedy... Wątpliwe, żeby go mieli przedtem jeszcze raz przesłuchiwać. Nie zdążą już. Jeżeli kuchta zacznie sypać, gdy statek będzie już przy nabrzeżu, to niech sobie sypie. On już będzie w bezpiecznej odległości...

Łyknął z radości solidny haust wódki. Czuł się jak odrodzony.

Potem jednak przyszedły refleksje. X-2 przecież musi pozostać na statku. Jeżeli Basiorski rozdziawi gębę, wygarną go gołymi rękoma.

Gdy X-2 powrócił, zastał plan rozpracowany w najdrobniejszych szczegółach.

- Trzeba natychmiast nawiązać odpowiedni kontakt z numerem drugim - oznajmił na zakończenie X-25. - A w każdym razie przed wpływieniem do portu.

X-2 zamyślił się.

- Sądzę, że to się da zrobić. Może za jakieś dwadzieścia minut. Ma pan te papierosy z narkotykiem?

- Owszem - X-25 szperał przez chwilę w skrytce. - Proszę - podał mu pudełko.

- Powinno się udać - powiedział X-2, wyłuskując z pudełka kilka papierosów.

## V

Konkiel szedł na wartę więcej niż niechętnie.

- Co za pioruński pech - klął przez zęby - żeby w czasie gdy pudło wpływa do portu, tkwić w tym prześmierdłym korytarzu. - Ale przeklinanie nic nie pomagało. Rozkaz to rozkaz.

- Tylko uważaj dobrze, Konkiel - napominał go bosman Bociański. - Nikt nie ma prawa podejść do drzwi.

- Uważaj - wtórował półgłosem schodzący z warty Foryś. - Zresztą sam powinieneś wiedzieć. Służyłeś przecież na okręcie wojennym.

Konkiel został sam. Zły humor rósł z minuty na minutę. Co tu właściwie jest do pilnowania? Foryś przecież mówił, że kuk całkiem osłabł ze strachu i ledwo żyje. Przez dziurkę od klucza wyjdzie czy jak? Ziewał coraz gwałtowniej. Aż w zuchwach bolało. Klął sobie półgłosem, żeby choć w ten sposób trochę ulżyć swojej niedoli.

- Na co człękowi przyszło...

„Nikt nie ma prawach - przedrzeźniał w myśli Bociańskiego A kto tu w ogóle by chciał? I pies z kulawą nogą nie zajrzy. A jednak...

Nastroszył się na dźwięk kroków. Ktoś schodził po trapie. Pomacał gwizdek.

Gdy jednak poznał nadchodzącego, napięcie opadło w jednej chwili.

Nie wezwał go do zatrzymania się. Ani mu to nawet przez myśl nie przeszło. Przecież tej osoby zakaz nie dotyczył.

- Nudno? - zapytał przybyły.

- Pieruńsko - potwierdził skwapliwie. - Niczym psu na uwięzi.

- No cóż, służba. Nic ciekawego nie zaszło?

- Nic. Co niby miałoby zajść?

- Zapalicie? - podsunął otwarte pudełko.

Wahanie Konkiela trwało tylko króciutką chwilę. Na okręcie wojennym oczywiście takie coś byłoby nie do pomyślenia. Sięgnął po papierosa. Gdyby nie było wolno, nie częstowałby przecież. Władza lepiej wie...

Zaciągnął się z rozkoszą. Przy takim papierosie i w towarzystwie czas szybciej leci.

- Ekstratabaka - stwierdził z uznaniem.

I nagle zakręciło mu się w głowie. Zobaczył przed sobą dwie zamazane twarze zamiast jednej wyraźnej. Po chwili nie widział już nic. Przybysz przyjrzał mu się uważnie.

- Tak - mruknął, odciągając go pod przeciwległą grodz. - Gotowe.

Przyklęknął przed drzwiami, przesuwając przez szparę niebieską kopertę. Długi czas po tamtej stronie nikt nie reagował. Aż się zniecierpliwiał. Gdyby tak teraz kto nadszedł?! Zresztą narkotyk był w taki sposób spreparowany, że działał tylko przez parę minut.

- Bierz! - syknął w szparę. - Prędeż! Koperta zniknęła.

- Bierz! - powtórzył, wsuwając jej śladem cieniutkie pióro kulkowe. Podpisz i oddaj. Prędeż!

Ale to wcale nie poszło tak prędko. Szelest papieru świadczył, że numer drugi uważał za konieczne dokładne przestudiowanie dokumentu, zanim go podpisze.

- Przekłeta gnida - wściekał się coraz bardziej przybysz. - Czy on myśli, że tak trudno w takich warunkach o wsypę. Prędeż! - ponaglił. - Bo inaczej wszystko diabli wezmą.

Po tamtej stronie zaszemrał rozradowany głos.

- Cicho - syknął. - Nie czas na gadanie. I pamiętaj, milcz, choćby cię nawet żywcem obdzierano ze skóry.

- Będę milczał - niebieska koperta wychyłała przez szparę razem z piórem.

Przybysz szybko schował ją do wewnętrznej kieszeni. Przyjrzał się Konkielowi. Z tej strony nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Będzie spał jak zabity. Jeszcze jakieś trzy, cztery minuty. A potem zapomni o wszystkim, co się działo tuż przed wypaleniem papierosa... Podniósł niedopałek, zgarniając skrząco porozsypywany na linoleum popiół. Żadnych śladów.

Tak, tu wszystko było w porządku. Ale jeżeli chodzi o wyjście...

Podszedł ostrożnie do trapu. Stał bez ruchu, przywierając całym ciałem do grodzi. Z góry nie można go dostrzec, Konkiel zaś chwilowo nie wchodził w rachubę.

Ktoś przechodził tuż obok wjazdu. Potem znowu ktoś. Aż się spocił. Czy to się nigdy nie skończy?

Nareszcie cisza. Dwa szybkie susy w bok i był już na pokładzie. Nieznacznym ruchem otarł czoło.

Obciągnął mundur. Otrzeptał resztki popiołu z palców. Ruszył dalej. Ruchy jego nabrały niedbałej godności. Miał przecież pełne prawo znajdować się na pokładzie. Co tam prawo. W tej chwili należało to do jego obowiązków. Tamten rozdział był już zamknięty. Komu przyszłoby do głowy łączyć go z tym, co zaszło przed celą kuchty?

Jego? Po prostu śmieszne.

## VI

Basiorski biegał nerwowo po celi. Mimo wysiłków nie potrafił opanować radosnego podniecenia. Więc jednak... To było wprost wspaniałe. Jak to nigdy nie wiadomo, co człowieka w następnej chwili czeka. Był już na samym dnie rozpaczy i nagle. Z trudem powstrzymał chęć pośpiewania sobie z radości. Przystanął przed stolikiem. Woda? Był teraz pewien, że nie mają go zamiaru wykończyć. Sięgnął po dzbanek. Woda była mdła i ciepława, ale i tak wypił niemal do dna. Potem pochylił się nad miską z jedzeniem. Pochłonął wszystko szybko i żarłocznie. Ociężały z przesyty, uwalił się na koję. Przymknął oczy. Ogarnęło go nagle ostre uczucie żalu. Pieniądze przepadły. Na towarach też trzeba postawić krzyżyk. Palce zacisnęły się na krawędzi koi. Taki majątek diabli wzięli. Omal się nie rozplakał z bezsilnej wściekłości. Zupełnie jakby człowieka żywcem ze skóry obdarli. Samych dolarów przecież ile było... A i wszystko inne... Skoczyłby z zębami do gardła. Dranie... Przekłęte dranie... Tak człowieka obrabować. Przed wizytą X-2, dopóki nie zapoznał się z zawartością niebieskiej koperty, nie poświęcił stratom materialnym najmniejszej choćby myśli. Ale wtedy chodziło tylko o to, by jakoś ocalić skórę. A teraz...

Powoli się uspokajał. Co tam... Trudno... Niech się udławią jego dobrem. Grunt, że zbliża się spełnienie jednego z marzeń ostatniego dziesięciolecia... Może nawet i najważniejszego? Będą musieli przecież dać mu coś na początek. Z głodu nie zdechnie. A potem... Znajdzie się towar na sprzedaż poza umiejętnością doprawiania sosów. Napatrzył się różności. Co nie będzie pasowało, to przeinaczy albo podkoloryzuje. Bo to nie potrafi? Wyssać z własnego palca też można niemało. Kto go tam przyłapie. Nie byli, nie widzieli - uwierzą. Jeżeli wierzyli niektórym gazetom. No więc... Postaw swoją cenę. Oni na takie rzeczy łasi, że strach.

Myśli nabierały coraz bardziej różowego zabarwienia. Nie będzie tak źle. Co tam: nie tak źle - będzie, że lepiej trudno sobie wymarzyć. Musi być. Stanie na głowie, żeby osiągnąć swoje.

## VII

Przebrzmiało echo ostatnich rozkazów. Kotwice zanurzyły się z chlupotem w wodzie. M/S „Jednośch znieruchomiał dokładnie na wyznaczonym przez kapitana portu miejscu postoju.

Kaniewski ociężałym ruchem przesunął ręką po oczach.

- Wszystko w porządku, kapitanie. Statek na kotwicy - zameldował matowym głosem. Widać było, że jest zmęczony do ostateczności.

Bartczak spojrział na zegar.

- Brawo - poklepał go po rękawie mundurowej kurtki. - Jesteśmy co do minuty. Aż dziw bierze, w jaki sposób zdołał pan to wszystko tak dokładnie obliczyć. Bardzo dziękuję.

- Nie ma za co. Spełniłem tylko swój obowiązek. Zasalutował, po czym ociężałym krokiem ruszył w kierunku trapu na dolny pokład.

Bartczak patrzył w ślad za nim. I znowu skonstatował, że po przejściu paru zaledwie kroków linia jego sylwetki załamała się gwałtownie. Widocznie w czasie dyżuru trzymał się całym wysiłkiem woli.

„To ciężko chory człowiek - pomyślał po raz nie wiadomo który od chwili rozpoczęcia tego rejsu. - A przecież wypełnia swoje obowiązki, że trudno by wymagać lepiej. Twardy charakter.h

Gwóźdź stał na kotwicznej wachcie, obserwując jakiś przepływający w pobliżu kuter. Aż tutaj dobiegło przytłumione echo gwaru budzącego się miasta. Gwóźdź pokiwał z uznaniem głową. Cholernie przyzwoity ruch jak na taką wczesną porę. A cóż dopiero będzie po południu? Albo i wieczorem? No, użyje sobie człowiek coś niecoś, to fakt. Trzeba przecież od czasu do czasu... Inaczej byłoby marnie.

Otarł wierzchem dłoni czoło. Żeby jeszcze było ociupinę chłodniej. Już zdążył się spociec... Nieruchome powietrze nasiąkało coraz bardziej męczącym skwarem. W nozdrza bił cikliwy odór rozkładających się w wodzie basenu portowego odpadków.

Nagle drgnął. Co to?! Plusk wiosel tuż przy samej burcie? Nie zauważył przecież, by jakieś czołno podpływało do statku. Plusk wydał mu się dziwny. Jakby ktoś poruszał wiosła z całą ostrożnością, usiłując uniknąć zbytniego hałasu. Zacisnął pięści. Jakaś nowa historia z serii znikających cieni? To było całkiem możliwe. Musieli się przecież w jakiś sposób dostawać na statek i potem pryskać z niego na ląd.

Jednym susem podbiegł ku nadburciu, przewieszając się przez barierę.

- Kto taki? - krzyknął.

- Hello!... - dobiegł z dołu przyciszony głos. - Hello tam na „Je-no-szyh! Ktoś z wysiłkiem przesyłabizował nazwę statku, kalecząc ją zresztą niemiłosiernie. Ale nie to zdziwiło Gwoździa. Zdążył się już przyzwyczaić do tego, że żaden cudzoziemiec nie potrafi jej wymówić bezbłędnie. Zdziwiło go za to niepomiaralnie zupełnie co innego. Wychylił się jeszcze bardziej i dojrzał ukryty w cieniu kadłuba statku ciemny kształt małej łodzi, z której połyskiwały ku niemu niebieskawe białka na tle czarnej, lśniącej twarzy.

Twarz ta była niewątpliwie znajoma. Poznał przybysza, zanim ten obwieścił:

- To ja... Kariauzari.

Gwoźdź zwiesił się teraz tak, że o mało nie wpadł do morza. Pragnąłby uścisnąć dłoń tego czarnego wielkoluda, którego tak bardzo zdążył polubić w czasie tych nielicznych dni wspólnie odbywanego rejsu.

- Witaj! - zawołał radośnie. - To bardzo ładnie z twojej strony, chłopie, żeś o nas nie zapomniał. Ale teraz do nas nie można. Wiesz, komisja. Dopóki nie odprawią tego całego nabożeństwa - bogato ilustrował słowa gestami, by uczynić je bardziej zrozumiałymi - nikogo nie wolno wpuszczać. Przyjdź po południu. Wtedy już będzie wszystko w porządku. Ale teraz musisz odcumować, bo

gotowi nam zrobić chryję nie z tej ziemi.

Kariauzari nie odpływał jednak. Nad czymś się zastanawiał.

- Na nic po południu - oznajmił wreszcie. - Muszę zaraz do kapitana. To bardzo ważna sprawa. Bardzo ważna. Bo bardzo wielkie nieszczęście...

Gwóźdź był w kłopotcie. Diabło skomplikowana sytuacja. Może i rzeczywiście coś ważnego? Nie upierałby się przecież, gdyby chodziło o błahostkę.

- Może powiesz bosmanowi? - zapytał.

- Nie - Kariauzari wyciągnął przed siebie obie ręce. - Nikomu innemu, tylko samemu kapitanowi.

Gwóźdź westchnął bezradnie. Zameldować staremu? Wyraźnie przecież uprzedził, żeby go nie budzić do czasu wejścia na pokład komisji. Chyba, żeby coś wyjątkowo ważnego.

Zanim jednak zdążył coś postanowić, zachrobotał kotwiczny łańcuch i nad burtą wyrosła sylwetka Kariauzariego.

- Coś ty, bracie, narobił? - przeraził się nie na żarty Gwóźdź. - Czy ty zdajesz sobie sprawę, co z tego śpasu może wyniknąć? Łby nam wszystkim pourywają...

Kariauzari uśmiechnął się przepaszająco.

- Oni przecież nic nie będą wiedzieć. Ani nawet trochę. A ja musiałem. To taka sprawa, że... - podpatrzonym u marynarzy gestem przeciągnął kantem ręki po gardle.

## VIII

Bartczak przebudzony z głębokiego snu długo mrugał powiekami, wpatrując się na wpół przytomnym wzrokiem w stojącego przed sobą Murzyna. Czyżby dalszy ciąg sennych marzeń?

Dopiero po wychyleniu szklanki wody i opryskaniu twarzy nieco otrzeźwiał.

- Skąd się tu wziął? - spojrzał pytająco na Gwoździa. - Przecież nie wolno nikogo wpuszczać na pokład, zanim komisja da certyfikat.

Gwóźdź przestępował niepewnie z nogi na nogę.

- Ja mu to wszystko klarowałem. Powiedział, że ma coś niezmiernie pilnego, i wlaź bez pozwolenia po kotwicznym łańcuchu.

- Chodzi o to, że żaden z was ma nie wysiadać na brzegu - zaczął Kariauzari. - Bo jak wysiądziecie, to zaraz pobijecie, kogo się da. I was zamkną.

Bartczak nic nie rozumiał. Albo on był nieprzytomny, albo Kariauzari zwariował.

- Poczekaj - napełnił opróżnioną przed chwilą szklankę, popijając drobnymi łyčzkami - mamy pobić kogo się da?

- Tak. Ale to na niby. A do więzienia zamkną was całkiem naprawdę. Tak jak już było z jednym waszym marynarzem.

Bartczak wreszcie się połapał. Powtórka prowokacji z Rzeżuchą, tylko na większą skalę? Kariauzari ciągnął dalej:

- Mój ziomek służy w tutejszej policji. Łapacz od ludzi. I on mi to wszystko powiedział.

## XV. NIEBIESKA KOPERTA

### I

Zebranie załogi zwołano o wczesnym świcie. Było bardzo krótkie. Nad czym tu było się zastanawiać? Szykowano prowokację i prowokacji tej należało za wszelką cenę uniknąć. Uchwalono: nie schodzić na ląd. Chyba tylko w zupełnie wyjątkowych wypadkach. Uchwałę powzięto z ciężkim sercem. Komu nie wyrwała się dusza na ląd, którego nie oglądano od tyłu dni?

Kostrzewa spojrzął przypadkowo na Marską, w chwili gdy odczytywano treść uchwały, przysięgłby, że pobladła. Gdy dostrzegła, że na nią patrzy, czym prędzej odwróciła głowę. Chwilę się nad czymś zastanawiała, potem ruszyła szybkim krokiem w kierunku kabiny radiotelegrafu.

Kostrzewa stanął w pobliżu, zerkając ukradkiem przez okno. Niewiele jednak zdołał dojrzeć. Po upływie kilku minut do kabiny zajrzał Mańczak.

- Muszę zejść na ląd, by kupić AF/254 - oznajmiła Marska bez wstępów. - Coś zaczęło nawalać.

Kostrzewa nastawił uszu. Mańczak wyraźnie się zdziwił.

- AF/254? Przecież mamy zapasową.

- Niestety uszkodzona. Właśnie przed chwilą wypróbowałam. Na nic.

- Że też mogła ulec uszkodzeniu? Opakowana tak starannie...

- Widocznie w czasie tamtej huśtawki. Pamiętacie, jak wszystko leciało na podłogę?

Kostrzewa wysłuchał już dosyć. Ciekaw był, czy lampę uszkodziła przed chwilą, czy też skłamała o jej uszkodzeniu, licząc, że Mańczak nie sprawdzi. Nie sprawdzał zresztą rzeczywiście.

Po paru minutach Kostrzewa stanął na progu ambulatorium.

- Czy naprawdę uważa pan za konieczne, bym się poradził tutejszego lekarza? - zapytał Rolskiego. - Mówił pan wprawdzie o tym, ale wobec zakazu schodzenia na ląd...

Rolski popatrzał niezdecydowanie. Jakoś nie mógł sobie przypomnieć, by mówił coś w tym rodzaju. Ale w tonie Kotery brzmiała taka pewność. Widocznie musiał coś o tym wspomnieć. Zresztą sprawa tych duszności wyglądała całkiem niejasno. Sam nie potrafił postawić diagnozy. Ani, co gorsze, przepisać właściwej kuracji.

- Właściwie nie należałoby zwlekać - zgodził się Rolski. - W pierwszym stadium chorobę zawsze



najłatwiej wyleczyć.

Bartczak z miejsca udzielił pozwolenia.

- Oczywiście. Skoro chodzi o lekarza... Ale - zawahał się - masz cywilne ubranie?

Gdy Kostrzewa potwierdził, zaproponował mu, by zeszedł na ląd po cywilnemu. Kostrzewa nie okazał najmniejszego zadowolenia. A przecież propozycja dogadzała mu ogromnie.

Dołożył wszelkich starań, by znaleźć się na lądzie przed Marską.

## II

Palaceh pomimo swej szumnej nazwy było dość obskurną knajpą portową. Miało jednak wielką zaletę: ruchliwy tłum wypełniał stale wszystkie jej obszerne „salonyh.

Nikt by nie poznał w mężczyźnie w białym nieprzemakalnym płaszczu, w kapeluszu panama i z fajką w zębach starszego marynarza Kotery z M/S „Jednośh ani tym bardziej doktora Jerzego Kostrzewy. Parę centymetrów specjalnego przylepca imitowało do złudzenia bliznę biegnącą przez całą szerokość podbródka. Blizna ściągała dolną połowę twarzy, zmieniając ją w zdumiewający sposób.

Kostrzewa wziął z bufetu szklankę „whisky and sodah i zajął miejsce przy stoliku stojącym w pobliżu szerokiego okna.

Tu był nader dogodny punkt obserwacyjny. Widział dokładnie cały odcinek nadbrzeżnego bulwaru, naprzeciwko którego stała „Jednośh. Każdy, kto zejdzie ze statku na ląd, musi przejść właśnie tędy.

Minęła prawie cała godzina, zanim dojrzał Marską. Jej zgrabna sylwetka zręcznie prześlizgiwała się przez tłum zalegający gęsto bulwar. Trudno było ją poznać. Ubrana była w barwną, wzorzystą sukienkę. Kostrzewa podniósł się szybko z krzesła i wyszedł na ulicę.

Trzymał się w bezpiecznej odległości, uważając, by przez cały czas zasłaniaли go przechodnie. Mało wprawdzie istniało szans, by go zdołała zidentyfikować, należało jednak wziąć pod uwagę wszelkie ewentualności.

Niedbałym ruchem nasunął jeszcze głębiej panamę na czoło. Obejrzała się parokrotnie. Stawała przy kilku wystawach. Przeczekawszy parę minut, podejmowała dalszą wędrówkę. Podnosiła do oczu lusterko puderniczki. Uśmiechnął się z politowaniem. To wszystko były znane sposoby, stosowane na domiar zupełnie nieudolnie. Świadczyły jednak o tym, że ma nieczyste sumienie. I że obawia się śledzenia.

Szła bardzo nierówno. To przyspieszała kroku, to zwalniała, to zatrzymywała się raptownie przed pierwszym lepszym afiszem, udając, że go czyta.

Minęli jedną ulicę. Potem drugą. Wreszcie trzecią. Trwało to przeszło trzy kwadranse. Nagle, w chwili gdy tego wcale nie oczekiwał, pobiegła za jadącym tramwajem, wskakując w biegu. Ledwo zdołał dopaść stopnia drugiego wagonu. To już było znacznie chytrzejsze.

Wykupił bilet do końca trasy. Nie wiedział, gdzie wypadnie wysiąść. Mijali przystanek za

przystankiem. Jeżeli wysiądzie na jakimś całkiem odludnym terenie? To mocno komplikowałoby zadanie. Na pustkowiu nietrudno zauważyć kogoś za swoimi plecami.

Tramwaj dojechał do krańcowego przystanku. - „Acclimatisation gardenh - oznajmił sennym głosem konduktor.

Znowu się obejrzała. Dobrze, że zwlekał z opuszczeniem wozu. Po szerokiej alei, ocienionej po obu stronach drzewami o lśniących, jakby lakierowanych liściach, snuło się na szczęście sporo ludzi. Aleja zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Powietrze stawało się coraz bardziej parne. Było nieznośnie duszno. Czuł, jak nawilgła potem koszula zaczyna przywierać do pleców.

Dokąd ona właściwie zmierza?h - zastanawiał się po raz nie wiadomo który. Złożone litery na czarnym marmurze tablicy. Dziwaczne zestawienie kształtów roślin z całej kuli ziemskiej. Ogród botaniczny. A może po prostu miała zamiar go zwiedzić? We wszystkich przewodnikach pełno było peanów na cześć właśnie tego ogrodu.

Zachowanie jej jednak bynajmniej nie świadczyło, by przybyła tu w celu podziwiania okazów nagromadzonej flory. Rośliny nie obchodziły jej w najmniejszej nawet mierze. Ani spojrzała na żadną. A przecież niewątpliwie były warte obejrzenia.

Interesowała ją natomiast treść tabliczek umieszczonych na rogach alejek. Przystawała przy każdej, studiując uważnie treść. I ani razu nie omieszkała przy tym rozejrzeć się badawczo na wszystkie strony.

Kostrzewa idąc za nią, zachowywał wciąż odpowiedni dystans. Gdy zbliżali się do skrzyżowania, przystawał, nachylając się nad najbliższym krzewem. Mogłoby się wydawać, że podziwia w skupieniu jakiś rzadki okaz.

Alejka, w którą teraz weszła, biegła wśród setek kaktusów. Dziwacznie powykręcane łodygi najrozmaitszych odmian ostrzegały przed dotknięciem najeżonymi ostrzami kolców.

Alejka była pusta. Tylko na jednej z ławek siedziała stara kobieta, trzymając na kolanach rozłożoną książkę.

Nie czytała jej jednak. Oczy jej raz po raz strzelały myszkująco na wszystkie strony.

Kostrzewa przystanął niezdecydowanie za rozłożystą kępą jakichś krzaków rosnących na rogu alejki... Iść dalej za Marską już nie mógł. Zauważyłaby od razu. Tu przynajmniej pozostanie niewidoczny.

Zaobserwował dziwne zachowanie się samotnej staruszki. Widocznie oczekiwała na kogoś. Czyżby właśnie na Marską?

Marska zwolniła kroku, jakby z wahaniem. Zerknęła w kierunku staruszki. Raz, drugi. Jakby nie mogła się jeszcze zdecydować. Widocznie nie znała jej osobiście. Zrobiła niepewny krok ku ławce. Staruszka niby to przypadkowym ruchem położyła książkę w ten sposób, żeby był widoczny grzbiet jej okładki.

Wzrok Marskiej utkwiał w odbitym dużymi złożonymi literami tytule. Musiał stanowić znak

rozpoznał. Twarz jej jakby stężała w wyrazie determinacji. Jeszcze jeden krok. Usiadła obok staruszki. Dłuższą chwilę siedziała sztywno, wyprostowana, patrząc prosto przed siebie. Potem coś powiedziała. Kostrzewa zaklął w duchu - nic nie mógł dosłyszeć.

To było po prostu fatalne. Nie miał najmniejszej możliwości podejścia bliżej. Gdyby go nawet nie poznała, czego zresztą nie był zupełnie pewny, spłoszyłaby się niewątpliwie na sam jego widok.

Wciąż nie odwracała głowy ku sąsiadce. Ta zaś w dalszym ciągu udawała, że czyta. Dopiero po upływie dobrych kilkudziesięciu sekund pokiwała głową. Wszystko działo się jakby w jakimś filmie o zwolnionym tempie. Z kolei i ona zaczęła mówić. I tym razem jednak dźwięki słów nie dobiegały do miejsca, gdzie stał Kostrzewa.

Zżymał się coraz bardziej. Co za przekłeta sytuacja. Chytrze to wszystko zostało urządzone. Bardzo chytrze. Wybór odludnej alejki umożliwił natychmiastowe dostrzeżenie niepożądanego świadka.

- Psiakrew! - zaciskał zęby. - Psiakrew!

Nagle drgnął, jeszcze bardziej wyężając wzrok. Marska szybkim spojrzeniem rozejrzała się dookoła. Sięga pod bluzkę. Coś spod niej wydobywa. Teraz już dojrzał, co to było. Niebieska koperta. Pospiesznie podaje kopertę staruszce. Ta chowa ją ukradkiem pomiędzy kartki książki. Teraz obie rozglądają się dookoła. Są wyraźnie spłoszone. Kostrzewa niemal wstrzymał oddech. Ach, więc to tak? Koperta... Ale co zawierała?

Musi to ustalić. Ale w jaki sposób wejść w jej posiadanie?

Spojrzał w stronę ławki. Teraz rozmowa kobiet ożywiła się. Nic nie wskazywało na zamiar szybkiego rozstania. No cóż, trzeba poczekać, aż Marska stąd odejdzie. A potem?

Trzeba będzie zabawić się w rzezimieszka. Nie widział innego rozwiązania. Sprawa należała do rzędu zbyt poważnych, by zastanawiać się nad subtelnościami. Należało po prostu zdobyć tę książkę.

Czas płynął. Rozmowa toczyła się nadal z niesłabnącym ożywieniem. Kostrzewa stał bez ruchu, czekając z rosnącą niecierpliwością. Popatrzył na zegarek. Niedługo będą musiały się jednak ruszyć. Sprawdził przecież dyskretnie, na jaki czas opiewała wydana Marskiej przepustka. A jeszcze musiała kupić tę lampę. Chyba nie starczy jej czasu na odprowadzenie staruszki?

Wreszcie wstały. Żegnają się. Serdeczne uściski rąk. Nawet jakby zbyt serdeczne na dwie agentki rozstające się po wykonaniu zadania. Może umyślna demonstracja przeznaczona dla jakichś obserwujących z ukrycia oczu?

Uskoczył jeszcze głębiej za krzak, zginając się nisko nad tabliczką zawierającą skomplikowaną nazwę.

Marska przeszła niemal tuż obok. Przeczekał w tej niezbyt wygodnej pozycji, zanim nie zniknęła z pola widzenia. Tak było bezpieczniej.

Staruszka jeszcze siedziała na ławce. To było chyba umówione z góry. Wszystko się zgadzało. Dwie agentki po przekazaniu „trefnego pisma nie mogły oczywiście wracać razem.

Staruszka wydobyła z koperty parę arkusików, studiując ich treść ze skupionym wyrazem twarzy. Widocznie nie była zwykłą „skrzynką do listów”. Oprócz papieru coś jeszcze wyjrzało z koperty na światło dzienne. Błysnęło w promieniu słońca, który akurat przedarł się przez chmury. Nie zdołał dojrzeć dokładnie, co to takiego. Jakby jakaś moneta?... Nonsens. Raczej żeton rozpoznawczy agenta. Basiorskiemu przecież nie był już potrzebny. Więcej nawet... Znalezienie żetonu mogłoby go narazić na śmiertelne niebezpieczeństwo. Szpara w drzwiach celi. Drzemka Konkiela. Tak... Prawdopodobnie dołączył ten żeton, by tym bardziej uwiarygodnić swoje pismo. A może w jakimś innym, trudnym do odgadnięcia celu? Ale na te wszystkie wątpliwości mogła dać odpowiedź jedynie koperta wraz z jej zawartością.

Staruszka wreszcie wsunęła list z powrotem do koperty. Nie zdołał dostrzec, czy również schowała do niej metalowy przedmiot. Podniosła się ociężale. Poszła powolnym krokiem przez alejkę. Książka tkwiła pod pachą raczej luźno. Zawahał się. Alejka i jej najbliższe otoczenie były w dalszym ciągu zupełnie opustoszałe. Plan powstawał z błyskawiczną szybkością. Przejść obok niej, potknąć się, wytrącając książkę na ziemię. Potem podniesie, otrzepie z piasku i odda z najuprzejmiejnymi przeprosinami. Oczywiście bez koperty. Mogła jednak sprawdzić, czy koperta pozostała na swoim miejscu. Gdy stwierdzi jej zniknięcie, narobi alarmu. Na nic... Nagle błysnęła myśl. Prawda. Przecież ma w kieszeni kopertę zawierającą widokówki.

Ta była również niebieska. Zamiana nie powinna sprawić większych trudności. Zapуścił palce do kieszeni. Jest. Był już zdecydowany.

W tym momencie tuż za plecami usłyszał chrząknięcie.

Z trudem powstrzymał odruch zaskoczenia. Zerkał nieznacznie, nie przestając udawać zatopionego w studiowaniu rzadkiego krzewu.

W odległości nie więcej niż pół kroku stał barczysty policjant. Dziwnie powolnymi ruchami zapalał cygaro. Na służbie czy na przechadzce - diabli wiedzą. A może specjalna obstawa tej z książką? Tak czy inaczej, obecność jego paraliżowała wszelką akcję.

Staruszka tymczasem minęła skrzyżowanie alejek, skręcając w lewo. Policjant, któremu wreszcie udało się zapalić cygaro, ruszył w tym samym kierunku. Sprawa wikłała się coraz bardziej.

Kostrzewa przeczekał chwilę i przybierając jak najbardziej obojętny wyraz twarzy powlókł się od niechcienia za policjantem. W tych warunkach trudno było marzyć o jakichkolwiek posunięciach. Nie rezygnował jednak. Może to mimo wszelkich pozorów tylko przypadkowy zbieg okoliczności?

Przechodzili przez coraz bardziej ludną część ogrodu. W pewnej chwili policjant przystanął, po czym skręcił w jedną z bocznych alejek. Staruszka szła nadal aleją główną. Wzrok Kostrzewy pogonił za oddalającą się postacią policjanta, który nie obejrzał się ani razu. W końcu zniknął. Poprzedni plan zaczął odżywać. Spacerowicze gęsto wypełniali całą szerokość alei. Nietrudno, korzystając z tłoku, otrzeć się o staruszkę. Teraz nadchodzi dogodny moment. Na leżącym w odległości kilkunastu metrów niewielkim placyku, przez który musiał przejść, zwarta gromada kłębiła się wokół jakiejś budki.

Przyspieszył kroku.

I nagle z jednej z ławek podniosło się dwóch mężczyzn. Jeden z nich był w mundurze lotnika.

- Hello - podeszli pospiesznie ku staruszce. Zajęli miejsce po obu jej bokach. Kostrzewa przygryzł wargi. Albo jakiś niesamowity pech, albo wszystko zostało przygotowane z góry. W rezultacie wychodziło na jedno... Do staruszki nie było przystępu z żadnej strony.

Szedł jednak nadal w ślad za nimi, czepiając się resztek gasnącej nadziei. Może pożegnają się po pewnym czasie?

Minęli bramę ogrodu. Mężczyzna w mundurze przywołał gestem taksówkę. Wsiadli wszyscy troje. Samochód ruszył, szeleszcząc oponami po asfalcie jezdni. Kostrzewa pozostał na krawędzi chodnika.

Wciągnął ze świstem powietrze. Kłapa. Generalna kłapa. Przez chwilę patrzył zrezygnowanym wzrokiem za odjeżdżającym pojazdem. Jakakolwiek możliwość zawładnięcia tajemniczą kopertą przestała ostatecznie istnieć.

### III

Bartczak wyszedł szybko na pokład, wzburzony do głębi meldunkiem.

- Policja? Co znowu?

Cywil wspinał się po stopniach trapu, nie tracąc nic ze swej dostojności. Wkroczył godnie na pokład. Tuż za nim stanęli policjanci.

- Kapitan? - spojrzał pytająco na Bartczaka.

Cywil przedstawił się.

- Jestem komisarzem emigracyjnym - okazał legitymację. - Na waszym statku znajduje się niejaki... - zajrzał do wydobytego z teczki papieru - Klemens Basiorski. Złożył wniosek o przyznanie prawa azylu.

Kostrzewa stał w pobliżu. Usłyszawszy ostatnie słowa, zeszytniał. Oto, co zawierała niebieska koperta!

### IV

Bartczak tłumaczył treść protokołu, cyzelując każde słowo. Komisarz zaglądał mu przez ramię. Nazwy marek fabrycznych zegarków i wiecznych piór nie potrzebowały tłumaczenia.

- Czy szmuglowanie tego wszystkiego i posiadanie obcej waluty, co u nas jest ustawowo zabronione, może być uważane za przestępstwo polityczne? - zapytał Bartczak, podnosząc głowę znad protokołu.

Komisarz przyjrzał się filozoficznie kłoszowi sufitowej lampy,

- Szmugiel, według naszych praw stanowi ciężkie przestępstwo. Jeżeli tylko można mieć pewność, że to jest... hm... całkowicie zgodne z rzeczywistym stanem rzeczy...

Bartczak wciągnął głęboko powietrze. Całym wysiłkiem woli trzymał nerwy na wodzy. Zdawał sobie

sprawę, że za wszelką cenę musi zachować spokój.

- Czy... chciałby pan zobaczyć te dowody w naturze?

Kapitan podszedł do kasy ogniotrwałej, zadowolony, że komisarz nie może w tej chwili dojrzeć wyrazu jego twarzy. Gdy się odwrócił - rysy zastygły mu już w wyrazie urzędowej obojętności.

- Oto one - położył paczkę na biurku. - Zechce pan stwierdzić, że pieczęcie są nieuszkodzone.

Rozpieczętował paczkę, wykładając jej zawartość. Komisarz oglądał po każdą rzecz po kolei.

- Widzę z tego, że zostaliśmy... hm... wprowadzeni w błąd. Nie pozostaje mi nic innego, jak przeprosić za niepotrzebne zabieranie czasu. O udzieleniu azylu w świetle tych okoliczności - wskazał ruchem głowy przedmioty rozłożone na biurku - nie może być oczywiście mowy.

## V

Konkiel, który stał przy luku ładowni, pilnując zajętych przy wyładunku robotników, zamrugał ze zdumieniem oczyma. Czyżby znowu drzemał? Przecież dokładnie liczył wchodzących dokerów. Było ich sześciu. A teraz wychodził akurat siódmy?

Żeby nie ta historia z cieniem, pewno w ogóle nie zwróciłby uwagi. Ale tak... Podrapał się po głowie. Zameldować bosmanowi? A może i rzeczywiście zasnął na minutkę, a ten siódmy wszedł w międzyczasie? Od wczorajszego popołudnia czuł się całkiem niewyraźnie. Jakby jakiś ołowiany ciężar ugniatał mózg, mącąc myśli. Powieki same opadały. Nie potrafił myśleć o niczym innym jak tylko o spaniu. Jak nic mógł przegapić tego siódmego.

W końcu machnął ręką. Co tam, i tak już wszyscy opuścili statek. Gdzie ich teraz szukać? I czy mają napisane na czole, który jest pierwszy, a który siódmy?

Po wyładowaniu, przystąpiono do generalnej toalety statku. Myto, szorowano, czyszczono, glansowano. Wszystko musiało lśnić od czystości. Ani odrobiny śmieci, ani kawałka rdzy. Podczas tych porządków nie przepuszczono najmniejszego zakamarka.

Kostrzewa przerzucał się od grupy do grupy. Zamieniał się wachtami, zastępował kolegów za paczkę papierosów. Trzeba było przecież czymś upozorować nieprzerwaną pracę przy toalecie statku.

Koperta zawierająca tajemniczy dokument opuściła statek. Ale przecież koperta to jeszcze nie wszystko. A ten człowiek odgrywający rolę cienia, co do którego był jak najbardziej przekonany, że nie należy do załogi? Miał nadzieję, że w końcu znajdzie jakieś realne dowody jego przebywania na statku. Nadzieja ta jednak w miarę postępowania pracy przy porządkowaniu słabła, aż wreszcie zgasła bez reszty. Musiał przyznać ze wstydem, że jak dotychczas przeciwnik okazywał się od niego sprytniejszy.

## VI

- Otóż... - szef Sekcji Dalekiego Rozpoznania zastanawiał się nad tym, co ma powiedzieć - otóż... udzielamy panu dwumiesięcznego urlopu.

Agent DOS 204 osłupiał. Tego przecież nie mógł oczekiwać żadną miarą po przebiegu dotychczasowej rozmowy.

- Jak to? - wytrzeszczył oczy. - Jak to: „urlopuh? Od kiedy?

- Od dziś. Pensja w pełnej wysokości, dodatki, gratyfikacje...

Agent przełknął ślinę, zerkając spod oka na szefa. Nie mieściło mu się to w głowie.

- To znaczy - niemal jęknął - że moja obecność na tym statku zostaje odwołana?

Szef potrząsnął przecząco głową.

- Nie, nic nie zostaje odwołane.

Palce agenta zacisnęły się bezwiednym ruchem na poręczach fotela.

- Ja... - długo trwało, zanim zdołał wydobyć z siebie głos. - Ja przepraszam... Ale nic z tego wszystkiego nie rozumiem. - Czyżby ten... rejs na komunistycznym pudle miał być potraktowany jako urlopowa wycieczka dla przyjemności?

- Tak - potwierdzał zupełnie nieoczekiwanie szef - właśnie coś w tym rodzaju.

DOS 204 milczał, rezygnując z dalszych pytań. Komu by to wszystko mogło się pomieścić w głowie? Albo on zwariował, albo szef, albo obydwaj. Zapalił papierosa, czekając na dalszy ciąg.

- Czy słyszał pan coś - odezwał się po chwili szef - o Lidze Obrony Kultury Europejskiej?

DOS 204 podniósł głowę. Słyszał oczywiście niejedno. Ale o Lidze nie wspomiano w tym miejscu nigdy. Z zupełnie zresztą zrozumiałych powodów. Jaki może mieć związek Liga z tym, o czym dotychczas rozmawiali? Jakoś nic mu nie przychodziło na myśl.

- Owszem - bąknął ostrożnie - coś niecoś obito mi się o uszy. To... zdaje się, nielegalna organizacja?

- Jak najzupełniej nielegalna - potwierdził poważnym tonem szef. - I poza tym terrorystyczna. Ale jak dotychczas pomimo poszukiwań nie zdołaliśmy natrafić na jej ślad.

Agentowi zaczęło już świtać, w jakim kierunku idzie gra.

Szef otworzył szufladę biurka, poszperał w niej trochę i wyjął fotografię dość dużego formatu.

- Cóż z tego, że, powiedzmy, zdołaliśmy zdobyć podobiznę jednego z jej członków czy może nawet przywódców - podał fotografię agentów. - Odbitka pozostaje odbitką i niczym więcej. Tego człowieka nigdzie nie można znaleźć.

Agent przyjrzał się dokładnie fotografii. Była bardzo wyraźna. Utrwalił w pamięci przedstawione na niej rysy twarzy mężczyzny. Z każdą chwilą rozumiał coraz lepiej, o co chodzi.

- To rzeczywiście bardzo przykre - oddał fotografię.

- Trzeba jednak przyznać - wzrok szefa błędził po ścianach - że niektóre cele tej organizacji są nader

szlachetne. To oczywiście mówię prywatnie. Bo z urzędowego punktu widzenia... Zresztą środki, jakimi się posługują, to, delikatnie mówiąc, oczywisty kryminał...

Żegnając się z agentem, szef wręczył mu pękata kopertę.

- To mała gratyfikacja urlopowa. Życzę przyjemnego spędzenia czasu. Będzie pan jeszcze przez jakąś, powiedzmy, godzinkę w domu? - zapytał z naciskiem.

- Tak - potwierdził agent. Nietrudno było zrozumieć polecenie zawarte w tym pytaniu. - Godzinkę w każdym razie.

## VII

Gdy DOS 204 otworzył drzwi swego mieszkania i spojrzął na mężczyznę stojącego w progu, musiał stwierdzić, że pokazywana mu przez szefa fotografia była doskonała.

Przybysz stał nieruchomo i milcząco. Jakby jedynie po to, by gospodarz mógł mu się przyjrzeć wystarczająco dokładnie.

Również milczącym gestem DOS 204 zaprosił go do wnętrza mieszkania. Starannie zaryglował za nim drzwi.

Okna pokoju były szczelnie zasłonięte. Usadowił gościa w ten sposób, by światło stojącej na biurku lampy padało na jego twarz. Po wyrazie jego oczu dostrzegł, że manewr nie pozostał niezauważony. Nie stropił go jednak ani trochę. Rozsiadł się wygodnie we wskazanym fotelu. W ogóle całe jego zachowanie cechowała jak najdalej idąca swoboda. Widać było, że czuł się zupełnie pewnie.

DOS 204 poczęstował gościa papierosami, po czym pogрузił się w wyczekującym milczeniu. Tak było najwygodniej z rozmaitych względów.

Gość zresztą niedługo kazał mu czekać.

- Słyszałem, że pan jest teraz na urlopie?

- Owszem, nie myli się pan.

- Wobec tego... nic właściwie nie stoi na przeszkodzie, by pan mógł się podjąć pewnych prywatnych zleceń?

Brwi agenta powędrowały ku górze. Komedia zaczynała go bawić.

- Jak to prywatnych?

- To jest, chciałem powiedzieć... nno... jakby to nazwać... Występuję, w imieniu pewnej organizacji, która postawiła sobie za cel zwalczanie komunizmu we wszelkich jego objawach. I... - wypuścił z ust zgrabne kółko dymu - i komunistów...

- Tak - agent zabębnił palcami po biurku. - No więc?

- Słyszałem, że pan ma możliwość dostania się na komunistyczne pudło, które stoi w naszym porcie?



DOS 204 zachował poważny wyraz twarzy.

- Powiedzmy, że mam. Co z tego wynika?

- My... To jest nasza organizacja jest dalece zainteresowana losem tego statku. I jego pasażerami. Profesor Tomski...

- Tak - przyznał agent - profesor Tomski rzeczywiście jest tam pasażerem.

Gość poprawił niedbałym gestem wylóg nienagannie skrojonej marynarki.

- Krótko mówiąc - ciągnął dalej - zależy nam niezmiernie na tym, by ktoś z naszego ramienia przebywał na tym statku.

Agent z uwagą obejrzał swego papierosa.

- W charakterze obserwatora?

Gość roześmiał się basem na całe gardło.

- Och... oczywiście, że nie. Chodzi o zupełnie coś innego. Tylko sprawa nie została jeszcze ostatecznie uzgodniona. Okoliczności poplątały się nagle w tak nieoczekiwany sposób, że...

- Z kim ma pan uzgadniać, jeśli można wiedzieć? - Agent umyślnie postawił pytanie z brutalną bezpośredniością, ciekaw reakcji gościa. Ten zmieszał się jednak trochę. Po raz pierwszy zresztą od chwili rozpoczęcia rozmowy.

- Nno... - zająknął się - z niektórymi członkami kierownictwa naszej organizacji, ale nie wszyscy są w mieście. Pragnęlibyśmy mieć na statku kogoś, kto wykona zadanie, gdy decyzja zostanie już uzgodniona.

- A na czym to zadanie będzie polegać?

- Otóż, hm... społeczeństwo doszło do wniosku, że skoro Europa nie może mieć wiedzy Tomskiego na swoje usługi, niedobrze by się stało, jeśliby ją pozyskali ci zza żelaznej kurtyny.

- Jakiś tragiczny wypadek z profesorem?

- Powiedzmy... Ale to nie takie proste. Zbyt dużo oczu zwróconych jest w tej chwili na niego. I gdyby go coś spotkało, mogłyby wyniknąć niepotrzebne podejrzania. Wobec tego...

- Wobec tego? - agent zerknął znacząco na cyferblat stojącego na biurku zegara.

- Należy stworzyć takie okoliczności, by śmierć pasażera statku płynącego na pełnym morzu nie wzbudziła żadnych podejrzeń. Na przykład zatonięcie całego statku.

Agent przesunął ręką po włosach. „Robotah więc miała być bardzo trudna. Charakter jej ani go nie przeraził, ani nie wywołał w nim choćby najmniejszego sprzeciwu wewnętrznego.

- Na wykonanie tego zadania nasza organizacja przeznaczą kwotę...

Suma była więcej niż pokaźna. Niemal zawrotna. Mało istniało rzeczy, których by się DOS 204 za takie pieniądze nie podjął.

Przystąpiono do omawiania szczegółów. Na zakończenie DOS 204 zapragnął się upewnić co do dwóch okoliczności.

- Co będzie z wynagrodzeniem, jeśli akcja nie zostanie uzgodniona?

- Och... ta ewentualność nie wchodzi niemal zupełnie w rachubę.

- Gdyby jednak?

- W takim wypadku honorarium zostanie wypłacone w całości.

- W porządku. I czy tamten statek będzie czekał na pewno w odległości i nie więcej niż pięciu mil? Bo w przeciwnym razie, sam pan rozumie... Pieniądze nie mają zbyt wielkiego obiegu na dnie morza. Choćby nawet stanowiły mocną walutę...

- Rozumiem. Absolutnie pewne, że będzie czekać.

## VIII

DOS 204 był wprost zachwycony sprawnością Ligi. Dostarczenie potrzebnych materiałów i przyrządów łącznie z porozumieniem się ze spedytorem zajęło im niespełna godzinę. Tajemnica skrzyni numer 9A nie stanowiła dla nich najmniejszej zagadki. Gdy DOS 204 wyraził z tego powodu zdumienie, bo przecież nawet łysy szef Sekcji Dalekiego Rozpoznania nie był wprowadzony we wszystkie szczegóły, osobnik z Ligi, który prowadził z nim pertraktacje, powiedział:

- Och, my w ogóle bardzo dużo wiemy. Znacznie więcej, niż mogłoby się wydawać.

Potem w mieszkaniu agenta zabrzączał telefon.

- Równo za pięć kwadransów rozpoczniemy przyjmowanie pracowników.

Więcej nie powiedziano nic. Dla DOS 204 jednak wiadomość była aż nadto wyraźna.

Niemal całe te pięć kwadransów poświęcił na zabiegi przy zmianie swej powierzchowności. Wysiłki nie poszły na marne. Gdy po upływie tego czasu mieszkanie agenta opuścił doker, nikt nie mógłby powiedzieć, że różni się czymkolwiek od prawdziwego. Zresztą nawet najbardziej drobiazgowa rewizja osobista nie mogłaby wzbudzić najmniejszych podejrzeń co do jego identyczności. Legitymacja związkowa z jego własną fotografią. Napoczęta paczka papierosów taniego gatunku. Parę sztuk drobnego bilonu. To wszystko. Inne rzeczy zostały schowane uprzednio do skrytki w skrzyni numer 9A.

DOS 204 zdążył przyjść na parę minut przed zmianą. Ekipa, która teraz miała wejść na statek, była dość osobliwa.

Brygadier jej, oprócz rodzowego nazwiska, posiadał równie tajemniczą cyferkę w aktach przechowywanych w panczernej kasie budynku, w którym przed trzema godzinami agent DOS 204 odbywał konferencję. Pozostali dokerzy tej zmiany - również. Ale o tym oczywiście nie wiedział

żaden z ich kolegów. Z tego też powodu ich legitymacje związkowe były jak najbardziej prawdziwe. Wszli na pokład „Jedności”. Przeciągnęli się, poprawiając kombinezony. Zachowanie ich nie odbiegało w niczym od zachowania innych dokerów. Mieli już przecież w tym nie byle jaką wprawę. Stojący przy luku ładowni marynarz zamierzał zgodnie z poleceniem kapitana przeliczyć przybyłych. Tę ewentualność przewidziano. Brygadier wykonał niemal niedostrzegalny ruch.

- Teraz! - szepnął, ocierając się niby to przypadkowo ramieniem o tkwiącego w skórze dokera agenta DOS 204. Podszedł do marynarza szeroko uśmiechnięty. Wyciągnął na otwartej dłoni paczkę papierosów. Podsunął ją zachęcającym ruchem.

- Towarzyszu - to słowo miało przecież na tym statku niewątpliwie nader atrakcyjną siłę.

Marynarz rzeczywiście odwrócił się ku niemu, odwzajemniając uśmiech.

Był to Sorek. Funkcji swej nie traktował poważnie. Czysta formalność i tyle. Czyż ktoś zdoła wynieść pod pachą skrzynie? Niektóre z nich ważyły po kilkaset kilogramów. A liczbę i numerację sprawdzali na brzegu według frachtu.

Sięgnął po papierosa.

I właśnie w tej samej chwili ciasno stłoczeni robotnicy zbiegli pospiesznie do ładowni. Stanowili tak ruchliwą masę, że trudno było ustalić, ilu ich właściwie jest. Nawet gdyby się przyglądać uważnie. A uwaga Sorka równała się niemal zeru.

- Ilu was? - zapytał brygadiera.

- Dziesięciu.

Sorek pokiwał głową. Tylu właśnie powinno być. Było jednak jedenastu.

Brygadier również zszedł na dół. Wzrok Sorka wybiegł tęsknie ku miastu. Ruch, gwar. Chwilami echo dobiegało aż tutaj. I ile knajp. A on jak pies na uwięzi. Lizanie ciastek przez szybę. Że też ci przekłeci prowokatorzy musieli wymyślić takie świństwo.

W ładowni tymczasem wszystko szło ustalonym zawczasu porządkiem.

DOS 204 odłączył się od gromadki. Ostrożnie przemknął w głąb ładowni, pomiędzy stojące już skrzynie. Z tą chwilą reszta przestała zwracać na niego uwagę. To było zresztą zupełnie zrozumiałe. Wszyscy należeli do tej samej branży.

## **XVI. A JEDNAK: „ZASTOPOWAĆ MASZYN”**

### **I**

Marynarze odetchnęli z ulgą, gdy panorama portu zaczęła się rozplýwać za rufą. Przez cały czas postoj u na statku panował nastrój rozdrażnienia. Mieć miasto tuż pod bokiem, obserwować ożywiony ruch na nadbrzeżnych bulwarach i nie móc nawet postawić stopy na lądzie. Pewne urozmaicenie stanowiło przybycie na statek nowego pasażera. Profesorowi Tomskiemu przyglądano się z zamaskowaną ciekawością. Folta zaś był bardzo niespokojny o wyniki swych kulinarnych zabiegów.

Nagabywał Kropidłę:

- Jak mu smakowało? Bardzo się krzywił?

Tylko Gwóźdź nie rozmyślał wcale o mieście i jego pokusach.

Wiedział już od Rolskiego, że przyjaciel znajduje się na najlepszej drodze do wyzdrowienia. To mu wystarczało jako rekompensata za wszystkie utracone uciechy.

## II

Krążek światła znieruchomiał na wielkim napisie 9A. Właśnie ta skrzynia. Pomimo dyspozycji marynarzy nadzorujących załadunek udało się ustawić tak, jak to było przewidziane.

DOS 204 zaczął ostrożnie podważać deski. Skrzynia została skonstruowana w taki sposób, że otworzenie jej nie sprawiało żadnych trudności. Posiadała wewnątrz parę przedzielonych komór. To było z pewnych względów konieczne. Specjalne urządzenie pozwalało na otworzenie każdej z osobna.

Gdyby wiedzieli, jaki towar zawiera naprawdę - wargi DOS 204 wykrzywił złośliwy uśmiech. Przesunął rękę przez otwór. W porządku. Natrafił na właściwą komorę. Obawiał się, że jednak poplątali. To się przecież nie tak rzadko zdarzało. Zaczął szperać po omacku, wyszukując przedmioty niezbędne by się zainstalować. Dwa cienkie koce z puchatej wełny. Gumowa poduszka. Pudełko z pistoletem automatycznym i zapasowe magazynki. Latarka elektryczna z reflektorem zaopatrzonym w kolorowe filtry. Niewielka, ale ciężka skrzynka krótkofalówki „Universalh. Butelki z hermetycznym kapslem. Kilka sandwiczów w pergaminie.

Wbił w rękojeść pistoletu magazynki. Zarepetował, wprowadzając nabój do lufy. Odetchnął z ulgą. Głupio czuł się bez broni. Nie było jednak na nią miejsca w kombinezonie dokera. Gdyby tak ktoś zauważył?... Pistolet i latarka powędrowały do kieszeni. Resztę umieścił w bezpiecznym miejscu pomiędzy skrzyniami.

Rozesłał koc. Że niewygodnie? Trudno. Raczej nie przewidywał, by miało to trwać długo. Jeżeli jednak nie przyjdzie dyspozycja numer trzy jota trzy - zabawa przeciągnie się aż do Gdyni. Nie uśmiechało mu się to pod żadnym względem.

## III

DOS 204 zauważył jaśniejszą kreskę nad głową. Ktoś widocznie chce wejść przez zakonspirowany otwór. Skrzynie w tym miejscu zostały spiętrzone w odpowiedni sposób. Czekał, nie spuszczać oczu. Nie sięgał jeszcze po broń. Miał czas. Zbyt nerwowość potrafi zepsuć nawet najlepszą sprawę. Krótkie rozbłyski kolorowego światła. Odgłos ostrożnego szurania po skrzyniach. Idzie na pewniaka. Wątpliwe, żeby ktoś niepowołany.

Szept wymieniający hasło. W porządku. Agent X-2.

Za to treść raportu wytrąciła go z równowagi.

- Jak to, nie zabrali go dotychczas? - nie mógł po prostu uwierzyć.

- Nie. Na mnie samym skóra cierpnie. Przecież w każdej chwili może zacząć śpiewać, a wtedy...

DOS 204 po odejściu agenta zapalił specjalnie skonstruowaną fajkę. Dym wsiąkał bez reszty w pochłaniacz.

Był wściekły. Cóż oni sobie właściwie wyobrażają? A potem pretensje, że sprawa nie idzie tak, jakby mieli na to ochotę. Za wszelką cenę należało usunąć niebezpieczeństwo. Podsypać trucizny do jedzenia? To może dałoby się zrobić. W skrzyni pomiędzy innymi zapasami nie brakło również kompletu odpowiednich ampułek. Umarli milczą. Zaciągnął się. Ale to ryzyko. Aresztant, którego mają zamiar badać, nagle umiera. Jest lepszy sposób. DOS 204 nachylił się nad krótkofalówką. Nie było innego wyjścia. Choćby mieli stawać na głowę, to musi zostać zrobione.

Pokręcił gałki regulatorów. Po chwili wewnątrz emaliowanego pudełka zabrzączało cichutko.

#### IV

Komisarz emigracyjny nie mógł początkowo zrozumieć, dlaczego wyciągnięto go z łóżka o tak późnej porze.

Za wielkim biurkiem siedział dyrektor tego urzędu. Człowiek, który miał wiele do powiedzenia nie tylko w obrębie jednostki bezpośrednio mu podległej, przeszywał teraz wzrokiem komisarza.

- To źle, że nie porozumiał się pan z nami, rozstrzygając sprawę tego... Basiorskiego.

Komisarz sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Jestem po prostu zdumiony... Tak... Zdumiony. Przecież prośbę od pana otrzymałem. Przyniósł ją goniec w zamkniętej na kłódkę teczce. Owszem, dwie koperty, pieczęcie, tajne. Wszystko jak należy. A jaki na tym postawił pan wniosek? - Wyjął złożony w czworo arkusz. - Właśnie o to chodzi. Żadnego! Proszę - podał papier - niech pan sam spojrzy!

Dyrektor przebiegł oczyma dokument. Potem drugi raz. Poczzerwieniał.

- Musiało widocznie zajść jakieś niedopatrzenie. Poszło do referenta niewtajemniczonego w sprawę „Jedności”. A ponieważ nie bardzo się orientował... ale mniejsza o to. W tej chwili chodzi o ważniejszą kwestię. Należy udzielić petentowi prawa azylu jako emigrantowi politycznemu.

- Teraz? - zdziwił się komisarz. - Statek przecież na pełnym morzu.

Człowiek siedzący za biurkiem wymienił porozumiewawcze spojrzenie z mężczyzną w mundurze policji portowej.

- Statek można dogonić. Ile czasu na to trzeba?

Oficer wyciągnął spod munduru złoty zegarek.

- Dwie godziny - padła pewna odpowiedź. - I ani minuty dłużej. Nasza kanonierka w stosunku do handlowca to to samo co gończy chart i żółw. - Roześmiał się zadowolony z porównania.

- Ale to i tak będzie poza granicami wód terytorialnych - zauważył komisarz.

Policjant skwitował te słowa krzywym uśmiechem.

- Cóż... Każdy ma prawo się pomylić...

- To już wasza rzecz - komisarz rozkręcił wydobyte z kieszeni wieczne pióro.

- Gdzie mam podpisać?

Człowiek za biurkiem potrząsnął z ubolewaniem głową.

- Niestety. Będzie pan musiał załatwić to osobiście. To jest konieczne. Dostaliśmy polecenie od władz zwierzchnich, aby wszystkie formalności zostały zachowane. Zaświadczenie o azylu doręczone przez niewłaściwe czynniki to już nie to...

Komisarz zwiesił głowę. Trudno mu się było pogodzić z porządkami, które nastąpiły w ostatnich czasach.

## V

- I jak tam z twoją astmą? - Mańczak podszedł do burty. Od dawna już zapomniał o swych podejrzeniach. Cóż, w rezultacie z tego Kotery całkiem niezgorszy chłop. W czasie tamtych historii człowiek gotów był rodzzonego brata uważać za bandytę.

Kostrzewa uśmiechnął się nijako.

- Żeby miała całkiem przejść, to nie. Ale od czasu, gdy sypiam na pokładzie, jest mi o wiele lepiej - wyciągnął paczkę papierosów. - Zapalimy?

Rozmowa toczyła się dość ospale. Mańczak wciąż jeszcze powracał do postoju w porcie.

- Zupełnie jakbyśmy byli trędowaci - powtarzał z oburzeniem, wymachując rękoma. - A wiecie - dodał nagle - te krótkofalówki, o których wam wtedy mówiłem, znowu zaczęły rozmowy. Buczą i buczą. Z nudów zapisałem sobie litery. Próbowałem odcyfrować, o co chodzi. Nic nie wyszło. Wszystko razem nie trzyma się kupy. Jakiś szyfr.

- Szyfr? - Kostrzewa wpatrzył się w dym ulatujący z papierosa. - Kiedyś wychodziło takie pismo poświęcone specjalnie różnym łamigłówkom. Tam też były szyfry. Niektóre udawało mi się rozwiązywać.

- Ale tego nie rozwiązałaś. Gotów bym iść o zakład. Choćbyś nawet wylażł ze skóry, nie dasz rady.

- No, nie wiem, ale mogę się założyć. O karton papierosów, zgoda?

- Szkoda mi twojej kieszeni. Ale skoro sam proponujesz. Jutro rano przyniosę.

Zapadała coraz większa ciemność. Nagle gdzieś daleko za rufą rozbłysły punkciki światła pozycyjnych.

Patrzyli przez chwilę w milczeniu w tamtym kierunku. Lśnienia, które początkowo przypominały robaczki świętojańskie, rosły z zadziwiającą szybkością.

- Jakiś statek idzie naszym kilwatem - zauważył Mańczak.

Kostrzewa obserwował z uwagą błyski świetlnych płam.

- O, znowu - Mańczak wskazał na nowe światła wyłaniające się z mroku po obu stronach tych, co szły pierwsze.

- To już wygląda na całą eskadrę - mruknął Kostrzewa. Statek płynął teraz blisko. Była to kanonierka. Rozjarzył się potężny reflektor. Smuga oślepiającego białego światła liznęła pokład „Jedności”. Zarysy okrętu wystąpiły ostrym kontrastem na granatowym tle nocnego nieba. Otwory luf działek kanonierki patrzyły na wprost. Snop jasności opadał powoli w dół, malując białą poświatą bok kadłuba.

Szybko zamigotały sygnały optycznego telegrafu.

Przy akompaniamencie szumu rozbijanej śrubami wody podpłynął z nawietrznej drugi statek, znacznie większy. Lufy jego dział poruszyły się, celując niedwuznacznie w „Jedność”. Trzeci statek, również wyglądający na wojenny, podpłynął ku rufie.

Mańczak odczytywał błyski międzynarodowego kodu.

- „Zastopować maszyny” - głos jego brzmiał głucho. Wypuścił ze świstem powietrze przez zęby. - To się nazywa złapać kogoś w sak bez wyjścia - zakreślił ramieniem, wskazując otaczające „Jedność” okręty.

Kostrzewa milczał. Co to wszystko miało znaczyć? Coś podobnego mogło się zdarzyć jedynie w czasie wojny.

Zastopować maszyny. W jasności wypełniającego wyżkę światła reflektora twarz kapitana Bartczaka wydawała się biała jak papier.

Igielnicki podszedł ku mapie.

- W tej chwili znajdujemy się mniej więcej gdzieś tutaj - wskazał końcem cygarniczki.

Bartczak zacisnął palce na pasku.

- W każdym razie poza granicami wód terytorialnych.

Igielnicki wzruszył ostro ramionami.

- Więcej niż jasne. Co najmniej dwadzieścia mil poza nimi.

- Ani strefa blokady, ani stan wojny, ani wody terytorialne - wyliczał kapitan. - Na podstawie przepisów międzynarodowego prawa morskiego nie mają podstaw nas zatrzymywać.

- Widocznie uważają, że mają je na podstawie prawa armat - uśmiechnął się sarkastycznie Igielnicki. - Ale trzeba przyznać, że tego rodzaju parada przynosi nam zaszczyt. Występują niczym przeciwko nieprzyjacielskiemu krążownikowi. Aż trzy najeżone armatami jednostki.

- Co robimy?

- Są dwie możliwości. Możemy usłuchać albo też zająć się bliższym badaniem konfiguracji dna morskiego na tym odcinku - odpowiedział bez namysłu Igielnicki.

- Sądzi pan, że odważą się strzelać?

- Sądzę, że nie odważą się tego nie uczynić. Tam, gdzie w grę wchodzi groźenie armatami, gdy zostało już powiedziane „ah, zachodzi konieczność wyliczenia dalszych liter alfabetu. Prestiż floty wojennej jego królewskiej mości, ot, co o tym decyduje, panie kapitanie.

Światło z kanonierki błyskało: „Zastopować maszyny, bo otwieramy ogień.

I niemal tuż po zgaśnięciu ostatniego sygnału lufa jednego z działek uniosła się nieco ku górze. Z otworu buchnął wydłużony język płomienia. Ostry huk targnął powietrzem. Ponad wierzchołkami antenowych masztów przeleciał ze świstem pocisk, wzbijając w odległości kilkudziesięciu metrów przed dziobem „Jednościch rozłożył fontannę wody. Dawano w ten sposób do zrozumienia, że ostrzeżenie nie należy bynajmniej do rzędu czczych pogroźek.

Igielnicki strząsnął popiół ze szklanej popielniczki.

- Strzał ostrzegawczy, czyli trzeci dzwonek - głos brzmiał jak zwykle drwiącymi nutkami. - Jak pan uważa, kapitanie? - spojrzał pytająco na Bartczaka.

Bartczak zacisnął zęby, schylając głowę.

- A co nam pozostaje? - wycodził głucho. Igielnicki ze złością szarpnął dźwignię telegrafu. Zaterkotał dzwonek.

Bartczak uśmiechnął się blado.

- A ten pan uważa za czwarty z kolei?

- Nie. Też za trzeci. Tylko że zapowiada widowisko w nieco odmiennym stylu.

Kapitan sięgnął po mundurową czapkę.

- Idę powitać... gości.

Na kanonierce znowu zamigotały światła kodu: „Spuścić sztorm traph.

- Spuścić sztorm trap! - rozkazał kapitan. Głos jego był całkiem matowy.

Zgrzytnęły jękliwie bloki.

- Może połamią na nim karki - splunął ze złością Foryś.

## VI

Otwarte zebranie zostało zwołane w świetlicy. Przeprowadzenie go na pokładzie było nie do pomyślenia. Jaskrawe światło reflektorów zdawało się śledzić każdego poszczególnego człowieka.



Zresztą może tak było w rzeczywistości?

Na porządku dziennym stał jeden jedyny punkt. Co należy uczynić z dokumentami? Nie wolno przecież dopuścić, by się dostały we wrogie ręce. A któż mógł przewidzieć, jakie tamci mieli zamiary wobec statku i jego załogi?

Padaly różne propozycje. Jedni mówili: „zniszczyć”, inni „dobrze schować”. Tych ostatnich zresztą była większość.

- Dobrze - oświadczył Sikora, zliczywszy głosy. - Zajmę się tym. I choćby nawet cały statek rozebrali na części, nie znajdą.

Kwestii, czy należy usłuchać wezwania do zastopowania maszyn, nie roztrząsano. Dla wszystkich było jasne, że sprawę tę należy uważać za przesądzoną.

Tylko Foryś nie wytrzymał.

- Czy musimy pozwolić, żeby nas napadali jak jacyś bandyci? - krzyknął oburzony.

Sikora ciężko zwiesił głowę.

- A mamy jakieś inne wyjście?

Pięści zaciskały się w odruchu bezsilnego buntu. Opanowanie przychodziło z bezmiernym trudem. Było jednak w tych warunkach konieczne. Wracali na swoje posterunki.

## VII

Podskakując na falach, podpływał motorowy barkas. Siedziało w nim kilkunastu uzbrojonych po zęby ludzi. Ze zdumieniem zauważono policyjne mundury. Więc nie marynarka wojenna, jakby na to wskazywał charakter obcych jednostek, ale policja na pełnym morzu?

Sprawa wyglądała z każdą chwilą coraz bardziej zagadkowo.

Kapitan Bartczak czekał sztywno wyprostowany przy zejściu z trapu.

Pierwszy wszedł na pokład mężczyzna w nieprzemakalnym płaszczu.

- My się już znamy, kapitanie.

Bartczak poznał komisarza emigracyjnego. Nic z tego wszystkiego nie mógł zrozumieć. Milczał wyczekująco.

- Chodzi o to - komisarz sięgnął do kieszeni marynarki, wydobywając złożony w czworo arkusz papieru - że decyzja w sprawie Basiorskiego uległa zmianie. Otrzymał prawo azylu jako emigrant polityczny. Oto - wyciągnął w kierunku kapitana papier - urzędowy bill w tej sprawie.

Bartczak nie wykonał najmniejszego ruchu, aby przyjąć dokument.

Na pokład wchodziło coraz więcej uzbrojonych po zęby policjantów.

- Oto bill udzielający prawa azylu. - Ręka z dokumentem wciąż wisiała w powietrzu. - Proszę przejrzeć.

Bartczak potrząsnął głową.

- Nie interesuje mnie. Tu zresztą nie ma mocy prawnej. Jesteśmy na pełnym morzu, daleko poza granicami waszych wód terytorialnych.

Komisarz odchrząknął. Widać było, że nie wie, co ma robić dalej. Spojrzał ku mężczyźnie w mundurze oficera. Ten wykonał długi krok, stając obok niego.

- Poza granicami? - zarechotał. - A gdzie one, te granice?

- Znajdujemy się przeszło dwadzieścia mil w głąb otwartego morza - Bartczak wciąż jeszcze zachowywał spokój.

- Widzieliście może po drodze słupy graniczne? - oficer parsknął ironicznym śmiechem.

Bartczak chciał coś odpowiedzieć, ale przerwał mu komisarz.

- Żądam wydania emigranta politycznego Klemensa Basiorskiego, który uzyskał azyl na podstawie aktu z dnia dwudziestego trzeciego września roku bieżącego, za numerem „Ah dwieście jedenaście. Akt ten został wydany przez powołane do tego władze i opatrzony właściwymi pieczęciami.

Kapitan wyprostował się jeszcze bardziej.

- Odmawiam - oświadczył z godnością. - Żądanie jest sprzeczne z przepisami międzynarodowego prawa. Jesteśmy na otwartym morzu, które nie podlega władzy żadnego państwa.

- To jeszcze zobaczymy, czy nie podlega - oficer marynarki wystąpił naprzód. - Przeszukać statek.

Bartczak pobladł.

- Protestuję! - skrzyżował ręce na piersiach.

Oficer odepchnął go brutalnie. Policjanci rozbiegli się po pokładzie, z bronią gotową do strzału.

Bartczak stał niemy i nieruchomy. Przypominał grubo ciosaną kamienną figurę.

## VIII

Podświadomym ruchem skoczył w kierunku schodów. Jednak nie wolno. Stoi przecież na warcie. Kosztowało go dużo wysiłku, zanim się zdobył na powrót pod drzwi. To było okropne. Zaciskał pięści, wpijając w dłonie paznokcie. Aż gnało, by popędzić na górę. Może katastrofa, a on tu jak mysz w pułapce. Nic nie wie ani nawet się nie domyśla. Znowu stukot kroków nad głową. Czyjeś twarde podeszwy waliły mocno o deski pokładu. Dużo więcej ludzi niż poprzednio. Przytłumione odgłosy. Dudnienie stopni schodów. Jedne po drugich trzaskają drzwi. Echo dźwięków rozbrzmiewało w pudle statku ostrym rezonansem. Kroki wyraźnie się zbliżały. Wstrzymał oddech. Szli bez wątplenia właśnie tutaj. Utkwił wyczekujące spojrzenie w drzwiach zamykających wejście na trap. Jeszcze chwila i dowie się nareszcie. Skrzydło drzwi odskoczyło gwałtownie. Na trapie

zaczerniały stłoczone sylwetki. Policyjne mundury? Zamrugał oczyma. To już przecież było więcej, niż mógł przetrwać rozum. Skąd mogli się tu wziąć? Dopiero gdzieś na szarym końcu Rybak i Paździor. Ale za nimi znowu dwóch policjantów z pistoletami w garści.

Cofnął się o krok. Miał ochotę uszczypnąć się mocno.

## IX

Policjanci stali już przed nim. Jeden położył rękę na klamce. Gwóźdź odsunął go łagodnie.

- Tu nie można.

- Odstąpić! - policjant parł ku drzwiom. I tym razem Gwóźdź go odsunął.

Ruch ramienia był spokojny, dostatecznie jednak silny, bo tamten odleciał w tył prawie o metr. Teraz otoczyło go kilku. Któryś z nich wycelował pistolet.

- W imieniu prawa wzywam do odstąpienia! - szczeknął.

Gwóźdź przełknął ślinę. Miał wrażenie, że czarne oko otworu lufy celuje prosto w serce. Widział gruby paluch leżący na cynglu. Wyraz twarzy policjanta nie wróżył nic dobrego. Wystarczy lekkie drgnięcie tego palca. Zacisnął zęby. Trudno. Nie wykonał najmniejszego ruchu. Stał zupełnie tak samo jak przedtem. Usiłował nie patrzeć na pistolet. I nie myśleć o nim.

- Mogę odstąpić jedynie na polecenie kapitana - z trudem dobierał obce wyrazy. Po ich minach widział, że zrozumieli dokładnie.

Do przodu wyszedł jakiś z naszywkami.

- Stawiasz opór władzy? - głos brzmiał wściekłością. Ale ten nie groził pistoletem.

Gwóźdź starał się mówić spokojnie. Po co się kompromitować przed obcymi.

- Moją władzę na tym statku jest kapitan - powtórzył z niewzruszonym uporem. Nie mógłby twierdzić, że czuje się jak zawsze. Ale to chyba nie był strach.

- Odsunąć go! Na co czekacie? - warknął ten z naszywkami.

Rzuciło się od razu trzech. Gwóźdź lekko ugiął nogi. Skoro nie strzelają, to już nie tak źle. Ramiona rozprężyły się błyskawicznie. Pięść uderzyła w twardziznę żeber. Druga prześliznęła się po wilgotnej wełnie płaszcza. Oba ciosy chybione. Celował w podbródki. Musieli zauważyć w ostatniej chwili. Wystarczyło jednak, by jeden z głuchym stęknieniem poleciał na podłogę. Drugi odskoczył. Znowu do niego przypadli. Teraz było ich chyba więcej. Ciasnota korytarza hamowała ruchy. Gdyby chcieli walczyć na pięści...

Sielawa zawsze go wyśmiewał, że słoń. A przecież w pewnych wypadkach... Kącikiem oka dojrzał wzniesioną nad głową stalową rękojeść pistoletu. To nie było w porządku. On przecież miał tylko gołe ręce. Uskoczył. Cios przeszył powietrze. Ale w tej samej chwili coś twardego walnęło z rozmachem w plecy. Aż dech zaparło. Robiło się coraz ciaśniej. Teraz dziesiątki razów miażdżyły ciało. Walczył rozpaczliwie, wciąż nie dopuszczał ich do drzwi. W miejscu, gdzie stali Paździor i

Rybak, zakodowało się. Widocznie chcieli mu przyjść z pomocą.

Rozkazujące słowa w obcym języku.

- Kończcie już wreszcie!

Teraz zawisło nad nim parę pistoletów naraz. Wystarczyłoby jedno trafienie. Ze wszystkich stron rozwścieczone twarze. Szarpnął ramieniem w górę, by osłonić głowę. Suchy, przejmujący trzask. W oczach pociemniało. Ręka zwisała bezwładnie. Każde dotknięcie świdrowało piekielnym bólem. Echo kołatało gdzieś w głębi czaszki. Widzieli, że mu złamali rękę. Nie mogli tego nie dostrzec. A przecież tarmosili go brutalnie na wszystkie strony. Jęk narastał w przełyku. Nie dopuścił, by usłyszeli. Jeszcze się szamotoł. Próbował odpychać lewą ręką. Próbował uderzać ciałem. Ale to już nie była walka. Czuł nadchodzący kres. Ciosy spadały bez przerwy. Świadomość zaczęła mętnieć. Wreszcie zabrakło sił. Osunął się bezwładnie na podłogę. Stracił przytomność.

Po twarzy Paździora spływały grube krople potu. Opierał się ciężko o ścianę. Nie był w stanie wykonać najmniejszego nawet ruchu. Oczy przesłoniła czerwona mgła. Widział przecież, co wyprawiają z Gwoździem. Być świadkiem czegoś podobnego i nie móc przyjść z pomocą! To było najokropniejsze ze wszystkiego. Rybak leżał przy ostatnim stopniu schodów. Czuł się jak zmiętoszona szmata. Miał takie uczucie, jakby całe ciało zostało przepuszczone przez naładowany olbrzymimi głazami magiel. Ilu na niego napadło? Walczył, dopóki go nie zmogli. Próbował powstać, czepiając się rękoma ściany. Runął z powrotem. Każdy ruch był połączony z przejmującym bólem.

- Wyważyc drzwi!

Naparło kilka krzepkich ramion naraz. To były zwykłe drzwi z dykty. Rygiel zamka pękł od razu. Jednocześnie drzwi wypadły z zawiasów.

Basiorski zeskoczył z koi. Schował się na niej przy pierwszych odgłosach bijatyki przed drzwiami. Nie zdawał sobie sprawy, o co chodzi.

Człowiek z naszywkami nacisnął guzik latarki. Chociaż w kajucie płonęły wszystkie żarówki, nie wiadomo w jakim celu policjant oświetlił powleczoną szarawą bladością, obwisłą twarz kucharza.

- Emigrant polityczny Basiorski?

Obcy język i mundury policyjne dopowiedziały reszty. Basiorski rozpromienił się. Podbiegł ku tamtemu, rozkładając ramiona, jakby go zamierzał wziąć w objęcia.

- Nareszcie!

Policjant jednak nie miał ochoty na czułości.

- Proszę za mną - rozkazał.

Ruszył przodem. Basiorski dreptał za nim, przybierając wyniosłe miny. Reszta policjantów zamykała pochód. Dwóch jednak opierało się ciężko na ramionach kolegów. Trzeciego zaś podtrzymywano z obu stron. Chybotął się na wszystkie strony jak kukła. Widać było, że nie bardzo zdaje sobie sprawę z tego, co się z nim dzieje.

## X

Twarz Rolskiego była jak zamrożona. Tylko w oczach żarzyły się ognie.

- Co za bestialstwo - rzucił wreszcie przez zaciśnięte zęby. - Ani jednego zdrowego miejsca na tych dwóch.

W skupieniu zabrał się do zakładania opatrunku usztywniającego na złamane ramię Gwoździa. Ranny otworzył ociężale oczy, jęcząc cicho.

- To potrwa tylko króciutką chwilę - usiłował go pocieszyć Rolski.

Słowa jednak nie dotarły do świadomości Gwoździa. Znowu stracił przytomność.

Rybak wił się przy każdym dotknięciu. Olbrzymie siniaki gęsto pstrzyły całe ciało.

Rolski był zmuszony zaaplikować pod rząd dwa zastrzyki znieczulające.

Kostrzewa, który zaglądając przez ramię felczera, obserwował przebieg badania, odetchnął z ulgą. Przypuszczał, że żaden z ważniejszych organów wewnętrznych nie został uszkodzony.

Wyszedł na pokład. Ich już nie było. Odeszli z triumfem, uprowadzając swoją zdobycz.

Przesunął spojrzeniem po konturach okrętów otaczających „Jednośch. Widocznie w mentalności niektórych pojęcie „otwartego morza utożsamia się z pojęciem „otwartej drogi, na której nietrudno zasadzić się z bronią w rękę na bezbronnego przechodnia. Szczególnie jeżeli w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby mu przyjść z pomocą.

Wciągnął głęboko powietrze do płuc. To były niełatwe chwile. W tych warunkach stawianie oporu mogło tylko jeszcze bardziej skomplikować sytuację.

Zdjęcie z pokładu Basiorskiego stanowiło poważny cios. Niewątpliwie musiał wiedzieć bardzo dużo. Kto wie, czy nawet nie wszystko.

## XI

Lena Marska wyciągnęła na oślep rękę w kierunku szklanki. Nie odrywała ani na ułamek sekundy oczu od gęstych linijek drobnych liter. Bartczak miał dość wyraźny charakter pisma, dlaczego jednak tak drobił, jakby mu nie starczało papieru?

Przełknęła odrobinę wody, nie wypuszczając z palców drugiej ręki gałki regulatora.

Myśli powoli zmieniały kierunek. Kotera... Tak... Miły chłopak... Chłopak? Nie był przecież wcale taki młody. Może już nawet dobiegał trzydziestki. Z perspektywy dziewiętnastu lat taki wiek wydawał się jej dotychczas niemal podeszłym. Ale teraz... Zresztą, niekiedy wyglądał tak młodo.

Zwłaszcza gdy się śmiał. Albo choćby tylko uśmiechał. Nie zawsze lubiła jego oczy. Czasami patrzył tak przenikliwie, jakby chciał zajrzeć w głąb duszy... I jakby oczekiwał, że znajdzie tam coś bardzo przykrego.

Czyżby coś podejrzewał? W ustach nagle zapiekła, pełna nieprzyjemnej goryczki, czczość. Zwilżyła wargi wodą. Nie... Skąd mógłby podejrzewać? To tylko tak... Widocznie ma takie przyzwyczajenie.

## XII

Kostrzewa w skupieniu analizował każde słowo opowiadania Sielawy. Gwóźdź, stękając, zlął ze swej koi i podszedł bliżej. Miałby nie usłyszeć takiej historii?

Sielawa poprawił poduszkę. Było mu niewygodnie. Ofuknął Kostrzewę, gdy ten chciał mu pomóc.

- Myślisz, że sam nie dam rady? Skończyły się już, bracie, te czasy.

- Opowiadaj dalej! - syknął niecierpliwie Gwóźdź. Policzki mu pałały. Nie wiadomo, z gorąca czy też z emocji. - I co wtedy?

- Patrzę, a tu na progu stoi Basiorski.

- Nie bałeś się wejść wleźć do jego kajuty? - Gwóźdź pokręcił głową. - Ja bym chyba za żadne skarby...

- No, żebym powiedział, że coś mi tam nie pikało, to bym zełgał. A jak już zobaczyłem Basiorskiego, serce mi podeszło do gardła. Wyciągam na gwałt cygara, o których wam mówiłem, a ten za wyłącznik. Pstryk...

Gwóźdź chłonał słowa z otwartymi ustami. Zapomniał nawet o swej ręce i potłuczonym ciele, chociaż przy każdym ruchu piekło, jakby wbijano dziesiątki rozpalonych do białości bretnali.

- Miał taką minę, że strach. No, myślę sobie, zaraz mi skoczy do gardła - ciągnął dalej Sielawa - cofam się jak przed bazyliżkiem, aż tu nagle słyszę za sobą kroki...

- Słyszałeś je wyraźnie? - przerwał Kostrzewa.

- Gdzie tam wyraźnie. Ledwo, ledwo. Kroki były ciche, niemal kocie. Ktoś się za mną skradał. Sięgam do kieszeni po śrubę... Aż tu jakby mi bom na łeb zleciał. Więcej to już nic nie wiem...

- Więc to ten, który cię zaszedł z tyłu? - zapytał Gwóźdź.

- A któż by inny?

- A ja myślałem, że Basiorski. Zauważył, że go śledziłeś, więc... Na pewno nie on? Może ci się... trochę pokręciło? Jak człowiek dostanie po kapeluszu...

Sielawa parsknął śmiechem.

- Wariata jednak ze mnie nie rób. Basiorski ani mnie tknął. Przynajmniej dopóki byłem przytomny. Bo co się działo ze mną potem...

Kostrzewa ssał pustą cygarniczkę. Lepiej nie palić przy chorych.

- Czy odniosłeś wrażenie, że Basiorski tamtego widział?

- Chyba tak. Miał taką minę... Właśnie dlatego chciałem wyjąć śrubę. Słuchaj - popatrzyl pytajaco na Kostrzewę - jak uważasz, czy mam zameldować o tym wszystkim kapitanowi?

- Jednak trzeba będzie.

Rozmawiano jeszcze parę minut, aż wreszcie Rolski wykonał znaczący ruch:

- Co za dużo, to niezdrowo...

Kostrzewa długo stał przy rufie i obserwując spienioną brudę kilwatu, palił papierosa za papierosem.

Kto uderzył Sielawę? Równie dobrze mógł być to każdy z załogi, jak i ktoś spoza niej.

Sielawa przecież nie zdążył nawet spojrzeć. Basiorski wiedział niewątpliwie. Ale się wyśliznął poza zasięg sprawiedliwości. I należało uważać, że wyśliznął się na zawsze.

## **XVII. DECYZJA TRZY JOTA TRZY**

### **I**

W rzeczywistości wychodziło Kostrzewie wszystko zupełnie inaczej, niż to sobie planował. Wychodziło bez żadnego sensu. Ten odcinek sprawy był grząski niczym trzęsawisko wciągające coraz głębiej przy każdym kroku. I jednocześnie śliski jak gładka tafla lodu.

Łatwo było sobie postanowić: będę obserwować Lenę Marską i wyciągnę z niej wszystko, co tkwi pod podszewką.

Owszem, teraz nawiązywanie z nią rozmów odbywało się znacznie gładziej niż przed wycieczką do portu. W tym porcie, w którym miały miejsce pamiętne odwiedziny ogrodu botanicznego.

Nie usiłowała tych rozmów skracać. Nie spieszyła się.

Żeby jakoś utrzymać się w granicach rozsądku, zachowywał się z jakąś nienaturalną opryskliwością, która ani nie znajdowała uzasadnienia w tematach rozmowy, ani nie zgadzała się z faktem jej nawiązywania, ani, co najgorsze, nie leżała w interesie dobra sprawy.

Nie potrafił na to jednak nic poradzić.

Zresztą i tak... Przychodziły chwile, w których z prawdziwym przerażeniem zmuszony był stwierdzać, że stosunki z podejrzaną Marską groziły przerodzeniem się w zażyłość, jeżeli nie w coś więcej...

Sytuacja stawała się wręcz paradoksalna.

Osoba, która powinna pozostawać jedynie numerem z akt sprawy, nabierała coraz jaskrawszych rumieńców życia. Usiłował za wszelką cenę myśleć o niej jedynie jako o jednostce podejrzanej. Wymagało to coraz większego wysiłku. Z rosnącą natarczywością rysowała się w myślach jako kobieta. Przywoływał na pomoc wszystkie okoliczności, które przeciwko niej świadczyły. Dziwne uszkodzenie radia... Niebieska koperta... Stosunki z Basiorskim i jego współnikami... Może nawet udział w zamachu na Sielawę?

Usiłował parę razy zachować się wobec Marskiej niegrzecznie, obcesowo. Ale nawet to nie zmieniało stanu rzeczy. Powinna była z miejsca uciąć rozmowę, odwrócić się na pięcie i odejść, pozostawiając go samego.

Nie uczyniła jednak tego. Tylko oczy stawały się jeszcze smutniejsze, przybierając taki wyraz, jaki się widuje u skrzywdzonego dziecka. I właśnie to zachowanie się Marskiej jeszcze bardziej niszczyło mur, który z takim wysiłkiem usiłował pomiędzy sobą a nią zbudować Kostrzewa. Czyż to wszystko jednak nie mogło stanowić umiejętnego kamuflażu? Oczywiście, że tak. Po to właśnie angażuje się młode i ładne agentki, by tym łatwiej mogły wyprowadzać przeciwników w pole.

## II

Od paru dni utrzymywała się piękna pogoda. Wiatr umiarkowany, fala słaba. Niekiedy powierzchnia morza przypominała lazururową serwetę o z lekka tylko pofałdowanej powierzchni.

M/S „Jednośch” szedł swoim kursem. Nawigacja odbywała się gładko, bez żadnych przeszkód. Namiary położenia statku świadczyły, że przebywa on drogę ze znacznie większą szybkością, niż to zostało zaplanowane. Rósł zapas nadrobionych mil, który mógł się przydać w razie pogorszenia stanu pogody.

Wachty nie były teraz zbyt męczące. Czas płynął, a na statku nie działo się nic niepokojącego. Ludzie odpoczywali psychicznie po serii ponurych zdarzeń. Zaczynali powoli o nich niemal zapominać. Cień od tak dawna nie dawał znać o swoim istnieniu.

Czy tym cieniem nie był właśnie Basiorski? Przypuszczenie to znowu zaczął wysuwać z uporem Sorek.

- Mówcie sobie, co chcecie, a ja i tak wiem swoje.

- Idź ty... - podkpiwał Foryś - nawet ślepy rozpoznałby taką pękatą barylę.

Sorek nadal się upierał.

- Pękata czy niepękata, a ja dałbym sobie rękę uciąć, że to nikt inny, tylko on. Czyż cień nie przestał się ukazywać właśnie wtedy, gdy tego przekłętego kuchtę zdjęto ze statku?

Jedni wierzyli, inni nie. Tych ostatnich zresztą była znaczna większość. Bo, pomijając już wszystko inne, cień przestał się ukazywać znacznie wcześniej.

- Może całkiem kto inny, ale zaś ausgerechnet wyciepnął się w porcie, widząc, że wszystko poszkapił - z mozołem konstruował nową tezę Konkiel.

Tym razem prawie wszyscy pokiwali potakująco głowami. To wyglądało znacznie bardziej przekonująco. Tylko Sorek zaprotestował, próbując wykpić Konkiela.

- Eee... też poruszyłeś pomysłuńkiem niczym ciele ogonem. Też znalazł się detektyw od siedmiu boleści i ósmego nieszczęścia. „Wyciepnął się - przedrzeźniał go. - Niby w jaki sposób? Przecież poza Koterą, Marską i „drugimh nikt nie schodził na ląd. Którego z nich uważasz za cienia? Powiedz z łaski swojej. Nie wstydz się, gołąbeczku, ausgerechnet spod krowiego ogona wyciepnięty. Zresztą



wszyscy, co do sztuki, wrócili w całości. Więc jak? Myślisz, że Marska wyniosła go w torebce? Albo Kotera? A może „drugih w kieszeni munduru? Wykładaj bez krępacji kawę na ławę. Nie bój się. Nikt tu cię nie skrzywdzi. A zakładu dla pomyłonych jak raz na naszej krypie nie ma.

Konkiel oganiał się ruchem niedźwiedzia, który usiłuje przepędzić brzęcząca przed samym nosem osę.

- Ee tam... Takie coś... Pod bluzą, w torebce... A jeśli wypsnął się w czasie wyładunku?

Sorek przymrużył oczy.

- Ba... jeśliś przedrzemał wachtę, to czemu nie. Ja tam w każdym razie pilnowałem.

Konkiel roześmiał się na całe gardło.

- A żebyś wiedział, że przedrzemałem. Ale wtedy akurat miałem czas wolny.

### III

Tym razem Mańczak dotrzymał przyrzeczenia. Na widok Kostrzewy już z daleka zaczął wymachiwać kartkami

- Teraz nie będziesz mógł mówić, że się nie bałem przegrać zakład. Zakarbowałem sobie twoje słowa na nosie i proszę... Cała epistoła, której treści zresztą sam Salomon by nie zrozumiał. To było prawdziwe poświęcenie z mojej strony. Tyle w tym samym czasie nadawali ciekawych audycji... Za to mam w kieszeni paczkę papierosów wygraną. Bo gdybyś nawet umiał rozwiązywać najtrudniejsze krzyżówki - tej na pewno nie dasz rady. Wywalisz się przed metą jak amen w pacierzu. Sam nawet z ciekawości próbowałem odszyfrować. Gdzie tam. Ani w ząb... Choćby jedno jedyne najmarniejsze słówko. Nic. Kostrzewa podtrzymał żartobliwy ton.

- No... nie bądź taki pewny. Jeszcze nie wiadomo, komu ta nagroda pisana.

- Wiesz - powiedział Mańczak. - Tamtej nocy, co ci piraci napadli, krótkofalówka też trajkotała na całego. Oczywiście człowiek nie miał głowy przysłuchiwać się dokładniej, ale aż w uszach trzeszczało.

- Tak głośno? - zapytał z roztargnieniem Kostrzewa. Pilno mu było przystąpić do pracy nad szyfrem.

- Jakby nadawali w sąsiednim pomieszczeniu: Jeszcze na jakieś pięć minut, zanim nas zatrzymali. I nie później niż w kwadrans po odpłynięciu tamtych.

Kostrzewa nagle zamienił się w słuch.

- A w czasie tej napaści nic nie słyszałeś?

- Nic... grobowe milczenie. Kiedy wyjrzałem na pokład, to w słuchawkach na uszach. Sytuacja, sam wiesz, jaka wtedy była. W tego rodzaju okolicznościach utrzymanie łączności radiowej ważniejsze niż kiedykolwiek. Mogła przecież zajść potrzeba nadania sygnału SOS. A wiesz, co sobie wtedy pomyślałem? Jakoś później wypadło mi z głowy. Że ta krótkofalówka znajduje się tutaj.

Kostrzewa wytrzeszczył oczy.

- Tu, na statku?

Patrząc na Kostrzewę, trudno by odgadnąć, że już od dłuższego czasu myślał właśnie o tym samym.

#### IV

Kostrzewa siedział w kącie świetlicy, zatykając palcami uszy, chociaż i tak nie było zbyt głośno. Praca jednak wymagała zupełnego skupienia. Ani na sekundę nie odrywał oczu od upstrzonego literkami papieru.

- Rozwiązujesz krzyżówkę? - tuż za nim zatrzymał się Foryś, zaglądając mu przez ramię. - Jakaś dziwna...

- Tak, to taki specjalny rodzaj... Gdy rozwiążę, to ci wytłumaczę, o co chodzi. Ale tymczasem... - Kostrzewa ściągnął znacząco brwi.

- Dobra, już dobra - roześmiał się dobrodusznie - odchodzę, żeby nie przeszkadzać panu profesorowi w naukowej pracy.

Kostrzewa znowu pochylił się nad kartką. Ustawiał kolumny. Szeregował w rzędkę. Wypisywał co drugą, co trzecią, co czwartą literę. Nic z tego nie wychodziło. Układał według coraz to nowego schematu. Dużo znał sposobów szyfrowania. Żaden tu jednak nie pasował. Kilka razy musiał temperować spisany ołówek. Zapełnił niemal połowę zeszytu drobnymi szeregami liter i cyfr. Formował setki słów. Żadne jednak nie miało sensu. I nagle... To jeszcze było bardzo mgliste. Jeszcze wypadały nonsensowne zestawienia, ale powolutku niektóre pozycje zaczęły przyjmować prawdopodobny układ. To musiał być jakiś zupełnie nowy sposób szyfrowania. Nigdy nie spotykał się z niczym podobnym. Tylko dzięki długiemu doświadczeniu zdołał przebrnąć przez pierwszą fazę trudności. Ale żadne doświadczenie nie pomogłoby, gdyby nie najczystszy przypadek, pozwalający przystąpić do mozolnego rozplątywania skomplikowanego szyfru.

Kostrzewa wychodził ze świetlicy ostatni. Dyżurny przystąpił już do gaszenia świateł. Za to na nie wiadomo zresztą której z rzędu kartce zeszytu widniały rozszyfrowane słowa. Nie wszystkie wprowadzić znaki zdołał przypasować na odpowiednie miejsca. Ale i tak tego, co było, wystarczyło aż nadto.

Uważał, że nie można czekać do rana. Zameldował się na wyżce. Dyżur miał Igielnicki.

- No? - popatrzał zmrużonymi ironicznie oczyma. - Znowu duchy?

Kostrzewa wyczuł jednak, że pomimo lekkiego tonu oficer bynajmniej nie lekceważy sprawy. Wyjaśnił, o co chodzi, podając zeszyt.

- A skąd ty do szyfrów? - oczy Igielnickiego stały się kłujące i bardzo badawcze.

Kostrzewa powtórzył wersję o specjalnym pisemku z szaradami.

- Tak, owszem, było takie pisemko. Pamiętam. Sam nawet rozwiązywałem szarady. Ale żeby tam

umieszczali również szyfr do rozwiązywania? Zresztą mniejsza z tym. Nie o to przecież teraz chodzi. Igielnicki przybliżył zeszyt do oczu.

- „Po zdjęciu «Z»... pokładh - co to twoim zdaniem ma znaczyć?

Kostrzewa przybrał najbardziej gapiowatą minę, drapiąc się z zakłopotaniem za uchem. Igielnicki miał zbyt bystre spojrzenie, jak na jego gust.

- To... ja myślę, że chyba o Basiorskiego... wybąkał.

- „Zh ma znaczyć Basiorski? Dlaczego?

- A bo go zdjęli.

- Cóż... rozumowanie, trzeba przyznać, bardzo logiczne. A to: „Decyzja trzy jota trzy powzięta... Dzień RK... miejsce TF - a - stopni GH - b - stopni NB... godzina WTP... Instrukcja Uh. Co ma się wyciągnąć z tego bigosu?

- Ja myślę - Kostrzewa przestępował z nogi na nogę - że ta decyzja dotyczy naszego statku... A te litery oznaczają długość i szerokość punktu, w którym mają coś z nami zrobić... To właśnie trzy jota trzy według... tej instrukcji „Uh - wysławianie przychodziło mu z widocznym trudem. Uważał jednak, by nie przeszarżować.

- Ttak - Igielnicki nagle spojrzał mu zniemacka w oczy. Kostrzewa wytrzymał spojrzenie. Twarz jego zachowała poprzedni wyraz.

- Ile klas skończyłeś, Kotera?

- Cztery... - był przygotowany na pytanie w tym właśnie rodzaju. - Chodziłem i do piątej, ale... - zająknął się z zażenowaniem... - ale zachorowałem. Potem musiałem zarabiać na życie...

- Ach tak... - Igielnicki miał minę człowieka nie bardzo przekonanego. - No... Widocznie - zabębnił palcami po zeszyt - dużo musiałeś skorzystać... w tych czterech klasach... - Zajrzał do zeszytu. Powiedz, jakie wyciągasz wnioski z tego wszystkiego? Bo jeśli przyszedłeś wśród nocy, to znaczy, że twoim zdaniem sprawa jest pilna. A tu - przytknął palcem w kartkę zeszytu - gdyby nawet przyjąć, że twoje domysły odpowiadają rzeczywistości stanowi rzeczy, to i tak... - Znowu pochylił się nad zeszytem. - Dzień, jak to powiadasz, oznaczony literami. Godzina też... Sam diabeł by nie skombinował, kiedy to wszystko ma nastąpić. I co właściwie mają zamiar uczynić? „Dzień KRh. Bądź tu z tego, człowieku, mądry. KR - powtórzył z przekąsem - może jutro, może dziś jeszcze, ale równie dobrze może za tydzień. Domyślasz się, kiedy ten nieszczęsny dzień ma nadejść? - znowu uderzył spojrzeniem w twarz Kostrzewy. Zwiesił głowę.

- Nie - zaprzeczył cicho - nie domyślam się.

Igielnicki przytknął ze złością palcem w zeszyt.

- No właśnie. Przypuszczasz, że dzień ten ma nastąpić w najbliższej przyszłości?

Kostrzewa potrząsnął bezradnie głową.

- Niestety... Nie wiem. Nie wiem nic... I nic mi właściwie nie przychodzi do głowy... Ale... tak sobie kalkuluję, że jeśliby miał być za górami, to chyba nie podawaliby jeszcze tej wiadomości - odpowiedź nie grzeszyła nadmiarem logiki. Ale właśnie mu o to chodziło.

- Hm? - oczy Igielnickiego przybrały dziwny wyraz. - Słusznie! - zawołał po chwili namysłu. - Bardzo słusznie! W takich sprawach nie ma zwyczaju wybiegać zbyt daleko naprzód. Czy to - zacisnął zeszyt w dłoni - stanowi wszystko, z czym do mnie przyszedłeś?

Kostrzewa wlepił wzrok w podłogę.

- Nie... nie wszystko - umyślnie głośno przełknął ślinę.

- Ach... jeszcze coś. Słucham więc.

- To... Mańczak... powiedział - Kostrzewa jąkał się niemal przy każdym słowie - że niby... tak jakby ta krótkofalówka była na naszym statku.

Igielnicki był tak zaskoczony, że aż zaniemówił.

Kostrzewa czekał bez ruchu. Milczał, obserwując oficera spod oka. Po wyrazie jego twarzy widział, że ziarno padło na urodzajną glebę. Już on rozkręci tę całą historię. I na pewno nie będzie zwlekać. Chyba że...

Oficer podniósł wreszcie oczy, spoglądając na Kostrzewę takim wzrokiem, jakby teraz dopiero zauważył jego obecność.

- Przepraszam, że cię tak długo zatrzymałem. Nie masz już w zanadrzu żadnych więcej sensacji? - w głosie znowu brzmiały kpiące nutki.

Nie zmyliły jednak Kostrzewy. Był przekonany, że Igielnicki prawdziwie przejął się meldunkiem.

- Nie. To wszystko.

- Dziękuję. Pomyślimy, co z tym fantem należy zrobić. Tymczasem jesteś wolny.

Kostrzewa dokonał przepisowego zwrotu na piętach i bez pośpiechu zaczął schodzić po stopniach trapu.

Gdy znalazł się na dolnym pokładzie, przesunął ręką po twarzy, wciągając głęboko powietrze.

## V

Igielnicki powtórzył Bartczakowi w zwięzłych słowach treść rozmowy z Kotera.

- I co pan o tym myśli? - zapytał Bartczak, wysłuchawszy wszystkiego ze skupioną uwagą.

- Że to, co mówił Kotera, nie jest pozbawione racji.

Kapitan zaklął.

- Tego nam tylko brakowało do całego bigosu! Jak widzę, z Kotery, poza wszystkimi innymi zaletami,

to jeszcze domorosły detektyw?

- Domorosły? - powtórzył z dziwną intonacją Igielnicki. - Tak - popatrzył gdzieś w przestrzeń - oczywiście... To musiała być dobra szkoła - dodał na pozór bez żadnego związku.

Bartczak spojrział na niego ze zdumieniem.

- Jaka szkoła? - widać było, że nie rozumiał.

- No ta, do której chodził Kotera. Cztery klasy powszechniaka, a rozumuje, jakby skończył co najmniej uniwersytet.

Igielnicki otworzył zeszyt, pokazując kapitanowi stronicę, na której był pierwotny tekst depeszy, a następnie przewróciwszy sporo zapisanych kartek, zatrzymał się na ostatniej, zawierającej już rozszyfrowany tekst.

- Niemało trzeba wysiłku, żeby rozwiązać taką krzyżówkę. I nie każdy mózg takiemu wysiłkowi podoła.

- Uważa pan, że trzeba przeszukać statek? - Bartczak myślał w tej chwili tylko o jednym.

- Uważam, że trzeba przeszukać statek - odpowiedział jak echo Igielnicki. - I to nie zwlekając nawet pięciu minut. Któż może wiedzieć, czy dzień... - zajrzał do zeszytu ponad ramieniem kapitana - KR nie jest dniem dzisiejszym, a godzina nie nastąpi, powiedzmy, za kwadrans?

## VI

Bartczak polecił rozpocząć poszukiwania od ładowni. Do obu posłano najliczniejsze ekipy. Reszta przeszukiwała pomieszczenia gospodarcze.

Kapitan przypomniał sobie o drzwiach w magazynie podręcznym. Zajrzał tam niby to mimochodem. Zakrętki były nasunięte na drzwi. Śruby szczelnie dokręcono. Nalepki z podpisami widniały nietknięte na miejscu, w którym je przykleił. Żadnych śladów, by z tych drzwi ktoś korzystał w ostatnich dniach. Przeciwnie. Jednolita powłoka kurzu świadczyła, że dawno już nikt ich nie dotykał.

Poszukiwania trwały dość długo. Światło silnych lamp docierało do najciemniejszych zakątków. Tym razem zagłądano nawet w takie szczeliny, w których absolutnie nie mógłby się zmieścić człowiek. Nie osiągnięto jednak żadnego rezultatu. Nie znaleziono choćby najmniejszego śladu czegoś podejrzanego. A przede wszystkim - nie znaleziono poszukiwanej krótkofalówki. Igielnicki pocierał z namysłem nasadę nosa.

- Ponieważ szukamy niewielkiej skrzynki, proponuję, by również przejrzeć nasze kabiny - wypalił nagle.

Błada twarz Kaniewskiego spłynęła szarością.

- Nasze kabiny - powtórzył bezdźwięcznie. Dłonie zwisające luźno wzdłuż szwów spodni zwały się w pięści. Nikt nie zwrócił uwagi na ten odruch. A zresztą nikogo by nie zdziwił. Drugi oficer zachowywał się ostatnio jak człowiek, który tylko najwyższym wysiłkiem woli zwalcza ciężką

niemoc. Kostrzewa jednak, który stał w pobliżu, zanotował to sobie dokładnie w pamięci. Co on takiego ukrywa w swej kabinie?

Bartczak miał pewne skrupuły. Niewątpliwie taka rewizja groziła do pewnego stopnia poderwaniem autorytetu w oczach załogi. W okolicznościach jednak, które zaszły na statku...

Popatrzył na Igielnickiego.

- Czy to konieczne?

Igielnicki rozłożył ręce, milcząc wymownie. Bartczak odszedł nieco na bok, przyzywając gestem oficerów. - Jeżeli już mamy przeszukiwać nasze kabiny, to może załatwmy to sami? - powiedział nieco przyciszonym głosem.

- Nie - zaprotestował Igielnicki. - Moim zdaniem załoga powinna się przekonać na własne oczy. Tego wymaga wzgląd na wzajemne zaufanie - od początku tej rozmowy zachowywał tak głęboką powagę, że trudno go było poznać.

- Słusznie - potwierdził Kaniewski. - Ja też tak uważam. - I zacznijmy od mojej - dodał po chwili.

- A więc dobrze. Skoro tak uważacie, weźmiemy dwóch marynarzy. Kogo proponujecie?

Kaniewski milczał.

- Kotera oczywiście - powiedział Igielnicki. - Jest więc na razie jeden. Kogo jeszcze weźmiemy?

- Może by bosmana Kwiecińskiego? - zaproponował Kaniewski.

- Bosmana? - Igielnicki miętosił w zamyśleniu guzik munduru. - Sądzę, że raczej lepiej któregoś z marynarzy pokładowych. Choćby Forysia...

Obydwaj wyrazili zgodę.

Kaniewski skwapliwie otwierał wszystkie zamknięcia w swej kabinie. Gdy chciał wetknąć klucz w zamek szuflady biurka, kapitan powstrzymał go ruchem ręki.

- Tu przecież nie zmieściłaby się żadna krótkofalówka. Choćby nawet najmniejsza.

- Nie - potwierdził Igielnicki - oczywiście, że nie.

Zajrzeli do szafy. Kaniewski jakimś zbyt gwałtownym, niemal desperackim ruchem otworzył walizkę. Rozgarnął jej zawartość. Bartczak roześmiał się:

- Przecież to nie igła...

Zamykał powoli. Rysy twarzy drugiego oficera jakby uległy odprężeniu.

Kostrzewa w ułamku sekundy zdołał dojrzeć pomiędzy różnymi drobiazgami wypełniającymi wnętrze walizki nalepkę na tekturowym pudełku. Morfina? Pudełek tych było zresztą więcej. Czyżby wszystkie podejrzane cechy w zachowaniu Kaniewskiego należało położyć na karb narkomanii?

Przeszukano kabiny oficerów. Przeszukano pozostałe pomieszczenia - bez rezultatu. Długo jeszcze po zakończeniu rewizji Kostrzewa myślał o Kaniewskim.

Narkoman?h - powracało wciąż uparcie. Ale jeżeli nim był, to chyba od bardzo niedawna. Brakło charakterystycznych objawów, świadczących o długotrwałym używaniu narkotyków. Zresztą gdyby nawet... Nie wszystko dałoby się położyć na karb nałogu. Jak wytłumaczyć spacer, który odbył wtedy wśród mgły ku rufie bezpośrednio przed zarzuceniem przez kogoś liny na śrubę? Zawiniątko czy paczka pod pachą obciążały go jeszcze bardziej. W każdym razie w obecnym stanie rzeczy nawet tony morfiny nie wystarczą, by wykreślić drugiego oficera „Jedności z listy podejrzanych.

## VII

Mańczak znowu przyniósł kartkę.

- Masz, pobaw się. Ale tym, razem już bez zakładu - roześmiał się dobrodusznie. - Jedna wygrana mi wystarczy.

Kostrzewa znowu zasiadł w zacisznym kącie świetlicy, wgrzając się w szyfr. Męczył się długo, zanim doszedł do wniosku, że został zmieniony. A więc wiadomość o złamaniu poprzedniego zdążyła już dotrzeć do tajemniczych rozmówców? Upłynęło zaledwie kilkanaście godzin. Widocznie wszystko, co się działo na statku, podawane jest na gorąco dalej. Teraz już nie mogło być żadnych wątpliwości. Jedna z tych krótkofalówek pracuje na pokładzie. Ale gdzie? Przeszukali przecież zdawałoby się wszystko? Westchnął. Dopasowywanie części tej zawilej rozsypanki nie posuwa się wcale naprzód...

Powrócił do pracy nad tekstem. Musiał ją zaczynać od początku. Przede wszystkim należało znaleźć układ... Chwilami ogarniało go zniechęcenie. Dopiero po dwóch godzinach zaczęło mu jakoś iść. Należało odrzucić więcej niż połowę znaków. Nie znaczyły nic. Jedynym ich zadaniem było utrudnienie odnalezienia właściwego tekstu. Pomysł zresztą wcale nie nowy. „Osoba przebywa w sanatorium?h Depesza na pewno brzmiała właśnie w ten sposób. Ale co to mogło u licha znaczyć? O jaką osobę chodziło? I to sanatorium... To mogło znaczyć bardzo wiele. Niekiedy używano takiego określenia dla oznaczania więzienia. Ale co w całej tej sprawie mógłby mieć do czynienia ktoś przebywający już za kratkami?

A gdyby przyjąć, że sanatorium to sanatorium? Śmieszne.

Nie przestawał rozmyślać, wpatrując się w wypisane na kartce brulionu słowa. Może zastosował błędny system rozwiązania? Może treść radiogramu brzmi zupełnie inaczej? Sanatorium?... Sanatorium?... Nagle słowo to zaczęło budzić jakiś oddźwięk w pamięci. Początkowo nieokreślony, potem... Aż zdrętwiał. Przecież właśnie w sanatorium przebywał prawdziwy Kotera!

Bagatela! Więc już wszystko wiedzą? Tam, na lądzie, musiano popełnić jakąś nieostrożność. Ale skoro wiedzą, należało się liczyć z jak najgorszymi konsekwencjami. Dziwne, że jeszcze dotychczas... No tak, Mańczak przejął radiogram zaledwie przed paroma godzinami. Radiogram został rozszyfrowany w sposób właściwy. Znaczył dokładnie to, co tu wypisał. I znaczył jeszcze coś więcej: że w najbliższym czasie uczynią, co leży w ich mocy, aby go zlikwidować... Co do tego nie żywił najmniejszych nawet złudzeń. Z ich punktu widzenia stanowiło to konieczność. Pilną konieczność...

Gdzieś we mgle czyhało śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie wiedział, z której strony. Nie wiedział w jakiej postaci. Nie wiedział kiedy... Pogładził końcem palców brzeg kartki. Nie wiedział właściwie nic. W jaki sposób w tych warunkach mógł przygotować jakąkolwiek obronę?

Do świetlicy wszedł zniecierpliwiony długim czekaniem Mańczak.

- Już?

- Już - Kostrzewa odłożył ołówek. - Trwało tak długo, bo zmienili szyfr.

Mańczak pochylił się nad stolikiem. Przebiegł oczyma wypisane słowa. Potem drugi raz. Zacisnął końcami palców skronie.

- Nic z tego nie rozumiem - westchnął. - Co to ma właściwie do rzeczy?

Kostrzewa wpatrzył się w jakiś sobie tylko wiadomy punkt przeciwległej ściany świetlicy.

- I ja także nie.

Mańczak nie odejmował palców od skroni.

- A może przejąłem emisję jakiegoś innego nadajnika? Nie - odpowiedział sam sobie - niemożliwe, żeby inna... Ta sama częstotliwość, to samo natężenie, ta sama fala. Zresztą, gdyby wiadomość znaczyła to, na co wygląda, czyżby ją szyfrowali? Widocznie jakiś szyfr w szyfrze.

Kostrzewa strzepnął okruch tytoniu z bluzy.

- Możliwe... Ale tego już nie podejmuję się rozwiązać. Tak czy inaczej trzeba cały ten majdan dostarczyć staremu. Niech sam kombinuje, co dalej z nim robić.

- Czemu nie? - ruch, którym Mańczak schował do kieszeni obie kartki, świadczył, że pomimo wszystko nie przestaje ich traktować jako dokumenty wyjątkowej wagi.

Kostrzewa patrzył przez chwilę w ślad za nim.

Żeby wiedział, co naprawdę oznacza zagadkowy tekst. Ba, żeby wiedział. Ciekawe, jak by się wtedy zachował? On sam jednak nie bardzo wiedział, jak należało się w tym wypadku zachować. Wytłumaczenie kapitanowi treści radiogramu byłoby równoznaczne z dekonspiracją.

## VIII

Dzień minął jak zwykle. Wachty, posiłki, pogawędki. Ktoś obserwujący z boku Kostrzewę, nie dojrzałby w jego zachowaniu najmniejszej zmiany. A przecież przez cały czas nerwy miał napięte jak struny. Niebezpieczeństwo czaiło się gdzieś tuż... Mgła jeszcze bardziej potęgowała grozę. Powoli zapadł mrok.

Kostrzewa stał samotnie na rufie, wsłuchując się w miarowy odgłos pracy śruby. Nie miał zamiaru zejść do kubryku. Nocleg, jak zawsze, na pokładzie. Dzisiaj tym bardziej. Chociaż... Na dobrą sprawę powinien się znajdować jednocześnie i na pokładzie, i w oddziale maszynowym, i przy tankach z paliwem, i w obu ładowniach, i diabli wiedzą gdzie jeszcze.



Postanowił się przejść wzdłuż pokładu. Idąc krok za krokiem, przystawał w paru miejscach i pod pozorem zapalania ustawicznie gasnącego papierosa, oświetlał swoją twarz. Tym razem chodziło mu właśnie o to, by go zauważyła jak największa liczba osób. Dzisiejsze polowanie należało bowiem do gatunku całkiem osobliwych. Miał w nim odgrywać jednocześnie kilka różnych ról, które zdawały się nawzajem wykluczać: myśliwego, przynęty i zwierzyny.

Natknął się niemal twarzą w twarz na zdążającego w kierunku wyżki Kaniewskiego. Wyblakłe źrenice drugiego oficera zwężyły się.

- Ach, to ty, Kotera? Teraz chyba nie twoja wachta?

Kostrzewa wyprężył się.

- Nie.

- Szukasz duchów? - w głosie Kaniewskiego brzmiała ni to ironia, ni to coś innego, trudnego do określenia.

- Rolski kazał mi przebywać jak najwięcej na świeżym powietrzu - odpowiedział spokojnie.

- Ach... prawda... Coś płucnego... Zdaje się, że astma?

Zachowanie Kaniewskiego było niewątpliwie dziwne. Człowiek, normujący według wskazówki sekundnika swe ruchy, tym razem trwonił całe minuty na błahą pogawędkę z napotkanym przypadkowo marynarzem. To daleko odbiegało od jego zwyczajów. Albo więc wyszedł ze swej kabiny za wcześnie i nie chciał przybyć na dyżur przed wyznaczonym czasem, albo też...

Obserwował przez chwilę oddalającą się sylwetkę oficera. Niemrawa, jakby rozmiękła postać z chwilą postawienia nogi na pierwszym stopniu trapu niespodziewanie okrzepła. Udawał dziarskość, uważając, że oficerowi na służbie nie wypada okazywać słabości? Czy może przeciwnie: udawanie dotyczyło poprzedniej postawy wskazującej na chorobę?

Kostrzewa powolnym krokiem zawrócił ku rufie. Pragnął, by ci, którym na tym zależy, wiedzieli, w jakim kierunku się udaje. Jeżeli coś się ma stać, lepiej, żeby się stało jak najprędzej. Tego rodzaju napięcie, w jakim się obecnie znajdował, nie mogło trwać w nieskończoność.

## IX

Kapitan Bartczak nie próbował zasnąć tej nocy. Nawet się nie rozbierał. Siedział w swoim fotelu. Wypalił niezliczone mnóstwo papierosów, wypił parę filiżanek kawy.

W kabinie było duszno. Powietrze nasiąkłe dymem papierosów było niemal gęste. Otwieranie drzwi czy też bulajów nie miało sensu. Przez każdą najmniejszą szparę wciskała się natychmiast przejmująca do szpiku kości lepka wilgoć.

Około północy nie wytrzymał. Co za sens siedzieć tu w zamknięciu i wyobrazać sobie lichy wie co? O ileż przyjemniej będzie na wyżce. Spojrzał przelotnie na rozkład dyżurów: Kaniewski? No, w ciągu najbliższych dwóch godzin towarzystwo nie zapowiadało się zbyt wesoło. Trudno. Wstał, przeciągnął się. Przez chwilę daremnie usiłował zwalczyć gwałtowny atak ziewania... Wysączył

odrobinę pozostałej na dnie filiżanki kawy. Po upływie dwóch minut wchodził już na wyżkę.

Kaniewski był jeszcze bardziej milczący niż zwykle.

Nagle w pewnym momencie odwrócił się ku kapitanowi. Twarz jego miała zielonkawy odcień.

- Czy byłby pan łaskawy, kapitanie, zwolnić mnie na pięć minut?... - Widać było, z jakim trudem zdobywa się na wykrztuszenie tej prośby. - Ja wiem, że to nie... - ciągnął dalej. - Ale mam bóle... Tak silne, że... chciałbym iść po środek usmierzający.

- Ależ oczywiście - Bartczak ujął go uspokajająco za ramię - zupełnie zrozumiałe. I niech się pan nie spieszy... Może warto by trochę poleżeć po zażyciu leku?

- Dziękuję... Ja zaraz... wracam - odwrócił się chwiejnie i ruszył w kierunku schodni. Po krótkiej chwili zanurzył się we mgle.

Do jakiego stanu ten człowiek się doprowadził - pomyślał Bartczak. - Musiał się czuć wyjątkowo źle, jeżeli zdobył się na opuszczenie posterunku.

Nieobecność Kaniewskiego trwała niespełna dziesięć minut. Gdy zjawił się znowu na wyżce, wyglądał zupełnie inaczej niż przed wyjściem. Wyprostowany, oczy błyszczące ożywieniem. Bartczak przyglądał mu się ze zdziwieniem. Lek musiał być rzeczywiście wspanały.

## X

Kostrzewa zatrzymał się, nie dochodząc do kotwicznej windy. Tam na rufie stał wachtowy. Jego obecność mogłaby onieśmielić napastników. Podszedł ku burcie w odległości zaledwie paru kroków od rufowego bomu i oparł się wygodnie o barierę. Gotowy do strzału pistolet tkwił w kieszeni westki. Latarka również pod ręką. Wystarczy jeden mały ruch.

- Tak... - zapalał z namysłem papierosa - o ile oczywiście stanie czasu, by ten ruch wykonać.

Mgła nasiąkała coraz głębszym granatem. Nadciągała noc. Odgłosy dziennego życia statku milkły powoli. Zapadała coraz bardziej senna cisza. Ktoś przeszedł szybkim krokiem w okolicy śródokręcia. Kropidło? Nie... Chyba raczej nie on. Stąpanie było zbyt ciężkie. Jeszcze trzaskały jakieś drzwi, słychać było czyjś gderliwy głos. Dźwięki dobiegały skądś od baku. Wreszcie wszystko ucichło. Tylko jazgotliwe wycie syreny odzywało się w miarowych odstępach. Barwne odbicie nawietrznego światła pozycyjnego skakało po wodzie w takt przechyłów statku.

Ktoś szedł w kierunku rufy. Krok spokojny, pewny. Na pewno się nie ukrywa. Kostrzewa obejrzał się. Ręka na wszelki wypadek zbliżyła się ku obciążonej bronią kieszeni. Człowiek wychynął z mgły. Podszedł bliżej.

Kostrzewa dotknął nieznacznie chłodnej rękojeści pistoletu... Bezskutecznie wyteżał wzrok. Nie zdołał jednak dostrzec rysów jego twarzy. Światło tu nie docierało.

- Kto tu?

Poznał głos Kwiecińskiego. Jego obecność była całkowicie usprawiedliwiona. Pełnił teraz wachtę.

- Starszy marynarz Kotera - palce wśliznęły się głębiej do kieszeni. Postanowił nie ufać tej nocy nikomu.

- Ach tak... Wietrzycie się?

- Właśnie. Bo Rolski...

- Wiem.. - przerwał mu w pół zdania. - Już z daleka wydawało mi się, że to ty. Ale w tej mgle wolałem dla pewności sprawdzić, co za cień tkwi tak nieruchomo przy burcie - roześmiał się cicho.

- Słusznie - potwierdził Kostrzewa. - Lepiej mieć na wszelki wypadek w ewidencji każdego, kto wśród nocy nie przebywa na własnej koi.

Bosman odszedł. Trwała teraz cisza przerywana jedynie buczeniem syreny. Czas płynął z nieznośną powolnością. Była już głucha noc.

Kostrzewa spojrzał w kierunku wyżki. Ktoś schodził po trapie. Niemrawe stąpanie zdawało się wskazywać na Kaniewskiego. Ale niemożliwe, żeby właśnie on. Ma jeszcze dwie godziny do końca dyżuru. Nie opuściłby przecież w żadnym wypadku posterunku.

Znowu cisza.

Żar dopalającego się papierosa zaczynał parzyć wargi. Odplunął niedopałek w wodę. Nie chciało mu się szukać cygarniczki

Sięgnął leniwym ruchem do kieszeni po pudełko z papierosami. Opanowało go jakieś dziwnie nieprzyjemne uczucie. Jakby w otaczającej mgle czaił się ktoś, tuż w bezpośredniej bliskości.

Głupstwo. Potrząsnął głową. Nie ma nikogo. Nerwy... W tym, co zaszło w następnej sekundzie, świadomość nie miała niemal żadnego udziału. Jedyne szybszy niż myśl instynkt sprawił, że nagłym rzutem całego ciała odskoczył w bok. Tuż przed oczyma przesunęła się wydłużona smuga mdłego połysku. Dopiero znacznie później zdał sobie sprawę, że to była klinga rzuconego noża. Zaskoczenie było zupełne. Tego przecież nie oczekiwał.

Akcja rozwijała się w błyskawicznym tempie. Zanim zdołał w jakikolwiek sposób zareagować, spośród tumanów mrocznej mgły wyprysnęła z impetem postać atakującego człowieka.

I znowu raczej instynkt kierował ruchami Kostrzewy.

Zaciśnięta pięść ugodziła napastnika. Nie było czasu na nadanie ciosowi odpowiedniego rozmachu. Poparł go całym ciężarem ciała, rzucając się naprzód.

Kącikiem oka dojrzał, że nad głową zawisł jakiś podłużny przedmiot. Pięść natrafiła na coś, co się ugięło pod uderzeniem. Wzniesione do góry obce ramię nagle opadło przy akompaniamencie charkotliwego jęku. Coś twardego przeleciało obok policzka Kostrzewy, uderzyło siłą rozpędu o obojczyk i stoczyło się po przedramieniu. Głucho brzęknęło żelazo, spadając na deski pokładu. Kostrzewa walnął oburącz jeszcze raz. I znowu trafił. Masywna postać napastnika odleciała w tył. Dopiero teraz przypomniał sobie o pistolecie i latarce.

- Stój! - wyłuskał szybkim jak mgnienie oka ruchem broń. - Stój! - powtórzył, odsuwając palcem

klapkę bezpiecznika. Ale jeszcze jakiś tam ułamek sekundy przedtem, zanim zdążył krzyknąć drugi raz, napastnik rzucił się panicznym skokiem w tył, znikając w ciemności i mgle. Kostrzewa pobiegł za nim, kierując się odgłosem jego kroków. Przewaga pierwszego skoku znaczyła w tych warunkach niezmiernie wiele. Dobywał wszystkich sił, sadząc na oślep. Strzelanie w biegu do zupełnie niewidocznego celu nie miało żadnego sensu. Zresztą zdawało mu się, że odległość pomiędzy nim a ściganym zaczęła się zmniejszać.

Tamten uciekał w kierunku rufy. Miał do rozporządzenia zaledwie kilkanaście metrów. Tym razem nie zdążył zniknąć, wykorzystując sobie tylko wiadome przejście. Nie... Tym razem mu się to nie udało.

- Stój! - Kostrzewa wyciągnął lewą rękę, usiłując go schwycić, gdy nagle coś podcięło mu nogi. Runął z rozpędu głową naprzód. Twarz uderzyła o twarde deski pokładu. Oszłomienie trwało sekundę. Poderwał się z powrotem, ale nawet ta sekunda widocznie wystarczyła napastnikowi. Odgłos jego kroków umilkł. Nie pomogło wsłuchiwanie się - dookoła panowała cisza.

Kostrzewa zwiesił ponuro głowę. Więc i tym razem fiasko! W rękę wciąż tkwił gotowy do strzału pistolet. Dziwne, że nie wypalił w czasie upadku.

W pobliżu kotwicznej windy dostrzegł sztywną sylwetkę wachtowego. Pospiesznie schował broń. Dopiero by tamten wytrzeszczył oczy, gdyby ją zobaczył. Podeszedł bliżej. Na wachcie stał Kondraciuk, który poznawszy go, zapytał niecierpliwie:

- Nie widziałeś, co się tam działo?

Kostrzewa jednak postanowił nie wspominać o tym, co zaszło przed chwilą.

- Gdzie? - udał zdziwienie.

- Ty chyba powinieneś to lepiej wiedzieć, bo właśnie stamtąd przychodzisz. Gdzieś, jakby w okolicy bomu albo śródokręcia. Nic nie słyszałeś?

- Nic. A co się stało?

- Słysząc było przecież jakieś krzyki, a potem trzask.

- Eee tam - Kostrzewa machnął ręką. - Pewno ci się tylko wydawało. Przesunęła się jakaś skrzynia albo zapiszczał szlup-blok.

- Może i tak - zgodził się niezdecydowanie Kondraciuk. Pokład statku w nocy rozbrzmiewał wieloma trudnymi do określenia dźwiękami. W czasie mgły człowiek był skłonny każdemu z nich nadawać jakieś tajemnicze znaczenie. Szczególnie po tych wszystkich historiach. - Pewno, że tak - powtórzył po chwili, już ze znacznie większym przekonaniem.

Kostrzewa wracał po dowietrznej. Niemal co krok przystawał, zamieniając się cały w słuch. Robił to jednak raczej gwoli czystego sumienia. Nie miał najmniejszej nadziei dokonania jakiegoś odkrycia.

Podeszedł do miejsca, gdzie upadł. Przyklęknął, szukając po omacku tego, co mu podcięło nogi. Nie potrzebował długo szukać. Ręce natrafiły na twarde kształt wiosła. Obmacał go dokładnie. Chyba zapasowe z jakiejś szalupy? Ale skąd się tu wzięło? To nie mógł być przypadek. Takie rzeczy nie

przewalają się luzem po pokładzie. Widocznie tamten tak właśnie zabezpieczył sobie odwrót. Chytry pomysł. Nieskomplikowane, a jednocześnie całkiem pewne.

Odciągnął wiosło pod nadburcie. Niech się martwi, co dalej z nim robić, ten, kto je rano znajdzie.

Z kolei zaczął przeszukiwać miejsce, na którym stał w momencie napaści. Szukał metalowego przedmiotu, który spadł na pokład. To mogło przecież okazać się nader ciekawe. Tutaj również nie zapalał latarki. Nie chciał zwracać na siebie uwagi. Po jakiejś chwili u podstawy bomu znalazł krótki, ciężki łom. Przechyliły pokładu musiały go widocznie odtoczyć aż tak daleko. Zważył w rękę. Tak... Gdyby nie to, że wymierzony w porę cios pięści obezwładnił napastnika... Czyżby ten sam, którym uderzono Sielawę? Powierzchnia łomu była gładka. Na pewno nie używano go zbyt często do pracy. Albo też nie używano wcale.

Zasadzka się udała. Ale co z tego? Przynęta omal nie stała się ofiarą, a myśliwy haniebnie spudłował. Nie po raz pierwszy zresztą w czasie tego polowania. Tyle tylko, że przybył jeszcze jeden dowód rzeczowy: łom. Ale dowód ten pozostawał martwym kawałkiem żelaza, z którego nic nie dało się odczytać. Prawdopodobnie został wzięty z okrętowego składu. Kostrzewa wdział tam kilkanaście zupełnie takich samych... Tylu ludzi miało tam swobodny dostęp.

Dla otworzenia zamka wystarczyłby najprostszy wytrych czy kawałek drutu. Odciski palców? Nie było możliwości sprawdzenia ich na statku. Zresztą mocno wątpił w istnienie tych odcisków. Zdawało mu się, że w czasie starcia dotknął przypadkiem ręki napastnika i że ręka ta tkwiła w bawełnianej rękawiczce. Więc cóż za pożytek z takiego niemego dowodu? Żaden... Nóż może mógłby więcej powiedzieć, niestety, leżał już dawno na dnie. Twarzy napastnika nie zdołał dojrzeć. Gdy uderzał, poczuł dotyk czegoś gładkiego, pokrytego wilgocią. Wyglądało na nieprzemakalny płaszcz. Takich płaszczy nie noszą zwykli marynarze w czasie służby. Oficerowie - tak... Kaniewski akurat miał dyżur. Nie wchodził więc w ogóle w rachubę... Zresztą, narzucenie na siebie płaszcza i następnie ukrycie go gdzieś w pobliżu wymagało zaledwie sekund. Dokonanie zaś takiej manipulacji pod osłoną mroku i mgły stanowiło dziecinnie łatwe zadanie. Spojrzał przypadkowo na wyżkę. W kręgu światła kompasu przesunęła się jakaś sylwetka. Właśnie w ceratowym płaszczu. Nie zdołał poznać, kto to był. Może Kaniewski, może Bartczak... No proszę... Czegóż więc dowodził ten płaszcz? Ślad, tak jak i wszystkie inne, prowadził donikąd. Mgła i ciemność panowały nie tylko wokół niego. W nim samym również...

## XI

Czas naglił. To było dla Kostrzewy oczywiste. Wszystko na to wskazywało. Choćby sposób dokonania napadu. Akcja szła już na całego. Postanowili go usunąć za wszelką cenę. I to natychmiast. Uważali, że jego obecność przeszkadza im w swobodzie ruchów niezbędnej dla poczynienia ostatecznych przygotowań. Przeszkadza? Ogarnęło go pełne goryczy poczucie bezradności. Nie bardzo jakoś przeszkadzał. Rzucił się na oślep we wszystkich kierunkach, a oni robili, na co mieli ochotę. Przeceniali jego możliwości. Oni, Miechowiec... Wszyscy. Tylko on sam nie. Zdawał sobie sprawę, że nie osiągnął niemal nic. Zbliżał się moment decydującej rozgrywki. Kto wie, czy nie stoi tuż za progiem obecnej chwili. Cóż przygotował na jej przyjęcie? Siedzi z założonymi rękoma bezradny, bezsilny. Nie wie kto, nie wie kiedy, nie wie co. Nie zapomina ani na chwilę o godzinie „WTPh, dniu „KRh, ale w jaki sposób przetłumaczyć to na kalendarz i zegarek?

Nadszedł czas wachty. Kostrzewa wkręcił się do pracy w pomieszczeniu tanków z paliwem. Przepatrzył wszystko najdokładniej. Nie przepuścił najmniejszego nawet zakamarka. Korzystając z chwilowej samotności, przyłożył ucho do tanku. Potem do drugiego. Nadśluchiwał w skupieniu. Bo gdyby umieścili we wnętrzu bombę z mechanizmem zegarowym... Zanim spłoszył go odgłos kroków któregoś z wachtowych, zdążył już osłuchać wszystkie. Był niemal pewny, że w zbiornikach nie pracuje żaden mechanizm. Ropa stanowi dobry przewodnik akustyczny. Metal także. Musiałby usłyszeć jakiś choćby najśłabszy dźwięk. Po wachcie zajrzał do korytarza gospodarczego. Zamienił kilka słów z Foltą. Tu chyba również wszystko w porządku.

Rzucił okiem na drzwi podręcznego magazynu. Pieczętujące je naklejki z podpisem Bartczaka pozostały nietknięte.

Powrócił na górę. Zerknął w bulaj kabiny radiotelegrafu. Marska odbierała akurat jakiś radiogram. Ołówek jej szybko biegł po kartce bloku. Z tego wynikało, że aparatura działała normalnie. Nadawanie mogłaby sfingować. Ale odbiór...

Przeszedł na rufę. Wsłuchał się w pracę śruby. Wsunął rękę pod kotwiczną windę. Tak mocno zaatakował nogą pokrywę luku ładowni, że o mało nie stracił równowagi. Powtórzył to wszystko na dziobie. Nie odkrył nic podejrzanego.

Przystanął na chwilę, zastanawiając się, co by można było jeszcze zrobić. Prawda. Przed katastrofą statku, jeśli to właśnie mieli na celu, będą usiłowali uciec. Jasne.

Przeszedł wolno wzdłuż nawietrznej burty. Przesunął uważnie ręką po osznurowaniu brezentowych pokrowców na szalupach ratunkowych. Sprawdził napięcie sznurów. Z kolei uczynił to samo wzdłuż dowietrznej... Sprawdził na górnym pokładzie tratwy i zamknięcia skrzyń z pasami ratunkowymi. Nie. Nic nie wskazywało, by w tym kierunku poczyniono jakieś przygotowania.

## **XVIII. CZYŻBY ZNÓW „ZŁOTOWŁOSA”?**

### **I**

Major Miechowiec długo przyglądał się fotografii, którą Lerski położył mu na biurku. Potem porównywał ją z odbitką wydobytą z akt sprawy „komórki na ulicy Lipowejh. Wreszcie pokręcił z powątpiewaniem głową.

- Nie widzę jednak żadnego podobieństwa.

- Niepodobna - westchnął Lerski. - Nie... Ani nawet trochę.

- Czy przynajmniej ma złote włosy?

- Nie... - Lerski ssał niezapalonego papierosa. - To właśnie mnie trochę pociesza, że popielate. Odcień niemal platyny.

Miechowiec spojrział na niego spod oka.

- I wciąż się upierasz, że to właśnie ona?

- Upieram się - potwierdził ze skrucą. - Jeszcze jak bardzo.

- Bo jeżeli chodzi o włosy... - major jeszcze raz porównał obie fotografie - to ostatecznie nietrudno by wytłumaczyć. Ale rysy... Choćby oprawa oczu...

- Oprawa oczu... Nie bardzo... - Lerski wydobył z kieszeni lupę, podsuwając ją Miechowcowi. - Przyjrzyj się dokładnie jej skroniom.

Miechowiec nachylił się nad fotografią, przybliżając lupę.

- Hm... - mruknął - rzeczywiście wygląda, jakby nałożyła tu grubą warstwę pudru.

- Niezwykle grubą - sprecyzował Lerski. - I trudno by dać głowę czy nie pozostaje to w bezpośrednim związku ze skośną oprawą oczu.

- Operacja kosmetyczna?

- Nawet niekoniecznie. Choćby specjalny przyklepic. Albo nawet klej przytrzymujący ściągniętą skórę. Oni tam takie rzeczy umieją preparować na medal.

- A jeżeli po prostu nieumiejętny makijaż?

- Nieumiejętny? - obruszył się Lerski. - Zapytaj Kaźmierczaka... Na fotografii tego nie widać, ale on zapamiętał każdy milimetr kwadratowy jej twarzy. Tam nie może być mowy o żadnej nieumiejętności.

Miechowiec odchrząknął.

- I zakres zainteresowań - dorzucił Lerski. - To znacznie trudniej zmienić niż kolor upierzenia czy też oprawę oczu. „Złotowłosa z Lipowej świata nie widziała poza naszą marynarką handlową. Ta również. Sposób zawierania znajomości... Nasza złota ptaszyna - stwierdził z głębokim przekonaniem.

- Może i racja...

- Chcesz się założyć?

Miechowiec roześmiał się.

- Dziękuję uprzejmie. Co za przyjemność zakładać się w warunkach, gdy człowiek niczego więcej nie pragnie jak tego, by druga strona wygrała. Jedziesz do Szczecina? - zapytał po chwili...

- Jadę. Tymczasem Kaźmierczak i tamtejsi koledzy trzymają ją na widelcu. Ale to... Nie chciałem zresztą, by sprężyna pułapki zatrzasnęła się przedwcześnie. Wciąż nie tracę nadziei, że zwierzyzna może zaprowadzić do głównego legowiska...

## II

Przed dworcem kolejowym przechadzał się powolnym krokiem ogorzały oficer marynarki handlowej. Pogwizdywał równie beztrosko jak fałszywie, zerkał zaczepnie ku przechodzącym co

młodszy i co ładniejszym kobietom, jednym słowem - zachowywał się, jak przystało na marynarza, który depcze stały ład jedynie w krótkich przerwach pomiędzy dwoma dalekimi rejsami.

Zaferowany mężczyzna w nieprzemakalnym płaszczu zbiegł szybko z dworcowych schodów. W pośpiechu potrafił spacerującego oficera.

Zatrzymał się przelotnie, rzucając szeptem parę słów. Wyraz jego twarzy zdawał się świadczyć, że przepraszał za swą nieostrożność. Przeprosiny te zresztą brzmiały dosyć dziwnie:

- Pospieszny siedemnasta dwadzieścia. Bilet wykupiła do Warszawy, peron A, tor czwarty. Teraz w poczekalni.

I pobiegł dalej.

Ruch, którym wetknął do zwisającej luźno ręki oficera mały kartonik biletu kolejowego, był zgoła niedostrzegalny.

Oficer spacerował jeszcze przez parę minut z nonszalancką miną. Wreszcie przystanął jakby z wahaniem, spojrzął na zegarek i powolnym krokiem ruszył w kierunku dworca. W przechowalni odebrał solidnie wyładowaną teczkę, której zamknięcie zostało wzmocnione dwiema stalowymi klódeczkami. Wszedł do poczekalni, znowu zerknął na zegarek, po czym ze znużoną miną zaczął przyglądać się jakiemuś turystycznemu plakatowi. Na niepozorną osóbkę w niezgrabnym, długim niemal do pięt, bodaj czy nie męskim palcie nie zwracał najmniejszej uwagi. Nie spojrzął na nią chyba ani razu. Zresztą nie było na co. Twarz wetknięta w kołnierz. Spod obcisłej czapeczki nie wymykał się najmniejszy nawet kosmyk włosów. Musiały być widocznie wyjątkowo brzydkie, skoro je tak skrętnie chowała. Który z mężczyzn zainteresowałby się takim mizeractwem. Ona również na niego nie patrzyła. A przecież błysk wyraźnego zainteresowania strzelił ponad wysokim kołnierzem w kierunku teczki. Potem wzrok przesunął się ukradkiem po sylwetce jej właściciela. Wszystko to jednak trwało zaledwie króciutką chwilę.

W tym, że oficer wsiadał do pospiesznego w kierunku Warszawy, nie było nic dziwnego. Wsiadało razem z nim wiele osób. A że trafił akurat do tego samego przedziału... Gdzie tam w takim tłoku wybierać miejsce. Dobrze, jeżeli się je w ogóle znalazło. Niepozorna osóбка zerknęła raz, drugi i w parę minut po tym, jak pociąg ruszył, zdecydowała się zdjąć palto. W przedziale było ciepło. W jednej chwili przestała być niepozorna. Elegancka sukienka podkreślała zalety zgrabnej figury.

I nogi... Długie, strzeliste, w cieniutkich pończochach. Nieczęsto zdarza się takie widywać. Potem przysła kolej na czapkę... Lśniącą falą spłynęły na ramiona popielate włosy.

Gruba jejmość, dotychczas zajęta liczeniem swoich węzełków, pochyliła się ku sąsiadce, która była chyba jeszcze grubsza.

- Czyż to nie grzech chować takie włosy pod czapką? - zapytała donośnym szeptem. - Ja, gdybym miała choć trochę podobne... - dalsze słowa utonęły w zazdrosnym westchnieniu.

Włosy były rzeczywiście wspaniałe.

Oficer nie ukrywał bynajmniej zachwyty wywołanego cudowną przemianą, która się dokonała na jego oczach. W odpowiedzi strzeliło parę zachęcających spojrzeń. Ujęła uchwyt okna, szarpiąc nim



bezsukutecznie. Uważała, że jeżeli chodzi o mężczyzn, najlepiej stosować wypróbowane już metody.

Oficer zerwał się z umyślnie podkreśloną sprężystością.

- Pani pozwoli? - zapytał szarmancko.

- Och, jeżeli pan taki łaskaw - błyszczące oczy znajdowały się w tej chwili bardzo blisko jego twarzy.

- Oczywiście... służę pani... - bąkał, widocznie jednak nieco zmieszany jej bliskością. Jednym silnym ruchem opuścił oporną ramę. Nawet nie zapytał współpasażerów o pozwolenie. Było jasne, że w tej chwili nie widzi nikogo poza nią.

- Pan do Warszawy? - wszystko szło według schematu, który stał się niemal przyzwyczajeniem. Tylko, że tym razem sprawa nie wydawała się bynajmniej trudna. Oficer był bardzo wymowny i nie zachodziła potrzeba wciągać go w rozmowę. W jednym tylko momencie nagle zamilkł, a rozpromieniona uśmiechem twarz spoważniała, przybierając wyraz niemal urzędowej oschłości. Stało się to wtedy, gdy zachęcona jego wylewnością zapytała, wskazując podobnym do migdałka paznokciem na teczkę.

- Pewno jakieś okropne tajemnice? Tyle kłódek.

Ale zasępienie oficera trwało tylko krótką chwilę.

- Skądże znowu? - machnął ręką w niedbałym geście. - Czy ja wyglądam na takiego, który potrafi mieć jakiegokolwiek tajemnice? Szczególnie - pochylił się ku niej, zaglądając jej zdobywczo w twarz - przed tak pięknymi kobietami?

I czym prędzej zmienił temat. Rozszyfrowała go jednak bez trudu. Przynajmniej była o tym przekonana. W taki sposób zachowują się ludzie mający tajne, urzędowe dokumenty. Zresztą sam wygląd teczki wskazywał na to, jej zdaniem, nieomylnie. Stała się jeszcze bardziej uwodzicielska. Wybuchy śmiechu, które początkowo gęsto przeplatały rozmowę, powtarzały się teraz coraz rzadziej. Głosy, jakby za obopólnym porozumieniem, z każdą chwilą przycichały.

W połowie drogi rozmawiali jak dawni, dobrze znajomi. Pod koniec - jak ludzie, którzy mają zostać kochankami.

### III

- Wprawdzie w moim mieszkaniu teraz nie ma nikogo, bo wszyscy porozjeżdżali się na urlopy, nawet mój mąż, ale.. - spuściła oczy.

Nie potrzebował jej zresztą zbyt długo namawiać.

- Dobrze... Ale pamiętaj, że uważam cię za dżentelmena i liczę na twoją absolutną dyskrecję.

Wyprostował się ruchem urażonej godności.

- Czyż musisz mi o tym przypominać?

Gdy przechodzili przez poczekalnię dworcową, nagle przystanęła.

- Wybacz... Muszę zatelefonować... prosili mnie przed odjazdem przyjaciele w Szczecinie. To bardzo pilna dla nich sprawa. A w domu nie mam telefonu.

Bardzo długo nie wychodziła z kabiny. Oficer patrzył obojętnie na przesuwaną się przez halę tłum podróżnych. Wyraz jego twarzy nie uległ najmniejszej nawet zmianie, gdy tuż przed nim przeszło dwóch wyraźnie sennych mężczyzn. Oni również nie obdarzyli go najkrótszym nawet spojrzeniem.

A przecież widzieli się nawzajem doskonale. Nie tylko zresztą widzieli. Nieznaczne poruszenie brwi potrafi niekiedy więcej wyrazić niż długa rozmowa.

Wreszcie trzasnęły drzwi kabiny.

- Przepraszam cię, kochany, że tak długo... - poczęstowała go czarującym uśmiechem - ale z tymi połączeniami... Myślałam, że już w ogóle się nie dodzwonię...

Odpowiedział uśmiechem na uśmiech.

- Och... głupstwo...

Wyszli razem przed dworzec. W czasie rozmowy w wagonie wspominał, że niezmiernie rzadko bywa w stolicy. Zachowanie jego w zupełności zdawało się tę informację potwierdzać. Widać było, że wielkomiejski ruch oszołomił go z miejsca. Przepuścił gapiowato dwie taksówki pod rząd, zanim wreszcie zdecydował się zatrzymać trzecią.

Jakoś nie mógł się dogadać z kierowcą. Zanim zdążył podać adres, który mu szepnęła dyskretnie na ucho, do następnego samochodu wsiadło dwóch mężczyzn.

Samochód ten ruszył w ślad za taksówką, w czym nie było nic osobliwego. Sprzed dworcowego podjazdu płynął nieprzerwany sznur pojazdów. Może by zresztą i zwróciła na to uwagę, ale właśnie szeptał jej coś do ucha.

Jechali długo. Wskazana przez nią ulica leżała widocznie na dalekich peryferiach miasta. W czasie jazdy zachowywał się zupełnie inaczej, niż tego mogła oczekiwać. Zapalił światło, zamiast je zgasić. Siedział sztywno wyprostowany, kurząc papierosa za papierosem.

- Za żadne skarby nie chciałbym cię skompromitować - wyjaśnił z godnością, widząc jej zdziwione spojrzenie - jeszcze ktoś mógłby nas zauważyć. Myślisz, że mnie to mało kosztuje? - przygryzł wargi.  
- Ale za to potem...

Nie uczyniła najmniejszego wysiłku, aby zmienić ten stan rzeczy. Nie zależało jej na tym ani trochę. Raczej wręcz przeciwnie.

Wreszcie taksówka stanęła. Denerwująco długo szukał po wszystkich kieszeniach pieniędzy, by uregulować należność wskazaną przez licznik.

Obserwowała go z maskowaną pogardą. Co za niezdarny prowincjusz. Potem szofer wydawał resztę.

- Właściwie nie zaszkodziłoby coś ponad takse - oświadczył gderliwie. - Hamulec mi na tych

wybojach nawalił i będą go musiał Bóg wie jak długo reperować.

Oficer wspaniałomyślnym gestem wręczył mu jakiś banknot.

Kierowca schował skrzątnie pieniądze do kieszeni i wysiadł z wozu, otwierając skrzynkę z narzędziami.

Dom był niewielki, w ogrodzie otoczonym siatką. Wyjętym z torebki kluczykiem otworzyła furtkę. Potem drzwi wejściowe. Weszli na ciemną klatkę schodową.

- Mieszkam na pierwszym piętrze - zaświeciła małą latarkę. Oficer postawi nogę na stopniu, poprawiając coś przy bucie.

- Nie znoszę, jak mi się dyndają sznurowadła - wyjaśnił. - Mam wtedy zawsze wrażenie, jakby w moim ubraniu było coś nie w porządku.

Na dworze rozległ się warkot motoru.

- O - mruknął zgorszony - już odjeżdża? A mówił, że tak długo będzie reperować wóz. Chyba chodziło mu o wyłudzenie napiwku?

- Oni zawsze tak robią - odpowiedziała niedbale.

Zaczął ją dziwić. Czyżby w takiej sytuacji nie potrafił znaleźć innego tematu do rozmowy? Położyła to na karb jego podniecenia.

Rzeczywiście musiał być mocno podniecony. Mówił teraz niemal bez przerwy. I do tego tak głośno, że musiała go uciszać.

- Przecież tu mieszkają także inni lokatorzy. Jeżeli usłyszą, że wchodzę z jakimś innym mężczyzną, mogą powtórzyć mężowi, gdy wróci z urlopu.

To było chyba zupełnie zrozumiałe. Z jakiegoś jednak powodu nie potrafił zrozumieć. Usta mu się nie zamykały. Zaczął teraz ni stąd, ni zowąd sypać dowcipami, jakby nie mógł poczekać, aż wejdą do mieszkania. W końcu zrezygnowała z perswazji, widząc jej zupełną bezskuteczność. Idiota - skonstatowała w myśli. Zresztą było jej to absolutnie obojętne. Taki czy inny... To przecież nie potrwa długo... A zamkniętą na dwie kłódki teczkę przyciskał mocno do lewego boku. W czasie jazdy taksówką nie wypuszczał jej na chwilę z rąk. Tu nie mogło być pomyłki.

Znajdowali się już na podeście pierwszego piętra. Podniosła rękę do dzwonka.

Był zdumiony, czego nie omieszkał się okazać.

- Przecież mówiłaś, że nikogo nie ma w mieszkaniu?

- Bo naprawdę nie ma - roześmiała się cicho.

- Więc po co dzwonić?

Znowu śmiech.

- Jakiś ty głupiutki, chociaż taki duży. Przecież muszę sprawdzić, czy czasem mąż nie wrócił niespodziewanie. Ładnie bym wyglądała, gdybyśmy weszli razem, a on tam był.

Nacisnęła guzik dzwonka. Za drzwiami przeciągle zaterkotało. Przeczekała chwilę. Znowu zadzwoniła.

- On ma bardzo mocny sen - rzuciła szeptem w formie wyjaśnienia. - Nie tak łatwo byłoby go obudzić.

- Skoro jednak jest na urlopie, dlaczego miałby wracać? - znowu pytanie padło dziwnie głośno.

Jeszcze raz przytknęła palec do białego guzika.

- Różne rzeczy zdarzają się w życiu. Lepiej nie ryzykować. Powtórzył jej słowa w myśli, upuszczając z rozmachem teczkę na podłogę.

Jeżeli nawet przy drzwiach wejściowych klatki schodowej coś w tej chwili chrobotą, to dźwięk ten utonął bez reszty w hałasie spowodowanym upadkiem teczki.

W mieszkaniu wciąż panowała niczym niezmacona cisza.

Odetchnęła z demonstracyjną ulgą.

- No, wszystko w porządku, możemy wejść.

Włożyła klucz do zamka. Potem zaczęła manipulować przy drugim zamku. - Mieszkamy zupełnie jak w fortecy. Mąż tak bardzo obawia się złodziei. - Nacisnęła klamkę.

- Chwileczkę! - dotknął jej ramienia. - W jego głosie zadźwięczały tak niezwykle nutki, że odwróciła się gwałtownie, jakby porażona prądem.

- Co? - błyskawicznym ruchem sięgnęła do torebki.

Oficer był jednak szybszy. Złapał jej dłoń i wykręcił.

- Nie, moja panno. Nie tym razem.

Palce rozwarły się bezwładnie. Pistolet spadł z powrotem do szeroko otwartej torebki.

Szorstka ręka mocno przycisnęła jej usta.

- Krzyki również niepożądane - szepnął ostro.

Szarpała się rozpaczliwie. Gryzła. Kopała, usiłując trafić we wrażliwe miejsce. Wszystkie jednak jej wysiłki pozostały bezskuteczne. Muskularne ramiona cisnęły jak żelazne obręcze, pozbawiając ją zdolności oporu.

Coś metalicznie zimnego objęło przeguby rąk. Cicho trzasnął zatrząsk ręcznych kajdanek.

W tej samej chwili na podest wbiegli wielkimi susami dwaj mężczyźni. Szarpnęli drzwi. Wpadli gwałtownie do mieszkania, kierując w mrok wypełniający przedpokój ostre światła latarek.

- Stać! - wycelowali gotową do strzału broń. - Milicja! Ręce do góry!

Twarze dwóch typów przylepionych do przeciwległej ściany wrażały najwyższe osłupienie. Byli do tego stopnia zaskoczeni, że bez najmniejszego sprzeciwu wyciągnęli wysoko ponad głowy sztywno wyprostowane ramiona. Ramiona te wyraźnie drżały. Z rąk jednego wypadła krótka, pękata maczuga nabijana spiczastymi ćwiekami ze stali.

Nie upłynęła nawet minuta, gdy dłonie obydwu skuwały unieruchamiające bransoletki.

Lerski, który w tym czasie zdołał całkowicie obezwładnić wijącą się w ataku furii kobietę, na dźwięk uderzającej o podłogę maczugi zajrzał do przedpokoju.

- No, no - rzekł przeciągle przez zęby, przesuając wzrokiem po morderczym narzędziu. - Niezły przygotowali mi poczęstunek.

## **XIX. OMYŁKA, KTÓRA WNOSI ŚWIATŁO**

### **I**

Myśl o krótkofalówce nie dawała Kostrzewie chwili spokoju. Już to jedno mogło doprowadzić do rozpacz. Wiedzieć, że działa gdzieś tuż obok, mieć niemal niezbite dowody w ręku i nawet nie domyślać się choćby w przybliżeniu, gdzie mianowicie.

Analizowanie tego problemu musiało w końcu doprowadzić do nieuniknionych skojarzeń. A jeśli ktoś, kto na statku zajmuje się oficjalnie radiem?

Mańczak oczywiście nie wchodził w rachubę, skoro to właśnie on przejmował tajemnicze radiogramy i oddawał je do rozszyfrowania.

Ale Marska?

Próby wyjaśnienia tej kwestii przez jakiegokolwiek rozmowy z nią samą nie rokowały żadnych szans powodzenia. Takich wiadomości nie da z siebie wyciągnąć nawet najmniej doświadczona agentka. Zresztą...

Zacisnął zęby, pokonując wewnętrzny sprzeciw. To, co miał zamiar uczynić, było konieczne. Wyczekał na zbieżność dyżurów Marskiej i Onyżko. Dla pewności zerknął przez bulaj radio-kabiny i zajrzał do bufetu. Bo, a nuż jakaś zmiana w ostatniej chwili. Obie jednak trwały na swoich posterunkach.

Nikogo oczywiście nie było w pobliżu, gdy się wśliznął do korytarza.

Drzwi zamknięte na klucz. Zamek jednak bardzo prosty. Wystarczył jeden ruch. Po wejściu do kabiny zamknął je za sobą, posługując się znowu uniwersalnym wytrychem. Gdyby go tu zastała, i tak nie pozostałoby żadnego innego wyjścia poza zdjęciem maski.

Otwarcie szafy zajęło dosłownie pół minuty. Sprawdził nazwiska na walizkach. Onyżko go nie interesowała. Z walizek Marskiej bił słaby zapach. Perfumy? Woń jej włosów? Starał się o tym nie rozmyślać. Wiotka miękkość tkanin łaskotała drażniąco naskórek palców.

W pierwszej walizce nie znalazł nic. Ułożył starannie wszystko na dawne miejsce. Chyba nie zauważył? W drugiej na samym dnie jakieś tekturowe pudełko. Wyjął je. Nie, to nie była krótkofalówka. Bardzo natomiast zaciekał go widniejący na boku pudełka napis odcisnięty wyraźnie czarnym drukiem: „AF/254h. Poniżej zaś inny, świadczący o pochodzeniu z polskiej fabryki. Nalepki gwarancyjne zamykające pudełko nietknięte.

Ach więc to tak? Obracał pudełko w rękach. Właśnie ta sama lampa, której uszkodzenie kazało Marskiej zejść wtedy na ląd... Ale w jaki sposób mogła ustalić, że jest uszkodzona, skoro w ogóle nie wyjmowała jej z pudełka? Powoli wyjaśniało się znaczenie sceny zaobserwowanej przez bulaj radiokabiny. Podawała wtedy Mańczakowi jakieś pudełko. Pokazywała mu lampę. Tej lampy jednak nie uszkodziła. Nie zdążyła, czy też coś innego stanęło jej akurat na przeszkodzie. Pudełko wróciło na dno walizki. Szukał dalej. Nie znalazł jednak nic więcej. Zamykając za sobą drzwi kabiny, odczuł niedopuszczalną w tych okolicznościach ulgę. Teraz już wiedział na pewno: nie ukrywała w swej kabynie krótkofalówki. Ale... skąd pewność, że nie miała z tą krótkofalówką nic wspólnego?

## II

Mańczak natychmiast po opuszczeniu kabiny radia odszukał Kostrzewę.

- Jeszcze jeden kwiatusek z tej samej łączki - wręczył mu złożony w czworo arkusik. - Ciekawym, czy znowu coś z zakresu leczenia zamkniętego?

- Kiedy to zostało nadane? - zapytał Kostrzewa.

Teraz również i ta okoliczność mogła mieć doniosłe znaczenie. Wszystko zdawało się wskazywać, że w grę wchodziły już nie dni, ale godziny czy nawet minuty.

- Och - Mańczak wyprostował się ruchem pełnym obrażonej godności - przecież zanotowałem dokładną godzinę przyjęcia. Jakżebym mógł o tym zapomnieć? Piąta czterdzieści pięć. Akurat na kwadrans przed zakończeniem mego dyżuru.

Znowu zaciszny kącik w świetlicy i pełna niedopałków popielniczka. Nie pasował schemat, według którego rozszyfrował ostatni radiogram. Szyfr został zmieniony po raz trzeci. Wiadomość o rozwiązaniu łamigłówek docierała do tajemniczych rozmówców bezpośrednio po odczytaniu każdej z depesz. Trudno się było zresztą temu dziwić. Zbyt dużo ludzi niestety wiedziało o całej tej akcji.

Wspólnicy wśród załogi. Czyż miał kiedykolwiek wątpliwość, że istnieją? Oto jeden z namacalnych skutków tego stanu rzeczy.

Znowu żmudne przedzieranie się przez gąszcz zagadek. Jaki układ, co znaczą słowa, do czego należy dopasować cyfry... Wszystkiego kilkanaście znaków, a pracował nad nimi przeszło trzy godziny. Ileż razy w ciągu tego czasu ogarniało go zwątpienie. Tego sam diabeł nie potrafi odczytać! Ileż razy zaciskał z determinacją zęby. Przecież musi... Musi za wszelką cenę. Chociażby miał nad tym siedzieć do jutra. Wreszcie z gąszczy słów zaczęła się wyłaniać nie tyle zrozumiała, ile czytelna treść.

Tępo wpatrywał się w słowa, które zrodziły się z setek innych, poprzekreślanych jako błędnie podstawionych. „Wszystko gotowe. Termin i miejsce to samo. Stop.h

Trzasnęły drzwi świetlicy. Na progu wyrosła sylwetka Mańczaka. W rękę znowu złożona skrupulatnie kartka. Kostrzewa spojrział na Mańczaka ze zdumieniem. Nowy radiogram? Ale w jaki sposób potrafił go zdobyć, skoro jego dyżur zaczyna się dopiero za godzinę?

Mańczak nie czekając na pytanie, sam wyjaśnił tę zagadkę.

- Tym razem to zdobycz koleżanki Marskiej - podał kartkę.

Tego Kostrzewa nie mógł oczekiwać żadną miarą.

- Marskiej? - powtórzył, patrząc gdzieś ponad jego głową.

- Tak. Opowiedziałem jej o tym naszym polowaniu na zaszyfrowane radiogramy tajemniczych krótkofalówek.

- I wyraziła chęć wzięcia w tym udziału?

- Co tam chęć - Mańczak przysiadł na brzeżku fotelu - można powiedzieć: zapaliła się z miejsca. Mówi, że to niezmiernie ciekawe. I że znacznie szybciej zlatuje dyżur. Ona - uśmiechnął się - podchodzi do tego raczej po sportowemu. Nie wie przecież, jakie to ma znaczenie.

Kostrzewa po jego odejściu nachylił się niezdecydowanie nad złożoną kartką. Marska przyjęła radiogram? Co to znowu miało właściwie znaczyć? Nowy sposób kamuflażu? Wyssała sobie z palca treść, aby w ten sposób zamaskować swoje stosunki z przestępcami. Ale jeśli naprawdę przyjęła? To przecież właściwie przekreślałoby wszystkie poprzednie podejrzenia.

Wspólniczka sabotażystów przyjmująca ich radiogramy i oddająca je do rozszyfrowania? Zupełny nonsens.

Przystąpił do pracy. Tym razem poszło mu gładko. Zastosowany na początku szyfr „numer trzech od razu pasował. Widocznie nie zdążyli go zmienić.

Wypisał wyłowione słowa. Przeczytał raz, potem drugi, zastanawiając się niemal nad każdą poszczególną sylabą.

.RS oczekuje zgodnie z podanymi rzednymi. Pamiętać o sygnałowym świetle. Stop.h

Oczekuje „zgodnie z podanymi rzednymih? W ten sposób nie oznacza się miejsca spotkania na lądzie. Wtedy byłaby bowiem mowa o jakiejś miejscowości.

- Tak... - tarł czoło - oczywiście, że na morzu. Do tego na pełnym. Myśl stawała się coraz bardziej przejrzysta.

Statek... oczywiście, że RS stanowi kryptonim jego nazwy. A więc statek już oczekuje w miejscu ustalonym poprzednio. Już?

Przeszedł go dreszcz. Statek, który miał odebrać zamachowców sygnalizujących swe przybycie określonymi światłami, dotarł do umownego punktu. To świadczyło, że akcja nastąpi w ciągu najbliższych godzin.

Podszedł do stojącej na głównym stole karafki. Nalał wody wypił ją duszkiem.

Co począć w tej sytuacji? Zdemaskować się wobec kapitana i oznajmić mu, co ta wiadomość oznacza? W jakim celu? Czyż mógł przedstawić choćby w najogólniejszych zarysach projekt udaremnienia zamachu? Czyż potrafił wskazać zamachowca, którego należało unieszkodliwić? Bądź wyjaśnić, jakiego rodzaju zamachu należy się wystrzegać? W tych warunkach powiedzieć człowiekowi, który odpowiada za statek: „Statek pana w najbliższym czasie spotka katastrofa, ale na to nic nie można poradzić, byłoby równoznaczne ze złośliwym sianiem paniki.

Na cóż komu zda się taka wiadomość bez jednoczesnego wskazania środków zaradczych?

Nie. Nie zdemaskuje się. Te godziny czy choćby kwadrans dzielące od zamachu musi poświęcić na wykrycie przygotowań do niego. A kwestia, czy to da jakiś rezultat, nie od niego już zależała.

Do świetlicy powrócił Mańczak, wrywając Kostrzewę z zadumy.

- No i jak - spojrzał z zaciekawieniem na brulion - rozwikłałeś te rebusy?

- Owszem. Niby. Ale żebym coś z tego rozumiał? Wydarł z brulionu kartki, na których wypisał rozszyfrowaną treść, złożył razem z pierwotnym tekstem i podał Mańczakowi.

- Możesz podrzucić staremu tak jak i poprzednie - powiedział obojętnie.

### III

O odbywaniu wachty nie mogło być mowy. Przynajmniej w ciągu najbliższej doby. Kostrzewa nie sądził, by w grę mógł wchodzić jakiś dłuższy okres. RS nie będzie przecież tkwił gdzieś na środku morza całymi tygodniami.

Tak poważne atuty jak statek wprowadza się w tego rodzaju wypadkach do gry dopiero w ostatnim momencie.

Odwiedził Rolskiego, by trochę pokwękać, ponarzekać. Nawet nie potrzebował się zbytnio wysilać.

Felczer zdążył go poznać przez te parę tygodni i nabrać do niego zaufania.

- Oczywiście, że dam zwolnienie - zaczął wypisywać kartkę. - A jeśli ci się nie polepszy, przyjdź znowu.

Bosman Bociański również nie miał żadnych zastrzeżeń.

- Mogłeś nawet nie chodzić do felczera. I tak bym cię zwolnił. Marnie jakoś ostatnio wyglądasz.

W ten sposób sprawa zapewnienia sobie nieustannej obserwacji została załatwiona. Żeby i inne mogły pójść tak gładko...

Znowu sprawdzanie drzwi magazynu podręcznego. Zagłądanie do oddziału maszynowego. Przechadzka obok zamkniętych na glucho drzwi pomieszczenia, w którym znajdowały się tanki z paliwem. Próby otwierania luków obu ładowni. Poszukiwania pod windami kotwicznymi i innymi miejscami na pokładzie, gdzie dałoby się wetknąć ładunek materiałów wybuchowych albo



zapalających. Obserwacja radiotelegrafu, w czasie której wzrok na dłuższą chwilę zatrzymywał się na widocznej poprzez szkło bulaju głowie Marskiej. Jej rola po doręczeniu Mańczakowi przejętego radiogramu stała się całkiem zagadkowa. Potem znowu przechadzka wzdłuż pokładu. Od rufy do dziobu po odwietrznej. Od dziobu do rufy po dowietrznej. Z powrotem w tym samym porządku.

Zmęczony przystanął u burty w pobliżu spardecku. Znowu zaczynało go ogarniać poczucie zupełnej bezradności. Żeby jeszcze nie ta mgła. Po stokroć przekłeta mgła. Gdy włókł się po odwietrznej, na dowietrznej tymczasem mogło się dziać licho wie co. Co tam po dowietrznej - choćby nawet w odległości kilku kroków. Choćby w odległości większej niż długość wyciągniętego ramienia.

Mgła stawała się w tych warunkach najwierniejszym sprzymierzeńcem przestępców. W gęstych oparach zamajaczyły w pewnej chwili sylwetki Mańczaka i Sielawy. Poznał ich po głosach. Obydwaj się głośno sprzeczali. Temat jak zawsze - szachy. Podeszli do Kostrzewy.

- No, słuchaj, sam rozsądź - Sielawa podniecony wymachiwał rękoma. - W końcu stan partii taki. Ja mam... - zaczął drobiazgowo opisywać położenie figur.

Potem wtrącił się Mańczak.

- No, to właśnie on wtedy przesuwa królową na...

Obydwaj byli mocno zaaferowani. Sielawa zresztą bardziej. Przegrał partię i doszukiwał się przyczyn nieoczekiwanej porażki.

Z mgły wynurzył się lśniący wilgocią płaszcz. Podeszedł bosman Kwieciński.

- Ja im kibicowałem - Kwieciński też należał do zapalonych szachistów - i dotychczas nie mogę zrozumieć, dlaczego Sielawa skoczył koniem na...

Kostrzewa początkowo przysłuchiwał się z zaciekawieniem. Rozwiązywanie kombinacji szachowych dawało mu zawsze satysfakcję. W pewnym jednak momencie przestał uważać na to, co mówią. Skądś dobiegały go głosy przyciszonej rozmowy. Kaniewski i Kropidło? Ta kombinacja mogła być niezmiernie ciekawa. Niestety nie mógł dosłyszeć tego, co mówili. Stali w zbyt dużej odległości. Gdyby tak pod jakimś pozorem podejść bliżej.

- No i co powiesz o tym posunięciu? - tarosił go natarczywie za rękaw Sielawa.

Kostrzewa nie wiedział, o jakie posunięcie mu chodziło. - Jak myślisz? - zapytał z kolei Mańczak.

Coś jednak trzeba było odpowiedzieć.

- No... - zaczął z roztargnieniem - ta końcówka... Rozgrywaliśmy kiedyś podobną, gdy jeszcze służyłem na „Rewluh.

Nazwa „Rewelh wzięła się właściwie zupełnie nie wiadomo skąd. Miał na myśli „Hel - powiedział „Rewelh. Natychmiast zresztą zauważył omyłkę i zamierzał ją sprostować. Nie zdążył jednak. W międzyczasie bowiem zaszło coś niespodziewanego, coś co z miejsca zamurowało mu usta.

- „Rewelh? - powtórzył bosman Kwieciński. - Tak, znam... Całkiem nie najgorsza sobie krypa.

Kostrzewa w jednej chwili zapomniał o Kaniewskim i Kropidle. To, co się wydarzyło tuż obok niego, było znacznie ciekawsze. Kwieciński znał statek noszący nazwę „Rewelh. Przecież taki statek nie istniał w polskiej marynarce handlowej. Ani teraz, ani przedtem. Nigdy nie figurował w jego rejestrach. Kostrzewa był tego najzupełniej pewny. Studiował te rejestry dostatecznie uważnie, w celu uniknięcia wsypy. Takiej właśnie, jaka przed chwilą przydarzyła się Kwiecińskiemu. Marynarz mógł ostatecznie zmyślić znajomość jakiegoś nieistniejącego statku. Ot tak, aby się pochwalić swą wszechwiedzą. Byli tacy... Ale bosman? I to taka „doskonałość jak Kwieciński? Może się jednak przesłyszał? To należało w każdym razie sprawdzić.

- Tak... ma pan rację, bosmanie. Na „Rewluh - Kostrzewa wymówił jeszcze raz nazwę tak wyraźnie, że Kwieciński nie mógł już mieć wątpliwości - spędziłem szmat czasu. Dobrze się na nim pływało - nadał głosowi rzewne brzmienie. - A pamięta pan, bosmanie, kapitana Sławińskiego? - Kapitan Sławiński nie istniał tak samo jak i dowodzony przez niego statek. - Niby na oko mantyka, ale w gruncie rzeczy chłop poczciwy z kośćcami. Był wtedy u nas bosman Dunajewski - brnął teraz już na całego, mnożąc z całą bezczelnością galerię mitycznych postaci. - Może i jego pan znał?

- Jakżeby nie - Kwieciński z uwagą nabijał krótką fajeczkę - mało jest chyba ludzi w całej naszej marynarce, z którymi bym się kiedyś nie zetknął. Gdy człowiek pływa od tylu lat na rozmaitych łajbach...

Kostrzewa uważnie słuchał...

Kwieciński znał rzeczywiście dużo marynarzy. Nawet nieco za dużo, jeżeli wziąć pod uwagę, że znajomości jego dotyczyły również osób, których nazwiska zostały przed chwilą dosłownie wysane z palca. Znał nieistniejące statki, znał nieistniejących ludzi...

- „Rewelh? - parsknął Sielawa, wciąż jeszcze nie mogąc opanować rozdrażnienia z powodu porażki szachowej. - Jak żyję, nie słyszałem o żadnym „Rewluh ani o kapitanie Sławińskim. A Dunajewski? Piosenek Dunajewskiego, to owszem, zdarzało się posłuchać. Ale żeby taki bosman pałętał się po jakiejś jednostce...

Mańczak roześmiał się.

- Ależ ruszyłeś do ataku. Huzia! Nie ma i już...

Kwieciński zawtórował śmiechem.

- Sądzę, że nie ma człowieka - zauważył - który wiedziałby o wszystkich naszych statkach i pływających na nich ludziach - to zostało powiedziane zupełnie przyjaznym tonem.

Kostrzewa nastroszył się jeszcze bardziej. Dziwnie brzmiały te słowa w ustach „doskonałego bosmana. Przecież musiał sobie zdawać sprawę, że nie odpowiadają prawdzie. To już jego drugie z rzędu fałszywe posunięcie. Postanowił poprzeć Kwiecińskiego. Niedobrze byłoby, gdyby wiedział, że ktoś zanotował w pamięci jego gafy. I by w ogóle uświadomił sobie, że je popełnił.

- Słusznie - rzekł. - Czyż można wymagać od ludzi, aby byli wszechwiedzącymi?

W międzyczasie zreflektował się również i Sielawa. Z jakiej właściwie racji naskoczył na Kwiecińskiego? Cóż mu zawinił? Jako kibic zachowywał się zupełnie przyzwoicie.

- Może i tak... - pokiwał głową. - Czy mówię, że „Rewlah nie ma? Tyle tylko, że o nim nigdy nie słyszałem.. Zresztą, diabli wiedzą... nie przysięgłbym, że mi coś się tam o nim nie obilo kiedyś o uszy - dorzucił wspaniałomyślnie. - O tylu statkach przecież się słyszy...

Kostrzewa odetchnął z ulgą. Pojedynkowe wystąpienie Sielawy przyszło w samą porę. Teraz Kwieciński nie będzie miał już najmniejszego powodu zastanawiać się nad tym „Rewlemh, skoro aż dwóch potwierdziło jego istnienie.

Rozmawiali jeszcze parę minut. Przeważnie na temat mgły. Że człowiek siedzi w niej po uszy jak w jakiejś mazi. Że wilgoć przenika do szpiku kości. Że w końcu chyba przyjdzie do reszty ogłuchnąć od tego ustawicznego wycia syreny.

Taka zdawkowa pogawędka dla zabicia czasu.

Kostrzewa jednak podsycił ją w miarę możliwości. Chodziło mu o zatrzymanie Kwiecińskiego jak najdłużej.

Mózg nie przestawał pracować. Kwieciński? Dotychczas nie zwracał na niego większej uwagi. Właściwie prawie żadnej. Złożyły się na to rozmaite powody. Jego akta personalne. Zachowanie się na statku. Nigdy przecież nie dał najmniejszego powodu do jakichkolwiek podejrzeń.

Czy jednak rzeczywiście „najmniejszego? Pogawędki z Basiorskim zdarzały się dosyć często. Niekiedy sam na sam. Prawda, że Basiorski sam szukał towarzystwa podoficerów. Nie tylko Kwiecińskiego. Ale z Kwiecińskim właśnie rozmawiał chyba najczęściej.

Coraz więcej szczegółów wylaniało się z zakamarków pamięci. Postać Kaniewskiego zjawiała się niemal zawsze w pobliżu operowania cienia. Ale to samo dotyczyło w równej mierze i Kwiecińskiego. Tylko że jego obecność nie wywoływała skojarzeń. Zawsze bywa tak, gdy się skupi całą uwagę na jednej osobie.

Wtedy, przed tym napadem, Kwieciński przecież podszedł ku niemu. Łom?

Kto ma łatwiejszy dostęp do narzędziowni jak nie bosman?

Rozmowa toczyła się dalej. Kostrzewa rzucał zdawkowe słowa. Uśmiechał się. Chwilami nawet wybuchał śmiechem, gdy inni akurat się śmiali. Ale niemal z każdą mijającą sekundą sprawa Kwiecińskiego nabierała większego znaczenia. Gdy Kwieciński wreszcie odszedł, Kostrzewa pożegnał się również pod jakimś pretekstem. Teraz postanowił nie spuszczać go już ani na chwilę z oczu. Coś mu mówiło, że tym razem wreszcie uchwycił w ręce koniec nici, która powinna go doprowadzić do celu...

#### IV

Marska zdając dyżur, wyglądała dziwnie mizernie. Ostatnio jakby się zaczęła nieco poprawiać, ale w tej chwili jej blada twarz wydawała się niemal przezroczyta.

Mańczak przyjrzał się jej z niepokojem.

- Co ci? - aż się nad nią nachylił. - Źle się czujesz? Może by zawołać Rolskiego?

Roześmiała się ciepło, wzruszona jego troskliwością.

- Jeszcze trochę i zaczniesz się starać, żeby przyniesiono po mnie nosze.

Widać jednak było, że jest czymś roztrzęsiona.

- Miałaś jakąś nieprzyjemność? Może wiadomość z domu? - nalegał Mańczak.

- Nie... na szczęście nie. Ale wiesz... Może to głupstwo... nie warto nawet wspominać, jednak...

- Co się stało? - niepokój Mańczaka wzrastał.

- Wiesz... Dzisiejszej nocy ktoś zaglądał do radiostacji. I to aż dwukrotnie. To... - głos jej załamał się - to nie było przyjemne.

Aż drgnął.

- Co takiego?! - zawołał w podnieceniu. - Znowu? Spojrzał jednak na nią i natychmiast zmienił ton. Po co ją jeszcze bardziej denerwować?

- Ech - starał się, niezręcznie zresztą, zatrzeć wrażenie. - Takie rzeczy zdarzają się przecież. Może ten zaglądający miał na myśli osobę... radiotelegrafisty odbywającego akurat dyżur? Po co zaraz we wszystkim upatrywać jakąś makabrę? Pamiętasz piosenkę o samotnym harmoniście? Pewnie i tutaj to samo. Jakiś ukryty wielbiciel, zbyt nieśmiały, by spojrzeć na ciebie w dzień.

Marska przyglądała mu się spod oka. Nie udało mu się jej zwieść. Wyczuwała instynktownie, że nie jest szczery. Tyle różnych niezrozumiałych i zatrważających rzeczy działo się przecież w ostatnich czasach na statku...

- Nieznany wielbiciel - powtórzył z naciskiem - ot, i wytłumaczenie całej zagadki, która cię zupełnie niepotrzebnie wyprowadziła z równowagi.

„Nieznany wielbicielh? I jej wpadło to w pierwszej chwili na myśl. Nie była przecież dzieckiem i trzeźwo podchodziła do pewnych spraw. Mały świątek, którego mieszkańcy tak długo pozbawieni są widoku obcych kobiet...

- Nie - przesunęła językiem po wargach - nie może być nawet mowy o niczym w tym rodzaju... Gdybyś widział, w jaki sposób się to wszystko odbywało.

- Aż tak? - Mańczak z trudem utrzymywał żartobliwy ton. - Przecież chyba nie wchodził w grę pistolet, jak wtedy u Rolskiego?

- Pistolet nie. Ale... Już sam sposób, w jaki się zbliżał. Co tu ukrywać. Bałam się... Podkradał się miękkimi, ostrożnymi krokami. Jak kot. Potem nie było słyhać nic. Cisza trwała dłuższą chwilę. Widocznie zaczął się gdzieś w pobliżu...

- To wszystko przez te historie o cieniu i tym podobnych zjawach - wtrącił z udanym wyrzutem Mańczak.

- Może... Tylko że te kroki nie były halucynacją. Na pewno nie. I wiesz, po jakichś, boja wiem... ale

w każdym razie paru minutach, nagle... - palce jej zacisnęły się kurczowo na krawędzi stołu - oczy... Tylko oczy. Ani twarzy, ani sylwetki... Nic. Zupełnie jakby wisiały w powietrzu. A po chwili wszystko zniknęło. I nawet nie dosłyszałam, by ktoś odchodził. Jakby jakaś zjawa. Gdy się to powtórzyło za drugim razem, ledwo zdołałam powstrzymać się od krzyku... O... - zająknęła się - ten ktoś zamierzał coś złego... Jestem o tym przekonana.

- Chciał ci coś zrobić? Czy na całym statku znajdzie się choć jeden człowiek, który by ci źle życzył?

- Nie wiem - pomyślała w tej chwili o Koterze. - Ale to nie o mnie chodziło. O radio. On sprawdzał, czy czuwasz... I jeśliby zobaczył, że śpię...

W opowiadaniu Marskiej było tyle sugestywności, że przychodziły momenty, w których sam czuł się mocno nieswojo. Był zresztą przekonany, że jej przypuszczenia odpowiadają najzupełniej prawdzie. Ktoś usiłował podkraść się niepostrzeżenie do radiostacji. Bo to zresztą po raz pierwszy? Ten sam, który sterroryzował pistoletem Rolskiego. Ten sam, który wywołał pożar i uszkodził śrubę. W uszach Mańczaka jeszcze dźwięczało echo jej ostatnich słów. Jeśliby zasnęła? Kto wie, co wtedy stałoby się z radiostacją. I z dyżurną Leną Marską. Nie wolno spać. Nie wolno drzemać. Nie wolno nawet choćby na chwilę osłabić napięcia uwagi. Bo ktoś ukryty w ciemnościach czyha właśnie na taką okazję. Czyha po to, by... Nawet nie wiadomo dokładnie, po co. Ale że to było coś strasznego, nie miał najmniejszych wątpliwości. Ta noc minęła szczęśliwie. Dyżurna radiotelegrafistka nie spała. Następnej nocy on będzie miał dyżur. I jeżeli pozwoli się opanować senności, jak to przecież niekiedy miało miejsce... Wzdrygnął się. Psiakrew, co za jakaś paskudna smuga cienia spadła na ten nieszczęsny statek.

Mimo wszystko robił, co mógł, by ją uspokoić. Opuszczając kabinę, wiedział jednak, że mu się nie udało. Nie miał złudzeń. Opowieść Marskiej zapowiadała jakąś akcję przeciwko radiostacji. I to już w najbliższej przyszłości.

Co dalej z tym fantem począć? Po krótkim namyśle postanowił poradzić się Kotery. Skoro umie rozwiązywać pisane łamigłówki, to i z tą zagadką powinien sobie poradzić. Chłop ma niewątpliwe spryt do takich rzeczy. Może coś wspólnie wymyślą.

Przespacerował się wzdłuż okrętu. Zajrzał do kubryku. Wsadził głowę w uchylone drzwi świetlicy. Kotery jednak nigdzie nie mógł znaleźć.

W takim razie nie pozostaje nic innego, jak zameldować kapitanowi - pomyślał. Zeklnie, że mu się zawraca głowę głupstwami, to zeklnie. Ale w każdym razie zostanie uprzedzony.

Ruszył w kierunku kapitańskiej kabiny.

## V

Bartczakowi ani nawet na myśl nie przyszło, żeby wymyślać. Siedział właśnie nisko pochylony nad biurkiem. Z dwu popielniczek wyglądały sterty niedopałków.

Na dźwięk otwieranych drzwi podniósł szybko głowę.

- Ach, to ty... - powiedział jakby z rozczarowaniem. Wyraz jego twarzy wskazywał, że spodziewał się ujrzeć kogoś innego. - Nie spotkałeś gdzie przypadkiem Kotery? - zapytał, zanim Mańczak zdążył

otworzyć usta.

- Niestety. Dopiero co go szukałem. Nie wiem, gdzie się podział.

- Jak pech, to pech. Już chyba ze cztery razy posyłałem po niego, ale nikt go nie może znaleźć. Zaszły się w jakąś dziurę... Bo wiesz - tknął palcem w rozłożone na blacie biurka papiery, w których Mańczak dopiero teraz poznał przyniesione przez siebie przed paru godzinami radiogramy - siedzę nad tym jak Żyd nad Talmudem i ani w ząb. Wiem, że trzeba rozwikłać te wszystkie kaery, eresy, tewutepy i inną diabelszczyznę. Czuję, że od tego zależy bardzo wiele, że chodzi po prostu o naszą skórę.

- Kotera mówił, że on z tego też nic nie rozumie - powiedział Mańczak.

- Tak mówił? Ale on to pewno tylko tak, przez kokieteryę. Ma przecież łeb do takich łamigłówek. Jeżeliby go pociągnąć za język... - A może ty zdołałbyś coś z tego skombinować? - zapytał po chwili.

Mańczak z ubolewaniem rozłożył ręce. - Niestety... Zastanawiałem się już nad tym. Próbowałem na wszystkie strony. Ale...

- Nic nie wychodzi?

- Zupełnie nic.

Wzrok kapitana przygasł.

- Z tego wynikałoby, że będziemy siedzieć w ciemnym worku, aż ten worek pęknie z hukiem i wszystko diabli wezmą.

Mańczak milczał wymownie. W zupełności podzielał zdanie kapitana.

Zapadło przeciągłe milczenie.

- A więc - odezwał się wreszcie kapitan - tak czy inaczej wszystko powinno się chyba rozstrzygnąć w ciągu najbliższych dni. Może rzeczywistość okaże się wcale nie tak groźna, jak przypuszczamy? Może te łamigłówki - odsunął niechętnie ruchem radiogramy - wcale nas nie dotyczą... Ano, czas pokaże... A ty - spojrzał pytająco - masz do mnie jakiś interes?

Mańczak powtórzył opowiadanie Marskiej, gnębiąc do reszty Bartczaka.

Ledwo skończył, rozległo się pukanie.

- Wejść! - Bartczak utkwiał wyczekujący wzrok w drzwiach. Może wreszcie Kotera? Na progu wyrosła jednak postać bosmana Bociańskiego.

- No i cóż? - zapytał kapitan. - Nie znalazł pan Kotery?

- Nie.

- Przeszukał pan wszystko dokładnie?

- Nie, panie kapitanie. Raczej pobieżnie. Przy takiej mgle... Ponieważ jednak pan kapitan polecił mi

zameldować o godzinie osiemnastej - spojrzął na wskazówki stojącego na biurku zegara - więc...

Kapitan poruszył się niespokojnie. Wąska kreska mocno zaciśniętych warg świadczyła o jego wzburzeniu.

- Nieźle... I co to pańskim zdaniem oznacza?

Pytanie wyraźnie zakłopotало bosmana.

- Nie wiem. Ale na przykład mógł gdzieś mocno zasnąć. Rolski mówi, że on już od wczoraj czuł się marnie. Gdyby więc zasłabł...

- Zasłabł? Coraz weselsze horoskopy - twarz kapitana wyrażała teraz coś pośredniego pomiędzy ostatecznym przygnębieniem, a wściekłością bliską wybuchu. Sięgnął po szklanke i przełknął potężny haust wody. - W rezultacie - wzruszył ramionami - nie można wykluczyć, że stało się właśnie tak, jak pan mówi. Wobec tego proszę wziąć paru ludzi i niech przeszukają dokładnie wszystkie miejsca, gdzie może się znajdować Kotera. Róbcie to dyskretnie, bez paniki.

Bociański odszedł.

- Widzisz, jak to wygląda? - kapitan popatrzył na Mańczaka zmrużonymi oczyma. - Na radiostację szykuje się zamach, a jeden z marynarzy stał się nagle nieosiągalny. Wesolutko, prawda?

## VI

Mgła była jednocześnie zajadłym wrogiem i najwierniejszym sprzymierzeńcem. Ułatwiała niepostrzeżone poruszanie się przestępcom. To prawda. Ale i dla Kostrzewy odegrała rolę bajkowej czapki niewidki. Bez jej osłony przeprowadzenie zadania w zamierzony sposób byłoby nie do pomyślenia.

Espadrille to obuwie na podeszwie z plecionego sznurka, noszone przez wielu marynarzy. Kostrzewa włożyłby je również, gdyby stanowiły na statku coś niezwykłego. Krok w espadrillach był ledwo dosłyszalny.

Mgła. Espadrille. Ciemny kombinezon o jednostajnej barwie. Zręczne korzystanie z osłony wszelkiego rodzaju zakamarków. Nie brakło ich przecież: skrzynie, szalupy ratunkowe. Mrok zagęszczony pod nadbudówkami. Ściany zejściówek. W ostateczności choćby zwój liny. Nie, naprawdę niełatwo byłoby dostrzec albo dosłyszeć jego obecność.

Kwieciński zdawał się go nie dostrzegać. Zachowywał się jak zwykle. Swobodny, rozmowny, beztroski. Ale przecież w chwilach gdy nikogo nie było w pobliżu, sylwetka jego zmieniała się dziwnie. W linii ramion, w zarysie karku - w całej wreszcie postaci zjawiało się wtedy coś, co świadczyło o napiętej do ostatecznych granic czujności.

W czasie wieczornej wachty Kostrzewa przez cały czas znajdował się w jego pobliżu. Uważał, że nawet w czasie służby nie braknie okazji do wykonania jakichś niewymagających zbyt wiele czasu posunięć.

Ruchy bosmana były opanowane i powolne. Tak jak zawsze. Ale w pewnym momencie... Tak, wtedy

o mało nie doszło do katastrofy. Otóż, w chwili gdy Kostrzewa najmniej się tego spodziewał, Kwieciński obrócił się nagle na pięcie i ruszył szybkim krokiem akurat w jego kierunku.

Dosłownie w ostatniej sekundzie Kostrzewa zdołał dopaść zbawczej osłony pobliskiej skrzyni. Jeszcze moment i zetknięcie byłoby nieuniknione. Przeszedł tuż obok, prawie ocierając się ramieniem.

Przylegając płasko do drewnianego boku skrzyni obserwował bosmana. Z jego pełnego godności opanowania nie pozostało ani śladu. Ruchy nerwowe. Ręce zasunięte głęboko w kieszeniach płaszcza. Szukał. Wyraźnie szukał. Przebiegł parę kroków w jednym kierunku. Potem rzucił się w bok. I wreszcie zawrócił, podchodząc ku skrzyni, za którą ukrywał się Kostrzewa.

Kostrzewa zamarł w bezruchu. Przesłonił oczy powiekami. Błysk oczu tak łatwo może zdradzić w ciemnościach.

Wystarczyło mu wyciągnąć rękę, by go dotknął. Palce zaciskały kurczowo rękojeść pistolem. Tu nie było żartów. Nóż i łom nie odniosły skutku. Ale teraz z kolei mógł uciec się do bardziej niezawodnej broni. Nierówny rytm oddechu świadczył o podnieceniu. Jeżeli zacznie szperać za skrzynią, znajdzie go bez wątpienia. Rozgląda się uważnie na wszystkie strony. Nie, nie widział go. W miejscu gdzie kłęczał przygięty do desek pokładu, panował nieprzenikniony mrok.

To trwało piekielnie długo. W końcu dał za wygraną. Odszedł.

Kostrzewa wyrztał ostrożnie. Oddała się. Trzeba było porzucić zaciszne schronienie, by ruszyć w ślad za nim.

Wychynął na zewnątrz. Odległość od skrzyni do nadburcia wynosiła zaledwie kilka metrów. Ale przebycie jej nie było łatwe.

Pod wysoką barierą ciemność zagęściła się do atramentowej czerni. Posunął się ostrożnie naprzód. Stracił na chwilę bosmana z oczu. Wreszcie dostrzegł go znowu. Stał pośrodku pokładu w pobliżu klekocących sztang bomu.

Do końca jednak wachty obserwacja nie dała żadnych wyników. Kwieciński wykonywał tylko to, co należało do służby, i nic więcej. Przy zdawaniu wachty asystował świadek ukryty za ścianą zejściówki. Nikt spośród licznych w tym momencie ludzi, znajdujących się na pobliskim odcinku pokładu, nie zauważył jego obecności. Ale Kostrzewę niełatwo było zauważyć, gdy pragnął tego uniknąć.

Początkowo szedł razem z marynarzami, potem się od nich odłączył. Kostrzewa sunął za nim w bezpiecznej odległości. Bosman kierował się ku kajucie. W pewnej chwili przystanął. Zaczął manipulować przy bucie. To trwało zadziwiająco długo. Przez ten czas z łatwością zdążyłby rozsznurować i zasznurować obydwa buty... Potem obejrzał się ostrożnie poza siebie. Ostatni marynarz zniknął już w zejściówce kubryku.

Kwieciński przeciągnął się, poprawił pasek i powolnym krokiem ruszył w kierunku burty. Postął tam kilka minut wsparty łokciami o poręcz nadburcia. Czekał na kogoś? Chciał się upewnić, czy nie jest śledzony? Jeszcze raz rozejrzał się dookoła, po czym widocznie uspokojony, poszedł wzdłuż burty w



kierunku rufy. Ale od momentu gdy postawi pierwszy krok, zachowanie się jego uległo zdumiewającej zmianie. To nie był już stąpający z godnością bosman. Zgiął się wpół. Krok ostrożny, miękki, niemal bezgłośny. Czające się ruchy. Jakby w każdej chwili gotów był skoczyć komuś do gardła albo rzucić się do panicznej ucieczki. Szerokim łukiem omijał miejsca oświetlone przez lampy.

Kostrzewa nabierał coraz większej otuchy. Trop, po którym szedł, twardniał z każdą chwilą. Ta skradająca się drapieżnie postać miała być „doskonałym bosmanem Kwiecińskim? Sposób, w jaki sunął przez nasiąkniętą mgłą ciemność, wskazywał na dużą wprawę. Gdzie mógł ją nabyć? I nagle jaśniejąca jaskrawością błyskawicy myśl: czy tylko jeden człowiek mógł się wśliznąć na pokład M/S „Jednośch pod przybraną skórą?

Przyjęcie tej tezy wyjaśniłoby wiele. Ale co w takim razie stało się z osobą, której dotyczyły akta personalne...

Kwieciński zachowywał się w tej chwili identycznie jak ów tajemniczy cień. Sam nim był czy też tylko go naśladował?

W każdym razie - Kostrzewa uśmiechnął się pomimo całej powagi sytuacji - w tej chwili aż dwa cienie naraz snuły się po pokładzie. Jednakowo ciche i niedostrzegalne dla kogoś trzeciego. Jedyna różnica zachodząca pomiędzy nimi polegała na tym, że jeden z nich widział drugiego, ten zaś... Nie... chyba nie zdawał sobie sprawy z obecności kogoś za swoimi plecami.

Podkradał się właśnie ku zejściówce do pomieszczeń gospodarczych. Zniknął w czerni wypełniającej jej wnętrze. Kostrzewa przeczekał chwilę. Potem zsunął się bezszelestnie po schodni. Korytarz wyglądał jak zawsze. Prawa część oświetlona, lewa tonąca w mroku. Jakoś dotychczas nie udało się naprawić instalacji. No tak... Kwieciński miał przecież niczym nieskrępowany dostęp do wszystkich bez wyjątku pomieszczeń.

Kostrzewa przylgnął na płask do grodzi, nie tracąc z oczu bosmana, który zagłębił się w ciemną część korytarza i zbliżał się ku drzwiom magazynu podręcznego. Czyżby wznowili komunikację przez zdekonspirowane przejście?

Nie. Poszedł dalej. Kostrzewa oderwał się wreszcie od ściany i ruszył w ślad za nim. Ciągle bezszelestnie, ciągle zgięty wpół, ciągle tuż pod grodzią.

Minał następne drzwi. Przystanął przed trzecimi z rzędu. Kostrzewa przypomniał sobie relację Gwoźdźcia: „Komórka na wszelkie aussusy. Tylko dziada z babą brakh. Czyżby właśnie tam?

Manipuluje przy zamku. To nie trwało długo. Kostrzewa podsunął się bliżej, nie myśląc o ryzyku. W grę wchodziły dosłownie sekundy. Cóż pocnie, jeżeli dobre zamaskowanie ukryje ewentualne przejście?

Drzwi obróciły się w zawiasach. Ani choćby najśłabszego nawet zgrzytu czy szmeru. Nic. Znika we wnętrzu komórki. Zamknie za sobą drzwi na klucz? Na szczęście tylko przymknął. Kostrzewa podszedł aż do samego progu, nad słuchując uważnie. Po tamtej stronie panowała niczym niezmacona cisza. Albo więc przeszedł dalej, albo się zaczął. Dalsze wyczekiwanie nie miało sensu. Ostrożnie odchylił stalowe skrzydło. Wewnątrz jeszcze bardziej nieprzenikniona ciemność. Teraz już pistolet

tkwił twardo w garści. Bezpiecznik odsunięty. Palec na cynglu. Tuż pod ręką, w kieszeni kombinezonu, latarka mikro. Jeden mały ruch palca mógłby rozwiązać zagadkę mroku. Ale o tym oczywiście nie mogło być mowy. Przystanął na progu, wyęzając słuch. Ciszę zamącił odgłos delikatnego stąpania. Kostrzewa wysunął przed siebie lewą rękę na odległość ramienia. Jeden krok, drugi, trzeci. Powinien już dotknąć tylnej ścian. Pamiętał dokładnie rozmiary magazynu podręcznego. Ta komórka nie była chyba większa. Powinien, ale przecież nie dotknął. Końce sztywno wyprostowanych, palców wciąż miały przed sobą pustkę. Zatrzymał się i zaczął szperać po bokach. Dłoń natrafiła na chłodną szorstkość metalu. Metalowe drzwi w porządku, tego się właśnie spodziewał.

Ruszył dalej. W nozdrza uderzył charakterystyczny zapach niewietrzonego pomieszczenia o wielkich rozmiarach. Przejście do ładowni. Ileż tu właściwie tych zapomnianych drzwi? Nie statek, a coś w rodzaju labiryntu.

Szedł teraz jeszcze ostrożniej, badając czubkiem miękkiego buta podłogę, zanim postawił całą stopę.

Kant jakiejś skrzyni. Pod nią inna. Uderzyło go coś w ich układzie. Czyż w ten sposób lokuje się drobnicę w ładowni? Przesunął ręką. Sprawa stała się jasna. Zostały ustawione na kształt stopni. Ach, więc to tak...

Stopnie wskazywały drogę. Przebycie jej jednak po omacku nie wydawało się takie proste... Czy zdoła forsować skrzynie, nie powodując hałasu?

Szmer spowodowany przez wędrówkę Kwiecińskiego zmienił swój rytm. Widocznie wspina się po spiętrzonych skrzyniach. Ale on odbywa tę drogę na pewno nie po raz pierwszy.

I raczej miał prawo przypuszczać, że pewien nieznany hałas nie zagrazi niebezpieczeństwem.

Na zastanawianie się nie było czasu. Kostrzewa już również rozpoczął wspinaczkę po chropowatym drewnie. Czołgał się, usiłując dopasować rytm swych ruchów do ruchów tamtego.

Szmer nagle ustał. Kostrzewa zamarł w miejscu. Czyżby mimo całej ostrożności Kwieciński zauważył, że jest śledzony?

Dłoń mocniej zacisnęła twardą rękojęć broni.

Niewyraźna sytuacja trwała przez kilkanaście sekund. Nagle w ciemności rozbłysła nikła plama pomarańczowego światła. Zgasła. Potem zajaśniała znowu. Powtórzyło się to kilka razy w różnych odstępach.

Odetchnął z ulgą. Rozpoznawcza sygnalizacja świetlna. Chytrze. Nikt, kto by o niej nie wiedział, nie znalazłby w ładowni nikogo. Albo zostałby naszpikowany ołowiem.

Przefiltrowany przez kolorowe szkło odbłask wydierał teraz z mroku sylwetkę Kwiecińskiego. W pewnej chwili padł prosto na jego twarz. To zostało zrobione niewątpliwie umyślnie. Aby tamten mógł poznać naocznie, czy gość jest rzeczywiście tym, na kogo wskazywało świetlne hasło. Złoczyńcy nie zaniedbali żadnej ostrożności. Organizacja wskazywała na doświadczoną rękę. Kostrzewę opanowało podniecenie.

Sygnalizacja dobiegła końca. Kwieciński posunął się dalej. Kostrzewa za nim. W coraz wolniejszym tempie czołgał się po skrzyniach. Diabli wiedzą... W grę wchodzi zbyt ważne sprawy, by można ryzykować więcej, niż to jest bezwzględnie konieczne.

Kwieciński ześliznął się w przejście biegnące pomiędzy skrzyniami niby głęboki wąwóz. Sekundę potem Kostrzewa był na dole. Kręta, pełna niespodziewanych załamań droga, jednocześnie utrudniała i ułatwiała śledzenie... Kwieciński zatrzymał się. Tam był ktoś jeszcze... No, oczywiście, że tak... Ten właśnie, o kogo chodziło?

Kostrzewa przypadł za najbliższą skrzynię. Tamci stali w odległości zaledwie paru metrów. Rozmawiali szeptem. Stąd, gdzie stał, nie można było dosłyszeć słów. Zbliżyć się zaś nie śmiał. Zbyt duże ryzyko.

Przywarł ciasno do drewnianego boku skrzyni. Nie, ani mowy, by gołym uchem...

Wydobył niewielkie, zupełnie płaskie etui. Aparat podsłuchowy, który się w nim mieścił, posiadał bardzo mały zasięg.

W tym jednak wypadku mógł oddać nieocenioną wprost przysługę.

Wetknął do uszu miniaturowe, sporządzone na kształt małych koreczków słuchawki. W pierwszej chwili nie dosłyszał niczego poza jednostajnym brzęczeniem. Z gorączkowym pośpiechem regulował odbiór. Nagle szmer rozpadł się na poszczególne dźwięki. Jeszcze parę obrotów płaskim guziczkiem i dźwięki stały się zrozumiałe.

Już przy pierwszych słowach drgnął gwałtownie, ściskając bezwiednie rękojeść pistoletu.

- Więc ładunki założone? - zapytał obcy.

- Tak - potwierdził Kwieciński. - Wszystko zgodnie z poleceniem.

- Mechanizm?

- Nastawiony na godzinę TWP. Jeżeli tylko nie zawiedzie...

- Och, co do tego nie ma najmniejszych obaw. Nie zawiedzie na pewno. A więc...

W słuchawkach znowu coś zabrzączało. Sekundy poświęcone na regulację wydawały się Kostrzewie wiekami. Gdy dźwięki w membranie stały się znów zrozumiałe, ci dwaj rozmawiali już o czym innym. Jeszcze padło jakieś niejasne słowo o środkach ratunkowych, potem wszystko dotyczyło tylko jakichś pieniędzy.

Dalsze podsłuchiwanie było bezcelowe. Słowa o nastawieniu mechanizmów zegarowych dowodziły, że wybuch ma nastąpić w najbliższym czasie. To nie pozwalało na jakiegokolwiek przeciąganie akcji. Wróg znajdował się w odległości zaledwie paru kroków. Człowiek, który przez tyle czasu potrafił uchodzić w oczach wszystkich za bosmana Kwiecińskiego. A ten drugi? Niewątpliwie agent, który kierował całością zbrodniczej akcji wymierzonej przeciwko statkowi - cień. Miał ich niemal na muszce swego pistoletu. Co robić?

Wycofać się po cichu, potem zaś zatrzymać Kwiecińskiego i zmusić go do wskazania miejsca

założenia ładunków? Kto wie, czy zechce coś powiedzieć? Tymczasem zaś ostrzeżony jego wpadką główny przestępca zniknie z pola widzenia. Miał już w tym przecież wprawę.

Zdecydował się. Schował aparat podsłuchowy. Wyjął latarkę. Wycelował pistolet w kierunku wciąż jeszcze szmerzących głosów.

Klinga ostrego swada przecięła nagle ciemność. Kontrastowymi zarysami wystąpiły z mroku dwie pochylone ku sobie sylwetki.

- Ręce do góry! - wrzasnął. - Bo kula w łeb!

Jakby podskoczyli w górę. Palec leżący na cynglu drgnął. Nie zdążył jednak wystrzelić. Nie docenił szybkości ich reakcji.

Ping - zupełnie jakby odgłos pęknięcia małego balonika. Coś uderzyło z impetem w twarz. Gwałtowna siła wyrwała latarkę z ręki. Światło zgasło. W mózgu powstała nagle pustka. Przed oczyma zawirowały z opętaną szybkością różnobarwne kręgi. Przestał widzieć i czuć. Całe ciało zanurzyło się w gęstej, oleistej mgle.

Nie zdawał sobie sprawy, jak długo trwało oszołomienie. Była to jednak raczej kwestia sekund niż minut.

Instykt samozachowawczy przemówił, zanim jeszcze mózg odzyskał zdolność rozumowania. Niemal bezwiednie odczołgał się w bok.

Przeciągły gwizd przeszył powietrze. Coś pacnęło w bok skrzyni. I jeszcze raz. Z szelestem poleciały odłupane pociskami drzazgi.

Odczołgał się trochę dalej. Przesunął ręką po twarzy. Wymacał palcami obrzęk na czole. Krwi jednak ani śladu. Zrozumiał, co się stało. Pierwsza kula trafiła właśnie w latarkę, ta zaś uderzyła go w czoło, pozbawiając na chwilę przytomności. Trzymał ją przecież tuż przed sobą. Zupełnie jakby naumyślnie oświecał wrogowi cel.

Nie czas jednak na rozpamiętywanie. Akcja nie dobiegła jeszcze końca. Strzały, jakie nastąpiły po oddaniu pierwszego, świadczyły, że przestępcy nie zamierzają rejterować. Widocznie doszli do wniosku, że likwidacja niepożądanego świadka stanowi jedyne wyjście z tej sytuacji. Musieli podejrzewać, że zdołał zidentyfikować Kwiecińskiego.

Po upływie zaledwie chwili usłyszał chrobotanie. Zorientował się, że zbliżają się do niego jednocześnie z obu stron. Jeden czołgał się po skrzyniach stojących po lewej ręce, drugi po tych, co się znajdowały z prawej. Przed takim oskrzydającym manewrem skrzynia, za którą przycupnął, nie dawała oczywiście żadnej osłony.

Błysnęło pomarańczowe światelko latarki. Jeden przełaził już przez najbliższą skrzynię. Popelnił taki sam błąd jak on przed chwilą.

Kostrzewa skierował pistolet w światelko. Potem obniżył nieco lufę. Tam właśnie powinny się znajdować nogi tamtego. Cóż mógłby powiedzieć o miejscu ukrycia ładunków wybuchowych martwy przestępca?

Nie wzywał już do podniesienia rąk. Pociągnął za cyngiel. Był pewny, że trafi. Ileż razy dziurawił kulami monetę wyrzuconą w powietrze.

Niestety, na drobny ułamek sekundy przedtem, zanim iglica uderzyła w spłonkę naboju, gwałtowny przechył statku odrzucił go w tył. Gruchnął strzał. Kula poszła górą. Światelko jednak momentalnie zgasło. Już wiedzieli, że nie mają do czynienia z naszatkowanym kulami trupem.

Ping - znowu strzał przez tłumik. Niedługo kazali czekać na odpowiedź. Gwizdnęło gdzieś tuż obok. Kostrzewa szarpnął się w bok, celując w miejsce, gdzie rozbłysnął ogień strzału. Wystrzelił. Nic nie świadczyło, by trafił.

Ping... ping... ping. Niemal cała seria. Tym razem kule przelatywały od lewej strony.

Położenie stawało się coraz bardziej krytyczne. Zdawał sobie sprawę, że inicjatywa wypadła mu z rąk. Nie on polował na bandytów, a oni na niego. Okrążenie, kocioł, krzyżowy ogień. Diabli wiedzą co jeszcze.

Na górze jakoś nie dosłyszano dotychczas strzelaniny. Widocznie hałas towarzyszący chwiejbie statku zagłuszał ją bez reszty.

Znowu seria z lewej. Kule leciały szerokim wachlarzem. Przyłgnął do skrzyni. Potem kilka wystrzałów z prawej. Nie żalowali amunicji. Mieli jej widocznie pod dostatkiem. A cóż on mógł przeciwstawić tej wścieklej kanonadzie. Parę naboju, które jeszcze pozostały w magazynku? Nie wiedział dokładnie, ile ich było. Trzy? Cztery? Choćby nawet cztery. Cóż to znaczyło?

Zaciskając kurczowo zęby, długo celował w lewo. Wreszcie pociągnął za spust. Pudło. W odpowiedzi sypnął grad kul.

Strzelił jeszcze raz z tym samym wynikiem. Ten z prawej podpełzał coraz bliżej. Przerzucił lufę w tamtym kierunku. Znowu nie trafił. Za następnym razem sucho szczęknęła iglica.

Był już bezbronny. Zapasowe magazynki pozostały w skrytce marynarskiego kufierka.

Próba ucieczki nie rokowała najmniejszej nadziei powodzenia. Zastrzelą jak kuropatwę. Pozostawało tylko jedno: zaatakować wręcz. Chwiejba, ciemność... Może nie trafią, zanim zdoła dobiec? Zdawał sobie sprawę, że ma jedną szansę na sto. Może nawet jedną na tysiąc. Ale zawsze...

Ujmując pistolet za lufę, poderwał się rozpaczliwym zrywem. W następnym jednak momencie załamał się wpół. Ogarnęło go morze palącego ognia. Potem spadła czerń nieprzeniknionego mroku. Ciało bezwładnie klapnęło na skrzynię. Przy następnym przechyleniu potoczyło się gdzieś w dół.

- Gotów - odsapnął DOS 204, wbijając w rękojeść pistoletu nowy magazynek.

- Tak - potwierdził Kwieciński noszący również poza innymi nazwiskami ksywkę X-2. - To od razu widać. Nno - przesunął ręką po włosach. - Najwyższy już był na to czas.

- Trzeba by jednak sprawdzić i w razie niedokładności... - DOS 204 urwał... Nad ich głowami wszczął się jakiś niezwykle ruch.

Kwieciński zaniepokoił się.

- Muszę biec na górę. Moja nieobecność mogłaby się wydać podejrzana.

DOS 204 przez chwilę nadśluchiwał. Hałas na pokładzie stawał się coraz głośniejszy.

- Jasne. Niech pan idzie. Na szczęście to wszystko wkrótce się skończy. Trupa sam obejrzę. Jeśli zajdzie potrzeba, poprawię.

X-2 pospiesznie opuścił ładownię. Gdy zamknął za sobą drzwi komórki z rupieciami, przeobraził się z powrotem w bosmana Kwiecińskiego.

Wychodząc na pokład, wyglądał jak zawsze: uśmiechnięty, spokojny i opanowany.

Forysia, na którego się natknął po drodze, poczęstował jakimś beztroskim żarciem. Któż mógł mu zagrozić? Zwłoki jedyne go człowieka, który na swoje nieszczęście zobaczył go bez maski, przewalały się pomiędzy skrzyniami w ładowni.

- Co za ruch? - zapytał niby to mimochodem. - Stało się co?

- Nie, chyba nie... Tylko Kotera gdzieś się zapodział, a że Bociański go do czegoś potrzebuje, prosił paru ludzi, żeby pomogli poszukać.

- Kotera? - Kwieciński z trudem ukrył zadowolenie. A więc dwa zajęcia za jednym strzałem. Oczywiście, że Kotera. Któż poza nim mógłby odkryć drugie z kolei wejście do ładowni. I któż oprócz niego posiadałby broń palną?

Zdecydował się w jednej chwili. Kombinacja, o której właśnie pomyślał, znakomicie ułatwi dokonanie pewnych niecierpiących zwłoki czynności. Podszedł pospiesznie do Bociańskiego.

- Cóż to, jak słyszałem, nigdzie nie można znaleźć Kotery?

Bociański roześmiał się. Ale śmiech jego zabrzmiał dziwnie nieszczerze.

- Nigdzie? O, to gruba przesada... Szukałem go tylko raczej tak... Na chybił trafił.

- Jeżeli pozwoli pan, przyłączę się do ochotników - zaproponował.

Bociański popatrzył na niego z uznaniem. Co za koleżeński człowiek. Poświęcać wolny od służby czas na tak uciążliwą mitręgę? Nie każdy by się na to zdobył.

- Zdejmuje mi pan kamień z serca - zawołał radośnie - bo wie pan, połączyć takie coś z wachtą... Proszę więc objąć kierownictwo akcji...

Kwieciński przejawiał wprost niezwykłą gorliwość w poszukiwaniach. Nie przepuścił nawet trawek i szalup ratunkowych. Zaglądał do każdej po kolei. A że przy sposobności wsuwał pod brezent pokrowców niewielkie metalowe przedmioty, tego nikt nie zauważył. To zresztą było niemożliwe. Przy takiej ciemności i mgle? Poza tym ruchy Kwiecińskiego odznaczały się nieuchwytną dla oka szybkością.

Poszukiwania nie dały żadnego rezultatu. Niepokój o los Kotery wrastał. Gdzie on mógł się podziać?

## XX. „CZY PAN SIĘ WRESZCIE ZDECYDOWAŁ ZDEKONSPIROWAĆ?”

### I

Kapitan palił papierosa za papierosem, aż w końcu cały przełyk oblepił gorzkawy osad nikotyny. Przyglądał się z niechęcią radiogramom, przenosił z kolei wzrok na drzwi, potem znowu powracał do kontemplowania wyraźnych, a przecież tak bardzo niezrozumiałych słów.

W końcu nie wytrzymał. Cóż ten Bociański właściwie sobie myśli? Nacisnął dzwonek. Kropidło dziwnie długo się nie zjawiało.

W końcu stanął w progu.

- Bardzo przepraszam, panie kapitanie, ale akurat poszedłem do kambuza - postawił parującą filiżankę na biurku.

- Poproś do mnie Bociańskiego. Niech do mnie zaraz przyjdzie.

Kropidło nie potrzebował go długo szukać. Zetknął się z nim niemal tuż przed progiem kapitańskiej kabiny.

- Szybciej! - syknął ponagłająco. - Kapitan kipi jak czajnik.

- Dopiero zacnie kipieć, jak mu powiem, z czym przychodzę. Chyba go do reszty rozsadzi.

Bartczak jednak wcale nie wybuchnął. Przeciwnie. Jakby cały oklapł. Nawet ramiona mu obwisły. Natychmiast zresztą znowu się wyprostował. Przez chwilę popijał gorący płyn z filiżanki.

- Przeszukano wszystko?

- Tak. Oba pokłady. Kambuz, świetlicę i kubryk. Bufet - wyliczał metodycznie. - Nawet do szalup zaglądano.

- I... - znowu przełknął odrobinę kawy - i nic?

- I nic - powtórzył jak echo bosman.

- Hm... - bezmyślnym ruchem poprawił leżące na biurku kartki. - Sam pan nadzorował przebieg poszukiwań?

- Nie... Były prowadzone pod nadzorem bosmana Kwiecińskiego. Zgłosił się na ochotnika, więc przypuszczałem... - urwał, oczekując na burę. Bo to jednak nie było dokładne wykonanie rozkazu.

Bura nie nastąpiła.

- Kwieciński? - kapitan przesunął wzrokiem po suficie. Trudno by chyba znaleźć kogoś bardziej skrupulatnego. W porządku. Dziękuję. A jeżeli się wreszcie Kotera zgłosi, proszę powiedzieć, żeby natychmiast do mnie przyszedł...

Bociański zniknął za drzwiami. Kapitan oparł łokcie na biurku, zaciskając głowę w dłoniach.

Ogień na statku... Gangster pod maską kucharza okrętowego. Złoto, dolary, naładowany pistolet, ampułki w cygarach... Przepowiednie Igielnickiego: „To dopiero pączki... kwiatki zakwitną później...h. Akcja w pełnym biegu. Zdarzenia coraz grubszego kalibru... Marynarz znikający bez śladu z pokładu statku. Radiogramy... Dzień KR, godzina TWP. Godzina zagłady statku.

- Koszmar - powiedział niemal na cały głos. Nacisnął dzwonek.

Tym razem Kropidło przyszedł niemal natychmiast.

- Poproś do mnie drugiego oficera - rzucił Bartczak, podnosząc słuchawkę. Połączył się z Igielnickim, który pełnił akurat dyżur. Również jego wezwał do siebie.

Zjawił się Kaniewski.

- Wzywał mnie pan, kapitanie?

- Tak - wskazał mu ręką fotel - proszę siadać. Zaraz przyjdzie Igielnicki. Nie chciałbym powtarzać tego samego dwa razy.

Po chwili stanął w progu pierwszy oficer.

- Nowa seria z kategorii znikających duchów? - zapytał, rozsiadając się wygodnie w fotelu. - Płonę z ciekawości. Nie przerywałby pan dyżuru dla błahostki.

- Zrozumiałe. Chodzi o dwie sprawy.

Igielnicki wzniosł oczy.

- Pierwsza to zniknięcie Kotery. Pomimo przeprowadzenia na całym statku poszukiwań, nie można go nigdzie odnaleźć.

- Wszystko przeszukano?

- Wszystko.

- Ładownie również? - zapytał po chwili.

Bartczak spojrzał na niego wyraźnie zaskoczony.

- Nie, ładownie nie. Ale co Kotera miałby tam teraz do roboty?

Rysy twarzy pierwszego oficera ściągnęły się jeszcze bardziej.

- Przypuszczam, że starszy marynarz Kotera ma robotę w różnych całkiem niespodziewanych miejscach naszego statku.

- Co pan ma na myśli? Co to za zagadki? - niemal wybuchnął Bartczak. - To nie czas ani miejsce.

Igielnicki nie przejął się zbytnio.

- Zagadki? Myli się pan, kapitanie. Nie tu ich należy szukać.



- Mówił pan o ładowniach - przerwał niecierpliwie kapitan.

- Mówiłem, owszem. Dopóki nie przeszukano obu ładowni, trudno twierdzić, że Kotery nigdzie nie można znaleźć. Moim zdaniem należy je przeszukać, i to natychmiast - ostatnie słowa zostały powiedziane z wyraźnym naciskiem.

Bartczak obracał w palcach automatyczny ołówek. Igielnicki miał rację.

- Słusznie. Zostaną przeszukane. A teraz następna sprawa. Nasza radiostacja przejęła wczorajszej nocy te oto radiogramy. - Podsunął im kartki.

Igielnicki sięgnął po nie szybkim ruchem.

- Rozszyfrował Kotera? - zapytał, podnosząc kartkę do oczu.

- Tak.

Oficer nie odrywał oczu od wypisanych ołówkiem słów.

- Niezmiernie ruchliwy człowiek, jak z tego wynika. Czyż można się wobec tego dziwić, że chwilami trudno go odnaleźć? Tak - oddał po chwili kartki Kaniewskiemu. - Prawdę powiedziawszy, widywałem już w życiu przyjemniejsze lektury. Niejeden nekrolog można by w porównaniu z tym uważać za kwintesencję humoru, Kaniewski z sennym wyrazem twarzy wpatrywał się w kartki. Zmęczonym ruchem odłożył je na biurko. Tak jakby każda z nich ważyła całe tony.

- I co to właściwie ma oznaczać? - zapytał bezbarwnie.

- To, że tajemniczy autorzy nie pozostawili zbyt rozległego pola do domysłów. Ani do wątpliwości - odrzekł Igielnicki.

- To znaczy? - głos Bartczaka brzmiał głucho.

- To znaczy: albo w górę, albo w dół - Igielnicki gestami podkreślił sens.

- Podejrzewacie zamach na nasz statek? - Kaniewski wyjmował fajkę ze skórzanego etui.

- Nie tylko podejrzewam, ale jestem najzupełniej pewny, że zamach ten nastąpi w najbliższym czasie.

Bartczak wstał i gwałtownym ruchem opuścił szybę. Spokojne dyskusowanie o katastrofie, jaka miała spotkać statek na pewno, tylko nie wiadomo kiedy i nie wiadomo w jaki sposób, przekraczało jego wytrzymałość. Miał wrażenie, że się dusi. Wychylił się na zewnątrz.

Po pokładzie przesuwwały się rozmazane we mgle sylwetki marynarzy. Pod stopami pulsowały rytmicznie maszyny. Statek tętnił odgłosami zwykłego, codziennego życia. I którejs tam sekundy to wszystko ma przestać istnieć? Zacisnął dłonie na ramie okiennej. Przecież...

Odwrócił się powoli.

- Co mamy począć? - spojrzał na Igielnickiego. Na pomoc Kaniewskiego przestał już zupełnie liczyć. Drugi oficer siedział leniwie rozciągnięty w fotelu. Całkowity bezruch i przymknięte oczy nadawały

mu pozory człowieka pogrążonego w głębokim śnie. Był chory, to prawda. Może nawet bardzo chory. Ale jak to mogło się stać, że los okrętu i załogi przestał go zupełnie interesować?

- Czy ja wiem... Gdyby przyszedł Kotera...

- Co tu ma do rzeczy Kotera? - aż przechylił się ku niemu, usiłując dostrzec wyraz jego oczu.

- Po prostu to, że człowiek, który potrafi odgadywać zagadkę, zdawałoby się, nieodgadnionego szyfru, może umiałby także rozwiązać i inne - odpowiedział Igielnicki.

Bartczak podszedł do umywalki, nalał wody do szklanki i wypił ją duszkiem.

- Czyli - powrócił znowu do biurka - nie potrafi pan powiedzieć nic na ten temat? - tknął palcem w radiogramy.

- Niestety, w najmniejszej nawet mierze. Przynajmniej jeżeli chodzi o sprawę, która interesowałaby nas przede wszystkim. To jest: kiedy, kto i w jaki sposób.

Kaniewski trwał w milczeniu. Bartczak potarł czoło.

- W takim razie przystąpmy tymczasem do przeszukiwania ładowni.

Kaniewski nagle podniósł głowę. Jakby się obudził.

- Od dwóch minut - spojrzał na zegarek - zaczął się mój dyżur. Powstał niemrawo.

- Ładownie zostaną przeszukane - oznajmił urzędowym tonem, ruszając ku wyjściu.

## II

Kostrzewa z trudem zbierał rozpierzchające się ustawicznie myśli. Co się z nim stało? Gdzie się właściwie znajduje? Skąd się tu wziął? Pamięć powoli odżywała... Kwieciński... Strzelanina... Iglica pistoletu spadająca w próżnię... I ten drugi... Cień?... Jak to się stało, że go nie dobili?

Zaczął szperać po omacku. Ręka natrafiła na twarde chłód stali. Palce wymacały wypukłości nitów. Leży więc pod samą ścianą ładowni. W jaki sposób tu się dostał? Skrzynia, na której się znajdował w chwili gdy go postrzelono...

Zaczął obmacywać ciało. Tu bolało... tam. Ale to tylko potłuczenie, Ostry, piekący ból po lewej stronie klatki piersiowej. Wsunął rękę pod kombinezon. Krew. Ale tej krwi nie było zbyt wiele. Rana? Badał delikatnie palcami. Raczej głębokie zadrapanie. Kula musiała się prześliznąć po samym wierzchu. Powaliła go raczej kontuzja. Krwawi jednak. Przypomniawszy sobie o antyseptycznym plastrze. Nosił go stale przy sobie.

Nałożenie nie sprawiło mu trudności. Krew przestała wyciekać.

W ładowni panowała cisza. Tylko nad głową słyszał jakieś tupanie. Widocznie te właśnie odgłosy spłoszyły przestępców. Spróbował się podnieść. Mięśnie jak z waty. Zatoczył się. Zebrał wszystkie siły, by nie runąć z powrotem.

Musi przecież wydostać się na górę. Musi za wszelką cenę. Czyż o niego jednego chodziło? W uszach wciąż dźwięczało: „Mechanizm nastawionych. Jeden krok, drugi. Szedł, trzymając się ściany.

Przystanął, przywierając na płask do stalowej ściany. Coś się poruszyło? Nie... To na górze.

Szedł dalej.

### III

Mańczak wytrzeszczył oczy, jakby zobaczył przed sobą zjawę z tamtego świata.

- O!... - krzyknął. - Kotera! Gdzieżeś się podziewał przez tyle czasu?

Kostrzewa zbył go jakimś mruknięciem i nie czekając na dalsze słowa, ruszył pospiesznie w kierunku kabiny kapitańskiej.

Po drodze natknął się z kolei na bosmana Bociańskiego. Znowu okrzyk zdziwienia, zapytanie, gdzie się podziewał, i wreszcie:

- Szukaliśmy cię wszędzie. Kapitan koniecznie chciał z tobą porozmawiać. Poleciał, żebyś się niezwłocznie u niego stawił.

- Nareszcie! - niemal wykrzyknął Bartczak na widok wchodzącego do kabiny Kotery.

Odetchnął z ulgą. Jedna z domniemyanych tragedii rozwiązała się jak dym.

- Gdzieżeś się... - urwał. Wzrok jego utkwiał w czole przybyłego. - Kto cię tak urządził? - zapytał zdumiony.

- Potknąłem się - odpowiedział lakonicznie, żeby, nie tracąc czasu, wyłożyć, z czym przyszedł. Dopiero teraz dostrzegł siedzącego w głębi kabiny Igielnickiego.

Pierwszy oficer nie spuszczał z niego wzroku. Podniósł się z fotela i podszedł bliżej.

- Czy pan się wreszcie zdecydował zdekonspirować, panie... hm... Kotera? - powiedział nieoczekiwanie. - Sądzę, że już chyba najwyższy czas.

Kostrzewa znieruchomiał. A więc już wie.

Bartczak osłupiał. Wodził zdumionym wzrokiem od jednego do drugiego. Co to miało znaczyć? Nic nie rozumiał.

Kostrzewa zdecydował się. Dalsze usiłowania utrzymania tajemnicy w tych warunkach nie miały najmniejszego sensu.

- Dać panu nożyczki czy może wystarczy żyłetka? - zapytał Igielnicki.

Pomimo całej powagi sytuacji Kostrzewa nie był w stanie powstrzymać uśmiechu.

- Tak. Ma pan rację. Nadszedł czas, że muszę zdjąć maskę. O żyłetkę również poproszę.

Igielnicki podszedł do umywalki.

- Pozwoli pan, kapitanie?

Nie czekając na odpowiedź wziął ze szklanej półeczki niklowane pudełko, wydobyl z niego żyletkę i podał Kostrzewie.

Bartczak mrugał oczyma. Wciąż jeszcze nie potrafił wydobyć z siebie słowa. Scena, która się rozgrywała, wprowadziła go w stan zupełnego oszołomienia.

Kostrzewa rozpruł klapę kurtki. Wyłuskał małą kopertę z miękkiej ceraty.

- Przykro mi, że musiałem wprowadzić pana w błąd, kapitanie - podał ćwiartkę papieru z pieczęcią wyraźnie odcisniętą czerwonym tuszem - ale dla dobra sprawy to było konieczne.

Bartczak wreszcie zdołał pokonać drętwotę. Przybliżył dokument do oczu, choć pismo maszynowe było zupełnie wyraźne, a mało kto w całej marynarce handlowej mógł się pochwalić równie dobrym wzrokiem. Przebiegł oczyma treść. Przyjrzał się Kostrzewę, jakby go wdział po raz pierwszy w życiu.

- Doktor Kostrzewa, oficer śledczy KG MO?

- Tak. Ale prosiłbym usilnie, aby poza panami dwoma nikt więcej na całym statku o tym się nie dowiedział.

Bartczak nie wierzył własnym uszom.

- Wysadzić okręt w powietrze?

Igielnicki milczał. Maskował tym razem niezręcznie wzburzenie.

- ...przed tym zaś zamierzają uszkodzić wszystkie nasze łodzie i tratwy ratunkowe - zakończył Kostrzewa. Zapadło przeciągłe milczenie.

- Tak - odezwał się wreszcie Bartczak. - I co teraz mamy robić?

- Aresztować bosmana Kwiecińskiego - odpowiedział Kostrzewa. - I to natychmiast. Musimy to przeprowadzić w sposób możliwie najdyskretniejszy.

Układał już w myśli szczegóły dalszej akcji. Każda minuta miała teraz swoje znaczenie.

## **XXI. DZIEŃ KR, GODZINA TWP**

### **I**

Na pukanie odpowiedział zaspany głos. Kwieciński zajrzał do wnętrza kabiny. Wzrok jego myszkował ciekawe, aż wreszcie zatrzymał się na pidżamie Mańczaka.

- Co to, chory? - zapytał ze współczuciem.

Mańczak uśmiechnął się smętnie.

- Marnie się czuję. Łeb i w ogóle jakoś niewyraźnie. Może po prostu przemęczenie...

- To nie dasz się wyciągnąć na partyjkę?

- Wybaczy pan, ale może innym razem. Dziś chciałbym sobie łyknąć parę aspiryn i pod koc.

- Trudno. W takim razie życzę prędkiego powrotu do zdrowia. - Jeszcze raz uśmiechnął się i przymknął drzwi kabiny. Po chwili był już na pokładzie. A więc w porządku.

## II

Wpierw zerknął przez szkło bulaja, zanim dotknął klamki. W obecnej sytuacji żadna ostrożność nie mogła być uważana za nadmierną.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale przychodzę do ciebie z misją.

Marska spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Z misją?

- Tak - wciąż nie wchodził do kabiny. Nachylił się, podnosząc coś z pokładu.

Przeciagnął ku niej niewielką walizeczkę.

- Mańczak prosił, aby to tu wstawić - wyjaśnił. - Zdaje się, że lampy radiowe czy coś w tym rodzaju.

- Lampy? - powtórzyła z niedowierzaniem, waząc walizkę w rękę. - Takie ciężkie?

- A może to jakieś inne części waszej radiowej techniki - dodał szybko. - Nie znam się na tym. Coś mi tam klarował, ale przyznam się, nie bardzo słuchałem, o co chodzi. Człowiek ma tyle kłopotów na głowie... Szczególnie ostatnio - dorzucił w formie usprawiedliwienia. - Powiedział, żeby nie otwierać do jego przyjścia. Zresztą kluczyk...

Splonęła krwistym rumieńcem. Co znów ugryzło tego Mańczaka? Żeby takie zastrzeżenia przekazywać przez osobę trzecią? To już przecież więcej niż niedelikatność.

- Nie miałam najmniejszego zamiaru zaglądać do cudzej walizki - przerwała ostro.

- To przecież nie o to... - robił wrażenie speszonego. - Tylko podobno jakieś specjalne opakowanie, które mogłoby ulec uszkodzeniu, jeżeli ktoś nie wie, w jaki sposób.

Wcisnęła walizkę pod stół z aparaturą.

- Może pan mu powiedzieć, bosmanie, że ani nawet nie spojrzę - wciąż jeszcze była rozdrażniona.

Roześmiał się pojednawczo.

- Ale na mnie się nie gniewaj. Cóż ja... Posłów nie biją.

Ochłonęła.

- Nie, oczywiście, że nie. Przyjrzał się jej uważnie.

- Marnie coś wyglądasz?

- Głowa mnie trochę boli - wyjaśniła od niechcienia. Ból zresztą był bardzo silny i męczył ją bez przerwy od samego południa.

- Głowa? No pewno. Jak może nie boleć przy tym ustawicznym wyciu syreny. Ale na takie nieszczęście znajdzie się rada. Sięgnął do kieszeni, wydając małe tekturowe pudełeczko. - Oto - podał dwie małe, zielone pigułki - cudowny środek. Wystarczy łyknąć i po paru minutkach jak ręką odjął. Wypróbowałem niejednokrotnie na samym sobie.

Podziękowała niemal z rozrzewaniem.

Odchodząc od kabiny, obejrzał się przez ramię. Dwa zielone punkciki odcinały się na białej kartce leżącego przed Marską bloku. Właśnie wyciąga ku nim rękę.

Uśmiechnął się z triumfem. A więc poszło gładko. Zamierzał zresztą namówić ją na te proszki w każdym razie. Jeśli się nie przyznała do bólu głowy, powiedziałby, że skutecznie odpędzają senność albo coś w tym rodzaju.

Niezmiernie mu zależało, aby zażyła. Mechanizm jest tylko mechanizmem. Niedobrze byłoby, gdyby zgrzyt jego pracy zwrócił uwagę. A tak nie usłyszy. Nie usłyszy zresztą również i innych rzeczy.

Lepiej, że tak...

### III

Kwieciński zapalił papierosa, opierając się o łódź ratunkową.

Błysk latarki. Szybkie kroki. Z mgły wychynał Forys.

- Nie wolno podchodzić do łodzi, panie bosmanie. Kapitan zapowiedział, że kto by to nie był.

Kwieciński roześmiał się niefrasobliwie.

- Ano skoro nie wolno... Zajrzę do kapitana, to mi wytłumaczy, o co chodzi - poklepał Forysia po ramieniu. - Masz rację, że mnie pędzisz. Jak rozkaz, to rozkaz. Kto by nie był. Otóż to... No, pilnuj dalej!

Wykręcił się na pięcie, ruszając w kierunku kabiny kapitana. Jednak po przejściu kilku kroków, przystanął. Obejrzał się ostrożnie.

Nie, teraz już go nie mógł dojrzeć. Skręcił szerokim łukiem. „Nie wolno podchodzić do łodzi ratunkowych. To przez tego szpicla, że też zdążył zamącić wodę, zanim się go upolowało.

DOS 204 miał rację. Już najwyższy czas, żeby z tym wszystkim skończyć. Zaczynało się robić gorąco.

Pilnują łodzi - roześmiał się bezdźwięcznie. Akurat w odpowiednim momencie poszli po rozum do głowy. Mogą sobie pilnować aż do chwili, gdy...

Dojrzał sztywną sylwetkę w pobliżu radiokabiny. Wachtowy? Przystanął przestraszony.

Przecież przedtem nie zarządzono żadnych środków ostrożności, tylko właśnie teraz. Już po tej całej strzelaninie w ładowni. Czyżby szpicel jakimś cudem zdołał się stamtąd wydostać? Nonsens. DOS 204 nie mógł przecież do tego dopuścić w żadnym wypadku. Jeżeli jednak...

Ktoś przechodził w pobliżu. Zawołał go. Gdy podszedł, poznał Bociańskiego.

Wiadomość o znalezieniu się przed paru minutami Kotery poraziła Kwiecińskiego jak grom z jasnego nieba. Wciąż jednak mimo wszystko...

Miał takie uczucie, jakby nagle stanął na samej krawędzi bezdennej przepaści. Dobrze, że choć nie mówiono o miejscach podłożenia ładunku. Ale jeżeli zaczną przeszukiwać dokładnie cały statek?

Spojrzał na zegarek. Nie... nie zdążą.

Potał ręką czoło. Było wilgotne od potu. Kotera go poznał. Nie miał co do tego żadnych złudzeń. Zwilżył językiem wargi. Na przeszukanie statku czasu nie starczy. Ale na ujęcie bosmana Kwiecińskiego aż nadto. A wtedy pójdzie wraz ze wszystkimi na dno...

Zaczął niemal biec. Aby tylko jak najdalej od wszystkich. Dochodził do śródokręcia. Znaleźć bezpieczne schronienie, przeczekać te kilkadziesiąt minut, a potem...

Zwolnił kroku. Gdzie tu się schronić? Kabina w ogóle nie wchodziła w rachubę. Mesa? Nonsens. To tak jakby poszedł prosto do kapitana: „aresztujcie mnie”. Gospodarcze pomieszczenia odpadały. Przeszukają wszystkie. Zdążą. Ładownie? Przecież właśnie tam najpierw zaprowadzi ich ten Kotera. A skrzynia numer 9A mieściła z trudem tylko jedną osobę.

Więc gdzie? Wałęsanie się bez celu po pokładzie nie dawało żadnych szans.

- Cholera! - zaklął w bezsilnej wściekłości. - Że też nie można już zająć miejsca w łodzi, odciąć hol i adieu, fruwać sobie do aniołków. W tej mgle mogliby w ogóle nie natrafić na RS, a wtedy... Zresztą DOS 204 nie pozwolił odbić ani o minutę wcześniej. Trzeba czekać do za kwadrans godzina TWP. Nie ma innego wyjścia. Czekać, ale gdzie?

Spojrzał na świecące zielonkawo wskazówki zegarka. O tej porze... Prawda... Że też mu to wcześniej nie wpadło do głowy. Świetlica... Nikomu nie przyjdzie nawet na myśl podejrzewać, że właśnie tam...

Przemykał niedostrzegalny i niedosłyszalny jak cień. Ześliznął się po schodni. Rozejrzał się, wytężając wzrok. O zaświeceniu latarki, oczywiście, nie mogło być nawet mowy. Potem przez chwilę nadśluchiwał. Pusto. Manipulacja przy zamku trwała krótko. Ostrożnie nacisnął klamkę. Wszedł do środka. Zamknął za sobą drzwi. Przekręcił dwukrotnie wytrych. Namacał stojący w pobliżu fotel... Rozsiadł się wygodnie, wyciągając przed siebie nogi na całą długość.

- Nnoo - odsapnął z ulgą. - Tutaj nie zajrzą, choćby nawet podeszli pod same drzwi. Zamknięte na cztery spusty.

Raz po raz zerkał na zegarek. Czas płynął i nic się nie działo. Przychodziło coraz większe odprężenie. Już niedługo...

Po upływie paru minut zerwał się raptownie z fotela jak puszczone nagle sprężyna.

#### IV

Kostrzewa przystanął na stopniu schodni.

- Teraz jak najostrożniej - szepnął.

Marsz trwał niepomiernie wolno. Posuwali się niemal centymetr po centymetrze. Kroki za to nie sprawiały prawie żadnego hałasu.

Kaniewski zamykał pochód. W ruchach ani śladu zwykłej ospałości. Ta nocna wycieczka, w której bez przerwy zagrażało niebezpieczeństwo, działała nań podniecająco.

W pamięci stawały wizje dawno minionych czasów. Czterdziesty piąty, gdzieś pod Berlinem. Szli we trzech na patrol. Też głucha noc... Też zaczajona w mroku śmierć... Ale wtedy... Tak, wtedy był przecież zupełnie innym człowiekiem.

Kostrzewa zatrzymał się przed drzwiami świetlicy.

Bartczak spojrział ze zdziwieniem: czego tam szuka? Przecież zamknięte.

Manipuluje przy zamku. Kładzie ostrożnie rękę na klamce, przyciska. Powoli, bardzo powoli. Ale żeby choć najśłabszy szmer.

Nic.

Nagle szarpnął gwałtownie drzwiami. Długim susem skoczył do środka. Z latarki trysnął snop białego światła. W rękę załśniła stal pistoletu.

- Ręce do góry!

Z fotela zerwała się błyskawicznie jakaś postać. Wpadli do świetlicy, objając się w progę ramionami. Więc jednak...

Szybki jak mgnienie oka ruch w kierunku tylnej kieszeni spodni. Nie zdążą już chyba dobiec. Kostrzewa zdążył. Wykręcił uzbrojoną w pistolet rękę. Dopadli ze wszystkich stron. Szarpanina nie trwała długo. Nie upłynęły nawet trzy minuty, gdy był już całkowicie obezwładniony.

Kaniewski przekręcił kontakt. Fala światła wypełniła świetlicę.

To był Kwieciński. Jakże jednak w tej chwili odmiennie wyglądał. Twarz wykrzywiona grymasem nie to nieprzytomnej wściekłości, nie to gwałtownej rozpacz. W kącikach ust pęcherzyki piany. Pistolet wyjaśniał sprawę do reszty. Tu nie było już miejsca na jakiegokolwiek wątpliwości...

Czyjeś oczy zajrzały teraz do środka. Nikt ich jednak nie dostrzegł. W świetlicy było teraz jasno, w korytarzu panował gęsty mrok. Wszyscy zresztą wlepili wzrok w człowieka, którego trzymali w swych rękach.

Kostrzewa nachylił się nad więźniem.



- Gdzie ładunki?

Kwieciński milczał.

- Odpowiadaj!

Milczenie.

Kostrzewa potrząsnął nim gwałtownie. Przybliżył twarz tuż do jego twarzy.

- Odpowiadaj! Słyszysz? - słowa wypadały przez zaciśnięte zęby. - Żebym cię miał nawet na strzępy rozszarpać, odpowiesz! Rozumiesz?

Naprawdę nie wiedział, do czego byłby zdolny w tej chwili. Życie ludzi, statek, wszystko zależy od tego, czy ten zbrodniarz zechce otworzyć usta.

Kwieciński mimo woli spojrział w zawieszony nad sobą oczu. Policzki mu zszarzały. Usta zadrżały febrycznie. Wyraz tych oczu był wprost straszny.

- Za... łożone... - słowo to wyrwało mu się wbrew jego woli. Po prostu stracił kontrolę nad swymi postępkami i myślami.

- Gdzie?

Nie zastanawiał się już. Otworzył usta, żeby odpowiedzieć. Niech się tylko odsunie. Nie widzieć tych pałających oczu. Reszta straciła nagle swoje znaczenie.

- W...

Ping. Cichy dźwięk. Ni to lekkie trzaśnięcie, ni to syk. Zwiotczał nagle w ich rękach. Minęła chwila, zanim zdali sobie sprawę ze znaczenia ciemnej plamy na jego czole. Pierwszy zorientował się Kostrzewa.

- Tam! - runął szaleńczym susem w kierunku korytarza.

Uprzedził go jednak Kaniewski, który znajdował się najbliżej drzwi. Sadził z szybkością, która jego samego wprowadzała w zdumienie. Jakby mu skrzydła u nóg nagle wyrosły. Czuł się tak lekko jak nigdy.

Widział sylwetkę uciekającego. Zbliżał się do niej coraz bardziej. Schodnia. Przeskakiwał po kilka stopni na raz. Byli już na pokładzie. Miał go tuż przed sobą. Wyciągnął ramiona. Jeszcze jeden wysiłek. Dopadł wreszcie.

- Stój! - wczepił kurczowo palce w obce ramię. - Stój, ty... Lekki ruch palca leżącego na cynglu.

Tłumik przytknięty do ciała pochłonał odgłos strzału. Kaniewski opadł na deski pokładu.

## V

Przeciągłe chlupotanie poza burtą od dłuższej już chwili korciło Forysia. Co to mogło być takiego? Jakby coś wlokło się po wodzie? W końcu nie wytrzymał. Przeszedł parę kroków w

kierunku rufy. Właśnie jakby akurat tam. Szalupa ratunkowa, której miał pilnować, wciąż pozostawała w zasięgu wzroku i słuchu. Przewiesił się przez poręcz nadburcia. Chyba tu? Wyteżył oczy. W ciemnościach widział jak kot. Ale ta przekłeta mgła. Wychylił się ryzykownie na zewnątrz. No tak... przecież lina. Dotknął jej nawet końcami palców. Wyprężona jak drut. Wyczuwał drgania. W odległości paru metrów niewyraźnie czerniał wydłużony kształt. Łódź! Skąd się tu wzięła?

Coś tu nie w porządku. Jeszcze za dnia tej łodzi nie było. Na pewno nie. Wiedzano by przecież na statku. We mgle akurat przesuwała się jakaś postać. Zakrzyknął.

- Kto taki?

Tamten przystanął.

- Ja.

Poznał głos Konkiela. Przywołał go.

- Musisz pobiec do Nowackiego - opowiedział w paru słowach o odkryciu.

Konkiel zawrócił na pięcie i puścił się pędem z powrotem. Nowacki wytrzeszczył oczy. - Jaka znowu łódź na holu?

Krętka można dostać z tymi łodziami. Jednych każą pilnować jak oka w głowie, inne spadają z nieba. Że też akurat musiało trafić na niego. Jeśli chodzi o prowadzenie okrętu, to owszem, nawet obudzony w nocy mógłby bezbłędnie wyrecytować co i jak, ale takie historie? Nie miał w tym względzie żadnego doświadczenia. Czyż to należało do nawigacji? Kapitan? Ale licho wie, kiedy wróci. Może i za godzinę. Czekać? Jeżeli będzie czekać z założonymi rękami na decyzję kapitana, to dowiedzie, że nie jest zdolny do samodzielnego dowodzenia okrętem. A przecież kiedyś...

- Czy to duża łódź?

Konkiel zamrugał bezradnie oczyma.

- Tego to ja, prawdę powiedziawszy, nie wiem. Foryś nie mówił. A może i wcale nie widać jaka... - Przełknął ślinę. Trochę jednak był niepewny, czy postępuje akurat tak, jak wymagają tego okoliczności. Ostatecznie kapitan i tak głowy mu z karku nie zdejmie. Chciał przecież jak najlepiej.

- Weźcie, kogo zdołacie złapać po drodze. I spróbujcie przyciągnąć bliżej tę łódź. A może nawet, jeśli się uda, na pokład.

Konkiel szybko pozbiierał czterech ludzi wolnych od wachty. Tej nocy mało kto przebywał na swojej koi... Warty wystawione przy łodziach i radiostacji stworzyły nastrój nerwowego podniecenia. Niemal każdy zdawał sobie sprawę, że na statku działo się coś niezwykłego.

Poszli chętnie. Nawet nie musiał się powoływać na rozkaz Nowackiego. Tajemnicza łódź za burcią. To było coś, czemu się warto przyjrzeć bliżej.

Bociański, gdy tylko dowiedział się, o co chodzi, natychmiast pobiegł ku burcie. Trzeba przecież akcją jakoś pokierować i przypilnować, by poszła, jak należy.

W pierwszych minutach musieli dokonywać nie lada sztuk akrobatycznych, by ująć w ręce uwiązaną przez kluzę linę. Szło ciężko. Potem, jak już zdołali wybrać trochę liny, stało się łatwiej.

- Heej - komenderował Bociański, ciągnąc zresztą na równi z innymi - ciągn! Hej... ciągn!

Z mroku wynurzał się coraz wyraźniej kształt łodzi. Aż wreszcie zaczęła się ocierać burta o bok statku.

- Co? - Bociański wytrzeszczył oczy, zwieszając się za burtę - przecież to kapitańska motorówka! Chyba mnie wzrok nie myli?

Teraz poznali ją również i inni.

- Ale co ona robi za burtą? - Bociański podrapał się w ucho. Złapał za ramię Sorka.

- Skocz no zobaczyć szlupbloki.

- Szlupbloki kapitańskiej puste - powrócił po chwili Sorek. Bociański wciąż nie mógł zrozumieć. Motorówka na holu, zamiast na swoich szlupblokach? Ładny gips. Po krótkim namyśle postanowił przywrócić porządek rzeczy. Zadanie nie było trudne. Osierococone szlupbloki leżały niedaleko od miejsca, gdzie łódź została przymocowana. Nie minęło nawet pięć minut, gdy jej burty znalazły się na wysokości pokładu. Sorek przeskoczył na nią zręcznie. Myszkował z ożywieniem, przyświecając sobie latarką.

Czekali z niecierpliwością. Diabli wiedzą, co mógł tam znaleźć. Po chwili powrócił do stłoczonych u burty kolegów.

- Warto by tam zajrzeć dokładniej - otrzepywał westkę z wilgoci. - W kajucie cały majdan. Jakies tłumoki, paczki i licho wie co jeszcze...

## VI

Konkiel maszerował ospale ku wyżce. Bociański polecił zameldować Nowackiemu o wynikach akcji. Był porządnie zmachany i uważał, że nie ma się czego specjalnie spieszyć.

Mijał właśnie spardek, gdy z mroku wypadła jakaś rozpędzona postać. Zanim zdążył ustąpić z drogi, zderzyła się z nim z całym impetem.

Aż się zachwiał na nogach.

- Kto taki? - usiłował go rozpoznać. Tamten jednak już gnał dalej.

Co za czort?

Nagle w umyśle odżyły z całą wyrazistością wszystkie opowiadania o tajemniczym cieniu.

- Poczekaj, bruder! - skoczył w ślad za nim.

Nogi miał długie jak styliska wiosła. Wystarczyły trzy kroki. Obląpił go potężnymi ramionami.

- Pokaż no swoją fizys!

Gwałtowny cios twardym kolaniem w brzuch zamroczył go na moment. Nie puścił jednak.

- Na pomoc! - wrzasnął ochryple. - Trzymam go!

Cios w usta odrzucił głowę do tyłu. W karku coś zatrzeszczało. Z rozciętych warg zaczęła sączyć się krew. Nie puszczał, zbierając wszystkie siły.

- Na pomoc! - tym razem, zamiast głośnego okrzyku, z gardła wypadło chrapliwe stęknienie. Szarpanina trwała. Gonił już resztkami. Tamten był silny jak byk.

Nagle dotknął dłonią czegoś chłodnego. Pistolet? Czuł, jak włosy stają dęba na głowie. Jeszcze ułamek sekundy i kula wwierci się w brzuch. Zaciskając zęby, uderzył pchnięciem całego ciała.

Runęli obydwoj. Dziwnie cichy huk. W nozdrzach zawiercił cierpki zapach spalonego prochu. Pod kolaniem drgnęła deska pokładu. Widocznie kula w nią uderzyła. Usłyszał zresztą głucho pacnięcie. Ale drugi raz może lepiej wycelować. Przywalił całym ciężarem ciała uzbrojoną rękę. Aby tylko nie wystrzelił. Aby nie wystrzelił. Czuł jednak, jak tamten powoli, ale stale odgina rękę. Lufa otarła się o brzuch.

## VII

- Tam!

Światło latarek wyrwało z mroku wijące się na pokładzie ciała. Były tak ciasno splecione, że w pierwszej chwili trudno było odróżnić, co należy do Konkiela, a co do jego przeciwnika.

Mocne chwyt trzech par ramion szybko rozplatały ten kłębek. Wytracony z dłoni pistolet uderzył o deski. Ostрым szarpnięciem postawili przestępcę na nogi. W jego twarz uderzyło jaskrawe światło. Nawet okiem nie mrugnął. Musiał mieć nerwy ze stali. Przyglądali się w milczeniu. Twarz była nieznamiona.

A więc wreszcie cień został schwytyany. Z przekrwionych oczu strzelały na wszystkie strony szybkie, ukradkowe błyski. Sprawiał wrażenie drapieżnika zagnanego do pułapki, z której szuka drogi ucieczki. Otaczali go jednak ciasnym pierścieniem. Twarde palce zaciskały mocno ramiona. Wiedzieli przecież wszyscy, co za ptaszek.

- Gdzie są założone ładunki? - zapytał twardo Kostrzewa.

Cień szarpnął głową. Nieoczekiwanie wybuchnął rechotliwym śmiechem. Śmiech zabrzmiał wprost niesamowicie.

- Założone... - w słowach dźwięczał obcy akcent - o... i jak jeszcze...

- Gdzie? - powtórzył Kostrzewa. Słowo padło jak uderzenie kamienia.

Bluznął jakimś plugawym słowem. Nagle przysiadł. Zakręcił się jak bąk. Chwyty zaciśniętych na ramionach palców zelżały. Szarpnął się gwałtownym zrywem całego ciała. Skoczył jak puszczone cięciwa.

Zanim zdolali się zorientować, co zaszło, przeleciał wspaniałym łukiem nad poręczą nadburcia.

Zniknął z oczu. W dole plusnęło.

## VIII

Nisko przewieszony przez poręcz Kostrzewa długą chwilę usiłował nadaremnie przebić wzrokiem mgłę. Wreszcie wyprostował się powoli.

- Nic z tego - mruknął z rezygnacją, wsuwając pistolet do kieszeni. Morze było niewidoczne. Smuga światła zniknęła bez śladu w odległości zaledwie paru metrów od soczewki reflektora. Gdzież tu co dojrzeć...

Bartczak przytknął gwizdek do ust. Ostry trzask alarmu: „człowiek za burtą” wzbijał się ponad przeciągłe wycie syreny.

Niby echo odpowiedział dźwięk bosmańskich gwizdawek.

Marynarze rzucili się ku szlupbelkom.

I nagle jakby cały świat stanął w ogniu. Kadłubem statku targnął potężny wstrząs.

Ze śródkręcia uderzył ku niebu rozłożysty słup płomienia.

## IX

DOS 204 szerokim łukiem ominął wyburzoną przez śrubę wodę. Teraz płynął wzdłuż przeciwległego boku statku. Ostrogi rzutami parł naprzód. Oczywiście, gdyby statek szedł pełnym biegiem albo choćby połową, byłoby to nie do pomyślenia. Ale niemal chybotął w miejscu.

Jeszcze parę wyteżonych rzutów ramion. Motorówka powinna być gdzieś tutaj. Podniósł głowę. Wokół jednak panowała nieprzenikniona ciemność. Nic nie widział.

Jeszcze parę metrów. Rozejrzał się. Nie ma.

Zaczynało go ogarniać przerażenie. A jeśli ją wyciągnięto?

Zanim minęła następna minuta, nie mógł już mieć najmniejszych wątpliwości. Łódź zniknęła.

Zdrętwiał. Wzdłuż krzyża przebiegł lodowaty dreszcz.

Pięć mil dla motorówki przy takim morzu to głupstwo. Ale przepłynąć je o własnych siłach? Zresztą bez podania sygnału nie oświetlą statku. To zostało wyraźnie ustalone. Ciemny statek wśród bezkresnej przestrzeni zatopionej w mroku i mgłę? W jaki sposób zdoła go odnaleźć?

Jeszcze przed chwilą wszystko wyglądało jak najbardziej różowo. Teraz wpadł w beznadziejną rozpacz.

Zaczął odpływać od statku.

Wytężał siły. Aby tylko dalej. Godzina TWP zbliżała się. Teraz nie myślał o niczym więcej.

## X

Nagle mgła zapłonęła krwistą czerwienią. Przeciąwszy grzmot przetoczył się po wodzie. Coś z przejmującym świstem przeleciało ponad falami. Potworny cios w czaszkę. W oczach stało się tak jasno, jak nie było przez całe życie. Potem jasność zgasła.

Jak kamień zanurzył się w głębię.

Już tego nie czuł.

## XI

Cofnęła rękę. Nie, lepiej nie zażywać. Potem człowiek taki otumaniony. A tu przecież trzeba zachować całą trzeźwość umysłu. Mgła. Radiostacja na okręcie to jedyna więź ze światem zewnętrznym. Któż zdoła przewidzieć, co może zająć...

Czas włókł się z żółwią powolnością. Chwilami wydawało się, że wskazówki zegarka zastygły w miejscu.

To była w ogóle jakaś okropna noc. Ten wachtowy tkwiący nieruchomo w pobliżu... Pilnował? Powinna się czuć różnie, wiedząc, że w razie czego pospieszy z pomocą.

Kręciła gałką regulatora. Różne głosy krzyżowały się w eterze. Żaden jednak nie był przeznaczony dla „Jedności”.

W uszy wpadły nagle dźwięki muzyki tanecznej. Potem oklaski i wołanie o bis. Nadawano widocznie bezpośrednio z jakiegoś lokalu czy też sali balowej.

Gdzieś o setki czy nawet może o tysiące mil ludzie się bawią. Rzęsiście oświetlona sala. Wesołość. A tu?

Kontrast wydał się jej niemal niesamowity. Czym prędzej zmieniła falę. Teraz jeszcze głośniejsze zaczęło świdrować ponure buczenie syreny. Odciągnęła na chwilę słuchawki, rozmasowując końcami palców zdrętwiałe od długotrwałego ucisku uszy.

Wzrok przyłgął do wypukłego szkła bulaja. Światło wypływało z kabiny wydłużoną smugą na pokład. Ale poza jego zasięgiem stała jakby nieprzenikniona ściana. Co się czai w przesiąkniętych mrokiem oparach?

Żachnęła się ostro. Histeria! Czyż mgła stanowi jakieś zjawisko nadprzyrodzone?!

Ostatnio z jej nerwami było nie najlepiej. Zresztą czyż tylko z jej? Jurek... Przygryzła wargi. Nie ma żadnego Jurka... Starszy marynarz Kotera. Kolega i nic więcej... Tak...

Drgnęła, nadsłuchując. Odsunęła słuchawkę z jednego ucha. We mgle zaczęło się niewątpliwie dziać coś niezwykłego. Tupot szybkich kroków. Jakby ktoś biegł.

Krzyk. Ktoś wzywa pomocy? Boże... Co to takiego?

Głuchy huk. Potem drugi. Strzelają?

Pozostawanie w ciasnej kabinie stało się ponad jej siły.

Wybiegła na zewnątrz, nie zdejmując słuchawek z uszu.

Długość przewodów pozwoliła na odejście zaledwie pół kroku. Ale przynajmniej znalazła się na otwartej przestrzeni.

Gwizdki. Błysk reflektora. Skrzypienie szlupbłoków. Ktoś wypadł za burtę?

Powoli powracała cisza. Zamarło pulsowanie śruby. To jedno było zrozumiałe. Skoro spuszczają szalupę...

Za plecami dziwny szmer. Jakby coś zazgrzytało. Czyżby uszkodzenie nadajnika? Odwróciła się raptownie, chcąc wrócić do kabiny. Nie zdążyła jednak uczynić kroku.

W ułamku sekundy dojrzała, jak z tylnej ściany kabiny wytrysnął jaskrawy płomień. A potem zatonąła w kojącej ciemności i ciszy...

## XXII. M/S „JEDNOŚĆ” NIE ODPOWIADA

### I

Półów był obfity. Bardziej nawet, niż się tego spodziewano. Dokumenty ze Szczecina, dokumenty z Warszawy. Szyfr, niezrozumiałe gryzmoły. Notatki pisane nieczytelnymi dla osób trzecich skrótami. Praca szła w gorączkowym tempie. Lerski zapominał o śnie i jedzeniu. O łóżku nie chciał słyszeć. „Zwariowaliście? Tu przecież chodzi dosłownie o każdą minutę. Chwilami wpadał w złość. Szczególnie gdy próbowano tłumaczyć, że przecież organizm ludzki też ma jakieś granice swej wytrzymałości. „Co za ludzie - sarknął - czyż naprawdę «Jedność» i cała jej załoga to dla was bagatela? Nie możecie zrozumieć, że jeśli nie rozwiążemy tej łamigłówki - walił pięścią w stertę pękatych akt - wszystko wezmą diabli?»

Niekiedy zasypiał nad papierami. Budził się przerażony. Znowu cenne minuty przepadły.

Nie tylko zresztą w jego gabinecie płonęło światło aż do brudnej szarości przedświt. W grę wchodzili żywi ludzie, których należało za wszelką cenę ocalić przed zagładą. Powoli stawało się dla wszystkich jasne: sprawa Szczecina i sprawa Warszawy stanowiły części jednej i tej samej całości. Mgliste jeszcze promienie biegingy w kierunku Gdyni.

Ale całość dalece jeszcze była niekompletna.

Badanie dokumentów przeplatało się z badaniem przestępców. To ostatnie było stokroć cięższe.

Niektórzy załamali się od razu. Widząc beznadziejność sytuacji, stali się bardzo rozmowni. Byli gotowi powiedzieć wszystko, co wiedzą, byle złagodzić grozącą odpowiedzialność. Ale ci wiedzieli niewiele.

Gdy tego wieczoru Miechowiec wszedł do pokoju, Lerski wiedział od razu, że zaszło coś niedobrego.

- Co się stało?

Ostrożnie, jakby to był materiał wybuchowy, położył na jego biurku arkusz papieru.

- Sam przeczytaj.

Lerski pochylił się nad gęstymi rzędami wyraźnych liter. To było któreś tam z rzędu zeznanie kobiety zatrzymanej w Szczecinie. Tym razem powiedziała jednak więcej niż dotychczas. Szczególnie uderzyła treść jednego z ustępów. Czytał, zaciskając końcami palców skronie.

„Na polecenie F-2 udałam się na ulicę Rybacką do domu numer 15. Tam na drugim piętrze mieszka Genowefa Kotera. Przedstawiłam się jej jako narzeczona jej syna, Jerzego, dając do zrozumienia, że łączą mnie z nim bliższe stosunki...h

- Tak - Lerski zapalił papierosa, zaciągając się mocno. „Początkowo nie chciała wierzyć, bo syn nigdy jej o mnie nie wspominał. Uważała to za niemożliwe. W końcu jednak zdołałam ją przekonać, mówiąc, że mieliśmy ją trzymać w nieświadomości co do naszego związku do chwili, aż się pobierzemy. Wiedzieliśmy bowiem, że uważałaby to za ciężki grzech. Genowefa Kotera ma około osiemdziesięciu lat i jest już trochę zdziecinniała.h

Lerski jeszcze mocniej przycisnął pulsujące na skroniach żyły.

- Zdziecinniała - powtórzył półgłosem. - A myśmy o tym nie wiedzieli... - Nie patrzył na Miechowca, ten jednak kiwał potakująco głową. Czytał dalej.

Pytałam, co słyhać z moim narzeczonym. Odpowiedziała, że powinnam to wiedzieć tak samo dobrze jak i ona. Znowu zaczęła patrzeć na mnie podejrzliwie. Wówczas rozplakałam się, mówiąc: «On powiedział, że płynie na statku „Jednośh, ale przecież pisałby do mnie z portów. Nie dostałam ani jednego listu. Choćby nawet kartki, z której wiedziałabym, że żyje». Szlochałam coraz rozpaczliwiej. «Z nim się na pewno stało coś złego... Miałam taki okropny sen. A przecież... - w tym momencie wskazałam na brzuch, który sztucznie pogrubiałam - noszę tu jego dziecko»h.

Lerski przerwał na chwilę czytanie, wlepiając oczy w jakiś sobie tylko widomy punkt ściany.

- Chytrze - westchnął - bardzo chytrze.

Miechowiec znowu pokiwał głową. On też był tego samego zdania.

„Próbowała mnie uspokoić: «Sen mara Bóg wiara». Ale ja płakałam jeszcze głośniejsze. «On na pewno utonął... Ja to czuję... Nie przeżyjemy tego, ja i moje dziecko... Zrobię sobie coś... Po co wydawać na świat sierotę bez ojca?» Wówczas wzruszyła się i zaczęła płakać razem ze mną. «Uspokój się. Nic mu nie grozi. Nie popłynął na żadnym statku. Siedzi od miesiąca w sanatorium w Jeleniej Górze. Tylko - przyłożyła palec do ust - o tym nie może nikt wiedzieć, moje dziecko. O wynikach wizyty u Kotery złożyłam sprawozdanie F-2. A on...h

Lerski gniewnym ruchem odsunął arkusz.

- A on przesłał ten raport, gdzie należy. W rezultacie wiedzą, kim w rzeczywistości jest starszy marynarz, Jerzy Kotera.

- Wiedzą - powtórzył Miechowiec - i w tym niemało naszej winy. I to jest właśnie najgorsze. Zdawałoby się, że wszystko zapięte na ostatni guzik. Czyż mogliśmy wiedzieć, że dotrą do matki Kotery i że ta zdziecinniała staruszka da się wziąć na numer z opuszczoną ciężarną dziewczyną? Czy



możliśmy przewidzieć? - powtórzył, jakby pytając samego siebie.

- Powinniśmy jednak - powiedział twardo Lerski - natychmiast zawiadomić o wyspie Kostrzewę.

- Jasne. Przygotuj treść radiogramu. Ja... - W tej chwili do gabinetu wszedł oficer śledczy, Sokal. Zwiotczała skóra jego twarzy miała odcień sinozielonkawy jak u człowieka ciężko chorego.

- Zajeżdżała mnie prawie na śmierć - zwilżył językiem wargi. - A jednak - zaczął odpinać paski teczki - przynoszę nie lada sensację...

## II

Nie tak łatwo powtarzać setki razy to samo w niezmienionej formie: „Nic mi nie jest wiadome o żadnej organizacji szpiegowskiej czy dywersyjnej. Nie miałam nigdy żadnej styczności z takimi sprawami. Nie znam żadnego członka takiej organizacji. Przynajmniej nie wiem, by którykolwiek z moich znajomych do niej należał. Nigdzie nie pracuję. Żyję z...h. Początkowo potrafiła jeszcze wywoływać rumieniec na twarzy, robiąc zawstydzoną minę. Później nie udawało się. „Nie mam żadnego przygotowania do jakiegokolwiek pracy zawodowej. Ponieważ zaś jestem ładna, a wobec ładnych kobiet mężczyźni potrafią okazywać hojność... Nie, to, co powiedziałam temu oficerowi marynarki o mężu, to nieprawda. Nie jestem zamężna i nigdy nie byłam. Ale to na panach robi lepsze wrażenie... Tamci dwaj, których zastano w mieszkaniu? Nie widziałam ich nigdy przedtem. Widocznie bandyci, którzy zakradli się w celach rabunkowych... Więcej nic nie wiem i nie mam do zeznania.h

Chyba już po drugim przesłuchaniu oficer siedzący po drugiej stronie biurka musiał całą historyjkę umieć na pamięć. Nie dziwiła się, że nie wierzył ani jednemu słowu. Któż by zresztą w takich warunkach uwierzył? Po co jednak bawi się w przesłuchanie, skoro wie, że nie zdoła z niej wycisnąć ani słowa więcej?

Rozumiałaby, gdyby zastosował jakieś bardziej radykalne metody śledcze. Była na nie z góry przygotowana. Ale tak?...

Z monotonością automatu powtarzał w nieskończoność te same pytania. Tylko ich kolejność ulegała częstym zmianom. Intonacja głosu - nigdy. To były męczące godziny. Ale pomimo zastygłej w drewnianym bezruchu twarzy przesłuchującego wiedziała, że jego męczyły wcale nie mniej. Jak zresztą mogło być inaczej? Walka trwająca w zamknięciu czterech ścian gabinetu prowadzona była równą bronią. Rozum na rozum. Nerwy na nerwy. Wytrzymałość na wytrzymałość. Zwycięży ten, kto się okaże odporniejszy. Nie zdawała sobie sprawy, że jednak broń nie była jednakowej mocy. On wiedział, w imię czego walczy, ona zaś tej świadomości nie posiadała.

Zauważyła, że niemal przy każdym przesłuchaniu był coraz bledszy. Policzki zapadały się coraz głębiej.

Po powrocie do celi przeglądała się w błyszczącym dnie miski. Odbicie było trochę zniekształcone, wystarczająco jednak wyraźne, by mogła stwierdzić, że na jej wyglądzie zewnętrznym przesłuchania te odbijają się w daleko mniejszym stopniu.

- Przetrzymam go - śmiała się triumfująco. - Na pewno przetrzymam!

Wchodząc do gabinetu, niemal za każdym razem oczekiwiała, że po drugiej stronie biurka ujrzy kogoś nowego. I za każdym razem oczy jej spotykały te same skupione rysy.

Aż wreszcie miała tego dość. Sama nie rozumiała, w jaki sposób to się mogło stać. Aby już tylko nie słyszeć więcej tych monotonicznych pytań, które do cna jej obmierzły. Wola nie brała w tym niemal udziału. Miała wrażenie, że język nabrał nagle samodzielnego życia, tracąc kontakt z mózgiem.

Popłynęły słowa o organizacji. O tym, jaki brała udział w jej działalności. Jaki udział brali inni. Kto należał. Jakie utrzymywano kontakty z centralą. Co to była za centrala i z kogo się składała.

Ledwo zdążył zapisywać rwące teraz niepowstrzymanym potokiem słowa.

„Tak... Otrzymałam polecenie ściągnięcia bosmana Kwiecińskiego do willi przy ulicy Lipowej w Gdyni. Miał zostać usunięty, by miejsce jego na statku mógł zająć ktoś inny. Oczywiście - nasz człowiek. Prawdziwego nazwiska nie znam. Szyfr miał X-2. Poznałam bosmana w pociągu. Zaprosiłam do siebie. Gdy wszedł do przedpokoju, został unieszkodliwiony. No tak - odpowiedziała na pytanie - zabity. Wiadomo mi, że X-2 miał się zaokrętować na «Jedności» pod innym nazwiskiem. Miejsce zostało specjalnie dla niego opróżnione przez aresztowanie poprzedniego bosmana. X-2 poczynił pewne starania w odpowiednich komórkach.h

Zeznania przybierały niekiedy całkiem chaotyczną formę. Trudno było się zorientować co do kolejności zdarzeń, o których opowiadała.

Sokal wnosił do protokołu zdania w takiej formie, w jakiej je słyszał. Starał się zadawać jak najmniej pytań. To mogłoby ją wytrącić z transu.

„Nie udało mu się jednak... Wówczas wypłynęła sprawa Kwiecińskiego. Wiedzieliśmy, że X-2 wykazywał pewne zewnętrzne podobieństwo do Kwiecińskiego. Podobny kolor włosów, podobna budowa. Twarz... Oczywiście, że nie był sobowtórem. Ale nawet nie zaszła potrzeba zmiany fotografii w jego dokumentach. Wystarczył niewielki retusz. Nie, nie brałam osobistego udziału w usunięciu Kwiecińskiego. To załatwił bez mojej pomocy R-1. Tak, to ten sam agent, który zastrzelił się w willi przy ulicy Lipowej. No dobrze, niech będzie, że to ja go zastrzeliłam. Czyż nie wszystko jedno? Zwłoki Kwiecińskiego zawinięto w dywan, wyniesiono i zatopiono w zatoce. Tak, tego oficera marynarki czekał podobny los. Byłam przekonana, że wiezie tajne dokumenty...h

### III

Była już późna noc. Miechowiec jeszcze raz sprawdził treść radiogramu. Parę słów zastąpił innymi. Nie wolno zaniedbać żadnej ostrożności. Jeszcze coś poprawił. Przejrzał.

- Teraz już chyba można wysłać?

Lerski podniósł się ociężale.

- Sam przypilnuję nadania. Jeszcze mogliby coś pokręcić.

Schowwał radiogram do teczki, zasunął oba zamki, zaciągnął paski.

- Może zresztą doczekam się odpowiedzi?

Wyszedł. Wrócił dopiero o świcie. Miechowiec już był w swoim gabinecie. Kto wie, czy w ogóle z niego wychodził?

Podniósł głowę znad biurka. Oczy miał zaczerwienione i podpuchnięte.

- Nadałeś radiogram?

- Nie - głos był zupełnie bezbarwny.

- O - brwi majora uniosły się w górę - dlaczego?

- Statek nie odpowiada. Wywoływaliśmy go przez cały czas niemal bez przerwy.

Major wlepił spojrzenie niewidzących oczu w jeden z papierków, które gęstą warstwą zaścielały biurko. Nawet nie zdawał sobie sprawy, co ten papier zawierał.

- Kiedy była ostatnia wiadomość z „Jedności”?

- Wczoraj... Wczoraj o osiemnastej trzydzieści.

- Gdzie się wtedy znajdowali?

Lerski wymienił długość i szerokość.

- Siedemset dwadzieścia mil od Gdyni - dodał.

- A... od najbliższego brzegu?

- Trzysta pięćdziesiąt. Zasięgałem informacji w kapitanacie portu. Mgła na tym odcinku tak gęsta, że wszelkie poszukiwania skazane są na niepowodzenie. Użycie samolotów wykluczone.

Miechowiec oparł ciężko łokcie o blat biurka.

- A może to tylko jakieś uszkodzenie? - zapytał takim tonem, jakby usiłował przekonać samego siebie.

Lerski wyprostował się.

- Dlatego też poleciłem ponawiać wezwania co pół godziny. Jeżeli otrzymają odpowiedź, natychmiast nas zawiadomią... Tak samo zawiadomią, gdy na tym obszarze ustąpi mgła - dorzucił po chwili.

### **XXIII. STATEK HYDROGRAFICZNY „OCEANIA”**

#### **I**

- No, dobrze, a jeśli podpłyną również i inne łodzie ratunkowe?

- Nie będzie innych łodzi...

- A jeśli jednak?

Kapitan Stephen wyjaśnił.

- Zgodnie z instrukcją możemy przyjmować na pokład jedynie osoby posiadające specjalne pozwolenie. Wyniki pomiarów dokonywanych przez „Oceanię” to przecież ścisła tajemnica. Skoro więc podpłyń ktoś, kto się nie będzie mógł wykazać tego rodzaju dokumentem... - wyraz jego twarzy starczył za resztę słów.

Porucznik Barclay zerwał się z krzesła, rozpoczynając nerwowy spacer po kajucie. To się nie mogło pomieścić w jego umyśle. Ani sumieniu. Jak to: nie przyjąć na pokład rozbitków?

To nie był pierwszy rejs „Oceanii”, w którym brał udział. I to nie było pierwsze jej zadanie, które uważał za sprzeczne z honorem.

Potknął się o fotel, zaklął cicho, zawrócił i podszedł do kapitana.

- Przepisy międzynarodowe...

Stephen machnął ręką, przerywając dalsze słowa.

- Tego rodzaju statek jak nasz podlega całkiem szczególnym przepisom, poruczniku.

Barclay otworzył usta. Zamierzał przytaczać dalsze argumenty. Stephen nie pozwolił mu jednak.

- O czym tu właściwie dyskutować? Przede wszystkim: rozkaz. Pan chyba rozumie, co to jest rozkaz? Wiem, że panu nie odpowiada nasz rodzaj służby. Ale dopóki pan jest na tym okręcie... Zresztą, czy wachtowy zameldował już o jakiegokolwiek łodzi na horyzoncie?

Barclay wykręcił się na pięcie i wybiegł bez słowa. Przekonywanie Stephena stanowiło stratę czasu. Nie po raz pierwszy zresztą się o tym przekonał. „Rozkaz i instrukcja.” „Polecenie specjalne.” Te trzy pojęcia starczyły mu za cały światopogląd, honor i poczucie człowieczeństwa.

Znalazłszy się na pokładzie, odetchnął pełną piersią. W kajucie kapitana czuł się jak w jakiejś szafie z aktami. Czyż to w ogóle człowiek?

Gdzież tu znalazł horyzont? Nawet morza nie widać. Mgła. To było wszystko.

Stawało się coraz ciemniej. Na pokładzie nie zapłonęło najmniejsze choćby światełko. Oparł się o poręcz nadburcia. Statek widmo. Zupełnie jakby jakiś średniowieczny pirat czyhający w ukryciu nocy i mgły na ofiarę.

Ostrzegawcza syrena wbrew przepisom milczała. Ani syreny, ani dzwonu. Nic, co by świadczyło o obecności statku w tym miejscu. Gdyby tak z nieprzezroczywej ściany wynurzył się nagle jakiś wielki transatlantyk i zgniół „Oceanię” jak papierową zabawkę? Ze złośliwą satysfakcją wyobraził sobie, jakby to wyglądało. Koniec godny kariery.

Przy aparacie nasłuchowym tkwił bez chwili przerwy obserwator. Odgłos pracy śruby okrętowej słychać z daleka. Fale radarowe zakreślały krąg strażniczy wokół „Oceanii”. Dla dźwięków i radaru ani mgła, ani ciemność nie stanowiły najmniejszej przeszkody. Wystarczyło lekkie poruszenie rękojęści telegrafu, aby statek wyszedł z bezruchu. Zawsze zdąży zejść z drogi każdemu niebezpieczeństwu.

Byli dobrze zabezpieczeni - twarz wykrzywił grymas goryczy. Tak, oni... A tamci?

„Nie przyjmować na pokład nikogo, kto nie będzie posiadał specjalnego pozwolenia.” Skąd niby mogliby je mieć? To było niehumanitarne. Trzysta pięćdziesiąt mil do najbliższego lądu! Czym właściwie różniło się ich postępowanie od morderstwa z premedytacją?

Gdzieś na śródkręciu głucho wydzwoniły klangi. Było już zupełnie ciemno. Wolał nie patrzeć na zegarek.

Nagle we mgle rozjarzyło się czerwone zarzewie. Po chwili dobiegł głuchy odgłos detonacji. Jeszcze kilka mniejszych błysków. Huku tym razem nie było słychać. Przecież pięć mil...

Nie zdawał sobie sprawy, jak długo mgła różowała w oddali niewyraźną łuną. Znowu błysk. Potem wszystko zgasło. Zapadła znów pustka i cisza. Palce zacisnęły się kurczowo na wilgotnym metalu bariery. Na język spływał słony smak krwi z zagryzionych warg.

- Nie. Pomimo wszystko i wszystkich, nie!

Jeżeli w jakiś sposób ktoś z nich zdoła dopłynąć do „Oceanih, nie pozwoli, aby zginął na jego oczach. Nie wiedział jeszcze, co uczyni. Wiedział jednak, że nie będzie przyglądał się z założonymi rękami zagładzie rozbitków. Nieusłuchanie rozkazu? Bunt? Wszystko jedno. Niech go zakują w kajdanki. Niech postawią przed sądem admiralicji. Niech go nawet Stephen zastrzeli na miejscu. Wszystko jedno.

Czas płynął z morderczą powolnością. Gdzieś obok zaskrzypiały cicho szlupbloki. Przygotowywano się do wciągnięcia motorówki, na którą oczekiwano. Tylko ona jedna miała być podniesiona na pokład.

Wypatrywał z natężeniem błysku sygnałowej latarni. Powinni już chyba tu być... Co znaczy pięć mil dla motorówki... Położenie „Oceanih zostało podane z taką dokładnością, że w żaden sposób nie mogli zmylić kursu.

Ciemność pozostawała jednak w dalszym ciągu jednostajna. Drgnął. Z mroku zaczął dobiegać monotonny zgrzyt. Ściągają pławy? Nie wierzył własnym uszom. Jakże to mogło być możliwe?

Pokład pod nogami zapulsował rytmicznie. To miało tylko jedno znaczenie. Odpływają.

W jednej sekundzie znalazł się na wyżce.

Lornetka Stephena chybotwała swobodnie na tle białego munduru. Zaprzeszał już obserwacji.

- Pozostawiamy na łaskę losu nawet naszych własnych ludzi, którzy wykonali zadanie? - zapytał go obcesowo.

Wodniste oczy kapitana patrzyły gdzieś w przestrzeń.

- To do mnie nie należy. Zgodnie ze specjalnym poleceniem „Oceaniah miała dopłynąć na ściśle określone miejsce i pozostać na nim przez ściśle określony przeciąg czasu. Czas ten minął. A reszta... - wzruszył ramionami.

- Ale przecież... - Barclay nie był w stanie znaleźć dalszych słów.

Stephen przyjrzał mu się z chłodnym zainteresowaniem, jak jakiemś ciekawemu okazowi.

- Widzę, że pan porucznik jest nie bardzo zdrow. W naszej misji mocne nerwy to pierwszy warunek. Dołożę usilnych starań, by pański wniosek o przeniesienie na inną jednostkę został załatwiony w jak najszybszym czasie...

Odwrócił się powoli. Barclay zdawał sobie doskonale sprawę, że pomimo pozorów w geście tym nie było najłżejszej intencji obrazy. Po prostu z tą chwilą przestał dla niego do reszty istnieć. To wszystko.

Długo jeszcze stał oparty o poręcz nadburcia, wpatrując się w nieprzenikniony mrok. Nagle na masztach antenowych zapłonęły latarnie pozycyjne. Brudnopomarańczowymi plamami zamigotały odbłaski innych świateł pokładowych.

Odezwały się przenikliwe dźwięki dziobowej syreny.

Od tej chwili „Oceania” stała się normalnym statkiem zachowującym wszelkie przepisy nawigacyjne.

## II

Obciążnięta przypominającą pomarszczony pergamin skórą, twarz szefa Sekcji Dalekiego Rozpoznania jaśniała nieskrywanym triumfem.

- Mówiliśmy kiedyś, że sygnały SOS stanowiłyby najbardziej pożądane uwieńczenie naszej akcji. A tu... Nie. - potrząsnął głową - nie było mowy o żadnych sygnałach. Żeby je nadawać, trzeba mieć radio. - Z wąskich warg wypłynął urywany dźwięk suchego śmiechu. - Tajemnicze zaginięcie statku. To się przecież zdarza w czasie mgły. Nawet jeszcze w dwudziestym wieku.

- Nie uratował się żaden naoczny świadek? To mogłoby w rezultacie spowodować niepożądane konsekwencje.

- Nikt. Oto - podsunął pytającemu go arkusz papieru - kopia odnośnego zapisu w księdze okrętowej statku służby hydrograficznej „Oceania”. Statek ten znalazł się przypadkowo w pobliżu miejsca katastrofy. Został zaobserwowany wybuch... Prawdopodobnie, z jakiejś bliżej nieustalonej przyczyny, rozsadziło kotły.

Mężczyzna rozwalony wygodnie w klubowym fotelu poruszył się.

- Jednostka była motorowcem - przypomniał.

- O - spojrzał zaskoczony - rzeczywiście. Wyleciało mi jakoś z pamięci. Ale czyż na motorowcu mało jest rzeczy, które mogą w każdej chwili spowodować wybuch? Choćby zaproszenie ognia do zbiorników ropy? Niestety - rozłożył ręce - sądzę raczej, że w tym stanie rzeczy ustalenie przyczyny wybuchu stało się już zupełnie niemożliwe.

- Agent DOS 204 i tym razem pokazał swą wysoką klasę.

- Niewątpliwie.

- Należałoby wystąpić o przyznanie mu specjalnej gratyfikacji.

- Hm - szef pogłaskał gładko ogolony podbródek - to raczej stało się nieaktualne. Ani on, ani agent X-2 nie zostali wyłowieni przez „Oceanię”. A biorąc pod uwagę, że żadnego innego statku nie było w pobliżu miejsca katastrofy, przebycie trzystu pięćdziesięciu mil nie wygląda na przedsięwzięcie możliwe do wykonania, choćby się miało do dyspozycji jak najdoskonalszą nawet motorówkę...

- Szkoda. To byli zdolni ludzie. Szczególnie DOS 204 - głos mężczyzny w fotelu brzmiał zupełnie obojętnie. - Co zrobić! Nie można usmażyć jajecznicy, nie rozbijając jajek. - Francuskie przysłowie miało wystarczyć jako epitafium dla dwóch agentów.

- Jasne, ma pan już kogoś na jego miejsce?

- Oczywiście.

Rozmowa trwała jeszcze długo. Ani jednym jednak słowem żaden z nich nie powrócił do śmierci agentów. Ta sprawa była zakończona i nie interesowała ich już w najmniejszym nawet stopniu.

## **XXIV. GODZINA TWP MINUS MINUT PIĘTNAŚCIE**

### **I**

Kabina radia? Przecież właśnie Lena... Bez chwili zastanowienia pędził już w tamtym kierunku. Jeszcze jakieś odłamki gwizdały w mroku. Nie zwracał na nie uwagi. Nie słyszał nic.

Kabina radia stanowiła rumowisko bezkształtnych odłamków. Jakżeż mogła ocaleć w tych warunkach?

Parząc ręce, odsuwał tłące się szczątki drewna. W twarz buchał piekący żar.

Biegli już ze wszystkich stron. Z przeciągłym sykiem poleciały smugi piany z otworów gaśnic. Nie, tu jej nie było na pewno. Znalazłby przecież jakiś ślad. Wolał nie myśleć, jak ten ślad mógł wyglądać.

Musiał ją wyrzucić na zewnątrz. Przeskoczył jakąś belkę. Ten nieruchomy kształt skulony na pokładzie?

Tak, to była ona. W pierwszej chwili miał wrażenie, że już po wszystkim. Opanował się całym wysiłkiem woli. Zachowując jak największą ostrożność, odwrócił ją twarzą do góry. Puls? Minęło kilkanaście sekund, zanim zyskał pewność, że to nie refleks uderzeń krwi we własnych żyłach. Bił... Słabiutko, ale nadspodziewanie regularnie. Więc jednak żyła. To było tylko głębokie omdlenie. Badał dalej. Kości nieuszkodzone... Nie mógł tego zrozumieć. Znajdowała się przecież w samym centrum wybuchu. Widocznie musiała akurat w tym momencie po coś wyjść z kabiny. Organy wewnętrzne? Ugniatał delikatnie miejsce po miejscu. Potrząsał głową. Tego oczywiście nie dało się jeszcze teraz ustalić dokładnie. W każdym razie żadnych wyraźnych zmian.

Odetchnął z ulgą. Nie stwierdził objawów stanowiących zagrożenie dla życia.

Ktoś dotknął jego ramienia. Był to Rolski.

- Badałeś jak jakiś chirurg - powiedział.

Kostrzewa wstał szybko z klęczek, kwitując słowa machnięciem ręki. Mógł ją zostawić w rękach Rolskiego. Miał do niego bezwzględne zaufanie.

Wpatrywał się w żar dogasających zgliszczy. To nie mógł być wybuch, którym zamierzali zniszczyć statek. O wiele za słaby. Nie wierzył, żeby mieli popełnić aż taką omyłkę. Zresztą samo miejsce umieszczenia ładunku wskazywało niezbicie, że jedynym celem było uszkodzenie radia. Ale gdzie został ukryty główny ładunek? I kiedy miał wybuchnąć?

Znowu detonacja znacznie słabsza niż poprzednia. Ogień błysnął nad burtą. Jeszcze jedna. Płomienie buchnęły w kilku miejscach naraz. Otaczały statek ognistym wieńcem. Gasły zresztą niemal natychmiast. Zorientował się po chwili: łódzie i tratwy. Więc jednak zdążyli podłożyć ładunki. Trzeba było przeszukać wszystko dokładnie. Jego wina, że o tym nie pomyślał.

Myśl pracowała z gorączkowym wysiłkiem. Gdzie mogli założyć ten ładunek? Gdzie?

Niewyraźne postacie snuły się nerwowo po pokładzie. Ktoś go potrącił. Ktoś zapytał o coś podniesionym głosem. Nie czuł i nie słyszał. „Gdzie? - kołatało coraz natarczywiej w mózgu. - Gdzie?!h Ktoś stanął tuż przed nim.

- Dobrze, że pana znalazłem - poznał głos Bartczaka. - Z Kaniewskim źle... chciałbym zapytać...

Kostrzewa przerwał niecierpliwym ruchem ręki. Nic, co nie dotyczyło miejsca ukrycia ładunku, nie mogło mieć w tej chwili znaczenia. Fakt zniszczenia radiostacji i środków ratunkowych świadczył, że ładunek ten wybuchnie lada chwila.

- Proszę posłuchać - Kostrzewa położył rękę na ramieniu kapitana. - Gdzie należałoby umieścić materiał wybuchowy, żeby statek został w jednej chwili zniszczony?

- Skąd mogę wiedzieć? Czyż zastanawiałem się kiedyś nad sposobami niszczenia statków?

- Teraz musi się pan zastanowić. Musi pan!

- Ładownia? - Bartczak rozmyślał na głos. - Powstałby pożar... Może do tego rozluźnienie obszewki kadłuba i szczeliny poniżej waterlinii...

- To nie mógł być zbyt wielki ładunek... Nie zdołaliby przecież przemycić całych ton. Musieli wybierać najbardziej wrażliwy punkt statku.

- Maszynownia?... Zbiorniki ropy?...

- Zbiorniki ropy? - podchwycił Kostrzewa. - Tak! - krzyknął. - Właśnie tam! - Już biegł, przeskakując zaścielające pokład odłamki.

Bartczak pędził tuż za nim.

- Klucze u dyżurnego bosmana. Bocian... Nie skończył. Łódź ratunkowa, koło której przebiegli, rozprysnęła się nagle w kawałki. Widocznie w mechanizmie znajdującego się w niej ładunku powstało opóźnienie. Powiew pchnął gwałtownie Kostrzewę w bok. Zdołał jednak jakoś ustać na nogach. Bartczaka uderzył w głowę odłamek stępki. Stęknął głucho, osuwając się na pokład.



Kostrzewa nie zatrzymał się. Pędził dalej.

Czyjaś niewyraźna postać. Złapał za ramię. Sam mógł nie poradzić sobie z tym ładunkiem. To był Sorek. Pociągnął go za sobą, wyjaśniając urywanymi słowami, o co chodzi.

Sorek nieprzytomny prawie ze strachu pobiegł jednak po klucze.

Jeszcze kilka susów i Kostrzewa stanął przed stalowymi drzwiami. Były zamknięte. Ani nawet marzyć o wysadzeniu ich ramieniem. Czy Sorek przyniesie ten klucz? Może w ostatniej chwili strach jednak przeważał?

Wydawało mu się, że oczekiwanie trwa niezmiernie długo. Zamierzał już sam pobiec do Bociańskiego, gdy deski zadudniły szybkimi niczym stukot karabinu maszynowego krokami.

- Jest - dyszał ciężko Sorek, wkładając klucz do zamka.

Drzwi stanęły otworem. Wpadli do środka. Sorek przekręcił wyłącznik.

Rozejrzeli się na wszystkie strony.

- Nie ma! - zawołał z wyraźną ulgą Sorek.

Kostrzewa również nie dojrzał niczego, co by mogło przypominać bombę.

Zresztą, gdzie by ją tu można ukryć? Dwie prostopadłe kolumny tanków. Przyłożył ucho do jednej. Potem do drugiej. Poza miarowym odgłosem bulgotania gęstego płynu nie dosłyszał żadnego szmeru. Nie, to nie mogło być tutaj. Zważył w rękę gaśnicę. Z całą pewnością nie zawierała nic oprócz piany. Przegarniał piasek w skrzyni. Więcej nie było gdzie szukać. Był przekonany, że bomba zostanie podłożona właśnie pod zbiorniki. Nagle spojrzał na podłogę. Przyklęknął, potem położył się na niej, przyłożywszy ucho do waflowanej żelaznej płyty. Sorek wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

- Oszalałeś? Przecież...

Kostrzewa przerwał mu niecierpliwym ruchem ręki.

- Cicho - syknął tak dobitnie, że Sorek z miejsca umilkł.

Kostrzewa aż przymknął oczy, by nie rozpraszać uwagi.

Coś... ledwo uchwytnego. Tak ciche, że mogło się wydawać złudzeniem. A przecież... Zerwał się gwałtownie.

- Zenza! - wypadł na korytarz, pociągając za sobą Sorka. Dopadli pokrywy zamykającej właz. Szarpnęli wspólnymi siłami. Zabrzęczał przeciągle metal.

Z otworu buchnęło ciężkie powietrze przepojone odorem pleśni. Kostrzewa zagłębił się pierwszy. Otaczała go atramentowa ciemność. Szkoda, że latarka przepadła. Bardzo by się teraz przydała.

Musiał się zgiąć wpół. Nogi brodziły w pachnącym rdzą błocie. A jutro miano właśnie przystąpić do oczyszczania zenzy. Jutro... Było duszno i ciasno. Dlaczego śmierć w tej stalowej kiszce wydawała

się znacznie straszniejsza niż na otwartym powietrzu? Liczył mozolnie kroki. Czy już doszli pod pomieszczenie tanków. Nietrudno było o pomyłkę. Kroki stawiało się tu znacznie mniejsze niż normalnie.

Tuż za sobą słyszał chlupotanie rozbijanej ciężkimi butami wody. Sorek parł nieustępliwe w ślad za nim.

Nagle Kostrzewa potknął się o coś. O mało nie runął twarzą naprzód w błoto. Wyciągnął ręce. Palce natrafiły na prostokątną skrzynkę.

- Znalazłeś? - zapytał nie wiadomo dlaczego szeptem Sorek.

- Tak - przyklęknął w zatęchłym błocie - ale zaczekaj. Nie wiem jeszcze...

Obmacał palcami. Gładka metalowa powierzchnia. Coś jakby otwór zamka. Pochylił się jeszcze niżej, przykładając ucho.

Odór pleśni bił teraz w nozdrza z taką mocą, że aż zatykał dech w piersi. Nie zważał na to. Musiał przecież sprawdzić. Omyłka w tym wypadku byłaby równoznaczna z katastrofą.

Wydawało mu się, że minęło dużo czasu, zanim dosłyszał ledwo uchwytnie tykanie wewnątrz metalowej skrzynki.

- Jest - rzucił przez ramię.

Sorek zadrżał na całym ciele.

- To dlaczego jej nie bierzemy? Lada chwila przecież może wybuchnąć.

Widać było po nim, że tylko najwyższym wysiłkiem woli panuje nad odruchem rzucenia się do panicznej ucieczki.

- Bo trzeba się przekonać, czy nie ma ich więcej - odpowiedział Kostrzewa.

Szperał na odległość wyciągniętego ramienia. Potem przeszedł nad bombą i szukał dalej.

Usłyszał, jak błoto pod podeszwami Sorka zabulgotało. Ucieknie? Nie dziwiłby mu się zbytnio. Nie uciekł jednak. Stał w miejscu. Widocznie tylko przestępował niespokojnie z nogi na nogę.

Palce natrafiły na metalowy uchwyt.

- Jest i druga - oznajmił, nie zaprzestając poszukiwań. Wreszcie uznał, że minął już miejsce, w którym nad głową znajdowała się groź pomieszczenia tanków.

Właśnie w tej chwili cierpliwość Sorka sięgnęła kresu.

- Długo jeszcze? - niemal jęknął.

- Już. Tylko te dwie - ujął uchwyt bomby, która znajdowała się bliżej niego.

- Weź tę, co przy tobie, i idź przodem.

Sorek zawahał się.

- Idź - syknął Kostrzewa. - Prędeż. Czyż chcesz, żeby ci wybuchła w rękę?

To wystarczyło. Sorek bez słowa ruszył w kierunku włazu.

- Tylko uważaj pod nogi - napomniał go jeszcze. - Bo jeśli się potkniesz...

Szli powoli krok za krokiem, choć chciało się biec na łeb na szyję. Musieli nieść skrzynki oburącz. Nawet Sorek musiał odczuć ich ciężar, od czasu do czasu bowiem posapywał z wysiłku.

Trwało chyba całe wieki, zanim dobrnęli do otworu. Sorek stęknął, uniósł skrzynkę i postawił ją ostrożnie na podłodze obok włazu. Potem wywindował się w ślad za nią.

- Daj - nachylił się nad ciemną jamą - pomogę. - Usiłował nie patrzeć na stojącą u nóg skrzynkę.

- Uciekaj! - naglił Kostrzewa. - I wyrzuć to świństwo jak najprędeż za rufę.

Czekał jednak, zanim Kostrzewa nie wyszedł. To było z jego strony prawdziwe bohaterstwo. Któż mógł przewidzieć, czy właśnie te minuty nie zadecydują o tym, że bomba wybuchnie, zanim ją zdążą wyrzucić do morza. Uważał jednak, że nie wolno pozostawiać towarzysza w tej sytuacji samego. Nie pomogły gniewne sarkania Kostrzewy:

- Zwariowałeś? Uciekaj czym prędeż!

Nawet spróbował się uśmiechnąć, choć uśmiech ten raczej przypominał żaloszny grymas.

- Nie... wiesz... to już lepiej jakoś razem.

Potem wchodzili z zabójczą powolnością po stopniach schodni.

Wreszcie znaleźli się na pokładzie.

Ale do ocalenia było jeszcze daleko. Rufa leżała w odległości paru dziesiątków kroków. Pokład uciekał spod stóp, zmieniając ustawicznie położenie. Ciemność. Mgła. Obydwaj zdawali sobie sprawę, że tych paru kroków mogą nie przebyć nigdy. Wczepili ręce w metalowe uchwyty. Ruszyli, idąc jeden obok drugiego w kierunku niewidocznej rufy.

To była ciężka, nad wyraz ciężka droga.

Szli powoli. Przyspieszenie kroku w tych warunkach nie było możliwe. Wystarczyło zaczepić w gęstym mroku nogą o jakiś odłamek, których po poprzednich wybuchach nie brakło. Wewnątrz skrzynek miarowo chrobotał cichy zgrzyt. Rozumieli, co on znaczy. Mechanizm zegarowy pracował z nieubłaganą dokładnością. W pewnym momencie dotknie iglicy... To były dziesiątki kilogramów materiału wybuchowego.

Kostrzewa czuł, jak mu pot ścieka nieprzerwanymi strumieniami po twarzy.

Słaby odbłask lampy, obok której przechodzili, padł na twarz Sorka. Rysy ściągnięte w jakąś niesamowitą wprost maskę. Z na wpół otwartych ust wypływało ciężkie rżenie przerywanego

oddechu. Szedł jednak nieustępliwie naprzód, wlepiając wzrok pod nogi. Ani przyspieszał, ani zwalniał. Ruchy jego zdawały się być ruchami nakręconego automatu.

Ktoś przeciął drogę. Zawahał się, jakby zamierzając przystanąć i zagadnąć.

- Precz! - warknął ochryple Sorek. - Uciekaj!

Tamten odszedł. Nawet nie zapytał, co to znaczy. Widocznie ludzie na statku przestali się czemukolwiek dziwić.

Wędrówka trwała nieskończenie długo. W pewnym momencie Sorek potknął się o coś. Na szczęście zdołał zachować równowagę.

- Mmmoże... zzza... bburte? - to brzmiało niemal jak jęk.

- Nnie - Kostrzewa nie poznawał dźwięku własnego głosu. - Na nic... Musimy za rufę...

- Racja... za rufę - jakby słowa rwały się kawałkami gdzieś w głębi piersi.

W skrzynkach zachrobotało głośniej. Odgłos wykręcającej się do końca sprężyny?

Do rufy pozostało zaledwie parę kroków. Niekiedy jednak nawet pół kroku stanowi odległość, której człowiek już nie potrafi przebyć.

Znowu chrobot... Coś jakby ostrzegawcze cyknięcie...

## II

- Wciąż mgła? - Miechowiec przez te parę godzin jakby postarzał się o wiele lat.

Lerski oparł się o kant biurka.

- Mgła - potwierdził. - Dane meteorologiczne bynajmniej nie zapowiadają jej ustąpienia. Rozległy niż barometryczny... Zalega teraz cały obszar... - przesunął dłonią po zawieszzonej na ścianie mapie. - Niedługo prawdopodobnie dotrze do Gdyni.

- Więc żadnych możliwości poszukiwań?

- Żadnych.

Miechowiec przełknął ślinę.

- Ale natychmiast po ustąpieniu mgły - ciągnął dalej Lerski - zostaną wysłane samoloty. Dowództwa jednostek lotniczych stacjonowanych na najbliższych położonych lotniskach zapewniły okazanie jak najdalej idącej pomocy.

Major poruszył się, jakby usiłował zrzucić z siebie coś dokuczliwie uwierającego.

- Ale to wszystko dopiero wtedy, gdy ustąpi mgła?

- Dopiero wtedy - powiedział bezdźwięcznie Lerski.

## I

- Biegiem! - syknął Kostrzewa. Nie było co dłużej bawić się w ostrożności. Wybuch nastąpiłada moment. Jednym tchem przebyli te parę metrów. Nie uważali już teraz na nic. Aby prędzej. Aby wyprzedzić choć o drobny ułamek sekundy chwilę, gdy skrzynie w ich rękach rzygną niszczycielskim ogniem.

Nie zdawali sobie sprawy, w jaki sposób zdołali dopaść bariery. Skrzynie były ciężkie. Nie można jednak po prostu opuścić ich do wody. Ster, śruba...

- Jak najdalej! - wycharczał Kostrzewa. Dobył resztek sił, by wziąć rozmach. Miał wrażenie, że pękają mu żyły w ramionach.

Rzucił. O jakąś tam nikłą chwilę przedtem wyleciała poza burtę skrzynia niesiona przez Sorka.

Śruba zdążyła wykonać zaledwie kilkanaście obrotów, gdy morze za rufą stanęło nagle dęba. Podmuch odrzucił ich w tył. Runęli na pokład. Potworna fala uderzyła z góry. Kostrzewa czuł, jak go unosi w kierunku wyrwy, która powstała w burcie. W ostatniej chwili zdołał kurczowo wczepić palce w żelazną podstawę kotwicznej windy.

Wrzący pianą potok wreszcie odpłynął. Podniosła się następna fala, podrzucając gwałtownie rufą. Tym razem jednak nie dotarła na pokład. Jeszcze parę niespokojnych drgnięć i statek odzyskał równowagę. Monotonne bulgotanie śruby brzmiało w uszach Kostrzewy jak najwspanialsza muzyka. A więc nie została uszkodzona. Podniósł się z trudem. Całe ciało bolało, jakby przejechał po nim wóz wyładowany kamieniami. Rozejrzał się niespokojnie. Co z Sorkiem? Nigdzie go nie widział. Czyżby go zmyło z pokładu?

- Soorek! - zamiast okrzyku, z ust wypłynęło coś w rodzaju chrapliwego szeptu.

Odchrząknął.

- Sooorek! - teraz głos zabrzmiał o wiele donośniej.

Coś się poruszyło za skrzynią z piaskiem.

- Jestem - wychynął spoza skrzyni, zaciskając ręce na jej krawędzi. Postąpił w kierunku Kostrzewy, wciąż jednak nie puszczając podpory. Widocznie nie czuł się jeszcze zbyt pewnie na nogach.

- Cały?

- Właśnie. Najparadniejsze, że tak. Byłem pewny, że mnie rozniesie na strzępy. A potem, że wyjadę na fali. Nnno... jakoś... Siniaków, prawdę powiedziawszy, nie brakuje, ale co tam - machnął lekceważąco ręką. - Głupstwo!

- Pewnie, że głupstwo - Kostrzewa objął go wpół. - Niewiele brakowało, bracie, żebyśmy obydwaj zmienili się w parę aniołków ze skrzydełkami - roześmiał się.

Sorek splunął.

- A bo nie wiem? Jak w tej skrzyni chrobotnęło, myślałem, że już amen.

- Miałeś pietra?

- Jeszcze jak. Serce, powiadam ci, przez cały czas gardłem mi wyłaziło. Bo to przyjemnie własną śmierć tulić do piersi. Ale... - otrzepywał w zamyśleniu wodę z westki. - Cóż było robić? Rzucić, żeby cały statek diabli wzięli? No to tuliłem dalej. A zresztą, co tu kalkulować? Jak przyjdzie mus, to człowiek dużo rzeczy może zrobić, o których aniby mu się nawet normalnie nie śniło.

## II

Bartczak co chwila sięgał palcami do bandaża spowijającego głowę. Widać było, że mu mocno przeszkadza.

- Więc już więcej żadnych bomb nie ma na pokładzie?

- Chyba nie - odpowiedział Kostrzewa. - Raczej nawet na pewno - dodał po chwili namysłu.

Kapitan odetchnął głośno.

- Ależ wzięli nas do tańca. Nigdy bym nie przypuszczał, że coś podobnego w ogóle jest możliwe. Ale zaraz... miałem pana już wtedy o to zapytać... Tylko... - odciągnął go w bok.

- Czy pan jest doktorem medycyny? - zniżył głos do szeptu.

Krótką chwilą wahania.

- Tak. Uważa pan, że komuś potrzebna jest moja pomoc?

- Miał pan może coś wspólnego z chirurgią? - Kapitan nie dosłyszał widocznie pytania, zaaferowany własną myślą.

- Z chirurgią? - powtórzył Kostrzewa. Wargi jego drgały w uśmiechu. - Owszem. Ale o co chodzi? Rozumie pan przecież, że marynarz Kotera nie może być chirurgiem. Rolski zaś...

- Tss - przerwał mu niecierpliwym syknięciem - Rolski, owszem. I zdaję sobie doskonale sprawę, że nie wolno się panu dekonspirować. Ale... Widzi pan... Kaniewski...

Kostrzewa zaniepokoił się.

- Czyżby jego stan był aż tak poważny?

- Rana postrzałowa jamy brzusznej. Rolski mówi, że kula prawdopodobnie porozrywała jelita. Twierdzi, że jeżeli w ciągu godziny nie przeprowadzi się operacji, nic nie będzie w stanie go uratować.

- Oo! Tak powiedział? - Kostrzewa był już pewny, że Rolski go przejrzał.

- Dokładnie tak. Więc myślałem, że jeżeli pan jest lekarzem, a... Ja wszystko rozumiem - dodał pospiesznie, jakby chcąc uprzedzić odmowę - wszystko. Gdy jednak w grę wchodzi życie człowieka, którego można by ocalić...

Kostrzewa gryzł wargi. To nie było takie proste.

Zadanie jeszcze nie dobiegło końca. Należało ustalić, czy na statku nie pozostał ktoś ze współników przestępców. Lena... Marska. Poprawił się szybko w myśli. Sprawa z niebieską kopertą wymagała bezwzględnie wyjaśnienia. I Kaniewski. Właśnie on. Jaki był jego udział w usiłowaniach uszkodzenia śruby? Bo jeżeli by się opierać na spostrzeżeniach... Mógł przecież w ostatniej chwili zmienić front. A jego obowiązkiem jest ustalenie całej obiektywnej prawdy tajemniczych zdarzeń, które miały miejsce na statku. Po dekonspiracji nie będzie mógł dalej prowadzić dochodzenia. W każdym razie nie w taki sposób jak dotychczas.

- I cóż, doktorze? - Bartczak nie mógł się doczekać decyzji. Skinął wreszcie głową.

- Dobrze, ale to, że ja będę operować, musi pozostać w największej tajemnicy. Rozgłosi pan, że Rolski ma dokonać jakiegoś poważniejszego zabiegu... Powiedzmy - wydobywania kuli...

- A pan, doktorze? W jaki sposób upozorować przed ludźmi pana udział?

Tak, to była rzeczywiście komplikacja. Tego się przecież nie da ukryć.

- Cóż... - machnął ręką. - Można powiedzieć, że w czasie wojny byłem sanitariuszem. Ponieważ zaś Rolski nie zdołał sobie sam poradzić... Może uwierzą...

### III

Rolski podniósł powoli głowę. Niklowana pokrywa dużego sterylizatora odbiła w groteskowo zniekształconej formie jego twarz.

- Przygotowałem już, co mogłem. Wiedziałem, że pomimo wszystko postąpi pan, doktorze, właśnie w ten sposób.

Ani na chwilę nie przestawał się krzątać. Kostrzewa spojrzał na sterylizator.

- Komplet?

- Tak. To moja osobista własność. A to nasz stół opatrunkowy... - głos felczera brzmiał niepewnie.

Kostrzewa nawet nie popatrzył. Pamiętał go dokładnie. To był jeden z najnowocześniejszych typów.

- Wystarczy aż nadto. Niech mi pan powie - włożył podany przez Rolskiego fartuch - kiedy się pan domyślił?

- Już wtedy, gdy usłyszałem o tej pana „astmie” - uśmiechnął się - zaczęło mi coś chodzić po głowie. Tak dokładne objawy i tak wspaniale przemieszane... Widzi pan, doktorze, prosty człowiek, niemal analfabeta, za jakiego chciał pan uchodzić, nie potrafi szczegółowo określić swego stanu. Potem Sielawa. Wreszcie gdy zobaczyłem, w jaki sposób bada pan Marską, nie miałem już wątpliwości. Takie badanie może przeprowadzić tylko lekarz. I do tego chirurg.

- Ale, kolego - Kostrzewa lekko akcentował słowa - to musi pozostać w absolutnej tajemnicy. Są pewne względy, o których nie wolno mi mówić...

- Jasne. Jeżeli chodzi o mnie, może pan być pewny całkowitej dyskrecji.

Przenieśli wspólnymi siłami Kaniewskiego na stół. Wciąż jeszcze nie odzyskał przytomności. Dawał bardzo słabe oznaki życia.

Kostrzewa długo badał plus. Potem osłuchał serce. Wypadek był podobny, ale do operacji przystępował w daleko mniej korzystnych warunkach niż wtedy. Musiał się zadowolić powierzchownym osłuchaniem. Ani wyników dodatkowych badań, ani rentgena.

- Myślę, że serce za słabe do narkozy. Lepiej byłoby zastosować znieczulenie miejscowe.

- Coś się znajdzie.

- Dobrze.

Jeszcze raz zmierzył tętno. Określił dozowanie. Poleciał przygotować środki podtrzymujące działalność serca.

Podszedł do umywalki, puszczając strumień wody na ręce. Przypomniały mu się dawno minione chwile. Tak samo w białym fartuchu i myccie na głowie. Tak samo nieskończoną ilość razy mydlił dłonie, splukując z zółwią powolnością. Tak samo leżały obok gumowe rękawice, czekając na swoją kolej. I nagle poczuł chybotanie podłogi pod nogami. Kostrzewę ogarnęły wątpliwości.

- Nigdy nie przeprowadzałem operacji na statku. Ta chwiejba... - bąknął.

- Tak - zasępił się Rolski - gdy się ma do czynienia z jamą brzuszną...

Nagle uderzył się z rozmachu dłonią w czoło.

- Oliwa!

Minęła chwila, zanim Kostrzewa zrozumiał, o co mu chodzi.

- Ma pan na myśli zmniejszenie chwiejby przez rozlanie na morze oliwy?

- Tak. Wprawdzie nigdy nie widziałem, jak to działa, jednak dużo słyszałem. Podobno nawet największe fale... Wieziemy przecież cały transport beczek. - Wypadł pędem z ambulatorium.

#### IV

- Oliwa? - Bartczak wahał się krótko. Proszę zawołać bosmana Bocińskiego.

Bosman stawiał się niemal natychmiast.

- U drugiego oficera Kaniewskiego musi być przeprowadzony poważny zabieg. To kwestia życia czy śmierci. Rolski proponuje użycie oliwy dla uciszenia fal. Co pan o tym sądzi? Bociński tarmosił w zamyśleniu koniec ucha.

- No, cóż - oznajmił wreszcie. - Oliwa niewątpliwie pomaga.

- Brał pan kiedy udział w takiej akcji?



- Tak. W czasie katastrofy „Baltiih w trzydziestym szóstym. Tylko że wtedy chodziło o spuszczenie łodzi ratunkowych.

- Potrafiłby pan zastosować to i teraz.

- Chyba potrafiłbym. Cała sztuka polega na tym, ażeby rozlewać równiutkimi warstwami. Wtedy na wodzie tworzy się coś w rodzaju kożucha, który zapobiega powstawaniu fal. Oczywiście maszyny muszą być przez cały czas zastopowane.

- Jasne - Bartczak, który ze słabo maskowanym niepokojem oczekiwał na odpowiedź, ucieszył się. - Proszę wziąć więc z ładowni beczki i przystąpić do dzieła.

Bociański zamierzał odejść, zatrzymał się jednak w progu i popatrzał pytająco na Rolskiego.

- Jak długo ma trwać ten zabieg?

- Co najmniej godzinę.

- Godzinę? - przeciągnął. - Nie - pokręcił głową. - Tak długo nie da rady na pewno.

- A gdyby... trzy kwadransy?

- Nie wiem. Spróbuję. Już go nie było.

Rolski mszył niemal pędem w kierunku ambulatorium.

## V

- Ostrożniej - tubalny szept Bociańskiego słyhać było chyba w najodleglejszych zakątkach statku. Macie zamiar wylakierować oliwą bok? Obejdzie się...

Już biegł ku przeciwległej burcie.

- Gdzie chłapiasz? - napadł na kóregoś. - Chcesz, żeby po morzu pływały szprotki w oliwie? Nie starczy zapasu.

Starali się, jak mogli. Wyłazili ze skóry, żeby wykonywać jak najdokładniej polecenia. Początkowo niewielu wierzyło w skuteczność. Po paru minutach musieli uwierzyć wszyscy. Chwiejba rzeczywiście ustała. Odczuwało się tylko lekkie dygotanie, jakby statek szedł po szynach.

Rozmawiali przyciszonym szeptem. Stąpali na czubkach palców.

Dziesiątki trwoźnych spojrzeń kierowało się ku ambulatorium. Wiedzieli, że tam w tej chwili rozstrzyga się walka o ludzkie życie.

## VI

Zanim jeszcze skończył słowo, Rolski już mu podawał żądane narzędzie. Szło nadzwyczaj sprawnie. Musiał asystować przy wielu operacjach. Kostrzewa ciął. Nakładał szwy. Znowu ciął. Ostrożnie wsunął szczypce pomiędzy pulsujące trzewia. Odłożył je po krótkiej chwili.

- Na nic. Jak tętno?

Ale Rolski właśnie pocierał watką miejsca po zastrzyku. Widocznie musiało osłabnąć.

Zanurzył palce. Wyczuł poprzez gumę rękawicy twardziznę podłużnego przedmiotu. Wyłuskał.

- Jest.

- Pokryty otoczką krwi metal stuknął o dno podstawionego słoja. Znowu szły żywe ciało. Zupełnie przypadkiem dotknął czegoś, co go zastanowiło. Nachylił się niżej. Na dolnej części żołądka coś przypominającego krwistego pająka. Guz? Zawahał się. Czterdzieści pięć minut to bardzo niewiele. Właściwie guz mógł poczekać na sposobniejszą porę. To nie groziło śmiercią. Skoro jednak jama brzuszna była już otwarta? Otwierać ją ponownie?

- Jak tam tętno?

Rolski odpowiedział, było zadowolające.

Zdecydował się. Znowu padały krótkie polecenia. Znowu z dokładnością automatu Rolski podawał narzędzia. Guz był mocno rozgałęziony. Jeden po drugim podważał wrosnięte w żywą tkankę korzenie. Gotowe. Włóknisty ochłap wpadł do słoja.

Operacja była skończona.

## VII

W południe jeszcze żył. Kostrzewa po badaniu pokiwał z zadowoleniem głową. Oczywiście, trudno było jeszcze mieć pewność.

Z Leną natomiast coś zaczęło się komplikować. Gorączka, mdłości. Ze spękanych warg wypływały strzępki niezrozumiałych słów. To nie wyglądało na wyłącznie zewnętrzne obrażenia. W tych warunkach należało się poważnie liczyć ze wstrząsem mózgu.

Z niepokojem przystąpił do zbadania podstawy czaszki. Odetchnął z ulgą. Kość była cała. Przynajmniej o ile dało się wyczuć palcami. Kręgosłup również nie wykazywał żadnych wyczuwalnych zmian. Rentgen... Ale skąd go wziąć?

Lód. Zastrzyki, okłady. Stan nie ulegał jednak żadnej poprawie.

Wysiadywał przy jej koi całymi godzinami. Nie miał już wacht. Oficjalnie nazywało się, że został przydzielony Rolskiemu jako sanitariusz. Nikogo to nie dziwiło.

O tym, jak sprawa wyglądała w rzeczywistości, nie wiedział oprócz Rolskiego nikt poza kapitanem i Igielnickim. Nie wpuszczano odwiedzających do lazaretu.

- Stan chorych jest tak poważny... - tłumaczył Rolski.

Rozumieli wszyscy. Żaden nie usiłował łamać zakazu. W dalszym ciągu chodzili na palcach i mówili przyciszonym głosem. Niejeden zrywał się gniewnie na wycie syreny. Czyż w tych warunkach może się komu polepszyć? Ale na to nie było rady. Mgła nie ustępowała.

Rolski bez przerwy nakładał opatrunki. Niemal nikt z załogi nie wyszedł bez szwanku. Niektórym zresztą na rozmaite sińce i guzy wystarczały okłady.

## VIII

Kaniewski ociężale uniósł powieki. Źrenice miał mętne. Popatrzył na Kostrzewę. Nie poznał go jednak. Spojrzenie dłużej zatrzymało się na białej plamie nakrochmalonego fartucha.

- Po co... po co... było dok... torze? Przecież to beznadziejne... - znów zapadł w ciężki, gorączkowy sen.

Kostrzewa potrząsnął głową.

- Jeżeli nie zajdą jakieś nieprzewidziane komplikacje... Rolski jednak nie był tak ostrożny.

- Będzie żył. Głowę bym dał, że się wyliże.

Spojrzał na zegarek i wyszedł do ambulatorium. Wciąż jeszcze miał tam sporo roboty. Kostrzewa został w lazarecie sam.

Z ust Kaniewskiego wypływał chrapliwy, zadowolająco jednak miarowy oddech. Nie potrzebował w tej chwili opieki. Natomiast Lena... Przysiadł przy jej koi. Patrzył przez chwilę z niepokojem na pałającą gorączką twarz. Ujął zwisającą bezwładnie rękę. Ze zmarszczonymi brwiami liczył tętno. Wciąż było niepokojące. Nie puścił ręki, przytrzymując w swoich dłoniach. Zaczęła coś szeptać. Nachylił się, by lepiej słyszeć.

- Koperta...

Drgnął jakby smagnięty biczem. Podśluchiwać? I to teraz, gdy może już za kilkanaście godzin...

- Przecież będzie żyła. Musi żyć...

- Staruszka... złoty krzyżyk... W rękach książka. Galsworthy'ego Rodzina... Bo... gdyby zaszła omyłka...

To była paskudna chwila. Walczył z pragnieniem odejścia od koi. Jak najdalej, byle tylko nie słyszeć... Poderwał się z krzesła, opadł jednak na nie z powrotem. Będzie słuchać. Zanotuje każde słowo w pamięci. Musi. To jest jego obowiązkiem. Zaciśnął kurczowo pięści. Paznokcie wpiły się głęboko w dłoń. Nie czuł tego. Pochylił się jeszcze niżej. Nie patrzył już na jej twarz. To byłoby ponad siły. Słuchał. Słuchał i nic więcej... Żeby zamilkła... Żeby zaczęła bredzić o czym innym...

Nie zamilkła jednak.

- Nie... nie wezmę tej koperty... Nie, niech pani nie płacze. Można przecież... pocztą.

„Pani? „Pocztą? Jeszcze nie śmiał wierzyć. Czyżby naprawdę koperta nie miała nic wspólnego ze sprawą sabotażystów?

- Medalion... prawda... Mogliby skonfiskować... - wrywały się dalej słowa. - Ale to złoto... Nie wolno... Cienka... bezwartościowa blaszka?... Tak, rzeczywiście... bardzo cienka... Lok włosów pani

brata, który zmarł jako dziecko? Nie, naprawdę nie mogę... Jestem przecież na służbie... Tamto matka?... Ale... w tym liście... Jeżeli coś, czego... nie... wolno... przepraszam, że czytałam.. pani powinna zrozumieć, że... Dobrze już... spróbuję...

Ucichła. Mrok ustąpił sprzed oczu. Kostrzewa. Medalion z włosami zmarłego dziecka...

Przytulił jej dłonie do swojej twarzy. Miał wrażenie, że w lazarecie stało się jakby nagle jaśniej.

## IX

- O! - we wzroku Kaniewskiego zamigotało zdziwienie. - Kotera... Jesteś sanitariuszem?

Kostrzewa odpowiedział wymijająco.

- Kapitan przydzielił mnie do lazaretu.

Wściekał się na samego siebie, że nie ułożył zawczasu jakiejś wiarygodnej historyjki. Kaniewski był zupełnie przytomny. Gorączka opadła. Teraz już nie można było żywić wątpliwości. Operacja się udała.

- Byłem, zdaje się, postrzelony w brzuch?

- Tak - Kostrzewa nachylił się nad szafką z lekarstwami. Udawał bardzo zajętego. Pytania stawały się coraz bardziej kłopotliwe

- W jaki więc sposób pozostałem przy życiu? Przecież postrzał jamy brzusznej...

W tej samej chwili na progu stanął Rolski. Na widok uniesionej głowy Kaniewskiego twarz mu pojaśniała.

- Pan pozwoli tu bliżej - poprosił chory.

Rolski rzucił Kostrzewie pytające spojrzenie. Ten jednak jeszcze niżej nachylił głowę nad słoikami. Nie zdołał sobie jeszcze ułożyć linii dalszego postępowania. To nie było takie proste. Tak czy inaczej dochowanie tajemnicy wyglądało raczej mocno problematycznie. Nic jakoś nie przychodziło mu do głowy. Żeby chociaż zapobiec, aby to się nie rozniosło po całym statku.

- Proszę usiąść! - Kaniewski wskazał stojące obok wezglowia koi krzeselko.

Rolski usłuchał z taką miną, jakby mu proponowano zajęcie miejsca na rozżarzonej do czerwoności żelazie. Raz po raz przyzywał wzrokiem Kostrzewę na pomoc. Kostrzewa jednak udawał, że tego nie widzi.

- Pan zakładał mi opatrunek?

Oczy Rolskiego szukały usilnie czegoś na podłodze.

- Hm... opatrunek. Tak, rzeczywiście został założony. - Miał przy tym bardzo niemądrą minę.

- To kula przeszła na wylot? - Kaniewski usiłował wsunąć ręce pod swoje plecy.

Powstrzymał go.

- Nie wolno. Żadnych takich ruchów. To mogłoby bardzo zaszkodzić.

- Ale kula...

- Kula została wyjęta - uparcie odwracał twarz, aby tamten nie mógł dojrzeć jej wyrazu.

Kaniewski zamrugał powiekami

- Pan ją wyjął?

- Została usunięta - powtórzył uparcie. - Chce pan ją może zobaczyć? - usiłował się zerwać z krzesła. Kaniewski jednak złapał go za rękaw fartucha.

- Kto ją wyjął?

- Ona... - odchrząknął bezradnie. Nagle podniósł głowę. Widocznie coś mu wpadło na myśl. - Ona tkwiła zupełnie płytko. Niemal pod skórą - wypalił szybko.

Kostrzewa pokiwał aprobująco głową. To było bardzo sprytne posunięcie. Czy na długo jednak zdoła zaspokoić ciekawość pacjenta?

Kaniewski milczał przez chwilę. Ściągnięte brwi wskazywały, że nad czymś się zastanawia.

- Proszę powiedzieć mi szczerze - zniżył głos. - Czy pańskim zdaniem będę żyć?

Rolski ożywił się.

- O... z całą pewnością. Może pan być stuprocentowo pewny, że się z tego wyliże bez żadnych niekorzystnych dla organizmu skutków. Mała blizna - to wszystko.

Poblądł jeszcze bardziej. Zupełnie jakby usłyszał tragiczną wiadomość.

- Tak... Dziękuję - głowa opadła bezwładnie na poduszkę. Zamknął oczy - chciałbym się teraz trochę przespać - wyszeptał, nie otwierając oczu - czuję się niezbyt mocno - wargi wykrzywił nieokreślony grymas, mający zapewne imitować uśmiech.

Kostrzewa jednak podejrzewał, że Kaniewski udaje.

Zamyślił się. Zachowanie Kaniewskiego sprawiało dziwne wrażenie. Dlaczego wiadomość o tym, że pozostanie przy życiu, przyjął jako coś przerażającego? To było zupełnie wyraźne. Ale z jakiego powodu pragnął śmierci?

## X

Rolski przyłapał go tuż za progiem. Przez cały czas rozmowy zerkał ustawicznie na drzwi lazaretu, jakby oczekując spoza nich wezwania.

- No, wie pan, doktorze... Wrobił mnie pan w taką sytuację. Chyba trudno o głupszą.

Kostrzewa uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Sam jeszcze nie wiem, jak mamy postąpić dalej.
- Ale przecież prędzej czy później będziemy musieli powiedzieć.
- I ja się obawiam, że tak. Wolałbym jednak, by to nastąpiło możliwie jak najpóźniej.
- Co mam robić, jak mnie znów przyciśnie do muru?
- Wykręcać się, dopóki można.

## XI

Do wyjaśnienia sprawy operacji doszło jednak w okolicznościach, których żaden z nich nie mógł oczekiwać.

Tej nocy Kostrzewa postanowił czuwać przy koi Leny. Czwarta noc. W chorobie musi wężście nastąpić jakieś przesilenie. Albo odzyska przytomność, albo też powinny wystąpić jakieś objawy, które pozwolą na dokładniejsze określenie charakteru urazu. Mogła również zajść potrzeba natychmiastowej interwencji. Z mózgiem nie ma żartów. Zauważył, że Onyżko, która zaofiarowała się czuwać przy niej, przeważnie drzemie. Nie można było na nią właściwie liczyć.

Zajrzał parę razy do Kaniewskiego. Wyraz jego oczu nie mógł mu wyjść z głowy. Tak patrzą desperaci. Diabli wiedzą, co mu może przyjść na myśl. Było tuż po północy, gdy uchylił drzwi po raz czwarty. Zorientował się w jednej chwili. Dwoma susami był przy nim. Obezwładnienie szarpiących bandaż rąk nie sprawiło trudności. Był słaby jak dziecko. Z gorączkowym pośpiechem poprawił opatrunek. Na szczęście zdążył na czas.

Kaniewski odpychał go bezsilnymi rękoma.

- Zostaw... - charczał. - Jeżeli jesteś człowiekiem, daj mi umrzeć. Przecież ja i tak...

Kostrzewa kończył nakładać bandaż.

- Ale dlaczego? - Stał nad nim w pogotowiu do ponownego uwięzienia dłoni, gdyby zbliżyły się do opatrunku.

Kaniewski jednak załamał się zupełnie. Ukrył twarz w rękach.

- Gdybyś wiedział, nie przeszkadzałbyś. Rak... - słowa rwały się nabrzmiałymi szlochami strzępami. - Rak żołądka... Czyż sam nie rozumiesz, co to znaczy? Jesteś przecież sanitariuszem. Dość już mam tych cierpień!

Kostrzewa położył łagodnie dłoń na ramieniu Kaniewskiego.

- Rak żołądka? Ale...

Tamten jednak nie dał mu skończyć.

- Rak... Już prawie pół roku... Czy ty zdajesz sobie sprawę, jaki to ból? Nie... tego nikt nie jest w

stanie sobie wyobrazić... Wtedy gdy mnie spotkałeś... Pamiętasz? Szedłem na rufę... aby... Chciałem zabrać ze sobą wszystko... co dotyczyło tej choroby... Recepty, lekarstwa... Morfinę... Tak... - roześmiał się boleśnie - do tego już doszło... Myślałem... mgła i morze pochłonie bez śladu... - Ale tam, gdy już stałem nad burzą, pomyślałem o żonie...

Kostrzewa przymrużył oczy. Więc to stanowiło przyczynę podejrzanego zachowania się drugiego oficera? Na tym polegało jego przestępstwo!

Ułożył go delikatną przemocą z powrotem na poduszki.

- Proszę się uspokoić. I słuchać... Nie ma raka... Kaniewski spojrział na niego ze zdumieniem.

- Skąd możesz wiedzieć? Lekarz, u którego byłem...

- Mógł się pomylić w diagnozie - przerwał mu Kostrzewa. - Przecież otwierałem pańską jamę brzuszną. Owszem, na żołądku był guz. Nieszkodliwy włókniak. To widać nawet bez badania onkologicznego.

Kaniewski osłupiał.

- Włókniak nieszkodliwy... otwierałeś jamę brzuszną... - bąkał takim głosem, jakby znów powróciło gorączkowe bredzenie. Widać było, że nic z tego wszystkiego nie rozumie. - Ty otwierałeś jamę brzuszną... Ty?

Kostrzewa uznał, że dłuższe utrzymywanie tajemnicy wobec niego jest niemożliwe. Zresztą odpadała najpoważniejsza przyczyna. Z czystym sumieniem mógł go wykreślić z listy podejrzanych. Rzeczywiście, teraz doszedł do wniosku, że to, co dojrzał wtedy u niego pod pachą, wyglądało raczej na paczkę lekarstw niż na linę.

- Tak, ja - potwierdził spokojnie.

Oczy Kaniewskiego rozszerzył wyraz bezbrzeżnego zdumienia.

- I ty wyciąłeś guz z żołądka?

- Tak. Pokażę go panu, żeby się pan wreszcie uspokoił.

- Ale kim jesteś?

Kostrzewa uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Ma pan się prawo tego dowiedzieć. Jestem doktorem medycyny. Chirurgiem. Zaszły pewne okoliczności... - urwał, widząc, że wszystko pozostałe nic go nie obchodzi.

Kaniewski przymknął powieki...

Kostrzewa pobiegł po słoik z wyciętym nowotworem. Było mu dziwnie lekko na duszy. Mógł go śmiało pozostawić samego. Teraz już nie zachodziła obawa powtórzenia zamachu samobójczego. Teraz już nie...

- Oto - powrócił po chwili - myomata, która narobiła wam tyle strachu.

Zapalił dodatkowe światło, by mógł lepiej widzieć. Podsunął mu słój pod oczy.

- Przyjrzy się pan dokładnie, żeby nie miał pan wątpliwości. Owszem, to mogło dawać silne bóle, ze względu na umiejscowienie. Wie pan, człowiek przeświadczony, że ma raka, zawsze sobie wyobraża więcej, niż jest w rzeczywistości. To zupełnie normalny objaw. Proszę się nie obawiać - pokiwał głową z uspokajającym uśmiechem - wycięty w całości. Nie pozostawiłem nawet kawałeczka.

Głowa Kaniewskiego opadła na poduszkę. Bezkrwiste wargi rozjaśnił szczęśliwy uśmiech.

## XII

Ta noc była w ogóle nocą radosnych niespodzianek. Onyżko oczywiście tkwiła wygodnie rozciągnięta w swoim fotelu. Ani drgnęła, gdy przechodził tuż obok. Tym razem już nawet nie drzemka. Zwyczajny, normalny sen. Na domiar dosyć głęboki.

Kostrzewa obrzucił niespokojnym spojrzeniem twarz Leny. Aż przystanął. Przeraziła go jej bladość. Czyżby? Serce zatłukło niespokojnie. Przypadł do koi. Sięgnął po leżącą na kocu dłoń. Była chłodna. Tętno? Pomimo wprawy mylił się kilkakrotnie w liczeniu. Wreszcie złapał rytm. Niezbyt jeszcze mocne, za to zupełnie miarowe. Ogarnęła go radość i jednocześnie rozrzewnienie. Najgorsze już poza nią. Gorączka spadła.

Położył ostrożnie rękę z powrotem na kocu. Niech śpi. Teraz sen stanowił dla niej najskuteczniejsze lekarstwo.

Obudziła się jednak. Może poczuła wzrok utkwiony w swej twarzy, może z jakiegoś innego powodu.

Powoli otworzyła oczy, jeszcze przesłonięte mgiełką snu.

- Jurek! - Niemal przezroczystą niemal twarz rozświetlił promienny uśmiech. - Jerzy... Więc wszystko tamto było tylko złym snem?

- Tak, kwiatuszku - nachylił się nad nią, całując jej wilgotne czoło - tylko złym snem.

- A... - zakryła oczy powiekami. - A twoja narzeczona?

- Nie mam narzeczonej - głaskał rozsypane włosy - nigdy nie istniała.

## XIII

Skrzynia oznaczona numerem 9A nie różniła się na wygląd niczym od innych. Deski solidne, gwoździe wbite mocno. Naciskanie boków nie dało żadnych rezultatów. Próby odciążenia ich - również. Nigdzie najmniejszego choćby luzu. Dostęp wygodny, ale takich było w ładowni sporo. Kostrzewa miał już odejść dalej, gdy zupełnie przypadkowym ruchem pchnął końcem palca jedną z obręczy. Posunęła się. Aż drgnął takie to było nieoczekiwane. Może mu się tylko wydawało? Albo po prostu słabiej umocowana? Nachylił się, oświetlając dokładniej. Obręcz jak i inne. Główki gwoździ na swoich miejscach. Ale czy te główki miały dalszy ciąg? Bo luz obręczy zdawałby się temu przeczyć.



Popchnął obręcz mocniej. Znowu ustąpiła pod naciskiem palca. Przesunęła się o jakieś dwa centymetry. Wewnątrz jakby coś zachrobotало.

Nacisnął deski. Szarpnął je ku sobie. Żadnego skutku.

Wymierzył palcem przesunięcie obręczy. Odchylenie równało się mniej więcej połowę jej szerokości. Rygiel? Ale, oczywiście, mogło być również niedbałe wykonanie skrzyni.

Spróbował przesunąć obręcz dalej. Ustąpiła. Jeszcze z półtora centymetra. Potem już stop. Natrafiła na jakiś opór. Ale na powierzchni skrzyni nie było nic takiego, o co by się mogła zahaczyć.

Szarpnął jeszcze raz deski. Ruch był zbyt gwałtowny. O mało nie runął w tył. Część boku otworzyła się na kształt podłużnych drzwiczek.

Sielawa, który od niechcienia obmacywał sąsiednią skrzynię, przyskoczył jednym susem.

- Cholera! - zaklął podniecony. - Otworzyło się?

Kostrzewa skierował światło swej latarki w głąb otworu.

- Rany! - Sielawa wychylił się, jakby miał zamiar cały wleźć do wnętrza. - Melina jak się patrzy. Ależ urządzenie - westchnął z podziwem. Kabina pierwszej klasy i tyle. - Słuchaj - szarpnął Kostrzewę za rękaw - może bym jednak poleciał po starego? Bo ostatecznie...

Kostrzewa sam właśnie chciał go o to poprosić.

- Leć.

Sielawa o mało nie połamiał nóg, z takim pośpiechem lawirował pomiędzy skrzyniami... Po upływie paru minut w ładowni zjawił się Bartczak. Lekko zasapany oddech świadczył, że też mu było pilno ujrzeć odkrycie. Przybiegł również i Igielnicki. Uznał za specjalnie szczęśliwy dla siebie zbieg okoliczności, że dyżur wypadł akurat na Nowackiego.

- Chłopak ma wyraźnego pecha - zdążył oświadczyć kapitanów. - Ile razy na statku dzieje się coś ciekawego, akurat musi sterczeć na wyżce.

Kostrzewa tymczasem zdążył pootwierać również i pozostałe skrytki.

Oglądali skrzynie na wszystkie strony.

- Proszę - Igielnicki strzelił głośno palcami - co za kultura! Komfort, higiena i bezpieczeństwo. Niemal przenośna willa. Czegóż więcej można wymagać przy odgrywaniu roli nieuchwytnego cienia?

Bartczak posapywał z oburzenia.

- Skandal. Niebywały skandal. Ciekawym, w jaki sposób spedytor potrafi to wytłumaczyć. No, ja już... - aż go zatykało.

# I

Siedzenie przy radioodbiorniku w kabinie kapitana przypominało jakieś niesamowite seanse samoudręczenia. Nie potrafili się jednak od tego powstrzymać. To była ostatnia więź łącząca zatopiony w bezkresnej mgle statek ze światem zewnętrznym. Niestety, więź jednostronna. I to właśnie najbardziej przygnębiało. Słyszeli, jak ich wywołują. Słyszeli pełne troski zapytania o ich los. I nie byli w stanie odpowiedzieć.

- No proszę! - Bartczak szarpał skórzaną zakładkę do książki. - Szukają nas. A my... - wzruszył o ciężale ramionami. - Cóż jesteśmy w stanie zrobić? Nic.

Tym razem Igielnicki nie potrafił znaleźć żadnego konceptu. Zdawał sobie doskonale sprawę, co przeżywają rodziny i przyjaciele ludzi znajdujących się na statku.

Bartczak wyłączył radioodbiornik.

- Nie mogę. To już zaczyna przekraczać ludzkie siły. Zanim dopłyniemy do Gdyni...

Zaterkotał dzwonek telefonu. Bartczak z niepokojem podniósł słuchawkę.

- Co znowu nowego?

Głos Nowackiego był jednak zupełnie spokojny.

- Wartownik na dziobie melduje: słysząc syreny jakiegoś statku.

- Słysząc syreny jakiegoś statku - powtórzył Bartczak półgłosem. - Ooo - spojrzał na Igielnickiego.

Obydwu tknęła jedna i ta sama myśl.

- Rakieta SOS? - Bartczak miał jednak pewne wątpliwości.

- Oczywiście, że tak - potwierdził bez najmniejszego wahania Igielnicki. - Czyż w tych warunkach wolno nam postąpić inaczej?

Wybiegli na pokład. Przez chwilę wsłuchiwali się w wycie syreny niewidocznego statku. Szedł z przeciwnej strony. Z każdą chwilą był coraz bliżej.

- Zastopować maszyny! - rozkazał Bartczak.

- Jest! - Nowacki przesunął rękojeść telegrafu. - Zastopować maszyny.

Pulsowanie śruby zaczęło cichnąć, aż w końcu ustało zupełnie. Tym wyraźniej rozległy się wibrujące dźwięki obu syren.

Tssss - z przeciągłym sykiem wbija się w pokrywę mgły rakieta. Rozłożystym bukietem czerwieni rozprysnęły się w górze ogniste bryzgi.

Nie odejmowali lornetek od oczu, choć w tych warunkach soczewki niewiele mogły pomóc. Oczekiwanie na odpowiedź dłużyło się męcząco. Każda sekunda wydawała się całymi godzinami.

Tam na łądzie przy dziesiątkach odbiorników biją pełne rozpaczliwego niepokoju serca.

Nareszcie! Odetchnęli w ulgę. W odległości kilkudziesięciu metrów mgła rozświetliła się kolorowym przeblaskiem. Przyjęli do wiadomości sygnał. Idą z pomocą.

Znowu gra światła. Odczytanie międzynarodowego kodu nie sprawiło najmniejszych trudności.

## II

Kostrzewa śmiał się serdecznie.

- A swoją drogą, przejrzał mnie pan... Rzeczywiście pragnąłbym sobie urządzić przez te kilkadziesiąt godzin, jakie pozostały do spuszczenia kotwicy, urlop i spędzić je w skórce marynarza tym razem wolnego już od wszelkich dodatkowych trosk.

Igielnicki zmarszczył brwi z udaną srogością.

- Urlop? - przeciągnął. - No, ja już naszczuję na pana wachtowych bosmanów, żeby panu udowodnili, że praca marynarza pokładowego to wcale nie to samo co wczasy.

- Ależ jak najbardziej. Potrzebne mi psychiczne odprężenie. Im więcej będą mnie ganiać, tym lepiej... Już zresztą i przedtem praca marynarza dawała mi chwile prawdziwego wytchnienia.

- Zasmakowało morze? - Igielnicki przymrużył oko.

- Zasmakowało - przyznał bez chwili namysłu.

- A ja... jeżeli się będzie pan dobrze sprawować, przedstawię wniosek o awans. Jeżeli źle, również. Ogólne przygotowanie zawodowe, stopień uświadomienia społecznego, zasługi dla statku - recytował urzędowym głosem. - Niech kto spróbuje nie uwzględnić takiego wniosku.

Bartczak roześmiał się.

- Dobry żart.

- Żart? Ano zobaczymy...

## III

Do kajuty Leny Kostrzewa zaglądał teraz najwyżej na kilka minut. Obydwoje rozumieli, że nie może być inaczej. Większość kolegów i tak zresztą przejrzała, co się pomiędzy nimi święci. Obserwowali życzliwymi oczyma.

- To będzie świetna para - skonstatował Sielawa, gdy rozmowa zesłała na ten temat. Było to oczywiście pod nieobecność Kotery.

- Dobrali się w korcu maku - potwierdził Gwóźdź. - Prawie tak jak ja z Katarzyną.

Popatrzał w zamyśleniu na tkwiącą w drucianym wyciągu rękę.

- Żeby jej tylko nie zraził widok tego kikuta - powróciła niespokojna myśl.

Konkiel klepnął się z rozmachem w kolano.

- To będzie dopiero jubel, jak się pobiorą. Przywiozę od moich starych takiego sznapsa, że tylko powąchać i auf wider-sehen. Nie żal na taką okazję.

Sorek podrapał się za uchem.

- Czy tylko pozwolą służyć małżeństwu na jednym statku?

- Jakże nie? - oburzył się Sielawa. - Stary za żadne skarby nie puści Kotery. A Marska... No, gdzie znajdzie drugą taką radiotelegrafistkę?

- Pewnie, że musiałyby długo szukać - potwierdził Foryś. - Już on to jakoś urządzi.

#### IV

Stali we dwoje przy burcie. Na pokładzie było pełno ludzi. A przecież skryci przed obcym wzrokiem przez mgłę czuli się, jakby znaleźli się nagle sami jedni na świecie.

Rozmowa chwilami toczyła się wartko, chwilami zamierała. Tak jak to zawsze bywa w momentach, gdy myśl pragnie powiedzieć więcej, niż to da się ubrać w słowa.

- Powiedz mi - zapytała po dłuższym milczeniu, w czasie którego niemal słyszeli bicie własnych serc. - Jak to się stało, że ty, lekarz... nagle zdecydowałeś się na taką raptowną zmianę? Lekarz - powtórzyła. - To przecież taki piękny zawód...

- Piękny... - stłumił westchnienie. - Pewnie, że tak... Zdążyłem go nawet pokochać. Ale... Posłuchaj, w jaki sposób to się stało - oparł się wygodniej na barierze nadburcia. - Otóż pochodzę ze wsi. Moi rodzice byli prostymi ludźmi. Parę klas wiejskiej szkoły. Ale chociaż brakło im książkowej mądrości, posiadali życiową. Uchodzili za mądrych. Mądrych i z sercem. Kochano ich i poważano. Nie tylko w obrębie naszej wsi. Już od dawna marzyli o lepszym jutrze. I marzeń tych nie chowali bynajmniej w zanadrzu.

Mnie posłano do szkół. Niełatwo to im przyszło. Gospodarstwo maleńkie, ledwo starczało na skromne życie. Ano, zacisnęli porządnie pasa. We mnie też widzieli „lepsze jutroh - głos mu drgnął.

Był koniec lat czterdziestych... Pamiętam jak dziś. Wpierw przyszedł list, a dopiero w parę godzin później depesza. UPA - głos stał się zupełnie bezdźwięczny i jakby bardzo daleki. - Może wiedzieli z góry, a może ktoś wskazał. Byli przecież i tacy... W każdym razie bandyci szli na upatrzonogo. Męczyli ich podobno okropnie przed śmiercią. Potem długo poniewierali zwłoki. Nie darowali nawet memu bratu, Józkowi. Miał wtedy jedenaście lat. Pojechałem tam. Tych banderowców nie znaleziono. Nie natrafiono nawet na ich ślad.

Do Warszawy wróciłem zupełnie innym człowiekiem. Przez te kilkadziesiąt godzin przeżyłem jakby jedno całe życie. Potem walka z samym sobą. Nie widziałem wyjścia. Wreszcie je znalazłem.

Nie, bynajmniej nie przyjęto mnie tam z otwartymi ramionami. Przeciwnie. Długo usiłowano wyperswadować zamiar. „Kraj tak bardzo potrzebuje lekarzy...h

To wszystko - głowa opadła ciężko na piersi.

Poczuł ciepłe dotknięcie jej dłoni na swoim ręku.

## XXVII. WIATR ZMIENIA KIERUNEK

### I

Rozmowa trwała przeszło trzy godziny. W gabinecie było aż szaro od dymu, pomimo na oścież pootwieranych okien.

- A swoją drogą - mruknął wyciągnięty na fotelu Lerski - nie ma to jak morze. Popatrzcie tylko na niego - wskazał Kostrzewę. - Walono go żelazem po głowę. Nosił pod pachą bomby, przesiadywał diabli wiedzą jak długo pod wodą, a w rezultacie wygląda jak po wczasach. A tymczasem my...

Rzeczywiście, ziemistoszara barwa skóry jego twarzy przypominała cerę człowieka, który dopiero co wstał po ciężkiej chorobie. Major wertował notatki zaścielające grubą warstwą biurko.

- Odniosłeś wspaniały sukces. Co tu dużo gadać, gdyby nie ty... Kostrzewa uśmiechnął się z zażenowaniem. Nie znosił pochwał.

- Cóż - zauważył skromnie - udało się. Przez ile jednak czasu tłukłem się w ślepej uliczce bez wyjścia? Przychodziły chwile, gdy ręce mi opadały.

Lerski pokiwał ze zrozumieniem głową. Grunt, że nie opadły... Major wyprostował się.

- Gratuluję ci awansu - oznajmił oficjalnie.

Kostrzewa potraktował to jako żart.

- Wprawdzie na statku zbyt łaskawie ocenili moje nieudolne starania, ale...

Miechowiec wstał z fotela i okrążywszy rozległe biurko, podszedł do Kostrzewy.

- U nas też - położył mu ręce na ramionach - zbyt łaskawie ocenili twoje nieudolne starania. Stąd ten awans.

- O - Kostrzewa lekko poczerwieniał - nie spodziewałem się, że...

Znowu mu nie dał skończyć.

- I jeszcze z jednego powodu składam gratulacje - przymrużył znacząco oko.

Kostrzewa zmieszał się jeszcze bardziej.

- To... już... kapitan Bartczak wygadał?

Śmiechowi Miechowca zaakompaniował śmiech Lerskiego.

- Patrzcie no go, jak udaje niewiniątko.

- Jakżeby mógł utrzymać taką rzecz w tajemnicy?

- Więc - Lerski spojrział na majora - Kostrzewa opuści nas teraz na dłuższy czas. Bo i połowa urlopu wypoczynkowego jeszcze mu pozostała, no i jeszcze urlop okolicznościowy...

- A tak - major był już znowu za biurkiem, oglądając ze szczególnym wyrazem twarzy jakiś papier - należy się. Uczciwie sobie zasłużył.

- Od kiedy rozpoczynasz urlop? - W głosie jego było jednak coś, co tknęło Kostrzewę.

- Jutro... - Kostrzewa spojrział na zegarek - to jest właściwie dziś - poprawił się, jako że było już po północy - bierzemy ślub. Pojutrze chcielibyśmy wyjechać.

- Tak - Miechowiec nie przestawał obracać papieru w rękach - zupełnie słusznie.

Intrygujący ton nie zniknął wciąż z jego głosu. Kostrzewa w końcu nie wytrzymał.

- Co tam za pismo miętosisz, majorze?

- Nic takiego. To ciebie nie dotyczy - powiedział bez przekonania Miechowiec.

Kostrzewa wstał i podszedł do biurka.

- Tajemnica urzędowa?

- Skąd... Ale ponieważ idziesz na urlop... Oni tu proszą, żeby przysłać im kogoś najpóźniej w ciągu trzech dni.

- Kogoś - wtrącił Lerski - zajrzyj no mu przez ramię. Piszą jak wół: „Kostrzewah.

- Wiedzą, że dzisiaj lądujesz, i jak w dym...

- Tak - przyznał Miechowiec, odkładając wreszcie papier na biurko - zakomunikuję im jednak, że tym razem nie widzę możliwości odwoływania urlopu. Człowiek jest ostatecznie tylko człowiekiem. Któż posiada organizm ze stali?

Kostrzewa oparł się o biurko.

- Szczecin? - prowadził tam kiedyś pewną sprawę.

- Nie. Warszawa. Mają paskudną sprawę. Jakoś nie mogą z tego wybrnąć o własnych siłach.

- Za trzy dni? - zapytał Kostrzewa, ważąc coś w myślach.

- Tak, za trzy dni - twarz majora wyrażała najwyższe zdumienie. - Zechciałbyś?

Lerski aż podskoczył w swoim fotelu.

- Nie wierz majorowi. Od pierwszej chwili był przekonany, że weźmiesz tę sprawę.

Kostrzewa uśmiechnął się niewyraźnie. Nie przestawał rozmyślać. Trzy dni to tak niezmiernie mało. Ale czyż miał prawo odmawiać? Wierzyli, że zajmie się sprawą, wierzyli, że ją rozwiąże.

- Co robić. Skoro trzeba - stłumił westchnienie. - Za trzy dni wyjeżdżam do Warszawy - zakończył z

determinacją. Po chwili zdobył się nawet na uśmiech, choć mu to przyszło wcale niełatwo.

I już stojąc w drzwiach, dodał jakby z ociąganiem:

- To będzie moja ostatnia sprawa. Chcę się poświęcić wyłącznie medycynie...

- Miesiąca nie wytrzymasz bez bandziorów! - zaśmiał się Miechowiec.

- Może nadejdzie taki czas, że otworzę biuro detektywistyczne. Ale to będzie dodatkowe zajęcie.

Tamci dwaj patrzyli na niego bez słowa.

^ ^ ^

Taras wybiegał daleko w ogród. W trzcinowych fotelach siedziało dwóch niemłodych mężczyzn. Białe ubrania z surowego jedwabiu wskazywały, że dzień pracy mieli już poza sobą.

Leniwie pobrzękiwał lód w wysokich szklankach. Z klombów bił ostry zapach. Zmierzch przytłumiał jaskrawość barw egzotycznych kwiatów.

Bungalow komisarza emigracyjnego leżał daleko od śródmieścia. Tu się oddychało znacznie lżej niż na zakurzonych ulicach.

- Tak - komisarz mieszał słomką resztki napoju w szklance - Może jestem po prostu za stary, żeby się przyzwyczaić do tego wszystkiego? Ale dla człowieka, który całe życie usiłował postępować zgodnie z prawem...

Znany adwokat, siedzący po drugiej stronie stolika, pokiwał ze zrozumieniem głową:

- Otóż to... Niedobrze jest, gdy usiłuje się puścić pociąg obok szyn. Niestety, nie wszyscy są w stanie to zrozumieć. Ale... - odsunął szklankę, obserwując w zamyśleniu rozkołysaną powierzchnię płynu - wszystkie oznaki zdają się wskazywać, że wiatr zaczyna zmieniać kierunek.

- Czyżby? - w głosie komisarza brzmiało nieukrywane powątpiewanie.

- A jednak... Wczoraj długo rozmawiałem z pewnym członkiem parlamentu, który dopiero co przybył z metropolii. To bardzo wnikliwy człowiek. Zawsze au courant aktualnych przejawów życia politycznego. Pamięta pan niesamowite historie, jakie urządzano u nas w związku z odczytami tego Rudzkiego? Dziś byłoby to już nie do pomyślenia. Czyż można wybudować mur tak wysoki, by nie przepuścił powiewu, którym oddychają setki milionów ludzi? Szczególnie że przecież i po jego drugiej stronie... - popatrzył w coraz ciemniejszy obraz pobliskiego klombu. - Jednak - podjął po chwili - to... bardzo ciężka i nieruchawa machina. Ale... kto wie, czy już w najbliższym czasie... Tak... wszystkie znaki na niebie i ziemi... - powtórzył z przekonaniem.

Gęstniejący mrok wypełniał powoli ogród.